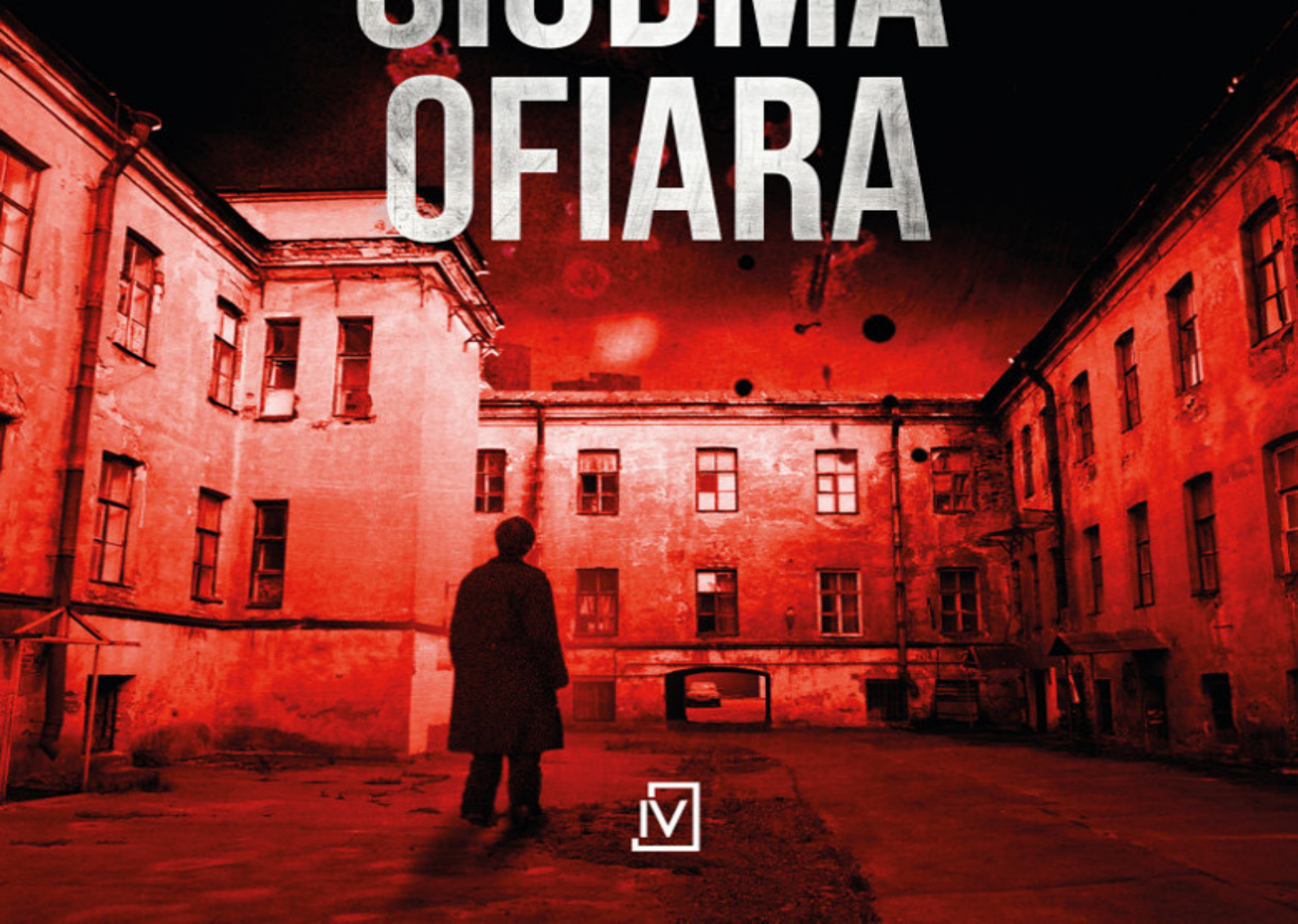


*Bestsellerowa powieść z cyklu
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**SIÓDMA
OFIARA**



SIÓDMA OFIARA

ALEKSANDRA
MARININA
**SIÓDMA
OFIARA**

Przełożyła
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Седьмая жертва*

Copyright © Aleksandra Marinina, 1999

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2020

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała, Zofia Żółtek / Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Alexey Borodin / Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-99-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Kryminał ze zjawami

Zastąpienie liczby 19 liczbą 20 na początku numeru roku wywołało na świecie niezwykłą falę zainteresowania okultyzmem, magią, czarami, parapsychologią oraz ufoludkami. Od pewnego czasu wszyscy z dnia na dzień oczekują końca świata, widząc oznaki jego niewątpliwego nadejścia a to w komecie Halleya, a to w trzęsieniu ziemi w Turcji, i biegają do bioenergoterapeutów, magów, astrologów oraz specjalistów od UFO po miarodajną. To samo działo się sto lat temu, tyle że wtedy nie było jeszcze ufoludków i ludzie rozmawiali z duchami, entuzjastycznie odnosząc się do spirytyzmu.

Literatura bardzo żywo reaguje na zainteresowania społeczne – właściwie jest na ich usługach. Literatura masowa w większym stopniu, a elitarna – w mniejszym, ale zarówno jedna, jak i druga zależy od gotowości i chęci czytelników, by poruszać ten czy ów temat. Nic więc dziwnego, że od jakiegoś czasu modne stały się kryminały z odchyleniem „mistycznym”.

Mistycyzm wymaga jednak niezbędnych atrybutów. Najlepiej żeby akcja rozgrywała się w starym zamku albo klasztorze, żeby badana tajemnica sięgała głęboko w przeszłość, a ofiary umierały jedna po drugiej nie wskutek banalnego strzału z pistoletu, lecz w wyniku zażycia zagadkowej trucizny albo w ogóle nie wiadomo czego.

Chyba najbardziej znany kryminał „mistyczny” to *Imię róży* Umberta Eco.

Ale w literaturze to, co nowe, jest jedynie tym, co zostało dawno zapomniane. Kiedyś, dwa wieki temu, Anna Radcliffe poruszyła czytającą Europę powieściami gotyckimi, to znaczy powieściami grozy i tajemnic, opartymi na filozofii „światowego zła”. Bohaterowie powieści gotyckiej naznaczeni są piętnem

losu, a na fabułę składają się straszne, niewytłumaczalne i krwawe przestępstwa. Czyż to nie kryminał mistyczny?

W swojej książce Umberto Eco nie wymyślił niczego nowego – jedynie zaśpiewał starą piosenkę na nową nutę, zdobył rzesze wielbicieli i wszedł z *Imieniem róży* do historii światowego postmodernizmu.

Jednakże Eco to niemal geniusz. Jego powieść jest elegancka, wyrafinowana, piękna i nie przekracza granic dobrego smaku. Tymczasem przeważnie dzieje się, niestety, tak, że atrybuty powieści gotyckiej przerastają przeciętnego pisarza i wciągają go w odmęty banału. Szczególnie niebezpieczne staje się nęcące pragnienie, by podjąć temat „światowego zła” i władzy Księcia Mgły – bez względu na to, czy jest nim Szatan, czy buddyjskie bóstwo Czojżał (władca piekieł).

Postmoderniści (teraz to oni pasjonują się mistycyzmem) lubią zabawiać się religiami. Przyrządzają na przykład niewyszukaną sałatkę z buddyzmu i chrześcijaństwa. I doprawiają przestępstwa poglądami religijnymi. Wprowadzają też jeszcze jeden modny motyw, ściśle związany z religiami i życiem w zaświatach – stosunek postaci do śmierci. Przestępca często wyznaje kult śmierci, uważa, że, zabijając, oddaje przysługę swoim ofiarom, pozwala im wyzwolić się z niepotrzebnych i absurdalnych okowów życia.

Aleksandra Marinina nie złapała się jednak na mistyczną przynętę – w jej książkach nie znajdziecie mistycyzmu, co jest słuszne: w dobrym kryminale wszystko powinno mieć racjonalne wytłumaczenie, przestępstwo musi być umotywowane psychologicznie i usprawiedliwione okolicznościami. Jeżeli po nagromadzeniu rozmaitych tajemnic schwytyany przestępca macha ręką i ulatnia się przez komin – bo niby jest zjawą i za nic nie odpowiada – cóż to za kryminał?

Marinina wprowadziła jednak na scenę przestępcę wyznającego kult śmierci. Ale zrobiła to inaczej niż zwolennicy mistycyzmu, nie otoczyła owego kultu zagadkowymi i straszliwymi zjawiskami – w powieści nie ma żadnej tajemniczej sekty, tortur w podziemiach, rodzinnych kosztowności, zabójstw w zamkach oraz eleganckich dam w wieczorowych sukniach i z pobladytymi twarzami. Pojawiają się wprawdzie rodzinne kosztowności, ale należą do skąpej i niesympatycznej staruszki, no i nie mają żadnego związku z przestępstwem.

Przestępca Marininy to samotny racjonalista, równie inteligentny, trzeźwo i logicznie myślący jak jej ulubiona bohaterka, Nastia Kamieńska. To nie przypadek, że przestępca wybiera ją na swojego jedyne go oponenta. Nikt inny nie może go schwytać, tylko ona. Wszystkie ofiary składane są na ołtarzu śmierci jak gdyby na jej cześć. Umierając ze strachu, Nastia musi podążać za zbrodniarzem i rozwiązywać jego obrzydliwe szarady.

Czym to wszystko się skończy? Domyślcie się sami...

Rozdział 1

KAMIENSKA

– Nie wiem, jak wy, szanowni państwo, ale ja nie znoszę książek Gogola już od czasów szkolnych. Nie rozumiem, co w nich ciekawego!

Andriej Timofiejewicz buchnął gromkim śmiechem i zręcznie wsunął do ust kawałek soczystej cielęciny przyrządzonej przez Iroczkę. Nastia zerknęła na Tatianę i stłumiła uśmiech. Ależ zabawny ten ich sąsiad! Jest już wprawdzie niemłody, na emeryturze, a mimo to zachowuje się przy nich jak kolega z jednej klasy. Zaśmiewa się, opowiada pikantne dowcipy, w ogóle się nie przejmuje, że trącą myszką, i nawet nie wstydzi się przyznać, że nie żywi szacunku do klasyków rodzimej literatury. Ludzie w jego wieku zazwyczaj są poważniejsi. Gdy znajdują się w towarzystwie osób przed czterdziestką, ze znużeniem i znaczącym naciskiem wygłaszają nieomylnie ich zdaniem sądy. Jednakże Andriej Timofiejewicz, mieszkający na tej samej klatce schodowej co Stasow z rodziną, nie należał do tej kategorii.

– No cóż, wałkowanie literatury na lekcjach potrafi obrzydzić twórczość każdego pisarza – zauważył Stasow. – Może teraz dzieci są uczone inaczej, ale w naszych czasach byliśmy zmuszani na przykład do tego, żeby wykuć na pamięć rozmyślenia księcia Andrzeja pod niebem Austerlitz. Który piętnastoletni smarkacz to wytrzyma? Wiadomo, że nabierze trwałej niechęci i do fragmentu, i do powieści, i do wszystkiego, co napisał Tołstoj. A przy okazji, co pan o nim myśli?

– Ja, szanowny panie, nie oceniam żadnego pisarza – z niespodziewaną powagą odrzekł sąsiad. – Osądowi poddaję tylko konkretne utwory. Lubię *Wojnę i pokój*, *Jeńca*

kaukaskiego, a także *Opowiadania sewastopolskie*, ale nie cierpię *Anny Kareniny*.

– To znaczy, że nie poważa pan naszej Tani? – zapytała Irocčka z urazą. – W końcu ona też jest pisarką.

Andriej Timofiejewicz znowu parsknął śmiechem. Robił to z takim zapałem i smakiem, że nie sposób było nie uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Daj spokój, Iro. – Tatiana próbowała ją powstrzymać. – To się nazywa wymuszanie komplementów.

– Przecież nie chodzi o komplementy pod moim adresem... – Ira zaczęła się usprawiedliwiać, ale Andriej Timofiejewicz jej przerwał.

– Nie kłóćcie się, moje drogie. Po pierwsze, prowadzimy abstrakcyjną dyskusję na temat rosyjskich klasyków, a nie obecnych przy stole pięknych pań. Po drugie, o ile wiem, Tatiano Grigorjewna, pisze pani kryminały, ja zaś ich nie czytuję i, proszę mi wybaczyć, nie będę czytał nawet przez wzgląd na panią. Dlatego nie potrafię wydać opinii o pani twórczości. No a po trzecie, czuję dla pani osobiście głęboki szacunek, podobnie jak dla pani gościa, Anastazji Pawłowny, bo młode, inteligentne i piękne kobiety, które wykonują ciężką i brudną robotę, zamiast błyszczeć na salonach, przygotowują moją męską duszę o nieustanne drżenie.

Wygłosiwszy ową przyciężkawą, ale wyszukaną tyradę, sąsiad starannie złożył leżącą na jego kolanach wykrochmaloną serwetkę i wstał od stołu.

– A teraz pozwólcie, że się pożegnam.

– Dokąd to, Andrieju Timofiejewiczu? – Irocčka się zaniepokoiła. – Mamy jeszcze bułeczki...

– Nie, nie, moja droga, przepraszam, ale nie mogę zostać. Syn obiecał, że przyjedzie, więc muszę być w domu. Dzisiaj jest rocznica śmierci żony, wybieramy się razem na cmentarz.

Ira odprowadziła sąsiada do drzwi, po czym wróciła do pokoju. Na jej twarzy odmalował się smutek, jakby dzisiejsza

data budziła bolesne wspomnienia w niej, a nie w Andrieju Timofiejewiczu.

– Miły z niego człowiek... Otwarty, wesoły... – powiedziała z westchnieniem, zwracając się do nieokreślonego słuchacza, i zaczęła robić miejsce na stole, żeby umieścić na nim półmisek z bułeczkami.

– Aha – przytaknęła Nastia złośliwie. – I szarmancki. Nie wiem jak ty, Taniu, ale ja już dawno nie słyszałam takich komplementów. Obie jesteśmy młode, a na dodatek inteligentne i piękne. Wasz wspaniały sąsiad ma chyba problemy ze wzrokiem.

– Nie martw się. – Tatiana się roześmiała. – Z jego wzrokiem wszystko w porządku. To raczej ty cierpisz na nadmiar samokrytyki. Zapamiętaj, kochana, że twój gust nie jest wcale normą. Niewykluczone, że w ogóle go nie masz. To, że nie podobasz się sama sobie, wcale nie oznacza, że nie możesz podobać się reszcie ludzi na tej planecie. Jest rzeczą całkiem prawdopodobną, że nasz Timofiejcz-Kotofiejcz uważa cię za nieziemską piękność. No cóż, skoro sąsiad nas opuścił, wróćmy do naszej sprawy.

Nastia posmutniała. Sprawa, o której wspomniała Tatiana, była jej nie na rękę, ale pochopnie wyraziła zgodę na udział i teraz nie mogła się wycofać. To znaczy mogła, oczywiście, świat by się nie zawalił, ale sumienie jej nie pozwalało. Chodziło o to, że do Tatiany zadzwonił ktoś z telewizji i zaprosił ją do programu poświęconemu kobietom wykonującym typowo męską pracę. Tak właśnie nazywał się program: *Kobiety niezwykłych profesji*. Tatiana zaczęła się wymawiać, tłumacząc, że kobieta na stanowisku śledczej to całkiem normalne zjawisko i że kobiety stanowią prawie połowę śledczych, więc do programu należy raczej poszukać kobiety zatrudnionej w wydziale kryminalnym, ponieważ pań tam rzeczywiście jak na lekarstwo. Na pytanie, czy wobec tego może kogoś polecić, Tatiana odpowiedziała bez wahania.

Nastia Kamieńska była jedyną znaną jej kobietą-oficerem z wydziału kryminalnego. Sprawa skończyła się tym, że Nastia dała się namówić w zamian za obietnicę Tatiany, że ona też weźmie udział w programie. Żadna z nich nie miała ochoty występować na antenie, obie uciekały się do różnych chytrych wykrętów, starając się nie obrazić pracowników telewizji bezpośrednią odmową, ale szefowa programu wykazała się zaciętym uporem, a także niesłychaną przenikliwością i znalazła w końcu sposób, żeby je złamać.

Gdy udzieliły zgody, ustalono termin spotkania na antenie i nie mogły się już wymigać, więc Tatiana zaprosiła Nastię na niedzielny obiad, żeby uzgodnić najważniejsze kwestie.

– Skoro dałyśmy się wciągnąć w tę imprezę – powiedziała – opracujemy wspólną taktykę. Program idzie na żywo, i co najgorsze, w formie telemostu, więc jeśli nie zajmiemy wspólnego stanowiska, za którym się opowiemy, koncepcja autorów przepadnie. Niepotrzebnie stracimy tylko czas.

– Ta-a-ak – wycedziła Nastia z zakłopotaniem. – Telemost to nie przelewki. Gdyby chodziło jedynie o występ na żywo, można by się nie przejmować. O ile wiem, telefony od widzów są teraz niemal zawsze filtrowane, żeby nie marnować czasu na oczywiste głupstwa. Telemostu nie da się jednak całkowicie kontrolować.

Obiad dobiegł końca, Ira sprzątnęła ze stołu i poszła na spacer z rocznym synkiem Tatiany, Griszeńką. Stasow ruszył do sypialni, wymownie szeleszcząc gazetami, a dwie przyszłe bohaterki programu telewizyjnego *Kobiety niezwykłych profesji* usiadły na kanapie, podwijając pod siebie nogi, i zaczęły układać przebiegłe plany odparcia niespodziewanych i niewykluczone, że głupich pytań. Obie były zdania, że nie istnieje podział na męskie i kobiece zawody, są tylko wrodzone predyspozycje, zdolności oraz pewne cechy charakteru, które pozwalają wykonywać określony rodzaj działalności i uniemożliwiają osiągnięcie sukcesu w innych dziedzinach.

Natura rozdaje je ludziom, nie zważając na ich przynależność płciową. Najważniejsze, żeby podsunąć widzom tę myśl i nie pozwolić, by tracono czas na omawianie tematów w rodzaju „Co pani mąż na to, że może pani zostać wezwana nocą do pracy?”.

– Na pytania tego rodzaju odpowiadamy według przyjętego schematu – zaproponowała Nastia. – Na przykład: „Mój mąż traktuje to w taki sposób, jakby traktowała to żona, gdyby jej męża... I tak dalej”.

– Zgoda. – Tatiana kiwnęła głową i poprawiła ciepły pled, który naciągnęła na nogi. – Musimy unikać dyskusji na temat życia osobistego i dążyć do uogólnień, tak żeby wszyscy wiedzieli, że nie ma konkretnej Nastii detektyw i Tani śledczej, są tylko osoby przyuczone do tej pracy, niezależnie od ich płci.

Irocza dawno wróciła ze spaceru, dobiegające z sypialni chrapanie Stasowa już przed półgodziną zastąpił szelest przewracanych stron gazet, a Nastia z Tatianą wciąż się naradzały. Zbliżający się występ w telewizji jako taki przestał być tematem ich rozmowy. Obie panie szybko przyjęły role, które w rzeczywistości odgrywały: detektywa i śledczej, i zaczęły opracowywać plan trudnego przesłuchania, kiedy to trzeba przewidzieć wszelkie możliwe sposoby zachowania podejrzanego i przygotować odpowiednie kontruderzenia. To zajęcie było pasjonujące i znane z pracy, więc nawet nie zauważyły, jak zgęstniał mrok i za oknami zapaliły się latarnie. Przerwały dopiero, gdy zadzwonił Czistiakow.

– Mam na ciebie czekać w domu czy jak? – zapytał spokojnie.

– To zależy, co rozumiesz pod określeniem „czy jak”? – natychmiast odparowała Nastia.

– Są dwie możliwości – odparł rzeczowo profesor matematyki.

– Albo zostajesz tam na noc, albo przyjadę po ciebie.

– A jakbyś wolał?

– Jechanie po ciebie nie za bardzo mi się uśmiecha, znowu zmarnuję benzynę i nadwyreżę silnik. Poza tym w naszym mieszkaniu panuje straszliwe zimno i nie ma ciepłej wody...

– Wobec tego zostaję.

– W porządku, już jadę.

Nastia odłożyła słuchawkę i zerknęła na zegarek.

– Irusiu, mam czterdzieści minut. Mogę liczyć na kubek kawy i resztki bułeczek?

CZISTIAKOW

Okazuje się, że życie z poczuciem winy nie jest wprawdzie przyjemne, ale możliwe. W końcu czy to on jest winien temu, co się stało? Już dawno należało zrobić remont w mieszkaniu Nastii, więc jedyną rzeczą, którą może sobie zarzucić, jest to, że wcześniej nie wykazał należytego uporów. Wtedy byłoby już po sprawie. Dopiero tego lata udało mu się namówić żonę, żeby przymknęła oczy i przemęczyła się parę miesięcy. Znaleźli ekipę, kupili część potrzebnych materiałów, prace ruszyła pełną parą... A potem, siedemnastego sierpnia, gwałtownie stanęły. I już tydzień później było wiadomo, że odłożonych na remont pieniędzy wystarczy najwyżej na wykończenie kuchni. Najbardziej irytujące było to, że Czistiakow je miał. Jako uczciwy podatnik otworzył konto w Inkombanku, na które przelewano mu honoraria za wydawane za granicą podręczniki i monografie. Ale co z tego? Konta zostały zamrożone, nie można z nich wypłacić ani dolara, ani centa, ani nawet rubla.

I w tym momencie, jak na zawołanie, pojawiło się zaproszenie do Niemiec na trzy tygodnie – żeby poprowadzić cykl wykładów. Wynagrodzenie miało być wypłacone w gotówce, więc po krótkiej rodzinnej naradzie postanowili wykorzystać okazję. Pensji żony milicjantki i męża naukowca, otrzymywanych od państwa, może nie wystarczyć nawet na

życie bez remontu, jako że na początku września ceny straciły poczucie rzeczywistości i poszły ostro w górę, zupełnie zapominając o tym, że powinny przynajmniej w minimalnym stopniu odpowiadać sile nabywczej ludności. Wypłacone gotówką honorarium za wykłady pomogłoby im przetrwać parę miesięcy, no a później sytuacja jakoś się wyklaruje.

Jednakże państwo po raz kolejny podłożyło obywatelom nogę. Gdy tylko Czistiakow wyjechał do Niemiec i rozpoczął pierwszy wykład, w kraju ogłoszono, że wszyscy chętni mogą przenieść swoje oszczędności z banków prywatnych do państwowego Sbirbanku. Że niby dzięki temu odzyskają swoje pieniądze, może nie od razu i nie pełną kwotę, ale przynajmniej jakąś część. Procedura wymagała, żeby każdy stawił się osobiście i napisał stosowny wniosek. W ten sposób problem rozwiązał się, zanim się pojawił. Czistiakow nie miał wizy wielokrotnego wjazdu, więc gdyby spróbował wyskoczyć do Moskwy na dwa dni, żeby uratować swoje pieniądze, nie zdołałby wrócić do Niemiec, otrzymanie nowej wizy zajęłoby dwa do trzech tygodni. Tymczasem harmonogram wykładów został ogłoszony, z całego świata zjechali się matematycy i nie wypadało ich prosić, żeby pojechali do domu i wrócili za miesiąc, gdy profesor Czistiakow dostanie nową wizę. Czas mijał, termin wyznaczony przez nasze kochane państwo na rozwiązanie osobistych problemów finansowych się kończył, a Aleksiej Michajłowicz stał za katedrą i płynną angielszczyzną... Zanim wrócił do Moskwy, było już za późno, żeby stawić się w banku i złożyć wniosek.

Krótko mówiąc, los oszczędności wciąż pozostawał niejasny, pewne było jedno: pieniędzy nie ma i w najbliższym czasie nie będzie. Mieszkanie, przypominające raczej zrujnowane gniazdo niż miejsce do życia, przez długi czas pozostanie w takim stanie, a co się wydarzy po Nowym Roku – aż strach pomyśleć. Wyglądało na to, że strach ogarnął nie tylko Aleksieja, ale też Nastię. Żadne z małżonków nie podejmowało

drażliwego tematu, teraz jednak, w drodze do domu, Nastia po raz pierwszy zadała pytanie i Czistiakow domyślał się, jaki będzie ciąg dalszy.

– Losza, dużo pieniędzy przelano ci zza granicy do tego cholernego Inkombanku? – ostrożnie zapytała Nastia, mimo że nigdy przedtem nie wtrącała się w finanse męża.

– Łącznie czterdzieści dwa tysiące, jeśli liczyć w dolarach.

– I zamierzasz pójść w styczniu do urzędu skarbowego, żeby wszystko zgłosić?

– No a jak to sobie wyobrażasz? – Czistiakow się uśmiechnął.

– Wolę spać spokojnie.

– I będziemy musieli zapłacić jakieś trzydzieści procent od tej kwoty?

– Mniej więcej.

– A skąd weźmiemy pieniądze na podatek, Losza? To przecież czternaście tysięcy dolarów. Aż mi się w głowie kręci, gdy o tym pomyślę.

Aleksiej kątem oka zauważył, że Nastia się skuliła. Przez cały dzień padał deszcz, droga była mokra, więc odwrócił się do żony, dopiero gdy stanął na światłach.

– Aż tak się tym martwisz? – zapytał poważnie.

Nastia kiwnęła głową w milczeniu i wyjęła papierosa.

– Nie przejmuj się, Asieńko, to jeszcze nie tak prędko. W styczniu zgłoszę dochód, ale podatek od niego trzeba będzie zapłacić do połowy czerwca. Poza tym wiem z ubiegłorocznego doświadczenia, że gdy kwota jest duża, można ją rozłożyć na raty.

– Sądzisz, że do lata oszczędności zostaną odblokowane? Nie chce mi się w to wierzyć. – Nastia pokręciła głową. – Losza, czy nikt tam na górze nie wie, co się dzieje? Nie możemy korzystać z pieniędzy, ale musimy płacić podatki. Jak niby mamy je płacić? Z czego?

– Jedno z dwojga. Albo zostanie uruchomiony jakiś mechanizm na taką okoliczność, albo zaczniemy się

wyprzedawać. Opchniemy na przykład samochód.

– Dużo za niego nie dostaniemy, jest stary – zaproponowała Nastia. – Są jeszcze prezenty od ciebie – kolczyki, naszyjnik, bransoletka ze szmaragdami. Ale to przecież prezenty, dostałam je na urodziny, z okazji rocznicy ślubu... Mam się ich pozbyć? Nie potrafię.

– Nie myśl o najgorszym, Asieńko, musimy jeszcze dożyć do następnego lata. W rządzie nie siedzą głupcy, nie mogą tego nie rozumieć.

– Nawet jeśli nie głupcy, to na pewno dranie! – rzuciła w uniesieniu.

Czistiakow po raz kolejny poczuł ukłucie winy. Pieniądzy odłożonych na remont i kupno nowych mebli wystarczyłoby akurat na zapłatę tego cholernego podatku, wtedy Aśka nie martwiłaby się i nie zadręczała czarnymi myślami. Boże, mieszkała w tej rozpadającej się kawalerce ponad dziesięć lat, pomieszkałaby jeszcze ze dwa. Kto jednak mógł wiedzieć?

Zarówno przed ślubem, jak i po nim, nie mieszkali stale razem. Instytut, w którym pracował Czistiakow, znajdował się pod Moskwą, tam też mieszkali jego rodzice, więc Aleksiej zostawał w Moskwie tylko wtedy, gdy nie musiał chodzić do pracy. Zdarzały się, oczywiście, wyjątki, gdy przez dwa, trzy tygodnie mieszkał z Nastią, codziennie jeżdżąc tam i z powrotem do Żukowskiego, ale były to tylko pojedyncze przypadki. Teraz jednak czuł się w obowiązku towarzyszyć żonie tam, gdzie mieszkanie było praktycznie niemożliwe, inaczej wyglądałoby to tak, jakby wpakował ją w remont, a gdy pojawiły się kłopoty, uciekł do ciepłego, przytulnego mieszkanka rodziców. Na propozycję przeniesienia się na jakiś czas do rodziców Czistiakowa, Nastia odpowiedziała natychmiastową, ale z góry przewidzianą odmową: „jakiś czas” potrwa nie wiadomo jak długo, a jeździć musiałyby daleko, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że przeważnie późno wraca z pracy.

Teraz musieli chodzić po domu, wysoko podnosząc nogi, żeby nie wpaść na rolki tapet, worki z cementem, puszki farby, opakowania szpachlówki i kartony z płytkami. Ze wszystkich ścian zerwano tapety i skuto kafelki, więc widok nie był budujący. Jedyne miejsce, w którym nie ogarniała ich natychmiastowa zgroza, była kuchnia, udało się bowiem ją wykończyć i zabudować meblami na wymiar. Tam też spędzali cały czas, tylko na noc przenosili się do pokoju i za każdym razem było to jak przejście Suworowa przez Alpy. Szczupła Nastia dosyć zręcznie przeciskała się pomiędzy stosami materiałów budowlanych, masywniejszy Czistiakow ledwie pokonywał owe Alpy, nierzadko z okropnym łoskotem przewracając napotkane stosy. Najgorsze było to, że dwunastego sierpnia, gdy jak to mówią, nic nie zapowiadało katastrofy, a prezydent pewnym tonem oznajmiał, że trzyma rękę na pulsie i nie dopuści do zapaści... no więc w połowie sierpnia Czistiakow wpadł na pomysł, żeby zamówić i opłacić włoskie meble wypoczynkowe, które miały być gotowe w ciągu dwóch miesięcy. Termin właśnie minął i teraz, w połowie października, z dnia na dzień mógł się pojawić kolejny problem w postaci dostawy mebli. Skromne Alpy groziły, że zamienią się w Czomolungmę i nieprzebytą dżunglę. Wszystko to razem wzięte powodowało, że Aleksiej Czistiakow, lat trzydzieści osiem, czuł się okropnie winny.

OBRAZCOWA

Dla Tatiany występ w telewizji był czymś naturalnym. Nieraz udzielała wywiadów i jako pisarka, autorka popularnych kryminałów, i jako śledcza, gdy proszono ją o komentarz do jakiejś głośnej sprawy, nad którą pracowała. Tymczasem Nastia miała się znaleźć przed kamerami po raz pierwszy, więc bardzo się denerwowała.

Charakteryzatorki troskliwie się nimi zajęły i Nastia wyglądała wręcz olśniewająco.

– Aż trudno panią poznać! – Szefowa programu klasnęła w ręce na widok Kamieńskiej, gdy ta wstała od stołu do makijażu. – Gdybym sama pani tutaj nie przyprowadziła, uznałabym, że to ktoś inny.

– Cieszę się. – Nastia się uśmiechnęła. – Kobiet w wydziale kryminalnym jest niewiele, więc to raczej niewskazane, żeby cały kraj znał ich twarze.

Pracownica telewizji znieruchomiała na chwilę, po czym kiwnęła głową ze zrozumieniem i roześmiała się.

Ulokowano je w studiu na twardej, niewygodnych krzesłach umieszczonych wokół równie niewygodnego okrągłego stołu, na którym znajdowała się butelka jakiegoś bezalkoholowego napoju i trzy wysokie szklanki ozdobione reklamą sponsorów programu. Zręczni asystenci szybko owinęli Tatianę i Nastię kablami mikrofonowymi i poprosili, żeby nie wykonywały gwałtownych ruchów, bo mogą się zsunąć. Widzów w studiu było około setki, wszyscy bezceremonialnie gapili się na dwie bohaterki programu. Po lewej wisiał olbrzymi ekran, na razie jeszcze niewłączony, na którym miał się pojawić obraz tego, co będzie się działo po drugiej stronie telemostu, na Nowym Arbacie.

– Odpręż się, Nastiu – powiedziała Tatiana półgłosem. – To nie boli.

– Łatwo ci mówić – wybąkała Nastia. – Boję się, że palnę jakieś głupstwo i cały kraj je usłyszy. Najem się tylko wstydu i nie będę miała życia w pracy. I po co ja się zgodziłam?! Ależ ze mnie kretynka! Siedziałabym sobie teraz w domu i oglądała cię w telewizji. Cicho i spokojnie.

– No to siedź cicho i spokojnie – poradziła bardziej doświadczona Tatiana. – Nikt ci nie zrobi krzywdy ani cię nie wyszydzi.

Prezenter programu przysiadł się do nich, rozległo się wołanie asystenta: „Trzydzieści sekund!”, i Tatiana mrugnęła wesoło do Nastii.

– Wszystko w porządku? – zapytał prezenter rzeczowo. – Jesteście panie w bojowych nastrojach?

– Ależ skąd. – Tatiana obojętnie wzruszyła ramionami. – Z kim miałybyśmy toczyć bój? Nie przyszłyśmy przecież do pracy.

– Słusznie, Tatiano Grigorjewna – przyznał. – Tutaj nie macie wrogów. A pani, Anastazjo Pawłowna, jak się czuje?

– Normalnie, dziękuję.

– W takim razie za dziesięć sekund wchodzimy na antenę. Są panie gotowe?

Równo dziesięć sekund później na monitorach pokazała się czołówka programu.

– Dzień dobry, drodzy przyjaciele – odezwał się żywo prezenter. – Oleg Małachow wita was w programie *Kobiety niezwykłych profesji*. W ten słoneczny sobotni dzień zebraliśmy się w studiu, żeby porozmawiać o czymś słonecznym i radosnym, rzecz jasna. A co jest najradośniejsze i najjaśniejsze w naszym życiu? Oczywiście kobiety. Bo niosą w sobie miłość i macierzyństwo. Dzisiaj jednak porozmawiamy o kobietach, które wykonują typowo męskie zajęcia. Razem z widzami w studiu o problemie dyskutować będą moskwianie i goście stolicy, przechadzający się w tym czasie po Nowym Arbacie. Właśnie tam ustawiliśmy dzisiaj kamery i tam znajduje się nasz drugi prezenter Dmitrij Korzun. Jest pan gotów, Dmitriju?

Na dużym ekranie pojawiła się sympatyczna twarz drugiego prezentera.

– Dzień dobry. Tak, jesteśmy gotowi.

Tuż za Korzunem Tatiana zobaczyła znajomy szyld Jołki-pałki. Przedtem była tutaj kawiarnia Wałdaj, później chińska restauracja Palma. Początek Nowego Arbatu. Wokół prezentera

zgromadził się spory tłumek, ale to wcale nie oznaczało, że wszyscy zechcą zadać pytania. Stanie i przyglądanie się to zupełnie co innego niż aktywne uczestnictwo.

– A zatem gościmy dzisiaj kobiety niezwykłych profesji – ciągnął prezenter w studiu. – Starsza śledcza, major milicji Tatiana Grigorjewna Obrazcowa, i starsza oficer wydziału kryminalnego, podpułkownik milicji Anastazja Pawłowna Kamińska.

Tatiana skinęła głową i ze zdziwieniem zauważyła, że Nastia uśmiecha się czarująco. Mądrała, pomyślała z aprobatą, wzięła się w garść.

Pierwsze dziesięć minut rozmowy minęło spokojnie, pytania zadawał przeważnie Małachow, sala nie była jeszcze rozgrzana i nie wykazywała szczególnego zainteresowania. Nastia i Tatiana odpowiadały po kolei, były przygotowane na te pytania. Najważniejsze, żeby nie wdawać się w dywagacje na swój temat, ale wciąż podkreślać, że między mężczyznami i kobietami nie ma żadnych różnic, z wyjątkiem czysto biologicznych.

– Skąd wziął się pomysł na pracę w milicji?

– Pewnego pięknego dnia ta myśl przyszła mi do głowy, tak jak przychodzi do głowy młodym chłopcom i mężczyznom.

– Jak tę decyzję przyjęli pani rodzice?

– No cóż, w czasach, gdy wybierałam zawód, trudno było znaleźć rodziców przeciwnych takiemu wyborowi. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych pracę w milicji traktowano jako zaszczytną i prestiżową.

– Nie bała się pani?

– Kogo? – Oczy Tatiany zaokrągliły się ze zdumienia.

– Jak to kogo? Przestępców.

– Przestępców boją się wszyscy na całym świecie. To normalne. Nie może być inaczej.

– A więc bała się pani przestępców, mimo to wybrała ten zawód...

– Panie Olegu, tego rodzaju strach ma niewiele wspólnego z wyborem zawodu. Każdy wie, że jeżeli uderzy autem w betonową ścianę, najpewniej umrze. Innymi słowy, wypadek samochodowy prawie zawsze prowadzi do okaleczenia lub śmierci. Nie ma osoby, która by o tym nie wiedziała. Mimo to mnóstwo ludzi decyduje się na zawód kierowcy. Sądzi pan, że nie boją się śmierci? Oczywiście, że się boją. Podobnie ma się sprawa z lekarzami: są świadomi chorób, które są dzisiaj nieuleczalne. Każdy może na nie umrzeć, lekarz też, nikt nie jest bezpieczny. Tak czy inaczej, wszyscy wiemy, że prędzej czy później umrzemy. Więc co, mamy w ogóle nie żyć?

Małachow się zmieszał, nie spodziewał się tak logicznego wyводу i nie miał pojęcia, jak powinien zareagować, więc zwrócił wzrok ku sali, szukając na niej ratunku. Miał szczęście, gdzieś ze środka podniosła się ręka.

– Widzę, że mamy pytanie z sali. Proszę wziąć mikrofon.

– Zna pani jakieś sztuki walki? – zapytał barczysty, umięśniony chłopak, podejrzenie przypominający zapaśnika.

– Ja – nie – odparła Tatiana, napotykać pełne wyrzutu spojrzenie Nastii. Racja, przecież się umówiły, że nie będą sprowadzać rozmowy na prywatne tory. Musi się poprawić. – Sztuki walki są przydatne tym, którzy zatrzymują przestępców, śledczy to całkiem inny zawód.

– A pani, Anastazjo Pawłowna? – zapytał prezenter. – Pani chyba przeprowadza zatrzymania, jeśli się nie mylę?

– Myli się pan. – Nastia uśmiechnęła się promiennie. – Zatrzymanie to już ostatni, najłatwiejszy etap. Najpierw trzeba przestępcę namierzyć, odgadnąć, kim jest, a potem go znaleźć. To właśnie moje zadanie.

Sala się ożywiła. Widzowie w studiu nie byli bynajmniej głupi, nie nabrali się na chytrą sztuczkę. Padło pytanie, jedna z zaproszonych kobiet odpowiedziała, natomiast druga nie, w dodatku zamiast odpowiedzi usłyszeli coś niespodziewanego, coś, o czym przedtem w ogóle nie

pomyśleli. A przecież rzeczywiście... W głowach obecnych zaczęły się kłębić myśli: o co by jeszcze zapytać, żeby usłyszeć coś nowego i ciekawego, a nie banalny wykręt?

– Mam pytanie do podpułkownik Kamieńskiej. Powiedziała pani, że zna pięć języków obcych. Często ma pani do czynienia z przestępcami zza granicy?

– Bardzo rzadko.

– W takim razie po co pani znajomość pięciu języków?

– To rodzaj gimnastyki umysłowej. Wywiadowca nie ma prawa być tępy. Chyba że jest pan innego zdania?

Pytania posypały się jedno za drugim. Do dyskusji włączyli się też widzowie z Nowego Arbatu, program się rozkręcił i nabrał rumieńców. Nastii i Tatianie udało się parę razy dowcipnie zażartować i wywołać salwy śmiechu zarówno w studiu, jak i na ulicy. Trzy minuty przed końcem widz z Nowego Arbatu zwał się w śmiertelnym starciu z widzem ze studia, oskarżając go o męski szowinizm i antykonstytucyjne tłumienie indywidualności kobiety.

W tej samej chwili nad głową „feministy” z Arbatu pojawił się transparent z odręcznym napisem:

„SKORO JESTEŚ TAKA MĄDRA, ZGADNIJ, GDZIE SPOTKASZ ŚMIERĆ”.

Prezenter znieruchomiał z otwartymi ustami. Pierwsza oprzytomniała Nastia. Wyrzuciła rękę w górę i zawołała głośno:

– Korzun! Niech pan wezwie milicję! Szybko! Zatrzymajcie go!

Tatiana zeszywniała, po jej ciele rozlewał się martwy chłód. Do kogo zaadresowano te słowa? Do Nastii? Czy do niej, Tatiany? Co to jest: głupi żart czy poważne ostrzeżenie? Miała wrażenie, że ogłuchła ze strachu, bo nie słyszała historycznych krzyków w studiu, mimo że wyraźnie widziała otwierające się usta i gwałtownie gestykułujące ręce.

Małachow wreszcie się ocknął, do końca programu pozostały niecałe dwie minuty, więc spróbował ratować sytuację.

– Szanowni telewidzowie, mamy teraz wyjątkową okazję, by zobaczyć, jak doświadczone funkcjonariuszki milicji, zetknąwszy się z niespodziewanym chuligańskim wybrykiem, właśnie stąd, z naszego studia, będą kierować zatrzymaniem. Proszę o ciszę na sali! Niech wszyscy uczestnicy programu wrócą na swoje miejsca i przestaną hałasować! Dima! Korzun! Co tam się u was dzieje?

Obraz na dużym ekranie kołysał się na boki, widocznie kamera wędrowała wśród tłumu. Tatiana w milczeniu patrzyła na ekran i obojętnie myślała: Doświadczone funkcjonariuszki milicji... Pogubiłam się, wystraszyłam, nie potrafię nawet logicznie myśleć, a co dopiero wydawać polecenia i kimś kierować. Brawo, Nastiu, nie straciłaś twarzy. Czemu oni przeciągają to widowisko? Co chcą osiągnąć? Trzeba przerwać program.

Obraz na dużym ekranie znieruchomiał, widocznie operator zdołał odzyskać swoją kamerę. Pojawiła się twarz Korzuna.

– Udało nam się zatrzymać mężczyznę z transparentem, zaraz operator pokaże go z bliska...

Kamera odjechała w bok i uchwyciła postaci zwalistych mężczyzn, którzy popychali między sobą jak szmacianą lalkę mniej więcej piętnastoletniego chłopaka z pryszczatą twarzą i obłąkanymi oczami. Tatiana zaczęła się dusić ze śmiechu. Była to oznaka nadchodzącej hysterii. Boże, jakiś smarkacz... To oczywiście głupi żart. Dziecięcy wygłup. A ja się przelęknęłam, uwierzyłam. Strach ma jednak wielkie oczy.

Korzun podsunął chłopakowi mikrofon.

– To ty stałeś z transparentem? – zapytał nerwowo.

– Coście się przyczepili? – płaczliwie wyjęczał nastolatek.

Pozostawała minuta, wskazówka sekundnika na tarczy zegara wiszącego w studiu rozpoczęła ostatni obrót.

– To on, widzieliśmy! – rozległy się głosy z tłumu.

– Powiedz, dlaczego to zrobiłeś? – znowu zapytał Korzun. – Po co zrobiłeś ten napis?

- To nie ja...
- Ale to ty go pokazywałeś?
- No... puście...

Chłopak podjął nieskuteczną próbę uwolnienia się, ale od razu dostał po karku od jednego z trzymających go mężczyzn.

- Po co pokazywałeś transparent?
- Ktoś mnie poprosił...
- Kto?

Trzydzieści sekund. Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem. Nagle Tatiana zapragnęła, żeby wskazówka stanęła. Obudziła się w niej profesjonalistka. Sytuacja jest wyjątkowa, prezenter ma rację. Jej osobliwość polega na tym, że chłopak, złapany za rękę na miejscu przestępstwa, musi składać zeznania przed olbrzymim tłumem i przed kamerami, na oczach całego kraju. Czy to wpłynie na mechanizm kłamstwa? Czy smarkacz będzie szedł w zaparte, wymyślając nieprawdopodobne usprawiedliwienie swojego czynu, połączony sławą, która nagle się na niego zwała? Czy może od razu się załamie i powie prawdę?

Dwadzieścia pięć sekund.

- Kto cię poprosił, żebyś pokazał transparent? Kto ci go dał?
- powtórzył pytanie Korzun.
- Jedna baba. To znaczy kobieta...
- Jaka?

- A skąd mam wiedzieć? Puście... Dała mi pieniądze i powiedziała, że bym pokazał transparent, bo ona jest chora i nie rady precyzyjnie się przez tłum.

Dziesięć sekund.

- Drodzy widzowie, czas naszego programu dobiega końca, ale na pewno poinformujemy państwa, jak się skończyła ta historia. Nasze następne spotkanie odbędzie się w sobotę, dwudziestego czwartego października. Oglądajcie nas o tej samej porze. Do zobaczenia.

Duży ekran zgasł, na monitorach pojawiły się napisy końcowe. Widzowie w studiu siedzieli jak skamieniały, nikt nie wstał. Tylko asystenci podbiegli do stołu na scenie, by uwolnić Nastię i Tatianę od mikrofonów.

– Czy to była gra? – zapytała Tatiana. – Prowokacja?

– Ależ skąd! – oburzył się prezenter. – Komu przyszłyby do głowy takie głupie żarty?

– A więc chłopak jest prawdziwy? – doprecyzowała Nastia. – I transparent też?

– Przysięgam, że to nieprzewidziany wypadek. Same panie rozumiecie, telemost, prospekt. Jest tam, oczywiście, ochrona, ale wszystkiego nie da się przewidzieć...

– Ma pan łączność z Korzunem?

– Owszem. Co mu powiedzieć?

– Niech znajdzie jakichś milicjantów, naświetli im sytuację i poprosi o pomoc. Chłopaka należy tutaj przywieźć. Natychmiast. Zrozumiał pan?

Tatiana mówiła twardym głosem. Była rozgniewana, nie mogła sobie wybaczyć nagłego, paraliżującego strachu.

– Dobrze, zrozumiałem, Tatiano Grigorjewna, zaraz się z nim połączę.

Małachow się oddalił, Tatiana i Nastia zostały same. Nikt nie zwracał na nie uwagi, widzowie powoli opuszczali studio, obrzucając bohaterki programu spojrzeniami na poły współczującymi, na poły szyderczymi. Zobaczyli, że się przestraszyła, uznała Tatiana. Wszystkiego się domyślili. Też mi kobieta niezwykłej profesji! Co za wstyd. A zresztą, niech ich diabli.

– Trzymasz się? – zapytała Nastię.

– Z trudem. – Nastia spróbowała się uśmiechnąć, ale wargi jej nie słuchały.

– Przestraszyłaś się?

– No pewnie! Okropnie!

– Ja też – wyznała Tatiana. – To ci paskudny smarkacz! Jak sądzisz, kłamie na temat kobiety?

– Nie wiem... Jest za głupi na taki wybryk. Trzeba go przecież wymyślić. No i ten tekst...

– Co z nim?

– Żadnego błędu. Dzisiaj raczej ze świecą szukać nastolatka, który pisze poprawnie. A tutaj ortografia w porządku, przecinki na swoim miejscu. I charakter pisma, Taniu. Nie należy do chłopaka.

Tatiana kiwnęła głową potakująco. Napis na plakacie został zrobiony odręcznie, czarnym flamastrem na dużym kawałku tektury, oderwanym od jakiegoś kartonu. Pyszczyły młokos, podekscytowany i zachwycony własną bezczelnością, raczej nie zdołałby tak starannie i równo wykaligrafować wszystkich liter.

Małachow wrócił niebawem, twarz miał zatroskaną.

– Połączyłem się z Korzunem. Przyjechali już milicjanci z dzielnicowego komisariatu.

– Zgodnie z regulaminem. – Tatiana się uśmiechnęła. – Przynajmniej w tej kwestii dopisało nam szczęście.

– Okazało się, że oglądali program w dyżurce – wyjaśnił prezenter. – Gdy tylko zaczęło się zamieszanie, od razu pognali na miejsce. Przywiozą tutaj chłopaka. Powołałem się na panią, Tatiano Grigorjewna, powiedziałem, że pani prosiła.

– Czyżby się opierali?

– Chcieli go zabrać do swojego komisariatu.

– Słusznie, zgodnie z procedurą. Chłopak na komisariat, a my z Anastazją Pawłówną do nich w gości. Nie na odwrót.

– Tak, tak, oni też to powtarzali, ale powiedziałem, że jeżeli chłopak będzie się wypierał, to tutaj, w Ostankinie, pokażemy mu nagranie. Na taśmie widać, że to właśnie on trzymał plakat.

– Naprawdę? – zdziwiła się Nastia. – Szczerze mówiąc, widziałam tylko ręce i kawałek tektury, a nie twarz.

– Ja też niczego nie widziałem. – Małachow się roześmiał. – Ale powiedzieć przecież można.

– Jest pan bystry – oszczędnie pochwaliła go Tatiana. – Ma pan pomieszczenie, w którym mogłybyśmy z Anastazją Pawłowną zaczekać, aż przywiozą chłopaka, a później z nim porozmawiać?

– Coś się znajdzie – obiecał. – Proszę za mną.

Piętnaście minut później znaleźli odpowiednie pomieszczenie. Tatiana usiadła w fotelu i wyciągnęła nogi, a Nastia ulokowała się przy stole i przysunęła sobie popielniczkę. Palce, w których trzymała papierosa, drżały i Tatiana, patrząc na nie, znowu pomyślała o swoim strachu.

– Nigdy nie sądziłam, że tak łatwo dam się wyprowadzić z równowagi – powiedziała w zadumie. – Dawniej byłam inna. Widocznie się starzeję.

– Ależ skąd – zaoponowała Nastia łagodnie. – Po prostu masz teraz więcej do stracenia. Dawniej byłaś bezdzietna, więc mogłaś sobie pozwolić na luksus, żeby się nikogo i niczego nie bać. A teraz musisz się bać i o syna, i o siebie, bo dziecko nie powinno dorastać bez matki.

– Jeżeli masz rację, to powinnam odejść z pracy. Nie przypuszczałam, że macierzyństwo uczyni ze mnie osobą nieprzydatną do zawodu – z gorzkim uśmiechem stwierdziła Tatiana.

– Nie mów głupstw, Taniu. Jesteś wspaniałą śledczą, przypomnij sobie, jakich bandziorów przypierałaś do muru. Masz jasny i przenikliwy umysł, jesteś uparta, skrupulatna i...

– Słaba. Nie nadaję się już do tej pracy. Dobrze, że zrozumiałam to dzisiaj, póki jeszcze nic złego się nie stało. Zawsze lepiej odejść w porę.

– No i co?! – niemal krzyknęła Nastia. – No i co takiego dzisiaj się stało? Ktoś cię wystraszył, wpadłaś w panikę. Mnie też wystraszył, ja też się przełękałam. Strach to normalna

reakcja, silni psychicznie ludzie czują strach w określonych sytuacjach. Coś ty sobie uroiła?

Tatiana milczała. Nagle sobie przypomniała, że po programie nie włączyła telefonu komórkowego, który miała w torebce. Mąż dał go jej dzisiaj w drodze wyjątku. Irka pewnie oglądała program i teraz trzęsie się ze strachu, zamartwia się o nią. Stasow prawdopodobnie też. A ona nawet o nich nie pomyślała. Strach całkowicie odebrał jej rozum. O tym właśnie próbuje powiedzieć Nastii. Oto co jest najważniejsze. Wyjęła telefon, włączyła go, uważnie wpatrując się w małe klawisze, żeby się nie pomylić podczas wybierania numeru.

– Strach to rzecz normalna, tutaj masz rację – powiedziała cicho do Nastii. – Ale ty poradziłaś sobie z nim niemal natychmiast. A ja nie. Na tym polega problem. Jeżeli strach działa mobilizująco, to wszystko w porządku. Ale jeżeli uniemożliwia myślenie i paraliżuje umysł, praca na stanowisku śledczej jest wykluczona.

Nastia zgasiała papierosa, podeszła do przyjaciółki, przykucnęła przed nią i pogłaskała jej miękkie, pulchne dłonie z nienagannym manikiurem.

– Nie przesadzasz, Taniu? Minęło zaledwie pół godziny, a ty już całkiem trzeźwo rozumujesz. Chyba sobie z tym poradziłaś, prawda?

Tatiana mocno ścisnęła palce Nastii na znak podziękowania za współczucie.

– Pół godziny to dużo. To katastrofalnie dużo, Nastiu. Śledczy nie mają do tego prawa. Pół minuty to maksimum, na które mogłabym sobie pozwolić. To i tak dużo. Pięć do dziesięciu sekund, nie więcej. Zresztą nie muszę ci tego tłumaczyć, sama doskonale wiesz. Nie mówmy już o tym. Zaraz przywiozą chłopaka. Zastanówmy się, co z nim zrobić.

– Obić mu gębę. – Nastia się roześmiała. – Na nic więcej na razie nie zasłużył, a...

Nie zdążyła dokończyć, bo drzwi otworzyły się szeroko. Pierwszy wszedł Dmitrij Korzun, w ślad za nim pojawił się funkcjonariusz z Okręgu Centralnego, Siergiej Zarubin. Nie dalej jak trzy miesiące temu pracował razem z Nastią nad sprawą zabójstwa ważnej bizneswoman.

– Dzień dobry – powiedział uradowany. – Nie minął nawet rok, Nastiu Pałna[1].

– Cześć, Sieriożyk. – Nastia cmoknęła go w policzek, lekko się przy tym nachylając, bo Zarubin był od niej niższy o dobre pół głowy. – Pewnie przywiozłeś mi chłopaka.

– A jakże. Ale właściwie niepotrzebnie ciągnąłem go do ciebie przez pół Moskwy. Pożytku z niego tyle, co kot napłakał.

– Niby czemu?

– Przez całą drogę się mazgał, jęczał i trząsał portkami. Jest słaby i głupi. Myślał, że łatwo zgarnie sto baksów, ucieszył się, ale gdy go wepchnięto do suki i przykuto do mnie kajdankami, żeby przypadkiem nie uciekł, no i powieziono nie wiadomo dokąd, to zaczął śpiewać baranim głosem. Ze strachu nie może przypomnieć sobie własnego imienia, a co dopiero kobiety, która rzekomo dała mu plakat i pieniądze. Jeszcze ze dwie godziny trzeba go będzie cucić.

– Ocucimy. Sierioża, poznaj starszą śledczą Tatianę Grigorjewnę Obrazcową.

Tatiana słuchała ich rozmowy, nie wstając z fotela. Nie dlatego, że była nieuprzejma czy wyniosła. Naprawdę chciała wstać. Ale nie dała rady. Nogi jej nie słuchały, w głowie się kręciło. Tak, nie ma żadnej wątpliwości, musi odejść, póki nie jest za późno. Nie nadaje się już do tej pracy...

– Taniu, to Siergiej Zarubin. Dobry wywiadowca, jeżeli interesuje cię moje zdanie.

Tatiana niemal nadludzkim wysiłkiem poderwała się z fotela, usiłując się nie zatoczyć wskutek silnego zawrotu głowy, i wyciągnęła rękę do Zarubina.

– Bardzo mi miło. No to zaczynajmy. Niech pan przyprowadzi tego łobuza.

Cokolwiek postanowi, zawsze należy doprowadzać do końca wszystkie sprawy. Sama kazała przywieźć tutaj chłopaka. Nie może stracić twarzy. W końcu jest jeszcze śledczą. Na razie...

[1] Nieformalny skrót patronimiku „Pawłowna” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 2

KAMIENSKA

– A więc próba zostania gwiazdą telewizji zakończyła się fiaskiem – skonstatował posępnie Czistiakow, otwierając jej drzwi. – Dowiedzieliście się, co to za gierki?

– I tak, i nie. – Nastia westchnęła. – Jak dasz mi jeść, to ci powiem.

Ale zaczęła opowiadać, nie czekając na kolację. Potrzebowała trzeźwego spojrzenia na sytuację, niezmaconego nagłym strachem oraz późniejszym gniewem i nienawiścią do smarkacza, który zapragnął zarobić sto dolarów w ciągu trzech minut.

Smarkacz, który się nazywał tak jak bohater opowiadania Czechowa – Wania Żukow, opowiedział mało wiarygodną historyjkę, ale żadne inne prawdopodobne wyjaśnienia nie przychodziły do głowy. Chłopak spacerował Nowym Arbatem, a mówiąc bez ogródek, szwendał się bez celu, zabijając czas. Sobota, w szkole nie ma zajęć, a lekcje można odrobić jutro. O dziwo, Wania Żukow był pilnym uczniem i nie miał kłopotów w nauce, tak w każdym razie twierdzili jego rodzice. No więc przeszedł się trochę, zjadł loda, później uraczył się butelką piwa i skonsumował hamburgera na świeżym powietrzu w chłodnym październikowym słońcu, a tu raptem podchodzi do niego jakaś kobieta w nieokreślonym wieku i o niekreślonym wyglądzie. I proponuje sto baksów za nic. Widzisz o-o-o tamten tłum? To telewizja. Trzeba wziąć ten kawałek kartonu, przecisnąć się w poblize kamer i unieść go nad głową, żeby wszyscy widzowie przed telewizorami go zobaczyli. I po robocie.

Wyobrażacie sobie, co dla piętnastoletniego chłopaka znaczy sto dolarów? Według obecnego kursu to miesięczne

wynagrodzenie Nastii. Półtora tysiąca, jeśli liczyć w rublach. Ona, podpułkownik milicji z wyższym wykształceniem i szesnastoletnim stażem, starszy oficer, dostaje tyle za miesiąc pracy, która, nawiasem mówiąc, łączy się z dużym ryzykiem. A tutaj pięć minut i żadnego ryzyka. To oczywiste, że Wania się zgodził. Każdy chłopak w Moskwie, a nawet w całej Rosji, zrobiłby to samo na jego miejscu. Na plakacie jest groźny napis? Ale to przecież tylko słowa, nie chodzi o podłożenie ładunku wybuchowego na dworcu. Ludzie mówią i piszą różne rzeczy. A sto dolarów – oto one, w palcach kobiety, szeleszczą na wietrze, można ich dotknąć, można je wziąć i włożyć do swojej kieszeni.

– Dlaczego powiedziałaś, że kobieta była w nieokreślonym wieku i o nieokreślonym wyglądzie? – zapytał czujnie Aleksiej.

– Bo nasz Wania jest jeszcze za młody, żeby trafnie określić wiek kobiety. Wnioskując z tego, jak opisał jej ubranie, jego zleceniodawczyni nie należy do osób zamożnych, jest brudna i obszarpana. Z użębieniem też niewesoło, są duże braki. A skoro tak, to najprawdopodobniej jest pijaczką albo bezdomną nędzarką. Taka kobieta nawet w wieku dwudziestu ośmiu lat może wyglądać na pięćdziesiąt – wyjaśniła Nastia.

– Skąd więc miała sto dolarów? – zdumiał się Losza.

– Ano miała. Albo Wańka, skończony drań, wszystko wymyślił, albo to nie jej pieniądze, ona jest tylko ogniwem pośrednim. Za plakatem stoi ktoś trzeci. I to właśnie najbardziej mnie niepokoi. Lepiej, gdyby się okazało, że Żukow kłamie. Wyobraź sobie, Losza, że on naprawdę miał w kieszeni sto dolarów. Skąd je wziął? Rodzice zapewniają, że syn nigdy nie miał takich pieniędzy. Dawali mu, oczywiście, kieszonkowe, ale nie tyle. Skoro nie było żadnej kobiety, to trzeba się dowiedzieć, skąd chłopak ma pieniądze. Zdaje się, że jestem pozbawiona kręgosłupa moralnego, Losza, ale niech się okaże, że on je ukradł albo wygrał na loterii, albo dostał za jakąś szemraną przysługę. Wtedy zyskam pewność, że nie było

żadnej kobiety, i zasnę spokojnie. Bo jeśli kobieta była i dała Wańce sto dolarów, to znaczy, że tamten trzeci to ktoś poważny. Sto baksów dla chłopaka, jeszcze ileś tam dla kobiety za pośrednictwo, po co to wszystko? Żeby nastraszyć dwie pracujące w milicji kobiety. Zwyczajnie nastraszyć. Zażartować, by tak rzec. W żadnym wypadku niewarta skórka wyprawki. A wnioski, które z tego płyną, w ogóle mnie nie bawią.

– Dobrze, przeanalizujmy je. – Aleksiej ochoczo kiwnął głową. – Po pierwsze: ten żartowniś to zwariowany milioner. Lubi stroić żarty, ale jego czarny humor nie pociąga za sobą groźnych skutków. Facet ma kupę forsy i się z nią nie liczy. Taki wniosek jest ci na rękę?

– Owszem – przyznała Nastia. – Mogę dokładkę?

– Pewnie.

Nastia nałożyła sobie kolejną porcję kalafiora. Przez chwilę się zawahała, wpatrując się w samotny kotlet na patelni, później starannie odkroiła widelcem połowę i natychmiast wsunęła sobie do ust.

– Jestem lojalna – wyjaśniła, siadając na swoim miejscu. – I uczciwa, bo przecież mogłam zjeść cały kotlet za twoimi plecami.

Czistiakow uśmiechnął się, wyciągnął ręką w stronę kuchenki, zdjął patelnię i nałożył żonie na talerz resztę kotleta.

– Jedz, moja ty uczciwa żono, w lodówce jest pełna miska farszu, mogę jeszcze usmażyć. Drugi wniosek nie budzi żadnych wątpliwości. Skórka jest najwyraźniej warta o wiele więcej, niż ty i Tatiana przypuszczacie. Masz trzeci wniosek?

– Nie. Drugi wniosek rodzi pytania: która z nas, Tania czy ja, jest ową skórką?

– A jakbyś wolała?

Nastia westchnęła. Jakby wolała? Wolałaby, żeby wszystko okazało się żartem szalonego idioty milionera. Ale jeśli tak nie

jest... Kogo on tak naprawdę chciał przestraszyć?

W milczeniu zmyła naczynia, przysunęła krzesło do okna i usiadła, opierając się łokciami o parapet. Zrobiło się całkiem ciemno. Na ulicy panuje głucha noc i nic nie przypomina, że to sobotni wieczór, nawet samochodów jest dziwnie mało. Można odnieść wrażenie, że Moskwa zamarła, wstrzymała oddech i czeka na coś ze strachem. Nic w tym zresztą szczególnego, w obecnej sytuacji nie wiadomo, co się wydarzy nie tylko jutro, ale też za godzinę. Włączając telewizor, nikt dzisiaj nie może być pewien, że nie usłyszy jakiejś strasznej wiadomości, na przykład o zakazie obrotu dewizami albo o podniesienia kursu dolara do nowej, niebotycznej wysokości. Albo o jakimś nieszczęściu, które spotkało prezydenta. Podobno z jego zdrowiem ostatnio nie najlepiej. Jeżeli ogłoszone zostaną wybory nowego prezydenta, to zacznie się takie zamieszanie, że nikt nawet nie pomyśli o nieszczęsnej ekonomii. Co znaczy jakiś kryzys w sytuacji, gdy trzeba przejąć władzę? A ludzie muszą egzystować, spinać swój skromny budżet, by przeżyć do wypłaty, muszą podejmować ważne decyzje. Jak mają je jednak podejmować, skoro nie wiadomo, co się wydarzy za godzinę? Wszyscy się przyczaili, pochowali do swoich nerek i czekają.

Ona, Nastia Kamińska, też czeka. Bo na razie nie potrafi odgadnąć, gdzie spotka ją śmierć.

PIERWSZA OFIARA

To dopiero oszołom! Kompletny oszołom, a nie facet. No i czego on ode mnie chce? Owszem, ofiarował mi pieniądze, dzięki mu za to. Chociaż lubię sobie dziabnąć, nie jestem jednak nałogową alkoholiczką i nie przepiłam jeszcze rozumu, więc wiem, że nie dał mi zarobić, ale zwyczajnie podarował te pieniądze. A raczej grubą forszę! No bo co to niby za praca?

Znaleźć smarkacza i wsunąć mu sto zielonych razem z kawałkiem tektury. Mogłabym to robić tysiąc razy dziennie za samą szklankę wódki, tymczasem on odpalił mi tyle, że mózg staje. Mówię przecież, że to oszołom.

Żeby jeszcze podarował tylko dolary. Mało to ludzie mają dziwactw? Gdy pracowałam na kolei, był tam jeden taki, też oszołom. To znaczy psychiczny. Jak dostawał napadu, to za wszystko, co miał, kupował wódkę i rozdawał ją za darmo. „Masz – mówił – Michałna^[2], wypij za moje zdrowie”. I wtykał mi całą butelkę. Zresztą nie tylko mnie. Ile butelek kupił, tylu znajomych uszczęśliwiał, sobie nic nie zostawiał. Był niepijący, dacie wiarę? Nie brał alkoholu do ust, dosłownie ani grama, a nam kupował. Bywają tacy pomyleńcy...

Ale ten oszołom chyba naprawdę jest niespełna rozumu. Znalazłam smarkacza, skaptowałam go do zadania, wróciłam i mówię, że tak i tak, twoje zlecenie, dobry człowieku, zostało wykonane. A on mnie łaps pod rękę, jak wielką damę, i ciągnie zaułkami w stronę Starego Arbatu. „Musimy pogadać, Michałna – mówi. – Pociesz moje zbolełe, pogrążone w bezbrzeżnym smutku serce. Zjedz ze mną dzisiaj kolację. Wiedz jednak, że jestem przyzwoitym człowiekiem, nie nawykłem wycierać się po klatkach schodowych, bramach czy dworcach, jadam wyłącznie smaczne posiłki w komfortowych warunkach. I dlatego, Michałna, biegnij się umyć. Zaraz, a może jesteś bezdomna?”. Aż mnie zatkało ze złości. Ja bezdomna? Nie jestem kloszardką bez dachu nad głową, mam własne jednopokojowe mieszkanie. A w nim nawet łazienkę z gorącą wodą. Z mydłem, co prawda, nie jest za ciekawie...

Mężczyzna jakby czytał w moich myślach, uśmiechnął się pod nosem i mówi: „Nie gniewaj się, Michałna, zapytałem bez zastanowienia, język mnie zaświerzbil. Masz tutaj pieniądze, kup sobie normalne mydło i wyszoruj się dokładnie, tak żeby ci skóra błyszczała. Jak się umyjesz, wróć tutaj, ja tymczasem kupię ci ubranie, bo w tych łachach nie możesz usiąść ze mną

przy stole. Patrząc na ciebie, niczego nie przełknę i dostanę mdłości”. Już miałam ponownie się obrazić. Czemu on się czepia mojego ubrania? Noszę je już piąty rok i chociaż go w ogóle nie zdejmuję, nic się z nim nie dzieje. Chwilę później doszłam jednak do wniosku, że nie pora na pokazywanie urażonej dumy, bo facet jeszcze się rozmyśli w kwestii kolacji. Niech kupi nowe ubranie, włożę je ten jeden raz, a jutro opchnę i będę miała za co tankować. Ojej, co ja plotę? Teraz mam przecież kupę forsy, przez rok jej nie przepiję, zwłaszcza że nie jestem jakąś tam zwyczajną moczygębą czy nałogową alkoholiczką, piję tylko dla kurażu i poprawy nastroju.

Może ten i ów uważa mnie za głupią, ja jednak mam głowę na karku. „Kup mi ubranie teraz, dobry człowieku – mówię. – Wezmę je ze sobą, umyję się i od razu się przebiorę. Po co mam wkładać stare szmaty na czyste ciało? Poza tym tutaj nie ma gdzie się przebrać, chyba tylko w płatnym kiblu, ale tam jest brudno”. Mówię do niego i myślę: skoro jesteś oszołomem, nie mogę ci wierzyć. Pobiegnę do domu jak posłuszna owieczka, żeby się umyć, wrócę, a po tobie ani śladu. Po co w takim razie, moi kochani, wysilałam się, marnowałam wodę, uchodziłam sobie nogi, kręcąc się tam i z powrotem? Co to, to nie, wykładaj forszę na nowe ciuchy, skoro cię przypiliło, wezmę je ze sobą. A jeśli się ulotnisz, zostaną mi przynajmniej one. Jak to się mówi, głupi też ma swój rozum. Nie oszukasz mnie, nie wystrychniesz na dudka.

On też chyba nie jest ciemę bity. I nie wydaje się chciwy. „Dobrze, Michałna – mówi. – Pójdę do sklepu, kupię ci coś porządnego, wrócisz w nowym ubraniu. Tylko nie idź razem ze mną, bo ekspedientki pochowają się ze strachu pod lady. Jakoś sobie poradzę, wybiorę coś na oko”. Znowu chciałam się obrazić, ale machnęłam ręką. Czego się spodziewać po oszołomie?

Jak powiedział, tak zrobił. Ruszył do sklepu, wrócił po jakichś trzydziestu minutach z dużymi torbami. Gdy na niego

czekałam, rozejrzałam się po okolicy, znalazłam parę butelek i schowałam do worka. Przydadzą się. Wieńka Brityj też tam krążył, wypytywał o wieczór, mówił, że Tamarka ma dzisiaj urodziny i funduje. Na wszelki wypadek powiedziałam, że wpadnę. Bo jeszcze, nie daj Boże, pochwalę się kolacją z oszołomem, a ten mnie wystawi do wiatru. Z głodu, rzecz jasna, nie zdechnę, ale lepiej załapać się na poczęstunek u Tamarki. Chociaż co tam może być u niej do jedzenia, sama ledwo wiąże koniec z końcem, wystarcza jej tylko na alkohol, więc pewno postawi najwyżej pół szklanki. Ale i tym nie pogardzę.

Chwyciłam więc torbę, niemal wydarłam ją z rąk oszołoma i ruszyłam biegiem do domu. Mieszkam na szczęście niedaleko, w zaułku Małj Własjewskij. Wpadłam do siebie, rozpakowałam zakupy i dalej oglądać ciuchy. Ta-a-ak, muszę wam powiedzieć, że tego akurat się nie spodziewałam. Można by pomyśleć, że facet zamierza mnie zabrać do restauracji dla dewizowców. Oszołom to jednak oszołom. Wyobraźcie sobie, że kupił nawet majtki i biustonosz. Nieźle, co? I rajstopy. Nawet nie obejrzałam wszystkiego jak należy, bo wystarczył mi jeden rzut oka, żeby się domyślić, jaki facet ma... W gazetach często o tym piszą... Jak to się mówi? O, już wiem! Poziom ambicji. Dziwicie się, że czytam gazety? Zbieram je przecież, gdy ktoś wyrzuci, i wyściełam nimi podłogę, kładę na skrzynię albo na stół, żeby postawić szklankę. Łyknie sobie człowiek i patrzy przed siebie, czeka, aż organizm przyjmie dawkę i jakoś zareaguje. A przed nosem ma artykuły prasowe. Więc mimo woli ślepi się w tekst.

Poszłam więc do łazienki, wzięłam ze sobą mydło i szampon, które też były w torbie. Namydliłam się ku własnej radości. Trzeba przyznać, że człowiek czuje się lepiej, gdy jest czysty. Włosy wyłażą mi garściami, łachmany rozłażą się w rękach. Kiedy myłam ostatnio głowę? Chyba miesiąc temu, a może jeszcze dawniej. Tylko nie myślcie, że jestem fleją. Specjalnie

myję głowę rzadko, bo podczas mycia włosy wychodzą jeszcze bardziej. Ale jeśli ich nie ruszać, a nawet nie rozczesywać, jakoś się trzymają.

Wysłałam z łazienki i zaczęłam wkładać nowe ciuchy. Niby wszystko pasuje, nawet bielizna. Szkoda, że nie mogę się przejrzeć w lustrze. Dlaczego? Bo się rozbiło. Wieńka Brityj stłukł je w ubiegłym roku. Upił się, drań, rzucił do bitki z gachem Tamarki, no i strącili lustro. Na nowe żał mi pieniędzy. Gdy się pojawi niespodziewana kopiejka, lepiej ją przepić... To znaczy, chciałam powiedzieć, kupić coś na rozgrzewkę, zaprosić przyjaciół i posiedzieć w miłym towarzystwie. Tylko sobie nie myślcie, że jestem pospolitą pijaczką. Mogłabym jeszcze popracować, ale po co? Emeryturę naliczono mi zgodnie z przepisami, a to, że nie jestem jeszcze stara, nie ma nic do rzeczy, od osiemnastego roku życia pracowałam w szkodliwych warunkach. Może trochę przesadzam z tymi szkodliwymi warunkami, ale jeśli się zastanowić, praca w zespole teatralnym jest na pewno szkodliwa. Przez całe dni próby, wieczorami przedstawienia i bez przerwy o pustym żołądku. Primabaleriny mają znacznie lepiej, występują najwyżej raz w tygodniu, a my, tancerki baletowe, musimy harować codziennie. Primabalerin jest dużo, a zespół tylko jeden. Tancerki przechodzą na emeryturę w wieku trzydziestu trzech lat, więc należą mi się jeszcze podziękowania, że do trzydziestego piątego roku życia biegałam po scenie. Emeryturę mam wprawdzie niewielką, ale w pełni zasłużoną: kosztowała mnie mnóstwo potu i krwi. W dodatku zaraz po odejściu z baletu zatrudniłam się na kolei jako dyspozytorka. Byłam śliczna jak malowanie, faceci nie odrywali ode mnie wzroku. Filigranowa, zgrabna, poruszałam się lekko, na paluszkach. Zalecał się wtedy do mnie jeden ważny naczelnik z Zarządu Kolei, to on dał mi posadę dyspozytorki. „Pragnę – mówił – mieć cię, Nadienka, bliżej siebie, żeby droga z mojego gabinetu do twojej dyżurki

zajmowała dziesięć minut”. Przeniósł mnie więc na Dworzec Kazański, rzut kamieniem od Zarządu Kolei na ulicy Krasnoprudnej. Wiązałam z tą znajomością wielkie nadzieje, miałam już przecież trzydzieści pięć lat, żadnego zawodu z wyjątkiem tańca, wykształcenie, jak się domyślicie, też niezbyt solidne, a pragnęłam założyć rodzinę, no i żeby przy tym nie biedować, żyć przyzwoicie i niczego sobie nie odmawiać. O tym, że facet mnie oszukał, nie muszę mówić, to oczywiste. Bardzo mi zależało, żeby wyjść za mąż, póki nie jest za późno, i urodzić dziecko! A on wciąż mnie zapraszał na „śniadania”, obiecywał, że lada dzień się rozwiedzie, ja zaś mu wierzyłam. Czym to się skończyło? Naczelnik lubił sobie popić, i to nie sam, ale koniecznie w towarzystwie. Więc mu towarzyszyłam. Zaczynał tankować już rano i nie przestawał aż do północy, a żonie wciskał kit, że ma dużo pracy, że wykończyły go zebrania i narady. Piłam razem z nim, chciałam się podobać. Jak wtedy kombinowałam? Lepiej niech facet pije ze mną, bo jeśli odmówię, znajdzie sobie inne towarzystwo, no a jaką mam gwarancję, że nie będzie w nim ładnej kobiety do wzięcia? Nie mam takiej gwarancji, nikt mi jej nie da. Dlatego mój wybór był prosty jak rachunki w pierwszej klasie: albo go puszczę, żeby pił z innymi, albo będę chlać razem z nim. Tutaj muszę się do czegoś przyznać: gdy naczelnik sobie wypił, prawił mi czułe słówka, a ja mogłam ich słuchać na okrągło. Że jestem najlepsza na świecie, najpiękniejsza, najukochańsza, że na pewno się ze mną ożeni, gdy tylko jego dzieci trochę podrosną, bo nie potrafi wytrzymać beze mnie ani dnia, ani minuty. Jego słowa były jak balsam na moją duszę, więc nie oponowałam, gdy pił. Ale sama też nie wylewałam za kołnierz... Po tym śmierdzącym draniu spływało to jak woda po kacze, tymczasem ja szybko się wciągnęłam. Podobno kobiety są słabsze w tych sprawach od facetów. Przyklejono mi łatkę alkoholicki i wywalono z pracy. Wtedy skończyła się nasza miłość. Tak właśnie mi powiedział, tłusty

wieprz: „Taki ważny naczelnik jak ja – mówi – nie może mieć żony alkoholiczki”. Jaka ze mnie alkoholiczka, sami powiedzcie? Jaka alkoholiczka? Alkoholicy to ludzie, którzy chodzą nieprzytomni i gotowi są sprzedać własną matkę za pół szklanki wódki. Tymczasem ja jestem świadoma tego, co robię. No dobrze, zostawmy te wspominki.

Włożyłam nowe rzeczy i na samym dniu jednej z toreb zauważyłam jakieś zawiniątko. W środku była peruka. Najprawdziwsza. Najpierw wybuchnęłam śmiechem, a później doszłam do wniosku, że oszołom pewnie zauważył, w jakim stanie są moje włosy. Ma rację, do takich ciuchów potrzebna jest ładna fryzura, a moje kosmyki do niczego się już nie nadają. Tak, szkoda, że nie mam lustra! Teraz by się przydało! Wyjęłam puderniczkę, przypudrowałam sobie twarz, próbując jednocześnie dojrzeć coś w małym lusterku umieszczonym od wewnątrz. Dużo, ma się rozumieć, nie zobaczyłam, ale przynajmniej udało mi się pomalować. Na rzęsy nałożyłam grubą warstwę tuszu.

Ogarnął mnie niejasny niepokój, jakbym była kimś innym, nie sobą. Jakby moja dusza przeniosła się do innego ciała. Skóra obca, ubranie nieznanne, na głowie peruka. Łyknęłam szklankę wódki, w szafie stała butelka, i poszłam z powrotem tam, gdzie oszołom wyznaczył mi spotkanie. Po drodze stawałam przed wszystkimi oknami sklepowymi, chciałam się przejrzeć. Szczegółów nie udało mi się, oczywiście, wypatrzyć, ale ogólny widok napełnił mnie radością. Ciało jakby przypomniało sobie dawny sposób poruszania się. Szczerze mówiąc, w oknie sklepowym odbijał się ktoś inny. To nie byłam ja. A może ja? Niech diabli porwą tych oszołomów, potrafią nieźle namieszać w głowie.

Idę w stronę zaułków Nikołopieskowskich i myślę ze strachem: a może facet mnie oszukał, może się ulotnił i nie wróci? W tej samej chwili zapragnęłam znaleźć się w porządnej restauracji i poczuć się jak inne kobiety: żeby

kawaler zaprowadził mnie do stolika i podsunął krzesło, żeby wokół snuli się kelnerzy i grała muzyka, żeby goście byli wystrojeni i nie przypominali Wieńki Britego ani Tamarki. A może oszołom dostrzegł we mnie dawną piękność? W końcu nie jestem stara, mam dopiero czterdzieści dwa lata. Zdarzają się przecież przypadki, kiedy nieszczęsne, pechowe kobiety, podobne do mnie, spotykają normalnych, bogatych facetów. Los daje szansę każdemu, ale nie każdy potrafi ją dostrzec i wykorzystać. Kiedyś uznałam, że moja szansa to naczelnik kolei, ale może wcale tak nie było? Może moja szansa to ten oszołom z kieszeniami pełnymi dolarów? To znaczy, że los słusznie rozdzielił mnie z naczelnikiem, wprowadził za cenę zwolnienia z pracy, wstydu i łez, ale rozdzielił, przeznaczył dla oszołoma. Bo przecież gdybym dopięła swego i wyszła za tamtego wieprza, dzisiaj nie spotkałabym oszołoma. A więc to tak!

Zbliżam się do wyznaczonego miejsca i widzę mojego oszołoma. Stoi, kochaniutki, o czymś rozmyśla, nie rozgląda się na boki. Zobaczył mnie i mówi:

– Brawo, Michałna, wyglądasz świetnie. Jedziemy.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. W pierwszej chwili się zmieszałam, ale pobiegłam za nim. Facet idzie, nie odwraca się, jakby o mnie zapomniał. Idzie tak szybko, że ledwo za nim nadążam. A niech to, okazuje się, że jest samochodem! Ależ mam dzisiaj farta! Pojadę sobie gablota do restauracji. Jak normalna kobieta.

No i jedziemy. On za kierownicą, ja obok. Milczy przez całą drogę. Już zaczęłam się niepokoić. Miasto się skończyło, minęliśmy obwodnicę Kolcewaja, a on pędzi gdzieś dalej. Nie szkodzi, myślę, za miastem też są restauracje, nawet szykowniejsze niż w Moskwie. Co prawda, Wieńka mówił, że w takich lokalach przeważnie zabawia się mafia i że to nie miejsce dla zwyczajnych śmiertelników, bo zdarzają się tam też strzelaniny i dochodzi do różnych porachunków. Z tego

wniosek, że mój oszołom to mafioso? Koń by się uśmieł. Zresztą co za różnica, byleby się okazał dobrym człowiekiem.

Oszołom zatrzymał się wcale nie koło restauracji. Jakies domki letniskowe, wokół ciemno, choć oko wykol. Nie ma latarni. No pięknie, myślę, wpadłaś jak śliwka w kompot, Nadieżdo Michałna. Teraz facet zaprowadzi cię gdzieś i... Od razu uśmiechnęłam się w duchu. Czego mam się bać? Nie jestem przecież niewinną panienką, która nigdy nie widziała gołego faceta. Wielkie mi rzeczy, czego tu się bać?

Oszołom zamknął samochód i w milczeniu zaprowadził mnie do domu. Otworzył kluczem drzwi, zapalił światło. Wnętrze niczego sobie. Bywałam w takich, gdy tańczyłam w balecie. Panowała wtedy moda, żeby przywozić grupę baletnic do domków letniskowych. Tam właśnie radzieccy i komsomolsko-partyjni bonzowie odprężali się i rozładowywali stres po wytężonej pracy związanej z kierowaniem naszym krajem i wielkim radzieckim narodem. Nie była to sama wierchuszka, rzecz jasna, raczej łajdacy średniego kalibru. Tamte domki nie równają się z dzisiejszymi. To nie drewniana chatka na sześciu arach, ale solidny, piętrowy dom z olbrzymią werandą i sześcioma albo siedmioma pokojami, położony na co najmniej hektarowej działce. Kiedyś w telewizji szedł film zatytułowany *Spaleni słońcem*, akcja działa się po rewolucji na lotnisku pewnego czerwonego dowódcy. No więc tamten filmowy dom jest kubek w kubek taki jak ten tutaj. Właśnie do takich domów wożono nas po przedstawieniach, dzisiaj znowu się w nim znalazłam. Może to naprawdę ręka losu?

Oszołom zrzucił kurtkę i powiedział:

– Rozgość się, Michałna, zaraz nakryję do stołu i zjemy kolację.

Chyba miałam przestraszoną minę, bo popatrzył na mnie uważnie i odchrząknął, ale nic nie powiedział. No cóż, a więc domek letniskowy... Nie restauracja. Szkoda. A już się rozmarzyłam...

I znowu przez głowę przeleciała mi niespokojna myśl, aż się wzdrygnęłam, jakby poraził mnie prąd. Skoro nie jemy kolacji w restauracji, ale na letnisku, po co ta maskarada? Po co, pytam się, te wszystkie ciuchy, pucowanie się i staranna fryzura? No dobrze, mycie jeszcze rozumiem, oszołom wspominał przecież, że może go zemdlić w mojej obecności. Ale po co strojenie się? Gdy ludzie siedzą przy stole, zapach wpływa oczywiście na apetyt, wygląd zewnętrzny nie ma jednak nic do rzeczy. Po chwili ochłonęłam, bo przypomniałam sobie, z kim mam do czynienia. Z oszołomem. Facet kieruje się swoją prawdą, a ja wciąż próbuję mierzyć jego postępkę swoją miarą. On przecież też nie przyjechał jak oberwaniec, ale w porządnym garniturze. Z uwagi na mizerną emeryturę jestem trochę w tyle za trendami w modzie, ale gdy spaceruję po arbackich zaułkach, oglądam okna wystawowe. Teraz jest tam sporo drogich sklepów, mają nawet specjalną zagraniczną nazwę. Butiki. Co oznaczają te butiki-wabiki, nie wiem, ale ciuchy są tam ładne. Najbardziej przykre jest to, że pasują tylko na mnie. Weźmy na przykład suknie na przyjęcia. Dla młodych, szczupłutkich dziewcząt są zbyt poważne, w tym wieku nie chodzi się jeszcze na przyjęcia, no a ile widzieliście kobiet w średnim wieku, które noszą rozmiar czterdziesty drugi? W dodatku niewysokich. Takich jak ja dzisiaj ze świecą szukać, dlatego suknie wiszą na wystawach i nikt ich nie kupuje. A ja patrzę na nie każdego dnia i cieszę się, że nie znalazła się jeszcze kobieta z moją figurą. Są trzynastoletnie dziewczynki, ale kobiet nie ma.

Znowu odbiegłam od tematu. Mśli gdzieś uciekły... W oknach wystawowych wiszą też męskie garnitury, dlatego mam jakie takie wyobrażenie. Oszołom jest dobrze ubrany, drogo i gustownie. Podczas gdy rozmyślałam o garderobie, on nakrył do stołu. Ustawił talerze i pucharki, sztucznie umieścił na serwetkach, przyniósł jedzenie z kuchni. Wyszło nie gorzej niż w restauracji.

Otworzył butelkę wódki, nalał mi, a sobie kapnął wody mineralnej.

– Pij, Michałna – mówi – na mnie nie zwracaj uwagi. Prowadzę samochód, muszę cię jeszcze odwiedzić na Arbat, a potem wrócić do domu. Nie chcę ryzykować, gliniarze z drogówki dzisiaj całkiem zbeczelnieli, dolar idzie w górę, a ich pensje stoją w miejscu, więc odbijają sobie straty na posterunku, i to w trójnasób. Rozumiesz?

Wychyliłam szklaneczkę, przekąsiłam trochę. I nagle pomyślałam, że nawet nie wiem, jak on ma na imię. Facet zwraca się do mnie, używając patronimiku, a ja jak mam do niego mówić? Obywatelu Oszołomie? Czy może: towarzyszu? A niech go licho porwie, mogę się zwracać w sposób nieokreślony.

Pokrzepiłam się jeszcze wódką i poweselałam. Znudziła mi się zabawa w milczenie. A zresztą co to za przyjęcie, na którym goście jedzą i piją, ale nie rozmawiają? To niedozwolone.

– Słuchaj – mówię – po co mnie tutaj przywiozłeś?

Oszołom zerknął na mnie badawczo i się uśmiechnął.

– A jak sądzisz?

Tego nie lubię. A nawet nie znoszę. Rozmowa to rozmowa, jeden pyta, drugi odpowiada albo snuje jakąś historię. W naszym teatrze pracował asystent reżysera, który też tak robił: jak go ktoś o coś zapytał, mówił: „A jak pani sądzi? Przecież powinna pani mieć własne zdanie”. Zamęczył nas tym gadaniem. Gdy go sobie przypominałam, od razu się rozżłościłam.

– Nic nie sądzę – mówię, w dodatku niegrzecznie i ostro. – Gdyby było inaczej, tobym cię nie pytała.

A w środku się gotuję, mam ochotę wrzasnąć na niego, i to z całej siły. Zaraz chyba wybuchnę, myślę. No i dobrze.

– Zwróciłeś się do mnie z prośbą. Powiedziałeś, że jesteś samotny i nieszczęśliwy. Mówiłeś tak czy nie?

- Mówiłem - przyznał oszołom spokojnie i znowu się uśmiechnął.

- Zrobiło mi się przykro, że jesteś samotny i nieszczęśliwy. Poszłam ci, można by rzec, na rękę, odłożyłam na bok wszystkie swoje sprawy, przebrałam się w twoje ciuchy, który w ogóle mi się nie podobają i ani trochę do mnie nie pasują. W porządku, zrobiłam, o co prosiłeś, bo jestem dobra i litościwa. Przywiozłeś mnie diabli wiedzą gdzie, trzymasz tutaj, milczysz, nie chcesz rozmawiać. No i gdzie twoja samotność? Skoro się na nią uskarżasz, powinieneś gadać teraz jak najęty, opowiadać mi o swoim życiu, narzekać, szukać współczucia. Potrzebujesz towarzysza. Tak właśnie myślałam, gdy tutaj jechałam. Ale ty milczysz. Więc po jaką cholere marnuję czas? Czy on jest nieodpłatny? Służbowy? Mogłabym go spędzić sto razy ciekawiej...

Plotę te wszystkie bzdury i sama zaczynam w nie wierzyć. Jeszcze w szkole choreografii uczono nas, że każdy artysta powinien być gawędziarzem i wymyślać takie historie, w które sam uwierzy. Tylko wtedy przekona widza. Z tym akurat nie miałam problemu. Potrafię wymyślić dowolną bajeczkę i już dwie minuty później płaczę jak bóbr i wierzę, że wszystko, o czym opowiadam, naprawdę się wydarzyło. Dzięki tej umiejętności łatwo udawało mi się wyżebrać pieniądze. Nie tylko obcy, ale i znajomi się na to łapali. Właściwie dlaczego nie poszłam na urodziny Tamarki? Z powodu tego oszołoma. Zrobiło mi się go żal. A mogłam siedzieć teraz w sympatycznym towarzystwie, Wieńka Brityj opowiadałby anegdoty, Tamarka śpiewałaby piosenki i prowokowałaby swojego gacha, macałaby go po rozporcu, Kałosza opowiadałby różne historie z dawnego życia - kiedyś był kierowcą, woził ważnych naczelników, więc się napatrzył i nasłuchał wielu ciekawych rzeczy. U Tamarki nie ma, oczywiście, takiego jedzenia jak tutaj, ale na co mi ono? Przez całe życie odmawiałam go sobie, dbałam o figurę,

a w ostatnich latach, odkąd przeszłam na emeryturę, tym bardziej, za te żałosne ruble nie zabaluję. Tamarka ma za to tyle wódki, że starczy dla wszystkich, krewni zawsze podrzucają jej pieniądze na urodziny. Więc po co tutaj siedzę?

Oszołam jakby czytał w moich myślach, bo rzekł:

– W takim razie po co tutaj siedzisz? Dobrze, zaprosiłem cię na kolację, miałem swoje powody. Ale przecież mogłaś odmówić. Powiedzieć, że masz inne sprawy, że musisz złożyć przyjaciółce życzenia urodzinowe. Ale ty tego nie powiedziałaś. Zgodziłaś się i pojechałaś ze mną. No więc pytam cię, dlaczego się zgodziłaś. Po co przyjechałaś, skoro jesteś taka zajęta?

– Przecież mówię: żal mi się ciebie zrobiło, jestem miłosierna i łatwo się wzruszam. Rozczuliłeś mnie, a teraz zadajesz pytania. Myślisz, że skoro jesteś bogaty, to możesz poniżać innych? Myślisz, że skoro kupiłeś mi nowe rzeczy, możesz mnie teraz traktować jak szmatę? O nie! My, biedacy, też mamy swoją godność!

Znowu mnie poniosło, i to na całego. Krzyczę i wierzę w każde słowo. Oszołam mnie wysłuchał, ani razu nie przerwał. Jadł i słuchał. Chyba nawet nie wpadł w złość. Zaschło mi w gardle, więc musiałam je przepłukać. Gdy wychylałam kieliszek, straciłam cały animusz. Głupia sytuacja. No bo jak dotąd bywało? Jeden wrzeszczy, to znaczy się wypowiada, drudzy przerywają, wtrącają się, czyli kierują rozmowę na inne tory, dzięki czemu dyskusja się toczy. A tutaj? Ja mówię, on milczy. Właściwie wszystko już powiedziałam, nie będę się powtarzać jak papuga. Wypiłam więc następny kieliszek i się zamknęłam. Chwilowo. Siedzimy. Cisza. Gdzieś tyka zegar. Moje myśli znowu odbiegły od głównego tematu, przypomniałam sobie Tamarę. Bywają pechowe baby, których naprawdę żal. Takie na przykład jak ja. Ale bywają też baby wyjątkowo głupie; przez tę ich głupotę nic im się w życiu nie udaje. Takich nie żal. Weźmy Tamarę...

Nie zdążyłam jednak wziąć jej na tapet, bo oszołom postanowił otworzyć usta. Bogu niech będą dzięki!

– Chciałabyś mieć rodzinę, Michałna? – zainteresował się.

– Co to za pytanie? Oczywiście, że tak.

– A ile masz lat, kochana?

– Trzydzieści osiem – skłamałam.

– I mogłabyś jeszcze urodzić dziecko?

– Ma się rozumieć! Wiesz, jak łatwo wpadam? Wystarczy położyć koło mnie spodnie, a za miesiąc biegnę na aborcję.

Kłamię jak z nut, a serce wali mi jak młotem. Facet pyta o rodzinę i dziecko. Może to naprawdę moja szansa? Różnie bywa w życiu... Dziecka nie zdołam już, niestety, urodzić, ale po co teraz o tym mówić? Najpierw niech gość się ożeni, wyciągnie mnie z rynsztoka, a później zobaczymy. Może pyta bez powodu, facetom w jego wieku zazwyczaj nie zależy już na dzieciach. Chociaż jeśli jest bezdzielny...

– A ty masz dzieci? – pytam na wszelki wypadek.

– Owszem – odpowiada. – Syna, jest już dorosły.

W tym momencie trochę mi zrzęda mina. Ale trzymam fason, brnę dalej.

– Żonę też?

– Nie, żony nie mam. No więc powiedz, Nadieżdo Michałna, gdyby ktoś zaproponował ci teraz urodzenie dziecka, co byś powiedziała?

Niech to szlag! Miałabym już teraz urodzić? No dobrze, raz kozie śmierć, najważniejsze, żeby się załapać. Uczepić się tego psychola z forszą, samochodem i letniskiem, wygrzebać się na powierzchnię, a później jakoś to będzie.

– Urodziłabym – odpowiadam. – A czemu? Ktoś mi to proponuje? Ty?

– Zaczekaj, nie o tym mowa. Mówisz, że byś urodziła. A po co?

Oślupiałam. Sam przecież mówi, a potem proponuje. Chyba naprawdę brak mu piątej klepki!

– Jak to po co? A po co kobiety rodzą dzieci?

– Nie mówimy ogólnie, ale o tobie. Kłamiesz, że masz trzydzieści osiem lat. Jesteś starsza, założmy jednak, że możesz jeszcze urodzić dziecko. Po ci ono w twoim wieku? Co niby z nim zrobisz, prowadząc swój tryb życia?

Co z nim zrobię? A na jaką cholere mi teraz dziecko? Ale gdybym miała męża i to on zapragnąłby dziecka, zrobiłabym, co tylko się da, żeby go do siebie przywiązać. Gdyby się do tego palił, poszłabym mu na rękę. Pięć lat temu lekarze mogli sobie gadać, od tamtego czasu medycyna poszła do przodu, a oszołom ma kupę pieniędzy, może mnie wysłać za granicę na leczenie. Ale tego nie mogę powiedzieć. Muszę mu wcisnąć jakiś kit.

– Będę je wychowywać – bąknęłam. – Zajmować się nim i je kochać.

Niech to lichy, wszystkie słowa, jak na złość, wyleciały mi z głowy. Tamarka ma przecież córeczkę, mówiła coś o niej, coś na temat sensu życia albo innych bzdur... Nie potrafię sobie przypomnieć. Aha, coś o starości. Wszyscy o niej mówią.

– Żeby na stare lata był przy mnie ktoś bliski i podał mi szklankę wody, gdy zrobię się stara i niedołączna – wypaliłam, chwając się w myślach za spójne i długie zdanie. Cokolwiek by mówić, nie jestem zapijaczoną babą, umysł mam jeszcze sprawny, że ho, ho! I pamięć mnie nie zawodzi.

– Przecholowałaś, Michałna. – Oszołom się roześmiał. – Naprawdę wierzysz, że dożyjesz starości? Prowadząc takie życie? W każdej chwili możesz kopnąć w kalendarz, przecież na okrągło pijesz i prawie nic nie jesz. Albo umrzesz sama, albo wykończą cię twoi kompani od butelki. Nie boisz się?

W tym momencie zmarkotniałam na dobre. Rozmowa potoczyła się w niewłaściwą stronę. Oszołom raczej nie przypomina faceta, który chce mnie wyciągnąć z bagna i podaje mi rękę ze ściśniętą w niej szansą. A skoro tak...

– Odczep się od moich kompanów! Nie ty będziesz mnie oceniał!

No i znowu się rozkręciłam. Gadam, ale nie zapominam sobie nalewać i wychylać kolejnych kieliszków. Oszołom niby słucha uważnie, nie spuszcza ze mnie wzroku, ale na ustach igra mu jakiś dziwny uśmiezek, aż mróz mi przebiega po kościach. A później, gdy alkohol zrobił swoje i się wstawiłam, nagle przestało mi zależeć na tym, co on o mnie myśli. Złość minęła, zrobiło mi się lekko i wesoło na duszy. No cóż, facet nie zamierza się ze mną ożenić, nie po to mnie tutaj przywiózł. Chyba miał ochotę pogadać z kimś takim jak ja, posłuchać mojej filozofii życiowej. Może to jakiś pisarz albo dziennikarz. Niewykluczone, że bardzo znany. Teraz sobie pogawędzimy, a później powstanie film o złamanym życiu nieszczęsnej, pechowej, podobnej do mnie baby. Może gdzieś na końcu pojawią się słowa: „Szczególne podziękowania kieruję do Nadzieży Michajłowny Starostienko”. Ale utrę nosa Tamarce! Wciąż przechwała się swoimi starymi, że niby ja, Wieńka i Kałosza jesteśmy porzuceni i zapomniani, nikomu niepotrzebni, a ona ma krewnych, którzy wychowują jej córeczkę i z okazji każdych świąt przysyłają pieniądze, czyli że nie zapominają o niej i ją szanują.

– Słuchaj no, Michałna – przerwał mi nagle oszołom. – A jakbyś chciała umrzeć?

– Też coś! – burknęłam. – Na razie mi to nie w głowie.

– W porządku. Załóżmy, że pożyjesz jeszcze ze sto lat. Ale potem jakbyś chciała, żeby to wyglądało?

Zamyśliłam się. Jakbym chciała umrzeć? Licho wie! Nigdy się nie zastanawiałam. Najlepiej byłoby zasnąć wieczorem i więcej się nie obudzić. Albo paść raptem bez życia, żeby tylko nie było przedtem żadnych chorób ani ataków. Życ sobie beztrąsko i radośnie, gawędzić z przyjaciółmi, odwiedzać ich, pić i jeść do woli, a później ciach i po problemie. Żadnych cierpień. Mniej więcej tak wytłumaczyłam oszołomowi.

– Na to raczej nie możesz liczyć – oznajmił, nie wiedzieć czemu wesoło. – Twój tryb życia nie zagwarantuje ci zdrowej i szczęśliwej starości. Wiesz, jak najprawdopodobniej będzie? Łykniesz jakiś denaturat, zsiniejesz, zaczniesz się dusić, twoi kompani się przestraszą, porzucą cię i uciekną. A ty będziesz poniewierać się gdzieś na skwerze albo na klatce schodowej, w swoich łachmanach, cuchnąca i brudna, z pijacką gębą, i wszyscy przechodnie, którzy cię zobaczą, będą odsuwać się od ciebie ze wstrętem, jak od zadżumionej. Nawet nie wezwą pogotowia. A jeśli nawet wezwą, to lekarze tylko na ciebie zerkną, odwrócą się na pięcie i odjadą. Nie będą się wysilać, w szpitalach i tak brakuje miejsc i lekarstw, zwłaszcza w państwowych. Więc będziesz leżeć na ziemi jak stara, niepotrzebna szmata, póki nie wyzioniesz ducha. Wtedy zabiorą cię do kostnicy. Przez pewien czas potrzymają w chłodni, a potem pojawi się pytanie, co z tobą zrobić. Krewnych nie masz, przyjaciół też nie, kto cię pochowa i za to zapłaci? Wieńki i Tamarki nie stać przecież na trumnę i pogrzeb, sami liczą każdą kopiejkę i zbierają butelki po śmietnikach. A więc co? Wygląda na to, że zostaniesz wysłana do prosektorium, żeby studenci poćwiczyli na tobie przeprowadzanie sekcji zwłok i zbadali organy wewnętrzne. Nazwą cię, na przykład, Duśka i będą pytali: „Kto ostatni w kolejce do Duśki? Muszę się nauczyć budowy czaszki”. Cieszy cię ta perspektywa?

Rany boskie, co on plecie? Mam się poniewierać na klatce schodowej, później w kostnicy, a na końcu – w prosektorium? Z jakiej racji? Kto tak powiedział? Aż mi mowę odebrało. A on patrzy na mnie i się śmieje.

– Nie wiesz, co odpowiedzieć, Michałna? Słusznie. To dlatego, że nigdy nie myślałaś o swojej śmierci. Masz przecież kurzy mózdzek, nie wypatrujesz na horyzoncie niczego poza szklanką taniego wina. A śmierć jest zawsze dalej niż ona. Gdybyś choć raz zastanowiła się nad swoją śmiercią, tobyś

zrozumiała, że wszystko potoczy się właśnie tak, jak ci powiedziałem. Jeszcze masz szansę to zmienić, jeśli ten obrazek ci się nie podoba. A może podoba?

I patrzy na mnie chytrze. A to oszołom, prawdziwy oszołom, jak babcię Kocham. Komu może się podobać coś takiego? Tak właśnie mu odpowiedziałam:

– To się nie może spodobać żadnemu normalnemu człowiekowi. Ale mnie nie dotyczy, ze mną tak nie będzie. Owszem, pijam sobie, ale jestem uczciwą emerytką, a nie nałogową alkoholiczką.

– A więc nie spodobało ci się – stwierdził w zadumie. – No cóż, najwyższa pora, Michałna, żebyś przemyślała to, co ci powiedziałem. Masz jeszcze nad wszystkim kontrolę, możesz coś zmienić i sprawić, że nie umrzesz w taki sposób. Chcesz zmienić?

– Chcę. – Kiwnęłam głową posłusznie.

Nareszcie! Musiałam znieść kupę szyderstw, żeby w końcu przystąpił do rzeczy! Zaraz mi zaproponuje, żebym zmieniła swoje życie; powie, że chce pomóc i wyciągnąć mnie z katastrofalnej sytuacji, w której się znalazłam. A ja co? Z miłą chęcią, zawsze wiedziałam, że jeśli ktoś mi pomoże i da szansę, to jeszcze wyjdę na prostą! Może facet nie poprosi mnie o rękę, da za to jakąś czystą, nietrudną i dobrze płatną pracę. Czasami firma kupuje nawet mieszkania takim pracownikom. A jeśli mieszkanie nie jest potrzebne, to przyznaje środki na umeblowanie.

– Na pewno chcesz? – powtórzył raz jeszcze.

– Na pewno, na pewno – odparłam pośpiesznie.

Alkohol sprawił, że w głowie mi się rozjaśniło, i nagle pomyślałam, że poradzę sobie z każdą pracą, przyjmę wszystko, nawet najtrudniejsze zajęcie, byle tylko ktoś we mnie uwierzył i pozwolił mi spróbować. Wtedy udowodnię, że jeszcze za wcześnie, by spisywać Nadięnkę Starostienko na straty.

- Zgadzasz się na wszystko?
- Ma się rozumieć!
- Nie rozmyślisz się?
- W życiu!

Trzymaj się, Michałna, powiedziałam sobie, nie tchórz, czterdzieści dwa lata to piękny wiek. Może wszystko się jeszcze odmieni... Każdy ma swoją szansę, tacy jak ty też.

Oszło mi spojrzeć na mnie przyjaźnie i nagle powiedział:

- Do twarzy ci w tej peruce, Nadiu.

[2] Nieformalny skrót patronimiku „Michałowna”.

Rozdział 3

ZARUBIN

Oficer operacyjny Siergiej Zarubin lubił swoją pracę, co upodabniało go do Nastii Kamieńskiej. Ale w odróżnieniu od niej nie znosił siedzenia za biurkiem i myślenia albo, co gorsza, ślęczenia nad papierami. Niestety, tworzenie różnego rodzaju sprawozdań, notatek i raportów jest nieodzowną i wielce znaczącą częścią pracy operacyjnej. Ona jednak zawsze drażniła Siergieja. O dziwo, język i styl miał doskonały, nie bez powodu w dzieciństwie pisał wiersze oraz opowiadania, a w szkole redagował ścienną gazetkę klasową, którą czytali nie tylko uczniowie z innych klas, ale też nauczyciele. Gazetka to jednak co innego, jej istota polega na tym, że się ją „pisze”, tymczasem praca operacyjna polega na wykrywaniu przestępstw. Sierioża nie potrafił zrozumieć, dlaczego poszukiwanie przestępców musi się wiązać z pisaniną. Nie widział w tym żadnego sensu ani logiki, więc starał się, w miarę możliwości, unikać papierkowej roboty. Właściwie każda praca przychodziła mu lekko, jeżeli rozumiał jej sens i go akceptował. W przeciwnym razie ogarniało go otępienie, umysł nie chciał niczego analizować, a palce zapominały, gdzie na klawiaturze są poszczególne litery.

Poszukiwanie kobiety „o nieokreślonym wyglądzie i w nieokreślonym wieku”, która rzekomo przekazała Wańce Żukowowi tekturowy plakat razem ze studolarowym banknotem, stanowił ten rodzaj zajęcia, który Sierioża Zarubin umiał i lubił wykonywać. „Niejednoznaczność” wyglądu i wieku tej pani z dużym prawdopodobieństwem wskazywała na to, że trzeba jej szukać wśród arbackich pijaczków. Przez cały sobotni wieczór i niedzielne przedpołudnie Sierioża krążył po wąskich, krętych uliczkach,

zdumiony ubóstwem, brudem i nieporządkiem, które panowały w centrum stolicy, to znaczy w bezpośrednim sąsiedztwie luksusowych domów oraz licznych ambasad. Kontyngent „swoich” Zarubin rozpoznawał na oko, ale bezbłądnie. Niektórych włóczęgów znał z widzenia, a nawet z imienia. Milicyjną karierę zaczynał właśnie tutaj, w komisariacie obsługującym dzielnicę Arbatu. Dlatego nawiązywanie rozmów i zbieranie informacji nie było dlań niczym nadzwyczajnym.

Początkowo nie miał jednak szczęścia. Dowiedział się wielu nowych i ciekawych rzeczy na temat charakterów i zwyczajów właścicieli sklepów, straganów i punktów loteryjnych, a mimo to nie usłyszał niczego o kobiecie, która przeżyła niespodziewaną przygodę z dolarami. Było to dziwne. Siergiej orientował się w gustach i obyczajach środowiska alkoholików, więc nie mógł uwierzyć, że zdeklarowana pijaczka nie opowiedziała kompanom od kieliszka, co ją spotkało, i to tego samego dnia. Jeżeli historyjka Żukowa była prawdziwa, jeżeli pieniądze i transparent wręczyła mu nieznana kobieta, której wygląd wskazywał na to, że nie była autorką tekstu na plakacie ani nie miała stu dolarów na zbyciu, nasuwał się wniosek, że ktoś ją wynajął. Zatrudnienie siły roboczej wiąże się jednak z kosztami. W dodatku, biorąc pod uwagę mentalność kobiety, pracodawca musiał być pewien, że wykona zadanie, a nie ulotni się z upragnionym zielonym banknotem w kieszeni. A do tego bez wątplenia by doszło, gdyby jej wynagrodzenie okazało się mniejsze niż to, które otrzymał Wańka. Musiała więc dostać więcej, inaczej na pewno uciekłaby z pieniędzmi. A zatem wczoraj w środowisku arbackich pijaczków musiała się pojawić owa olbrzymia kwota. Nawet jeśli kobieta wykazała się niespotykaną dla alkoholików ostrożnością i skąpstwem, nawet jeśli nie powiedziała o pieniądzach, to na pewno ofiarowała poczęstunek najbliższemu znajomym. To przecież typowa

i nieodłączna cecha takich osobników: gdy tylko zdobędą pieniądze, zaczynają spraszać kompanów, czasami przygodnych, jako że rola gospodarza ma dla nich wymiar symboliczny: oznacza nobilitację, niechby nawet przejściową. Wy niczego nie macie, ale ja mam, bo wszystko jeszcze przede mną, bo coś jednak znaczę, szczęście się do mnie uśmiecha, dostałem swoją szansę, to mnie wybrał i pobłogosławił los.

O tym jednak, że jakiś tubylec urządził imprezę za forszę, którą wziął nie wiadomo skąd, Zarubin nie usłyszał ani słowa. W związku z powyższym wnioski mogły być tylko dwa. Albo kobieta nie pochodziła z Arbatu, albo nie ma jej już wśród żywych. Siergiej wolał tak nie myśleć, bo wtedy sytuacja od razu by się skomplikowała. Co to znaczy, że nie pochodziła z Arbatu? Raczej nie przyjechała tu z innej dzielnicy, pijacy nie lubią podróżować. Za przejazd trzeba zapłacić, a bilet jest drogi. Można nie płacić, ale istnieje ryzyko, że się dostanie mandat, a wtedy wyjdzie jeszcze drożej. Żeby iść pieszo – nie ma dość sił. Zresztą powodu też nie. Po co kobieta przyjechała tutaj ze swojej dzielnicy? To nie ziemia obiecana, a liczba pustych butelek jest nie większa niż gdzie indziej. Jeśli założyć, że w ogóle kogoś odwiedziła. W tym wypadku szanse, żeby ją znaleźć, są nikłe. Trzeba by zapytać każdego mieszkańca w rejonie ulic Prieczistienka–Bolszaja Nikickaja, czy nie odwiedzała go w sobotę pewna kobieta i czy nie opowiadała o pieniądzach, które się na nią niespodziewanie zwały. A może nie opowiadała (co jest całkiem prawdopodobne), ale zachowywała się inaczej, była podniecona albo, przeciwnie, zatroskana czymś i zaniepokojona. Roboty na rok.

Istnieje jeszcze jedna hipoteza tłumacząca, jak to się stało, że „nietutejsza” pijaczka znalazła się na Nowym Arbacie. Ale w porównaniu z tamtą hipotezą – całkiem logiczną – nie wytrzymuje krytyki. Tajemniczy pracodawca (albo pracodawczyni) mógł ją ze sobą przywieźć, wiedząc, że będzie

potrzebował (a może jednak potrzebowała?) figuranta do kontaktu z osobą, która pokaże plakat. To jednak wykraczało poza ramy normalnego, racjonalnego planowania: pracodawca musiałby wiedzieć, jaki program będzie nagrywany, na jakiej ulicy i kto został zaproszony do studia. Załóżmy, że ma znajomych w Ostankinie, niewykluczone, że nawet wśród pracowników stacji telewizyjnej, więc mógł się tego dowiedzieć. Ale wtedy logika nakazywałaby zaopatrzyć się w transparent zawczasu, przygotować go w domu, na zwykłym papierze, przymocować po obu stronach drążki, za pomocą których można by go zwijać, a także łatwo podnieść nad głowami tłumu. Ktoś, kto ma zwyczaj wszystko starannie obmyślać, tak właśnie by postąpił. Tymczasem stało się inaczej, plakat został wykonany na podłużnym kawałku tektury, oderwanym od jakiegoś opakowania. Zaraz po incydencie chłopcy z miejscowego komisariatu przeszukali okoliczne kontenery na śmieci i znaleźli pusty karton po lodówce, od którego oderwano kawałek. Zadali sobie trud i przyłożyli plakat do oderwanego miejsca. Pasował jak ulał. Wygląda więc na to, że tajemniczy osobnik, ukrywający się za plecami pijaczki, nie zaplanował swojego numeru, ale wymyślił go na oczekaniu, gdy zobaczył nagrywany program. A więc nie przywiózł pijaczki ze sobą, ale spotkał ją tutaj, na Arbacie.

Natomiast jeżeli tej kobiety nie ma już wśród żywych, sprawa wygląda fatalnie. Po pierwsze, to zabójstwo, innymi słowy, pozbawienie bliźniego życia, co zawsze stanowi nikczemny postępek, bez względu na ofiarę. Po drugie, od razu wyklucza kuszącą hipotezę o głupim dowcipie zwariowanego milionera. Gdy człowiek sobie żartuje, raczej nie zabija świadków.

Wszystko wskazuje na to, że zaczęły się potwierdzać najgorsze podejrzenia, bo pijak i złodziejasek Wieniamin Polnikow, znany raczej jako Wieńka Brytyj^[3], którego Zarubin odszukał w niedzielę koło czwartej, oznajmił:

– Dzięki Bogu, jestem cały i zdrowy. Reszta też na razie się trzyma. Pamiętasz Tamarę?

– Oczywiście. – Siergiej się uśmiechnął.

– No tak – stwierdził Wieniamin z przekąsem. – Kto, jeśli nie ty, miałby ją pamiętać? Odebrałaś jej przecież prawa rodzicielskie.

– Nie ja, ale sąd – poprawił wywiadowca.

– Ojej, daruj sobie, znamy te wasze sądy. Gdybyś na nią nie doniósł, żaden sąd nie miałby nic do gadania.

– Racja. A tobie ta sprawa wciąż leży na wątrobie? Jesteś niezadowolony?

– Gdzie tam. – Usta Wienki rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu, odsłaniając zepsute zęby. – Gdy dzieciak kręci się pod nogami, trzeba się pilnować. A jak chata jest wolna, można robić, co się chce.

– No a Tamarka? Tęskni do córeczki?

– Tamarka? – Brityj parsknął śmiechem. – Wspomina ją tylko wtedy, gdy chce kogoś zmiękczyć. Jaka to jest nieszczęśliwa, pozbawiona radości macierzyństwa, odsunięta od rodzzonego dziecka. No i podczas różnych świąt, gdy rodzina podrzuca jej pieniądze. „Niech mi płacą – mówi – bo odbiorę im dziecko”. Wczoraj miała akurat urodziny, zabawa była na medal.

– Dużo was przyszło? – zainteresował się Zarubin wyłącznie dla podtrzymania rozmowy, myśląc o czym innym.

– Czy ja wiem? Niech no policzę. – Polnikow zmarszczył czoło i zaczął zginać palce. – Ja z Tamarą to dwa. Jej gach – trzy... Tak... Tak... Plus jeszcze troje, razem wychodzi sześćcioro. Czekaliśmy też na Nadkę, ale ona, zdzira, nie przyszła. Widocznie pogardziła.

– Jaka Nadka? – zapytał Zarubin czujnie.

– No Nadka Tancerka. Nie pamiętasz? Taka mała, chuda jak patyk, nie ma na czym oka zawiesić. Z baletu.

Zarubin przypomniał sobie Nadkę Tancerkę. Słyszał o niej, jeszcze gdy pracował w tutejszym komisariacie, ale nie znał jej bliżej. Nie przyszła na urodziny kumpeli, gdzie mogła za darmo się napić i najeść... Bardzo ciekawe.

– A dlaczego nie przyszła? – zapytał, nie kryjąc zainteresowania. – Może nie wiedziała o imprezie? Albo zapomniała i nikt jej nie przypomniał?

– Ona by zapomniała? – prychnął Wieniamin pogardliwie. – Wczoraj spotkałem ją w tym samym zaułku i powiedziałem o urodzinach Tamarki. Zapomniała! Puknij się w głowę, człowieku.

– No dobrze, powiedziałeś jej. A ona co na to?

– Zawahała się, potem mówi: „Przyjdę”.

– Była sama?

– Samiuteńka.

– A co robiła, gdy ją spotkałeś?

– Boże, to samo, co zawsze. Zbierała butelki.

– Tak, wyszło nieładnie. – Zarubin pokręcił głową. – Dostać zaproszenie na urodziny przyjaciółki i nie przyjść to rzeczywiście świństwo.

– No właśnie! A co ja mówię? Zdzira i tyle.

– Chwileczkę, Wienia, nie śpiesz się z oceną. Może miała jakiś ważny powód, a ty od razu odsądzasz ją od czci i wiary. Jak wytłumaczyła, że nie przyszła do Tamarki?

– Nijak. – Brityj się uniósł. – Od tamtej pory w ogóle jej nie widziałem.

– No to może byś do niej zajrzał? Nie rozumiem cię, Wienia – oznajmił Siergiej surowo. – Twoja znajoma, powiedziałbym nawet, że przyjaciółka, obiecała przyjść na urodziny i nie przyszła. A ty nawet się nie zainteresowałeś, co się stało. Może zachorowała, leży i nie może wstać? Czeka, aż ty, jej przyjaciel, zaniepokoisz się, zaczniesz jej szukać, odwiedzisz, kupisz lekarstwa albo wezwiesz lekarza. A ty włóczysz się po ulicach

i nazywasz ją zdzirą. Brzydko, Wienia. Mężczyźni tak nie postępują. A zwłaszcza przyjaciele.

Zarubin znał słabą stronę Polnikowa. Kiedyś był nauczycielem, zawsze wszystkich pouczał, żądał od znajomych, by przestrzegali kodeksu honorowego, w którym na pierwszym miejscu znajdowały się przyjaźń oraz wzajemna pomoc i wsparcie. Obecnie Wieniamin zbliża się do pięćdziesiątki, ze dwadzieścia lat nie pracuje w szkole, ale mimo dwudziestu lat nałogowego pijaństwa nie stracił pedagogicznych zapędów. Słowa detektywa sprawiły, że spoważniał.

– Może naprawdę zachorowała... Przeważnie jest zdrowa jak mało kto, żadne choróbsko jej nie bierze. Racja, muszę pójść i zobaczyć.

– Chcesz, to ci potowarzyszę. – zaproponował Zarubin. – I tak idę w tamtą stronę.

Nie miał zielonego pojęcia, która ulica prowadzi do domu Nadki Tancerki, ale Brityj nie zwrócił na to uwagi. W końcu Zarubin nie powiedział, że nie zna Nadki, no a skoro ją zna, musi znać też jej adres, rzecz jasna.

– Chodźmy. – Polnikow kiwnął głową. – W razie czego wezwiesz pogotowie, zgoda? Jesteś gliniarzem, ciebie posłuchają.

Nie śpiesząc się, dotarli do zaułka Małyj Własjewskij i weszli na cuchnącą klatkę schodową. Mieszkanie Tancerki było na pierwszym piętrze. Na dzwonek nikt nie otworzył, na pukanie też nie.

– No i proszę! – zawołał Brityj z urazą. – Nie ma jej nawet w domu, a ty mówisz, że zachorowała. Pewnie gdzieś się włóczy. Miałem rację, że to zdzira. Zawsze nią była. My jesteśmy prostymi ludźmi, a ona, cholera, pozuje na wielką baletnicę. Baletnica Greta z państwowego baletu. Zawsze zadzierała nosa, uważała się za kogoś lepszego. To dlatego nie przyszła do Tamarki.

– Przyhamuj trochę – powstrzymał go Siergiej. – Przecież w ubiegłym roku była na jej urodzinach?

– No tak.

– A przedtem?

– Też.

– I zawsze brała udział w waszych zabawach?

– Ma się rozumieć.

– I zapraszała was do siebie?

– Wiele razy. W sumie masz rację. Zawsze przychodziła. A wczoraj raptem nie przyszła...

– No właśnie. Może czuje się tak źle, że nie może wstać. Są takie choroby, gdy człowiek jest przytomny, ale nie ma siły, żeby się podnieść z łóżka. Albo złamała nogę i nie może chodzić. Niewykluczone też, że straciła przytomność, a my tu stoimy i o niej dyskutujemy. Nie udawaj niewiniątka, Wienia, przecież dobrze wiem, że masz klucze do tego mieszkania. Wyjmij, nie wstydź się.

– Zwariowałeś, szefie? – mruknął Brityj. – Skąd miałbym mieć klucze... Przecież ja nigdy...

– No dalej, otwieraj. – Zarubin machnął ręką. – Pozwalam ci. Na moją odpowiedzialność.

Siergiej, oczywiście, blefował w sprawie kluczy, ale świetnie znał charakter Wieniamina Polnikowa. Gdy tylko Wienia wspomniał, że Tancerka „zadziera nosa”, Zarubin wszystkiego się domyślił. Polnikow uważał się za przystojniaka oraz idealnego kochanka. Czuł się mężczyzną przez duże M i dlatego golił się rano i wieczorem, nie zważając na szyderstwa znajomych. Stąd wzięła się jego ksywka. Był przekonany, że wszystkie kobiety za nim szaleją, bo jest prawdziwym mężczyzną, niesłychanie sprawnym seksualnie. Swoją jedyną wadę widział w statusie społecznym. Przyznawał, że ten nie dopisał. Ale pod każdym innym względem nikt nie potrafił mu dorównać. Więc jeśli kobieta go

odtrąca, mimo jego zalet, powód może być tylko jeden: zadziera nosa, nie zadowala jej jego status społeczny.

Skoro Brityj był kochankiem albo, posługując się językiem milicyjnych protokołów, konkubentem Nadki Tancerki, to na pewno potrafi otworzyć drzwi do jej mieszkania. Kluczem, który otrzymał od właścicielki, albo nożyczkami do paznokci – nie ma znaczenia. W tym przypadku były to nożyczki.

– Nadia! – zawołał Polnikow, otwierając drzwi i wchodząc do przedpokoju. – Jesteś w domu?

Mieszkanie było puste.

– Włóczy się po mieście! – skonstatował Wieniamin ze złośliwym zadowoleniem. – Wiedziałem. Takie baby jak Nadka nigdy nie chorują. Wredna szkapa!

Siergiej obszedł brudne i zaniedbane mieszkanie, Pprzyjrzał się meblom. Jego wzrok przyciągnęły leżące na podłodze jaskrawe reklamówki. Obok nich poniewierały się oderwane metki i paragony ze sklepu. Podniósł je i zaczął uważnie przeglądać. Nie udało mu się odczytać napisów na metkach, ale z paragonami łatwo sobie poradził. Chwilę później już wiedział, kiedy zostały wystawione, z jakich sklepów pochodzą i na jaką kwotę opiewają.

– Zobacz no! – zawołał do Wieniamina, który, korzystając z okazji, przetrząsał półki, licząc na to, że znajdzie alkohol. – Nie dalej jak wczoraj twoja przyjaciółka nieźle się obłowiła.

– Co mówisz? – Mężczyzna nie zrozumiał, bo jego uwagę pochłaniała zawartość szafek kuchennych.

– Mówię, że twoja Nadia nakupiła sobie wczoraj ciuchów za prawie dziesięć tysięcy rubli.

Polnikow przybiegł z kuchni, wytrzeszczając oczy.

– Za ile?

– Za dziesięć tysięcy.

– Po staremu: dziesięć patoli, tak?

– Zgadza się. Wygląda na to, że wasza znajoma jest bogata.

– Co ty pleciesz? – Brityj się obruszył. – Ma śmieszna emeryturę i żadnych dodatkowych dochodów. Nawet telefon jej wyłączyli, bo od roku nie płaciła. Skąd by wzięła takie pieniądze?

– Też chciałbym wiedzieć – powiedział Zarubin w zamyśleniu.

– Skąd twoja Tancerka je ma? Trzeba będzie jej poszukać i zadać pytanie. Może kogoś okradła?

– Dobrze sobie. – Głos Wieniamina zabrzmiał mniej stanowczo. – Nadka nie jest złodziejką.

– No to skąd wzięła pieniądze? Wytłumacz mi, Wienia, tylko jasno i przystępnie, skąd u biednej, nadużywającej alkoholu emerytki nagle pojawiła się duża kasa.

Wieniamin wyteńczył szare komórki; chwilę później jego twarz się rozchmurzyła.

– Na przykład od byłego męża albo bogatych krewnych!

– To logiczne. – Zarubin kiwnął głową. – Nadka była mężatką?

– Chyba nie...

– Chyba czy na pewno?

– Mówiła, że nie.

– A co z bogatymi krewnymi?

– Bo ja wiem? – odparł Brityj gniewnie. – Może są. Ale nie wspominała.

W trakcie niedługiej, ale konstruktywnej dyskusji szybko się okazało, że Tancerka nie mogła się obłowić takim bajecznym sposobem. Właściwie tylko Zarubin doszedł do tego wniosku, ponieważ miał trzeźwy umysł. Brityj wciąż obstawał przy tym, że Nadka się nachapała i spotkało ją to, o czym w głębi duszy marzy każdy alkoholik, a właściwie każdy wykolejeniec. Pobyt na dnie okazał się tymczasowy i oto ona – podsunięta przez niebo pomocna dłoń, której można się chwycić i wypłynąć na powierzchnię.

Zarubin pobieżnie przeszukał mieszkanie i znalazł dokumenty, z których wynikało, że właścicielką mieszkania

jest Nadieżda Michajłowna Starostienko, Rosjanka, urodzona w 1956 roku w Siemipałatyńsku, niezamężna i bezdzietna. W pierwszej chwili chciał zabrać dowód osobisty, żeby pokazać zdjęcie Wani Żukowowi, ale szybko uznał, że to bezcelowe. Na zdjęciu Nadieżda Starostienko miała dwadzieścia pięć lat, teraz ma czterdzieści dwa i, jeśli sądzić z legitymacji emeryckiej, od sześciu czy siedmiu lat pije, w dodatku tak ostro, że niemal straciła ludzkie oblicze. Siedem lat temu przeszła na emeryturę. Jeśli wierzyć Polnikowowi, potem pracowała jeszcze na kolei, gdzie tak się rozpiła, że ją stamtąd wyrzucono.

Znalazły się też, co prawda, późniejsze fotografie, ale grupowe – przedstawiały sceny z baletów; wszystkie twarze były drobne i z makijażem. W takich wypadkach niezbędna jest sama właścicielka, która, z dumą pokazując zdjęcie, mówi: „A tutaj dwunasta z prawej to ja w *Śpiącej królownie*”. A i nie sposób stwierdzić, czym dwunasta baletnica różni się od jedenastej albo trzynastej, bo wszystkie mają jednakowe kostiumy, fryzury i twarze.

OBRAZCOWA

Tatiana robiła, co mogła, żeby ukryć niepokój. Nie dlatego, że próbowała, jak to się mówi, nie stracić twarzy. Nie chciała martwić męża i było jej żal Iroczki, krewnej, która nie grzeszyła odwagą i denerwowała się z byle powodu. Przez cały sobotni wieczór i niedzielny ranek Tatiana udawała, i to dość dobrze, że to, co się stało, jest tylko głupim żartem okraszonym sporą domieszką czarnego humoru. Stasow dał się nabrać na jej przedstawienie, ale Iroczka nie przestawała się martwić i potrafiła mówić tylko o plakacie.

Jednakże w niedzielę po południu sytuacja zaczęła się zmieniać. Właśnie kończyli obiad, gdy zadzwoniła Nastia.

– Zarubin ją znalazł – powiedziała.

– No i?

– Ustalił nazwisko i miejsce zamieszkania. Sama *madame* gdzieś się ukrywa.

– Skąd pewność, że to ona? – W Tatianie obudziła się śledcza, która w takich sprawach nie zdaje się na intuicję. Śledczy muszą wiedzieć dokładnie, żeby wyciągać słuszne wnioski. – Jest jakieś zdjęcie, które można pokazać chłopcu?

– Zdjęcia są bardzo stare, nie nadają się. Przynajmniej zdaniem Zarubina.

– W takim razie skąd on wie, że to właśnie ona?

– Wczoraj nie przyszła na urodziny przyjaciółki, mimo że była zaproszona i wszyscy na nią czekali. Dzisiaj też nikt jej nie widział. A w mieszkaniu są wyraźne ślady niespodziewanego bogactwa. Paragony ze sklepu z wczorajszą datą, na kwotę niemal dziesięciu tysięcy rubli. *Madame* była kiedyś baletnicą, jest niewysoka i drobna. Właśnie tak ją opisał Żukow. Poza tym z dość wiarygodnych źródeł wiadomo, że wczoraj o interesującej nas porze włóczyła się po zaułku Bolszoi Nikołopieskowskij, całkiem niedaleko Nowego Arbatu. A zatem nie ma alibi.

– Jasne – mruknęła Tatiana. – No cóż, zaczekamy. Informuj mnie na bieżąco.

Pomogła Irocze sprzątnąć ze stołu, po czym ubrała synka, wsadziła go do wózka i zabrała na spacer. Niepokój narastał; ruch był jedynym sposobem, żeby choć trochę się uspokoić.

„Zgadnij, gdzie spotkasz śmierć”. Czyją? Swoją? Czy bliskich? Ojciec jest już całkiem niedołączny, mieszka w Petersburgu. Tatiana nie zdoła zapewnić mu bezpieczeństwa. Ira? Młoda, bojaźliwa, ostrożna. Nie skuszą jej przypadkowe znajomości, odebrała dotkliwą nauczkę, w ubiegłym roku tak się sparzyła, że wystarczy na resztę życia. Ale jest przecież słabą kobietą, która nie potrafi się obronić. Stasow? O niego też nie sposób się nie bać. Jest

oczywiście zdrowy, silny i ma doświadczenie. Nikt jednak dotąd nie wymyślił, jak się uchronić przed kulą. Ani przed wybuchem. Szybkość biegania, celność ciosu i wysokość skoku nie odgrywają tu większej roli. Griszeńka? O tym aż strach pomyśleć. Podobno jeśli człowiek często myśli o jakimś nieszczęściu i się go obawia, ono na pewno nadejdzie, bo zła myśl potrafi się zmaterializować. Tatiana nie wiedziała, czy to prawda, ale gdy chodzi o jedyne dziecko, można uwierzyć we wszystko.

Pogrążona w zadumie, nie zwracała uwagi na pogodę. Świeciło zimne październikowe słońce, niebo było jasne i bladoniebieskie, ale ona czuła się tak, jakby rozpętała się ulewa. Co rusz ogarniał ją paniczny lęk, który pojawiał się zawsze podczas deszczu. A jeszcze wczoraj rano było tak dobrze! Praca na stanowisku śledczej ma, oczywiście, swoje minusy, niesie ze sobą wiele kłopotów i problemów, ale to nic w porównaniu z pogroźkami. Zwłaszcza gdy są jawne i niedwuznaczne. I nie wiadomo, skąd przyjdzie nieszczęście.

– Tanieczko! – Rozległ się tuż obok znajomy głos.

Ocknęła się i zobaczyła Andrieja Timofiejewicza, swojego sąsiada. Postawny, schludny, w długim zielonoszarym płaszczu z miękkiej skóry, w ogóle nie przypominał nieokrzesanego prostaka, jakim się zwykle wydawał. Poprzedniego wieczoru wstąpił do nich, żeby wyrazić swoje współczucie i zapytać, jak się wszystko skończyło. Mówił, że oglądał program („Jak mógłbym go przegapić? Przecież nie jest pani dla mnie obcą osobą, zdążyłem też poznać pani przyjaciółkę”).

– Już od jakiegoś czasu idę koło pani – oznajmił radośnie. – Tak się pani zamyśliła, że niczego nie zauważa.

Tatiana uśmiechnęła się zmieszana.

– Przepraszam.

– Ależ nic się nie stało. – Andriej Timofiejewicz zamachał rękami. – Doskonale wiem, że spotkała panią wielka

przykrość. A przy okazji, są jakieś nowiny? Coś się wyjaśniło?

– Niestety, prawie nic.

– Dlaczego „prawie”? A więc coś jednak wiadomo?

– Niewiele. Okazało się, że pewna alkoholiczka, która mieszka na Arbacie, wczoraj nagle się wzbogaciła, po czym zniknęła bez śladu. Może to ona dała chłopcu plakat i pieniądze. Ale niewykluczone, że był to ktoś inny. Na razie milicja jej szuka. Jak znajdzie, wtedy się dowiemy.

Przez pewien czas sąsiad szedł w milczeniu. Gdy do domu pozostało ze dwadzieścia metrów, znowu się odezwał.

– Rozumiem pani niepokój, Tanieczko, zresztą sama pani wczoraj mówiła, że pogróżka jest skierowana nie wiadomo do kogo. Może do pani, może do Anastazji, a może nie do pani osobiście, ale do pani bliskich. Jestem na emeryturze, mam sporo wolnego czasu. Jeżeli pani chce, będę miał oko na Irinę. Spędzacie z Władysławem Nikołajewiczem całe dnie w pracy, a ona jest sama z dzieckiem. Chyba pani przyzna, że to dwie potencjalne ofiary, w dodatku całkiem bezbronne.

– Andrieju Timofiejewiczu! – Tatiana usiłowała mu przerwać, tak okropna wydała jej się myśl, że tajemniczy nieznajomy wybrał Irę i Griszeńkę na swoje ofiary. Ogarnęło ją przerażenie, gdy usłyszała słowa, które od siebie odsuwała.

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – odparł sąsiad bardzo poważnie. – Rozumiem, że dyskusowanie o tym nie jest dla pani miłe, ale nie da się tego uniknąć. Przejdźmy do sprawy. Gotów jestem towarzyszyć Irinie za każdym razem, gdy będzie wychodziła z domu, na przykład na zakupy albo na spacer z pani synkiem. Może też pani ją poinstruować, żeby nikomu nie otwierała drzwi, zanim do mnie nie zadzwoni. Wyjdę na korytarz i zobaczę, kto przyszedł.

– Nie boi się pan, że zostanie ofiarą zamiast Iry? – Tatiana uśmiechnęła się krzywo.

– Nie. Proszę pamiętać, że mam dużego psa.

– Nie przypomina pan Jamesa Bonda. I – proszę wybaczyć, że to mówię, Andrieju Timofiejewiczu – ma pan już swoje lata. Napastnik poradzi sobie z panem tak samo łatwo jak z moją Iroczką. A pański wspaniały dog Agat nie jest wyszkolony. Może, oczywiście, przestraszyć kogoś swoim wyglądem i szczekaniem, ale nikogo nie obroni.

Weszli razem na klatkę schodową i stanęli, czekając, aż winda zjedzie na dół. Sąsiad umilkł i odezwał się dopiero wtedy, gdy z niej wysiedli na swoim piętrze.

– Chcę pani powiedzieć dwie rzeczy, Tatiano Grigorjewna. – Nagle przybrał oficjalny ton, jego głos stał się chłodny i surowy. – Po pierwsze: jeżeli przestępca jest młody i silny, prawdopodobnie bez trudu sobie ze mną poradzi. Ale dlaczego pani sądzi, że jest młody i silny? Czy starsi ludzie, pani zdaniem, nadają się tylko do tego, żeby siedzieć przy piecu i niańczyć wnuki, a popełnianie przestępstw przypada w udziale wyłącznie młodym? I po drugie: nie docenia mnie pani. A teraz proszę pozwolić, że się pożegnám.

Zaskoczona Tatiana zastygła nieruchomo, tymczasem Andriej Timofiejewicz przekręcił klucz w zamku i zniknął w ciemnym przedpokoju. Nie wiedzieć czemu, spodziewała się, że sąsiad trzaśnie drzwiami. One jednak zamknęły się niemal bezszelestnie.

Koło dziewiątej wieczorem znowu zadzwoniła Nastia.

– Zarubin ustalił, jakie rzeczy nabyła nasza *madame*. Nawiasem mówiąc, nazywa się Starostienko. Całą garderobę od a do zet, zaczynając od majtek i biustonosza, a kończąc na peruce, płaszczu i pantoflach. Na paragonach widnieje nazwa sklepu, więc Sierioża postawił na nogi wszystkie ekspedientki. W mieszkaniu poniewierały się metki od ubrań, na ich podstawie ekspedientki sporządziły pełen wykaz: co, z jakiego materiału, w jakim kolorze i rozmiarze, czyjej produkcji. Problem polega tylko na tym, że Starostienko nie kupowała tych rzeczy.

– Czyli co? Ukradła je?

– Bój się Boga, Taniu, przecież tam były paragony – obruszyła się Nastia. – Rachunek został uregulowany. Tylko nie przez nią.

– A przez kogo?

– W tym sęk. Ekspedientki dobrze pamiętają te zakupy, bo rzadko się zdarza, żeby klienci ubierali się od stóp do głów. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko podrożało trzy albo cztery razy. Zakupy zrobiły dwie młode kobiety; wnioskując z wyglądu i akcentu, przyjezdne, pochodzą chyba z południa.

– Z Kaukazu? – uściśliła Tania.

– Nie, z Ukrainy albo z południa Rosji. Stawropol, Rostów, Krasnodar – mniej więcej te okolice. Frykatywne „g” i intonacja wznosząca na końcu zdania.

– Dziwne... – powiedziała Tatiana w zadumie. – Co może łączyć moskiewską alkoholiczkę po czterdziestce z przyjezdnymi dziewczynami? Przecież nie mogła ich poprosić, żeby jej zrobiły zakupy!

– Nie mogła – przyznała Nastia. – Żaden normalny człowiek, zwłaszcza klepiący biedę, nie da nieznanym takiej kwoty na piękne oczy. A nuż go oszukają i czmychną z pieniędzmi? Sama prośba jest jednak zrozumiała. Starostienko ogląda się w lustrze i dochodzi do wniosku, że gdy zjawi się w porządnym sklepie, to zostanie wyśmiana. Albo wyrzucona z przymierzalni. I usłyszy, że ma nie dotykać brudnymi łapami drogich rzeczy. Mogła więc naprawdę się krępować, żeby pójść do sklepu. Ale nie wierzę, że dała pieniądze przypadkowym dziewczynom.

Wniosek był oczywisty. Ktoś je poprosił, żeby kupiły potrzebne rzeczy, ale nie zrobiła tego zaginiona Starostienko. Zrobił to ten, który zapłacił za usługę. Ten, który napisał tekst na transparencie. Ten, który nie chciał, żeby ekspedientki w sklepie go zapamiętały.

– Ale po co ten cyrk, Nastiu? – zapytała Tatiana po krótkiej chwili. – Jeżeli jest ktoś trzeci, to zapłacił Starostienko za przysługę, po czym się ulotnił. Nie powinien był zaprzętać sobie głowy tym, jak i na co ona wyda pieniądze. Tymczasem w naszym wydaniu wygląda to tak, jakby nie tylko zapłacił, ale też zadał sobie trud, by ta pijaczka z Arbatu była dobrze ubrana. Dlaczego?

– Nie wiem. – Nastia westchnęła. – Czuję, że właśnie w tym miejscu coś nie pasuje. Właśnie tu leży pies pogrzebany – zażartowała ponuro.

– No cóż, moja droga, musimy chyba przyznać, że nie mamy do czynienia z żartownisiem. To ktoś poważny, z dalekosiędnymi planami. Jak sądzisz, ile minie czasu, zanim znowu da o sobie znać?

– Pewnie ze trzy dni – zasugerowała Nastia. – Może dwa. Ale się myliła.

KAMIENSKA

W poniedziałek rano odbyła się rutynowa narada operacyjna u Gordiejewa. Wiktor Aleksiejewicz wyglądał kiepsko i pracownicy wydziału wiedzieli, że chociaż odwlekał decyzję o udaniu się do szpitala, owa chwila nadejdzie lada dzień. Albo już nadeszła. W ostatnim czasie Pączek coraz częściej masował sobie klatkę piersiową po lewej stronie albo lewą rękę, a na jego biurku można było zauważyć opakowanie validolu. Nigdy się wprawdzie nie uskarżał, wszyscy zdawali sobie jednak sprawę, co to oznacza.

– Przejdziemy do nieprzyjemnych rzeczy – powiedział na koniec. – Wszyscy wiecie, co spotkało Anastazję w sobotę.

Zebrani pokiwali głowami, niektórzy przytaknęli półgłosem.

– No cóż, w takim razie nie będę się wdawał w szczegóły. W sobotę i w niedzielę funkcjonariusze Okręgu Centralnego

szukali kobiety, która wręczyła chłopcu plakat i pieniądze. A dzisiaj w nocy ją znaleźli.

Zrobił dramatyczną pauzę, wbijając przy tym wzrok nie w podwładnych, ale w okno, za którym mżyło. Nastia miała ochotę zawołać: „No i co powiedziała? Niechże pan mówi!”, ale ugryzła się w język. Pączek nie umilkłby, gdyby... Jednym słowem, wszystko jasne. Znalezione ją, ale nie może już nic powiedzieć. Rozwój wypadków potwierdza najgorsze obawy. Żartowniś likwiduje świadków, a to oznacza, że jego zamiary są bardzo poważne.

Mniej więcej to samo powiedział Gordiejew, gdy raczył oderwać wzrok od okna. Dodał też, że Nadieżda Michajłowna Starostienko została znaleziona za miastem, w lesie, w pobliżu drogi. Śmierć nastąpiła w sobotę około dwudziestej trzeciej na skutek postrzału w okolice serca. Denatka nie miała przy sobie dokumentów, a ponieważ nikt nie zgłosił jej zaginięcia, ciało trafiło do kostnicy. Dopiero w niedzielę wieczorem, gdy się okazało, że poszukiwana jest czterdziestodwuletnia kobieta ze szczegółowym opisem ubioru i peruki, powiadomiono Zarubina o zwłokach odpowiadających portretowi zaginionej. Znajomi Starostienko rozpoznali jej ciało, więc teraz należało ustalić, czy to owa „baba w nieokreślonym wieku i o nieokreślonym wyglądzie”, która zaczęła Wanię Żukowa.

– Zajmuje się tym śledczy, który wszczął sprawę. Jest z prokuratury obwodowej, ponieważ zwłoki znaleziono na terenie obwodu. Jeżeli się okaże, że ofiara ma związek z sobotnim incydem, niewykluczone, że zostaniemy włączeni do zespołu. Jutro idę do szpitala. Zastąpi mnie Korotkow. Jeżeli nadejdzie polecenie, żeby utworzyć zespół, w jego skład wejdą Docenko i Kamińska. Jeżeli polecenia nie będzie, pracuje tylko Kamińska. To znaczy, Anastazjo, że tak czy inaczej się włączysz, bo sprawa dotyczy cię osobiście. Jeżeli nie ma więcej pytań, wszyscy są wolni, z wyjątkiem Kamińskiej.

Podczas gdy funkcjonariusze opuszczali pokój, rzucając Nastii spojrzenia pełne współczucia, ona przeniosła się bliżej biurka szefa. Zwykle zajmowała miejsce w swoim ulubionym, wysiedzianym fotelu, który stał w rogu. W takiej sytuacji Wiktor Aleksiejewicz wstawał zza biurka i przechadzał się po pokoju. Tak mu się lepiej myślało. Dzisiaj jego wygląd wskazywał, że chyba nie zamierza wstać. Czuł się nie najlepiej, toteż Nastia postanowiła postąpić wbrew zwyczajowi i się przesiąść.

– Nie mam pojęcia, co on zamierza – powiedział pułkownik, gdy zostali sami. – Musisz mi to wytłumaczyć.

Nastia się zmieszała.

– Skąd mogę wiedzieć? Wiktorze Aleksiejewiczu...

– Nie mydl mi oczu. – Gordiejew się skrzywił, odruchowo sięgnął ręką do piersi, ale w tej samej chwili ją cofnął. – Obraz jest klarowny. Ktoś chce wyrównać rachunki. Z tobą albo z żoną Stasowa. Obie musicie wyteńczyć swoje kurze mózdzki i przypomnieć sobie osobników, którzy mogli zapragnąć się z wami policzyć. Zrozumiałaś, Nastazjo? Obie – znowu przerwał i sapnął – musicie przypomnieć sobie całe swoje życie, kadr po kadrze, godzina po godzinie, i znaleźć w przeszłości tego, którego zraniłyście i który mógł to wszystko zaplanować. Może go namierzyłaś, może Obrazcowa wsadziła go za kratki. Niewykluczone, że chodzi o waszego wzgardzonego kochanka. Nie wiem. Ale powinnyście... – Znowu pauza. – Powinnyście to wyjaśnić. I gdy albo ty, albo ona go znajdziecie, musicie zrobić wszystko, żeby został natychmiast zatrzymany. Jeśli chodzi o twój kurzy mózdzek, to wyraziłem się tak, żeby zagrać na emocjach. Ponieważ wiemy, że masz głowę nie od parady, na pewno przemyślałaś wszystko już wczoraj. I przypomniałaś sobie kogoś takiego. Zakładam, że pamięć podsunęła ci nawet paru osobników. Omówiłaś też sytuację z Obrazcową, w dodatku nie raz. Ona również przypomniała sobie takich delikwentów. Później obie

się zastanawialiście, czego możecie się po nich spodziewać. Przypominaliście sobie ich nazwiska, zwyczaje, styl życia i mentalność. Usiłowaliście zrozumieć, który z nich jest w stanie zrobić to, co zrobił Żartowniś. Tego i owego odrzuciliście. Ten i ów nadal jest podejrzany. A teraz siedzisz przede mną z całym tym bagażem, udajesz niewiniątko i pytasz: „Skąd mogę wiedzieć?”.

Gordiejew tak umiejętnie sparodiował Nastię, że ta nie mogła się powstrzymać i się roześmiała, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

– Wiktorze Aleksiejewiczu...

On jednak przerwał jej słabym ruchem ręki.

– Myślisz, że po co kazałem ci zostać? Nie po to, żeby przydzielić zadania. Dzieli nas teraz tylko jedna gwiazdka, jesteś już dużą dziewczynką, wszystko wiesz i potrafisz. Kazałem ci zostać, żeby udzielić rady. Gdy relacjonowałem historię zamordowania Starostienko, z twojej twarzy wyczytałem, co cię gryzie i nad czym będziesz się zastanawiać w ciągu najbliższych piętnastu minut. Chcesz, to ci powiem.

Nastia kiwnęła głową w milczeniu.

– Pomyślałaś, że ktoś chce wyrównać z tobą rachunki i rozpoczął jakąś grę, ale w jej trakcie zginęła kobieta. Nie szkodzi, że to nikomu niepotrzebna alkoholiczka i nikt nie będzie po niej płakał. Nie tym mierzy się przecież wartość ludzkiego życia. To raczej cena zemsty na tobie, na tobie osobiście – na Anastazji Kamińskiej. Z tego wniosek, że musiałaś zależeć temu Żartownisiowi za skórę. A więc jesteś winna śmierci nieszczęsnej kobiety. Gdybyś nie załaziła mu za skórę, toby nie zaczął się mścić. Gdyby nie zaczął się mścić, Starostienko nadal by żyła. Może nie chodzi tutaj o ciebie, ale o Tatianę Obrazcową, ty jednak na wszelki wypadek już czujesz się winna. Mam rację?

Nastia spojrzała mu w oczy i się skuliła.

– Tak, ma pan rację.

– Nie dziw się. – Pączek uśmiechnął się łagodnie. – Jeszcze nie nauczyłem się czytać ci w myślach, ale w ciągu długich lat życia zdobyłem niemałe doświadczenie. Sytuacji, w których czułem się winny, było co niemiara. Znam trochę twoją wrażliwą naturę, więc wyobraziłem sobie, jak i o czym będziesz myśleć. A teraz chcę ci coś poradzić. Nawet jeżeli się okaże, że Starostienko zginęła przez ciebie, nie rób z tego antycznej tragedii. Spójrz na sytuację z boku, chłodno, a zobaczysz, że nie chodzi o ciebie.

– A o kogo?

– O niego. O tego, który to zrobił. Jeśli człowiek ma taką mentalność, że stawia swoją krzywdę w centrum wszechświata i gotów jest się mścić w potworny sposób, to z równą wściekłością mści się na wszystkich, którzy go skrzywdzili. Niekoniecznie na tobie i nie tylko na tobie. Gdybyś to nie ty go skrzywdziła, zrobiłby to ktoś inny, bo ów osobnik jest przewrażliwiony na swoim punkcie, zżera go ambicja, a egoizm przekracza wszelkie pojęcie. Taki człowiek czuje się skrzywdzony ze dwadzieścia razy na dobę, a lista jego osobistych wrogów bez przerwy rośnie. Nie może wyrównać rachunków ze wszystkimi, bo jest ich zbyt wielu. Wybiera więc jednego. Tego, z którym najłatwiej sobie poradzi. Do którego najprędzej dotrze. Albo który mu się nawinie pod rękę. Obecna sytuacja świadczy o tym, że Żartowniś wpadł na pomysł przypadkiem, a to oznacza, że po prostu nawinęłaś mu się pod rękę. Szedł Kalinińskim... to znaczy Nowym Arbatem... nigdy nie przyzwyczaję się do tych nazw... Szedł sobie i nagle zobaczył tłum oraz kamery. Zbliżył się, zerknął na monitor, a tam ty. To wszystko. I tak by się mścił, jak nie na tobie, to na kimś innym, bo taki już jest. Jeśli zabicie kogoś ułatwiłoby mu realizację planu, toby zabił, bo to złośliwy i mściwy drań. Ty, dziecko, nie ponosisz winy za to, że on jest właśnie taki. Uwierz mi, nie od razu doszedłem do tych mądrych wniosków. Ja też przez wiele lat się dręczyłem i przejmowałem, gdy

sądziłem, że jestem winien czyjejś śmierci. Dopiero na starość nauczyłem się myśleć logicznie i nie szukać swojej winy tam, gdzie jej nie ma. Poza tym jeszcze nie wiadomo, na kim ten potwór się mści, na tobie czy na Obrazcowej. Idź więc, Stasienko, i zastanów się nad tym, co powiedziałem. Wytlumacz to też swojej Tatianie, jeżeli tego nie rozumie. I myślcie, dziewczęta, myślcie. Namierzcie zabójcę, sporządźcie jego profil, szukajcie. Nasza reputacja i nasz honor zawodowy zostały wystawione na szwank. Trzeba jak najprędzej znaleźć łobuza i go przykładowie ukarać, żeby innym odechciało się badać naszą inteligencję.

Nastia wróciła do siebie i od razu zadzwoniła do Tatiany, mimo że ta była w pracy. Obrazcowa podniosła słuchawkę dopiero po chwili. Głos miała oschły i bezbarwny. Widocznie przesłuchiwała kogoś w swoim gabinecie.

- Taniu, to ja. Mogę dwa słowa?
- Półtora – odparła stanowczo. – Nie jestem sama.
- Zamordowano ją – oznajmiła Nastia krótko.
- Rozumiem – równie krótko powiedziała Tatiana i odłożyła słuchawkę.

[3] *Brityż* (ros.) – ogolony.

Rozdział 4

BABCIA ZABÓJCY

No cóż, u progu siedemdziesięcioletnia mogę dokonać podsumowania i stwierdzić, że godnie przeżyłam swoje życie. I dobrze wychowałam wnuka, który nie splamił honoru naszego rodu. Ale tylko Bóg wie, ile mnie to kosztowało i jakie próby musiała przetrwać nasza rodzina. Wychowanie nie pozwalało mi otwarcie okazywać swoich uczuć, więc tylko mój nieżyjący mąż zdawał sobie sprawę, choć nie do końca, przez co przechodziłam, gdy zagrożony był honor rodziny. Sądzę jednak, że mój mążonek czuł to samo co ja.

Na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat w rodzie Danilewiczów-Lisowskich nie doszło do żadnego mezaliansu. Od pokoleń zawieraliśmy związki małżeńskie tylko z równymi sobie pod względem wykształcenia. Naukowcy, pisarze, lekarze, profesorowie uniwersyteccy. Żadnych inteligentów wywodzących się z kręgów plebejskich, żadnych kupieckich latorośli czy innego towarzystwa wątpliwego autoramentu. A zwłaszcza polityków i rewolucjonistów. Każdy, kto dostępował zaszczytu spokrewnienia się z nami, musiał być wart naszego rodu i naszych tradycji, których strzeżliśmy jak źrenicy oka i przekazywaliśmy z pokolenia na pokolenie. Te wymogi dotyczyły także nas. My też musieliśmy się okazać godni naszych przodków. Przez całe życie zajmowałam się antyczną greką, swoje prace naukowe poświęciłam twórczości pisarzy starożytnej Grecji. Mój zmarły mążonek był literaturoznawcą, specjalizował się w poezji rosyjskiej końca osiemnastego wieku. W tym miejscu muszę nadmienić, że moi rodzice długo nie chcieli udzielić zgody na nasz ślub. Potrzebowali sporo czasu, by się przekonać, że Nikołaj Wieniediktowicz Essen będzie dla mnie odpowiednią partią.

On zaś, żeby im to udowodnić, musiał zdobyć dobre imię w środowisku krytycznoliterackim. Dziękuję losowi za to, że miałam zaledwie szesnaście lat, gdy poznałam Nikołaja, i nie zestarzałam się zbyt przez kolejne dziesięć, podczas których udowadniał, że jest mnie godzien. Gdy połączyliśmy się węzłem małżeńskim, ja miałam dwadzieścia sześć lat, a Nikołaj Wieniediktowicz – czterdzieści. Mimo to nie żywiłam pretensji do rodziców, bo rozumiałam, że w naszej rodzinie nie było i nie powinno być mezaliansów. Szesnastolatka nie potrafi ocenić, kto jest godny zostać członkiem rodu, który w ciągu półtora wieku spłodził naukowców i literatów światowej sławy.

W ten sposób wychowywałam naszą jedynaczkę Inesę. Niestety, czasy się zmieniły i nasze stare rodzinne tradycje nie potrafiły się oprzeć rozpasaniu obyczajów. Bolszewicy... Do tej pory nie potrafię zrozumieć, dlaczego rodzice nie emigrowali razem z innymi. Czasami myślę, że tatusia, niech mu ziemia lekką będzie, zaślepiły idee rewolucji. A niekiedy przychodzi mi na myśl, że zwyczajnie się na nich nie poznał i nie rozumiał niebezpieczeństwa przymusowego bolszewizmu. Naiwnie sądził, że nikt nie będzie szykanował naukowców badających epokę starożytną. W tej kwestii, o dziwo, miał rację. Bolszewicy potrzebowali instytutów, żeby uczyć w nich rwącą się do władzy biedotę – obiecano im przecież, że każda kucharka będzie mogła rządzić państwem. Ktoś musiał wyklądać historię na owych uczelniach. Ojciec aż do śmierci kierował katedrą uniwersytecką i został pochowany z wielkimi honorami. Ale zacny i łatwowierny historyk nie wziął pod uwagę jednego: w kraju bolszewików niełatwo będzie zachować nasze tradycje, które ceniliśmy nade wszystko.

Inessa rokowała duże nadzieje. We wczesnym dzieciństwie grała w szachy, w szkole zawsze była prymuską, wyróżniała się zwłaszcza w naukach ścisłych. Oboje z Nikołajem Wieniediktowiczem wróżyliśmy jej karierę fizyka, ale ona, ku

naszemu rozczarowaniu, nie wykazywała najmniejszych ciągów do dziedzin, które przychodziły jej lekko. Nie poparliśmy, ma się rozumieć, decyzji rozpoczęcia studiów w instytucie pedagogicznym. Owszem, w naszej rodzinie byli profesorowie, w dodatku liczni, oboje z Nikołajem Wieniediktowiczem nosimy ten tytuł, ale profesor to profesor, szkolny nauczyciel zaś, proszę wybaczyć, to w przypadku Danilewiczów-Lisowskich nonsens. Trochę się jednak uspokoiliśmy, gdy Inessa nam wytłumaczyła, że nie zamierza pracować w zwykłej szkole. Interesują ją metody stymulujące rozwój umysłu, logicznego myślenia i pamięci u dzieci, dlatego zamierza się poświęcić wyłącznie nauce.

– Czyżbyś nie rozumiała, mamó – mówiła – że wszystkie sukcesy w szkole zawdzięczam temu, że tata zaczął grać ze mną w szachy, gdy skończyłam zaledwie cztery lata? To dlatego mam świetną pamięć i rozumię logicznie. Są też jednak pewne właściwości umysłu, które rozwijają się dzięki innym rzeczom, nie tylko szachom. I właśnie tymi „innymi rzeczami” pragnę się zająć, żeby umożliwić każdej rodzinie wychowanie dziecka o wysokim potencjale intelektualnym. W tym celu muszę zdobyć wykształcenie pedagogiczne i odpowiedni dyplom.

No cóż, brzmiało to całkiem nieźle. Myśl, że zobaczymy naszą jedynaczkę w roli szkolnej nauczycielki, była nie do zniesienia. Ale jej pomysł w takiej postaci mogliśmy zaakceptować.

– Zapoznałaś się z literaturą przedmiotu? – zainteresował się rzeczowo Nikołaj Wieniediktowicz. – Jak daleko sięgają badania dotyczące danego problemu?

– Tato, przeczytałam mnóstwo książek i artykułów. Nikt o tym nigdy nie pisał i się tym nie zajmował.

– A więc będziesz pierwsza? – uściślił.

Inessa uśmiechnęła się triumfująco, bo dobrze zrozumiała sens pytania. Stawała się nieodrodną przedstawicielką

naszego rodu, a ja nie miałam racji, gdy podawałam to w wątpliwość.

– Pierwsza i jedyna, tato – odparła stanowczo. – Możesz być pewien.

Takie ujęcie problemu zupełnie zmieniało postać rzeczy. Inessa wkroczy na ścieżkę naukową, szybko wyrobi sobie nazwisko i zdobędzie uznanie. Wszak nie brak jej zdolności. Będzie naukowcem z rzadką specjalnością, twórczynią szkoły naukowej, pierwsza opracuje teorię. Jej nazwisko stanie się powszechnie znane. A zatem ród Danilewiczów-Lisowskich nie okryje się hańbą. Inessa okaże się godna swoich przodków. To pozwalało nam żywić nadzieję, że w czasach bolszewików zdołamy zachować i przekazać w spadku nasze tradycje.

Jednakże niebawem wydarzyła się rzecz straszna. Gdy córka była na czwartym roku, pewnego dnia próg naszego domu przekroczył On. Mój Boże, ucześnie na przyspieszony kurs z zakresu szkoły średniej. Pochodził z rodziny robotniczej. Ojciec kolejarz, zdaje się, że maszynista, matka – pracownica fabryki. Mieli ośmioro dzieci. O żadnym przyzwoitym wychowaniu nie mogło być mowy, a co dopiero mówić o manierach i wykształceniu. Zachodziłam w głowę, gdzie Inessa zdołała go poznać. Okazało się, że w biurze rajkomu[4] jakiegoś Komsomołu. I oto rezultat bolszewizmu: nie ma już elitarnych uczelni wyższych, a jeżeli jeszcze gdzieś są, to nikt nie jest w stanie udzielić gwarancji bezpieczeństwa, bo istnieją jakieś prace społeczne, które na siłę łączą wszystkie warstwy społeczne.

Razem z Nikołajem Wieniediktowiczem staraliśmy się nie stracić twarzy i usiłowaliśmy być uprzejmi, ale już po pierwszej Jego wizycie w naszym domu spróbowaliśmy delikatnie dać córce do zrozumienia, że taki dziwny młody człowiek nie ma u nas czego szukać. Wtedy Inessa powiedziała coś, po czym długo nie mogliśmy dojść do siebie.

– Nie rozumiesz, mammo? Wychodzę za niego. Przeprowadziłam go, żeby dokonać oficjalnej prezentacji.

– To chyba jakiś niemądry żart. – Nikołaj Wieniediktowicz włączył się do rozmowy. – Studia humanistyczne wykształciły w tobie szczególne poczucie humoru. Zawsze uważałem, że z twoimi zdolnościami powinnaś wybrać uczelnię techniczną, to bardzo dyscyplinuje myślenie.

– To nie żart, tato – odparła Inessa bardzo poważnie. – Wychodzę za niego, zaliczam czwarty rok, a we wrześniu biorę urlop dziekański.

– Ale z jakiego powodu? – zapytałam, nie wierząc własnym uszom.

– Z powodu ciąży, mamusiu – wyjaśniła spokojnie. – We wrześniu będę akurat w ósmym miesiącu.

Był kwiecień, cudowny, wyjątkowo pogodny, wilgotny i ciepły. Kwiecień. Do września pozostawały zaledwie cztery miesiące.

Nie mieliśmy z Nikołajem Wieniediktowiczem wyboru, musieliśmy przyjąć Go do naszej rodziny. Miał oczywiście imię i nazwisko, które przekazał naszej córce, ale dla nas na zawsze pozostał Nim. Ten łajdak. Ten nuworysz. Ten jej mąż. Między sobą zawsze nazywaliśmy go wyłącznie w ten sposób.

Gdy minął pierwszy szok, oboje z mężem wzięliśmy się w garść i zaprosiliśmy Inesę na poważną rozmowę. Prowadził ją Nikołaj Wieniediktowicz, a ja uważnie obserwowałam reakcję córki, gotowa w każdej chwili pośpieszyć mu z pomocą. Musieliśmy stworzyć wspólny front, tak by Inessa nie pomyślała, że jej przyszłe macierzyństwo skłoniło nas do ustępliwości.

– Odrzuciłaś święte, półtorawieczne tradycje rodu Danilewiczów-Lisowskich – powiedział Nikołaj Wieniediktowicz surowo. – Chcesz się połączyć węzłem małżeńskim z człowiekiem niegodnym naszej rodziny pod względem zarówno urodzenia, jak i cenzusu naukowego. Gdybyśmy mogli do tego nie dopuścić, tobyśmy to, oczywiście, zrobili. Ale

teraz już za późno. W naszej rodzinie nigdy nie było nieślubnych dzieci, więc nie możemy żądać, żebyś w obecnej sytuacji nie wychodziła za... za twojego przyjaciela z kursu. Nie możemy też pozwolić, żebyś mieszkała w akademiku, bo nie ma tam warunków do pracy ani do należytego wypoczynku. Gotowi jesteśmy się zgodzić, żebyś przyprowadziła go do naszego mieszkania. On, rzecz jasna, nie zasłużył na to, w tym domu mieszkali i umierali twoi przodkowie, ale ze względu na ciebie i twoje przyszłe dziecko gotowi jesteśmy znieść obecność twojego... hm... męża. Mamy jednak pewien warunek. I to bezwzględny. Nasza wspólna egzystencja w tym domu będzie możliwa, jeżeli zostanie on przyjęty.

– Warunek? – zapytała zdziwiona Inessa, hardo patrząc ojcu w oczy. – Jaki tutaj może być warunek? Chyba nie zażądacie, żebym się z nim rozwiodła, gdy urodzi się dziecko?

– W rodzinie Danilewiczów-Lisowskich, podobnie jak w rodzinie Essenów, nigdy nie było nie tylko nieślubnych dzieci, lecz także samotnych, porzuconych przez mężów matek – odrzekł Nikołaj Wieniediktowicz dumnie. – Nawet gdybyś sama zechciała się rozwieść, nie dopuścilibyśmy do tego. Dwukrotne złamanie tradycji jest nie do przyjęcia. Jeden raz całkowicie wystarczy. Nasz warunek polega na czym innym. Twój... hm... mąż powinien zasłużyć na przyjęcie do naszej rodziny. Musi zdobyć wszechstronne wykształcenie i zrobić błyskotliwą karierę. Poza tym musi nabrać ogłady, żeby nie robił nam wstydu przed gośćmi odwiedzającymi nasz dom i znającymi nasze tradycje. Czy możesz więc obiecać nam tutaj i teraz, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby spełnić ten warunek?

Inessa milczała przez chwilę, w zadumie kontemplując wazon, który stał na środku stołu, potem podniosła wzrok, popatrzyła uważnie najpierw na ojca, a następnie na mnie.

– To się stanie samo – odparła półgłosem. – Moje wysiłki nie będą potrzebne. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki on jest zdolny i jaki ma twórczy umysł. Dzięki swoim pracom z matematyki dostanie się na studia bez egzaminów, i to od razu na drugi rok. Zostanie wielkim naukowcem, tego możecie być pewni. Okaże się godny naszej rodziny i nie okryje jej hańbą. A co się tyczy ogłady, to szczerze mówiąc, liczę na twoją pomoc, mamó. To prawda, że trzeba go nauczyć dobrych manier, w tej kwestii nie dyskutuję.

Zdziwiliśmy się, że tak łatwo odnieśliśmy zwycięstwo, ponieważ spodziewaliśmy się długiego i zaciętego oporu. Nasza córka okazała się jednak nieodrodną reprezentantką swojego rodu, toteż zrozumiała i zaakceptowała nasze żądania jako coś oczywistego.

Niedługo potem On pojawił się w naszym domu. Na początku było to potworne. Nie potrafił prawidłowo siadać i wstawać, nie wiedział, jak posługiwać się sztucami i jak uprzejmie rozmawiać przez telefon. Nie mogliśmy go pokazywać gościom. Ale cieszyło nas, że uczył się chętnie i pilnie. Można było odnieść wrażenie, że chce jak najprędzej zerwać z robotniczo-chłopską przeszłością, wydostać się ze swojej skorupy i zmienić upierzenie. Wcale się nie obrażał, gdy nie zapraszaliśmy go do stołu przy obcych, starał się szybko zjeść coś w kuchni, po czym znikał w pokoju, który zajmowali z Inessą. Patrzył na mnie i na mojego męża z wielkim szacunkiem i wciąż się dopytywał, jak się powinien wyrażać albo jak robić to czy tamto. Nie można mu było odmówić pracowitości. Należał niewątpliwie do wzorowych studentów (nawiasem mówiąc, rzeczywiście został przyjęty od razu na drugi rok, córka nie przesadzała), po zajęciach biegł do biblioteki, wieczorem wracał do domu z naręczem książek i śleczął nad nimi do świtu. Nie mam pojęcia, kiedy sypiał. Poza tym okazał się nie najgorszym ojcem. Inessa siedziała w domu z naszym wnukiem. Pomagałam jej w miarę

możliwości, wynajęłam nianię, ale On potrafił i pobawić się z dzieckiem, i pójść z nim na spacer, w dodatku robił to nie z obowiązku, ale z wyraźną przyjemnością.

Mijały lata i ku naszemu zaskoczeniu On się wyrobił i jego obecność przestała nas razić. Po studiach zaczął robić doktorat i napisał go w ciągu roku. Widocznie Inessa nie przesadzała, gdy mówiła o Jego zdolnościach. Pogodziliśmy się z jej małżeństwem, ale nigdy się do Niego nie zbliżyliśmy. A gdy po obronie doktoratu zaczął pracować, robić karierę i niebawem dostał służbowe mieszkanie, oboje z Nikołajem Wieniediktowiczem odetchnęliśmy z ulgą. Mimo wszystko On był i pozostał obcy, więc to o wiele lepiej, że nie mieszkał z nami.

Jednego możemy sobie pogratulować: tak wytrwale, z poświęceniem Go edukowaliśmy, że przyswoił sobie nasze wartości i przywiązanie do rodzinnych tradycji. Był nam wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiliśmy. Nie szczędził wysiłków, żeby zostać godnym naszego rodu, i dobrze wiedział, jak ma wychować swojego syna. Naszego wnuka. Wiedział doskonale.

Właśnie dlatego, gdy wybiła okropna godzina (na szczęście Nikołaj Wieniediktowicz jej nie dożył), On bez szemrania oddał mi chłopca, bo zdawał sobie sprawę, że sam nie zdoła wychować go tak, żeby stał się godny naszej rodziny. A ja potrafię to zrobić.

I zrobiłam.

KAMIEŃSKA

A jednak to zrobił... Nie ma już żadnych podstaw ku temu, by się pocieszać myślą, że chodziło o żart. Zrobił to i udowodnił powagę swoich zamiarów. Ale do kogo adresował swoje wyzwanie? Do Tatiany czy do niej, Nastii? To pierwsze pytanie.

I drugie: co nieznajomy zamierza teraz robić? Będzie czekał i patrzył, jak milicja usiłuje rozwiązać sprawę zabójstwa Nadieždy Starostienko, czy zechce dolać oliwy do ognia? Boże, byle nie to.

Nastia siedziała z Siergiejem Zarubinem w zimnym, wilgotnym komisariacie, któremu podlegał teren, gdzie znaleziono zabitą Starostienko. Ciało znajdowało się już w kostnicy, czekało na sekcję, ale z pomieszczenia komisariatu można było zabrać rzeczy należące do denatki. Śledczy nadzorujący dochodzenie wysłał do ekspertyzy tylko te części garderoby, na których zachowały się ślady strzału, cała reszta poniewierała się w sejfie jednego z wywiadowców.

Nastia z roztargnieniem oglądała pantofle rozmiar trzydzieści trzy i perukę imitującą krótką, stylową fryzurę. Były też tutaj wąskie bordowe spodnie, najprawdopodobniej od kostiumu, rajstopy z lycry i wążiutkie różowe figi. Tak, ofiara była wyjątkowo drobna.

– A torebka? – zapytała. – Gdzie ona jest?

– Torebki nie było – padła odpowiedź.

Nastia posłała pytające spojrzenie Zarubinowi. Ten kiwnął potakująco głową.

– To możliwe, torebka nie figuruje na liście zakupów, sporządzonej z pomocą ekspedientki.

– Jasne. – Nastia westchnęła. – Która elegancko ubrana kobieta nosiłaby starą, zniszczoną torebkę? To absurd. A co było w kieszeniach?

Wywiadowca z obwodu uśmiechnął się zagadkowo i znowu sięgnął do sejfu.

– Proszę – powiedział, kładąc na biurku foliową torebkę. – Sami zobaczcie.

Klucz. Dwie papierowe serwetki. I dwie małe figurki. Ceramiczna rybka z szeroko otwartym pyszczkiem i nagi celuloidowy ludzik.

– Leżały obok zwłok, przy samej głowie – wyjaśnił. – Ludzik był w pyszczku rybki, wystawały tylko nóżki.

– Co to jest? – mruknął Zarubin ze zdziwieniem. – Maskotki?

– Na to wygląda – potwierdziła Nastia. – Ciekawe, skąd Starostienko je wzięła? Może ukradła?

– Nie wydaje mi się. – Siergiej pokręcił głową. – Niewykluczone, że zabrała z mieszkania. Może to jakieś talizmany. Na szczęście. Popytam Wieniamina, chyba powinien wiedzieć, czy jego luba miewała dziwne upodobania.

Nastia poobracała figurki w rękach. Na palcach zostały jej czarne plamy po proszku, to znaczy, że eksperci pobrali z figurek odciski linii papilarnych. Jeżeli znaleźli odciski, zabezpieczyli je na folii daktyloskopijnej i zabrali ze sobą, a nieprzydatne już figurki zostawili tutaj. Nie ma więc obawiać, że zatrze się ślady.

– Dobrze – powiedziała, wstając. – Nie będziemy naruszać zasad gry. Zostawimy figurki, a nuż wasz śledczy zechce je dołączyć do sprawy, póki ją jeszcze prowadzi. Ale je sfotografuję, zgoda?

– No pewnie – z widoczną ulgą odparł funkcjonariusz z obwodu. – A co, jest szansa, że miasto przejmie sprawę?

– I to spora. – Zarubin się uśmiechnął. – Możesz wrzucić na luz, kolego, będziesz miał na głowie jedno zabójstwo mniej.

Do Moskwy wracali podmiejskim pociągiem. Nastia była zdumiona, że wagon był całkiem pusty. Tylko trzech młodzieńcy różnęli w karty i popijali piwo prosto z butelek.

– Coś takiego! – zawołała zdziwiona, siadając przy oknie. – Nigdy bym nie pomyślała, że w wagonach bywa zupełnie pusto.

– Ignorantka z ciebie – powiedział Zarubin drwiąco. – Od razu widać, że rzadko jeździsz.

– Czemu?

– A temu, że wagon jest nieogrzewany. Brakuje też paru szyb. Poczujesz za dziesięć minut. Nikt tutaj długo nie

wytrzyma. Jak nie wierzysz, zajrzyj do sąsiedniego wagonu, to się przekonasz.

Nastia obiegła wzrokiem wagon. Cztery górne okna były rzeczywiście wybite. Skuliła się w przeczuciu nadciągającego zimna. Pociąg ruszył i po wagonie od razu zaczął hulać bynajmniej nie ciepły jesienny wiatr.

– No i jak? – zapytał Zarubin. – Przenosimy się czy zostajemy?

– Zostajemy – odparła stanowczo, rozsiadając się wygodniej. – Tutaj można przynajmniej porozmawiać. W najgorszym razie zacznę robić wymachy rękami, żeby się rozgrzać. A poza tym nie trzeba stąd wychodzić na papierosa, przy takim wietrze nikt nie zauważy dymu. Sierioża, miałeś kiedyś do czynienia z podobnymi figurkami?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie zwracałem uwagi. Są w sklepach zabawkowych albo z pamiątkami, gdzie nigdy nie chodzę.

– A u znajomych? Może stoją u kogoś na półce? Nie?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie zauważyłem. Nie łam sobie głowy, zaraz będziemy w Moskwie, znajdziemy Wieniamina i go zapytamy, może naprawdę należą do Nadki i nie mają żadnego związku z zabójcą.

– Zabójca, zabójca, zabójca... – wyskandowała Nastia w takt stukotu kół. – Jedno jest pewne: to mężczyzna. Gdyby chodziło o kobietę, nie zapomniałaby kupić torebki.

– Ale przecież zakupy zrobiły jakieś młode dziewczyny – zaoponował Siergiej.

– Kupiły tylko to, co im kazał przestępca. Powiedział, że potrzebuje kompletu odzieży, więc postąpiły zgodnie z jego życzeniem. Nie otrzymały dyspozycji co do torebki, więc nie odważyły się dysponować cudzymi pieniędzmi, nawet jeśli o niej pomyślały.

Zanim dotarli do Moskwy, Nastia zdążyła zmarznąć na kość. Idąc peronem w stronę metra, myślała tylko o kubku gorącej kawy, gorącym prysznicu i ciepłym łóżku. Ale, niestety, na ten luksus musiała jeszcze trochę poczekać.

ZARUBIN

Poszukiwania Wieniamina zabrały sporo czasu. Zanim Zarubin go znalazł, mężczyzna był już pod dobrą datą i pragnął się wygadać, więc niełatwo było mu przerwać i zadać pytania.

– Widzisz, szefie, po Nadce ani śladu... A w ogó-óle... No sam powiedz, dlaczego jedni dostają wszystko, a inni nic? Czym Nadka jest lepsza na przykład od Tamarki, co? Dlaczego tak się jej pofarciło? Obłowiła się, zaczęła nowe życie, teraz nawet nie zajrzy do starych znajomych...

– Przypomnij sobie, Wieniaminie, czy w mieszkaniu Nadieźdy były jakieś ceramiczne figurki. Na przykład rybka.

– A po cholere jej teraz figurki? – zawołał drwiąco Bityj. – Miała je czy nie – co za różnica? W nowym życiu nie będą jej potrzebne. Ulotniła się na dobre. Ani „do widzenia”, ani adresu. No powiedz, czy tak się traktuje przyjaciół?

Żal Wieniamina był głęboki i wypływał w głównej mierze z zawiści. Mężczyzna musiał wyrzucić z siebie to, co mu leżało na sercu. Zarubin wiedział, że niczego się nie dowie, póki Wienia nie powie tego, co myśli, i nie powtórzy z piętnaście razy. Musiał cierpliwie czekać. Wreszcie uchwycił pewien spadek napięcia i wrócił do swojego pytania.

– Bądź tak dobry, Wieniaminie, i przypomnij sobie, czy Nadieźda nie miała zwyczaju noszenia przy sobie jakichś maskotek czy figurek. Może je zbierała? Kolekcjonowała? Albo przechowywała, bo przywodziły jej coś na pamięć? Zrób mi tę grzeczność i się zastanów.

– Mam wysilać mózgownicę... – burknął Brityj niejasno, posyłając Zarubinowi znaczące spojrzenie.

Siergiej wyciągnął z kieszeni dziesiątkę, a Brityj natychmiast przylgnął do niej wzrokiem.

– Przypomnij sobie, Wieniaminie. – Głos wywiadowcy był pełen anielskiej cierpliwości, jak gdyby rozmawiał z dzieckiem.
– Przypomnij.

Banknot zniknął w jego kieszeni, jakby został wyjęty przypadkiem, bez żadnej ukrytej myśli. Na twarzy Wieniamina odmalowało się gorzkie rozczarowanie, które szybko zastąpiła złość wywołana nieuzasadnionymi nadziejami.

– Po jakie lichy mam sobie przypominać? – Zirytował się. – Nie brak mi własnych problemów. Nadka prowadzi już inne życie. Czy teraz, w tym swoim nowym życiu, przypomni sobie, ile dobrego wydarzyło się między nami? Ot, czarna niewdzięczność! Jak było jej źle, to biegła do mnie, a jak się pofarciło, to o wszystkich zapomniała, o mnie w pierwszej kolejności. Nawet nie powiedziała „do widzenia”, zdzira!

Zarubin musiał zastosować drastyczne środki, inaczej nie zdołałby powstrzymać Britego.

– Wieniaminie – powiedział surowo – nie atakuj Nadieжды i nie obrzucaj wyzwiskami. To prawda, że zniknęła, ale nie ma w tym jej winy. Ona nie żyje.

Brityj wytrzeszczył oczy w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Że co? Jak to? – wybąkał. – Naprawdę zachorowała, a my się nie pokapowaliśmy?

– Ależ nie, Wienia, nie zachorowała. Została zabita. Dlatego odłóż na bok swój żal i przypomnij sobie to, o co cię pytam.

– Rozchodzi się o figurki, tak?

– Owszem – potwierdził Siergiej.

– Nie...

– Co „nie”? Mów jasno.

– Nie... Zaczekaj, jak to zabita? Kto? Za co?

Zarubin uśmiechnął się, ponownie wyjął dziesięciorublowy banknot i wręczył rozmówcy.

– Masz, wypij za spokój jej duszy. Gdybym wiedział, kto i za co ją zabił, nie traciłbym z tobą czasu i nie męczył cię pytaniami, prawda? No to jak, miała w domu ceramiczne figurki? Jakies ludziki, zwierzątka, rybki, laleczki? Plastikowe stworzonka?

W spojrzeniu Wieniamina pojawił się wreszcie cień zrozumienia.

– Nie miała – odparł stanowczo. – Nigdy nie widziałem.

– A nie mówiła, że zawsze nosi przy sobie jakiś talizman?

– Nie.

Zarubin jeszcze raz cofnął się myślami do mieszkania Nadieždy Starostienko. Szukając wczoraj dokumentów, zajrzał chyba do wszystkich szuflad i szaf, ale nie zauważył niczego, co by przypominało figurki znalezione w jej kieszeniach.

– A może je miała, ale później sprzedała albo komuś sprezentowała? Wytęż pamięć, Wienia, i powiedz: nigdy o tym nie mówiła?

– Ani razu. Zapamiętałbym.

Takie zapewnienie w ustach alkoholika brzmiało niezbyt poważnie, nie było jednak innego źródła informacji. Zarubin mógł przepytac wszystkich kompanów Nadki Tancerki, ale wiarygodność ich słów nie byłaby większa.

Postanowił nie marnować czasu. Na dzisiaj zaplanował inne zajęcia, których nie mógł odwołać ani przełożyć. Należało do nich między innymi spotkanie z mężczyzną, który dostarczał mu informacje o lokatorach swojego domu. Dom zaś był wart uwagi: zaledwie dwadzieścia mieszkań, prawie wszystkie to dawne komunałki^[5], po wysiedleniu lokatorów odremontowane, przebudowane i sprzedane dobrze sytuowanym klientom. Niektórzy z nich wzbogacili się w sposób nie do końca uczciwy i dlatego interesowali milicję choćby w celach wyłącznie profilaktycznych. Informator

Zarubina zajmował jedno z dwóch ostatnich mieszkań komunalnych, nie pracował z uwagi na niepełnosprawność i z nudów obserwował nielicznych właścicieli.

Dzisiaj Siergiej nie miał chęci o nich słuchać, ale z osobami dostarczającymi informacje należało widywać się regularnie i sporządzać notatki ze spotkań. Takie obowiązywały zasady.

– Słuchaj, Kuźmicz – powiedział po chwili wahania mężczyzna noszący roboczy pseudonim Kaszyn. – Znowu mnie boli... Nie mam siły się męczyć. Powiedziałem lekarzowi, to wypisał jakieś świństwo. Robi mi się od niego na przemian zimno i gorąco. Nie pomaga, jednym słowem. Ludzie znający się na rzeczy poradzili mi, żebym kupił pewne dobre lekarstwo. Ale ono kosztuje majątek... Nie da się jakoś pomóc, co?

– Pomyślimy – obiecał Zarubin. – Powiedz mi: masz znajomych, którzy mieszkają w arbackich zaułkach?

Kaszyn przez chwilę się zastanawiał, po czym skinął głową.

– A co potrzeba?

– Na wszelki wypadek zapamiętaj jedno nazwisko: Nadieżda Starostienko, ksywa Nadka Tancerka. Mieszka w zaułku Własjewskim. W sobotę nie wiadomo skąd zwała się na nią wielka kasa, koło siedemnastej widziano ją na ulicy w nowym ubraniu. Srebrzystoszary płaszcz i peruka z krótkich, ciemnych włosów. Z boku, rzecz jasna, nie widać, że to peruka, robi wrażenie dobrej fryzury. Ale Nadieżdę można było rozpoznać, ma charakterystyczną, wpadającą w oko twarz. Wszystko jasne?

Kaszyn, czujnie wsłuchujący się w każde słowo Siergieja, znowu kiwnął głową. Wiedział, dlaczego młody wywiadowca to mówi. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Niewykluczone, że szef chce sprawdzić swojego podwładnego, no a później się okaże, że Kaszyn nawet nie słyszał o Nadce Tancerce.

– Dziękuję ci, Kuźmicz – powiedział z wdzięcznością. – Nigdy ci tego nie zapomnę. Odwdzięczę się, możesz być pewny.

Zarubin w to nie wątpił. Należał do tych funkcjonariuszy, którzy lubią swoich informatorów, opiekują się nimi i się o nich troszczą, mimo że jego agentura była dość specyficzna. Niewyszukany wygląd i młody wiek nie pozwalały mu pozyskiwać informatorów w środowisku inteligencji oraz intelektualistów, z jakiegoś powodu nie nauczył się też zjednywać kobiet. Ale alkoholicy, włóczędzy, bezrobotni czy emeryci szybko ulegali jego urokowi, a następnie wpływowi. Chętnie dostarczali mu informacje, on zaś nie tylko interesował się nimi służbowo, lecz także poświęcał im prywatny czas i jeżeli było trzeba, pomagał. Jak na przykład teraz Kaszynowi.

Wróciwszy do pracy, Siergiej włożył czystą kartkę do maszyny i wystukał notatkę, opatrując ją wczorajszą datą. Informator Kaszyn oznajmił w poufnej rozmowie, że w sobotę koło siedemnastej widział znaną mu Nadieżdę Starostienko... i tak dalej. Po złożeniu raportu Kaszyn otrzymał zadanie dalszego zbierania informacji o Starostienko i jej otoczeniu, ma również poczynić wysiłki w celu ujawnienia źródła pochodzenia pieniędzy. Później Zarubin zanieśe notatkę gdzie trzeba, zarejestruje ją i napisze jeszcze jedną, mówiącą, że za wartościowe i aktualne informacje agentowi Kaszynowi przysługuje wynagrodzenie w wysokości stu rubli. Po denominacji. Powinno mu wystarczyć na lekarstwo. Bo jeżeli ktoś się utrzymuje z przyznanej mu przez państwo emerytury, która wynosi dwieście piętnaście rubli, to pewne, że nie kupi potrzebnych lekarstw. O ludzi zaś trzeba dbać. W żargonie milicyjnym nazywa się to „ściemnianie”, ale przecież to dla dobra... Są tacy gliniarze, którzy „ściemniają” w porozumieniu ze swoimi informatorami, dostają pieniądze i razem je przepijają. I tak się zdarza. Siergiej Zarubin nigdy sobie na to nie pozwalał. Sytuację, gdy należało komuś pomóc, postrzegał w zupełnie innych kategoriach.

IRINA

Dzisiaj ma wolny dzień. Wolny w tym sensie, że rano Stasow odwiózł małego Griszeńkę do swojej matki. Był to cotygodniowy i surowo przestrzegany rytuał: we wtorki wnuka odwożono do babci, a po lekcjach przyjeżdżała tam również córka Stasowa z pierwszego małżeństwa, dziesięcioletnia Lila. Nie w sobotę ani nie w niedzielę, kiedy, zdaniem seniorki Stasowej, dzieci powinny spędzać czas z rodzicami, ale właśnie we wtorki, gdy miała dzień biblioteczny^[6] i mogła nie iść do pracy.

We wtorki Irocza Miłowanowa odwiedzała rynki i duże sklepy, gdzie nie sposób przepychać się z rocznym dzieckiem. O tym, żeby zostawić chłopca w wózku przed wejściem, nawet nie było mowy. Zwłaszcza po tamtym strasznym wypadku na ulicy Wierchniaja Krasnosielskaja, kiedy to ukradziono niemowlaka z wózka stojącego przed drzwiami poradni dla kobiet, do której szczęśliwa mamusia zajrzała dosłownie na minutę, żeby podziękować lekarzom za pomoc okazaną w czasie trudnej ciąży. Wyszła, a dziecka nie ma. W całej Moskwie aż huczało. Pojawiło się mnóstwo ogłoszeń: i w telewizji, i w radiu, i porozklejanych na murach domów: „Pomóżcie znaleźć Jegora!”. Ale wszystko na nic. Chłopczyka nie znaleziono. Matka się załamała i popełniła samobójstwo. Wspominając tę historię, Irocza za każdym razem wybuchała płaczem zarówno z litości dla nieszczęsnej matki, jak i ze strachu o Griszę.

Dzisiaj, we wtorek, gdy tylko została sama, zrobiła listę niezbędnych zakupów, obmyśliła trasę i udała się na duży bazar odzieżowy. Nadchodzą chłody, Stasow potrzebuje nowego szalika, Tatiana – porządnego żakietu, najlepiej szarego albo ciemnoniebieskiego, a ona, Irina, powinna sprawić sobie nowe dżinsy, bo stare się wyświeciły i wytarły na

kolanach od ciągłych zabaw z dzieckiem na podłodze. Wszystkim członkom rodziny trzeba też kupić grube, „wiejskie” skarpety, w których wygodnie się chodzi po domu, gdy jest zimno. O wiele lepiej niż w kapciach. Po wyjściu z bazaru Ira wstąpi na pobliskie targowisko, żeby uzupełnić zapasy oleju, drożdży i mąki. Spośród wszystkich dań najbardziej lubiła piec rozmaite ciasta i bułeczki, toteż mąka i drożdże rozchodziły się błyskawicznie w jej gospodarstwie.

Na bazar można było pojechać autobusem, ale Irina wolała się przejść. Gdy tylko minęła bramę wejściową, natychmiast zaczepiła ją nieznana kobieta w średnim wieku.

– Ojej, niech mi paniusia pomoże – wyjęczała, podając jej jakąś kartkę. – Nie mogę otworzyć losu. Kupiłam na loterii, ale nie mam siły otworzyć. Choruję, a pani jest taka młoda i silna...

Ira odruchowo wzięła parokrotnie złożony i przeszyty metalowym kółeczkiem los, spróbowała go naderwać, ale zadanie okazało się niełatwe. Los się nie poddał. Czując opór, szybko oddała go kobiecie.

– Przepraszam – wybąkała. – Bardzo się śpieszę.

Jednakże parę metrów dalej historia się powtórzyła. Tym razem zatrzymała ją młoda kobieta z cierpiętniczą miną.

– Niech pani będzie tak dobra i pomoże mi otworzyć los. Sama nie daję rady. Kupiłam go...

Ira udała, że nie słyszy, i pośpiesznie prześlizgnęła się obok. Dziwna sprawa z tymi losami, pomyślała, ale zaraz potem jej uwagę zaprzętnęło poszukiwanie potrzebnych artykułów. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy usłyszała kolejny głos.

– Przepraszam, mogę prosić o pomoc? Kupiłam los na loterii, ale nie mogę go otworzyć, nie potrafię...

– Nie do wiary – zdziwiła się Ira. – Ilu was się tutaj kręci? Bez przerwy mnie zaczepiacie!

Czyjaś ciężka ręka opadła na jej ramię. Irina obejrzała się ze strachem i zobaczyła potężnego osiłka z wielce nieprzyjemnym

wyrazem twarzy.

– Zjeżdżaj stąd – wysyczał. – I to migiem. Żebyś cię tutaj nie widział. No już!

Popchnął ją lekko, ale waga zgrabnej młodej kobiety okazała się tak nikła w porównaniu z masą jego mięśni, że Irocza przeleciała ze trzy metry do przodu i omal nie straciła równowagi. Z trudem się opanowała, zacisnęła zęby i połykając łzy strachu i rozżalenia, ruszyła pomiędzy rzędami. Natarczywe kobiety z losami w rękach zastępowały jej drogę zatrważająco regularnie, dosłownie co dwie, trzy minuty, więc czuła się niepewnie. Starła się zachować spokój, odwracała wzrok, udawała, że nie słyszy, albo ze skruchą bąkała: „Przepraszam, nie mam czasu” i pośpiesznie zmieniała kierunek. Ze zdenerwowania nie mogła się skupić, patrzyła na wywieszane rzeczy i nie potrafiła stwierdzić, czy to akurat to, czego potrzebuje, i czego tutaj w ogóle szuka. W chwili, gdy napięcie nerwowe sięgnęło zenitu, znowu ktoś ją zaczepił. Tym razem była to niechlujna baba ze złotymi zębami, przypominająca Cyganekę.

– Ej, ślicznotko, zrób mi tę łaskę i pomóż otworzyć los, dobrze? Męczy mnie podagra, palce są chore i nieposłuszne.

W tym momencie Irocza nie wytrzymała. Zapomniała o ostrożności i krzyknęła na całe gardło:

– Czy wy nie macie sumienia? Nie dajecie mi ani chwili spokoju! Zaczepiacie na każdym kroku, nie pozwalacie przejść! Odczepcie się ode mnie! Zaraz wezwę milicję!

Ktoś chwycił ją z tyłu i lekko poderwał w górę.

– Zabieraj się stąd, bo pogruchoczę ci kości. Zrozumiałaś? No dalej, ruszaj!

Pozwolono jej się uwolnić, ale nie obejrzeć. Łatwość, z jaką ją podniesiono, pozwalała przypuszczać, że stał za nią taki sam jak poprzednio osiłek. Na rynku pracowała dobrze zorganizowana grupa, tylko nie wiadomo było, czym właściwie

się zajmowała. Na pewno nie chodziło jednak o pomoc bliźniemu.

Przerażona Irocza rzuciła się na oślep przez tłum. Nie wiedziała, jak dotarła do wyjścia. Widocznie nogi same ją niosły. Zatrzymała się dopiero koło targowiska, żeby złapać oddech. Trzęsła się z oburzenia i ze strachu, po policzkach spływały jej łzy.

– Ira? – Usłyszała tuż obok znajomy głos. – Co pani jest? Dlaczego pani płacze?

Stał przed nią sąsiad we własnej osobie. W taniej kurtce, starych dżinsach i z torbą w rękach.

– Ojej, Andriej Timofiejewicz...

Ira pociągnęła nosem, a potem się rozszlochała, wtulając twarz w jego kurtkę. Sąsiad delikatnie poklepywał ją po plecach, czekając, aż się uspokoi.

– No co się stało, moja kochana? Ktoś ukradł pani pieniądze?

Ira zreflektowała się i sięgnęła do torebki. Nie, wszystko w porządku, portmonetka jest na swoim miejscu. Wyjęła chusteczkę, wytarła oczy i drżącym ze wzburzenia głosem opowiedziała Andriejowi Timofiejewiczowi, co ją spotkało na bazarze.

– Chcę zawiadomić milicję – oznajmiła stanowczo. – To skandal! Zaczepiają ludzi w biały dzień, chcą zrobić jakieś świństwo...

– Jakie? – zapytał sąsiad niewinnie.

– Sama nie wiem... – Zmieszała się. – Ale na pewno świństwo, prawda?

– Chyba tak – przyznał. – Tyle że zna pani, moja droga, naszych milicjantów. Do nich nie chodzi się z podejrzeniami. Do nich chodzi się z faktami. Na przykład z faktem kradzieży albo oszustwa. Okradziono panią?

Ira pokręciła głową.

– Na szczęście nie.

– Oszukano?

– Też nie. Ale nie pozwoliłam im na to! Rozumie pan? Nie pozwoliłam! – zawołała rozemocjonowana. – Gdybym dała się wciągnąć w historię z losem, nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło. Chcę zgłosić, że na bazarze działa banda. Milicja powinna się nią zająć.

Andriej Timofiejewicz roześmiał się głośno i dobrodusznie.

– Jest pani niepoprawna! Sądzi pani, że milicja o tym nie wie? Przeciwnie, moja droga! Proszę przyjąć do wiadomości, że nasza kochana milicja wie wszystko o wszystkich. O tych osobnikach z losami też.

– Więc dlaczego...

Ira się zawahała. Racja, czy ona oszalała? Tyle lat spędziła z Tatianą, śledczą, spokrewniła się ze Stasowem, który przepracował dwadzieścia lat w wydziale kryminalnym, codziennie czytała gazety i oglądała telewizję, a mimo to zachowała się strasznie głupio! To niewybaczalne. Postradała rozum ze strachu i zdenerwowania. A jednak to prawda, że gdy sprawa dotyczy innych, człowiek rozumuje chłodno i rozsądnie; gdy zaś jest w coś uwikłany, jego umysł pracuje zupełnie inaczej.

– Słusznie – powiedziała cicho. – Nie pomyślałam o tym. Zawiadomienie milicji byłoby szczytem głupoty. Chyba straciłam głowę. To dlatego, że jest ich tam pełno, a te draby wyglądają groźnie.

Już miała znowu się rozpłakać, ale się opanowała.

– No to wszystko w porządku. – Sąsiad się uśmiechnął. – Zrobiła już pani zakupy?

– Nie, muszę jeszcze...

– Doskonale. Ja też przyjechałem po różne rzeczy. Przespacerujmy się razem po targowisku, kupimy, co trzeba, i pojedziemy do domu. Niech mi pani tylko obieca, że nie będzie już płakać.

W towarzystwie wysokiego, barczystego sąsiada Ira nie czuła strachu, więc już jakieś dziesięć minut później uśmiechała się i szczebiotała jak zwykle.

– Niech pani kupuje, co tylko chce – nieustannie powtarzał Andriej Timofiejewicz. – I korzysta z darmowej siły roboczej. Dzisiaj to ja będę taszczył zakupy.

– Zgoda – powiedziała Ira kokieteryjnie. – Wezmę nie trzy kilogramy mąki, ale pięć. Musi mi pan tylko dać słowo, że codziennie będzie do nas przychodził na ciasto.

– Proszę wziąć choćby dziesięć – odpowiadał sąsiad w tym samym tonie. – Będę was odwiedzał dwa razy dziennie i zabierał ze sobą pani wypieki.

Gdy jednak wracali autobusem, ożywienie Iroczi zniknęło. Przypomniła sobie swoje niedawne przerażenie i siedziała markotna i przybita.

– Iro, jest pani... – Sąsiad zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – Bezbronna, można powiedzieć. Aż strach zostawiać panią samą. Zwłaszcza po tym, co się przydarzyło Tatianie i jej przyjaciółce. A przy okazji, czy Tatiana przekazała pani moją radę?

Ira podniosła na niego smutne, zmęczone oczy i zapytała:

– Radę? Jaką radę?

– Kiedy jest pani sama w domu, proszę nikomu nie otwierać drzwi, zanim nie zadzwoni pani do mnie. Wtedy wyjdę na klatkę schodową i zobaczę, kto panią niepokoi.

– A jeśli nie będzie pana w domu?

– Wtedy proszę nie otwierać. Nawet nie podchodzić do drzwi i nie pytać, kto tam.

– Też pan wymyślił. – Uśmiechnęła się słabo i machnęła ręką.

– Czemu?

– Jak niby mam nie otwierać drzwi? Nie rozumiem.

– To proste. Nie otwierać i tyle. Co w tym trudnego? Zapewniam, że to o wiele łatwiejsze, niż pani sądzi.

– A jeśli to będzie coś ważnego?

– A jeśli nie będzie pani w domu? – odpowiedział Andriej Timofiejewicz pytaniem na pytanie. – Przecież może się tak zdarzyć.

– Ale przecież będę w domu – zaproponowała Ira rozsądnie.

– Przypuśćmy, że w danej chwili będzie pani nie w domu, ale w autobusie. – Sąsiad się roześmiał. – Krótko mówiąc, Iro, podejźmy poważnie do sprawy. Pani krewna martwi się tym, co się wydarzyło w sobotę, a ponieważ jest osobą doświadczoną i przewidującą, ma chyba podstawy do niepokoju, inaczej by się nie denerwowała. Skoro nie wierzy pani mnie, proszę uwierzyć jej. O, jesteśmy na miejscu.

Zaniósł ciężkie torby do mieszkania Stasowów. Przy okazji rzucił okiem na zamek w drzwiach i kiwnął głową z aprobatą.

– Macie dobre drzwi i porządny zamek. Ale proszę pamiętać, moja droga, że dla tego, kto zechce panią skrzywdzić, to żadna przeszkoda. Niech pani posłucha moich rad, zaklinam.

Zamknawszy drzwi za sąsiadem, Ira zabrała się do gotowania. Nie mogła przestać myśleć o incydencie na bazarze. Paniczny strach minął, ale pozostały zdumienie oraz chęć, by zrozumieć, o co tutaj chodzi. Żadne rozwiązanie nie przyszło jej jednak do głowy. Musi poczekać na Tatianę albo na Stasowa. Oni na pewno znają te wszystkie sztuczki.

Stasow długo się śmiał, wysłuchawszy jej smutnej i emocjonalnej opowieści.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała urażona Irina. – Dla ciebie to zabawne, a ja się najadłam strachu.

– Wyobrażam sobie. Jesteś naszą małą bojowniczką o praworządność. Ale w jednym przyznaję ci rację, Irusiu: z przykrością i z żalem stwierdzam, że zawiadanie milicji nie miało sensu. Stróże prawa na pewno dostają swoją działkę, z podejrzeniami lepiej się do nich nie zwracać, bo cię wyśmieją i przepędzą na cztery wiatry. Nasz sąsiad wykazał się rozsądkiem, szybciej niż ty doszedł do tego wniosku.

Trochę to dziwne, skąd w nim taka mądrość, przecież w odróżnieniu od ciebie na co dzień nie obcuje z milicjantami.

– A o co tutaj chodzi? Czy to jacyś oszuści? – zapytała zaciekawiona Ira.

– Jedno z dwojga. Najprawdopodobniej to działający w grupie kieszonkowcy. Bierzesz od kogoś los, on jednak jest mocno zszyty, więc trzymasz go w rękach i koncentrujesz na nim uwagę. Nie pilnujesz torby ani kieszeni. Ot, i cała filozofia. Możliwy jest też nieco inny wariant. Na przykład: otwierasz los; okazuje się, że jest wygrany, a wtedy biedna kobieta mówi, że się śpieszy, bo ma chore dziecko w domu, albo że zaraz ucieknie jej pociąg, i proponuje ci, żebyś odebrała wygraną zamiast niej, a kwotę, na którą opiewa los, dała jej już teraz. Może być nawet mniej, bo ona nie może czekać i zgadza się przyjąć choćby część. Na przykład wygrana wynosi sto rubli. Kobieta prosi, żebyś jej dała przynajmniej siedemdziesiąt, bo dzięki temu zaoszczędzi czas. Chętnie wręczasz jej pieniądze i biegniesz do punktu, w którym, jak powiedziała, można kupić losy i odebrać wygrane. Tam, rzecz jasna, niczego nie ma. Albo jest coś innego. Albo punkt wprawdzie jest, ale okazuje się, że twój los nie ma znaków wodnych, czyli że go podrobiono. I na tym koniec. Istnieje jeszcze jedna możliwość: los przyniósł wygraną, która jest jednak rzeczowa, a nie pieniężna – to na przykład kuchenka mikrofalowa. Schemat wygląda podobnie: kobieta mówi, że nie ma czasu i że nie potrzebuje mikrofalni, oddaje ci los, w dodatku za darmo albo za niewielką rekompensatę, wynoszącą dwadzieścia, trzydzieści rubli. Idziesz z losem do punktu sprzedaży i się dowiadujesz, że kuchenka mikrofalowa jest tylko jedna, a wygrane losy są dwa. Obok stoi klient; on też kupił przed chwilą los, w którym widnieje napis „kuchenka mikrofalowa”. Pada propozycja, żebyście o nią zagrali, jak w pokerze: kto postawi większą sumę, ten wygrywa i zabiera kuchenkę oraz pieniądze. Dalej wszystko jest jasne. Tamten facet zawsze

będzie miał więcej pieniędzy niż ty, nawet jeżeli jesteś milionerką. Zostaniesz więc bez forsy i bez kuchenki. W sumie, Irusiu, jesteś bardzo dzielna, nie dałaś się wciągnąć i nie wpadłaś w kłopoty. W takich sytuacjach nie można się jednak oburzać, tutaj popełniłaś błąd. Pamiętaj, że teraz mało kto pracuje sam, więc przy najmniejszej próbie zdemaskowania oszusta od razu oberwiesz po głowie. Nie tylko w przenośni, ale i dosłownie. Odpowiedziałem na twoje pytania? W takim razie odpowiedz na moje. Pierwsze brzmi następująco: gdzie jest moja żona? I drugie: kiedy dostanę coś do jedzenia?

– Twoja żona uprzedziła, że wróci późno. Pojechała do Nastii na Pietrowkę, żeby się naradzić. A jedzenie już podaję.

Stasow nie czekał na Tatianę, musiał jeszcze odebrać Griszeńkę od matki. Niebawem Irina znowu została sama. Koło dziesiątej ogarnął ją irracjonalny lęk, samotność w pustym mieszkaniu wydała jej się nie do zniesienia. Tania pojechała na Pietrowkę, a więc w naradzie bierze udział parę osób, w przeciwnym razie Nastia wpadłaby do nich jak zwykle. Czy to znaczy, że sprawa jest aż tak poważna? Czyżby Andriej Timofiejewicz miał rację?

Mimo wszystko nie mogła w to uwierzyć.

[4] Rajkom (*rajonnyj komitet*) – komitet rejonowy.

[5] Duże mieszkania komunalne, w których każdy pokój zajmowała jedna rodzina, a kuchnia, łazienka i przedpokój były wspólne.

[6] Dzień wolny przysługujący pracownikom uczelni, przeznaczony na zajęcia własne, np. studiowanie literatury naukowej czy wyjście do biblioteki.

Rozdział 5

OBRAZCOWA

To się wydarzyło jedenaście lat temu... Tatiana była wtedy młodą śledczą, ale odnotowała już na swoim koncie pewne sukcesy. Niektóre z nich niesłychanie drażniły przełożonych. W ramach rekompensaty za doznane straty moralne częściej niż innym śledczym podrzucali jej „niestrawne” sprawy. Nudne, drobne, uciążliwe. Albo takie...

Gorszkow miał zaledwie siedemnaście lat i w rozumieniu prawa był osobą nieletnią. Problem polegał jednak na tym, że sytuacja przedstawiała się w ten sposób w chwili popełnienia przestępstw. Szukano go przez długie miesiące, w tym czasie zdążył dojrzeć i zaliczyć kolejne urodziny. Zanim go przesłuchano w charakterze podejrzanego, a później oskarżonego, stuknęła mu osiemnastka i można się było podzielić dochodzeniem z prokuraturą. W tamtych latach postępowania w sprawach nieletnich prowadzili, co prawda, śledczy z prokuratury, ale ponieważ Gorszkow zdążył już wyprawić osiemnastkę, uznano, że nie dojdzie do naruszenia przepisów, jeżeli sprawa pozostanie w milicji. No i została. Przekazano ją Tatianie Grigorjewnie Obrazcowej. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyznaczyć mężczyznę, ale tamtego dnia szef był w fatalnym nastroju, chodził zły jak osa i tylko perspektywa tego, żeby po raz kolejny dopiec młodej, nadgorliwej podwładnej, mogła go choć trochę pocieszyć.

Chłopak nazwiskiem Gorszkow wyróżnił się tym, że nachalnie zaczepiał nieznajome dziewczęta i kobiety w różnym wieku, po czym dopuszczał się tego, co w prawie karnym nosi nazwę nieobyczajnego wybryku, a w seksuologii – ekshibicjonizmu. Lubił też porozmawiać z przerażonymi dziewczętami, które dopadał w windach albo na pustych

klatkach schodowych, a nawet je podotykać. Tego rodzaju incydentów było wiele i za każdym razem należało zebrać i zabezpieczyć dowody, w tym również przeprowadzić konfrontacje, to znaczy wezwać ofiary, które wcale nie pragnęły spotkać się z prześladowcą, i w jego obecności powtórzyć wszystkie szczegóły zdarzenia. Potem odbywała się ekspertyza sądowo-psychiatryczna, która trwała ni mniej, ni więcej, tylko miesiąc. Lekarze uznawali, że Gorszkow jest poczytalny, choć cierpi na psychopatię.

Przesłuchania były dla Tatiany prawdziwą udręką. Gorszkow wpatrywał się w nią intensywnie, uśmiechał się bezczelnie, a na pytania odpowiadał na przykład tak: „A może zobaczymy, co masz w majtkach?”, „Widziałaś kiedyś, jak chłopcy się onanizują?”, „Ile razy w tygodniu bzykasz się ze swoim facetem?”.

Tatiana była zbyt dumna, żeby pójść do szefa i poprosić o przekazanie sprawy innemu śledczemu. Postanowiła, że zniesie tę katorgę i dotrwa do zwycięskiego końca. Może taki wyczyn nie był nikomu potrzebny, ona jednak broniła swojej reputacji. Wzdrygając się ze wstrętu, a niekiedy ze strachu, uparcie prowadziła przesłuchania i konfrontacje, tylko od czasu do czasu pozwalając sobie na parę słów skargi w rozmowach z kolegą, który zawsze traktował ją życzliwie.

– Po co się męczysz? – Nie wytrzymał któregoś dnia. – Wystarczy, że szepniemy to i owo funkcjonariuszom SIZO[7], a kolesie pod celą szybko go wyprostują. Do końca życia będzie grzeczny.

– I tak go tam prostują. – Tatiana uśmiechnęła się gorzko. – Zboczeńcy nigdzie nie są lubiani – ani w areszcie, ani w więzieniu. Ale jaki z tego pożytek? Chłopak jeszcze bardziej dziczeje. Psychopata, czego się po takim spodziewać?

Gorszkow rzeczywiście zachowywał się arogancko i coraz prymitywniej. „Jakiego koloru masz biustonosz? Niebieski czy

biały?”, „Jaki rozmiar nosisz? Pewnie duży...”, „A ile razy dochodzisz w ciągu jednej nocy?”.

W końcu zaczął chwytać Tatianę za ręce i proponować seks na biurku. Wszystko można by już dawno przerwać, ona jednak walczyła o swoją pozycję, za nic nie chciała pokazać szefowi, że się poddała, nie poradziła sobie i się przestraszyła. Zaciśnęła zęby i cierpliwie prowadziła sprawę aż do chwili sporządzenia aktu oskarżenia. Tylko raz puściły jej nerwy.

– Wiesz, Gorszkow, bardzo się cieszę, że tak długo cię szukano – powiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. – Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że w ciągu tych miesięcy zdażyłeś popełnić wiele przestępstw i że gdyby cię wcześniej schwytano, toby do tego nie doszło. I skrzywdziłbyś nie dwadzieścia dziewcząt, ale tylko dwie. Żal mi ich wszystkich. Ale i tak się cieszę, że cię długo ścigano.

– Niby czemu? – zapytał Gorszkow czujnie.

– A temu, że gdyby cię złapano od razu, przestępstw byłoby niedużo, postępowanie szybko dobiegłoby końca, miałbyś dopiero siedemnaście lat i wysłano by cię do zakładu dla nieletnich. Za jedno czy dwa molestowania dostałbyś najwyżej rok. I spędziłbyś go ze smarkaczami, bo nikt by cię nie przeniósł do zakładu dla dorosłych na parę miesięcy. Wśród małolatów uchodziłbyś za bohatera, seksualnego macho, doświadczonego i wytrawnego. Ale nie miałeś szczęścia, Gorszkow. Zbyt długo cię ścigano. Teraz jesteś już pełnoletni, a popełnionych przestępstw wystarczy na co najmniej pięć lat. Oskarżę cię z paragrafu sto dwadzieścia, odpowiesz też za czyny chuligańskie, w dodatku notoryczne, popełniane ze szczególnym cynizmem. Jak dobrze pomyślę, znajdę coś jeszcze. W sumie zbierze się jakieś osiem lat. I pójdiesz odsiadywać wyrok z dorosłymi facetami. Wielu z nich ma dzieci, siostry, narzeczone i żony. Dla nich będziesz skończonym draniem, a nie bohaterem. Nie dadzą ci żyć, Gorszkow, możesz mi wierzyć. Prawdopodobnie w ogóle

stamtąd nie wyjdiesz. Albo cię okaleczą w zakładzie, co jest bardzo możliwe, albo pobiją, a ty spróbujesz się odegrać i zainkasujesz nowy wyrok. A później jeszcze jeden i jeszcze jeden. Nawet jeżeli pozostali więźniowie darują ci życie, to zrobią, co tylko w ich mocy, żebyś nigdy nie wyszedł na wolność. Są w tym mistrzami, opracowali całą strategię, jak prowokować zeków, a potem oddawać pod sąd za nowe przestępstwo. Chwytasz? W takim razie przejdźmy do kolejnego incydentu...

Jej szczerłość nie odniosła, rzecz jasna, żadnego skutku. Gorszkow jeszcze bardziej się rozżłościł, ale Tatiana była zadowolona, że powiedziała mu to, co powiedziała. Poczowała ulgę.

Doprowadziła postępowanie przygotowawcze do końca, sporządziła akt oskarżenia, a potem z satysfakcją obserwowała Gorszkowa, gdy czytał długi, wielostronicowy dokument. Robił to wolno, ale nie dlatego, że wnikliwie analizował tekst. Po prostu ledwie sylabizował.

– Dobra – oznajmił z pogroźką w głosie, rzucając kartki na biurko. – Zapłacisz mi za to, suko. Odsiedzę, ile mi dadzą, ale później się spotkamy, Tatiano Grigorjewna. Może będę miał szczęście w sądzie, a wtedy spotkamy się już niedługo. Więc czekaj na mnie, kochana, bo wrócę. I nie zapomnij się umyć, nie lubię brudasek.

W sądzie nie miał szczęścia, za wszystkie przestępstwa skazano go łącznie na siedem lat. Słowa Tatiany okazały się prorocze, w zakładzie też mu się nie poszczęściło, bo skazaniec z największym autorytetem na oddziale miał osobisty i wielce nieżyczliwy stosunek do wszelkiej maści gwałcicieli i zbrojców. Podjąwszy próbę obrony własnej, Gorszkow okaleczył kogoś i dostał nowy wyrok.

– Złożyłam zapytanie – oznajmiła Tatiana zrezygnowanym tonem. – Aleksander Pietrowicz Gorszkow, rok urodzenia sześćdziesiąty dziewiąty, opuścił zakład karny w maju

bieżącego roku. Udał się niby do obwodu twerskiego, ale jeszcze tam nie dotarł. Miejsce jego pobytu pozostaje nieznane.

W pokoju zapadła cisza. Nastia i Korotkow patrzyli na nią ze współczuciem. Misza Docenko wbił wzrok w leżącą na biurku kartkę z odpowiedzią na zapytanie. Obwód twerski sąsiaduje z moskiewskim, to niedaleko.

– Tatiano Grigorjewna – powiedział, jak zwykle zwracając się do niej oficjalnie. – Czy ten Gorszkow może być zabójcą? Zawsze sądziłem, że sprawca przestępstw seksualnych różni się nieco od zabójcy. Że to różne typy osobowości.

– Daj spokój, Misza. – Korotkow machnął ręką. – Może czy nie... To tylko nasze dywagacje. W dodatku nazywasz go szumnie, jak na inteligenta przystało, sprawcą przestępstw seksualnych, ja zaś z bolszewicką prostotą powiem, że to zboczeniec, i będę miał rację. Gdy człowiek staje się zboczeńcem, to na długo. Można powiedzieć, że na resztę życia. A jego mania może się przejawiać na różne sposoby. Nie jest tak? No powiedz, Asiu, mam rację?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Trzeba by zapytać specjalistów.

– A co tu poradzą specjaliści? – ciągnął rozgorączkowany Jurij. – Mało to było zabójców z zaburzeniami na tle seksualnym? Weźmy chociażby legendarnego Gołowkina zwanego Dusicielem, że nie wspomnę o Czikatile. Pragnął oryginalnych doznań seksualnych, a skończyło się kupą okaleczonych zwłok. Tak to wygląda. Taniu, masz zdjęcia Gorszkowa?

– Znajdą się. Ale co z czasem, Jura? Amatorskie fotki dostaniemy na pewno od jego rodziców, tyle że na nich ma najwyżej siedemnaście lat. Teraz skończył dwadzieścia dziewięć, z czego ponad dziesięć spędził w zakładzie, więc nie rozpoznamy go na podstawie tamtych zdjęć.

– Zgadza się – podchwycił Docenko. – Ale można wziąć ostatnie zdjęcia, zrobione w zakładzie do zaświadczenia o zwolnieniu. Są, oczywiście, „martwe”, nie wiadomo też, jak facet się teraz czesze, zrobimy jednak parę portretów w komputerze. Spróbujemy...

– Co spróbujemy? – przerwał mu Korotkow, wyraźnie zniechęcony. – Pokażemy zdjęcie wszystkim uczestnikom telemostu, którzy byli na Arbacie? Po pierwsze, zajęłoby to rok, a po drugie, nic by nam nie dało. Założmy, że nikt go sobie nie przypomni. To przecież wcale nie oznacza, że go tam rzeczywiście nie było. Założmy, że ktoś go sobie przypomni. Będziemy wiedzieć, że to właśnie on z nami pogrywa, i co z tego? Musimy go przecież znaleźć; kłopot polega na tym, że nie wiemy, gdzie szukać. Wyślemy za nim, oczywiście, list gończy, nie możemy jednak wiązać z tym wielkich nadziei. Potrzebne są pomysły.

Pomysły. Skąd je wziąć? Tatiana pomyślała, że teraz, o wpół do jedenastej wieczorem, siedzi na Pietrowce i nic jej nie grozi, póki nie wyjdzie na ulicę. Ale nie może siedzieć tutaj wiecznie. Najgorsze jest to, że nie wiadomo, czy uda jej się rozpoznać Aleksandra Pietrowicza Gorszkowa, nawet gdyby go zobaczyła na ulicy albo w autobusie. Minęło jedenaście lat; w tym czasie miała do czynienia z tyloma podsądnymi, że ich twarze zlały się w jej pamięci. Niektórych pamięta dobrze, innych wcale, ale żeby rozpoznać kogoś po jedenastu latach, musiałyby znać detale jego twarzy i mimikę. A detale się zatarły... Może, oczywiście, odtworzyć w pamięci wygląd nieszczęsnego Gorszkowa, ale bez owych detali co drugi przechodzień będzie jej go przypominał.

Nastia jakby czytała jej w myślach.

– Taniu, dobrze pamiętasz jego twarz? – zapytała.

Obrazcowa pokręciła głową.

– Tylko w ogólnym zarysie. Albo go w ogóle nie rozpoznam, albo zacznę rozpoznawać w każdym.

– Jasne. W takim razie pozostaje jedno: szukać go od wewnątrz.

– Od wewnątrz? – zapytał Korotkow. – Co masz na myśli?

– Samego Gorszkowa. Jura, on ma jakiś plan, jakieś ukryte zamiary. Mógł przecież odszukać Tatianę, to nietrudne, biorąc pod uwagę jej popularność literacką. Odszukać i... Jednym słowem, wiadomo. Ale nie zrobił tego. Zainscenizował sztukę, w której występuje jako reżyser i aktor. To znaczy, że czegoś chce. Czego? Ze wszystkich obecnych tutaj tylko Tatiana z nim rozmawiała, i to wielokrotnie, tylko ona zna jego charakter i mentalność. Więc tylko ona może się domyślić i odpowiedzieć na pytanie, czego on chce. Gdy to zrozumiemy, znajdziemy sposób, jak dać mu to, czego chce, żeby go powstrzymać.

– Powstrzymać czy schwytać? – Poirytowany Korotkow zmrużył oczy. – Zauważ, koleżanko, że pracujemy w organach ścigania, a nie w organizacji dobroczynnej. Zanim pojawiły się zwłoki Starostienko, mieliśmy jeszcze prawo zatrzymać Gorszkowa i uznać, że na tym nasza misja się kończy. Ale on już pokazał, że potrafi zabijać i że nie brzydzi się tym przykrym zajęciem. Dlatego powinniśmy go znaleźć, zakuć w kajdanki i odstawić do aresztu. Dzisiaj, Asiu, mówimy już nie o Żartownisiu, lecz o zabójcy.

Nastia opuściła głowę i wsparła czoło na dłoniach. Przez chwilę Tatiana miała wrażenie, że Kamińska zaraz się rozplacze, ale przyjrząwszy się bliżej, zobaczyła, że przyjaciółka usiłuje stłumić uśmiech. Gdy parę sekund później Nastia podniosła głowę, jej twarz była na powrót beznamiętna.

– Szybko przestałeś być wywiadowcą, Jurik, i stałeś się szefem. Mówię to nie w formie krytyki, stwierdzam jedynie fakt. Jak każdy kompetentny przełożony wskazujesz podwładnym pożądany wynik: należy złapać zabójcę i zebrać dowody jego winy. W tej kwestii masz rację.

– A w jakiej nie mam? – zapytał Jura drwiąco.

- A w tej, moje słoneczko, że oprócz skomplikowanych zadań, za których wykonanie dostajemy od państwa wynagrodzenie, są jeszcze żywi ludzie, którzy chodzą po ulicach, jedzą, piją, śpią, kochają, liczą na coś, robią plany na przyszłość. I niektórzy z nich umrą tylko dlatego, że nasz Gorszkow czegoś zapragnął. Czegoś w pikantnym sosie. Ludzie nie są niczemu winni. Jeszcze niedawno świetnie o tym pamiętałeś. Żeby ocalić im życie, musimy zrozumieć, czego on chce. Pał diabli, jeżeli go nie złapiemy. Ważne, żeby go powstrzymać.

Tatiana podzielała opinię Nastii. Ale jakże trudno zrozumieć, czego chce mężczyzna, który jedenaście lat temu udawał macho. I to takiego, którego kobiety się boją i uwielbiają zarazem. Gorszkow czerpał satysfakcję z przerażenia malującego się na twarzach dziewcząt i kobiet, czuł rozkosz, gdy rozchyłał płaszcz i pokazywał im przedmiot swojej dumy, patrząc przy tym w ich oszalałe ze strachu oczy. Zawsze wybierał ofiary, które były od niego niższe. A Nadieżda Starostienko była niewysoka i drobna...

- Chce czuć dominację, ale nie za sprawą siły i rzeczywistej przewagi. Upaja się słabością innych - powiedziała Tatiana wolno. - Zawsze wybierał szczupłe i słabe kobiety. Chciał, żeby się go bały. I dostawał ataku szału, kiedy spotykał kogoś, kto się go nie bał. Pewnie unikał osób, które mogły się go nie przestraszyć. Stąd jego zachowanie na przesłuchaniach. Swoją posturą nie przypominałam kobiety, która mogłaby się przestraszyć jego walorów fizycznych. Starał się więc zbić mnie z tropu, bo zakłopotanie to oznaka słabości, to już niemal strach. Gdybym poprosiła wtedy o przekazanie sprawy innemu śledczemu, Gorszkow uznałby to za swoje zwycięstwo. Doszedłby do wniosku, że udało mu się mnie zastraszyć, i dlatego się wycofałam. Wszystko to prawda, moi kochani, ale to nie jest odpowiedź na wasze pytanie. Nie wiem, czego on chce teraz.

– Tego samego. – Korotkow wzruszył ramionami. – Chce cię zmusić, żebyś się wycofała, poddała, przyznała do słabości i bezsilności wobec niego.

– Jakie zatem widzicie wyjście? Jestem gotowa zrobić wszystko, byleby nikogo więcej nie zabił.

W jej głosie zabrzmiała taka rozpacz, że obecni poczuli się nieswojo. Tatiana była rzeczywiście gotowa na wszystko. Mogła publicznie przyznać się do słabości, a nawet wystąpić w telewizji czy w radiu – wszystko jedno – byleby on ją usłyszał, byleby mogła do niego dotrzeć i go przekonać, że zwyciężył, że ona się poddała, i dlatego nikt więcej nie musi ginąć. Choćby za cenę poniżenia, kłamstwa, zniszczenia reputacji śledczej i pisarki. Gotowa jest zapłacić każdą cenę za to, żeby go powstrzymać. Nie potrzeba krwi. Pod żadnym warunkiem. A zwłaszcza po to, żeby komuś coś udowodnić.

– Czemu milczycie? – zapytał Korotkow niecierpliwym, władczym tonem. – Podsuwajcie pomysły. Co Tania powinna zrobić, żeby go powstrzymać? Rozpatrzmy każdą propozycję.

Tatiana wodziła wzrokiem po przyjaciołach. Nikt nie miał chyba żadnego pomysłu.

– No cóż, kończymy, pora spać – powiedział Korotkow z westchnieniem. – Odwiozę Aśkę, a ty, Misza, odprowadź Tatianę. I uświadom jej mężowi, że nie powinna nigdzie sama wychodzić.

– Jura, to nierealne – zaproponowała słabo Tatiana, zapinając płaszcz. – Stasow nie może być moją niańką, ma swoją pracę i swoje życie.

– A Ira? Jak zapewnimy jej bezpieczeństwo? – zapytała Nastia.

– O nią się nie martwcie, ma osobistą ochronę.

– Niby kogo? – zapytał Docenko zazdrośnie. – Gdzie tu jest sprawiedliwość, obywatele? Od niepamiętnych czasów obiecujecie, że poznacie mnie z Iroczką, a teraz wkradł się jakiś osobnik...

– To nasz sąsiad – powiedziała Tatiana pojednawczo. – Ma już swoje lata, jest na emeryturze. Nie robi ci konkurencji, nie martw się. Nawiasem mówiąc, możesz do nas dzisiaj zajrzeć, masz powód.

Przez całą drogę rozmawiali o wszystkim, tylko nie o Gorszkowie, i dopiero w windzie Tatiana wróciła do tego, co wciąż chodziło jej po głowie.

– Błagam cię, Misza, nie przestrasz mojej rodziny. Wszyscy i tak mają nerwy w strzępach.

– Nie zgadzam się z tobą – odparł Docenko bardzo poważnie.

– Twoi bliscy powinni znać prawdę i szykować się na najgorsze. Tylko tak będziecie mogli oswoić sytuację.

Tatiana już zamierzała wsunąć klucz do zamka, ale uwaga Miszy sprawiła, że znieruchomiała.

– A nie sądzisz, że człowiek, który zna prawdę, oszaleje ze strachu, zamiast szykować się na najgorsze? Każdy reaguje inaczej na negatywne informacje. Niektórzy mobilizują się i działają z rozmysłem, inni tracą rozum.

Chciała dodać coś jeszcze, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i na progu stanął Andriej Timofiejewicz. Obok niego od razu pojawił się olbrzymi czarny dog, który wabił się Agat.

– Dobry wieczór – zagrzemiał sąsiad niskim, dźwięcznym głosem. – Słyszę, że winda stanęła, ale drzwi do waszego mieszkania się nie otwierają, do mnie też nikt nie dzwoni. Postanowiłem zobaczyć, kto się ukrywa na naszym piętrze. Dotrzymuję danego słowa i wciąż mam oko na wasze mieszkanie.

Tatiana zauważyła spojrzenie Docenki, którym obrzucił sąsiada, i z trudem się powstrzymała, żeby nie parsknąć śmiechem. Było w nim tyle szczerego zdumienia pomieszanego z oburzeniem, ile mogłoby być na widok psa, który ni z tego, ni z owego zaczął miauczeć.

– Niech się pan nie denerwuje, Andrieju Timofiejewiczu – powiedziała. – Szukałam kluczy w torebce. Przecież pan wie...

– Ma się rozumieć – wesoło podchwycił sąsiad. – Znam ja te wasze damskie torebki, znam. Na oko malutkie, nie wiadomo, co w ogóle można tam włożyć, a w rzeczywistości tyle w nich rzeczy, że ledwie zmieściłyby się w walizce.

Tatiana otworzyła drzwi i zrobiła zapraszający gest.

– Wstąpi pan do nas, Andrieju Timofiejewiczu?

– A nie będę przeszkadzał? Macie gości...

– No to tym bardziej. – Roześmiała się. – Zapraszamy do towarzystwa.

Była w kiepskim nastroju, ale zmusiła się do uśmiechu, bo czuła, że im więcej osób zbierze się teraz w jej mieszkaniu, tym mniej uwagi będzie przyciągała. I nikt, jak dobrze pójdzie, nie zauważy jej niepewności i prawdziwego strachu. Jeżeli to rzeczywiście Aleksander Gorszkow, czekają ją trudne dni. Już wtedy, jedenaście lat temu, był świrem z pretensjami. Miał jednak zaledwie osiemnaście lat i jego pretensje były głupie, młodzieńcze. Teraz ma dwadzieścia dziewięć, jedenaście spędził w zakładzie karnym, gdzie panują okrutne prawa i kult zła. Nie w biblijnym znaczeniu z ła jako przeciwieństwa dobra, ale w daleko przyziemniejszym. Ten skrót to jeden z najbardziej popularnych tatuaży. Mówi o zemście^[8]. Gorszkow też postanowił się zemścić na śledczej, która wsadziła go za kratki. To doprawdy dziwne, jak sprawnie działa wśród skazanych mechanizm samousprawiedliwiania! To nie on, swoimi rękami i przestępstwami zagwarantował sobie wyrok, przyczynił się do tego parszywy gliniarz, który go złapał, albo zły śledczy (czasami jest nim baba, co nie zmienia istoty rzeczy).

Stasow pojechał do swojej matki po synka i jeszcze nie wrócił, więc Tatiana odetchnęła z ulgą. Teraz Irocza zajmie się gośćmi i skoncentruje się na Miszy Docence. Jest jeszcze wprawdzie sąsiad, którego przenikliwość zaczęła już Tatianę

męczyć, ale to tylko sąsiad, jego samopoczucie nie leży jej zbyt na sercu. Najważniejsze, żeby Stasow oraz Irina się nie denerwowali.

STASOW

Głosy było słychać już na schodach. Co to za impreza? W mordę jeża! Wraca człowiek do domu po pracy i po męczącej rozmowie najpierw z *maman*, a potem z ekszoną, ale we własnym gnieździe też nie znajduje spokoju. Griszeńka słodko posapuje w jego objęciach, głośna rozmowa może go obudzić, a wtedy w domu zapanuje kompletny chaos. Stasow pośpiesznie wślizgnął się do pokoju Iroczi, położonego najbliżej drzwi wejściowych, umieścił syna na kanapie i starannie przytknął drzwi, żeby chłopczyk się nie obudził. Później, gdy wszyscy się rozejdą, zabiorą go z Tatianą do swojego pokoju, gdzie stoi jego łóżeczko.

Pobieżne oględziny miejsca zdarzenia pokazały, że toczy się walka o Irusię, i to nie na żarty. Z jednej strony stołu zasiada nie kto inny, jak Misza Docenko, z racji atrakcyjnego wyglądu, stylu ubierania się, i, co najważniejsze, stanu kawalerskiego najbardziej rozchwytywany młodzian na Pietrowce. Z drugiej – ich wszędobylski i wszystkowiedzący sąsiad, Timofieicz-Kotofieicz, gotów zaprzedać duszę diabłu w zamian za wspaniałe wypieki Irusi. Między gotowymi do boju kogutami stroszy kolorowe piórka śliczna Ira, którą już dawno należało wydać za mąż. Ale czas, w którym jej wielbiciełe pchali się drzwiami i oknami, Tania beztrosko przegapiła i nie wymogła na krewnej, żeby ta dokonała w końcu wyboru. A teraz z każdym miesiącem problem nabrzmiewał. Po pierwsze, Ira dojrzewała (czytaj – starzała się), a po drugie, pochłaniały ją sprawy rodziny krewnych. Brała na siebie coraz liczniejsze kłopoty i obowiązki domowe. Myśl, żeby porzucić Tatiannę,

Stasowa i małego Griszeńkę na pastwę losu, to znaczy pozostawić, w jej mniemaniu, bez należytego zaplecza gospodarczego, uznawała za bluźnierczą. Przecież oni bez niej zginą! Nie dość, że sami się zaniedbają, to jeszcze nie dadzą rady wychować dziecka po ludzku.

Tak, sytuacja jest jasna. Ale gdzie się podziała Tania? Płaszcz wisi w przedpokoju, to znaczy, że jest w domu. Więc dlaczego nie z gośćmi?

– Witajcie, dobrzy ludzie! – zawołał Stasow gromkim głosem, który jednak nie zdołał przebić się przez śmiech Kotofieicza.

Wyglądało na to, że sąsiad bawił towarzystwo przedpotopowymi dowcipami, z których zaśmiewał się głównie sam. W każdym razie na twarzy Miszy jakoś nie widać było rozbawienia. Irusia się nie liczy, bo jest uprzejma, serdeczna i ma miękkie serce, toteż zawsze się śmieje, gdy rozmówca tego od niej oczekuje. Nie chce nikogo urazić.

– Witajcie! – powtórzył jeszcze głośniej. – A może ja tu już nie mieszkam?

– Ojej. – Irocza się zreflektowała. – Władik przyszedł.

– A gdzie moja żona? Zdaje się, że zadawanie tego pytania powoli staje się tradycją. Dzisiaj już o to pytałem.

– Tania się położyła, boli ją głowa – wyjaśniła Ira, czerwieniejąc na twarzy.

Wszystko jasne, zaczerwieniła się... Podekscytowana konwersacją z dwoma adoratorami, zapomniała o bożym świecie. Nie szkodzi, to normalne. Skoro zapomniała, to znaczy, że sprawa nie jest przegrana. Nasza Irusia ma jeszcze spore szanse. Dawno należało ją poznać z Miszą, teraz byłaby już mężatką.

– Kochany Władisławie Nikołajewiczu – zwrócił się do niego sąsiad. – Usilnie nalegam, żeby nakłonił pan Irę do przyjęcia mojej pomocy. Przez cały dzień próbuję ją przekonać, że w obecnej sytuacji powinna zachować ostrożność i czujność, ale ona odrzuca moje usługi. Niechże jej pan wytłumaczy, że

mogę się okazać bardzo przydatny. Wie pan, co zaszło dzisiaj na bazarze?

– Słyszałem. – Stasow kiwnął głową.

Owszem, znał szczegóły zajścia, ale to raczej dziwne, że Kotofieicz tak bardzo się przejął. Czyżby stary piernik był wielbicielem walorów zewnętrznych i zalet duchowych Iry, a nie jej kulinarnych arcydzieł? Jest już dobrze po sześćdziesiątce, a ma robaczywe myśli.

– Moim zdaniem Irina nie zawsze zdoła się sama obronić. Dzisiaj podczas incydentu na bazarze wpadła w popłoch i omal nie narobiła głupstw. A teraz, gdy nad pańską rodziną zawisło niebezpieczeństwo, nie wolno zostawiać jej samej z małym dzieckiem przez cały dzień. To niesłychana lekkomyślność.

Ależ facet się rozgadał! Jakby pisał elaborat. Czemu się do nas przyczepił? Nie ma innych zmartwień? Timofieicz-Kotofieicz.

– Przesadza pan, Andrieju Timofiejewiczu. – Stasow uśmiechnął się szeroko. – Naszej rodzinie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Skąd ten pomysł? Jakiś narwaniec sobie zażartował, więc do końca życia mamy się ukrywać w piwnicy? Każdy funkcjonariusz milicji regularnie dostaje pogróżki, ale nie traktuje ich poważnie.

– A dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Bo gdyby zostały spełnione, zginęliby wszyscy milicjanci i co roku należałoby uzupełniać skład osobowy MWD[9]. Tymczasem ja, na przykład, już od dwudziestu lat wykonuję pracę operacyjną i odszedłem na emeryturę w dobrym zdrowiu. Takich jak ja jest wielu. Więc niech pan śpi spokojnie, Andrieju Timofiejewiczu, i nie martwi się o Irusię.

Sąsiad posłał Stasowowi spojrzenie pełne dezaprobaty i pokręcił głową z wyrzutem.

– Nie podzielam pańskiego optymizmu, szanowny panie. Nawiasem mówiąc, pański młody kolega podziela mój pogląd,

prawda, Michaile Aleksandrowiczu?

Władysław rozgniewał się na dobre. No proszę, piąta kolumna we własnym domu! Okazuje się, że Misza dogadał się z Kotofieiczem. Ależ z niego drań i niewdzięczny szczeniak. Mało brakowało, że powierzyliby mu z Tanią coś najcenniejszego – los Iruś. Teraz chłopak obejdzie się smakiem! Nie szkodzi, Tatiana stoi po stronie męża, a to spora siła.

Stasow wstał.

– Zajrzę do Tani.

Wbrew jego oczekiwaniom Tatiana nie leżała, lecz stała przy oknie. Nawet się nie odwróciła, gdy wszedł do sypialni.

– Co tam? Goście dobrze się bawią? – zapytała, nie ruszając się z miejsca.

– A ty się ukrywasz? Czy naprawdę boli cię głowa?

– Boli, ale do wytrzymania. Nie potrafię śmiać się na zawołanie. Widocznie kiepska ze mnie aktorka. Postanowiłam przeczekać, żeby nie psuć innym humoru. Gdzie Griszienka?

– Śpi. Położyłem go w pokoju Iry, żeby nie przechodzić z nim koło hałaśliwego towarzystwa, bo mógłby się obudzić. *Maman* prosiła cię pozdrowić.

– Dziękuję. A jak tam Docenko?

– W porządku. Nie spuszcza oczu z naszej dziewczyny.

– A Kotofieicz?

– Jak zwykle. Pokłada się ze śmiechu. Opowiada stare historyjki z czasów rewolucyjnej młodości. Co się stało, Taniu? Po co pojechałaś na Pietrowkę?

Tatiana w końcu się odwróciła, objęła męża i przytuliła głowę do jego ramienia.

– Przypomniałam go sobie – wybąkała.

– Kogo? Tego, który ci grozi?

– Zgadza się. Kiedyś posłałam go do więzienia. A on mi obiecał, że wróci i się ze mną porachuje. No i wrócił. To

szaleniec, Stasow. Zdolny do wszystkiego. Boję się, że może podnieść rękę nawet na Griszę.

No tak. Jesteśmy w domu. Niedawno wszystko zaczęło się układać, Stasow pomógł Tatianie i Irze przeprowadzić się do Moskwy, wreszcie kupili mieszkanie i przestali się cisnąć we troje w jednym pokoju. Tania ciężko znosiła ciążę, istniało duże ryzyko poronienia, a później przedwczesnego porodu, ale w końcu się udało, urodziła normalnego, zdrowego chłopca. Stasow myślał, że to, co najtrudniejsze, już za nimi. Niech to szlag, dlaczego życie jest takie podłe?! Parszywe i wstrętne. Niesprawiedliwe.

Teraz wiadomo, dlaczego Miszka tak poważnie potraktował sytuację. Ale czemu ten stary piernik robi zamieszanie? Czyżby Tania omawiała to w jego obecności? Skąd jednak zaufanie do mało znanego sąsiada? A może Miszka, głupi smarkacz, się wygadał? Taniu, moja kochana Tanieczko, po co ci ta praca? Narzekasz na brak pieniędzy? Nie. Dobrze zarabiam. A ty zarabiasz jeszcze lepiej. W tym roku twoje książki zaczęto wydawać za granicą, dostałaś duże zaliczki. Za rosyjskie wydania też przyzwoicie płacą. Po co ci ta robota, która kosztuje tyle nerwów, a przynosi mnóstwo nieprzyjemności i tak niewiele satysfakcji?

Głaskał żonę po głowie i rozmawiał z nią w duchu. Znał ją bardzo dobrze, więc nie zamierzał popełnić głupstwa i wypowiedzieć na głos swoich myśli.

– Co zrobimy? Są jakieś propozycje?

To była jedyna rzecz, o którą mógł zapytać.

– Zastanowimy się, jak go powstrzymać. Zabił już jedną osobę. Nie daj Boże, żeby zabił następne. I wszystko po to, by udowodnić, że jest ode mnie silniejszy. Czasami mam wrażenie, że moje życie to jakaś paranoja. Upiorny sen, koszmar, całkowity brak sensu i logiki. A ja, nie wiedząc czemu, tkwię w samym środku tego obłądu. Dlaczego tak to postrzegam, Stasow?

Dlaczego, dlaczego... Cholera wie. Nie urodził się jeszcze taki człowiek, który w pewnej chwili nie odniósłby wrażenia, że świat wokół niego stał się nierzeczywisty. Winę za to ponosi nie chora psychika, ale pechowy zbieg okoliczności. Oto przykład. Facet ma straszny kocioł w pracy, najlepszy przyjaciel go zdradził, matka jest ciężko chora i umierająca, syn z pierwszego małżeństwa został narkomanem, a była żona codziennie dzwoni i żąda, żeby mu jakoś pomógł i coś zrobił. Jakby tego było mało, nowa partnerka, nieprzyzwoicie młoda i piękna, wydyma usteczka i z pretensją w głosie mówi: „Jesteśmy z dwóch różnych światów, nie poświęcasz mi należytej uwagi i nie żyjesz moimi problemami. Zobacz, mam nową fryzurę, a ty nawet nie zauważyłeś. Nie nadajemy na tych samych falach, więc postanowiłam odejść od ciebie do innego. On mnie kocha bardziej niż ty, potworze”. To właśnie nazywa się paranoja. Wszyscy przez to przechodzą na pewnym etapie życia. Ale taki argument to słaba pociecha. Wszyscy to wszyscy, a na siebie człowiek patrzy w odmienny sposób.

Psycholodzy dawno zauważyli, że w chwilach stresu się wyłączamy, odsuwamy straszne i złe myśli, żeby umysł mógł się oczyścić i dalej funkcjonować. Lekarz mówi pacjentowi, że jest nieuleczalnie chory, a ten wbija nieruchomy wzrok w pełzającą po oknie muchę i uważnie obserwuje jej ruchy, nawet próbuje przewidzieć ich kierunek. Stasow stoi teraz w ciemnej sypialni, obejmuje zdętwiałą z bólu i ze strachu żonę i myśli o tym, że dzisiaj obiecał swojej jedenastoletniej córce kotka. Lila mieszka z matką, ekszoną Stasowa, w Sokolnikach, w weekendy często przechadza się po parku, a tam co sobotę i niedzielę odbywa się wystawa kotów. Wybrała się na nią parę razy i wypatrzyła rasę, która się jej podoba. Chce perskiego colorpointa. Stasow nie ma pojęcia, jak on wygląda, ale oczka córki płonęły takim blaskiem, gdy o tym mówiła, że nie potrafił odmówić. Zresztą Ritka, była żona, nie ma nic przeciwko zwierzakowi. Umówili się, że

w najbliższą sobotę Stasow zabierze Lilę na wystawę i zapłaci za to, dziewczynka sobie wybierze. Zanim kot pojawi się w domu, trzeba kupić kuwetę i piasek oraz specjalne miseczki na wodę i pokarm, ale córka chętnie wzięła na siebie te sprawunki. Ich rodzinie zagraża jakiś szaleniec, jego ofiarą może paść każdy, nawet roczny synek, więc Stasow powinien się zastanawiać, jak stworzyć pierścień obronny, żeby odeprzeć atak, a tymczasem w sobotę idzie z Lilą kupić kotka...

Co może powiedzieć Tatianie? Jak ją pocieszyć? Profesjonalne porady raczej nie są jej potrzebne, zwłaszcza po spotkaniu z Nastazją i Korotkowem. Tatiana potrzebuje męża, jego wsparcia i ochrony – nie profesjonalnej, lecz męskiej.

Emerytowanemu podpułkownikowi milicji Władysławowi Stasowowi nie pozostało więc nic innego, jak tylko objąć mocno żonę i powiedzieć:

– Kocham cię, Taniu. I to bardzo. Cokolwiek się stanie, pamiętaj o tym, dobrze? Bo to najważniejsza rzecz w życiu.

KAMIEŃSKA

– Ciekawe, kiedy pójdziesz po rozum do głowy i kupisz sobie nowy wóz? – zapytała, gdy stare żiguli Korotkowa po raz kolejny podskoczyło na wyboju i pojawiło się realne zagrożenie, że lada chwila się rozpadnie.

– A ten ci się nie podoba? – zapytał urażony Korotkow. – Można nim jeździć i wystarczy.

– Owszem, wystarczy – przyznała Nastia. – Jest, co prawda, możliwość, że nawali w najmniej pożądanej chwili. Nie boisz się?

– E tam. Mądrzy ludzie powiadają: jak się boisz, to nie wsiadaj do auta, a jak już wsiadłeś, to się nie bój. Gdyby każdy był tak ostrożny i przezorny jak ty, toby nie wstawał

z łóżka. Aż strach wychodzić na ulicę: a nuż cegła spadnie na głowę albo potrąci cię pijany kierowca.

– Uhm, albo znajdziesz się na drodze jakiegoś szaleńca. – Kiwnęła głową. – Jura, co może oznaczać rybka z ludzikiem w pyszczku? To jakiś symbol?

– Skąd mam wiedzieć? My, prości funkcjonariusze organów ścigania, nie jesteśmy absolwentami uniwersytetów, ale szkoły milicyjnej. Wiesz, na czym polega paradoks milicjanta?

– Wiem. – Nastia westchnęła. – Na tym, że pensja jest niska, w dodatku wypłacana nieregularnie, a mimo to ludzie nadal pracują.

– Guzik wiesz, koleżanko, a uważasz się za mądrą, bo skończyłaś uniwersytet. Najboleśniejszy paradoks polega na tym, że im więcej przestępstw popełnia przestępca, tym więcej o nim wiemy, a więc tym łatwiej go wytropić i schwytać. Weźmy choćby włamywacza. Póki ma na koncie dwie czy trzy kradzieże, ni cholery o nim nie wiemy i nie mamy pojęcia, gdzie go szukać. Gdy jednak włamań jest kilkanaście, możemy już określić metodę i schemat działania, a potem sporządzić portret psychologiczny delikwenta. Kiedy zaś kradzieży nabiera się ze trzydzieści, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy pogłótkowali i odgadli, gdzie włamywacz pojawi się następnym razem. I złapali go na gorącym uczynku. Na czym polega paradoks, zapytasz. Ano na tym, że musimy, z jednej strony, schwytać drania, a z drugiej, uniemożliwić mu popełnianie kolejnych przestępstw. Jeżeli jednak nie będzie ich popełniał, nigdy go nie złapiemy. Czaisz?

– Przesadzasz, szefie. Złodziei łapie się nie tylko tak, jak mi tu wyłożyłeś. Sprawdza się kanały zbytu, uruchamia agenturę, obserwuje koleśków, którzy wyszli na wolność po odsiadce. Nudna, opisana w książkach rutyna.

Korotkow roześmiał się i lekko klepnął Nastię w kolano.

– Nie rób mi wykładu. Myślisz, że skoro przez całe życie łapię zabójców i gwałcicieli, to nie znam się na kradzieżach? Wiesz,

do czego zmierzam? Do tego, że zboczeniec Tani, ten Gorszkow, szybko dostarczy nam nowego nieboszczyka i zostawi jakieś ślady na miejscu przestępstwa. Coś w rodzaju rybki z ludzikiem. Wtedy pojawi się nowy bodziec myślowy. Im więcej śladów...

– Chcesz powiedzieć, że im więcej trupów, tym więcej śladów – przerwała mu Nastia. – A im więcej śladów, tym więcej szans, by zrozumieć, czego on chce. Ale najważniejsze w twoim łańcuchu logicznym są zwłoki. Tyle że pomijasz tę kwestię dyskretnym milczeniem. Mam rację?

– Moja droga, ty zawsze ją masz, bo jesteś kobietą, a panie, jak wiadomo, zawsze mają rację. Cholera! Akurat tutaj muszą remontować drogę... Trzeba pojechać objazdem. Tak... tu nie wolno, bo ulica jest jednokierunkowa.... Spróbujemy jakoś skrócić...

Korotkow szukał dróg objazdu, dobrodusznie złorzecząc. Ma oczywiście rację, myślała Nastia, z roztargnieniem patrząc w okno i usiłując się zorientować, którędy jada. Przykro to przyznać, ale ma. Im więcej przestępstw, tym więcej wskazówek potrzebnych do poszukiwań. Ale im więcej przestępstw... Tym ich więcej. A także ofiar. I tyle. Nic dodać, nic ująć. Rzeczywiście paradoks.

– Aśka, masz pieniądze?

Zaprzątnięta swoimi myślami Nastia drgnęła; potrzebowała chwili, żeby zrozumieć pytanie.

– Pieniądze? Jakie?

– Rosyjskie ruble. Szeleszczące, różnokolorowe papierki. W ramach pożyczki.

– Ile potrzebujesz?

– Jeszcze nie wiem. Może w najbliższym czasie jakoś sobie poradzę, a później odłożę. Ale w razie czego pomożesz?

– Nie ściemniaj, Jura. O jakich pieniądzach mówisz?

– Teściowej się pogorszyło. Lekarz powiedział, że to kwestia paru dni. Jeżeli coś się stanie, nie mam nawet na pogrzeb.

Wyobraź sobie, że, jak na złość, kupiliśmy synowi zimowe ubranie, ze starego wyrósł, wszystko jest kuse i wąskie. W ubiegłym tygodniu miałem wydatki związane z samochodem, kupiłem opony i nowy akumulator, nabierało się też różnych części, wciąż coś się przecież psuje, pieniądze idą jak woda... No i masz. – Z goryczą pokręcił głową. – Kto mógł przypuścić, że teściowa akurat teraz się zawinie... Przez dziesięć lat leżała sparaliżowana, zdążyliśmy się z Lalką przyzwyczaić i uznaliśmy, że nic się nie zmieni aż do naszej śmierci.

No i stało się. Nikomu nie należy życzyć śmierci, a zwłaszcza na nią czekać. Ale ile jest takich osób jak Jurka Korotkow i jego żona! Takich, które muszą się opiekować sparaliżowanymi rodzicami, niemającymi żadnych szans na wyzdrowienie. Chorymi, którzy nie mogą już mówić, nie słyszą i leżą nieprzytomni, ale ich serca wciąż biją i nikt nie wie, kiedy staną. W szpitalu nie ma dla nich miejsca, zresztą wiele rodzin nie chce ich tam oddawać ze względu na brak należytej opieki: nikt im w porę nie zmieni pościeli, nie wyniesie basenu i nie będzie walczył z nieuniknionymi odleżynami – kto by się przejmował przykutymi do łóżka! Ciekawe, czy wiele osób przyznaje przed samymi sobą, że czeka na śmierć bliskich? A może nikt na nią nie czeka, może wszyscy traktują to jako konieczność i próbę zesłaną przez los, jako okazję, by się odwdziżyć rodzicom?

Nastia była jednak pewna, że Jurka czekał. Nigdy by się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą, ale czekał. Bo mieszkał w dwupokojowym mieszkanku: w jednym pokoju sparaliżowana teściowa, w drugim on z żoną i synem. Bo od dawna kochał inną kobietę i chciał się rozwieść, ale nie mógł zostawić żony z chorą matką, uważał to za tchórzliwą ucieczką z pola bitwy. Bo syn nie miał swojego pokoju i nie mógł zapraszać kolegów, a to niewłaściwe z wychowawczego punktu widzenia; milicjant wie lepiej niż ktokolwiek inny, że jeżeli

dzieci nie mogą pobyc z kolegami w domu, zaczynają się podwórkowe przyjaźnie. Bo wywiadowca, który całe dni spędza na nogach i którego praca nie przypomina bynajmniej sanatoryjnej idylli, potrzebuje przynajmniej czterech godzin spokoju, żeby odpocząć i nabrać sił, a tymczasem po bezsennej nocy spędzonej w pracy musi zwinąć się w kłębek na brzegu tapczana, naciągnąwszy na nogi pled, i prowadzić nierówną walkę z napływającymi zewsząd odgłosami: teściowa krzyczy, syn ogląda telewizję, żona hałasuje garnkami w kuchni, i przez cały czas dzwoni telefon...

Porywy wiatru smagały deszczem przednią szybę i za każdym razem, słysząc uderzenia kropel, Nastia odruchowo się wzdrygała. Pewnie to niedobra pogoda na pogrzeb. Ale czy inna byłaby lepsza? Czy jasne niebo i słońce coś by zmieniły? Boże, co za bzdury chodzą jej po głowie, co ma do tego pogoda?! Pogrzeb to pożegnanie z bliską osobą, możliwość zobaczenia po raz ostatni jej twarzy i dotknięcia ręki. Pogoda nie odgrywa żadnej roli w tej przykrew sprawie. Biedny Jurka, ależ to wszystko nie w porę! Nie dość, że z pieniędzmi krucho, to jeszcze leje jak z cebra. Co się ze mną dzieje?? Nastia gniewnie potrząsnęła głową, próbując przegnać myśli, które wydawały jej się nieprzyzwoite i haniebne. Czy śmierć kiedykolwiek przychodzi w porę?

– No to jak, pożyczysz mi kasę? – Korotkow przerwał jej rozmyślania. – Czy mam popytać gdzie indziej?

– Pożyczę, nie martw się.

– Jesteś przy forsie? – zapytał drwiąco.

– Nie bardziej niż ty. Ale coś wysupłam.

Korotkow zerknął na nią z ukosa.

– A gdzie się podziały honoraria twojego profesora? Już je przehulał?

– O to zapytaj nasz rząd. Wszystkie honoraria odpłynęły w siną dal, a my musimy jeszcze zapłacić od nich podatki, więc za parę miesięcy ruszę w świat o żebraczym kijku i będę

wystawać z wyciągniętą ręką przed cerkwią. Ale póki do tego jeszcze nie doszło, mogę cię trochę wesprzeć.

Samochód zatrzymał się koło jej domu, ona jednak nie wysiadała. Miała wrażenie, że nie powiedzieli jeszcze tego, co najważniejsze, chociaż sama właściwie nie wiedziała, co to miało być.

– Jura – zaczęła niepewnie i urwała.

– Tak?

– Jura... Wierzysz, że to Gorszkow?

– A ty nie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To chyba nieładnie, ale pragnę wierzyć, że to naprawdę on. I że pogróżka nie była adresowana do mnie. Im bardziej tego pragnę, tym bardziej mi się wydaje, że to nie on.

Korotkow się odwrócił i wbił w nią zdumiony wzrok.

– Dlaczego sądzisz, że to nie on?

– Nie wiem, Jurik. Tak mi się wydaje. Wysłano za nim list gończy?

– Co ty pleciesz, koleżanko?! Przecież dzwoniłem do śledczego przy tobie. Nie pamiętasz? Umówiliśmy się, że przyśle nam decyzję. Przygotowałem już nawet tekst listu. Gdy tylko dostaniemy kwit od śledczego, natychmiast zacznę działać.

Tak, rzeczywiście, Korotkow dzwonił do śledczego. Nastia doskonale pamiętała. Coś takiego, podczas deszczowej pogody nawet umysł robi się wodnisty i dryfuje w czaszce bez celu i pożytku.

– Żeby go jak najprędzej znaleźli – niemal jęknęła.

– Po co? – Korotkow z niej zakpił. – Przecież jesteś pewna, że to nie on.

– Nie jestem pewna. Powiedziałam, że mi się wydaje.

– Mnie nie oszukasz. Gdy ci się wydaje, to milczysz. A jeżeli mówisz, że ci się wydaje, to znaczy, że jesteś pewna. Mam ci przypomnieć, kto tu jest szefem? Czy może sama wpadniesz na to, że z przełożonym trzeba się dzielić wnioskami?

– Och, Jura, nie wyciągnęłam żadnych wniosków. Odłóżmy to do jutra, dobrze? Pogłódkuję jeszcze do rana, a jutro pogadamy.

– Jak chcesz. – Westchnął. – Trzymaj się.

Na klatce schodowej było ciemno; jedyna żarówka, na którą można było liczyć, paliła się tylko na drugim piętrze, w dodatku dawała przyćmione światło. Nastia wcisnęła guzik i z szybu windy dobiegł szum pomieszany ze skrzypieniem i dzwonieniem. Dom był stary, winda też. Zaraz otworzą się drzwi na klatkę schodową i pojawi się on, pomyślała Nastia obojętnie. I pchnie mnie nożem. Albo zastrzeli jak nieszczęsną Starostienko. Jura już chyba pojechał. On też jest pewien, że Żartowniś to Gorszkow i że jego celem jest Tania, nie ja. Nikt mi nie pomoże. Ta myśl sprawiła, że po plecach przeszły jej ciarki i zakręciło się w głowie.

Drzwi jednak się nie otworzyły i nikt nie wszedł do środka. Nastia bez przeszkód dotarła do swojego mieszkania, pośpiesznie przekręciła klucz w zamku i zatrzymała się w przedpokoju, opierając się plecami o ścianę. Jest u siebie. Dzisiaj nic się nie stało. W mieszkaniu było ciemno i cicho. Czyżby Loszka już spał? A może jeszcze go nie ma? Nie zdążyła się zdziwić, bo przypomniała sobie, że męża rzeczywiście nie powinno być w domu. Rano zapowiedział, że spędzi dwa dni w Żukowskim u rodziców. Jakieś pilne sprawy w instytucie, w którym kierował laboratorium.

Ledwie zdążyła rozsznurować buty, zadzwonił telefon. Z trudem precyzyjnie się pomiędzy stosami materiałów budowlanych i omal ich nie przewróciwszy, chwyciła słuchawkę.

– Nastia? Przepraszam, że tak późno. Mówi Zarubin.

– Tak, Sierioża, słucham.

– Zdaje się, że on znowu...

Serce jej zamarło, a chwilę później zaczęło bić jak oszalałe.

– Kto?

– Facet koło sześćdziesiątki, ubrany w nowe rzeczy. Nie ma przy nim, co prawda, dokumentów. A obok ciała rybka z ludzikiem.

– A ty... jak się dowiedziałeś?

– Zwłoki są na moim terenie. W okolicy trzech dworców. Przyjedź jutro z samego rana. Przyjedziesz?

– Oczywiście.

No i masz. Zastanawiali się, jak go powstrzymać, jak nie dopuścić do nowych zabójstw... i po co? Zabójca ma w nosie ich wywody, rozmowy, przypuszczenia, usiłowania, by go powstrzymać. Robi swoje według opracowanego i tylko jemu znanego planu. Ciekawe, ile jeszcze śmierci w nim przewidział.

Odrębna decyzja
Naczelnik 2-go wydziału UUR^[10]
GUWD^[11] w Moskwie
pułkownik milicji
Gordiejew W.A.

W mojej jurysdykcji znajduje się sprawa karna nr 5817 dotycząca zabójstwa obywatelki Starostienko N.M. W związku z cz. 4 art. 119 UPK RF^[12] i na podstawie par. 3 art. 7, par. 2 art. 11 Ustawy Federalnej o działalności operacyjno-rozpoznawczej proszę o przeprowadzenie niezbędnych czynności operacyjno-rozpoznawczych celem ustalenia miejsca pobytu ob. Gorszkowa Aleksandra Pietrowicza oraz zbadania jego ewentualnego udziału w zabójstwie ob. Starostienko N.M.

Zgodnie z posiadanymi informacjami ob. Gorszkow A.P., urodzony w 1969 roku w miejscowości Ługa, obwód leningradzki, poprzednio zameldowany: Leningrad, Siódma Linia wyspy Wasiljewskiej nr 11 m. 4., w 1987 roku został skazany przez Sąd Miejski w Leningradzie na podstawie art. 120, 206 cz. 3 UK RSFSR^[13] na siedem lat pozbawienia wolności. Podczas odbywania wyroku w zakładzie karnym USZCZ 321/6 popełnił przestępstwo, przewidziane w art. 108 cz. 1 UK RSFSR, za które otrzymał karę czterech lat pozbawienia wolności. Po zwolnieniu w maju 1998 roku wyjechał do miejscowości Kimry w obwodzie twerskim, ale nie dotarł na miejsce przewidywanego pobytu, GOWD^[14] w Kimrach nie dysponuje informacjami na jego temat.

Starszy śledczy
Szczółkowskiej Prokuratury Rejonowej
mł. radca prawny Kriczewiec G.W.

[7] SIZO (*sledstwiennyj izolator*) – areszt śledczy.

[8] ZŁO – ros. *Za wsio Lam Otomszczu* – odpłatę psom za wszystko.

[9] MWD (*Ministerstwo wnutriennich dieł*) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

[10] UUR (*Uprawlenije ugołownogo rozyska*) – Biuro Kryminalne.

[11] GUWD (*Gławnoje uprawlenije wnutriennich dieł*) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych.

[12] UPK RF (*Ugołowno-processualnyj kodeks Rossijskoj Fiedieracii*) – Kodeks postępowania karnego Federacji Rosyjskiej.

[13] UK RSFSR (*Ugołownyj kodeks Rossijskoj Sowietskoj Fiedieratiwnoj Socialiczeskoj Riespubliki*) – Kodeks karny Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

[14] GOWD (*Gławnyj otdiel wnutriennich dieł*) – Wydział Główny Spraw Wewnętrznych.

Rozdział 6

KAMIENSKA

Dzień okazał się pochmurny, a zarazem smutny i cichy. Jakby był wolny od pracy, co sugerowały wyludnione ulice między Dworcem Kazańskim a soborem Jełochowskim. Ciało mężczyzny bez dokumentów znaleziono w Drugim Zaułku Basmannym, nie dalej niż pięć metrów od skrzyżowania z ulicą Noworiazańską. Zaułek był, zdaniem Nastii, znakomitym miejscem dla przestępców. Na jego końcu znajdowała się zajezdnia trolejbusowa, a pojazdy, które nie wyjechały na trasę, zamiast spokojnie odpoczywać na jej terenie, stały nie wiedzieć czemu wzdłuż chodnika, tworząc swego rodzaju barykady po obu stronach jezdni. To sprawiało, że idący Noworiazańską przechodnie nie widzieli za dobrze, co się dzieje w zaułku. A jeśli dodać jeszcze, że domy tam były niezamieszkałe, to liczenie na świadków byłoby nieuzasadnionym optymizmem. Narożny dom numer dwadzieścia jeden też nie miał lokatorów, w dodatku akurat go remontowano, za nim zaś znajdowało się niewielkie podwórze, które pod względem wyludnienia mogłoby konkurować chyba tylko z pustynią Gobi. Stały na nim dwie naczepy furgonowe, na jednej z nich widniało zaskakująco poprawnie sformułowane ostrzeżenie: „Brak światła stopu”. Pewne oznaki niechybnie wskazywały, że puste podwórze nie uszło uwagi przechodniów zmęczonych poszukiwaniami najbliższej toalety.

Zarubin ubrał się, chyba nie patrząc za okno, więc teraz kulił się i podskakiwał, żeby się ogrzać. Nastii było ciepło i wygodnie w puchowej kurtce z zapiętym pod brodę kołnierzem. Z nieskrywanym współczuciem patrzyła na

niepokąźnego Siergieja przypominającego nieszczęsnego wróbelka.

– Ch-chcesz, to ci p-pokażę sztuczkę? – zaproponował, szcękając zębami z zimna.

– Dobrze.

Nabrał powietrza do płuc i krzyknął:

– Na pomoc!

Przestraszona Nastia chwyciła go za rękę.

– Oszalałeś? Zaraz zbiegną się ludzie.

– Zobaczmy – oznajmił w zadumie i uśmiechnął się zdrętwiałymi z zimna wargami.

Nikt nie przybiegł. Pięć czy siedem sekund później na rogu pojawił się mężczyzna, który szedł ulicą Noworizańską w stronę dworca. Rzucił roztargnione spojrzenie na zaułek, prześlizgnął się wzrokiem po Nastii i Siergieju i rażno pomaszerował dalej.

– Ktoś tutaj krzyczał, jestem pewna – rozległ się podekscytowany dziewczęcy głos z kierunku, w którym oddalił się przechodzień. – W tym zaułku. Chodźmy szybciej.

Zarubin pociągnął Nastię za rękę.

– Schowaj się tutaj – szepnął, wciskając się pomiędzy stojące trolejbusy.

Głosy się zbliżyły.

– Wydawało ci się, nikogo tu nie ma. Zobacz, pusto. – Teraz mówił chłopak.

– Ale ktoś krzyczał...

– Pewnie to jakiś żart. Pomyśl, w pobliżu są trzy dworce, pełno tutaj łobuzów, włóczęgów i pijaków. Popili sobie i się wydzierają. Chodźmy.

Para też się oddaliła. Nikt więcej się nie pojawił. Zarubin wyszedł na chodnik i znacząco uniósł palec.

– Zrozumiałaś, Nastazjo Pawłowna? Tutaj tak jest zawsze. Gdy komuś grunt pali się pod nogami, może się schować na podwórku albo między trolejbusami. Może też w ogóle się nie

chować, tylko spokojnie wyjść na Noworiazańską i pomodlić się w soborze za duszę niewinnej ofiary. Denat przeleżał tutaj co najmniej półtorej godziny, zanim go znaleziono.

– A kto go znalazł? – zainteresowała się Nastia.

– Ci, co nie dobiegli do wychodka – mruknął Siergiej. – Późnym wieczorem. Obejrzyj zdjęcia?

– Skąd masz? – zdziwiła się. – Wasi eksperci są tak dobrzy?

– Nie ma dobrych ekspertów, są za to bystrzy wywiadowcy. Kto mi zabroni korzystać z własnego aparatu?

– A kiedy zdążyłeś wywołać film i wydrukować zdjęcia? Pracowałeś w nocy?

– Też coś – prychnął. – Już pędzę, żeby harować po nocy. Dziesięć minut stąd jest sklep Kodak, zdjęcia są gotowe w ciągu pół godziny. Zaniósłem tam film, gdy tutaj jechałaś. Masz, popatrz sobie.

Płonąc z ciekawości, Nastia chwyciła kopertę. Błyszczące, kolorowe zdjęcia przedstawiały ciało mężczyzny leżącego twarzą do ziemi. Nastia ze zdumieniem podniosła wzrok.

– Aż trudno uwierzyć, że tacy porządni faceci chodzą po ulicach bez dokumentów.

– Skąd pomysł, że gość był porządny?

– Ubranie... To nie łachmany ani starzyzna. Zwróć też uwagę na starannie przystrzyżone włosy. Może on mieszka gdzieś niedaleko i wyskoczył na chwilę do sklepu? – zasugerowała.

– Zanim zaczniesz wyciągać wnioski, obejrzyj resztę. Wtedy będziesz miała jeszcze więcej pytań – obiecał Zarubin, chuchając w zgrabiałe ręce.

Na pozostałych zdjęciach ciało było już odwrócone, więc można było przyrzeć się twarzy. Dokładnie ogolona, opuchnięta i blada, nie mogła należeć do mężczyzny prowadzącego zdrowy styl życia. No cóż, bez względu na to, jak się człowiek ubiera, na twarzy ma wypisane całe życie, nawet jeżeli jest martwy.

A tutaj jeszcze jedna fotografia. Koło zwłok leży kartka i trzy studolarowe banknoty. Tekst na kartce jest bardzo lakoniczny: „To pieniądze na mój pogrzeb. Mam nadzieję, że nikt ich sobie nie przywłaszczy”. Litery duże, zaokrąglone, niepołączone ze sobą.

– No proszę! – wycedziła Nastia. – Jak to rozumieć? Samotny, bezdomny włóczęga wystroił się, ogolił, umył i ruszył na spotkanie ze śmiercią, jak po papierosy do kiosku? Gdyby miał dom i rodzinę, nie nosiłby przy sobie pieniędzy na pogrzeb. Zgodzisz się ze mną?

– Uhm – burknął Siergiej, wysuwając nos spomiędzy złożonych dłoni. – Zobacz następne, już niedużo zostało.

Ostatnie zdjęcia pokazywały zbliżenie rybki i ludzika. Ludzik był do połowy wsunięty do pyszczka rybki, wystawały tylko nogi.

– To arcydzieło rzeźby monumentalnej znajdowało się na ciele denata – skomentował Zarubin. – No dobrze, Nastazjo, skoro napatrzyłaś się na miejsce zdarzenia, chodźmy gdzieś, bo zaraz umrę z zimna.

Chwilę później pili już coś gorącego, noszącego górnolotną nazwę „mała czarna”, w pobliskiej knajpce. Stolików tutaj nie było, zastępował je ciągnący się przez całe pomieszczenie kontuar. Widocznie uważano, że klienci mogą stać podczas jedzenia, w dodatku twarzą do ściany, a do siebie albo plecami, albo, w najlepszym razie, bokiem. No cóż, może to niezłe rozwiązanie. Oprócz sprzedawcy, Nastii i Zarubina w barze nie było żywej duszy. Siergiej upił parę łyków z plastikowego kubka, po czym jeszcze raz podszedł do lady i zaczął studiować menu.

– Chyba wezmę parówki z frytkami i jakąś świeżą sałatkę – zwrócił się do stojącego za ladą młodego bruneta.

– Wszystkie sałatki są świeże – odparł ten wyniośle. – Którą podać?

– Wobec tego jedną ziemniaczaną i jedną z krewetkami – oznajmił łaskawie Zarubin.

Wrócił z zamówieniem na swoje miejsce i łapczywie rzucił się na jedzenie.

– Chyba pora się ożenić – rzeczowo zakomunikował Nastii wyniki swoich rozważań. – Bo nikt mi nie serwuje śniadania. Żonaci faceci spokojnie pracują do drugiej czy trzeciej, póki nie zgłodnieją, a ja już koło jedenastej gotów jestem zabić za kromkę chleba. A ty niczego nie przekąsisz?

– Nie, dziękuję – odparła, popijając niewielkimi łykami raczej paskudną w smaku „małą czarną”.

– Żałuj. Menu jest bogate, mimo że knajpka niepozorna. Aż trzy rodzaje pierogów, kotlety, hamburgery, no i moje ulubione parówki z frytkami. A sałatek od cholery i trochę, chyba z piętnaście. I całkiem przyzwoite ceny. Jak jestem w pobliżu, zawsze tutaj zaglądam. Szybko, smacznie i tanio. – Zarubin nieco podniósł głos, widocznie chciał, żeby usłyszał go chłopak za ladą. – Szkoda, że nie wpadłem tutaj wczoraj. Za rogiem ktoś załatwił faceta, zjechała się kupa gliniarzy.

– Zwariowałeś? – pogardliwie rzuciła Nastia, podejmując grę. – Dawno nie widziałeś gliniarzy? Czy raczej trupów?

– Co ty tam wiesz! – oburzył się Siergiej. – Znaleźć się w centrum wydarzeń to pierwsze przykazanie każdego dziennikarza. A nuż ktoś by załatwił faceta akurat w chwili, gdy tam przechodziłem? Mógłbym poobserwować zza węgła pracę stróżów prawa i na własne oczy zobaczyć, że połowa z nich jest pijana, nie wie, co robić, i klnie w żywy kamień. Miałyby materiał, że palce lizać. A jeszcze lepiej, gdyby się okazało, że jestem świadkiem. Milicjanci mnie podejrzewają, zatrzymują, brutalnie przesłuchują, a gdyby dopisało mi szczęście, to nawet biją i wysyłają do celi razem z zabójcami i złodziejami. Ależ dałbym wtedy draniom popalić! Obsmarowałbym ich za to, że mnie...

– Daruj sobie – powiedziała z niezadowoleniem. – Słyszałam już tę historię ze sto razy. Pora, żebyś o wszystkim zapomniał, a nie planował wciąż zemsty.

– Zobaczymy, co zrobisz, gdy znajdziesz się na moim miejscu. – Wywiadowca nie przestawał się gorączkować.

– Nigdy nie będę na twoim miejscu. Bo jestem mądra i dojrzała, ty zaś zachowujesz się jak głupi, niedoświadczony smarkacz. To dlatego wiecznie pakujesz się w kłopoty. Lepiej idź i przynieś mi parówki; zdaje się, że rzeczywiście ładnie pachną.

Kątem oka Nastia obserwowała chłopaka za ladą i zauważyła, że ten aż się pali, by się podzielić wrażeniami, ale nie chce i nie może (zresztą słusznie) wtrącać się do rozmowy klientów, bo mógłby za to natychmiast wylecieć z pracy. Dworzec to miejsce szczególne, a teren, na którym znajdują się aż trzy dworce, to wręcz osobne państwo z własnymi prawami, parlamentem i resortami siłowymi. Na dworcach są, oczywiście, pasażerowie, to znaczy ci, którzy najpierw pragną gdzieś pojechać, a później czekają na pociąg. W związku z tym kręcą się tam również osobnicy podsuwający lewe bilety oraz konfiskujący bagaż. A także tacy, którzy pomagają zabić czas za pomocą rozmaitych gier hazardowych bądź erotycznych. Na dworcach można spotkać nie tylko tych, co wyjeżdżają, ale też tych, co właśnie przyjechali. Tę kategorię pasażerów obsługują bagażowi i kierowcy taksówek, którym „łaskawie pozwolono”, za ustaloną opłatą, zadeptywać brudnymi buciorami teren dworca i zarabiać pieniądze uczciwą pracą. Jest również pewna szczególna kategoria przyjezdnych pasażerów, których trzeba koniecznie witać, ponieważ wiozą „towar”, w dodatku witać dyskretnie, żeby nie zwrócić uwagi ani nieznajomych, ani tym bardziej milicji. No i wiadomo, że na dworcach przebywają stali rezydenci, z którymi też należy się obchodzić surowo. W tej sytuacji to oczywiste, że przypadkowy człowiek nie znajdzie pracy ani na dworcu, ani w jego pobliżu;

wszystkie miejsca dawno zajmują osoby sprawdzone i zaufane, które zachowują się, jak trzeba, i w razie czego nie pobiegą kapować.

Biorąc powyższe pod uwagę, głupotą i brakiem profesjonalizmu byłoby pokazywanie legitymacji służbowej chłopakowi w przydworcowej knajpce i straszenie go groźną miną rosyjskiego stróża porządku. Nawet jeżeli o niczym nie wie, nie wda się w rozmowę, bo otrzymał ściśle instrukcje. W kontakty z milicją mogą wchodzić tylko zaufani, którym powierzono owo zadanie, a nie pierwszy lepszy. A zwłaszcza nie dwudziestoletni smarkacz.

Zarubin poprosił chłopaka, żeby zrobił dla Nastii parówki z grilla, i w oczekiwaniu na zamówienie oparł się łokciami o kontuar. Chłopak, rzecz jasna, nie wytrzymał i zaczął opowiadać o wczorajszym incydencie. Jego zdaniem nie było wielkiego zamieszania, wieczorem na Noworiazańskiej przechodniów jest jeszcze mniej niż w ciągu dnia; przeważnie są to osoby mające związek z dworcem. Ale klienci baru pobiegli, oczywiście, popatrzeć. W dodatku przechodnie, którzy zatrzymywali się zaciekawieni, wstępowali później, żeby się rozgrzać, więc jeśli chodzi o interes, to wieczór się udał. Zarubin, udając żadnego sensacji dziennikarza, zadawał pytania, żeby rzekomo się dowiedzieć, czy nie pojawił się tutaj jego rywal z gazety, któremu zawsze udaje się zdobywać najnowsze informacje kryminalne z terenu trzech dworców; może facet stale się tutaj kręci? Wygląd dziennikarza, opisany przez Siergieja, z jakiegoś powodu do złudzenia przypominał wygląd Gorszkowa – w każdym razie Tatiana podejrzewała, że ten mógłby tak wyglądać po latach. Jednakże chłopak za kontuarem nie przypomniał sobie poszukiwanego osobnika.

Dla niepoznaki Siergiej jeszcze chwilę z nim pogawędził, podczas gdy Nastia pochłaniała gorące i całkiem niezłe w smaku parówki, po czym oboje wyszli.

– Rybka zjadła ludzika – mamrotała Nastia w drodze do metra. – Czyżby to był rekin? Jaka ryba może pożreć człowieka? Co ten marny intelektualista ma na myśli? Że jest rekinem świata przestępczego?

– Albo że rybki tylko na pozór są nieszkodliwe, a tak naprawdę – ho, ho! – zasugerował Zarubin. – Może nasz zabójca nabawił się kompleksu w dzieciństwie i uważa, że nikt go nie traktuje poważnie, wszyscy biorą za mięczaka albo za dupka. Musi być zdrowo rąbnięty, nie sądzisz?

– Uhm – mruknęła w zamyśleniu. – Pokaż mi jeszcze raz zdjęcie; zdaje się, że jest tam coś, co przeoczyłam.

Weszli do metra, zjechali na peron i usiedli na ławce. Siergiej wyjął kopertę ze zdjęciami i podał Nastii.

– Tylko uważaj – powiedział półgłosem. – Nie strasz ludzi widokiem zwłok.

– Nie o nie mi chodzi.

Szybko przejrzała zdjęcia i wybrała to, na którym widniała kartka. Resztę schowała do koperty, po czym długo wpatrywała się w słowa: „To pieniądze na mój pogrzeb...”.

– Sierioża, nie jestem, oczywiście, ekspertem, ale to d i ten wygięty przecinek już widziałam. Na tamtym plakacie.

DOCENKO

To nie do wiary, że nie doszło do tego wcześniej! Stasow już dwa lata temu przywiózł z Petersburga żonę i jej krewniaczkę Irinę, a on, Misza Docenko, dopiero wczoraj ją poznał. Dwa lata bezpowrotnie stracone, całe szczęście, że Ira nie zrobiła głupstwa w tym czasie i nie wyszła za jakiegoś łobuza. W to, że potencjalni narzeczeni Iroczi Miłowanowej byliby łobuzami, Docenko nie wątpił. Los jest mądry i dalekowzroczny. Zachował tę cudowną młodą kobietę dla niego, no i uchronił go od ożenku z kimś innym.

Już godzinę po opuszczeniu domu Stasowa Misza Docenko doskonale wiedział, że chce się ożenić z Irą. Nie był wprawdzie zwolennikiem szybkich decyzji, to dlatego do tej pory pozostawał kawalerem, jednakże zamiar, żeby stworzyć z Irą rodzinę, rano przypominał o sobie z pełną siłą.

– Mamo – powiedział, uważnie studiując nakryty do śniadania stół – czy jeżeli młoda kobieta umie robić z dziesięć rodzajów pierogów, można to potraktować jako wskaźnik?

– Z pewnością – odparła stanowczo starsza pani, tłumiąc uśmiech – to niewątpliwy wskaźnik, że dojrzałeś do małżeństwa. A co jeszcze potrafi twoja wybranka?

Misza nie poznał się na żarcie, bo zaprzętały go myśli o Irocze, poza tym musiał dokonać właściwego wyboru w sprawie śniadania i postanowić, czy najpierw zjeść omlet, a później sałatkę, czy może na odwrót, najpierw spróbować warzyw, a dopiero potem zając się daniem z jajek. Dlatego na kpiące pytanie matki odpowiedział całkiem poważnie.

– Moim zdaniem wszystko. Już od lat prowadzi dom krewnej, a teraz opiekuje się też jej dzieckiem.

– O, widzę, że zacząłeś rozpatrywać perspektywę ojcostwa. A gdzie wytropiłeś taki skarb?

Misza wreszcie zauważył ironię.

– Przecież jestem wywiadowcą, mamusiu. Nic zatem dziwnego, że pozostali kandydaci przeszli obok skarbu, który leżał na widoku.

– Na widoku? – powtórzyła matka. – Ale chyba nie na ulicy?

– Skądże! – zawołał stanowczo. – W mieszkaniu kolegi. Rodzina przyzwoita, mąż to nasz dawny funkcjonariusz, żona jest śledczą. Nawiasem mówiąc, powinnaś wiedzieć, o kogo chodzi, przecież przynosiłem ci do szpitala książki Tatiany Tomiliny.

– Mój Boże! – Matka klasnęła w ręce. – Tylko nie mów, że chcesz się ożenić z pisarką!

– Uspokój się, ożenię się z jej krewną. Mogę poprosić o majonez do sałatki?

Matka wyjęła z lodówki słoik majonezu i postawiła przed nim.

– Weź sobie, ile chcesz, synku. No cóż, rozumiem, że się żenisz. A ona wychodzi za ciebie?

– Jeszcze nie wiem. Ale ponieważ jestem detektywem, postaram się szybko to wyjaśnić. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby poznać synową?

– Przyszłą synową – zauważyła matka surowo. – Przyprowadź ją. Tylko uprzedź wcześniej.

– Natural-1-nie – wycedził Misza, opróżniając szklanekę kefiru.
– Dziękuję, moja kochana, lecę.

Koło południa przyłapał się na myśli, że szuka powodu, by zadzwonić do Iriny. Powód się jednak nie nasuwał, ponieważ Michaił przez cały dzień zajmował się niedawnym gwałtem i w związku z tym nie mógł zapytać Iry o coś mądrego ani też powiedzieć czegoś ciekawego. Wieczorem postanowił zadzwonić bez powodu, ale w mieszkaniu Stasowa nikt nie podniósł słuchawki.

Wrócił do domu koło północy, w zadumie przesunął palcami po aparacie telefonicznym i pomyślał, że zachowuje się jak skończony idiota.

ZARUBIN

Ze starym Ajrumianem miał do czynienia po raz pierwszy i musiał przyznać, że spotkanie zrobiło na nim spore wrażenie. Ekspert medycyny sądowej mówił bez przerwy; aż trudno było pojąć, jak mu się udawało nie przerywać przy tym pracy. Jego różowa łysinka, otoczona krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, pojawiała się w różnych końcach pokoju w zależności od tego, jaki przedmiot albo dokument Gurgen

Artaszewicz chciał wyjąć i zademonstrować w danej chwili. Wszystko znajdował szybko i bezbłędnie, pokazywał i komentował, nie milknąc ani na chwilę.

– Tak się cieszę, moja papużko pstrokata – trajkotał, zwracając się do Nastii – że wróciłaś do wujka Witii. Tam byłaś u siebie, jak to się mówi, na właściwym miejscu. A ja, starzec, miałem radochę, gdy chociaż czasem do mnie zajrzałaś. Kiedy się dowiedziałem, że odeszłaś do pracy sztabowej, to się przestraszyłem. Kto, myślę, będzie mi teraz zadawał rozmaite pytania, kto będzie identyfikował bezimiennych denatów, do kogo ja, starzec, będę robił słodkie oczy, kogo będę nazywał rybką i gwiazdką. Kiedyś mówiłem tak do wnuczek, ale od jakiegoś czasu straciłem ochotę; one się nie nadają na gwiazdki, a ja jestem za stary, żeby zrozumieć ich styl życia.

– Kto to jest wujek Witia? – szeptem zapytał Zarubin, gdy Ajrumian się odwrócił i zaczął szukać kolejnej teczki w szafie.

– To mój przełożony, Gordiejew – odparła Nastia też szeptem.
– Wiktor Aleksiejewicz.

– A dlaczego wujek? Jest jego krewnym? – zdziwił się Siergiej.

– To taki ormiański zwyczaj – wyjaśniła, zerkając na eksperta. – Nazywać wujkiem tego, którego się poważa. Ormianie początkowo nie używali patronimików, dopiero później zaakceptowali rosyjskie prawa i przepisy. Przedtem byli po prostu Gurgenowie, Surenowie, Aszotowie. Żeby podkreślić pełen szacunku stosunek, mówi się „wujek”. Gruzini z kolei mówią *batono*, co w zasadzie znaczy to samo.

– Nie szepczcie za moimi plecami – wtrącił Gurgen Artaszewicz, nie odwracając się. – Jak was, młodych, wychowują? Proszę, rybko ogoniasta, oto twój niezidentyfikowany denacik. Na temat przyczyn śmierci wszystko już wam powiedziałem, dwie rany postrzałowe w okolicy serca. Z jakiej odległości strzelano... ekspertyzka przyszła dziś rano... proszę... tutaj... – Chwycił z półki jeszcze

jedną teczkę i zgrabnie wyjął z niej spięte kartki. – Masz, sama przeczytasz. Ja ci tylko powiem, że denacik cierpiał na wszelkie możliwe, a nawet niemożliwe choroby. Kamica żółciowa, przewlekłe zapalenie wątroby, mikrowylewy do mózgu, wrzód żołądka, miażdżyca tętnic wieńcowych, przewlekła pneumonia, na nogach niegojące się wrzody troficzne, a na całym ciele świeże i zabliznione czyraki. Mimo doświadczenia poczułem się bezradny wobec tego paradoksu. Coś takiego, myślę, na oko porządny, ubranie czyste i schludne, rzekłbym nawet, że nowe, włosy świeżo przystrzyżone i umyte, ogolił się dwie godziny przed śmiercią, a pod ubraniem istny kloszard, jeśli nie gorzej. Jak można było się tak zaniedbać? Chorował i się nie leczył, w organizmie brak śladów farmakologii, jest wyłącznie alkohol.

– Dużo? – zainteresowała się Nastia.

– O-o-o, właśnie przyszła ekspertyzka dotycząca krwi... – Gurgun Artaszewicz znowu zaszeleścił kartkami i mrucał pod nosem, szukając odpowiedniego miejsca: – Przyszła długo oczekiwana ekspertyza, przyszła nasza ślicznotka, przyleciała na skrzydełkach z laboratorium... Aha! Alkoholu nie ma zbyt wiele. Umiarkowana ilość. Można powiedzieć, że denat był na lekkim rauszu przed śmiercią. Nic ponadto.

– A jeśli chodzi o jedzenie?

– Jedliśmy przed śmiercią obfity i urozmaicony posiłek. Jakies trzydzieści, może czterdzieści minut przed tragicznym rozwiązaniem spożyliśmy szeroki asortyment produktów. Ponieważ nie wszystko zostało strawione, mogę z dużym prawdopodobieństwem wysunąć następujące przypuszczenie: jedliśmy pizzę, ogóreczki z pomidorkami, coś w rodzaju pierogów albo kotleta w cieście, nie pogardziliśmy grzybkami, skonsumowaliśmy też ryż i chyba makaron, poza tym odrobinę tego i owego. Co ci jeszcze powiedzieć, gwiazdko błyszcząca?

Zarubin nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Traktował Nastię z dużym respektem i skoczyłby do gardła każdemu, kto by się o niej źle wyrażał, ale mimo całego swojego szacunku nie mieściło mu się w głowie, żeby tę trzydziestoosmioletnią kobietę (jego zdaniem już niemal starą) nazywać gwiazdką. Zwłaszcza błyszczącą. Błyszcząca, czyli że oczy płoną i się świecą, tymczasem Kamińska ma oczy jasne, spokojne i jakby... matowe. Jaka z niej gwiazdka?!

– Chcesz, to pokażę tatuażyki – ciągnął Ajrumian. – Twój denacik ma bogatą przeszłość, co najmniej trzy razy odsiadywał wyrok, ale nie w Rosji.

– A gdzie? W Szwajcarii? – zażartowała Kamińska. – A może na Kanarach?

– Gdzieś w dawnych republikach związkowych. Zajrzyj później do informatora, takie tatuaże robiono chyba w Kazachstanie albo w Kirgizji.

Ajrumian nie dał im, oczywiście, dokumentów – wszystkie wnioski ekspertów powinien otrzymać śledczy. Pozwolił jednak zrobić notatki.

– Przydałoby się ksero. – Zarubin westchnął. – Szybko zrobilibyśmy kopie i nie trzeba by było niczego skrobać.

– Do roboty, chłopcze. – Stary ekspert szyderczym gestem pchnął palcem leżący przed Siergiejem blankiet z przyklejonym do niego zdjęciem, z którego wywiadowca miał odrysować tatuaż. – Praca powinna być przykra, inaczej stanie się pasją i nie będziecie wiedzieć, za co wam płacą. Nie szukajcie łatwych dróg w życiu.

A niby kto ich szuka? On, Sierioża Zarubin? Gdyby ich szukał, to na pewno nie pracowałby w wydziale kryminalnym. Powiedział, co wiedział, stary postrzeleniec...

– I podziękuj mi, chłopcze – ciągnął Gurgen Artaszewicz – że pokazałem ci zdjęcie. Bo mógłbym tego nie robić. I musiałbyś szkicować z natury, z nosem w zwłokach. A one nie wyglądają po sekcji zbyt pociągająco, jak wiadomo.

Siergiej westchnął z żalem i wysunąwszy koniec języka, zabrał się do kopiowania skomplikowanego wzoru, który był wytatuowany na nodze denata.

ZABÓJCA

Moja mama była najlepsza na świecie. Najmądrzejsza, najczulsza i najpiękniejsza. Nikt nie miał takiej mamy jak ja.

Chciała, żeby mi się wiodło w życiu, więc już w dzieciństwie, gdy tylko zacząłem cokolwiek rozumieć, powtarzała:

– Musisz wciąż ćwiczyć umysł, synku, wtedy będziesz mógł zostać tym, kim zechcesz. Ale do tego trzeba się szykować od małego.

Początkowo nie bardzo rozumiałem sens jej słów i w wieku czterech lat oświadczałem:

– Chcę zostać lotnikiem! Szykujmy się do tego.

A mama śmiała się i mówiła:

– Teraz chcesz zostać lotnikiem. A może później wybierzesz inny zawód? Nie zechcesz już być lotnikiem i okaże się, że niepotrzebnie straciłeś czas.

W wieku sześciu lat zrozumiałem, że chyba miała rację. Gdy na zaproszenie taty odwiedził nas znajomy geolog, jego opowieści o tajdze i minerałach tak mi się spodobały, że postanowiłem zostać nikiem innym, jak tylko geologiem. A w wieku siedmiu lat uznałem, że będę artystą.

– Jeszcze wiele razy zmienisz decyzję – mówiła mama. – Na razie musisz zdobywać wiedzę, która przyda ci się w każdym zawodzie. Musisz rozwijać pamięć, inteligencję, spostrzegawczość i logiczne myślenie, wtedy bez trudu opanujesz każdą dziedzinę.

Gdy poszedłem do pierwszej klasy, umiałem nie tylko płynnie czytać i wykonywać podstawowe działania arytmetyczne. Grałem też na pianinie, całkiem nieźle

rysowałem, szwargotałem po niemiecku i ogrywałem ojca w szachy. Nie byłem cudownym dzieckiem, wszystkie umiejętności zawdzięczałem mojej ukochanej, cudownej mamie, która uczyła mnie od rana do wieczora. Zajęcia z nią nie były męczące, bo wymyślała różne ciekawe zabawy, więc się po prostu bawiliśmy, bawiliśmy na całego, wesoło, godzinami, a mnie nawet nie przychodziło do głowy, że czegoś się uczę i coś zapamiętuję. Dopiero później, gdy byłem starszy, babcia mi wyjaśniła, że mama przez całe życie interesowała się twórczymi zabawami i sama je wymyślała.

– Cokolwiek wybierzesz – mówiła – musisz być najlepszy w swoim zawodzie, tylko wtedy poczujesz dla siebie szacunek i będziesz szanowany przez innych. Człowiek, którego nikt nie szanuje, nie jest wart tego, by nosić nasze nazwisko. Wszyscy w naszej rodzinie wykonywali swój zawód na piątkę z plusem. Musisz godnie kontynuować rodzinne tradycje.

Mama zawsze była przy mnie. Gdy poszedłem do żłobka, zatrudniła się tam jako niania. Później została wychowawczynią w przedszkolu, a wreszcie nauczycielką w szkole, gdzie zajmowała się młodszymi klasami. Przywykłem do tego, że wciąż byliśmy razem, że w każdej chwili mogłem zobaczyć jej uśmiech albo dotknąć jej ręki. Uwielbiałem ją. Nie mogłem bez niej oddychać.

Ojca widywałem rzadko, znikał w swojej odpowiedzialnej pracy, pojawiał się w domu tylko podczas weekendu, zmęczony, z zapadniętymi policzkami i z zaczerwienionymi oczami. Mama podawała mu posiłek i układała do snu. Później ojciec się budził i spędzaliśmy parę godzin razem. Potem znowu wyjeżdżał. Pracował gdzieś daleko, jeździł tam pociągami. Wiedziałem, że mam ojca, ale mój umysł rejestrował to beznamiętnie. To, że mam najlepszą na świecie mamę, czułem całym sercem, szczególnie wyraźnie – gdy nie było jej obok. W takich chwilach ogarniał mnie niepokój.

Pewnego dnia, gdy miałem dziesięć lat, przybiegłem ze szkoły... Przybiegłem co sił w nogach, bo mama już drugi dzień chorowała i w szkole byłem sam, bez niej. Nie otworzyła drzwi, gdy do nich zadzwoniłem, musiałem sięgnąć do teczki po klucz. To, co zobaczyłem, było... Nawet teraz, po tylu latach, trudno mi znaleźć słowa, żeby to opisać. Okropne. Potworne. Odrażające. Nie, to niewłaściwe słowa, tylko w niewielkim stopniu oddają uczucia, których doznałem. Mama leżała na podłodze w kałuży krwi. Ubranie miała podarte. Podobno straciłem przytomność i chyba naprawdę tak było, bo pamiętam tylko, że z mojej piersi wydobył się przeraźliwy krzyk. Na początku nie zdawałem sobie sprawy, że to ja krzyczę, usłyszałem tylko jakiś nieludzki, dziki wrzask, później pojawiły się obce twarze, a mamy już nie było. Nie było jej w pokoju, w mieszkaniu. W ogóle jej nie było. Byli sąsiedzi, ludzie w białych fartuchach i w milicyjnych mundurach, a mamy nigdzie nie było. Zawieziono mnie do szpitala.

Wieczorem zjawił się ojciec. Siedział przy moim łóżku całą noc, a rano zabrał mnie do domu. Tamtego dnia się dowiedziałem, że odtąd będę mieszkał z babcią, bo ojciec przez cały tydzień pracuje poza Moskwą i nie ma nikogo, kto by się mną zajął. Było mi wszystko jedno. Myślałem, że to nawet lepiej; nie potrafiłem zostać w mieszkaniu, w którym zginęła mama.

Babcia zabrała się do mnie z niespożytą siłą. Nie potrafiła lekko i żartobliwie, w formie zabawy, tłumaczyć mi zawiłych zadań domowych, tak jak robiła to mama. Nie potrafiła zamieniać lekcji muzyki i malarstwa w pasjonującą zabawę, więc pewnie szybko dopadłaby mnie nuda i stałbym się tacy jak inni. Ale udało jej się mnie zmusić.

– Powinieneś być godny swojej matki – mówiła. – Ona nie zrobiła kariery, porzuciła ukochaną pracę, bo chciała być przy tobie najpierw w żłobku i przedszkolu, a potem w szkole. Mogła zostać wybitnym naukowcem i godnie reprezentować

rodzinę, ale poświęciła się dla ciebie. Nie wolno ci tego zlekceważyć. Pamięć o niej nakazuje ci dowieść, że to, co zrobiła, nie poszło na marne. Gdyby przez wzgląd na ciebie nie podjęła pracy w szkole, całkiem możliwe, że tamtego dnia nie zostałaby w domu i nic by się nie stało. Zginęła tylko dlatego, że się dla ciebie poświęciła. Więc udowodnij wszystkim, a przede wszystkim sobie, że kochasz swoją mamusię.

Takie argumenty były zrozumiałe dla dziesięcioletniego dziecka. Zwłaszcza w mieszkaniu babci, gdzie wszystko mówiło o tym, że w rodzinie Danilewiczów-Lisowskich-Essenów nie było nieudaczników ani odszczepieńców. Z wiszących na ścianach portretów i fotografii patrzyły na mnie surowe twarze przodków, którzy godnie przeżyli swoje życie. W ich oczach dostrzegałem wymowne pytanie: A ty? Będiesz taki ja my? Zasłużysz na to, żeby twój portret wisiał obok naszych? Czy portrety twoich rodziców będą ostatnie?

Bardzo mi się podobał portret olejny mamy, który wisiał w sypialni babci. Nie było tam portretu ojca, było za to ślubne zdjęcie rodziców: mama w białej sukni, z welonem na głowie, tata w solidnym czarnym garniturze. Wtedy myślałem, że babcia nie przepada za moim ojcem i dlatego nie ma jego portretu. Ale gdy podrosłem, ojciec mi wytłumaczył, że odpowiedzialna i ważna praca nie pozwalała mu pozować, bo przecież namalowanie portretu wymaga sporo czasu.

A zatem zamieszkałem z babcią, która każdego dnia dokładnie sprawdzała, czy odrobiłem lekcje i czy mam jakieś uwagi w dzienniczku. W niedziele kontrola się wzmagala: przyjeżdżał ojciec. Nie powiem, żeby babcia jaśniała wówczas radością, tak jak jaśniała mama, ale nie dochodziło między nimi do awantur. Oboje zachowywali się poprawnie i powściągliwie. Tylko raz usłyszałem, a raczej podsłuchałem ich rozmowę, gdy babcia zaprosiła tatę do gabinetu.

– Świetnie poradzę sobie z wykształceniem chłopca – powiedziała półgłosem. – Nie jesteś mi do tego w ogóle potrzebny. Ale niebawem dziecko podrośnie i będzie potrzebowało męskiej ręki. Przez dziesięć lat wychowywała je Inessa, właściwie sama, bez ciebie; o ile jednak dziesięcioletni chłopiec przypominający dziewczynkę to nic strasznego, o tyle w wieku piętnastu lat, gdy staje się mężczyzną, to katastrofa. Chcę cię zatem zapytać: zamierzasz coś przedsięwziąć?

– Co mam przedsięwziąć? – zdziwił się ojciec. – Wynająć mu guwernera? Dzisiaj są inne czasy.

– Powinieneś zmienić pracę i zamieszkać na stałe w Moskwie – oznajmiła babcia. – Powinieneś być bliżej syna. Nie zdołam zapewnić mu prawdziwego męskiego wychowania.

– To niemożliwe – odparł stanowczo. – Powierzono mi odpowiedzialne, ważne zadanie, które mogę wykonywać tylko tam, gdzie teraz pracuję. Nie ma mowy o żadnej przeprowadzce do Moskwy.

– Przeciwnie – zaoponowała starsza pani. – Dość już zrobiłeś dla państwa, lista twoich zasług jest dzisiaj niesłychanie długa, zostałeś nagrodzony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy i Orderem Lenina, jesteś laureatem Nagrody Leninowskiej. Mimo to nadal pracujesz poza stolicą i harujesz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez snu i odpoczynku. Dostyc tego. Wystarczy. Pora pomyśleć o sobie i o synu. Jestem pewna, że gdy wytłumaczysz wszystko swoim zwierzchnikom i powiesz, że owdowiałeś i musisz sam wychowywać dziecko, pójdą ci na rękę. Przecież to normalni ludzie, a nie potwory. Oni też mają rodziny, więc cię zrozumieją.

– Oczywiście, że zrozumieją, ale nigdy sobie nie wybaczę, jeżeli postąpię tak, jak pani sugeruje. Ojczyzna powierzyła mi ważną i odpowiedzialną pracę, mam wzmacniać i podnosić jej zdolności obronne, a pani chce, żebym ratował się ucieczką jak tchórz i leń? Przyznaję: to trudna i wyczerpująca praca.

Przyznaję też, że nie sypiam przez parę dni z rzędu, przeprowadzając kolejne próby i wszystko nieustannie modyfikując, ale to moja misja, moja służba ojczyźnie. Jeżeli dojdzie do wojny, żołnierze będą walczyć bronią, nad którą dzisiaj pracuję. A wszystkie moje nagrody, wymienione przed chwilą, świadczą o tym, że nikt nie zrobi tego lepiej ode mnie. Co pani sugeruje? Żebym sprzeniewierzył się interesom swojego kraju? Kraju, który dał mi tak wiele, który pozwolił mi zostać tym, kim dzisiaj jestem? A czy pani będzie mnie potem szanować? Kto, jak nie pani, chciała, żebym był godny waszej rodziny!

– No cóż – odparła babcia z westchnieniem – twoje argumenty są mocne, trudno je podważyć. Ale skoro myślisz logicznie, to powinieneś wiedzieć, że mnie nie przekonają. Może to prawda, że ten kraj coś ci dał. Jednakże mnie i naszej rodzinie nie dał niczego. Wciąż tylko zabierał. Skoro już poruszyliśmy ten temat, to muszę ci przypomnieć, że w poprzednim ustroju twoje małżeństwo z Inessą byłoby niemożliwe, a to znaczy, że ona nadal by żyła. W tamtych czasach pijany hydraulik nie mógłby wejść do mieszkania samotnej młodej kobiety. Twój kraj, o którego potęgę militarną tak się troszczysz, razem ze swoim nowym ustrojem komunistycznym, stworzył warunki do tego, żeby moja córka poniosła tak straszną i bezsensowną śmierć. A ty teraz chcesz, żebym się liczyła z jego interesami?

– Niech pani nie przesadza, ustrój nie ma tu nic do rzeczy. Możliwe, że Inessa wyszłaby za kogoś innego, ale nie wiadomo, jak potoczyłyby się jej losy. Na pewno nie miałyby pani takiego wnuka. Kto jak nie pani, wykształcona kobieta, powinna wiedzieć, że historia nie zna trybu przypuszczającego. Na zakończenie naszej rozmowy muszę dodać, że miłość do ojczyzny i oddanie jej interesom to najważniejsza zaleta prawdziwego mężczyzny. Jeżeli się pani podporządkuje

i sprzeniewierzę interesom kraju, nie wychowam syna na godnego ani pani rodziny, ani miana Mężczyzny.

– Ależ ty nie będziesz miał na niego żadnego wpływu, pojawiając się raz w tygodniu! Choćbyś nawet po trzykroć zasługiwał na wszystkie swoje nagrody i wyróżnienia, choćby obsypano cię złotem i brylantami, wasze drogi się rozejdą! Chłopiec przecież cię nie widuje i nie ma pojęcia, czy powinien brać przykład z ojca, a jeżeli powinien, to jaki. Czyżbyś nie rozumiał tak prostych rzeczy?

– Widocznie rozumiem rzeczy bardziej złożone. – Ojciec się uśmiechnął. – Nie kłóćmy się. Mam zaledwie parę godzin w tygodniu na to, żeby pobyć z synem, a pani okrada mnie z tych cennych chwil i marnuje je na czcze rozmowy.

– Wychowanie chłopca to nie czcza gadanina – powiedziała z uporem. – Daj mi słowo, że zrobisz, co w twojej mocy...

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby przystępnie wytłumaczyć synowi, dlaczego nie mogę z nim mieszkać. Mam nadzieję, że potraktuje moje słowa z większym szacunkiem niż pani.

Stałem z uchem przyciśniętym do drzwi i drżałem ze strachu. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem rozmowy, w której strony nie potrafią się dogadać i usiłują sobie wzajemnie dopiec. Wśród chłopców, moich rówieśników, kłótnie zdarzały się, oczywiście, każdego dnia i nierzadko dochodziło do bójek, ale tutaj wszystko wyglądało inaczej. Spierały się dwie osoby, które kochałem i od których byłem zależny. W ich głosach brzmiała tak niepohamowana złość, że robiło mi się ciemno w oczach i serce podchodziło do gardła. Takie rzeczy słyszałem po raz pierwszy. Mama i ojciec nigdy nie rozmawiali w ten sposób.

Ale nie tylko to było ważne. Pierwszy raz usłyszałem coś konkretnego na temat pracy ojca. Mama nigdy nie zdradzała szczegółów, mówiła jedynie, że tata zajmuje się ważnymi i poufnymi sprawami, dlatego tak rzadko bywa w domu i jest bardzo zmęczony. Dziecięcy umysł mi podpowiadał, że

prawdziwe życie może być tylko w Moskwie, w stolicy, w wielkim i wspaniałym mieście, a wszystko, co znajduje się poza nim, to prowincja, wieś. Taki świat jawił mi się z okien wagonu, gdy mama zabierała mnie latem na południe. Skoro ojciec pracuje poza Moskwą, w dodatku tak daleko, że musi jeździć pociągami, oznacza to, że pracuje w polu, na wsi albo w lesie. A męczy się dlatego, że wykonuje ciężką pracę fizyczną (no bo z jakiego innego powodu można się zmęczyć?), na przykład kopie rowy albo studnie. W głębi ducha wstydziłem się tego i nigdy nie pytałem mamy o niego w obawie, że moje przypuszczenia się potwierdzą. Nawet nie przyszło mi do mojej naiwnej główki, że ojciec pracuje w resorcie obronnym i zbrojeniowym. W jednej chwili urósł w moich oczach. Kawaler Orderu Lenina! Kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru Pracy! Laureat Nagrody Leninowskiej! Mój tata! Ależ jestem z niego dumny! Chcę być taki jak on. Muszę mu dorównać. Nie zawiodę go.

Minęły dwa miesiące i pewnego dnia babcia powiedziała, że nazajutrz nie pójdę do szkoły. W sądzie miała się odbyć rozprawa zabójcy mamy. Ojciec też przyjechał i jeszcze w przedpokoju wyraził niezadowolenie, że babcia zamierza mnie zabrać ze sobą.

– Chłopiec nie powinien tego słuchać. Dozna urazu – grzmiał.

Na dźwięk głosu taty wybiegłem z pokoju, ale babcia nie odesłała mnie z powrotem, przeciwnie, przyciągnęła do siebie i położyła mi ręce na ramionach.

– W rodzinie Danilewiczów-Lisowskich mężczyźni zawsze potrafili patrzeć w oczy wrogowi i nie uciekali przed wyzwaniem – powiedziała z naciskiem. – Tę umiejętność zaszczepiano w nich już w dzieciństwie. W przeciwnym razie nasz chłopiec wyrośnie na słabeusza i tchórza.

Ojciec ze znużeniem wzruszył ramionami i kiwnął głową w milczeniu.

– Na pani odpowiedzialność – rzucił krótko.

Następnego dnia udaliśmy się do sądu. To, co tam usłyszałem, wstrząsnęło mną do głębi. Mamę zabił hydraulik, który przyszedł z ŻEK-u[15], bo zatkała się muszla klozetowa. Hydraulik był, po pierwsze, upośledzony umysłowo, a po drugie, nie stronił od alkoholu. Na widok drogich mebli w mieszkaniu oraz złotych kolczyków z brylantami i pierścionka, niefrasobliwie pozostawionych na serwantce przez mamę, postanowił ją zabić i zabrać kosztowności, a przy okazji poszperać w szafie, a nuż trafią się pieniądze. Uderzył mamę czymś ciężkim parę razy w głowę, a gdy zauważył, że jest młoda i ładna, to ją zgwałcił. Na myśl, że dotykał mamy tymi samymi rękami, którymi gmerał w ubikacji, zwymiotowałem na sali sądowej. Babcia, odprowadzana groźnym wzrokiem ojca, wyprowadziła mnie na korytarz i odwiozła taksówką do domu.

Rozchorowałem się. Nie, z pozoru nic mi nie dolegało. Chodziłem do szkoły, a także na dodatkowe lekcje muzyki i niemieckiego, malowałem obrazy, brałem udział w zawodach szachowych i lekkoatletycznych. Ale dręczyły mnie niewiedza i daremne usiłowania, by odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Dlaczego moją mamę, piękną, dobrą, mądrą, najlepszą mamę na świecie zabił pijany, pomyłony hydraulik, który czyścił ubikację i gmerał w fekaljach? W dodatku nie tylko zabił, ale też zgwałcił. Jak ona mogła na to pozwolić? Dlaczego leżała w kałuży krwi, z nieładnie wygiętymi nogami, z okaleczoną głową i w porwanym ubraniu? Żyła pięknie, beztrudnie i szczęśliwie, dlaczego musiała umrzeć w tak straszny sposób? Gdy człowiek prowadzi godne życie, ma prawo do godnej śmierci. A babcia wciąż powtarza, że mama była godna naszej rodziny. Więc dlaczego zginęła?

Tak się złożyło, że w wieku dziesięciu lat interesował mnie tylko jeden problem – problem śmierci. Reszta się z nim

wiązała i kręciła wokół niego. To jednak nie znaczy, że nie żyłem pełnią życia. Przeciwnie: żyłem, i to jeszcze jak!

[15] ŻEK (*żyliszczo-ekspluatacionnaja kontora*) – spółdzielnia mieszkaniowa.

Rozdział 7

ZARUBIN

Niekiedy wywiadowcy pracują szybciej od ekspertów. Ale to rzecz normalna. Ekspertów jest mniej niż wywiadowców, więc trzeba się zapisywać w kolejce po ekspertyzę. Sprawy zabójstw Nadki Tancerki i nieznanego obywatela zostały połączone i przekazane śledczemu Olszańskiemu, pod którego kierownictwem mieli teraz pracować wywiadowcy zarówno z miasta, jak i z obwodu. Konstantin Michajłowicz Olszański wysłał zapytanie do centrum informacyjnego, gdzie przechowywano kartę daktyloskopijną Gorszkowa, a także do zakładu karnego, w którym na pewno znajdą się „próbki odręcznego pisma”, inaczej mówiąc, dokumenty napisane przez Gorszkowa. Właściwie można było nie zwracać się do centrum, bo karta jest też w aktach osobowych, ale Olszański postanowił pójść dwutorowo w nadziei, że (a nuż?!) karta nadejdzie prędzej niż akta i przynajmniej ją można będzie skierować do analizy.

Tymczasem niedawno wypuszczony na wolność Aleksander Pietrowicz Gorszkow wciąż jeszcze gdzieś się błąkał. W chwili wyjścia z zakładu otrzymał zaświadczenie o zwolnieniu i na tej podstawie miał dostać dowód osobisty w miejscu, gdzie zamierzał zamieszkać i podjąć pracę. Przepisy przewidują dziesięć dni na wydanie dowodu. Ale kto ich teraz przestrzega? Dawniej, gdy istniał paragraf za pasożytnictwo, zwolniony więzień musiał natychmiast znaleźć pracę – bez dowodu nie było o tym mowy – inaczej szybko trafiał z powrotem za kratki. A teraz i śledczy, i wywiadowcy wiedzieli, że seksualny zwyrodnialec Aleksander Pietrowicz może pozwolić sobie na luksus paradowania z zaświadczeniem w kieszeni, nie obawiając się milicji i nie występując o dowód, ponieważ wcale

nie musi być gdzieś zatrudniony. Nieprzyjemności w postaci mandatu grożą mu tylko w razie przypadkowej kontroli dokumentów, podczas której się okaże, że już od prawie pół roku szwenda się bez dowodu. Ale po pierwsze, to nic strasznego, a po drugie, prawdopodobieństwo owej kontroli nie jest zbyt wysokie, jeżeli się nie wychylać. Gorszkow widocznie się nie wychylał, ponieważ od czasu, gdy wyszedł na wolność, nie ubiegał się nigdzie o dowód i ani razu nie został ukarany mandatem za jego brak.

W oczekiwaniu na wyniki ekspertyzy wywiadowcy zajmowali się wyjaśnianiem okoliczności zabójstwa nieznanego mężczyzny w okolicy trzech dworców. Ceramiczna rybka z szeroko otwartym pyszczkiem, z którego wystawały nóżki plastikowego ludzika, niedwuznacznie wskazywała na to, że pijaczka i dawna baletnica Nadieżda Starostienko oraz dziwny obywatel w porządnym ubraniu i z pieniędzmi na własny pogrzeb w kieszeni zostali pozbawieni życia przez tego samego sprawcę i prawdopodobnie tym samym narzędziem, ale to też powinna, oczywiście, potwierdzić albo obalić ekspertyza.

Tożsamość mężczyzny bez dokumentów ustalono, o dziwo, szybko. Właściwie nie ma się czemu dziwić: gdy niedaleko dworców – największych w stolicy przytułków dla bezdomnych – zostają znalezione zwłoki mężczyzny z wyraźnymi oznakami włóczęgostwa, nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, gdzie można zasięgnąć o nim języka. Denat, jak wkrótce się okazało, nosił ksywę Liszaj, która przylgnęła do niego z powodu ciągłych chorób skóry, dokuczających mu przez okrągły rok. Nikt nie znał jego nazwiska, z wielkim trudem przypomniano sobie imię – Giennadij. Z bezdomnymi na dworcu urzędował od niedawna, najwyżej ze dwa miesiące, a skąd pochodził – nikt go nie zapytał, nie było takiego zwyczaju, on zaś nie opowiadał o sobie. W dniu zabójstwa widziano go rano i mniej więcej do trzeciej; nie wiadomo, co potem się z nim stało.

Skłonny do uśmiechu i gadatliwy Siergiej Zarubin przekonał swoich rozmówców, żeby mu pokazali miejsce, gdzie zwykle sypiał Liszaj, oraz jego rzeczy. Chociaż szczerze mówiąc, jakie to były rzeczy? Żałosne łachmany i nędzne graty. Nie znaleziono żadnych dokumentów ani niczego, co by pozwoliło wydedukować, na czym polegał niespodziewany zwrot w życiu biednego Liszaja. Ten zaś musiał nastąpić, inaczej skąd bezdomny Giennadij wziął porządne ubranie i forszę na pogrzeb?

Jeżeli wierzyć ekspertom, nieszczęsny Liszaj zjadł obfity posiłek trzydzieści, góra czterdzieści minut przed śmiercią. Widocznie na ostatek... To znaczy, że konsumpcja odbyła się gdzieś niedaleko miejsca zabójstwa. Zaopatrzony w listę pokarmów znalezionych w żołądku ofiary, Zarubin zaczął metodyczny obchód lokali gastronomicznych położonych w okolicy trzech dworców. Do knajpki, gdzie był z Nastią, nie zajrzał: dobrze pamiętał menu, nie było w nim pizzy ani ryżu. Po pokonaniu trasy od miejsca zabójstwa do Dworca Kazańskiego, a potem ulicą Krasnoprudną do estakady Rusakowskiej, przeszedł na drugą stronę i ruszył z powrotem ku dworcom. To, czego szukał, okazało się bistrem. Wnętrze wydało mu się wielce nieharmonijne. Na długiej ladzie samoobsługowej stały ładnie podane i apetycznie pachnące dania, ale warunki, w których należało spożywać te kulinarne przysmaki, kojarzyły się raczej z tanim barem sprzed czasów Gorbaczowa. Umieszczenie talerza z pizzą na lepiącym się od brudu i poplamionym stoliku stanowiło prawdziwe bluźnierstwo. Trudno też było sobie wyobrazić, że można się delectować wyszukanym ravioli z łososiem, siedząc na rozkołysanym, okrągłym krzeselku z niewygodnym aluminiowym oparciem.

Jednakże główną zaletą bistra było niewątpliwie menu, bo właśnie w nim, na zastawionej różnymi potrawami ladzie, Siergiej Zarubin zobaczył wszystko, co znajdowało się na liście

sporządzonej przez eksperta, który przeanalizował zawartość żołądka nieżyjącego włóczęgi zwanego Liszajem. Rodzajów pizzy było mnóstwo, domniemane pierogi czy kotlety okazały się pierożkami ravioli. Ryż stanowił główny składnik smakowicie pachnącego dania o nazwie risotto. Pomidory i ogórki występowały zarówno w sałatkach, jak i w postaci pierwotnej, to znaczy pokrojone w plastry. Wszystko idealnie pasowało, nawet czas, który minął od chwili przełknięcia ostatniej porcji jedzenia do śmierci. Zjeść obfity posiłek, wypalić parę papierosów, po czym przespacerować się do zajezdni trolejbusowej, prowadząc przy tym nieśpieszną rozmowę – i będzie dokładnie tak, jak podano w ekspertyzie. Skąd bezdomny wziął nagle tyle pieniędzy, żeby się ubrać w nowe rzeczy, pójść do fryzjera i zjeść obfitą kolację? Głupie pytanie, uśmiechnął się pod nosem Zarubin. Od tej samej osoby co Nadka Tancerka – od dobrego wujka. Tyle że w przypadku Tancerki wiadomo przynajmniej za co: za usługę, za plakat i nieszczęsnego kretyna Wanię Żukowa. A za co wynagrodzono Liszaja? Też za usługi? Czy za ładne oczy ?

– Czym mogę służyć? – zwróciła się do Zarubina zabawna rudowłosa dziewczyna w czerwono-białym uniformie, stojąca po drugiej stronie lady. – Widzę, że nie może pan wybrać. Może powiem coś o składnikach dań?

– Dobrze. – Wywiadowca ochno przystał na propozycję, po cichu przeliczając gotówkę w kieszeni, żeby się nie skompromitować i nie złożyć zamówienia na sumę większą, niż mógł sobie pozwolić.

Rudowłosa okazała się rozmowna i łatwo dała się wciągnąć w pogawędkę. Okazało się, że pamiętała Liszaja. Zjawił się w trakcie poprzedniej zmiany i dziewczyna (która, nawiasem mówiąc, nazywała się Ksiusza) zauważyła dysonans między przyzwoitym wyglądem klienta a odrażającymi rękami, którymi sięgał po jedzenie na ladzie. Ręce były szare

i zaniedbane, z obgryzionymi paznokciami i śladami chorób skórnych.

– Dostałam mdłości na widok jego rąk – przyznała Ksiusza, znacząco marszcząc piegowaty nosek. – Pomyślałam nawet, że to złodziej.

– Dlaczego? – zapytał Siergiej z ciekawością. – Miał to wypisane na czole?

– Niech pan nie żartuje. – Dziewczyna zachichotała. – Wniosek nasuwa się sam: jeżeli człowiek ma takie ręce, to porządne ubranie prawdopodobnie nie należy do niego. Czyli że zostało ukradzione. Nie nabiorę się, nie jestem ślepa.

– A jego kompan? On też wyglądał na złodzieja?

– Kompan? – Ksiusza uniosła jasnorude brewki, wskutek czego jej niebieskie oczy jeszcze bardziej się zaokrągliły. – Był przy ladzie sam.

– Dobrze pani pamięta? – zapytał Siergiej czujnie.

– Oczywiście. Ale jeżeli wszyscy milicjanci tak ograniczeni jak pan, wytłumaczę jaśniej: gdy człowiek z takimi okropnymi rękami przychodzi do bistra i bierze dwie tace jedzenia, zaczynam się oczywiście zastanawiać, czy ma pieniądze i czy będzie mógł zapłacić. Dlatego patrzę, z kim przyszedł. Jeżeli obok niego stoi równie brudny cudak, niezwłocznie wzywam ochronę. Wszyscy zostaliśmy poinstruowani na wypadek sytuacji, gdyby ktoś zechciał coś wziąć i się zmyć, nie regulując rachunku; w pobliżu są przecież trzy dworce, przewala się tam pełno bezdomnych, żebraków oraz innej hołoty. No więc obok pańskiego faceta nie było innego brudasa, a on tylko dla siebie wziął dwie tace jedzenia. Wtedy chyba pomyślałam: jak to się w nim pomieści? Teraz jasne?

– Jasne – przytaknął Zarubin, nieco urażony uwagą Ksiuszy na temat ograniczonych milicjantów. – A gdzie siedział?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie zwróciłam uwagi. Koncentruję się na tym, żeby klient umieścił jedzenie na tacy, a nie włożył go do torby, i żeby

doniósł wszystko do kasy. Tutaj kończy się moje zadanie. Ale zdaje się, że wszedł na piętro.

– Było tam tłoczno?

– Ależ skąd, u nas zawsze jest luźno. Na piętrze można palić.

– To dobrze. – Zarubin się uśmiechnął. – W takim razie też tam pójde. Nie żegnam się, Ksiuszo. Gdy zjem, to znowu porozmawiamy.

– Bardzo proszę. Myślałam, że się pan obraził.

– Ja? – zdumiał się Siergiej nieszczerze. – Czemu?

– Za ograniczonych milicjantów. Naprawdę nie jest pan obrażony?

– Jestem.

– I mimo to zamierza pan ze mną porozmawiać?

– Droga Ksiuszo, moje osobiste żale to moja prywatna sprawa. Będziemy rozmawiać służbowo. Chwyta pani różnicę?

– No cóż, przepraszam, nie miałam na myśli nic złego. Nudzę się tutaj jak mops, więc czepiam się wszystkich.

– Wszystkich bez wyjątku? – Wywiadowca się ożywił. – Tego z brudnymi rękami też?

– Zgadza się – przyznała, czerwieniąc się lekko.

– Ciekawe, co mu pani powiedziała.

– Chlapnęłam coś w stylu, że jeszcze pęknie od takiej fury jedzenia, a my tutaj nie mamy odpowiednich nici i nie będziemy go mogli zszyć, z igłami też krucho... Mniej więcej coś takiego.

– Jak zareagował?

– Nijak. Odniosłam nawet wrażenie, że w ogóle nie zrozumiał. Podniósł głowę i popatrzył na mnie, jakby nie słyszał.

– Może był naćpany? – zasugerował Zarubin, chociaż dobrze wiedział, że Liszaj nie zażywał narkotyków, zaprawiał się wyłącznie alkoholem.

– A gdzie tam, naćpanych poznaję z daleka, wyglądają zupełnie inaczej. Ten z brudnymi rękami jakby się zastanawiał

nad czymś ważnym, był pochłonięty własnymi myślami. Ojej, po co pan tutaj sterczy?! Wszystko panu ostygnie. Proszę najpierw zjeść, a potem porozmawiamy.

Siergiej wziął tacę, zapłacił i udał się na piętro, gdzie, jak mu obiecano, wolno było palić. Tak, tłumów tutaj nie widać; w ciągu piętnastu minut, które spędził na miłej pogawędce z czepialską Ksiuszą, nikt nie podszedł do lady. Kryzys siedemnastego sierpnia boleśnie uderzył obywateli po kieszeni i dał niezłego kopniaka cenom, które nabrały przyspieszenia, popędziły do przodu i w górę, nie oglądając się za siebie. Ceny w barze najwyraźniej nie są dla biednych podróżnych, zmuszonych tkwić na dworcach w oczekiwaniu na pociąg. A ci, dla których są dostępne, za nic tutaj nie wejdą, bo za te same pieniądze mogą posiedzieć w miłych, schludnych miejscach, a nie męczyć się przy lepkich, rozchwianych stolikach na twardych, niewygodnych krzeselkach.

Ulokowawszy się przy oknie, Zarubin szybko zmiotł z plastikowych talerzy spaghetti bolognese oraz sałatkę noszącą nazwę „koktajl krewetkowy”. Musiał przyznać, że kucharze byli tu doskonali, co przynajmniej trochę kompensowało obskurne wnętrze. A zatem przy jednym z tych stolików bezdomny Liszaj ucztował przed śmiercią. Na pewno nie był sam, jego kompan też tutaj siedział, chociaż nie podszedł do lady z przyszłą ofiarą. Ostrożny drań! Może udał się na górę, zaczekał, aż Liszaj przyniesie sobie posiłek, a później spokojnie ruszył po swoje danie. Albo poprosił Liszaja, żeby jemu też coś przyniósł. Albo niczego nie jadł, co jest całkiem prawdopodobne, biorąc pod uwagę sytuację. Szykował się do zabójstwa, a więc musiał być podenerwowany. W takim stanie zwykle nie można niczego przełknąć. Jeżeli jednak pożywiał się razem z Liszajem, to albo pomysł zabójstwa pojawił się później, albo jest skończonym łajdakiem, dla którego pozbawienia człowieka życia nic nie znaczy i nie odbiera mu apetytu.

Siergiej wypalił papierosa, dyskretnie lustrując salę i próbując sobie wyobrazić dwie osoby, które niedawno tutaj siedziały: bezdomnego, chorego biedaka i jego nieznanego dobroczyńcę. Jeden chciwie pochłaniał jedzenie i wciąż się nad czymś zastanawiał, a drugi na niego patrzył i przygotowywał się do zabójstwa. O czym Liszaj tak intensywnie rozmyślał? I dlaczego jego kompan zamierzał go zabić? Ech, żeby to wiedzieć...

KAMIENSKA

Rzadko miała okazję bywać w szpitalach, ale każdy prędzej czy później osiąga taki wiek, kiedy zarówno on, jak i jego bliscy albo znajomi zaczynają coraz częściej tam trafiać. W ciągu trzydziestu ośmiu przeżytych lat Nastia leżała w szpitalu zaledwie dwukrotnie, najpierw z urazem pleców, później przywiozło ją pogotowie, gdy zasłała na ulicy. I jeszcze z pięć razy odwiedziła znajomych. I to całe jej szpitalne doświadczenie.

Dzisiaj przyjechała do pułkownika Gordiejewa. Znalazła go wcale nie na sali, jak się spodziewała. Siedział spokojnie na ławce w przyszpitalnym parku i w okularach zsuniętych na czubek nosa czytał opasłą gazetę. Nastia była pewna, że nikogo nie widzi, ale gdy tylko się zbliżyła, Gordiejew, nie odrywając oczu od rozłożonej płachty, burknął:

– A gdzie Korotkow? Przecież to jemu, a nie tobie, kazałem się stawić z raportem.

– To znaczy, że mam sobie pójść? – zapytała Nastia obojętnie, starając się nie pokazać po sobie, że słowa szefa ją dotknęły.

Wiktor Aleksiejewicz oderwał się w końcu od lektury, zdjął okulary i jak zwykle wsunął zauszniak do ust.

– No proszę, jacyśmy obrażalscy – skonstatował w zamyśleniu, kręcąc głową. – Mogę więc być spokojny,

wszystko w porządku, wszyscy na miejscu, ty się nie zmieniłaś, jesteś równie wrażliwa jak przedtem, a to znaczy, że wydział kierowany przez Jurija nie poszedł w rozsypkę. Na razie. Usiądź. – Poklepał ręką miejsce koło siebie na ławce. – No to gdzie jest ten łobuz – mój zastępca?

– Przyjedzie za godzinę. A co z pańskim sercem? Co mówią lekarze?

– Ech! – Pułkownik machnął ręką. – Nic ciekawego. Jak w przypadku każdego osobnika na stanowisku kierowniczym w moim wieku. Wszystkim mówią to samo. Że niby jeżeli chce pan być zdrowy, należy zrezygnować z funkcji naczelnika i zająć się czymś lżejszym. To same bzdury, Stasienko, nie warto strześcić sobie języka. Lepiej mi opowiedz o tym telewizyjnym potworze. Nie ma jeszcze trzeciego trupa?

– Bogu niech będą dzięki! – Nastia rzuciła okiem za siebie i ukradkiem się przeżegnała.

– Co to ma być? – Gordiejew uniósł brwi. – Skąd ten gest? Dobrze, nie odpowiadaj, przecież wiem. Nawiasem mówiąc, niedawno przyłapałem się na tym, że przeżegnałem się przed drzwiami generała, gdy mnie wezwał na dywanik. Wyobrażasz sobie? Zupełnie odruchowo, bez zastanowienia, w dodatku bez wysiłku, jakbym to robił przez całe życie. Oto co znaczą geny! Mieszkańcy Rusi od tysiąca lat żegnają się znakiem krzyża, a ci cholerni miczurinowcy postanowili w ciągu jednego pokolenia zrobić z nas niedowiarków. No to co z tym potworem?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, to rzeczywiście jakiś potwór. Bezczelny do niemożliwości! Ekspertyza wykazała, że napis na plakacie i na kartce mówiącej o pieniądzach na pogrzeb wykonano tą samą ręką. To raz. Kule, którymi zabito Starostienko i bezdomnego, pochodzą z tej samej broni. To dwa. Na pieniądzach i kartce znaleziono odciski palców należące do tej samej osoby, ale nie do naszego bezdomnego denata. To trzy. Identyczne odciski znaleziono na

ceramicznych rybkach i plastikowych laleczkach, które zabójca pozostawił na miejscach dwóch przestępstw. To cztery. Wygląda na to, że sprawca jest szaleńcem i zupełnie nie myśli o zachowaniu ostrożności.

– No cóż, o ile dobrze pamiętam ostatni raport Korotkowa, to szukacie właśnie szaleńca – zauważył Gordiejew. – A zatem nie ma się czemu dziwić. Każdy świr działa irracjonalnie. Jak idą poszukiwania?

– Średnio – odparła Nastia niejasno. – Ani dobrze, ani źle. Chociaż może niewłaściwie się wyraziłam, wszyscy w kraju stają na uszach, żeby wytropić naszego Gorszkowa. Ale to nie zmienia istoty sprawy – jeszcze go nie znaleziono. Ja zaś w każdej chwili spodziewam się nowych zwłok z serdecznym pozdrowieniem od szanownego Aleksandra Pietrowicza. Wczoraj Olszański dostał w końcu jego akta osobowe i przekazał je ekspertom, żeby przeanalizowali charakter pisma i kartę daktyloskopijną.

– Są inne hipotezy? Czy uparliście się przy swoim Gorszkowie i czekacie z założonymi rękami?

Nastia westchnęła. Innych hipotez nie było. A właściwie były, ale mętne. Zabójstwa mógł popełnić ktoś inny. Ktoś, kto postanowił porachować się ze śledczą Obrazcową albo z funkcjonariuszką pionu kryminalnego Kamińską. Zarówno Nastia, jak i Tatiana pracowały od ponad dziesięciu lat, więc liczba osób, które były, delikatnie mówiąc, rozczarowane wynikami spotkań z obiema paniami, przekraczała dziesiątkę. I co teraz, sprawdzać wszystkich po kolei? Tatiana przypomniała sobie Aleksandra Pietrowicza Gorszkowa jako najbardziej prawdopodobnego podejrzanego z zapędami szalonego mściciela. Nikt więcej nie przychodził do głowy ani jej, ani Nastii.

– Wszystko jasne. – Gordiejew kiwnął głową. – Wrzucicie na luz, dziewczęta. Zaczęłyście myśleć o miłych rzeczach,

postanowiłyście przypiąć Gorszkowowi łatkę szaleńca i odpocząć. Kiedy ostatnio wyężyłaś szare komórki?

– W ubiegłym roku – zażartowała Nastia. – Gdy pracowałam jeszcze u Zatocznego. Od tamtej pory nie miałam okazji.

– To widać. Naprawdę nie wiesz, kto może na ciebie polować? Wstyd, dziecko. To do ciebie niepodobne.

– Wiktorze Aleksiejewiczu – powiedziała Nastia z przejęciem – proszę mnie dobrze zrozumieć, to przecież wyłącznie statystyka. Gdyby każdy przestępca, którego schwytano, po wyjściu na wolność zaczynał się mścić na milicjantach i śledczych, już dawno byłoby po nas. Ten, który to wszystko zaplanował, różni się od reszty przestępców i nie zachowuje tak jak oni. Chodzi nie o to, że na mnie poluje, ale o to, że ma inną mentalność i psychikę. Tych, co się czają z kamieniem za pazuchą, jest cała rzesza; wszyscy oni maszerują w nogę. Nasz potwór maszeruje jednak innym krokiem. Próbowałam przypomnieć sobie kogoś tak osobliwego... Saulak popełnił samobójstwo. Gall został zastrzelony. Arsena zabił jego własny człowiek, który był o mnie zazdrosny. Wszyscy trzej mieli nieprzeciętną, nietuzinkową osobowość. Po nich można się było spodziewać podobnej nikczemności. Ale cała reszta to zwyczajne, niczym niewyróżniające się miernoty. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby któryś z nich...

– Nikt od ciebie nie żąda, żebyś używała wyobraźni – przerwał jej oschle naczelnik. – Jeszcze nie jesteś pisarką ani reżyserką. Twoim obowiązkiem jest codzienna praca operacyjna. Praca z informacjami. Poszukiwanie ich, gromadzenie, kompletowanie i analiza. Chcesz, żebym ci zrobił szkolenie na ławce? Ruszaj do biura, wyjmij z sejfu wszystkie swoje materiały, poczynając od pierwszego dnia pracy w wydziale kryminalnym, i bierz się do roboty. Jutro czekam na ciebie o tej samej porze z pierwszymi wnioskami. Co się tam beze mnie wyrabia?! Wystarczyło, że trochę zaniemogłem,

a wszyscy się rozbestwili. Mam przeczucie, że Korotkow prowadzi wydział ku zatraceniu...

Gdy Nastia znalazła się za ogrodzeniem otaczającym przyszpitalny park, zobaczyła wysiadającego z samochodu Korotkova.

– Coś taka markotna? – zapytał. – Oberwałaś od Pączka?

Skuliła się przed przenikliwymi podmuchami wiatru i skinęła głową w milczeniu.

– Ty pewnie też oberwiesz. Jaśnie pan nie ma humoru.

– Nie szkodzi, potrafię odszczeknąć, nie jestem tak miły jak ty. Przekazać ci złą wiadomość już teraz czy lepiej jutro?

– Czyżby... trzecie zabójstwo? – zapytała Nastia z niepokojem.

– Na razie nie. Gorzej.

– Co może być gorsze?

– A to, że znowu nie wiemy, kogo szukać. Kostia Olszański postawił ekspertom butelkę koniaku, żeby w ekspresowym tempie przygotowali analizę pisma Gorszkowa i odcisków palców. No to przygotowali.

– I?

– To nie Gorszkow. Możemy o nim zapomnieć. Więc myśl, koleżanko. Hipoteza Tani się nie potwierdziła, daliśmy plamę z jej podejrzanym. Teraz twoja kolej.

No proszę, wiedziałam! – pomyślała Nastia z rozpaczą, wciskając się do zatłoczonego trolejbusu, który jechał w stronę metra Okriabrskoje Pole. Od początku czułam, że to nie Gorszkow. Bardzo lubię Tatianę i martwię się o nią, ale strach o cudze życie to nie to samo co strach o własne. Skoro pogróżka nie jest skierowana do Tani, to znaczy, że chodzi o mnie. Boże, ależ jestem podła! Powinam się wstydić swoich myśli! A więc byłoby lepiej, gdyby to Tania zginęła? Nie wolno mi tak myśleć, nie wolno, nie wolno! Ona wychowuje małe dziecko, jest utalentowaną pisarką, czytelnicy czekają na jej książki, jej życie ma większą wartość niż moje; powinnam

się cieszyć, że to nie Gorszkow. Powinnam się cieszyć, że zabójca próbuje wyrównać rachunki nie z nią, ale ze mną, bo moja śmierć przyniesie mniejsze straty, nie osierocę dzieci. Powinnam się cieszyć... Ale nie potrafię. Boję się.

PIERWSZA ŻONA ZABÓJCY

Żądał ode mnie rzeczy niemożliwych, ale dopiero później zaczęłam to rozumieć. Najpierw wszystko układało się wspaniale, jak w bajce, która miała trwać wiecznie.

Nie wybierałam instytutu, to raczej on mnie wybrał. Gdybym powiedziała, że w wieku siedemnastu lat pragnęłam zdobyć wyższe wykształcenie, minęłabym się z prawdą. Nie przepadałam za nauką, ale dzięki swoim warunkom fizycznym skończyłam szkołę z dobrymi wynikami. Byłam członkinią młodzieżowej reprezentacji kraju w siatkówce, na okrągło jeździłam na zgrupowania i zawody, a w przerwach między nimi codziennie chodziłam na treningi. Byłam chlubą szkoły i wszystko uchodziło mi płazem. Nawet do Komsomołu przyjęto mnie zaocznie, nie kazano stawić się w rajkowie i odpowiadać na pytania z zakresu statutu (i tak bym go nie opanowała). W tym czasie brałam akurat udział w meczu na olimpiadzie młodzieży.

Wybrałam zatem instytut położony najbliżej domu. Zdałam, rzecz jasna, egzaminy, ale i tak było wiadomo, że nikt mnie nie obetnie. Wstawili się za mną ważni działacze sportowi, a władze uczelni wiedziały, że będę grała w drużynie studenckiej na uniwersjadzie.

Gdy on zwrócił na mnie uwagę, początkowo nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Prymus, duma instytutu, student czwartego roku, o którym było wiadomo, że za rok otrzyma propozycję zrobienia doktoratu – i ja, trójkowa studentka drugiego roku. Chociaż trzeba przyznać, że byłam śliczna.

Wszystkie dziewczyny wzdychały do niego i usiłowały go sobą zainteresować, on jednak wybrał mnie. Zazdroszczono mi i się mną zachwycano: patrzcie, umiała omotać samego Landaua. Takie nosił przezwisko – Landau. Geniusz fizyki oraz inżynierii mechanicznej.

Nie byłam, oczywiście, zbyt bystra, ale mój mały rozumek mi podpowiedział, że muszę szybko zajść w ciążę i urodzić dziecko, w przeciwnym razie Landau może się zerwać z haczyka. Ku mojemu zdziwieniu okazał się prawiczkim. Domyśliłam się jednak, że nie jest świętoszkiem, że wolał zachować ostrożność. Nie pozwalał sobie na nic i z nikim, żeby nie zaciągać żadnych zobowiązań. Męczył się, a gdy stracił cierpliwość, przypadkiem stanęłam na jego drodze i wpadłam mu w oko. Każda dziewczyna mogłaby się znaleźć na moim miejscu. Miałam dużo szczęścia, więc należało wykorzystać okazję, póki na horyzoncie nie pojawiła się jakaś ładniejsza panienka. Landau pochodził z rodziny, do której każda chciałyby wejść. Jego babka była jedyną w swoim rodzaju panią profesor, Landau mieszkał z nią w samym centrum Moskwy w olbrzymim apartamencie z wysokimi sufitami i antykami. Miał też własne dwupokojowe mieszkanie w prestiżowej dzielnicy. Jego ojciec był jakąś szyczą, pracował daleko i pojawiał się rzadko, więc paląca w tamtych czasach kwestia mieszkaniowa młodej rodziny rozwiązywała się bez problemu.

Byłam, oczywiście, zakochana po uszy. Mimo wygod, które zapewniało takie małżeństwo, istniały też uczucia. On był przystojny, mądry i nietuzinkowy, mówił płynnie dwoma językami, grał na fortepianie trudną, niezrozumiałą dla mnie muzykę, malował portrety olejne i z pasją pochłaniał książki, z których nie potrafiłam zrozumieć nawet kilku słów.

Udało mi się nakłonić go do małżeństwa pod koniec drugiego roku studiów. Gdy złożyliśmy wniosek w urzędzie stanu cywilnego, a moja ciąża liczyła dwa i pół miesiąca, zapytałam

delikatnie, co jego rodzina myśli o mnie i o naszej decyzji, żeby się pobrać. Landau uśmiechnął się i powiedział: „Kiedyś moja mama wyszła za mąż w podobny sposób. Rodzina była przeciwna, ale ona postawiła na swoim i niebawem przyszedłem na świat”.

Najpierw nie rozumiałam, o co mu chodzi. Dopiero parę lat później dotarło do mnie, co miał na myśli. Do szaleństwa kochał swoją nieżyjącą matkę, czczył pamięć o niej, uważał jej życie i czyny za wzór do naśladowania. Jak się później okazało, nie we wszystkim. Szczerze mówiąc, to właśnie stało się ową przeszkodą, której nie zdołałam pokonać.

Na trzecim roku studiów załatwiłam sobie urlop dziekański. Gdy urodził się syn, Landau nie posiadał się z radości, byłam więc pewna, że naszemu małżeństwu nic nie grozi i nie może grozić. Skoro ojciec uwielbia dziecko, nigdy go nie porzuci. Do końca lata wiedliśmy bez troski i szczęśliwe życie, mąż mi pomagał, jak tylko mógł: opiekował się synkiem, wstawał do niego po nocach i temu podobne. A pod koniec sierpnia strasznie się zdziwił, gdy do niego dotarło, że nie zamierzam wrócić na studia.

– Musisz się uczyć – mówił. – Przy dziecku pomoże nam babcia, nie brak jej jeszcze sił. A przez pięć dni w tygodniu będziemy go odstawiać do żłobka.

Ja jednak się uparłam i nie dawałam się przekonać. Wprowadzono już przepisy, które pozwalały kobiecie siedzieć w domu z dzieckiem do lat trzech, bez obawy, że zostanie oskarżona o pasożytnictwo. Zdażyłam się też dowiedzieć więcej o losie jego matki, posłużyłam się zatem jej przykładem.

– W żłobku nie będzie chłopcu dobrze – dowodziłam. – Nawet twoja mama to rozumiała, więc załatwiła sobie pracę blisko ciebie. Chyba nie chcesz, żeby nasze dziecko wyrosło na chorowite i niedorozwinięte umysłowo?

Tak naprawdę nie byłam pewna swoich słów. Zarówno ja, jak i mój mąż chodziliśmy do żłobka, co nam nie zaszkodziło; usiłowałam jednak wypaść przekonująco, bo chciałam zostać w domu i pracować pieluchy. Nie miałam ochoty studiować w głupim instytucie.

Kłóciliśmy się przez jakiś tydzień, później Landau niechętnie ustąpił, ale kazał mi przysiąc, że gdy tylko syn skończy trzy latka i pójdzie do przedszkola, wrócę na studia. Ponieważ ta chwila wydawała mi się odległa, chętnie się zgodziłam.

W ciągu trzech lat, które przeleciały jak z bicza strzelił, zrozumiałam, że jestem urodzoną kurą domową. Lubiłam zajmować się domem, gotować obiady, piec ciasta, szyć synowi ubranka (rzeczy sprzedawanych w sklepach nie chciało się brać do ręki, a co dopiero ubierać w nie ukochane dziecię), myć i froterować podłogi, wchodzić na drabinkę i ścierać kurz z sięgających sufitu półek na książki. Babcia męża niedawno zmarła, więc zostałam prawowitą panią domu. Pucowanie i meblowanie apartamentu sprawiało mi niesłychaną przyjemność. Z jakiegoś powodu Landau nie chciał, żebyśmy się przeprowadzili do jego dwupokojowego lokum, więc po ślubie zamieszkaliśmy z jego babką, której się bałam i nie lubiłam. Ona zresztą też nie pałała do mnie sympatią, więc po jej śmierci odetchnęłam z ulgą i uznałam, że teraz zacznie się prawdziwe życie. Czy ja, niewykształcona dziewczyna z komunałki w Marinej Roszczy, mogłam kiedykolwiek marzyć, że zamieszkałam w takich warunkach i będę miała takiego męża?! Czasami marzenia się spełniają, ale gdy zdarza się to, o czym się nawet nie śniło, człowiek czuje się tak, jakby złapał Pana Boga za nogi.

Zanim syn skończył trzy lata, Landau, jakby na potwierdzenie swojego przezwiska, zdobył tytuł doktora. Wszyscy obchodzili się z nim jak z jajkiem, wróżyli mu świetlaną przyszłość i nazywali go nadzieją radzieckiego przemysłu zbrojeniowego. Otrzymał dobrą posadę i tak

wysokie wynagrodzenie, że mogłam już nigdy nie pracować. Musiałam jednak pójść do pracy, żeby mnie nie ukarano za pasożytnictwo. Załatwiłam sobie pół etatu na stanowisku laborantki w biurze niedaleko domu, gdzie stemplowałam dokumenty. Żeby pracować na cały etat, nawet mi przez myśl nie przeszło. Musiałam się zajmować domem i dzieckiem. Reakcja męża na moją decyzję była nieoczekiwana.

– Nie martw się – oznajmił protekcyjnym tonem. – To kwestia paru miesięcy. Popracujesz do końca roku, a później zaczniesz się drugi semestr i wrócisz na studia.

– Jaki drugi semestr? – zdziwiłam się.

Już dawno zdążyłam zapomnieć o swojej obietnicy kontynuowania studiów, zwłaszcza że po tamtej kłótni Landau ani razu nie wrócił do tematu.

– Drugi semestr na uczelni. Co prawda, odeszłaś na urlop w trakcie pierwszego, ale nie szkodzi, przygotuję cię, zdasz eksternistycznie egzaminy po pierwszym semestrze trzeciego roku i od lutego, akurat po sesji zimowej, zaczniesz chodzić na zajęcia. Jutro jedź do instytutu i napisz podanie o wznowienie studiów. Nie zapomnij zabrać ze sobą wszystkich dokumentów.

Aż mnie zamurowało. Czy on oszalał? Nie potrafię sobie przypomnieć tego, czego mnie uczono w ciągu pierwszych dwóch lat, a on chce, żebym wróciła na trzeci rok.

– Nie ma sprawy – przystał mąż ochoczo. – Rozpocznij nowe studia w innym instytucie albo w tym samym od pierwszego roku. Jeżeli boisz się egzaminów, to się nie przejmuj, przygotuję cię z każdego przedmiotu, nawet z chemii, historii czy z języka obcego. Tylko studiuj.

Był bardzo poważny, więc zrozumiałam, że to nie przelewki. Wymówki nic nie dadzą, bo Landau na wszystko znajdzie odpowiedź. Nie miałam odwagi się przyznać, że w ogóle nie chcę studiować, toteż postanowiłam odwlec sprawę, łudząc swojego genialnego męża obietnicami, że pójdę, gdzie trzeba,

i zrobię wszystko, by od lutego podjąć studia. Do lutego było jeszcze trochę czasu...

Gdy nadszedł luty i się okazało, że nie zgłosiłam się w instytucie, wybuchła awantura. Mąż krzyczał, ja płakałam. Dziecko, oczywiście, też płakało, bo nie rozumiało, o co to zamieszanie. Wyprosiłam jeszcze rok. Wybłagałam, wypłakałam. Mąż mi go dał i zagroził wszelkimi karami niebios na wypadek, gdybym znowu została w domu.

Ten rok też jednak minął. Musiałam zdobyć się na odwagę i uczciwie wyznać, że nie chcę studiować. Nie chcę. I za nic w świecie nie zamierzam. Chcę siedzieć w domu, pracować na pół etatu, skoro prawo tego wymaga, i być zwyczajną żoną i matką. Dlaczego nie mogę? Kto powiedział, że muszę zdobyć wyższe wykształcenie?

– Ja – odparł mąż. – Nie mogę mieć zwyczajnej żony, a moje dziecko nie potrzebuje zwyczajnej matki. Musisz być godna naszej rodziny, a w rodzie Danilewiczów-Lisowskich wszyscy mieli wyższe wykształcenie i byli mistrzami w swoim zawodzie.

– Ale dlaczego mam być godna twojej rodziny? – zapytałam. – Twoja rodzina to twoja rodzina, ze wszystkimi swoimi trupami w szafie, a ja to ja. Pozwól mi żyć własnym życiem. Nie muszę być podobna do twojej obłąkanej babki, która znała nieprzebrane mnóstwo języków, nawet nikomu niepotrzebną starożytną grekę. Tymczasem ja umiem zrobić taką pieczeń i upiec takie ciasto, jakich nie umiała żadna kobieta w twojej rodzinie, możesz mi wierzyć.

Usiłowałam obrócić wszystko w żart, ale za każdym razem stawało się to coraz trudniejsze. W końcu Landau mi wytłumaczył, że mogę być, kim chcę, i żyć, jak mi się żywnie podoba, ale jeżeli pragnę pozostać jego żoną, muszę okazać się godna. Zarówno jego wiekopomnego rodu, którego historia sięga czasów mamutów i dinozaurów, jak i jego samego – szanowanego przedstawiciela owej rodziny.

– Zrobiłem, co mogłem, żeby stać się godnym pamięci mojej matki. Nie mam prawa żyć w związku z osobą, która nie odpowiada wymogom naszych tradycji.

– Ale przecież twoja mama pracowała w żłobku i przedszkolu, nie była pracownikiem naukowym. – Wciąż jeszcze próbowałam się bronić. – A nie uważasz jej przecież za niegodną. Przeciwnie, jesteś z niej dumny i chcesz być godny jej pamięci. Skoro ona mogła sobie pozwolić na takie życie, dlaczego ja nie mogę?

Mąż spurpurowiał i zacisnął pięści. Myślałam, że zaraz mnie zgniecie jak robaka. Ale się powstrzymał.

– Nie waż się porównywać z moją matką. Ona zdobyła wyższe wykształcenie i zamierzała podjąć pracę naukową, gdy tylko podrosnę. Kochała swój zawód i marzyła o tym, żeby poświęcić mu całe życie, chciała być pierwsza i niepowtarzalna w swojej dziedzinie. Doskonaliła się w swojej profesji nawet wtedy, gdy siedziała ze mną w domu; to właśnie dzięki temu zostałem tym, kim teraz jestem. To nie jej wina, że umarła, nie doczekawszy dnia, gdy będzie mogła wypuścić mnie na szerokie wody. Twoja sytuacja jest inna. W ogóle nie chcesz się uczyć, cierpisz na umysłowe lenistwo. Nawet nie chcesz myśleć, wolisz pracować rękami. W naszym kraju nie ma wyjątkowych pań domu. Nie potrzebuję takiej żony. Ostatni raz proponuję, żebyś to przemyślała i podjęła decyzję: albo zdobędziesz wykształcenie i poważnie potraktujesz swój zawód, albo się rozstaniemy.

Okazało się, że mur jest nie do przebicia. Żywiłam jeszcze nadzieję, że Landau się rozmyśli albo po prostu machnie ręką, rezygnując z prób uczynienia ze mnie tego, czego pragnął, i przyjmie to, co jest. Jednakże ukochany małżonek zaczął mnie metodycznie eliminować. Nie, nie posuwał się do rękoczynów ani nie robił niczego w tym rodzaju, po prostu dawał mi jasno do zrozumienia.

Pewnego dnia spodziewaliśmy się gości. Teraz wiem, że powinnam raczej powiedzieć, że to mąż się ich spodziewał, ale wtedy nie spadła mi jeszcze zasłona z oczu i dlatego naiwnie sądziłam, że oboje na nich czekaliśmy. Landau był już doktorem habilitowanym i jakimś laureatem, więc zaprosił wpływowych działaczy, profesorów, pracowników naukowych i naczelników. Przyjęcie odbywało się z okazji otrzymania przez niego czy to kolejnego tytułu, czy to kolejnej nagrody. Byłam, oczywiście, podekscytowana: jak ich przyjąć, co przygotować, jak nakryć stół, w co się ubrać, jak się uczesać. Odkąd zamieszkaliśmy razem, było to pierwsze tak ważne przyjęcie. Przejrzałam nawet fachowe poradniki na temat koktajli oraz ich serwowania. Krótko mówiąc, zamierzałam stanąć na uszach, żeby się nie skompromitować.

Stół aż ugiął się od jedzenia i nie można było oderwać od niego oczu – nawet amerykański prezydent by się go nie powstydził. Zaczęłam przymierzać stroje i okazało się, że po urodzinach dziecka i po domowych ciastach nie wchodzę w nic eleganckiego. Wszystkie ubrania były szyte wcześniej, przed zamążpójściem, później chodziłam przeważnie w spodniach i swetrach. Spodnie były, oczywiście, firmowe, kosztowały majątek, przywiozłam je z za granicy, ale na okrągło biegałam w nich do pracy i na zakupy. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby się zważyć; byłam pewna, że skoro przez całe życie uprawiałam sport, tusza mi nie grozi. Nie żebym się roztyła do nieprzyzwoitości – co to, to nie. Gdy przeglądałam się w lustrze, wydawało mi się, że mam dawną figurę. Tymczasem przybrałam trochę na wadze; na oko nie widać, ale sukienki nie da się oszukać. Okropnie się zdenerwowałam i mówię do męża:

– Może pobiegnę do GUM-u [\[16\]](#) i kupię sobie nową sukienkę?

A on na to ze zdumieniem:

– Po ci ona? – pyta.

– No jak to, a goście? W czym ich przyjmę? Chyba nie w dzinsach?

– Zamierzasz wyjść do gości?

Nie wierzę własnym uszom, stoję jak głupia, chociaż inna już dawno by się domyśliła, co się dzieje.

– Jestem przecież twoją żoną i panią tego domu.

– Daruj sobie – przerwał mi Landau. – Nakryjesz stół i masz wolne. Lepiej pobaw się z dzieckiem. Jak miałbym przedstawić taką żonę? Jesteś niedouczoną ignorantką, nie zrozumiesz ani słowa z naszej rozmowy. Będę się wstydził za ciebie. Nie chcę się kompromitować przed kolegami i szefami.

Jakby mi wymierzył policzek. Wszystko stało się absolutnie jasne. Żal mi było rozstawać się z bajką, tak pięknie wszystko się zaczęło i sądziłam, że szczęście nigdy się nie skończy. A tu masz... Postanowiłam schować dumę do kieszeni i powalczyć o życie rodzinne. Kto wie, myślałam, może coś się zmieni i nastąpi przełom.

Rozstaliśmy się po jakichś dziesięciu miesiącach kłótni i awantur. Landau oddał mi tamto dwupokojowe mieszkanie, w którym nie chciał mieszkać. Szczerze mówiąc, liczyłam na jego szlachetność i sądziłam, że zostawi mi luksusowy apartament babci, w końcu on jest sam, a ja – z dzieckiem, ale nic z tego. Dość jednak tych narzekań...

O ile mi wiadomo, jego drugą żonę spotkał znacznie gorszy los.

Rozdział 8

STASOW

Ciekawe, jak długo potrwają te niekończące się korowody gości w naszym domu. Dzisiaj znowu zastałem całe towarzystwo: czarująca Irocza w wąskich, seksownych spodniach pełniła rolę pani domu; Misza Docenko, w jakimś niesłychanie modnym pulowerze, popisывał się elokwencją; tylko zamiast sąsiada Kotofieicza przy stole zasiadał Sieriożka Zarubin, wywiadowca z Okręgu Centralnego. Znałem go słabo, widziałem zaledwie raz, ale Aśka bardzo chwaliła chłopaka, latem rozwiązywali razem jakąś sprawę. Rozmieszczenie wojsk było jasne jak słońce na niebie: zalety Iroczy zdążyły zawrócić Docence w głowie, więc wymyślił jakiś pretekst do swoich odwiedzin; na potwierdzenie niewinności zamiarów przywłókł ze sobą Zarubina i w tym miejscu popełnił duży błąd. Bo Sierioża, o ile mi wiadomo, był kawalerem, w dodatku wcale nie zagorzałym, a to znaczy, że zdatnym do zawarcia małżeństwa. Głupi Miszka własnymi rękami (albo we własnej kieszeni?) przyniósł do domu swojej wybranki beczkę prochu, na której sam teraz musi siedzieć. Sierioża ma tylko jedną wadę – jest nikczemnego wzrostu, ale w przypadku naszej filigranowej Iruśki to nie przeszkoda, niżsi od niej mogą być tylko lilipuci. Nieodłączny element sceny dramatu – Griszka – z ważną miną siedzi na kolanach Zarubina i usiłuje ukręcić mu guzik przy koszuli. Dziecko wyraźnie nie ufa Sierioży, Misza powinien zwrócić na to szczególną uwagę, jeżeli chce odnieść sukces.

No cóż, nie ma sensu naruszać starego zwyczaju, więc zadamy tradycyjne pytanie:

– A gdzie moja żona?

- Na konsultacji - odparła Irocza, obdarzając mnie rozpromienionym spojrzeniem. No cóż, znakomicie, to normalna reakcja zdrowej, młodej kobiety, wokół której uwija się aż trzech adoratorów, w dodatku jeden lepszy od drugiego i wszyscy nieżonaci. Co prawda, jeden (mam na myśli sąsiada) boryka się z problemem wieku, drugi - wzrostu, a trzeci ma wymagającą mamę, ale w sumie sytuacja sprzyja blaskowi w oczach, zwłaszcza w tak wyrazistych i ładnych jak u Irusi. Zostawmy jednak ten ckliwy temat, co ma do tego konsultacja?

Niezwłocznie wyartykułowałem swoje zdziwienie i od razu otrzymałem wyczerpujące wyjaśnienie, z którego wynikało, że jestem niezbyt uważnym mężem i bardzo kiepskim ojcem.

- Przecież Tania mówiła ci rano, że wieczorem pojedzie z Lilą na konsultację do pewnego miłośnika kotów. Żeby zasięgnąć rady na temat rasy i różnych drobiazgów, zanim kupicie kotka.

Aha, no tak, Tatiana rzeczywiście wspominała coś na ten temat, tylko - szczerze mówiąc - zapomniałem. Ale żeby nie przyznać się do własnej głupoty, postanowiłem udawać mądrego.

- Pamiętam, ale nie sądziłem, że wizyta u miłośnika kotów nosi górnolotną nazwę „konsultacja”.

Brwi Iroczi podjechały tak wysoko, że zniknęły pod grzywką.

- A jak to się nazywa, gdy amatorzy zwracają się po radę do specjalisty? Nie marudź, Władik, tylko siadaj do kolacji.

Zdaje się, że goście zostali już nakarmieni w dosłownym rozumieniu tego słowa, a teraz rozkoszowali się deserem w postaci uśmiechu i kokieteryjnego szczebiotu Iroczi. Nie, nie mam nic przeciwko gościom, naprawdę ich lubię i cieszę się, gdy przychodzą do mojego domu. Dzisiaj też się cieszę, tym bardziej że jest tutaj Misza Docenko, z którym wiążemy plany matrymonialne dotyczące Irusi i który chyba ich nie

kwestionuje. Widok Sierioży też sprawia mi przyjemność, bo obaj z Miszą są wspaniałymi przedstawicielami nielicznej, niestety, części młodego pokolenia, której poprzednie pokolenie (w mojej osobie, to znaczy w osobie funkcjonariusza pionu kryminalnego, podpułkownika Stasowa) może z lekkim sercem powierzyć trudne zadanie szukania przestępców. Ale Sierioża stanowi niepotrzebną konkurencję dla naszego protegowanego; jest wesoły, zapalczywy i uparty, w odróżnieniu od inteligentnego maminsynka Miszy, którego cechuje taka delikatność, że do tej pory zwraca się do Aśki *per pani*. Panuje tu zatem pewien nieład, trzeba mu zaradzić i rozłożyć odpowiednie akcenty.

– A co właściwie was tu przygnało? – zapytałem przyjaźnie, żeby chłopcy nie pomyśleli, nie daj Boże, że ich wyganiem. – Macie jakąś sprawę do Tani?

– Uhm – ochoczo podchwycił Miszka. – Przynieśliśmy dobrą nowinę, ale okazało się, że twojej żony nie ma w domu. No więc siedzimy i czekamy.

– W porządku, zastąpię ją – zezwoliłem łaskawie. – Wał swoją nowinę.

Misza szczegółowo przedstawił wszystkie okoliczności, co rusz włączając do opowieści Zarubina, gdy mowa była o rzeczach, w których ten lepiej się orientował. Wyglądało na to, że nie musimy się już obawiać psychopaty Gorszkowa. To dobrze, bo wolę nie mieć do czynienia z szaleńcami; nikt nie jest w stanie odgadnąć, co im strzeli do głowy; ich postępowanie jest nieprzewidywalne i dlatego trudno się przed nimi ustrzec. Sytuacja wygląda dobrze również z tego powodu, że znowu pojawiła się nadzieja: to nie Tania jest celem. W takim razie kto? Nastia? Ale to też przykre... Nie kłam, Stasow, przyznaj się, że się cieszysz. To może być każdy, nawet Aśka, którą bardzo szanujesz i do której żywisz szczerze koleżeńskie przywiązanie, byle tylko nie Tania. Stasow, zapytałem się w myślach, czy ty czasem nie jesteś bydlakiem?

Żeby nie szukać odpowiedzi na drażliwe pytanie, żywo włączyłem się do rozmowy, wypytując chłopaków o różne szczegóły i na wszelkie sposoby okazując swoje zainteresowanie.

– A wiesz, Wład, co to jest ludzik w rybce? – zagadkowo zapytał Sierioża.

– Ludzik w rybce? A cóż to za cholerstwo? – zdziwiłem się.

Zarubin przekazał mi Griszkę, poszedł do przedpokoju, gdzie wisiała jego kurtka, i wrócił z notatnikiem, z którego wyjął parę zdjęć.

– Masz, popatrz sobie. Ceramiczna rybka z szeroko otwartym pyszczkiem, w który wsunięto plastikowego nagusa, zwanego powszechnie ludzikiem. Głowa jest we wnętrzu rybki, a nóżki wystają. Ten drobiażdżek... – pchnął palcem zdjęcie – znaleźliśmy przy pierwszych zwłokach, a ten tutaj – przy drugich.

Uważnie przyglądałem się zdjęciom i niczego nie rozumiałem. Oprócz jednej rzeczy: z racji doświadczenia i starszeństwa stopniem powinienem powiedzieć coś mądrego. Ale nic mi nie przychodziło do głowy.

– Rybki są jednakowe – rzekłem po chwili namysłu – a ludziki się różnią.

– Sami widzimy. – Docenko westchnął. – Warto by wiedzieć, co oznaczają.

Irocza, która krzątała się przy zlewozmywaku, wytarła ręce w ściereczkę i podeszła do stołu.

– Mogę zerknąć?

Bystry Docenko od razu się posunął, robiąc jej miejsce. A jednak nie można go nazwać gamoniem. Nasza Irka też nie jest w ciemną bita, skorzystała z jego uprzejmości. I to jak! Omal nie wskoczyła mu na kolana. Nie zdążyłem jeszcze dokończyć fachowej oceny sytuacji, gdy powiedziała spokojnie:

– To przecież Bosch.

Nie ma nic gorszego, niż nie doceniać swoich bliskich. Ludzi z reguły nie należy lekceważyć, to bardzo niebezpieczne, nie mówiąc już o tym, że traktowanie bliźniego z góry jest przejawem pychy i braku zasad etycznych. Gdy jednak nagle wychodzi na jaw, że ktoś, z kim się mieszka pod jednym dachem, używa wspólnych naczyń, jada przygotowane przez niego posiłki i kogo nazywa się poufale, używając pieśczośliwego zdrobnienia imienia, no więc gdy ta osoba wie i potrafi coś takiego, czego się w ogóle nie podejrzewa, człowiek doznaje szoku. Wam się to nie przydarzyło? Bo mnie tak...

Tak czy inaczej, na chwilę mnie zamurowało. Miszka i Siergiej znacznie lepiej wybrnęli z sytuacji, ponieważ znali Irusię (Boże, wybac mi, grzesznemu, Irinę Pawłownę Miłowanową) od niedawna i mogli podejrzewać, że jest nieprzebraną kopalnią wiedzy. Tymczasem ja, dureń do kwadratu, znam ją od tylu lat, a nawet się nie domyślałem. Też mi wywiadowca! I jeszcze mam czelność chwalić się swoim doświadczeniem!

Prawdę powiedziawszy, nie wiem zbyt dużo na temat Boscha, pamiętam tylko, że to jakiś średniowieczny artysta. Pocieszało mnie jedno: nasi chłopcy chyba nie wiedzieli nawet tego, bo zapytali jednocześnie:

– Kto, kto?

Trochę mi ulżyło. Nie, kochani, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, mam jeszcze przewagę nad młodymi, może niedużą, wątpliwą, ale mam.

– Bosch – powtórzyła Ira cierpliwie. – Hieronim Bosch. Ryba zjadająca człowieka to jeden z jego ulubionych tematów. Mam gdzieś tutaj album, zaraz poszukam. Władik, nie trzymaj dziecka na rękach, gdy używasz noża, zanieś je do kojca.

Ruszyła do pokoju na poszukiwanie książki, a ja umieściłem synka w kojcu, nie zwracając uwagi na jego krzyki protestu,

po czym, korzystając z nieobecności Iry w kuchni, ściągnąłem z patelni jeszcze jeden kotlet.

– Jakiś Bosch – wybąkał Zarubin z zakłopotaniem. – Co by to miało znaczyć?

Nasza dziewczyna ma jednak znakomity słuch, mamrotanie Sierioży dotarło do jej uszu, tym bardziej że między kuchnią a salonem nie ma drzwi, jest tylko otwarta przestrzeń.

– Nie jakiś, ale bardzo znany – skomentowała głośno. – A to oznacza, że wszystko, co sprawia człowiekowi przyjemność w życiu doczesnym, będzie go dręczyło po śmierci. Ktoś lubi na przykład się objadać, oddaje się grzechowi łakomstwa, je rybę, w dodatku najpierw ją łowi, zabija i smaży, więc gdy umrze, rybka zemści się na nim za jego podłość.

– To się nie trzyma kupy! – zripostował Sierioża. – Co ma do tego Nadka Tancerka albo Liszaj – oboje nędzarze, w dodatku Liszaj to bezdomny, pół życia spędził w zakładzie karnym. Jak oni mogli popełnić grzech obżarstwa? On się żywił resztkami. Tancerka też nigdy nie była przy forsie, a nawet jeżeli coś sobie uskładała, gdy jeszcze tańczyła w balecie, to i tak żyła o chlebie i wodzie, bała się przytyć. Po co nasz Żartowniś robi takie aluzje?

Zarubin i tutaj, przy obficie nakrytym stole, pozostawał wywiadowcą, podczas gdy Misza szybko przestawił myślenie na inne tory i uświadomił sobie, że jest już niemal narzeczonym.

– Iro, pomogę ci szukać książki – powiedział, wstając od stołu.

Wymieniliśmy z Sieriożą porozumiewawcze spojrzenia i mrugnęliśmy do siebie.

– Kto nie zdążył, ten się spóźnił – stwierdziłem filozoficznie. – Powinieneś być sprytniejszy, jeżeli chcesz coś osiągnąć.

– To się jeszcze zobaczy – rzucił Zarubin tajemniczo.

OBRAZCOWA

Bywalcy wystaw kotów poradzili Tatianie i Stasowowi, żeby zwrócili się do pewnego młodego człowieka.

– W żadnym razie nie wierzcie w to, co wam powiedzą hodowcy – mówili Tatianie. – Chcą sprzedać kocięta, więc nie usłyszycie z ich ust słowa prawdy. Musicie zapytać specjalistę, który nie zajmuje się sprzedażą zwierząt.

W ubiegły weekend Tatiana i Władysław poszli razem z Lilą na wystawę, żeby nabyć mały, puszysty skarb, który wypatrzyła dziewczynka, ale odłożyli zakup, żeby się poradzić kogoś doświadczonego. Chodziło, rzecz jasna, nie o to, czy kupować kotka, ale o to, jaką wybrać rasę. Lila bardzo się zmartwiła, gdy Stasow stanowczo oznajmił, że zakup kotka, którego córka już uważała za swojego, zostaje chwilowo wstrzymany. Tatiana poparła męża, chociaż serce jej się ścisnęło na widok załzawionych oczu dziewczynki. Musieli jej obiecać, że zasięgną porady w ciągu tygodnia, w najbliższą sobotę wrócą na wystawę i wyjdą z niej z ciepłym kłębuszkiem w rękach.

Konsultant, którego usługi tak gorąco polecano, okazał się młodym mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat, co początkowo wzbudziło w Tatianie pewne wątpliwości. Jednakże specjalista szybko je rozwiął, bo okazał się osobą doświadczoną i kompetentną, a co najważniejsze, uśmiechał się przyjaźnie i tak łagodnie patrzył na Lilę, że zdobył zaufanie nawet Tatiany, która przez długie lata pracy śledczej utraciła nieco zdolność przyjmowania na wiarę cudzych opinii.

– Najważniejsze pytanie, na które powinnyście sobie odpowiedzieć, brzmi: po co wam kot? – mówił. – No powiedz, Lilo, po co ci on?

Trzeba przyznać, że pytanie zdziwiło Tatianę, ale już piętnaście minut później należycie oceniła intencje konsultanta. Jedenastoletnia Lila, mimo że rozwinięta nad

wiek, też osłupiała i długo nie mogła zrozumieć, czego się od niej żąda. W ciągu najbliższych piętnastu minut sytuacja w pełni się wyklarowała: jeżeli chcesz, żeby twój pupil cię kochał i był ci oddany całym sercem, żeby się cieszył na twój widok, jakby go spotkało największe szczęście, i lizał cię po policzku, gdy będzie ci smutno, to musisz sprawić sobie pieska, ale nie wolno ci przy tym zapominać, że psy wymagają o wiele więcej uwagi, czasu i starań niż koty. Jeżeli natomiast chcesz mieć przy sobie żywą istotę niewymagającą specjalnego zachodu, to kot jest tym, czego ci potrzeba. Nie możesz jednak liczyć na serdeczne przywiązanie z jego strony, nie jest bowiem do tego stworzony, nie będzie skakał z radości na twój widok ani tęsknił za tobą, gdy wyjdiesz. Jeżeli natomiast dobrze wiesz, że potrzebujesz właśnie kota, to powinieneś sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Żeby mieć towarzystwo czy w celu hodowli, a następnie zarabiania na sprzedaży potomstwa? Każda rasa ma swoje charakterystyczne cechy; to, co jest dobre z punktu widzenia dochodu, nie zawsze gwarantuje komfortową koegzystencję, i odwrotnie. Należy wziąć też pod uwagę charakter i stan zdrowia przyszłego właściciela, obecność innych zwierząt w rodzinie i tak dalej. Podczas konsultacji nie doszło jednak do wyboru rasy, bo raptem się okazało, że Lili potrzebny jest piesek. Dziewczynka mieszka z młodą i bardzo zapracowaną mamą, czuje się samotna, potrzebuje życzliwego i szczerego przyjaciela, a nie zamkniętego w sobie, oziębłego i niezależnego kota. Margarita, matka Lili i ekszona Stasowa, na razie nie wyraziła zgody na psa i jeszcze nie wiadomo, czy wyrazi, ale to już inna kwestia.

– Ile jestem winna za poradę? – zapytała Tatiana pod koniec rozmowy.

Młody felinolog uśmiechnął się rozbrajająco.

– Nikt pani nie uprzedził? Nie biorę pieniędzy, proszę tylko o pokarm dla kotów. Widzi pani, ile ich tutaj się kręci? – Powiódł ręką po pokoju, w którym sześć kotów różnych ras

albo snuło się leniwie, albo pędziło co tchu po pokoju. – Brak mi pieniędzy, żeby je wszystkie wykarmić, puszka dobrych konserw kosztuje dwadzieścia siedem rubli. Gdy ktoś przynosi kota do leczenia, wtedy biorę, oczywiście, pieniądze, ale za zwyczajne porady – nie.

Tatianę rzeczywiście uprzedzono, że należy przynieść pokarm, więc wyjęła z torebki dwie paczki Feliksa. W sklepie ją zapewniono, że to najlepsza marka.

– Wystarczy?

– Dziękuję. – Konsultant znowu się uśmiechnął. – Bardzo mi pani pomogła. A co do pieska, to proszę się zastanowić, bo, moim zdaniem, Lila go potrzebuje. Kot ją rozczaruje, nie ofiaruje jej przyjaźni, na którą liczy.

– Dziwny z pana człowiek – powiedziała Tatiana, stojąc już w płaszczu przy drzwiach.

– Doprawdy? – zdumiał się. – Dlatego że mężczyźni powinni zajmować się psami, a koty to domena kobiet?

– Nie, nie dlatego. Wydawało mi się, że skoro jest pan entuzjastą kotów, powinien pan namawiać, a nie zniechęcać do ich kupna. Pan zaś zniechęca.

– Robię to właśnie dlatego, że jestem, jak się pani wyraziła, entuzjastą kotów. – Roześmiał się. – Lubię wszystkie koty, a nie konkretne zwierzęta, które w danej chwili trzymam w rękach. I nie jest mi wszystko jedno, jak one żyją, do kogo trafią i co się z nimi stanie. Rozumie pani? Nie chcę, żeby kot, choćbym go nigdy nie widział na oczy, trafił do właściciela, który nie będzie go kochał i po krótkim czasie zacznie żałować, że go wziął. Taki właściciel w każdej chwili może go wyrzucić na ulicę albo oddać pierwszemu lepszemu. Kot będzie cierpiał. Czy to jego wina, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei? On przecież nie może zmienić swojej natury, a człowiek tego nie uwzględnił, nic nie wie o kotach i myśli, że nabywa pewną odmianę psa, tylko małego, mniej żarłocznego i kłopotliwego, którego nie będzie musiał wyprowadzać dwa

razy dziennie bez względu na pogodę. A gdy się okazuje, że kot w ogóle nie przypomina psa, pojawiają się rozczarowania i różne następstwa, łącznie z okrutnym traktowaniem albo, jak już wspomniałem, wyrzuceniem na ulicę. Więc jeśli mogę zapobiec tego rodzaju sytuacji, to...

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się ze skruchą, jakby zawstydzony swoim wywodem.

Na ulicy Tatiana chwyciła Lilę za rękę. Dziewczynka mocno ścisnęła paluszkami jej dłoń i nietrudno było się domyślić, że jest przygnębiona.

– Nie denerwuj się z góry, moja złota – powiedziała Tatiana łagodnie. – Może twoja mama pozwoli kupić pieska.

Lila pokręciła głową i cichutko chlipnęła.

– Nie chcę pieska, ciociu. Chcę kotka, tamtego kremowego z szarym pyszczkiem, którego widziałam na wystawie. Jest taki... nawet nie wiem, jak to powiedzieć... Jest taki miły. Gdy go wzięłam na ręce, od razu pokochałam. Co mam teraz zrobić?

– Są dwa wyjścia. – Tatiana westchnęła, usiłując powściągnąć uśmiech. – Albo zrezygnujesz z kotka, albo go kupimy, ale wtedy musisz być przygotowana na to, że nie obdarzy cię uczuciem, jakiego się spodziewasz. Nie ma w tym nic strasznego, są ludzie, którzy kogoś kochają i czują się przy tym szczęśliwi, mimo że druga strona nie odwzajemnia ich uczucia. Chociaż znacznie lepiej jest, oczywiście, w sytuacji, gdy miłość okazuje się obopólna. Decyzję musisz jednak podjąć sama, moja kochana, nikt tego za ciebie nie zrobi.

Przez pewien czas Lila milczała w zadumie.

– A może on będzie... no taki, jak chcę? Przecież będę go kochać, on nie może o tym nie wiedzieć, prawda?

– Słyszałaś, Lilu, co powiedział specjalista? Kot to kot, ze wszystkimi swoimi zaletami i kaprysami. Nigdy nie będzie taki jak pies, nie masz prawa tego od niego wymagać. Znasz przysłowie, które lubi powtarzać twój tata?

– O samolocie, tak?

– No właśnie. Nawet najlepszy samochód może tylko jeździć, nigdy nie będzie latał, bo to samochód, a nie samolot. Nie ma sensu się irytować i mieć pretensji z tego powodu.

Tatiana wiedziała, że rozmawia z Lilą tak, jakby ta miała co najmniej dwadzieścia lat. Z jedenastoletnimi dziewczynkami należy wybierać chyba inny styl i język komunikacji, ale Tatiana była pewna, że im trudniejsze jest to, co trzeba powiedzieć dziecku, tym większe prawdopodobieństwo, że ono cię wysłucha i postara się zrozumieć. Nie ma chyba takiej dziewczynki ani takiego chłopca, którzy w wieku jedenastu lat nie marzyliby o tym, żeby jak najprędzej dorosnąć, więc jeśli rozmawiać z nimi jak z dorosłymi, zrobią wszystko, by temu sprostać. A zresztą tak się wszystko ułożyło od pierwszego dnia znajomości z Lilą latem dziewięćdziesiątego piątego roku w czarnomorskim kurorcie. Tatiana z Iroczką wynajmowały pokój u tej samej kobiety co Stasow i jego ośmioletnia córka. Stasow długo nie zauważał Tatiany, czego nie dało się powiedzieć o dziewczynce. Lila znalazła w cioci Tani cierpliwą i wyrozumiałą rozmówczynię. Opowiadała swojej dorosłej znajomej o zabawach rówieśników, a ta uważnie słuchała, zadawała pytania i notowała odpowiedzi. Akurat pisała książkę, której bohaterami były między innymi dzieci, więc opowieści Lili uwiarygodniły tekst i dodały mu uroku.

– Przenocujesz u nas czy odwieźć cię do mamy do Sokolników? – zapytała Tatiana, gdy dotarły do metra.

– Pojadę do was. Muszę opowiedzieć wszystko tacie i cioci Irze, może oni coś wymyślą.

W głosie Lili było tyle nadziei, że Tatiana nie oponowała. Co mogą poradzić Stasow i Ira? Co w ogóle można poradzić w takiej sytuacji? Nic. Trzeba podjąć decyzję, ona zaś jest trudna nawet dla osoby dorosłej, a co dopiero dla dziecka. Tatiana zerknęła na zegarek i stwierdziła, że musi zaraz zadzwonić do matki Lili i ją uprzedzić, że dziewczynka

zostanie u nich na noc, w przeciwnym razie Margarita zacznie się niepokoić i urządzi Stasowowi kolejną awanturę. Wyjęła z portmonetki kartę telefoniczną i rozejrzała się w poszukiwaniu automatu. Margarita nie odebrała, pewnie nie ma jej jeszcze w domu. Nic dziwnego, że Lila chce mieć jakieś zwierzątko, matka wraca późno, a wieczorami w pustym mieszkaniu jedenastoletniej dziewczynce musi dokuczać samotność... No cóż, zaraz Tatiana zawiezie Lilę do siebie i zadzwoni do Margarity już z domu.

W domu zebrało się całe towarzystwo. Oprócz męża i Iry byli Misza Docenko i Sierioża Zarubin. Mamy rzeszę doradców, pomyślała Tatiana. Tylko czy to coś da?

– Taniu, jeden problem z głowy – radośnie oznajmił Stasow, gdy tylko obie z Lilą przestąpiły próg mieszkania. – Możesz się już nie bać swojego stukniętego gwałciciela.

– Gorszkowa? – jęknęła Tatiana. – Złapaliście go? Gratuluję, kochani!

– Ależ nie, Tatiano Grigorjewna – włączył się Misza. – Nie ujęliśmy go, ale się dowiedzieliśmy, że to na pewno nie on. Zarówno odciski palców, jak i charakter pisma nie należą do niego. Pojawił się za to dodatkowy problem.

Tatiana poczuła nieprzyjemny ucisk w piersi. Boże, co znowu?

– Co znowu? – powiedziała na głos, z niezadowoleniem zauważając, że nagle ochrypła. – Lilu, idź się pobawić z Griszeńką, dorośli muszą porozmawiać.

Zauważyła, że Docenko wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Iroczką, i kamień spadł jej z serca. Chyba niepotrzebnie się boi, nie powiedzą jej nic złego. Wyraźnie widać, że mają się ku sobie; pewnie nie wiedzą, w jaki sposób ją powiadomić, że chcą razem zamieszkać albo wyskoczyć gdzieś na tydzień, albo coś w podobnym, liryczno-romantycznym stylu. Gdy strach nieco ustąpił, Tatiana

poczuła głód. Nie zwracając uwagi na przeciągającą się pauzę, szybko ruszyła w stronę kuchenki.

– Przebierz się, Taniu! – rozległo się trwożne wołanie Iroczi.
– Poplamisz wyjściowy kostium!

Tatiana machnęła tylko ręką i już miała podnieść pokrywkę garnka, gdy Irocza z rezygnacją powiedziała:

– Przynajmniej włóż fartuch. I usiądź, proszę, przy stole, ja wszystko podam.

– Więc jaki macie problem? – zapytała Tatiana niemal wesoło.

– Widzi pani, Tatiano Grigorjewna, tamte figurki, które znalezione przy zwłokach... Bosch... Irina Pawłowna sobie przypomniwała... Oglądaliśmy w albumie...

Słowa docierały do niej jak przez watę. Gorszkow? Jaki, do licha, Gorszkow?! Dlaczego Gorszkow? Co ma do tego Gorszkow?! Idiotka, bezmyślna kretyńska, zmarnowała tyle czasu. Dlaczego od razu się nie domyśliła? Przecież to takie oczywiste...

Tak, ten typ będzie chyba gorszy od seksualnego zboczeńca Aleksandra Pietrowicza Gorszkowa. Gorszkow jest okrutny i szalony, ale głupi. A ten ma nietuzinkową i błyskotliwą osobowość. Z nim trudniej będzie sobie poradzić. Kto jednak mógł przypuszczać, minęły przecież cztery lata, jego ból powinien już ustąpić. Ale nie ustąpił. Mężczyzna przyczaił się i czekał, aż będzie mógł zadać cios. Zaczekał, aż Tatiana wyjdzie za mąż, przeprowadzi się do Moskwy, kupi nowe mieszkanie, urodzi dziecko. Postępował tak, jak to opisał Puszkina w *Wystrzale*. Zawsze lubił jego prozę.

I obrazy Boscha.

TRZECIA OFIARA

Im dalej lata i bliżej zimy, tym krótsze stają się dni i tym częściej ogarnia mnie wieczorem smutek. I to taki, że tracę oddech. Nigdy nie sądziłem, że będzie mnie męczyć samotność. I że będę żył w ten sposób...

Od samego początku wszystko układało się w miarę normalnie. Szkoła, wojsko, potem szkoła milicyjna, praca, która mi się podobała i w której nieźle sobie radziłem. Ukochana dziewczyna została ukochaną żoną, urodziła dziecko. Wszystko toczyło się utartymi koleinami i byłem pewien, że jeśli nie popełnię większych głupstw, dostanę w końcu stopień podpułkownika albo nawet pułkownika. A potem... Chyba mi odbiło? Uległem powszechnemu pędowi do robienia pieniędzy, żona też bez przerwy mnie zachęcała, namawiała, żebym rzucił pracę w milicji i założył własny interes. Wszędzie było widać ludzi odnoszących niebywałe sukcesy w biznesie, więc mizerna milicyjna pensja wyglądała na tym tle coraz absurdalniej.

– Zobacz, twój kolega z klasy otworzył sklep dwa lata temu i teraz może wysłać syna do szkoły w Anglii. Nie chcesz, żeby nasz syn otrzymał dobre wykształcenie?

– Zobacz, nasz sąsiad założył firmę turystyczną, a jego żona niedawno mi powiedziała, że kupili willę w Hiszpanii.

– Zobacz, moja koleżanka ze studiów...

– Zobacz, twój kolega z pracy...

– Zobacz...

– Zobacz...

Patrzyłem i to, co widziałem, robiło imponujące wrażenie. Wszyscy prowadzili własne interesy i chyba tylko idiota mógł przepuścić łatwą, niepowtarzalną okazję, by zapewnić sobie komfortowe życie na zachodnią modłę: jeździć dżipem, kupić nowe, luksusowe mieszkanie i dom za miastem, zapewnić dzieciom wykształcenie. Wahałem się krótko.

Szybko się jednak okazało, że same chęci do prowadzenia wygodnego życia nie wystarczą, by odnieść sukces w biznesie.

Trzeba czegoś jeszcze. Szczerze mówiąc, nie zdążyłem się dowiedzieć, co to właściwie takiego, gdy znalazłem się w podbramkowej sytuacji. Założyłem firmę, wziąłem kredyt pod zastaw mieszkania i byłem całkiem pewien, że szybko się odkuję na kupnie-sprzedaży, spłacę kredyt i nawet zarobię godziwe pieniądze. Dlaczego sądziłem, że mi się powiedzie? Wyszedłem chyba z założenia, że skoro innym się udaje, czemu ja mam być gorszy? Kłopot polegał jednak na tym, że nie analizowałem statystyk i nie uwzględniłem rzeczy oczywistych. Widziałem tylko tych, którym się wiedzie, a tych, którym się nie wiedzie, nie mogłem widzieć i dlatego myślałem, że ich nie ma. Tymczasem oni istnieją, a imię ich legion. Teraz i ja do niego dołączyłem.

Krótko mówiąc, nie udało mi się spłacić kredytu. Musiałem sprzedać mieszkanie, bo kredytodawcy okazali się wyjątkowo surowi, nieugięci i bezwzględni. Nie miałem gdzie mieszkać, przywarło do mnie piętno nieudacznika, więc żona zabrała syna i odeszła do biznesmena, który rokował większe nadzieje i obiecał, że wyśle chłopca do szkoły za granicą.

A ja zostałem dozorcą w podmoskiewskim obozie kondycyjnym, który otwarty jest latem i podczas ferii zimowych, przez resztę roku stoi pusty i zamknięty. Ale i tak trzeba go pilnować. Tę posadę znaleźli mi ludzie, którzy też zaliczyli wpadkę, ale trochę wcześniej, dlatego dobrze wiedzieli, jak rozwiązać problem braku mieszkania. Nawet nie podejrzewałem, ilu w obwodzie moskiewskim jest dozorców, którzy pilnują „obiektów” wyłącznie z tego powodu, że nie mają gdzie mieszkać, co z kolei jest wynikiem ich niepohamowanego pragnienia, by jak najprędzej zbić fortunę. Oto gdzie są ci, których nie widziałem. Zresztą miejsc, w których się ukrywają „niewidzialni”, jest znacznie więcej. Niektórzy rzeczywiście ukrywają się przed kredytodawcami, inni, tacy jak ja, mimo że uregulowali swój dług i nie

spotykają ich żadne prześladowania, muszą jednak żyć tak, jak żyją „niewidzialni”.

W taki właśnie sposób, ja, człowiek z wyższym wykształceniem, całkiem niedawno szczęśliwy mąż i ojciec, pracownik sztabu jednej z moskiewskich komend milicji, stałem się niemal kloszardem. Nie chciałem się z tym pogodzić i wierzyłem, że niedługo się podźwignę, potrzebuję tylko trochę szczęścia, odrobiny przychylności losu. W obawie, żeby nie powtórzyć popełnionych już błędów, nie szarpałem się i nie wdawałem w awantury, ale żyłem nadzieją, pilnując jednocześnie obozu dla dzieci. Tylko wieczorami ogarniał mnie dotkliwy smutek...

Pewnie właśnie z tego powodu zacząłem przygarniać prawdziwych kloszardów, którzy szukali noclegu. Nie zapraszałem ich specjalnie, rzecz jasna, i nie rozwieszałem na okolicznych drzewach ogłoszeń „Wynajmę kąt do spania”, przychodzili sami, a ja ich nie wypędzałem. Pozwalałem skorzystać z kuchenki, żeby mogli przygotować sobie jakiś żaloszny posiłek, dawałem szklanki i talerze. Czasami rozpalałem w łaźni, żeby mogli się umyć. Rozpraszała moją ponurą samotność swoją bezsensowną paplaniną, w której kłamstw było więcej niż liter w wypowiedzianych słowach. Karmili mnie opowieściami o dawnych sukcesach i światowej sławie, która niezasłużenie ich opuściła – wszyscy byli kiedyś artystami (malarzami, pisarzami), ważnymi naczelnikami albo znanymi w całym kraju złodziejami czy kimś takim. Jeżeli były wśród nich kobiety, to w przeszłości bez wątpienia zawołane piękności; u ich stóp klęczeli i błagali o miłość najbardziej znani wzmiankowani artyści (pisarze, malarze) i wysocy dostojnicy. Nie wierzyłem w te bajeczki, ale mnie bawiły; chociaż na chwilę zapominałem o smutku. Najważniejsze było to, że na widok tych zaniedbanych, zapijaczonych, nikomu niepotrzebnych ludzi pocieszałem się myślą, że się od nich różnię. Przynajmniej na razie. Wierzyłem, że póki owa różnica

jest wyczuwalna, nie nadszedł jeszcze mój koniec. Musiałem wciąż ich widywać, żeby sobie powtarzać: nie jestem taki jak oni. To dodawało mi sił.

Od rana siąpił zimny deszcz, uparcie przypominając o tym, że ciepło i słońce pozostały tylko wspomnieniem i że czeka mnie długa, ciemna zima, posępna i samotna. Błysnął jednak promyczek nadziei i nie mogłem się doczekać wieczoru. O ósmej miał przyjść ten mężczyzna, tak w każdym razie obiecał. Miałem nadzieję, że mnie nie zawiedzie. Znalazł się w tej okolicy wczoraj wieczorem, zabłądził, szukając sąsiedniej wsi, i zapukał do drzwi mojej stróżówki. Nawet nie zauważyłem, kiedy zaczęliśmy gawędzić. Zresztą teraz nietrudno mnie do tego nakłonić, chętnie nawiązuję rozmowę z każdym, ratując się przed samotnością. Zaprosiłem go, żeby wszedł się ogrzać i napić herbaty, a on się zgodził. Od słowa do słowa i w ciągu godziny opowiedziałem mu swoją gorzką historię o majątku, którego nie zbiłem. Bardzo się dziwił; mówił, że człowiek z moimi warunkami nie powinien pracować jako dozorca, że to śmieszne i poniżające. Jakbym sam tego nie wiedział! Obiecał popytać wśród przyjaciół przedsiębiorców, którzy potrzebują pracowników ochrony i których nie zniechęci fakt, że nie mam stałego zameldowania, oraz moja sromotna porażka poniesiona podczas próby rozkręcenia własnego biznesu.

– Mój Boże, jest pan młody, ma wyższe wykształcenie, przez wiele lat pracował w milicji, a teraz pogrzebał się żywcem w tej głuszy! Jak można tak siebie traktować! – powiedział.

Co mogłem mu odpowiedzieć? Że nie mam przyzwoitego garnituru, w którym mógłbym pójść na spotkanie z pracodawcą? Że pieniędzy, które dostaję jako dozorca, ledwie wystarcza na to, żeby nie umrzeć z głodu, więc trzymam się kurczowo bezpłatnego lokum w postaci kiepsko ogrzewanej stróżówki, nie zważając na to, że potrzeby naturalne muszę załatwiać na dworze? To i tak lepsze niż nocowanie

w piwnicach albo na dworcu. Wiedziałem, że w jego oczach wyglądał śmiesznie, bo poddałem się bez walki, nie próbowałem zmienić swojej sytuacji, nie zwróciłem się do przyjaciół i znajomych o pomoc w znalezieniu pracy. Chyba naprawdę byłem śmieszny, ale odejście żony w trudnej dla mnie chwili odebrałem jako cios w plecy i wpadłem w taką depresję, że nie potrafiłem zrobić niczego sensownego. Poza tym grono moich znajomych stanowili przeważnie dawni koledzy, a ja nie zdołałem się przemóc, żeby ich o cokolwiek poprosić, bo oni pozostali na państwowych posiadach, ja zaś haniebnie uciekłem, popędziłem za forszą i nie zostałem zwycięzcą w tym biegu. Było mi wstyd. I zacząłem się domyślać, dlaczego tak rzadko się widuje wspomnianych „niewidzialnych” .

Mój wczorajszy gość chyba zrozumiał wszystko bez jakichkolwiek wyjaśnień.

– Zna pan film *Adwokat diabła*? – zapytał, jak mi się zdało, bez związku.

– Nie – odparłem niemal z gniewem.

Rany boskie! Jaki, do cholery, adwokat diabła może być na tym zadupiu? Czy ja tu mam jakieś wypasione wideo? Tylko mały czarno-biały telewizor, który zostawiłem sobie po sprzedaży letniska (pieniądze poszły, oczywiście, na spłatę długu wraz ze sporymi odsetkami) – oto cały mój sprzęt.

– Jest tam znakomita scena. Jeden bohater, tytułowy diabeł, mówi drugiemu, adwokatowi, który do tej pory nie przegrał żadnej sprawy i za wszelką cenę chce wygrać kolejny proces, nawet składając w ofierze swoich bliskich, byle tylko nie stracić opinii człowieka sukcesu: „Może pora, żebyś przegrał? Największy grzech to grzech próżności”.

Gdybym umiał się jeszcze czerwienić, pewnie zrobiłbym się purpurowy. Ten zagubiony wędrowiec okazał się piekielnie przenikliwy.

– Półtora roku spędzone tutaj sprawiło, że zapomniałem, czym jest próżność – wymamrotałem, chyba niezbyt pewnie.

– Mam nadzieję. – Gość się uśmiechnął. – Próżność jest marnością. Oddając się jej, człowiek nawet nie zauważa, jak powoli przekracza granicę i dopuszcza się innego grzechu – pychy. Tym samym pograża się głęboko w przeszłości, zapuszcza w niej korzenie i już nie może ruszyć naprzód.

Było to dla mnie zbyt skomplikowane. W ogóle nie rozumiałem, co mój rozmówca ma na myśli, więc nie zareagowałem na jego słowa. On jednak nie był głupi, właściwie ocenił moje milczenie i po krótkiej pauzie podjął swój wywód.

– Gdy siedzi pan tutaj i nie chce się nikomu przyznać do swoich niepowodzeń, zachowuje, oczywiście, twarz przed znajomymi. Nie wiedzą, gdzie pan jest i co się z panem dzieje; sądzą, że wszystko w porządku, że od dawna wygrzewa się pan na słoneczku nad swoim basenem gdzieś na Cyprze. Ci ludzie – z pańskiego minionego życia – dzisiaj nic dla pana nie znaczą, nie przeszkadzają i nie pomagają panu, nie utrzymuje pan z nimi żadnych kontaktów, ale liczy się dla pana to, co o panu pomyślą. To właśnie nazywam pograżaniem się w przeszłości. Może pan niczego nie zmieniać w swoim życiu, ale proszę pomyśleć: a jeśli jutro pan umrze? Tutaj, w tej cuchnącej, zimnej stróżówce. Albo jakiś przejezdny łachmyta zastrzeli pana wyłącznie dlatego, że tak mu się spodoba. Będzie pan leżał tu przez parę tygodni, póki ktoś pana nie znajdzie. Kto pana pochowa? Czy dużo jest chętnych, którzy zajęliby się szukaniem miejsca na cmentarzu dla pana i opłaciliby pogrzeb? Dobrze, jeśli znajdą się jacyś życzliwi, w przeciwnym razie pańskie ciało zostanie kolejną pomocą naukową. Studenci medycyny zakonserwują pana szczątki i będą je codziennie niepokoić, pokazując, gdzie się znajdują wątroba, nerki, śledziona, jak biegną żyły i tętnice. Będą się uczyć na pańskim ciele, jak wykonywać sekcję zwłok. Jako

milicjant pewnie doskonale pan wie, czy to etyczna procedura. A przecież perspektywa, którą panu przedstawiłem, jest bardzo realna, jeżeli nie porzuci pan swojej pychy. Przyjmowanie pomocy nigdy nie powinno budzić wstydu.

– Przyjmowanie pomocy – owszem – przyznałem. – Tyle że ja nie potrafię o nią poprosić. Rozumie pan?

– Oczywiście. – Kiwnął głową. – I dlatego siedzi pan tutaj, posypuje głowę popiołem i upaja się własnym nieszczęściem. Zawsze myślałem, że w milicji pracują ludzie czynu. Pan jednak jest inny. Nie przeszkadza panu, że spędzi w ten sposób resztę życia, byle tylko nie musiał pan się przyznać do klęski i nie prosić nikogo o pomoc. To poniżające dla pana. Cóż za niesłychana wrażliwość!

Niemal się obraziłem. Jego ton wydał mi się niegrzeczny, ale wiedziałem, że ma rację. Od pierwszego do ostatniego słowa. Jeżeli już mam się na kogoś obrazić, to raczej na samego siebie.

Gość spędził w mojej stróżówce prawie dwie godziny i żegnając się, obiecał, że wróci nazajutrz. No więc siedzę i czekam na niego.

Nie powiem, oczywiście, że mu bezgranicznie wierzyłem. Zbyt często oszukiwano mnie w życiu, żebym uwierzył pierwszemu lepszemu. Wiedziałem jednak, że ten mężczyzna nic nie zyska, jeżeli mnie oszuka; nie prosił przecież o pieniądze i nie żądał, żebym je zainwestował w jakieś podejrzone przedsięwzięcie. Obiecał tylko, że spróbuje mi pomóc w miarę możliwości. A nuż mu się uda? Przepędzałem tę myśl, zbyt wiele nadziei budziła. Umysł natychmiast się włączał i od razu zaczynał malować sielankowe obrazy mojego odrodzenia. Oto pakuję się i odchodzę (a lepiej – odjeżdżam samochodem, który po mnie przysłano), oto mieszkam w skromnym hostelu albo wynajmuję gdzieś pokój i codziennie chodzę do pracy, nie na dziewiątą, ale na ósmą albo nawet na siódmą rano, cały dzień haruję jak wół, tworzę coś nowego i pożytecznego, analizuję

sytuację, pracuję z kandydatami, żeby żaden podejrzany osobnik nie przestąpił progu biura i nie otrzymał dostępu do dokumentów (nie miałem żadnej wątpliwości, że będę pracował w sektorze prywatnym w dziale ochrony, przecież właśnie o tym wspominał mój gość). Przeglądam literaturę fachową, znajduję ciekawe pomysły, przedstawiam je kierownictwu firmy i efektownie wdrażam. Przełożeni zaczynają mnie doceniać, dają podwyżkę, dzięki moim profesjonalnym działaniom udaje się zapobiec dużym stratom, staję się niezastąpiony, moja reputacja się umacnia i po pewnym czasie do naszej (mój Boże, w marzeniach ona już stała się nasza) firmy zaczynają się zwracać inni biznesmeni z prośbą, żebym zorganizował służbę ochrony w ich biurach. Szef mojej firmy nie chce się mnie pozbywać, ale pozwala popracować przez parę miesięcy dla jego kolegów w ramach przyjacielskiej pomocy. Staję się czymś w rodzaju „służby ratowniczej”, którą się wzywa w przypadku konieczności przeprowadzenia radykalnych zmian w przedsiębiorstwie, a jednocześnie w celu przeszkolenia kadr. Taki ciąg zdarzeń prowadzi do całkiem logicznego wniosku, że trzy, góra cztery lata później przestanę być najemnym pracownikiem i otworzę własny interes, na przykład szkołę przygotowującą do pracy w ochronie biznesu, a zarazem udzielającą praktycznej pomocy tym, którzy jej potrzebują. Nauczony gorzkim doświadczeniem ryzyka szybkiego, stojącego na granicy prawa wzbogacenia się, pragnąłem stopniowo, powoli, ale nieubłagane posuwać się naprzód. W moich marzeniach nie pojawiał się nawet cień olbrzymiego, należącego do mnie domu pod Moskwą, w którym zamieszkam najdalej latem przyszłego roku, nie planowałem jeździć dżipem ani szastać pieniędzmi w kasynie. Gotów byłem zacząć wszystko od nowa i pracować latami, żeby mocno stanąć na nogach. Marzyłem też, oczywiście, o rodzinie. Nie o nowej, ale o tamtej, która się rozpadła. Rozzuchwalony, już widziałem, jak przyjdę do swojej

byłej i zaproponuję jej to, czego ona i nasz syn nie dostali od jej nowego wybranka. I żona zgodzi się, rzecz jasna, do mnie wrócić.

Miałem jednak dość rozumu, żeby w porę się opamiętać i powiedzieć sobie, że nic jeszcze nie jest przesądzone, że mój nowy znajomy dopiero obiecał podjąć próbę znalezienia dla mnie pracy, nic więcej. Po pierwsze, mógł zapomnieć o mnie i o swojej obietnicy już parę minut po opuszczeniu stróżówki. Po drugie, jego przyjaciele mogą nie potrzebować moich usług. Po trzecie, mogą odmówić przyjęcia mnie do pracy po spotkaniu, bo coś im się nie spodoba, na przykład mój wiek, przygotowanie zawodowe, brak zameldowania, podejrzana biografia albo po prostu wygląd. I po czwarte, nawet jeżeli ktoś zechce mnie zatrudnić, może się okazać, że propozycja jest nie do przyjęcia, bo będzie to coś nielegalnego, ja zaś już nigdy więcej nie zaryzykuję.

Gwałtownie poskromiłem rozbudzoną wyobraźnię i starałem się wrócić myślami na grzeszną ziemię, ale już pół godziny później zaczynałem wszystko od początku. Nic nie mogłem na to poradzić. Z nieustającą nadzieją czekałem na wczorajszego znajomego.

Rozdział 9

KAMIENSKA

Wezwano ją o szóstej rano. Z dziesięć minut stała na ulicy, zanim zrozumiała, że próby złapania o tej porze samochodu, którego kierowca zgodziłby się podrzucić ją za miasto, są nierealne. Pojechała zatem metrem na dworzec i wsiadła do kolejki podmiejskiej. Przedtem jednak zadzwoniła z automatu i wysłała Zarubinowi wiadomość na pager, którym pociągiem przyjedzie. Może Sierioża się domyśli i ją odbierze.

W wagonie było ciepło, więc gdy Nastia ulokowała się w kąci przy oknie, od razu zmorzył ją sen. Jeżeli wierzyć rozkładowi, podróż potrwa jakieś czterdzieści minut, można więc trochę się zdrzemnąć bez obawy przegapienia właściwej stacji. Nastia przymknęła oczy, ale wtedy senność od razu ją opuściła, a zamiast niej pojawiły się wspomnienia wczorajszej opowieści Tatiany.

Wszystko wyglądało jak zwyczajny wypadek samochodowy. Jedna kobieta, starsza, siedziała za kierownicą, druga, młoda dziewczyna, obok, na miejscu pasażera. Samochód z dużą prędkością zjechał na przeciwległy pas i w wyniku czołowego zderzenia dziewczyna zginęła, a kobieta doznała ciężkich urazów zagrażających życiu. To, co zostało z samochodu, dostarczono na lawecie do GAI[17]. Podczas oględzin pojazdu znaleziono w nim narkotyki. W dodatku sporo, w hurtowych ilościach, a nie do osobistego użytku. Ekspertyza wykazała obecność tej samej substancji narkotycznej w krwi obu ofiar: tej, która zginęła, oraz tej, która przeżyła. Do sprawy włączył się wydział do walki z nielegalnym obrotem narkotykami i niebawem się wyjaśniło, że obie kobiety, matka i córka Szuwałowe, zajmowały wysoką pozycję w potężnej grupie zaopatrującej Petersburg w nielegalne substancje. Absolutne

bezpieczeństwo zapewniały im nazwisko oraz reputacja głowy rodziny – Wiktora Pietrowicza Szuwałowa.

Jak się okazało, rodzina Szuwałowów już od dawna była rozbita na dwa obozy. W jednym znajdowały się matka i córka, w drugim – ojciec i syn. Moskwianin Wiktor Szuwałow ożenił się po raz drugi z atrakcyjną petersburską piękną. Żona kategorycznie odmówiła przeprowadzki do Moskwy, wychowała się w Leningradzie, tutaj miała przyjaciół i krewnych, więc Szuwałow żył właściwie na dwa domy, wciąż przyjeżdżał do małżonki na dwa, trzy dni, co jej, zdaje się, zupełnie odpowiadało. Najpierw urodziła się córka, dwa lata później syn. Do tego czasu Wiktor Pietrowicz zdał sobie sprawę, że choć rozstał się z pierwszą żoną, w drugim małżeństwie nie znalazł wiernej towarzyszki życia. Ślub był jej potrzebny wyłącznie z uwagi na status i prestiż. Mąż cieszył się opinią wybitnego naukowca, człowieka nietuzinkowego i utalentowanego, ona zaś mogła żyć tak, jak jej się podobało. Nawet do Moskwy docierały plotki o licznych romansach żony Szuwałowa i jej nader swobodnym stylu życia.

Podobno jeżeli natura obdarza człowieka talentem, przejawia się on zazwyczaj w różnych dziedzinach. Wiktor Szuwałow, nie dość, że był wybitnym i uznanym naukowcem, to jeszcze malował obrazy. W dodatku robił to tak profesjonalnie, że został członkiem Związku Artystów i urządzał wystawy autorskie. W Moskwie miał swoje studio, ale licząc na to, że uda mu się odbudować i zjednoczyć rodzinę, wykorzystał szerokie kontakty i załatwił sobie pracownię w Petersburgu, gdzie starał się spędzać jak najwięcej czasu. Jednakże z biegiem lat pojął, że jego usiłowania są daremne, żona tak bardzo się od niego oddaliła, że w zbliżeniu nie pomogą nawet dzieci. Nie ma więc sensu jeździć wciąż do Petersburga, wystarczy składać grzecznościowe wizyty raz na dwa miesiące. Na propozycję rozwodu żona zareagowała gwałtownie, łzami i awanturą. Krzyczała, że go kocha i że Wiktor jest

skończonym idiotą, skoro daje wiarę czczym plotkom, a jeżeli złoży pozew o rozwód, to nie zobaczy więcej syna. Jeżeli natomiast zostawi wszystko bez zmian, będzie mógł zabrać chłopca do Moskwy.

Szuwałow zostawił wszystko bez zmian, z palącym wstydem przyznając przed sobą, że kocha tę piękną i okrutną kobietę, kocha bez pamięci, a do szczęścia wystarczy mu tylko świadomość, że ona cieszy się dobrym zdrowiem i że wszystko u niej w porządku. Córkę też kochał i miał nadzieję, że z upływem czasu nie upodobni się do matki. No i oczywiście uwielbiał syna, wkładał w jego wychowanie całe serce, wszystkie siły i możliwości. Chłopiec zapowiadał się wspaniale, był zdolny i miał dobry charakter, więc Szuwałow, patrząc na niego, za każdym razem z ulgą myślał, że dla takiego syna może znieść wszelkie rodzinne kłótnie. Syn był usprawiedliwieniem upokorzenia, które zawsze czuł na myśl, że żona nigdy nie darzyła go uczuciem i zwyczajnie wykorzystywała.

No i tak sobie żyli, ojciec z synem w Moskwie, matka z córką w Petersburgu. Czasami się spotykali, wymieniali nic nieznaczące uwagi, udawali przed wspólnymi znajomymi, że są rodziną. Dzieci nie narzekały na ten stan rzeczy; zarówno córce, jak i synowi to całkowicie odpowiadało. Matka rozpieszczała córkę, od dzieciństwa przyzwyczajała do ładnych strojów, do odwiedzania restauracji oraz do wypadów za miasto. Gdy pojawiał się Wiktor Pietrowicz, dziewczynka wyraźnie widziała, że tatuś tego nie pochwała, więc oddychała z ulgą, gdy wracał do Moskwy. Syn z kolei, za każdym razem, gdy go przywożono do mamy i siostry, widział obcą dorosłą pannę, która wciąż natrzasała się z jego infantylności i nieporadności, wytykała mu brak wykształcenia, bo nie znał modnych zespołów muzycznych, i kpiła z jego naiwności, gdy się dziwił, że mężczyźni czasami zostają sam na sam z kobietami i zamykają przy tym drzwi. Wiktor Pietrowicz

ubolewał nad tym, że jego ukochane dzieci są sobie obce, a jednocześnie robił, co w jego mocy, żeby uniemożliwić ich zbliżenie. Nie bez powodu się obawiał, że wygodne życie, do którego przyuczyla się córka, okaże się zbyt kuszące dla syna. Chłopak nie zdołał mu się oprzeć i wszystkie wysiłki, by go wychować na dobrego człowieka, pójdą na marne.

Czas mijał, dzieci rosły, Szuwałow powoli się starzał, a jego żona wciąż była atrakcyjna, zgrabna i wyglądała młodo – miała czterdzieści lat, ale nie dawano jej więcej niż trzydzieści. Wiktor Pietrowicz kochał ją i cierpiał jak dawniej... I nagle z Petersburga przyszła straszna wiadomość: córka zginęła, a żona jest w stanie krytycznym i w każdej chwili może umrzeć. Tamtego wieczoru Szuwałow przyleciał z synem z Moskwy i po raz ostatni zobaczył żonę, która umarła nazajutrz. Usiłował wziąć się w garść i zająć pochówkiem, ale co rusz łapał się na tym, że nie wie, co się wokół niego dzieje. Dziewiątego dnia po pogrzebie wziął udział w nabożeństwie żałobnym za żonę i córkę, a następnie zaczął się pakować w podróż powrotną. Zamierzali z synem pojechać wieczornym pociągiem, Czerwoną Strzałą[18]. W ciągu dnia Szuwałow zajął się porządkowaniem petersburskiego mieszkania nieżyjącej żony, pozostającego chwilowo bez właściciela, a syna poprosił, żeby pojechał do pracowni po pędzle z naturalnego włosia oraz parę miniatur, które miały dla niego szczególną wartość, bo przedstawiały żonę i dzieci. Więcej nie zobaczył go żywego.

Takie historie, choć smutne, zdarzają się bardzo często. Po znalezieniu narkotyków w samochodzie ofiar wypadku, milicjanci od razu, nie czekając na przyjazd Szuwałowa z Moskwy, starannie obejrzeni mieszkanie i pracownię. W mieszkaniu niczego nie znaleźli, z wyjątkiem sporej liczby strzykawek oraz innych akcesoriów do zażywania narkotyków, ale w studiu wykryli cały magazyn wysokogatunkowej heroiny. Jekatierina Szuwałowa i jej córka nie figurowały w kartotece

milicyjnej ani jako nabywczyni narkotyków, ani jako dilerki, teraz było wiadomo dlaczego. W łańcuchu rozprowadzania heroiny zajmowały pozycję ważnych hurtowników. Nigdy się nie zdarzyło, żeby jakiś drobny diler, a tym bardziej klient przekroczył próg pracowni znanego malarza i szanowanego naukowca Wiktora Szuwałowa. Bywali tutaj tylko ci, którzy przywozili duże partie, oraz ci, którzy zabierali je stąd w hurtowych ilościach; ich zaś dzieli od zwyczajnych klientów odległość, jak powiedział kiedyś Gribojedow, „niespotykanej wielkości”.

W tej sytuacji jedyną słuszną decyzją było urządzenie zasadzki w pracowni, żeby się dowiedzieć, kto przyjdzie po heroinę. Decyzja była słuszną, ale jej realizacja pozostawiała sporo do życzenia. Był rok dziewięćdziesiąty czwarty, wysoko kwalifikowane kadry milicyjne stały się rzadkością, do milicji coraz częściej trafiali ludzie przypadkowi i źle przygotowani, a niekiedy w ogóle niezdatni do służby, ludzie, którzy nie potrafią rzeczowo rozmawiać ani myśleć, za to potrafią świetnie bić i strzelać bez zastanowienia.

Właściciela pracowni nie powiadomiono o zasadzce z bardzo prostego powodu: gdy żona i córka zajmują się biznesem narkotykowym w Petersburgu, a mąż i szesnastoletni syn mieszkają w Moskwie i rodzina nie zamierza się połączyć, nasuwa się logiczny wniosek, że separacja rodziny jest wyłącznie na pokaz: po to, żeby zamydlić oczy naiwnym milicjantom, zwłaszcza że mąż przyjeżdża jednak do Petersburga, wprawdzie rzadko, ale regularnie. O czym to może świadczyć? Wiadomo. O tym, że mąż jest czynnie zaangażowany w prowadzenie biznesu i podzielił się z ukochaną małżonką terenem: ona zaopatruje rejon petersburski, a on – moskiewski. Z tych praktycznych względów operację w pracowni prowadzono bez wiedzy Wiktora Pietrowicza, który, w ogóle tego nie podejrzewając, został objęty kontrolą operacyjną. Tym, że może się zjawić

w studiu, nikt się nie przejmował. Jak przyjdzie, wtedy się zobaczy, co zrobić.

Tymczasem przyszedł nie Szuwałow, ale jego syn. Dla czekających w zasadzce milicjantów z grupy szturmowej nie był to syn nieżyjącej Jekatieriny Szuwałowej, ale nieznaną chłopak bez dokumentów, który – zamiast grzecznie odpowiadać na pytania – pyskował i się oburzał, tłumacząc cel swojej wizyty jakimiś bzdurami o pędzlach i obrazach. W dodatku nie wiedział, gdzie one leżą. Czy to nie było wysoce podejrzane?!

Postanowiono nie likwidować zasadzki, a podejrzanego chłopaka, profilaktycznie poczęstowawszy paroma uderzeniami gumowej pałki, odwieźć na komisariat. Kto mógł przypuszczać, że smarkaczowi odbije i że wyskoczy przez okno?! Przez otwarte okno na drugim piętrze starej petersburskiej kamienicy z wysokimi sufitami.

Później odbyło się długie dochodzenie służbowe. Dlaczego milicjanci od razu nie zadzwonili do Szuwałowa i nie zapytali, gdzie jest jego syn, dokąd poszedł, po co i jak był ubrany? Owszem, chłopak nie miał dokumentów, owszem, nikomu nie można wierzyć na słowo, ale przecież istnieją elementarne sposoby kontroli. Dlatego, odpowiadali milicjanci, że ojciec i syn mogli być w zmowie, chłopak przyszedł po towar za wiedzą ojca, a bajeczki o pędzlach i miniaturach były uzgodnionym kłamstwem, więc telefon do ojca nic by nie dał. Dlaczego milicjanci postąpili tak nieprofesjonalnie z punktu widzenia psychologii? Czyżby nie wiedzieli, że nastolatki wymagają szczególnego podejścia, że są zdolni do nierozważnych czynów i cechuje ich zachowanie nieadekwatne, zwłaszcza jeżeli zostaną oskarżeni o to, czego nie zrobili? Człowiek dorosły zachowa spokój w takiej sytuacji (choć też nie zawsze), bo wie, że jeżeli nie ma nic na sumieniu, to niebawem wszystko się wyjaśni i zostanie zwolniony. Dorośli dopuszczają bowiem myśl, że inni mają

prawo się pomylić. Nastolatki jej nie dopuszczają i jeżeli ktoś ich bezpodstawnie podejrzewa albo o coś oskarża, zamiast spokojnie i logicznie się bronić, wpadają we wściekłość, czują się znieważeni i gotowi są nawet się okaleczyć albo popełnić samobójstwo, byleby tylko dowieść, że wszyscy wokół to dranie. Jak można było nie uwzględnić podstaw psychologii? A jednak tak się stało. Bo siedzącym w pracowni milicjantom nikt tego nie wytłumaczył; nie skończyli uniwersytetu ani szkoły milicyjnej, toteż nie chodzili na zajęcia z psychologii. Żaden z nich nie zdobył pełnego wyższego wykształcenia, za to dobra połowa miała doświadczenie nabyte podczas działań bojowych prowadzonych w punktach zapalnych oraz w Afganistanie, gdzie każdy człowiek po drugiej stronie traktowany jest jak wróg. Bez żadnego tłumaczenia i gadania. Dlaczego milicjanci nie przewidzieli możliwości skoku z okna i nie asekurowali zatrzymanego? Dlatego że...

Fakt śmierci chłopaka nikomu niczego nie udowodnił i Wiktor Pietrowicz Szuwałow jeszcze długo był podejrzewany o udział w biznesie narkotykowym, którym parała się jego żona. On jednak chyba się tego nawet nie domyślał. Pochował syna obok żony i córki, po czym wrócił do Moskwy. Przed wyjazdem w rozmowie ze śledczą Tatianą Grigorjewną Obrazcową powiedział:

– W jednej chwili straciłem wszystko. O śmierci żony i córki zdecydował los, ale śmierć syna obciąża pani sumienie. Bóg wszystko widzi i nie zostawi tego. Nadejdzie dzień, że pani też wszystko straci. Sprawiedliwość zawsze triumfuje. Trzeba tylko umieć czekać. A ja poczekam.

W tamtej chwili Szuwałow zrobił na Tatianie wrażenie szaleńca, ale doskonale rozumiała, że ktoś, kto w ciągu dwóch tygodni pochował całą rodzinę, nie może być inny. Często widywała ludzi w podobnym stanie, współczuła im z całego serca, ale wiedziała, że prędzej czy później to mija.

Tymczasem w przypadku Wiktora Pietrowicza Szuwałowa stało się chyba inaczej...

Nadzieje Nastii się spełniły, na peronie czekał Siergiej Zarubin. Na widok jego niepozornej postaci w ocieplanej kurtce od munduru mimo woli się uśmiechnęła.

– Odkąd to funkcjonariusze operacyjni chodzą w mundurach? – zażartowała, cmokając go w czubek głowy.

– Odkąd nie wystarcza im pensji na normalne ubranie – burknął. – Nie wszyscy mogą się pochwalić mężami, którzy są dobrze sytuowanymi profesorami. Chodźmy, koleżanko, stary znajomy na ciebie czeka.

– Niby kto? – Nastia uniosła brwi.

– A taki jeden... – Zarubin wykrzywił twarz w straszliwym grymasie i wyszczerzył zęby. – Uszy – o takie! – Podniósł ręce wysoko nad głową. – Oczyska – takie! I gęba pełna zębów. Domyśliłaś się?

– Ojej, Andriusza Czernyszew, tak? – Nastia się ucieszyła. – Sto lat z nim nie pracowałam. Pies też jest?

– A gdzie miałyby się podziać? – Zarubin uśmiechnął się, prowadząc ją ku stojącemu przed dworcem motocyklowi. – Oto paradoks milicyjnego życia, nieprawdaż? Żeby się zobaczyć z przyjacielem, trzeba czekać, aż ktoś zostanie zabity w odpowiednim miejscu. Nie boisz się jechać, Pałna? Bo kiepski ze mnie kierowca, ostatni raz prowadziłem motocykl z dziesięć lat temu. Pożyczyłem ten pojazd w tutejszym komisariacie.

Szczerze mówiąc, Nastia się bała. Ale nie miała wyjścia. Nie pójdzie przecież pieszo.

– A może lepiej się przejdźmy? – niepewnie zapytała na wszelki wypadek.

– Spacer byłby długi – wyjaśnił Siergiej. – Mniej więcej półtoragodzinny. To osiem kilometrów.

– Wobec tego jedźmy. – Westchnęła. – Jak mnie uśmiercis, Czistiakow ci nie daruje.

– Nie strasz mnie. – Siergiej wsiadł na motocykl i włożył kask, drugi podał Nastii. – Wielu ludzi nie może mi czegoś darować. I co, wszystkich mam się bać?

Dwadzieścia minut później Nastia zsunęła się z tylnego siedzenia oszołomiona i zdrętwiała. Droga po wybojach była tak traumatycznym przeżyciem, że zeszywniały jej wszystkie mięśnie; teraz ledwie poruszała kończynami. Od razu podbiegł do niej olbrzymi owczarek, przyjaźnie machając ogonem. Skrzywiwszy się z powodu bólu nóg, przykucnęła i wtuliła przemarzniętą, wysmaganą wiatrem twarz w gęstą, wypielęgowaną sierść na psiej szyi.

– Dzień dobry, mój kochany, dzień dobry, Kiriuseńka, dzień dobry, malutki. Nie zapomniałeś jeszcze starej Nastazji?

Kiriłł szybko polizał ją po policzku i od razu spokojnie potruchtał tam, gdzie stał jego opiekun, wywiadowca z obwodowego urzędu, Andriej Czernyszew, który z kimś rozmawiał, ale odwrócił się i pomachał do Nastii. Ona zaś rozejrzała się, szukając wzrokiem znajomych. Oprócz Zarubina i Czernyszewa byli tutaj Korotkow i śledczy Olszański. Reszty nie знаła.

– Zapraszamy do nas, Asiu – powiedział Jura Korotkow surowo. – Mamy tu dwie grupy, kloszardów i tutejszych mieszkańców. Jako dama możesz wybierać: wolisz pracować z włóczkami czy przejść się po domach?

– Raczej się p-przejsć – odparła, szczerkając zębami z zimna.
– W domach b-będzie ciepło. A m-mogę obejrzeć ciało?

– Tylko z daleka, teraz pracują tam eksperci.

– A jeśli w dwóch słowach?

– Strzał z bliskiej odległości, dwie kule w okolice serca. Rybka z plastikowym ludzikiem. Pieniądze na pogrzeb. I, starym zwyczajem, kartka.

– Dużo tych pieniędzy?

– Tyle samo co ostatnio, w takich samych banknotach i w tej samej walucie.

– Ta-ak – wycedziła Nastia. – Czego jak czego, ale niestałości nie da się zarzucić naszemu przyjacielowi. Rygorystycznie trzyma się swoich upodobań. A co napisał na kartce?

– Dosłownie nie zacytuję, ale ogólny sens... – Korotkow podrapał się po brodzie, zerkając przy tym w prawo. – Coś w stylu... Nie, jak ci powiem własnymi słowami, to już nie będzie to samo. Idź do eksperta, on ma kartkę. I nie grzeb się, bierz się do pracy.

– Rozkazuj, rozkazuj. – Nastia uśmiechnęła się pojednawczo. – Rozładuj emocje. Kto tu jest najstarszy stopniem wśród miejscowych?

– Czernyszew. On ci powie, gdzie masz iść.

– Dobrze, tylko najpierw się dowiem, co jest na kartce.

Ale nie pozwolono jej zbliżyć się do eksperta.

– Nie przeszkadzaj mu w pracy i nie zawracaj głowy – gniewnie powiedział śledczy Olszański. – Później obejrzysz kartkę.

– Konstantynie Michajłowiczu, niech pan powie chociaż w przybliżeniu, co tam jest napisane – jęknęła Nastia.

– On się zbliża.

– Co takiego? – zapytała w osłupieniu. – Kto się zbliża?

– On.

– Gdzie się zbliża?

– Do którejś z was, do ciebie albo do Obrazcowej. A w ogóle to ruszaj do roboty, pogadamy po oględzinach.

Otrzymaawszy wskazówki od Andrieja Czernyszewa, Nastia przystąpiła do obchodu okolicznych domów, ale zarówno godzinę, jak i dwie godziny później rezultat wciąż był negatywny. Minionej nocy nikt niczego nie zauważył i nie słyszał, chociaż wiele osób znało ofiarę z widzenia, a niektórzy z imienia. Był dozorcą w obozie kondycyjnym dla dzieci. Zawsze można go było poprosić o pomoc, zwłaszcza przy naprawie sprzętu. Miał złote ręce i znał się na mechanice. Nikt nie widział żadnych podejrzanych osobników, którzy by go

odwiedzali, a co się tyczy kręcących się w pobliżu włóczągów, to czy oni mogą być podejrzani? Są nieszkodliwi, mimo że cuchną. Mogą najwyżej buchnąć jakieś drobiazgi, kalosze albo waciak, albo na przykład kurę, która wylazła na drogę przez dziurę w płocie. To jednak zrozumiałe, bo są głodni i przemarznięci. Ale na pewno nie zabijają.

Wrócili do Moskwy dopiero po południu. Nastia zamierzała pojechać samochodem Korotkowa razem z Sieriożą Zarubinem, ale Olszański się nad nią ulitował i zabrał ją ze sobą.

– Ta „kopiejka” zaraz wyzionie ducha – oznajmił, krytycznie lustrując należący do Jury przedhistoryczny, pierwszy model żiguli.

– Co, Konstantinie Michajłowiczu, dba pan o cenne kadry? – Korotkow natychmiast się odciął. – Nie powierzy mi pan ulubionej pani podpułkownik, bo się boi, że w moim wozie się poobija? No cóż, my z Sieriożą jesteśmy prostymi ludźmi, więc pojedziemy moją karocą.

– Mam wyżej uszu twojej prostoty – odparł śledczy z charakterystyczną dla niego chamowatą szorstkością. – Przecież nie tylko dbam o Kamińską, ratuję was wszystkich, głupcy. Dwie osoby to nie trzy, a dla twojego grata każdy kilogram ma znaczenie. To pewne, że Bolivar trzech nie uniesie[19].

Nastia odprężyła się w ciepłym aucie, zamknęła oczy i powtarzała w myślach tekst z kartki, którą pokazał jej ekspert: „Zbliżam się do ciebie, moja droga. Zrobiłem już trzy kroki. Zgadniesz, gdzie i kiedy się spotkamy?”.

KOROTKOW

Dola szefa bywa gorzka, to pewne. A jeżeli podwładnymi są bliscy przyjaciele, czasami nie pozostaje nic innego, jak tylko

się powiesić. Mniej więcej tak myślał Jura Korotkow, wzywając do siebie dawnego kumpla Kolę Siełujanowa z brzydkim zamiarem zażądania od niego raportu w sprawie zabójstw narkomanów. Nieszczęśnicy ginęli w całym mieście i gdy nazbierały się pierwsze cztery ofiary, zastrzelone z tego samego pistoletu, materiały z terenowych komisariatów przekazano na Pietrowkę. Było to pół roku temu. Od tej pory liczba zabitych wzrosła do dziewięciu, a sprawa utknęła w miejscu i nic nie wskazywało na to, że zamierza ruszyć. Jedna hipoteza mówiła o wojnie między grupami narkotykowymi, inna – o wzmocnieniu dyscypliny w jednej z grup, co wiązało się z zastosowaniem przykładowych kar, ale w każdym przypadku sprawę prowadzono razem z wydziałem do walki z nielegalnym obrotem narkotykami.

Siełujanow wpadł do pokoju z typowym dla siebie głupkowskim uśmiechem, w którym wiele nieświadomych osób widziało jego prawdziwą naturę, nawet nie podejrzewając, że owego uwielbiającego kretyńskie żarty mężczyznę cechuje niesłychanie poważny i rzetelny stosunek do pracy.

– Major Siełujanow stawia się przed obliczem pryncypała! – zameldował się żartobliwie. – Gotów do przyjęcia reprimendy. Czego jaśnie wielmożność sobie życzą?

Korotkow westchnął, ganiąc się w myślach za to, że uległ ambicji zawodowej i przyjął stanowisko, które przyprawia go tylko o ból głowy.

– Życzę sobie wysłuchać twojego raportu w sprawie narkomanów – rzekł oschle. – Tylko bez gadulstwa, krótko.

– A czemu mamy się śpieszyć? – zdziwił się Nikołaj szczerze. – Pali się gdzieś? Zaraz ci wszystko dokładnie zreferuję.

Od razu było wiadomo, że nie potrafi powiedzieć niczego nowego. Podzielili się obowiązkami z wywiadowcami z UNON-u[20]: specjaliści od nielegalnego obrotu narkotykami namierzali kontakty ofiar na odcinku nabywania i rozprowadzania zioła, próbując znaleźć łączące wszystkich

ogniwo, natomiast funkcjonariusze wydziału kryminalnego, na czele z Siełujanowem, zajmowali się innymi przestępczymi oraz nieprzestępczymi kontaktami w poszukiwaniu punktu stycznego, który połączyłby dziewięciu narkomanów z różnych końców Moskwy. Praca była żmudna i uciążliwa, ale na razie, niestety, bezskuteczna. To znaczy jakieś rezultaty wciąż się pojawiały, ale po bliższej analizie okazywało się, że trop jest fałszywy.

– Dobra, Kola, nie będę wyciągać wniosków, sam wszystko wiesz. Teraz się naradzmy.

– W porządku – przystał ochoczo Siełujanow. – Zaczynaj.

– Jest pewien osobnik nazwiskiem Szuwałow. Wiktor Pietrowicz. Adres i miejsce pracy znane. Podobnie jak podstawowe dane osobowe. Istnieją spore podejrzenia, że to on jest naszym Żartownisiem. Ale poza tym nic nie ma.

– A czego potrzeba? – Kola się ożywił. – Powiedz tylko, to my raz-dwa.

– Potrzebne są dowody, Kola. Trzeba go jakoś połączyć z trzema trupami, które się na nas zwały.

– To rozumiem, nie jestem dzieckiem. Mamy jakieś kontakty operacyjne w jego środowisku?

– Żadnych, szlag by to trafił! – zawołał Korotkow w uniesieniu. – Facet obraca się w kręgu naukowców i artystów. Ani tu, ani tam nie mamy informatorów. Przetrzaśnałem wszystkie swoje źródła. Sierioża Zarubin, Misza i Asia też nikogo nie znaleźli. Ani jednego człowieka. Cała nadzieja była w Borii Kartaszowie... Pamiętasz go?

– Nie jestem pewien. – Nikołaj się zawahał. – Nazwisko brzmi znajomo, ale nie kojarzę.

– Pojawił się w sprawie Wiki Jerominy jesienią dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Był jej kochankiem.

– Aha, no tak. – Siełujanow kiwnął głową. – Zgadza się. Ilustrował książki.

– No właśnie – potwierdził Korotkow. – Spotyka się z malarzami, ale teraz nie ma go, niestety, w Moskwie. I nie będzie przez najbliższe dwa miesiące. Więc będziemy musieli improwizować. Czasu mamy niewiele, Żartowniś w każdej chwili może załatwić czwartą osobę i tym razem nie musi to być bezrobotny albo bezdomny.

– Skąd to przypuszczenie? O ile wiem, jeszcze nie zmienił repertuaru – powiedział Kola czujnie. – Masz jakiś przeciek?

– Marzenie ściętej głowy. Tam była kartka, Kola. Może to szalenie, co wydaje się bardzo prawdopodobne, ale aluzja jest całkiem czytelna. Daje Tatianie do zrozumienia, że jest coraz bliżej. Tak właśnie napisał, prosto z mostu. A zresztą wyraźnie zmienia schemat, kartka adresowana do konkretnej osoby pojawiła się po raz pierwszy. Przy drugiej ofercie było inaczej: że niby to pieniądze na pogrzeb, nie przywłaszczcie ich sobie. A koło pierwszych zwłok w ogóle nie było kartki. Więc pora zacząć się bać, następne uderzenie może otrzymać ktoś z rodziny Tatiany albo ona sama. Krótko mówiąc, Olszański postawił przed nami następujące zadanie: mamy zebrać dowody, idąc w trzech kierunkach: odciski palców, charakter pisma albo broń. Najlepiej wszystko razem.

– W kwestii odcisków i pisma z grubsza się orientuję. Ale co do broni... Wiadomo, gdzie gość ją przechowuje?

– O to właśnie chodzi, że nie. Hipotez jest co niemiara: mieszkanie, pracownia, garaż, samochód, gabinet służbowy, mieszkanie kochanki, jeżeli ona w ogóle istnieje, ale to jeszcze trzeba ustalić. Nie dostanę nakazu przeszukania, żaden sędzia go nie wyda, nie mam przecież żadnych dowodów przeciwko Szuwałowowi, nawet najmniejszej poszlaki, wyłącznie przypuszczenia.

– A gdybyśmy tak sami? – zaproponował Siełujanow cicho. – Zrobimy wszystko, że mucha nie siada, przecież wiesz.

– Nawet o tym nie myśl! – rzucił gniewnie Korotkow. – Pączek i tak wścieka się w szpitalu, jego zdaniem prowadzę wydział

ku ruinie. Gdyby się, nie daj Boże, dowiedział, załatwi mnie na cacy. To przecież jedna z jego żelaznych zasad: pracować tak, żeby nikomu z nas nie można było zarzucić naruszenia prawa.

– Przecież się nie dowie. Kto mu doniesie?

– On miałby się nie dowiedzieć? – Jura machnął ręką z rezygnacją. – A kiedy się o czymś nie dowiedział? Kola, jestem zwyczajnym wywiadowcą, gdybym nie był zastępcą w naszym wydziale, pierwszy pobiegłbym po kryjomu obejrzeć apartamenty Szuwałowa. I nawet by mi nie przyszło do głowy, że jeśli sprawa wyjdzie na jaw, będą drzeć pasy z naczelnika, a nie ze mnie. Dopiero w tym oto parszywym fotelu – znaczącym gestem poklepał poręcz krzesła obrotowego z mocno sfatygowanym obiciem – zacząłem rozumieć, ile upokorzeń w generalskich pokojach musiał przełknąć Pączek przez naszą samowolę. My sobie z tego nic nie robimy, on nas skarci, nie szkodzi, że ostro, po nas to spłynie jak woda po kaczce. W dodatku każdy wywiadowca obrywa po karku tylko za to, co sam spartaczył, a naczelnik obrywa za wszystkich od razu. Dlatego wybij sobie z mózgownicy nielegalne przeszukanie oraz inne głupstwa. Wykaż się sprytem operacyjnym.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Siełujanow posłusznie. – Sprytem to sprytem.

SIEŁUJANOW

Opracowanie operacji zajęło im dwa dni. Kola nadal zajmował się zabitymi narkomanami i jeszcze jakimś pół tuzinem przestępstw, a jego żona Walentyna, która miała akurat urlop, wsiadła do samochodu i ruszyła za Wiktorem Pietrowiczem Szuwałowem. Rano mężczyzna jeździł do pracy tą samą trasą, ale wracając, zatrzymywał się w różnych miejscach. Z tego

względu operację należało przeprowadzić rano. Walentyna wytyczyła drogę z domu Szuwałowa w Carycynie na uniwersytet, gdzie wykładał, i Siełujanow, który znał Moskwę jak własną kieszeń, szybko wybrał punkt najbardziej optymalny z punktu widzenia planu.

Rano przed wyjściem z mieszkania po raz setny zapytał żonę:

– Walu, może pojedę sam? Zostań w domu, dobrze?

– Uhm. – Walentina obejrzała się od stóp do głów w dużym lustrze stojącym w przedpokoju. – Oczywiście. Moim zdaniem jestem śliczna jak z obrazka, nie sądzisz?

– Sądzę. Może sam wszystko zrobię, żeby nie narażać twojego nieziemskiego piękna?

– No pewnie, sam... Ta apaszka chyba nie pasuje. Zaczekaj chwilę, wezmę inną.

– Walu! Proszę cię po dobroci, zostań w domu! – Siełujanow podniósł głos, żeby jego słowa zabrzmiały pewniej.

Walentina zręcznie przeciągnęła końce cieniutkiej jedwabnej apaszki przez pierścień błyszczącej metalowej spinki w postaci kwiatka.

– Teraz w porządku. Twarzy, oczywiście, nie zmienię, ale cała reszta wygląda całkiem znośnie, nie sądzisz?

Ta uwaga była jej ulubionym powiedzonkiem; za każdym razem Siełujanow starał się odpowiedzieć inaczej i niezłe się przy tym bawił.

– Nie mam zdania na temat, na który ktoś inny już dawno się wypowiedział. I przestań narzekać na swoją twarz, bo ja nie zgłaszam do niej żadnych zastrzeżeń. Dobrze, postanowione, jadę sam. Daj mi kluczyki do samochodu.

Słuchając go, Walentina zdążyła włożyć krótkie jesienne botki na niskim obcasie i jasnozieloną kurtkę średniej długości. Gdy sięgała po torebkę, zerknęła na zegarek.

– Kola, mamy równo pół minuty do wyjścia, więc proponuję, żebyś mnie wysłuchał. Sam bez przerwy cytujesz swojego

naczelnika, który powtarza, że każdy powinien robić to, co do niego należy. Twoim zadaniem jest szukanie przestępców, a moim – jeżdżenie samochodem; mnie wychodzi to o wiele lepiej niż tobie, chyba nie zaprzeczysz. Nie zapominaj, że siedziałam za kierownicą, zanim nauczyłam się czytać, więc z tym, co wymyśliłeś, nikt nie poradzi sobie lepiej ode mnie.

– Zrobię wszystko jak należy – powiedział Nikołaj z uporem. – Nawiasem mówiąc, prowadzę samochód od ponad dziesięciu lat.

– Oczywiście, zrobisz – przyznała Walentina, otwierając drzwi i lekko popychając męża w stronę klatki schodowej. – Nikt w to nie wątpi. Tylko potem twoje roczne wynagrodzenie wydamy na naprawę samochodu. A jeżeli ja będę prowadziła, cała sprawa skończy się najwyżej niedużym wgnieceniem albo paroma rysami na karoserii. Dostyc, kochanie, czas minął, biegnijmy, bo przegapimy twojego figuranta.

Siełujanow ustąpił, bo w głębi ducha wiedział, że żona ma rację. Już nieraz wykorzystywał w celach operacyjnych jej mistrzowską technikę prowadzenia samochodu i za każdym razem nie mógł się nadziwić, jak tej filigranowej młodej kobiecie udaje się wyczuć maszynę i podporządkować ją swoim najdrobniejszym zachciankom. Ale największy jego zachwyty budziło to, że siedzący za kierownicą faceci za nic w świecie nie podejrzewali o takie zdolności młodej damy, która prowadziła jadące koło nich auto, i dlatego wpadali w zastawione sidła jak nowicjusze.

Przed domem Szuwałowa znaleźli się równo za kwadrans ósma. Jego samochód – szara toyota – stał niedaleko bramy.

– Przedwczoraj wyszedł z domu za dziesięć ósma, a wczoraj za piętnaście dziewiąta, widocznie pierwszego dnia prowadził pierwsze zajęcia, a drugiego jechał na te, które zaczynają się koło wpół do jedenastej – skomentowała Walentina. – Przygotuj się, kochanie, całkiem możliwe, że będziemy musieli trochę poczekać. Ale to chyba nawet lepiej, jeżeli Szuwałow

wyjedzie później; ruch będzie większy, co nam ułatwi zadanie, nie sądzisz?

– Najważniejsze, żeby wyszedł – odparł Kola. – Jakoś sobie poradzimy.

Za dziesięć ósma Wiktor Pietrowicz Szuwałow opuścił dom i wsiadł do samochodu. Walentyna nie ruszała z miejsca, póki szara toyota nie zniknęła w oddali.

– No to z Bogiem – powiedziała cichutko, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Miejmy nadzieję, że facet nie zmieni trasy.

Klucząc zaułkami, wyjechała na ulicę Dorożnaja, którą można się było dostać na wielopoziomowe skrzyżowanie prowadzące na obwodnicę. Zarówno wczoraj, jak i przedwczoraj Szuwałow pojechał na uniwersytet obwodnicą i prospektem Miczurińskim. Właśnie na prospekcie Siełujanow wyznaczył miejsce na zawarcie znajomości.

Szarą toyotę Szuwałowa zobaczyli dopiero na prospekcie. Gdy minęli wioskę olimpijską, Nikołaj powiedział:

– Szykuj się, Wału, już blisko – i sam się zdziwił ochryplą i zduszoną barwą swojego głosu.

Walentyna dodała gazu, co rusz zerkając na samochód Szuwałowa, który poruszał się daleko z przodu, i podjechała do skrzyżowania prospektu Miczurińskiego z ulicą Łobaczewskiego akurat w takim momencie, żeby z dokładnością do dziesięciu centymetrów stanąć koło toyoty, tak jak to zaplanował Siełujanow. Szuwałow czekał na zielone światło na drugim pasie, zamierzał minąć skrzyżowanie i pojechać prosto. Walentyna zjechała na lewy pas i gdy zapaliło się zielone światło, ruszyła, włączyła kierunkowskaz, sygnalizując skręt w prawo, po czym bezczelnie zajęła drogę Szuwałowowi, który jak gdyby nigdy nic poruszał się prosto. Było to poważne naruszenie przepisów z jej strony. Z lewego pasa nie można było skręcać w prawo; żeby to zrobić,

należało stanąć na prawym pasie. Doszło więc do zderzenia, które w tej sytuacji było nieuniknione.

Szuwałow wyskoczył z samochodu błady ze złości.

– Nie ma pani za grosz rozumu? – wrzasnął. – Gdzie się pani pcha z lewego pasa?

Walentina leniwie otworzyła drzwi i eleganckim gestem wysunęła nogi.

– Ale ja musiałam skrócić – wycodziła kapryśnie. – Rozumie pan? Musiałam. Powinien był pan zauważyć, że włączyłam kierunkowskaz. Dlaczego się pan nie rozgląda na boki?

– Jaki, do licha, kierunkowskaz? Może pani sobie włączać nawet dziesięć kierunkowskazów, a ja i tak nie muszę na panią uważać, bo z lewego pasa nie wolno skręcać. Czy to do pani dociera? Nie wolno. O, proszę popatrzeć! – Podniósł rękę i skierował palec w stronę znaków drogowych. – Więc niech pani szybko decyduje, jak zamierza naprawić mój samochód, bo nie mam czasu.

– Ja też go nie mam – odparła Walentina z niewzruszoną miną. – Zresztą jeszcze nie wiadomo, kto komu powinien naprawić samochód. Wgniół mi pan błotnik i porysował drzwi.

– Ja? Pani? – Oburzony Szuwałow aż się zapowietrzył. – Chyba odwrotnie! Co za tupet! Ma pani komórkę?

– Owszem. – Skinęła kokieteryjnie głową. – A czemu?

– Niech pani zadzwoni i wezwie GAI czy jak to się tam teraz nazywa. Prędeej, kobieto, prędeej, czas płynie, spóźnię się do pracy.

– Nawiasem mówiąc, ja też nie wyszłam na spacer. Patrzcie no, znalazł się wielki biznesmen! Tylko on pracuje, reszta leży do góry brzuchem – odpaliła.

Podczas gdy czekali na inspektora GIBDD-u[21], Walentina usiadła obok męża i uważnie obserwowała Szuwałowa. On zaś wciąż popatrywał na zegarek, ale zupełnie nie zwracał uwagi na uszkodzenia samochodu, nie chodził wokół niego, nie

dotykał wgnieceń i nie kręcił głową z niezadowoleniem. Widać było, że w tej chwili denerwuje się tylko dlatego, że się spóźni do pracy. Walentyna opuściła szybę i pokiwała na niego ręką.

– Chce pan zadzwonić i uprzedzić, że się spóźni? – zapytała pojednawczo. – Ja już to zrobiłam.

– Chcę – burknął Szuwałow gniewnie.

Walentyna podała mu telefon.

– Że też pali się panu do spotkania z milicją – powiedziała, gdy Wiktor Pietrowicz oddawał jej komórkę. – Dałby mi pan pieniądze na naprawę i rozstalibyśmy się w zgodzie. A teraz musimy tutaj tkwić i czekać nie wiadomo na co. Myśli pan, że milicja naliczy panu mniejsze straty?

– Czy pani nie ma choć odrobiny poczucia przyzwoitości? – zapytał Szuwałow cicho. – Złamała pani przepisy, uszkodziła mi samochód i jeszcze chce, żebym zapłacił za naprawę. Gdzie się pani tego nauczyła? Na pewno nie na kursie. Takie osoby jak pani kupują sobie prawo jazdy i siadają za kierownicę, nie znając w ogóle znaków drogowych. Nienawidzę pani, pani osobiście i takich jak pani – „nowych Rosjan”. Może będę miał problemy w pracy, ale zaczekam na milicjantów dla zasady, byle tylko utrzyć pani nosa.

– Znalazł się egzekutor prawa – wysyczała Walentyna ze złością. – Sam pewnie też kupił sobie prawo jazdy razem z wozem. Kola – szarpnęła Siełujanowa za rękę – nie słyszysz, że ten typ mnie obraża? Czemu milczysz? Powiedz mu...

– Zamknij się – przerwał jej mąż obcesowo. – To twoja wina, krowo, wiecznie pakujesz się w kłopoty. Cała pensja idzie na twoje mandaty. Siedź i milcz.

Walentyna wydeła usteczka i udała, że się obraziła.

Gdy przyjechali funkcjonariusze GIBDD-u, ocena sytuacji nie zajęła dużo czasu. Po dokonaniu niezbędnych pomiarów zaprosili kolejno uczestników kolizji do radiowozu i zaproponowali im, żeby napisali wyjaśnienia. Ponieważ żaden z nich nie przyznał się do winy, sprawę należało przekazać do

kolegium zajmującego się wykroczeniami drogowymi. Po otrzymaniu wyjaśnień milicjanci, ku wyraźnemu zadowoleniu Szuwałowa, surowo skarcili Walentinę, oceniając jej zachowanie na drodze jako absolutnie niedopuszczalne, zapisali numery telefonów obojga kierowców i powiedzieli, że powiadomią ich o terminie wezwania na kolegium.

Dwa dni później Siełujanow z Walentiną i Wiktor Pietrowicz Szuwałow siedzieli w pokoju inspektora GIBDD-u, zwanego podniośle „kolegium do spraw wykroczeń drogowych”.

– Szuwałow i Siełujanowa? – uściślił inspektor, wykonujący jednoosobowo obowiązki kolegium. – Zaraz rozpoznamy sprawę. A pan to kto? Mąż? Proszę tymczasem wyjść na korytarz. Jeżeli będą potrzebni świadkowie, wtedy pana wezwę.

Kola posłusznie wyszedł, uradowany, że inspektor o niczym nie zapomniał. Zapowiedziano mu, żeby pozbył się z pokoju drugiego mężczyzny.

Na jego biurku leżała przednia szyba z czyjegoś samochodu. Inspektor usiłował znaleźć wolne miejsce, żeby rozłożyć dokumenty, ale mu się nie udało. Szyba była duża i zajmowała niemal całe biurko, mimo że było ono pokaźnych rozmiarów.

– Proszę mi pomóc – zwrócił się do Szuwałowa.

Razem podnieśli szybę i ostrożnie postawili ją przy ścianie. Następnie inspektor zadał parę pytań właścicielom pojazdów, przeczytał raz jeszcze własnoręcznie napisane przez nich wyjaśnienia, przeanalizował sprawę i uznał, że obywatelka Siełujanowa powinna zapłacić mandat i zwrócić obywatelowi Szuwałowowi koszty naprawy samochodu. Walentyna wyrwała mu kwit i wybiegła jak oparzona z pokoju, wściekle trzasnąwszy drzwiami. Inspektor wzruszył ramionami i uśmiechnął się współczująco do Szuwałowa.

– Pełno tu takich...

– Domyślam się – odparł Wiktor Pietrowicz. – Dziękuję panu i życzę miłego dnia.

Parę minut później do pokoju wszedł Siełujanow i z satysfakcją zlustrował pole bitwy. Przeprowadzono nieoficjalne daktyloskopowanie Szuwałowa, są też próbki jego pisma. I co jest szczególnie istotne, nie doszło do złamania prawa.

[17] GAI (*Gosudarstwiennaja atomobilnaja inspiekcija*) – kontrola drogowa.

[18] Luksusowy pociąg nocny, który w ciągu ośmiu godzin pokonuje drogę z Sankt Petersburga do Moskwy.

[19] Parafraza zdania z opowiadania O. Henry'ego *Drogi, jakie wybieramy*. Wraz z dwoma innymi miniaturami pisarza stało się ono kanwą rosyjskiego filmu *Ludzie interesu* z 1962 roku.

[20] UNON (*Uprawlenije po nielegalnomu oborotu narkotikami*) – wydział do walki z nielegalnym obrotem narkotykami.

[21] GIBDD (*Gosudarstwiennaja inspiekcija biezopasnosti dorożnogo dwiżenija*) – Państwowa Inspekcja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego.

Rozdział 10

KAMIENSKA

Nastia i Tatiana Obrazcowa siedziały w pokoju śledczego Olszańskiego i czekały na opinie ekspertów w sprawie pisma i odcisków palców Szuwałowa. Ani przez chwilę nie wątpiły, że ekspertyza potwierdzi pełną zbieżność dostarczonych próbek z tymi, które zabezpieczono na miejscach trzech zbrodni. Wszyscy prawnicy jednak wiedzą, że wywiadowca może być czegoś pewien nawet na dwieście procent, ale żeby dostać nakaz od sędziego, potrzeba dowodów. Czyjeś przekonanie nie wystarczy. Bez dowodów, to znaczy bez opinii ekspertów, nie ma co liczyć na to, że będzie można przeprowadzić przeszukania u Szuwałowa, bez nich zaś nie da się rozstrzygnąć kwestii broni.

– Cóż za zdumiewający osobnik. – Nastia pokręciła głową. – Wszędzie zostawia swoje ślady, nawet nie próbuje ich zatrzeć. Gołymi rękami chwyta zabawki, które podrzuca koło zwłok, własnoręcznie pisze wiadomości. Na co liczy?

– Na to, że nikt o nim nie pomyśli – odrzekł Olszański markotnie. – Około sześćdziesięciu procent przestępców kombinuje w ten sposób, nawet jeżeli coś już przeskrobali. No a ten! Naukowiec, profesor, członek Związku Artystów. Komu przyjdzie do głowy, żeby go podejrzewać?

– A jednak to dziwne – wtrąciła Tatiana półgłosem. – Jeżeli próbuje się zemścić za syna, to widocznie wciąż mnie pamięta. Dlaczego więc sądzi, że ja go zapomniałam? To chyba oczywiste, że będzie pierwszą osobą, na którą padnie podejrzenie. Dlaczego zatem jest tak nieostrożny? To nie do pomyślenia.

– Aleś ty błyskotliwa, Tatiano Grigorjewna – burknął Olszański. – Facet wszystko przewidział. Przecież najpierw

o nim nie pomyślałaś, prawda? Postawiliśmy na nogi milicję w całym kraju, szukaliśmy twojego Gorszkowa, a Szuwałow w tym czasie chodził i się śmiał, wypatrywał nowych ofiar. Teraz też krąży po ciemnych zaułkach, szykuje się do kolejnego zabójstwa, więc się nie łudź. Żona Koli Siełujanowa przez dwa dni nie odstępowała go na krok, na własne oczy widziała, że po pracy odwiedza dworce i duże bazary. Wieczorami schodzą się tam wszelkiej maści włóczędzy i imprezują. Podczas gdy my tutaj pilnujemy praworządności, on nam podłożył czwartego trupa. Ale co robić? – Rozłożył wymownie ręce. – *À propos* praworządności. Skąd wasz bohaterski Siełujanow weźmie pieniądze na naprawę swojego wozu? No i wozu Szuwałowa.

Nastia się roześmiała. Wiedziała, co śledczy ma na myśli. Wywiadowcy często fałszują doniesienia sporządzone rzekomo przez płatnych agentów, dostają pieniądze, które mają przekazać informatorom, po czym wydają je na potrzeby operacyjne. Prawo nie przewiduje bowiem rekompensowania milicjantowi wydatków, nawet jeżeli zostały poniesione w trakcie dochodzenia. Widocznie prawo zakłada, że sprawy przestępstw rozwiązuje się, siedząc za biurkiem, ze szczerym uśmiechem na twarzy i z jasnymi, niezmaconymi kłamstwem oczami. Taki zaś obraz czynności nie wymaga żadnych dodatkowych nakładów finansowych.

– Niech się pan nie denerwuje, Konstantynie Michajłowiczu. Kola ma znajomy autoserwis, gdzie robią mu wszystko za Bóg zapłać.

– To znaczy, że twój kumpel bierze łapówki od podejrzanych typów? – Śledczy zmrużył kpiąco oczy. – Nieładnie, Kamieńska, oj, nieładnie.

– Co też pan mówi? Jakie łapówki?! Syn właściciela serwisu związał się z jakimiś głupcami, omal się nie wpakował w aferę kryminalną. Kola w porę wyciągnął go z tego towarzystwa, więc tatuś uważa, że musi spłacić dług wdzięczności.

Konstantynie Michajłowiczu, gdzie są pańscy eksperci? Już mi się kończy cierpliwość.

– Wytrzymaj. Zobacz, Tatiana Grigorjewna siedzi cichutko i czeka, bierz z niej przykład. A ty zachowujesz się tak, jakby oblaży cię robaki. Lepiej się zastanówmy, co wiemy o Szuwałowie i czego możemy się po nim spodziewać. To, że jest bezczelny i niesłuchanie pewny siebie, już ustaliliśmy. Zostawia odciski palców, pisze wiadomości, a więc nie opuszcza go mocne przekonanie, że nigdy go nie dorwiemy. Co jeszcze?

– Jest pamiętliwy – włączyła się Tatiana. – I przedsiębiorczy. To mało prawdopodobne, że zobaczył mnie przypadkiem w telewizji albo przechodził wtedy w pobliżu i zdążył szybko zareagować, wymyślił plan, znalazł Nadieżdę Starostienko, dogadał się z nią i przygotował plakat. Wszystko zostało zrobione wcześniej, więc musiał wiedzieć o telemoście. W ciągu czterech lat dwa razy zmieniałam miejsce zamieszkania, najpierw wyjechałam z Petersburga i zatrzymałam się u Stasowa w Czeriomuszkach, później się przeprowadziliśmy. A mimo to Szuwałow mnie znalazł. Albo ma kontakty, albo jest bardzo rzutki i pomysłowy, jeśli chodzi o zdobywanie informacji. Jego umysł pracuje na wysokich obrotach. Dlatego nie chce mi się wierzyć, że jest chory psychicznie. Za dużo w tym wyrachowania.

– Przyjmuję. – Śledczy kiwnął głową z aprobatą. – Kamieńska, czemu milczysz? Nic ci nie chodzi po głowie? To do ciebie niepodobne.

Nastia w zadumie obracała w rękach srebrny nożyk do papieru ze ślicznym aniołkiem na rękojeści. Wzięła go z biurka Olszańskiego i już z pięć razy zdążyła usłyszeć przestrogę, żeby „nie popsuła prezentu od ukochanej żony”.

– Jest na tyle majątny, że stać go na to, by zostawiać pieniądze na pogrzeb przy zwłokach. Tysiąc dwieście dolarów to nie w kij dmuchał. To duże pieniądze dla osoby

zatrudnionej na państwowej posiadzie – powiedziała wolno. – Zobaczcie, jak to wygląda: na podstawie informacji, które udało nam się zdobyć, w ciągu ostatnich lat sprzedał swoje obrazy za łączną kwotę około dziesięciu tysięcy dolarów. Te sprzedaże zostały zarejestrowane oficjalnie. Założmy, że zarobił jeszcze z pięć tysięcy nie przez galerie, ale prywatnie. W tym samym czasie pochował trzech członków rodziny i, zgodnie z naszymi informacjami, nie oszczędzał na pogrzebach. Taniu, co powiedział twój człowiek, którego poprosiłaś o opinię na temat nagrobka na cmentarzu Wołkowskim?

– Nastia ma rację, Konstantinie Michajłowiczu. Poprosiłam specjalistę z Petersburga, żeby wycenił nagrobek żony i dzieci Szuwałowa. Wszystko wskazuje na to, że został wykonany z bardzo rzadkiego kamienia, który występuje tylko w Armenii. Nagrobek waży ponad tonę. Koszt takiego zlecenia to co najmniej pięć, sześć tysięcy dolarów, transport i opłaty celne też mocno uderzają po kieszeni, nie mówiąc już o postawieniu. Łącznie za wszystko wyjdzie jakieś osiem tysięcy dolarów.

– Liczmy dalej – ciągnęła Nastia. – Przepraszam, że wciąż mówię o pieniądzach, ale to cyfry, a z nimi najlepiej sobie radzę, z psychologii nie jestem dobra. No więc częstotliwość sprzedaży obrazów pana Szuwałowa z roku na rok maleje. Facet jest rozsądny, a zatem nie może nie zdawać sobie sprawy z tego, że perspektywy są nieciekawe. Specjaliści twierdzą, że jego płótna namalowane przed tragedią, która spotkała jego rodzinę, cieszą się jeszcze popytem, ale mniejszym. Jednakże to, co stworzył później, zostało bardzo źle przyjęte przez krytyków. Wiktor Pietrowicz nie wystawia tych prac. Innymi słowy, musi się utrzymywać wyłącznie ze środków uzyskanych ze sprzedaży starych zapasów, ale popyt na nie, jak już wspomniałam, bez przerwy maleje. Jest on, oczywiście, rzeczą zmienną, zwłaszcza na dzieła sztuki. Dzisiaj go nie ma, a jutro

jest, w dodatku olbrzymi. Wszyscy wiemy, że tak się zdarza, ale wiemy też, że nie należy na to liczyć. Bo nie musi tak być. Czemu służy mój długi wywód?

– No właśnie, Kamińska, czemu? – podjął śledczy, który, słuchając jej rozważań, szybko coś notował. – Bądź łaskawa wyjaśnić.

– Będę łaskawa. – Nastia uśmiechnęła się lekko. – Jeżeli zsumować, to w przybliżeniu, nie licząc państwowej pensji, Wiktor Pietrowicz Szuwałow zarobił piętnaście tysięcy dolarów, z których co najmniej osiem wydał na nagrobek, kolejne dwa albo trzy na pogrzeb trzech osób oraz stypę. Tak więc na życie zostaje mu najwyżej pięć tysięcy, i to bez żadnej pewności, że kiedyś dochody znowu będą wysokie. Miał pracownię w Petersburgu, ale nie była jego własnością, państwo użyczyło mu jej w siedemdziesiątym siódmym roku na prośbę Związku Artystów. Teraz ją zwrócił. Miał też mieszkanie, które zajmowały żona z córką, zostało ono jednak przepisane na żonę. Dowiedzieliśmy się, że zamierzał je sprzedać, by podzielić pieniądze pomiędzy wszystkich spadkobierców, to znaczy pomiędzy rodziców żony, a także jej siostrę i brata. Szwagierce szczególnie zależało na tym mieszkaniu, ale żeby mogła je przejąć na własność, potrzebna była niesłychanie długa procedura, wymagająca zdobycia tony zaświadczeń i przerejestrowań, więc Szuwałow machnął ręką i powiedział, że do niczego nie pretenduje. A zatem obecnie nie ma na co liczyć, na horyzoncie nie majaczą żadne rekordowe dywidendy. Przy okazji warto zauważyć, że jest zatrudniony na uniwersytecie na pół etatu, a więc nie pobiera dużego wynagrodzenia. Może jedynie liczyć na sprzedaż samochodu. Jest właścicielem toyoty, rocznik dziewięćdziesiąty drugi, nowa chodzi po jakieś dwadzieścia tysięcy, a sześcioletnia – taka, jak jego – najwyżej po dziesięć. Podsumowując, aktualna sytuacja materialna pana Szuwałowa nie jest bynajmniej krytyczna, ale też nie sprzyja rozrzutności. Świadomy tego,

lekką ręką wyrzuca tysiąc dwieście dolarów na pogrzeb ludzi, których sam zabił. Wyłącznie po to, żeby sprawa wyglądała ładnie i żeby zamydlić oczy Tatianie. Jeżeli zgadzacie się z moimi wyliczeniami, będziemy musieli wyciągnąć jeden z dwóch wniosków.

– To jednak wariat. – Olszański kiwnął głową. – Zdrowy na umyśle człowiek nie będzie tak szastał pieniędzmi. Ale to się kłóci z obrazem, który stworzyliśmy. Ten wniosek miałaś na myśli?

– Zgadza się. Jest jeszcze druga hipoteza, która nie kłóci się z ogólnym obrazem. To nie wariat, ale ma jeszcze inne źródło dochodu. Prawdopodobnie nielegalne, bo o oficjalnym życiu Wiktora Pietrowicza Szuwałowa wiemy wszystko.

– Czyżby chodziło jednak o narkotyki? – zapytała Tatiana. – Sprawdzaliśmy go wtedy bardzo starannie, ale niczego nie znaleźliśmy. To znaczy, że przegapiliśmy. Posługuje się tamtym kanałem, który należał do żony, i z tego czerpie zyski. Niezły cwaniak! Cztery lata temu stawaliśmy na uszach, żeby go nakryć... Stop! Znowu nie pasuje. Jeżeli Szuwałow jest zamieszany w narkotyki, nie zawracałby sobie głowy zemstą. Po pierwsze, to nielogiczne, a po drugie, niebezpieczne. Już przecież stwierdziliśmy, że nie jest idiotą.

– Zaczniemy wszystko od początku. – Konstantin Michajłowicz westchnął. – Masz rację, Tatiano Grigorjewna, w naszej konstrukcji myślowej kryje się jakiś błąd.

Nie zdążyli jednak zacząć od początku, bo do Olszańskiego zadzwonili eksperci. Śledczy długo słuchał w milczeniu tego, co mu mówili przez telefon, później powiedział krótko:

– Czekam na pisemną ekspertyzę.

Odłożył słuchawkę, po czym zapatrzył się w okno. W końcu przesunął wzrok na Tatianę i Nastię.

– No cóż, dziewczęta, jesteśmy w punkcie wyjścia. Odciski na zabawkach nie należą do niego. Kartki to też nie jego robota. A zatem teraz naprawdę zaczynamy wszystko od początku.

– Jak to nie jego robota? – wyszeptała Nastia. – To niemożliwe. Jak to?

– Tak to... Nie wiem – odparł Olszański gniewnie. – Myślcie, ślicznotki, jak to możliwe. Czyżbyśmy się znowu pomylili?

Na krótką chwilę zapadła cisza, a później Tatiana podniosła głowę i uderzyła pięścią w blat biurka.

– Jest jeszcze cwańszy, niż myśleliśmy. Mieliśmy go za bezczelnego i pewnego siebie, a on tak naprawdę jest cwany i rozważny. Potrafi umieszczać czyjeś odciski na zabawkach, ma też kogoś, kto pisze za niego wiadomości. Może to wspólnik, który pomaga świadomie, ale raczej ktoś, kto nawet się nie domyśla, że jest wykorzystywany. Przypomnijcie sobie, jak zabójca wykorzystał Nadkę Tancerkę. Styl jest ten sam.

– Dobrze. – Śledczy się ożywił. – Ta koncepcja mi się podoba. Komplikuje, rzecz jasna, dochodzenie, za to nie przeczy temu, co wiemy. Trzeba szukać broni. Jeżeli wszystko jest tak, jak powiedziała Tatiana, niewykluczone, że facet posługuje się czyjąś bronią. Ona jednak musi gdzieś być, Szuwałow bierze ją, idąc kogoś zabić, a później odkłada na miejsce.

– Czy ja wiem? – powiedziała Nastia z powątpiewaniem. – To bardzo ryzykowne. Właściciel w każdej chwili może się zainteresować swoim pistoletem i nagle się okaże, że albo go nie ma na miejscu, albo czuć od niego zapach prochu. Ustaliliśmy przecież, że Szuwałow jest przezorny i ostrożny.

Olszański i Tatiana przyznali jej rację. Ale to nie pomogło rozwiązać problemu znalezienia broni. Wnioski ekspertów sprawiały, że otrzymanie zgody na przeszukanie stało się niemożliwe.

SZUWAŁOW

Był zmęczony. Śmiertelnie zmęczony tym, co robił. Ale nie potrafił już się zatrzymać. Stracił rozum, walcząc z widmami

przeszłości, nie był jednak w stanie przerwać tej wojny, bo gdy tylko próbował, rozsądek powracał i przerażenie własnymi uczynkami stawało się nie do zniesienia. Jedynym sposobem, żeby zapomnieć o obecnym bólu, był powrót do bólu z przeszłości, nieco przytępionego, łatwiejszego do uśmierzenia. Powrót do niego budził pragnienie wojny, która przyćmiewała rozum, i wszystko zaczynało się od początku.

Po tym, co się stało z jego rodziną, porzucił swoją ukochaną naukę. Teoretyczne badania w dziedzinie psychologii społecznej zaczęły mu się wydawać nudne i jałowe, w sposób uogólniony opisywały myśli i uczucia przeciętnych, nieznanym mu osób, podczas gdy jego interesowały tylko własne uczucia. Budziły myśli, które napawały go strachem, ale których nie potrafił się pozbyć. Próbował odejść z państwowej posady, powołując się na wiek – miał sześćdziesiąt jeden lat, więc nabył już prawo do emerytury – ale się wycofał na widok zdumionych spojrzeń kolegów. Racja, jaki z niego emeryt?! Wygląda tak, że tylko pozazdrościć – o dziesięć lat młodziej, niż ma zapisane w metryce. To wynik zabiegów, które podjął swego czasu, żeby za szybko się nie zestarzeć, miał przecież młodą i piękną żonę. Za wszelką cenę usiłował zignorować myśl, że jako mężczyzna nie jest jej potrzebny. Wiedział, że nie jest, wiedział, że ona z pogardliwym niezadowoleniem znosi jego comiesięczne wizyty w Petersburgu, mimo to kochał ją i miał nadzieję. To dlatego starał się walczyć z wiekiem, jak tylko mógł. Uprawiał sport razem z synem, chodził z nim na długie spacery za miasto, rzucił palenie, używał najlepszych środków do golenia, żeby nie przesuszyc skóry i uchronić ją przed przedwczesnymi zmarszczkami. I chociaż po tragedii przestał o siebie dbać, nadal wyglądał znakomicie. Nie cierpiał też na choroby, które tygodniami i miesiącami uniemożliwiałyby mu pracę. Tak, koledzy najwyraźniej nie zrozumieli jego chęci porzucenia pracy naukowej, więc został. Nie dlatego, że ustąpił pod presją

opinii publicznej. Kto, jeśli nie on, specjalista w dziedzinie psychologii społecznej, wiedział wszystko, a nawet więcej niż wszystko, na ten temat? Postanowił jednak nie popełniać czynów, które mogłyby zostać uznane za nielogiczne i niezrozumiałe, a przez to – podejrzane. Nie potrzeba mu żadnych podejrzeń. Szykował się do swojej wojny.

Ponieważ nie potrafił poradzić sobie z brakiem zainteresowania jeszcze niedawno uwielbianą nauką, przeniósł się na inny wydział, gdzie psychologia nie była kluczowym przedmiotem i wykładano ją tylko w ogólnym zarysie – same podstawy. To pozwalało nie zagłębiać się w najnowsze opracowania teoretyczne i wykorzystywać starą wiedzę bez dodatkowych nakładów pracy, na które nie miał już ani chęci, ani sił.

Malarstwo też porzucił. Zaraz po tragedii pogrążył się w nim bez reszty, starając się wyrazić na płótnie ból i rozpacz, które go przepełniały, ale krytycy nie przyjęli i nie zrozumieli tych obrazów; oznajmili, że nie ma w nich nic z dotychczasowej oryginalności, za to wyraźnie widać nieumiejętne naśladownictwo Boscha. Mieli trochę racji, bo przecież poprzedni Szuwałow już nie istniał, umarł razem ze swoją rodziną; zastąpił go nowy człowiek, z inną duszą oraz innymi cierpieniami. Prawda była taka, że Bosch rzeczywiście był jego ulubionym malarzem. Patrząc na jego obrazy, wyraźnie sobie uświadamiał całą nikczemność i grzeszność ziemskiej egzystencji. Reszta malarstwa, poruszająca temat grzechu, wydawała mu się o wiele mniej znacząca i nie wywierała tak silnego wrażenia.

Nie podjął prób, żeby przywrócić obrazom dawną oryginalność. Stare, namalowane przed tragedią jeszcze jako tako się sprzedawały – stanowiło to istotne wsparcie materialne – a nowych już nie malował, jedynie czasami dawał upust wyobraźni, ale nikomu ich nie pokazywał, a tym bardziej – nie wystawiał.

Odtąd całe jego życie sprowadziło się do wojny, którą prowadził sam ze sobą, a także z bólem i nienawiścią panującymi w duszy.

Dzisiaj nie miał zajęć, nie musiał jechać na uniwersytet, więc wstał później. Był w posępnym nastroju, jak każdego dnia przez ostatnie lata. Wyjrzał przez okno; pogoda była okropna, padał deszcz, porywy wiatru bezlitośnie szarpały nagie, a przez to bezbronne gałęzki drzew. Wiktor Pietrowicz nie miał ochoty wychodzić, więc postanowił zająć się sprzątaniem. Zjadł szybko śniadanie, wciągnął stary dres, w którym biegał rano z synem, gdy ten miał dziesięć czy jedenaście lat, i skrzywił się z bólu, wprowadzając dobrze znanego, ale wciąż nieznośnego. Cokolwiek robił, czegokolwiek się dotknął, zawsze na myśl przychodził mu syn.

Gdy wszystkie rzeczy zostały umieszczone na swoich miejscach, Szuwałow zwilżył ściereczkę i zabrał się do wycierania kurzu. Wyjął drabinkę, żeby zacząć od półek na książki. Z doświadczenia wiedział, że porządki wśród książek zawsze kończą się niekontrolowanym czytaniem, bo zobaczywszy na grzbiecie dawno zapomniany tytuł, nie potrafił się powstrzymać, by nie wziąć tomu do ręki i go nie przekartkować; gdy zaś napotkał coś ciekawego, zaczynał czytać ciurkiem, ułokowawszy się na górnym stopniu drabinki. Dzisiaj też tak było. Siedział skulony na niewygodnej drabince, gdy brzęknął dzwonek przy drzwiach.

Na progu stał wysoki młody mężczyzna w dobrze dopasowanym milicyjnym mundurze z naramiennikami kapitana.

– Wiktor Pietrowicz Szuwałow? – zapytał oficjalnym tonem, zaglądając do notesu.

Szuwałowa ogarnął strach, ale tylko przez chwilę. To niemożliwe, powiedział sobie i się uspokoił.

– We własnej osobie. Czym mogę służyć?

– Nazywam się Docenko, jestem nowym dzielnicowym. – Gość uśmiechnął się promiennie. – Pozwoli pan? Nie zabiorę dużo czasu.

Szuwałow odsunął się, wpuszczając go do środka.

– Proszę.

Docenko długo i starannie wycierał buty o wycieraczkę w przedpokoju, z czego Wiktor Pietrowicz wywnioskował, że gość nie zamierza ograniczyć się do krótkiej rozmowy przy drzwiach. I miał rację. Upewniwszy się, że mokre buty nie zostawiają już brudnych śladów, dzielnicowy ruszył do pokoju.

– Chodzę po domach i poznaję mieszkańców – wyjaśnił, siadając przy stole i otwierając notes. – A zarazem wykonuję polecenie służbowe. Mieszka pan sam, Wiktorze Pietrowiczu?

– Owszem – potwierdził Szuwałow, postanawiając się nie rozwodzić.

– Nie narzeka pan na sąsiadów? Bywają jakieś krzyki, awantury czy coś w tym rodzaju?

– Nie, nic podobnego się nie zdarzyło. Mam dobrych sąsiadów.

– Może odwiedzają ich jacyś podejrzeni osobnicy?

– Nie zauważyłem.

– A zatem wszystko w porządku. Teraz jeszcze jedna sprawa... – Dzielnicowy się zawahał. – Wczoraj niedaleko stąd, na sąsiedniej ulicy, doszło do napadu rabunkowego. Świadkowie widzieli, że przestępcy przebiegli przez pańskie podwórze. Są podstawy, by przypuszczać, że gdzieś tutaj pozbyli się broni. Gdy ich zatrzymano, nie znaleziono przy nich pistoletu, ale wszyscy świadkowie napadu twierdzą, że go mieli. Sam pan wie, jak to często bywa... – Docenko odchrząknął z zakłopotaniem i przekartkował notes. – Jakiś człowiek znajduje broń i zabiera do domu. Można go zrozumieć, bo nie ma pojęcia, że pistoletu użyto podczas napadu, i sądzi, że ktoś go upuścił, zgubił. No i sobie przywłaszcza. Zwłaszcza młodociąni popełniają ten błąd. Nie

słyszał pan przypadkiem o tym, że jakiś tutejszy chłopak znalazł broń?

Szuwałow pokręcił głową przecząco.

– Nie słyszałem.

– A może pańscy sąsiedzi wspominali coś na ten temat?

– Powtarzam: nie słyszałem.

Wiktor Pietrowicz doskonale widział, że milicjant czuje się niezręcznie, i to go rozbawiło. Zdobył się nawet na dłuższą wypowiedź.

– Nie, młody człowieku, nie znalazłem żadnego pistoletu. Powiem więcej: gdybym znalazł, miałbym dość rozumu, żeby go nie zabierać, ale zanieść na komisariat. Zaspokoilem pańską ciekawość? Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty. Jeżeli to wszystko...

Docenko poderwał się i zaczął niezgrabnie wpychać notes do raportówki.

– Tak, tak, proszę wybaczyć. Już wychodzę. Ale mam do pana prośbę, Wiktorze Pietrowiczu. Jeżeli jednak usłyszy pan o czymś podobnym, proszę łaskawie mnie powiadomić.

– Oczywiście. – Szuwałow skinął głową.

Gość szybko powiódł wzrokiem po pokoju, co nie spodobało się właścicielowi. Oczy chłopaka były chłodne i przenikliwe, kłóciły się z jego nieporadnością i dobroduszością. Wiktor Pietrowicz pragnął, żeby dzielnicowy jak najprędzej wyszedł, ale ten, jak na złość, zaczął przyglądać się wiszącym na ścianie portretom pędzla samego Szuwałowa.

– Ładne obrazy – oznajmił.

Jego słowa dotknęły Szuwałowa. Czy o obrazach mówi się, że są ładne? Ładne! Co on tam wie, ten krawężnik! Obraz nie musi być ładny, powinien być prawdziwy i budzić emocje. Czy *Widok Toleda El Greca* jest ładny? A urzeka tak, że nie sposób się oderwać.

– Kogo przedstawiają? – zaciekawiał się milicjant. – Kim jest ten chłopiec?

– To mój syn – odparł Szuwałow powściągliwie.

– Nie mieszka z panem?

– Nie.

Mówienie o synu sprawiało ból, więc Szuwałow marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej zamknąć drzwi za natrętem. Ale Docenko chyba nie odgadł jego nastroju, bo zaczął oglądać portret córki.

– A to kto?

– Moja córka.

– Też tutaj nie mieszka?

– Jest już dorosła – powiedział Wiktor Pietrowicz wymijająco.

– Panie kapitanie, bardzo się śpieszę, więc jeżeli nie ma pan więcej pytań...

– Jeszcze raz przepraszam. – Dzielnicowy ruszył pośpiesznie do wyjścia.

Zamykając za nim drzwi, Szuwałow widział, że mężczyzna znowu wyjął notes, skierował się do drzwi sąsiadów i nacisnął przycisk dzwonka. Wiktor Pietrowicz przekręcił klucz w zamku i powłókł się ku drabinie, próbując otrząsnąć się z niepokoju, który wywołała wizyta milicjanta. Stracił już zainteresowanie książką, którą przedtem kartkował, odstawił ją więc na miejsce i chwycił ściereczkę. Myślami wciąż jednak powracał do sympatycznego młodego milicjanta. Skąd to uczucie niepokoju? Pewnie stąd, że dzielnicowy bezwiednie trącił bolesną strunę. Zapytał o syna...

O syna? Przyszedł z notesem, w którym miał zapisane adresy i nazwiska osób mieszkających w dzielnicy. Skąd je wziął? Wiadomo: albo dostał od poprzedniego dzielnicowego, albo z biura ewidencji ludności. Ale przecież we wszystkich dokumentach jest adnotacja, że Jewgienij Wiktorowicz Szuwałow, urodzony w 1978 roku, został wymeldowany w związku ze śmiercią.

Wiktor Pietrowicz wolno zszedł po stopniach drabinki, czując zdradzieckie drżenie w nogach. Usiadł na kanapie i usiłował

się skupić. To nie dzielnicowy. Przyszedł po coś innego... Ale jak? Jak to się mogło stać? Nie, to nie powinno było się stać, bo to niemożliwe.

Nagle osłabienie minęło, w głowie się rozjaśniło. Uspokoił się. Oczywiście, że to niemożliwe. Ale możliwe jest coś innego. W jego mieszkaniu są obrazy. Żaden Rembrandt ani van Gogh, rzecz jasna, nie sprzeda się tego na aukcjach Christie's czy Sotheby's, ale to dzieła uznanych współczesnych rosyjskich malarzy. Nie tylko Szuwałowa, lecz także innych, o wiele bardziej wziętych i cenionych. Podarowali mu swoje płótna na znak przyjaźni i szacunku. Ktoś wskazał jego mieszkanie, a jeden z rabusiów zjawił się, udając dzielnicowego. Nie szkodzi, zaraz to wyjaśnimy.

Wiktor Pietrowicz sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał 02.

- Milicja, słucham – rozległ się bezbarwny kobiecy głos.
- Proszę mnie połączyć z informacją – powiedział Szuwałow.
- Chwileczkę.

Zaraz potem odezwał się inny głos, równie beznamiętny.

- Informacja.
- Poproszę o numer telefonu komisariatu miejskiego Carycyno.

- Niech pan notuje...

Parę minut później Szuwałow już rozmawiał z dyżurnym.

- Kapitan Docenko? – zapytał dyżurny. – U nas taki nie pracuje.

- To nowy dzielnicowy – zaczął wyjaśniać Wiktor Pietrowicz, czując złośliwą satysfakcję. – Ulica Diełowaja jest w jego rewirze. Może pan nie wie?

- Zaraz sprawdzę – obiecał dyżurny.

Szuwałow słyszał przytłumione głosy, ale nie potrafił rozróżnić słów. Wszystko możliwe, a nuż to naprawdę nowy dzielnicowy i w jego wizycie nie ma niczego niebezpiecznego. To zwyczajny obchód terenu. Wiktor Pietrowicz mieszkał już tutaj ze dwadzieścia lat, w tym czasie zmieniło się

przynajmniej siedmiu dzielnicowych, niektórzy z nich też go odwiedzali. W tej sytuacji mógłby się uspokoić i zapomnieć o swoich obawach.

– Halo, jest pan tam? – Znowu rozległ się głos dyżurnego. – Nie mamy takiego funkcjonariusza. A pańska dzielnica należy do starszego lejtnanta Riezwycha.

Wiktor Pietrowicz podziękował i odłożył słuchawkę. A zatem nadawca skoku. Trzeba na wszelki wypadek uprzedzić sąsiadów. Kto wie, może rabusie interesują się nie jego obrazami, ale rzeczami w innych mieszkaniach.

Szuwałow przebrał się, stary dres zamienił na dżinsy i cienki pulower. Na tym samym piętrze mieszkają jeszcze trzy rodziny; musi porozmawiać ze wszystkimi. Powinien tylko zaczekać, aż ten rzekomy dzielnicowy się wyniesie. Może już go nie ma w budynku, ale niewykluczone, że jeszcze siedzi u któregoś z sąsiadów.

Nie będziemy się śpieszyć, rozsądnie uznał Szuwałow. Nieostrożny ruch może zrodzić kłopoty; niewykluczone, że drań ma broń. A jednak ci rabusie są tępi! Działają niesłychanie prymitywnie! No dobrze, jestem naukowcem, człowiekiem zajęтым, pewnie cechuje mnie łatwowierność – nie poprosiłem go o dokumenty. A gdybym poprosił? Co by mi pokazał? Lufę zamiast legitymacji? Chyba nie, dzisiaj bandyci stali się przezorni. Nie brak też, oczywiście, głupców, którzy używają brutalnej przemocy, tyle że oni nie robią wstępnego rozpoznania, brak im do tego cierpliwości i rozumu. Jeżeli jednak zabierają się do czegoś na poważnie, zaopatrują się w dokumenty. Facet miał pewnie jakąś legitymację. Mimo to sprawa wygląda dziwnie... Skoro ją miał, dlaczego nie pokazał jej z własnej inicjatywy? To uwiarygodniłoby jego wizerunek. On tymczasem oglądał obrazy. Nie, chyba jednak chodzi mu o moje mieszkanie, o obrazy.

Nie śpiesząc się, wypił herbatę i zjadł parę kanapek, po czym uznał, że może już iść do sąsiadów. W pierwszej kolejności

postanowił odwiedzić mieszkanie, do którego rzekomy dzielnicowy zadzwonił na jego oczach godzinę temu. Drzwi otworzył mu postawny chłopak, syn sąsiadów, który parę dni temu wrócił z wojska.

– Z milicji? Był jakiś facet. A czemu?

– Pytał cię o broń?

– O jaką broń? – zdziwił się chłopak. – O strzelbę ojca? Nie, nie pytał. Wszystko jest przecież legalne. Ojciec ma pozwolenie i legitymację myśliwską.

– Nie o strzelbę, ale o pistolet, który przestępcy porzucili na naszym podwórzu. Nie pytał?

Chłopak ze zdumieniem spojrział na Szuwałowa.

– Nie-e – wycedził. – O pistolecie nie było gadki. Właściwie wypytywał głównie o pana.

– O mnie?!

Wiktor Pietrowicz starał się zachować zimną krew. W zasadzie był na to przygotowany: o kogo innego, jeśli nie o niego, miałyby pytać dokonujący rozpoznania złodziej?

– No tak. O pana. Z kim pan mieszka, kto pana odwiedza, kiedy bywa pan w domu i takie tam rzeczy.

– Rozumiem. O co jeszcze pytał?

– No cóż... – Chłopak się zaczerwienił. – Jak pan stoi z kasą, czy żyje pan w luksusie, czy raczej skromnie.

– I co powiedziałeś?

– A co ja mogłem powiedzieć? Że nie wiem. Dwa lata gniłem w koszarach, wróciłem dopiero niedawno, nie zdążyłem się jeszcze rozejrzeć. Mówię mu: „Lepiej niech pan zapyta moich starych, wieczorem będą w domu”.

– Dobrze. – Wiktor Pietrowicz kiwnął głową. – Wątpię, żeby ten typ wrócił porozmawiać z twoimi rodzicami, ale na wszelki wypadek zapamiętaj, że nie jest z milicji. To złodziej, przyszedł na przespiesi, jego banda zamierza obrabować moje mieszkanie. Dlatego zachowaj ostrożność. A gdy zobaczysz go

koło moich drzwi, od razu wezwij milicję. Zresztą nie tylko jego, każdego podejrzanego osobnika. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, wujku Witia – odparł chłopak posłusznie jak małe dziecko.

Następna wizyta była w mieszkaniu naprzeciwko. Zajmował je przedsiębiorca, który nieźle sobie radził w interesach i zarabiał tyle, że jego żona, absolwentka dwóch fakultetów, mogła siedzieć w domu i wychowywać trójkę dzieci. Była bardzo sympatyczna. Tak spokojna i zrównoważona, że Szuwałow nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że mogłaby mówić podniesionym tonem. Podobała mu się, wyłącznie jako sąsiadka, rzecz jasna. Wszystkie dzieci przyszły na świat, gdy małżonkowie mieszkali już tutaj, w tym domu, więc w ciągu ostatnich dziesięciu lat Wiktor Pietrowicz wiele razy pomagał jej wciągać do wąskiej windy albo wnosić po schodach wózek z kolejnym niemowlakiem.

– Wiktor Pietrowicz? – zawołała zdziwiona na widok Szuwałowa. – A ja myślałam, że jest pan w pracy. Chciałam wpaść wieczorem.

– Coś się stało? – Szuwałow się zaniepokoił.

– Jeszcze nie wiem, ale chciałam panu powiedzieć. Odwiedził mnie milicjant, interesował się panem. Nie wie pan, o co chodzi?

– Anieczko, ma pani na myśli lipnego dzielnicowego? Już wiem, że chodził po mieszkaniach. U mnie też był. Właściwie chciałem panią uprzedzić...

– Skąd pomysł, że to dzielnicowy? – przerwała mu sąsiadka.
– To nie był dzielnicowy.

– Ależ wiem, wiem, niech się pani nie denerwuje. – Szuwałow usiłował ją uspokoić. – Właśnie chciałem panią uprzedzić, że to bandyta. W najbliższym czasie ktoś chyba spróbuje obrabować moje mieszkanie, więc chciałem powiedzieć, żeby pani uważała.

Anna roześmiała się dźwięcznie i wesoło.

– Co pan mówi, Wiktorze Pietrowiczu, jaki znowu bandyta?! To wspaniały chłopak, kapitan milicji. Bardzo inteligentny.

Szuwałow zaczynał tracić cierpliwość. Równowaga i spokój to z pewnością zalety, ale nie mogą się ocierać o tępy upór i bezgraniczną łatwowierność.

– Anno, powtarzam raz jeszcze: to nie jest miły, inteligentny chłopak i nie kapitan milicji, ale współnik złodziei, wysłany na przesłpiegi. Zamierzają obrabować moje mieszkanie. Chcę powiadomić nasz komisariat, ale nie liczę za bardzo na milicjantów; sama pani wie, jak oni teraz pracują, nic ich nie obchodzi. Dlatego uważam za swój obowiązek uprzedzić sąsiadów, że na naszym piętrze w każdej chwili mogą się pojawić uzbrojeni przestępcy. Trzeba więc zachować czujność i ostrożność. Pani dotyczy to w pierwszym rzędzie. Sprawuje pani opiekę nad trójką dzieci. Aniu, proszę potraktować moje słowa z całą powagą.

Patrzyła na niego z niekłamanym zdziwieniem i nadal się uśmiechała.

– Wiktorze Pietrowiczu, dlaczego nazywa go pan dzielnicowym? Przecież to nie dzielnicowy. Naszym dzielnicowym jest Sasza Rieznych, doskonale go znam.

– Przedstawił się jako nasz nowy dzielnicowy, ale nie pokazał mi dokumentów. A ponieważ wiem, że naszą dzielnicę obsługuje starszy lejtnant Rieznych, nazywam tego samozwańca bandytą. Teraz pani rozumie?

– Rozumiem... Czyli że nie pokazał panu dokumentów?

– O to właśnie chodzi. Nawiasem mówiąc, a pani jak się przedstawił?

– Powiedział, że się nazywa Docenko i pracuje w moskiewskim wydziale kryminalnym. Dlatego się zdziwiłam, gdy nazwał go pan dzielnicowym.

– No widzi pani, ci bandyci są bardzo przebiegli. Zasięgnęli języka i wiedzieli, że zna pani osobiście naszego dzielnicowego; dlatego dla pani wymyślili inną historyjkę, podszyli się pod

wydział kryminalny. Rozumie pani, jak bardzo są niebezpieczni?

– Ale ja widziałam jego legitymację.

– Czyżby? – Sceptycznie uniósł brwi. – I co w niej było napisane?

– Kapitan milicji Docenko Michaił Aleksandrowicz zajmuje stanowisko starszego oficera w wydziale kryminalnym Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Moskwie. Zapamiętałam też numer legitymacji, datę jej wystawienia i termin ważności. Zdjęcie było na pewno jego, uważnie się przyjrzałam. Czemu się pan dziwi, Wiktorze Pietrowiczu? Mąż surowo mnie poinstruował na taką okoliczność. Sam pan wie, że bandyci często dopuszczają się wymuszeń w stosunku do przedsiębiorców, trzeba więc trzymać rękę na pulsie. Mąż mówił, że jeżeli pojawią się milicjanci, mam koniecznie zapamiętać wszystkie dane z ich dokumentów, bo one bywają przeważnie prawdziwe, a ci milicjanci, mimo że zatrudnieni w organach ścigania, pracują też dla mafii. Proszę. – Podała Szuwałowowi kwadratową różową karteczkę. – Zapisałam wszystko dla pana.

Jej ostatnie słowa docierały do Szuwałowa jakby z oddali. Przez krótką chwilę stracił słuch i zdolność myślenia. Ledwo wziął się w garść.

– Tak, tak, dziękuję – wybąkał. – Nie mam pojęcia, czego może ode mnie chcieć wydział kryminalny.

Nie był szczery, rzecz jasna. I zdawał sobie sprawę, że Anna wie o tym doskonale. Wtedy, cztery lata temu, gdy był podejrzewany o udział w handlu narkotykami, na pewno przesłuchano wszystkich sąsiadów, żeby się dowiedzieć, czy nie odwiedzają go jacyś podejrzani osobnicy, czy nie przechowuje czegoś dziwnego w swoim mieszkaniu, czy nie przywozi z Petersburga jakichś paczek i temu podobne. Szczegóły takiej tragedii, jaka dotknęła jego rodzinę, trudno utrzymać w tajemnicy, nawet jeśli się wydarzyła w innym

mieście, więc Anna musi się orientować. To znaczy, że milicjanci znowu odgrzebali stare sprawy i próbują go powiązać z tym obrzydliwym biznesem. Mniejsza o niego, niech sobie pracują, za to im płacą. Ale jeżeli znowu zaczną się go czepiać, mogą przypadkiem coś wywęszyć. A to już niedobrze.

Może jednak powód ich zainteresowania jest inny? Nie, nie i jeszcze raz nie. To niemożliwe. Nikt nigdy się nie dowie o tym, co robi. Gliniarze nie mogą wpaść na jego ślad. To znaczy, że chodzi o stare sprawy, dotyczące żony i córki. Milicjant nie bez powodu zainteresował się portretami syna i córki. W pokoju jest jeszcze tuzin portretów, a on zapytał tylko o te, jakby innych nie było. Dobrze wie o wszystkim, jest po prostu głupi i niedoświadczony, nie potrafił ukryć prawdziwych intencji.

Tak czy inaczej, trzeba się ubezpieczyć. Jeżeli sprawa została wznowiona, w każdej chwili do mieszkania mogą się zwalić milicjanci, żeby przeprowadzić przeszukanie i po raz kolejny próbować znaleźć narkotyki, których on nigdy w życiu nie miał. Trzeba podjąć niezbędne działania. Najważniejsze, żeby się pozbyć pistoletu.

Wiktor Pietrowicz szybko się przygotował, wsunął broń do dyplomacki i wyszedł z domu. Dobrze, że w porę się zorientował, nie zlekceważył intuicji. Dzielnicowy! Cóż za beznadziejny pomysł! Nasi milicjanci niczego nie potrafią, niczego się nie nauczyli, zachowują się jak kiepscy aktorzy w prowincjonalnym teatrze. Dureń z tego kapitana; nagadał mu, że jest dzielnicowym, a potem poszedł do sąsiedniego mieszkania i nawet nie chciało mu się udawać, że interesuje go broń, rzekomo wyrzucona przez przestępcę, od razu zaczął wypytywać o Szuwałowa, w dodatku pokazał legitymację. Ciekawe, na co liczył? Gdyby miał głowę na karku, toby najpierw przeprowadził rekonesans i wiedziałby, że z czterech rodzin na piętrze trzy mieszkają tutaj od wielu lat, dobrze się

znają i od razu poinformują Wiktora Pietrowicza, choćby milicjant kazał im przysiąc, że będą milczeć jak grób. Gliniarz poszedł na żywioł, to typowo rosyjska cecha. Niech teraz zbiera owoce swojej niefrasobliwości. Nie należy uważać się za mądrzejszego od innych, to wielki grzech. A mniej górnolotnie: to wielki błąd. Szuwałowowi należy się pochwała za to, że szybko się połapał. Podczas gdy milicjanci będą nabierali rozpędu, szykując się do przeszukania, on wyrzuci pistolet do jakiegoś zbiornika wodnego za miastem, niech sobie szukają.

Pogrążony w myślach, wsiadł do samochodu, bezwiednie zauważając w duchu, że chyba nigdy nie doczeka się zwrotu kosztów za naprawę auta od kobiety nazwiskiem Siełujanowa. Przewyciężywszy chęć, żeby pojechać gdzieś niedaleko, nad Stawy Carycynowskie albo Borisowskie, ruszył ku obwodnicy przez wieś Biesiedy. Pokonał most przez rzekę Moskwę, zjechał z obwodnicy i skręcił na drogę prowadzącą do Łytkarina. Wiedział, że jest na niej parę miejsc położonych przy samej rzece.

Za miastem całkiem się uspokoił. Tak wpływała na niego przyroda, niezależnie od pory roku. Gdy tylko znikają napierające nań mury domów, ogarniał go błogi spokój. Z każdym kilometrem dzielącym Szuwałowa od wielomilionowej metropolii jego napięcie malało, nawet ręce, przeważnie lodowate, robiły się ciepłe. Gdy dostrzegł miejsce dogodne z punktu widzenia swojego planu, nawet nie przyhamował – kręcili się tam ludzie: dwie rodziny z dziećmi urządziły sobie piknik i chyba zamierzały rozpalić grilla. Długie jesienne deszcze sprawiły, że grunt stał się błotnisty, więc Szuwałow nie chciał iść na piechotę; szukał miejsca, w którym droga biegłaby tuż nad wodą. Skarciwszy się w myślach za to, że źle się ubrał – miał na sobie półbuty, a nie gumki, w których chodził na ryby – ruszył dalej. A właściwie dlaczego do wody? – pomyślał. Czemu się uparłem, że koniecznie tam? Zasugerowałem się obejrzanymi filmami.

Wokół są takie lasy, że trudno w nich znaleźć czołg, a co dopiero pistolet. Głupiec ze mnie; gdybym włożył gumki, mógłbym zagłębić się w las. W półbutach mogę pójść tylko jego skrajem, to jednak niebezpieczne, bo ruch na drodze jest spory, samochodów dużo; na pewno ktoś zobaczy, gdy będę zakopywał pistolet. Trzeba poszukać wody.

Chwilę później pojął, że nie przemyślał dobrze swojej decyzji. Tam, gdzie droga biegła tuż nad rzeką i gdzie mógłby wyrzucić pistolet, był widoczny z przejeżdżających samochodów tak samo dobrze jak podczas zakopywania broni na skraju lasu. Będzie musiał zrezygnować z tego pomysłu, machnąć ręką na obuwiu oraz na perspektywę brnięcia po kostki w błocie i ruszyć w głąb lasu. A zresztą może przecież nie pozbywać się pistoletu, ale go ukryć; niech czeka na lepsze czasy. Gdy minie niebezpieczeństwo i wszystko się uspokoi, wtedy go zabierze. A wrzucony do wody przepadnie.

Szuwałow znalazł w końcu odpowiednie miejsce, stanął, zjechał na pobocze, zablokował kierownicę i dźwignię biegów, przełożył pistolet z dyplomatki do kieszeni, zamknął samochód i zrobił parę kroków w stronę lasu. I w tej samej chwili usłyszał zgrzyt hamulców za plecami. Odwrócił się i wszystko zrozumiał. Z dwóch samochodów, które się zatrzymały, biegło ku niemu pięć osób, z których dwie znał. Jedną był mąż tej idiotki Siełujanowej, która stuknęła w niego na skrzyżowaniu, drugą zaś – niedawny „dzielnicowy”, kapitan Docenko. A więc to tak... Wypadek też nie był przypadkowy. No cóż, miał pecha. Chociaż był pewien, że to się nigdy nie zdarzy.

– Odda pan broń dobrowolnie czy będziemy musieli pana przeszukać? – zapytał mąż Siełujanowej.

Szuwałow w milczeniu wyjął z kieszeni pistolet i cisnął go na ziemię.

– Dziękuję – powiedział uprzejmie Docenko, nachylając się i podnosząc broń. – Słusznie liczyliśmy na pański rozsądek.

– Nie wiem, na co liczyliście – wycedził Szuwałow, gdy na jego przegubach zatrzasnęły się kajdanki. – Ale jeżeli znowu będziecie szukać u mnie narkotyków, to niepotrzebnie stracie czas. A pan, Michaile Aleksandrowiczu, jest kiepskim milicjantem i aktorem. Od razu się domyśliłem, że mnie pan zwodzi.

– To dobrze. – W odpowiedzi Docenko uśmiechnął się wesoło.
– Tak właśnie kalkulowaliśmy. Zdemaskował pan moje toporne oszustwo, przestraszył się i postanowił pozbyć się broni. Chcieliśmy, żeby wyniósł ją pan z domu.

– Czyżby przeszukania nie były obecnie w modzie? – szyderczo zainteresował się Szuwałow. – O ile pamiętam, cztery lata temu przetrząsnęliście oba moje mieszkania i obie pracownie, i to niejeden raz.

– My nie przetrząsaliśmy – zauważył mąż Siełujanowej, kładąc akcent na słowo „my”. – Zapraszam do samochodu, Wiktorze Pietrowiczu.

– Jeśli nie wy, to inni, co za różnica. Wszyscy jesteście ulepieni z tej samej gliny.

Próbował odzyskać zdolność racjonalnego myślenia. Znaleźli broń – to oczywiście fatalnie. On jednak będzie obstawał przy tym, że znalazł pistolet dopiero dzisiaj. Albo wczoraj. Nie wciśnie im historyjki, że zamierzał go oddać, bo nikt w to nie uwierzy. Nie, zachowa się rozsądniej. Owszem, zamierzał przywłaszczyć sobie pistolet. Zgadza się, nie ma pozwolenia na broń. No to oskarżcie mnie o to. Wiktor Pietrowicz nigdy nie był karany ani zamieszany w nielegalny proceder, jest szanowanym obywatelem, naukowcem, malarzem, ma świetną opinię w pracy. Uniwersytet i Związek Artystów wstawią się za nim. Wszyscy ze zrozumieniem potraktują fakt, że w dzisiejszych niespokojnych czasach, kiedy bandyci czyhają na każdym kroku, chciał mieć pistolet, żeby się czuć bezpiecznie. A tego, że zamierzał go ukryć, nigdy nie uda im się udowodnić. Wysiadł z samochodu, żeby pospacerować po

lesie i się wykąpać, oto cała prawda. Miał pistolet w kieszeni, ale kto normalny pójdzie do lasu bez broni? Przecież za każdym krzakiem może się czaić jakiś szaleniec... Krótko mówiąc, odsiadka chyba mu nie grozi. Dobrze, że w chwili zatrzymania zachował twarz: nie rozkleił się, nie próbował uciekać i nie wpadł w histerię. Zachowywał się jak ktoś, kto nie ma absolutnie niczego na sumieniu, oprócz broni, którą znalazł poprzedniego dnia i której nie zaniósł na komisariat. Jeżeli jest podejrzany o coś jeszcze, milicjanci szybko to wyjaśnią, więc nie ma potrzeby się denerwować. Jeszcze go przeproszą za bezpodstawne zatrzymanie.

A może naprawdę ma czyste sumienie? Może wszystko, co się wydarzyło, to tylko straszny sen? Jest podejrzany o handel narkotykami, ale nie ma z nim nic wspólnego. Został zatrzymany jako diler, lecz znaleziono przy nim jedynie niezarejestrowaną broń. I to wszystko.

DOCENKO

Michaił wracał do Moskwy razem z Siełujanowem. Wszystko odbyło się tak, jak zaplanowali. Szuwałow się przestraszył i postanowił pozbyć się pistoletu. Liczyli na to, że zechce albo pozbyć się broni, albo ją ukryć na pewien czas. Tak czy inaczej, wyniesie ją z domu, a na zewnątrz wszystko pójdzie gładko. Jednakże zamiast czuć satysfakcję z dobrze wykonanego zadania, Miszę Docenkę gryzły wyrzuty sumienia.

Znaleziony u Szuwałowa nieduży czeski pistolet marki Česká Zbrojovka strzelał kulami kalibru 6,35, natomiast trzy osoby, które zabito, zginęły od kul kalibru 7,65.

Rozdział 11

KAMIENSKA

Chyba znowu się pomylili. Muszą przełknąć gorzką pigułkę. A przecież wszystko układało się znakomicie, można by rzec: pasowało jak ulał. Szuwałow ma motyw, w dodatku nie wydumany, ale prawdziwy i w pełni zrozumiały, a co najważniejsze, cztery lata temu sam złożył coś w rodzaju powiadomienia o swoich zamiarach. Poza tym zachowuje się podejrzanie, wieczorami odwiedza miejsca, które zupełnie nie pasują do naukowca ani w ogóle do kogoś przyzwoitego. A na wizytę rzekomego dzielnicowego zareagował właśnie tak, jak reagują ludzie z nieczystym sumieniem. I pognał ukryć pistolet. Który naprawdę ma!

A jednak wszystko wskazywało na to, że tamtych troje zabił ktoś inny. W każdym razie zastrzelono ich nie z czeskiej „zbrojovki”, którą pan Szuwałow zamierzał zakopać w lesie. Co z tego wynika? Że zostawiał na miejscu przestępstwa nie swoje odciski palców i kartki napisane obcą ręką, że zabijał ofiary z zupełnie innej broni, a „zbrojovka” – no cóż, to po prostu „zbrojovka”, zgrabny pistolecik czeskiej produkcji, strzelający niemal bezgłośnie. Kto powiedział, że Szuwałow ma tylko jedną sztukę broni palnej? Niewykluczone, że dwie, cztery albo dziesięć. Pistoletu kalibru 7,65 już się pozbył, jeżeli nie dzisiaj, to wczoraj albo przed dwoma dniami. W takim wypadku można wysunąć całkiem logiczną tezę, że to Szuwałow jest zabójcą.

Nastia niemal fizycznie czuła, że jej umysł ulega rozszczepieniu i myśli płyną w dwóch równoległych kierunkach. Jedna część umysłu próbowała wydedukować, jak udowodnić winę Szuwałowa, co jeszcze należy sprawdzić, czego się dowiedzieć, jakich informacji poszukać, żeby

zdemaskować przebiegłego zabójcę, który doskonale nad sobą panował i działał z rozmysłem. Można spróbować znaleźć ceramiczne rybki, przecież jeżeli sprawca zostawia koło zwłok jednakowe figurki, musi mieć pewien zapas. Gdzie go przechowuje? Gdyby go znaleźć, byłby to krok naprzód. Chociaż niewykluczone, że zabójca miał tylko trzy figurki i już je wykorzystał. Ale może znajdzie się jeszcze jedna? A nuż uda się znaleźć inny pistolet i okaże się, że jest on kalibru 7,65? A nuż w otoczeniu Szuwałowa pojawi się osoba, której odciski palców będą pasować do tamtych, znalezionych na figurkach? Albo osoba z tym samym charakterem pisma... Niechby chociaż coś, chociaż jakiś drobiazg... Natomiast druga część umysłu próbowała dociec, kto inny może być zabójcą Żartownisiem, bo to już oczywiste, że Szuwałow nim nie jest. Ale jeżeli nie Szuwałow, to kto?

– Halo, tu Ziemia. – Głos męża wyrwał ją z zadumy. – Śpisz czy bujasz w obłokach?

– Śpię – burknęła Nastia cicho. – I nie waż się mnie budzić.

– W takim razie zwolnij miejsce przy komputerze, daj mi popracować. Nawiasem mówiąc, do snu służą kanapy – ludzkość wymyśliła je w tym celu.

Nastia niechętnie wstała od biurka i opadła na fotel. Czsitiakow nieśpiesznie ulokował się przed komputerem, wyjął z teczki okulary i pudełko dyskietek. Pewnie to właśnie jest szczęście, pomyślała Nastia leniwie, patrząc na Aleksieja. Siedzieć w ubóstwianym fotelu i patrzeć na ubóstwianego męża, który robi to, co ubóstwia. Potem zjeść kolację w ciasnej, ale ubóstwianej kuchni, położyć się spać na miękkiej ubóstwianej kanapce, rano wypić kubek... nie, dwa kubki ubóstwianej kawy, po czym ruszyć do nieprzyjemnej, wyczerpującej, brudnej, ale ubóstwianej pracy. W całym tym idyllicznym obrazku jest tylko jedno „ale”: w każdej chwili – przed rokiem, przed miesiącem, w ubiegłym tygodniu, wczoraj i dzisiaj po mieście krążyli i krążą pewni osobnicy, którzy już

zabili i będą zabijać, póki nie odgadnę, kim są i gdzie ich szukać. Są inni przestępcy – z podobnymi problemami ścierają się wszyscy wywiadowcy – ale są też tacy, których ofiary obciążają moje sumienie. Dzisiaj nie wpadłam na pomysł, jak ich znaleźć, więc jutro umrą niewinni ludzie. Oczywiście, nie każda ofiara zabójstwa jest aniołem dobroci, który przez całe życie nie skrzywdził nawet muchy. Moje ponaddziesięcioletnie doświadczenie pokazuje, że około osiemdziesięciu procent ofiar to ludzie, o których można powiedzieć, że sami się o to prosili. Przestępcze porachunki, bójki i kłótnie podczas pijackich libacji i tak dalej. Ale bez względu na to, kim są ofiary i co zrobiły, nikt nie ma prawa odbierać im życia. Nawet państwo. Dlatego jeżeli próbuję znaleźć przestępcę i ponoszę fiasko, a on w tym czasie kogoś zabija, czuję się winna. To właśnie poczucie winy, zatruwające życie, bierze górę nad wszelkimi dobrodziejstwami egzystencji. Dokąd mnie zaprowadziło moje rozumowanie? Potok myśli... Zaczęłam od Szuwałowa, a skończyłam smutnym wnioskiem.

– Losza, zjemy kolację? – zapytała niby od niechcienia.

– Chyba tak – odparł Czistiakow, nie odrywając oczu od monitora.

– A kiedy?

– Kiedy chcesz. Jeżeli teraz, będziesz musiała sama coś przygotować. Jeżeli możesz poczekać, to poczekać. Zrobię kolację, jak skończę pracę.

– Nie mogę czekać, Losza – wyznała Nastia ze wstydem. – Wiesz przecież, że gdy nie potrafię rozwiązać zadania, robię się głodna jak wilk. Może znajdziemy konsensus, jak przyjęło się mówić?

– Nie znajdziemy. Naszemu konsensusowi wyrosły nóżki i uciekł gdzie pieprz rośnie. Asiu, muszę skończyć referat, żeby go jutro zawieźć do instytutu. Więc zrób coś sama, dobrze?

– W porządku. – Nastia niechętnie zsunęła się z fotela, rozpięła guziki przy mankietach koszuli w kratę i zaczęła wolno podwijać rękawy. – Ale dużo ryzykujesz, profesorze. Nie dasz rady zjeść tego, co przygotuję.

– Nie szkodzi, jakoś wytrzymam – wymamrotał Aleksiej, rysując tabelę na ekranie. – Różne rzeczy jadałem i jeszcze żyję.

Próba pochlebstwa się nie powiodła, więc Nastia powlokła się do kuchni. Co by tu zrobić prostego, żeby niczego nie zepsuć? Może chyba ręczyć za jajecznicę w swoim wykonaniu, ale przecież nie wypada jej serwować mężowi na kolację. W zamrażarce jest mięso, to jednak na pewno nie dla niej, tutaj trzeba doświadczenia i umiejętności, ona zaś nie ma ani jednego, ani drugiego. Chociaż nie święci garnki lepią; w domu powinny być gdzieś książki kucharskie, mogłaby poszukać w nich jakiegoś przepisu.

Wróciła na palcach do pokoju i zaczęła przeglądać tomy na półkach. Dwa poradniki kulinarne stały o tutaj, dobrze pamięta. Ale teraz w tym miejscu zieje spora dziura. A niech to, przecież dała je Daszeńce, żonie brata, jeszcze w ubiegłym roku. Ostatnia nadzieja w książce kucharskiej, którą przywiozła kiedyś z Rzymu. Nawiasem mówiąc, w prezencie dla Czistiakowa, a teraz sama musi z niej korzystać. Tekst jest wprawdzie po włosku, ale są podstawy, by przypuszczać, że nie wpłynie to na jakość przepisów. Nastia zerknęła ukradkiem na pogrążonego w pracy męża, chwyciła gruby tom i zniknęła w kuchni.

Niemal od razu dopisało jej szczęście. W poszukiwaniu rozdziału na temat mięsa natknęła się na zachwycające w swojej prostocie danie o nazwie „jajka po neapolitańsku”. Potrzebne są tylko ryż, jajka, masło i czosnek. Ale najważniejsze jest to, że chyba nie da się tu niczego zepsuć. Nawet dziecko to przyrządzi. Na jednym palniku stawiamy garnuszek z jajkami, które gotujemy, aż będą całkiem twarde.

Na drugim palniku stawiamy drugi garnuszek, w którym gotujemy ryż w dużej ilości wody, tak jak do głównego dania. To na razie wszystko, można zrobić przerwę, zapalić papierosa i znowu oddać się rozmyśleniom.

Trzeba dokładnie przeszukać pracownię i garaż Szuwałowa. Może drugi pistolet leży sobie spokojnie i szydzi z głowiących się milicjantów. Tam spoczywają też ceramiczne rybki. W najgorszym razie – pudełko po nich.

Szuwałow nie jest, oczywiście, tym, kogo szukają. Jeżeli był na tyle przebiegły i przezorny, żeby posłużyć się cudzym pismem, cudzymi odciskami palców i cudzą bronią, toby nie wpadł tak głupio.

A zresztą Wiktor Pietrowicz ma chyba przyjaciółkę. To jeszcze nic pewnego, ale pojawiły się jakieś aluzje na ten temat. Trzeba to koniecznie ustalić. Niewykluczone, że wszystko okaże się o wiele prostsze, niż sądzą. Odciski palców i pismo należą do niej, a w jej szafie poniewiera się pistolet.

Nie ma wątpliwości, że to nie Szuwałow. Już wstępna kontrola miejsca jego pobytu w chwili trwania telemostu dowiodła, że był poza Moskwą. Pojechał do Petersburga, żeby złożyć wizytę na cmentarzu w czwartą rocznicę śmierci swoich bliskich.

Nie, facet ma dość sprytu, żeby zapewnić sobie fałszywe alibi. To przecież nie przypadek, że cała historia zaczęła się akurat w dniu rocznicy. To nie zwyczajny zbieg okoliczności...

Dzwonek telefonu zabrzmiał jak wystrzał nad jej uchem. Nastia drgnęła i upuściła papierosa.

– No oczywiście, niektórzy relaksują się w domu przy smacznej kolacji – rozległ się drwiący głos Siełujanowa. – A tymczasem inni harują jak Papa Carlo[22], szukają zabójców po całej Moskwie.

– Kolacji nie ma – skonstatowała Nastia smutno. – Siedzę głodna i męczę wygłodniały umysł głupimi myślami. Mów, co wiesz.

– Nic nie wiem. – Kola westchnął. – Szef kazał do ciebie zadzwonić i zameldować o Szuwałowie. Facet się zaciął. Broń znalazłem, zamierzałem przywłaszczyć, więc możecie mnie oskarżyć, obywatele, o to drobne wykroczenie. Ale dalej ani rusz. Olszański go zatrzymuje. Jutro z samego rana przeszukamy miejsca zamieszkania naszego przyjaciela. Asiu, właściwie dzwonię, żeby...

– Żeby zameldować o wszystkim – zdziwiła się Nastia. – Sam powiedziałeś, że to polecenie Korotkowa. Czy może się przesłyszałam?

– A niech cię! Poszperaj, proszę, w swoim komputerze, może znajdziesz coś na temat tej „zbrojovki”. Coś mi nie daje spokoju. Odpowiedź z kartoteki łusek i pocisków nadejdzie nieprędko, mają tam huk roboty, kolejka jest olbrzymia. A ja wciąż się zastanawiam, czy ta zabawka nie przewinęła się gdzieś w naszych sprawach.

– Dobrze, sprawdzę, tylko później. Teraz komputer jest zajęty, Czistiakow go okupuje. Kola, a skąd się bierze twój niepokój? Wiesz o czymś, ale nie mówisz?

– To, co wiem, jest w twoim komputerze. Ale w odróżnieniu ode mnie on przechowuje wszystko w pamięci i w każdej chwili może odtworzyć, a ja mam zamęt w głowie. Męczy mnie jakaś myśl, brzęczy jak natrętna mucha, ale nie mogę jej wyłuskać. Stąd mój niepokój. Dlatego sprawdź, dobrze? I od razu zadzwoń.

– Będzie już późno – uprzedziła.

– Nie szkodzi.

– Bardzo późno. Loszka ma jeszcze dużo pracy. Póki nie skończy referatu, nie puści mnie do komputera.

– Mimo to zadzwoń.

Ryż i jajka chyba się ugotowały. Nastia wstawiła garnuszek z jajkami do zlewu pod zimną wodę i zajęła się ryżem. Odcedzić na sicie, przepłukać, poczekać, aż woda ścieknie. Przygotować dużą brytfannę. Coś za łatwo idzie, trzeba zajrzeć

do książki kulinarnej, może o czymś zapomniała? Otworzyła włoski tekst i jeszcze raz go uważnie przeczytała. Nie, wszystko się zgadza, chyba niczego nie przeoczyła. A więc bierzemy brytfannę, wykładamy na nią ryż, dodajemy masło i czosnek. Nawiasem mówiąc, czosnek trzeba obrać. Ciekawe, ile ząbków. Po chwili zastanowienia uznała, że czosnek jest zdrowy, przeciwdziała zachorowaniu na grypę, więc im więcej, tym lepiej. Chyba weźmie trzy ząbki. Nie, cztery. No dobrze, pięć. Obrać i przecisnąć przez praskę. Przemieszać ryż z masłem i czosnkiem, uklepać, wyrównując powierzchnię. Obrać jajka, pokroić na połówki, umieścić na obwodzie brytfanny żółtkami do góry. I wstawić wszystko do piekarnika na jakieś dziesięć minut.

Niezły przepis, ze zdziwieniem pomyślała Nastia, wsuwając brytfannę do piekarnika. Co wyjdzie z czegoś tak prostego?

– Profesorze! – zawołała z kuchni. – Za dziesięć minut kolacja.

– Nie wierzę – dobiegł z pokoju głos Aleksieja.

Dziesięć minut później wyłączyła piekarnik i wyjęła brytfannę. Pachnie ładnie. I wygląda całkiem dobrze. Ale i tak trudno pojąć ten fenomen. To niemożliwe, żeby danie było smaczne, a przy tym łatwe do przygotowania. Pewnie jest w tym jakiś haczyk. Zdarza się przecież, że jakaś potrawa pachnie smakowicie, ale nie da się jej wziąć do ust – takie paskudztwo. Ciekawe, jak to podawać? Wyłożyć ryż na talerz, znowu go uklepać i rozłożyć dokoła jajka? Czy może wszystko naraz? Nastia znowu zajrzała do książki, ale nie znalazła żadnych wskazówek. Trudno, zrobimy tak, jak podpowiada wyobraźnia.

– No chodźże, Losza, bo wszystko stygnie!

Nastia nie wytrzymała, rzecz jasna, i spróbowała ryżu. Jej zdaniem był smaczny. Ona jednak nie jest wybredna, czasami nawet nie zauważa smaku tego, co je. Tymczasem Loszka to co innego, przygotowanie posiłków traktuje poważnie, a do

smaku przykłada szczególną wagę. Szczerze mówiąc, zbyt dużą.

– No i jak? – zapytała nieśmiało, gdy mąż usiadł przy stole i przystąpił do uczty. – Zjadliwe?

– Nawet bardzo. – Czistiakow kiwnął głową z satysfakcją. – Po dwóch i pół roku małżeństwa stwierdzam, że poślubiłem oszustkę. Przyjemna niespodzianka.

– Co ty mówisz? – Nastia się przestraszyła. – Niby jak cię oszukałam?

– Sprytnie udajesz, że nie potrafisz gotować, zwalając na mnie ten obowiązek. Ale teraz twoje kłamstwo wyszło na jaw, więc usuwam się z kuchni. Będiesz, jak wszystkie żony, stała przy garnkach. Nawiasem mówiąc, co to za arcydzieło, którym mnie raczysz?

– Jajka po neapolitańsku. Losza, to była czysta improwizacja, dzisiaj po raz pierwszy przeczytałam ten przepis. Przecież to nie moja wina, że wyszło smacznie! Naprawdę nie potrafię gotować, przysięgam... – wyjęczała Nastia.

– O niczym nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Aleksiej pokręcił głową. – Wystarczy, że co wieczór będę jadł jajka po neapolitańsku, nawet jeżeli niczego innego nie potrafisz zrobić. A więc postanowione. Niedzielne obiady wezmę na siebie, a kolacje w dni powszednie będą należały do ciebie.

No i ukręciła sobie sznur na szyję. Wiele osób śmieje się z tego frazeologizmu, a przecież jest bardzo celny. Nastia naprawdę chciała jak najlepiej, a wyszło jak zawsze. Zaskodziła sobie, innymi słowy. Chociaż jeżeli się dobrze zastanowić, to z każdej sytuacji można wyciągnąć jakąś korzyść.

– Zgoda – odparła żywo. – Ale zażądam za to szeregu ustępstw.

Czistiakow uniósł brwi i zrobił znaczącą minę.

– Na przykład? Tylko nie zapominaj, że nie szukamy konsensusu, bo on wciąż gdzieś się błąka.

– Na przykład zwolnisz mi teraz komputer na piętnaście minut. Muszę poszukać czegoś dla Koli Siełujanowa.

– Idź już, szantażystko. – Mąż się roześmiał. – Przyznaj, że nieźle cię nastraszyłem.

Nastia usiadła przy biurku, otworzyła swój katalog i znalazła plik „Broń”. Poszukiwania tego, o czym wspomniał Siełujanow, nie zabrały jej dużo czasu. Tak, to nie przypadek, że Kola czuł niepokój. Miał powód. Gdy zbierali informacje o pierwszym z dziewięciu zabitych narkomanów, udało się ustalić, że krótko przed śmiercią nabył od kogoś pistolet marki Česká Zbrojovka, ale nikt nie wiedział, co z nim zrobił. W każdym razie nie znaleziono go w domu ofiary. A więc to tak... Wyłania się ciekawy obrazek, panie Szuwałow!

Pośpiesznie wybrała numer Siełujanowa.

– Kola, jeżeli sądzisz, że złapałeś mojego zabójcę, przyjmij do wiadomości, że bardzo się mylisz – powiedziała. – To ja złapałam twojego.

IRINA

Dzień od samego rana układał się niespokojnie i chaotycznie. Już w nocy Griszeńka zaczął kaprysić, więc przed wyjściem do pracy Tatiana poprosiła Iroczkę, żeby koniecznie zabrała chłopca do przychodni. Ira zaczęła pośpiesznie się krzątać; sporządzony poprzedniego dnia plan nie przewidywał wizyty w przychodni, bo dwa dni temu wezwano fachowca, który miał przyjechać dzisiaj przed południem, żeby zamontować antenę do odbioru płatnego kanału satelitarnego; później Ira zamierzała wyskoczyć na rynek po warzywa i świeże ryby. Od dziewiątej próbowała się dodzwonić do administratora, żeby przesunąć wizytę fachowca na inny termin, a gdy wreszcie się

udało, dochodziła dziesiąta i okazało się, że fachowiec już wyjechał. Grisza nadal grymasił, więc Ira wezwała pediatrę do domu.

Z fachowcem od telewizora też wyszło nieciekawie; musiał pociągnąć kable przez wyższe piętra, tymczasem na niektórych nikt nie otwierał metalowych drzwi dzielących mieszkania od wind – sąsiedzi byli w pracy. Trzeba było czekać, a nuż ktoś się pojawi, przyjdzie na obiad, może dzieci wrócą ze szkoły albo gospodynie domowe i emerycy – ze sklepów. Fachowiec był człowiekiem pogodnym i gadatliwym, Ira poczęstowała go herbatą i zabawiała rozmową, ale siedziała jak na szpilkach, bo czas mijał, a ona nie zrobiła jeszcze zakupów, nie mówiąc już o przygotowaniu obiadu i kolacji.

Lekarka, która się zjawiała, dosadnie wyraziła niezadowolenie z tego, że musiała przyjść z powodu głupstwa; dziecko jest zdrowe jak ryba, a ona ma w rejonie naprawdę chore dzieci i zamiast się nimi zajmować, traci czas dla niefrasobliwych mamusi, którym nie chce się pójść do przychodni.

– Nie wypiszę pani opieki na dziecko – oznajmiła surowo. – Proszę na to nie liczyć.

– Nie potrzebuję jej – odparowała Irocza. – Nie chodzę do pracy.

– No oczywiście. – Westchnęła tamta znacząco.

Jej westchnienie wyrażało to, co myśli na temat takich kobiet jak Ira. Nie pracują, siedzą mężom na karku, głowy mają zaprzątnięte fatałaszkami i głupstwami; wystarczy, że dziecko kichnie, a od razu wzywają na konsylium najlepszych profesorów medycyny, nie czują żadnego wstydu.

Zachowanie pediatry wydało się Irze obraźliwe, więc się zdenerwowała. Fachowiec nadal siedział w kuchni, co chwilę sprawdzając górne piętra; Ira była zła, ale nic nie mogła zrobić.

W tej samej chwili zadzwoniła Tatiana i zaskoczyła ją wiadomością, że o siódmej przyjdzie dziennikarz, żeby

przeprowadzić wywiad. To oznaczało, że mieszkanie powinno być w idealnym stanie. Boże, skąd na to wszystko wziąć czas?!

– Zupełnie nie wiem, co robić – ze smutkiem oznajmiła fachowcowi. – Mam jeszcze tyle spraw, z niczym nie nadążam, a my sobie siedzimy i próżnujemy.

– Żaden problem – odparł ten przyjaźnie. – Pójdę już, a pani popyta wieczorem sąsiadów, kto kiedy jest w domu, albo się z nimi umówi, żeby w ciągu dnia nigdzie nie wychodzili, i zadzwoni do naszej firmy. Zrobię adnotację, że praca nie jest skończona, więc gdy tylko pani powie, że mam przyjść, to się zjawię. Zawsze tak robimy, z górnymi piętrami ciągle jest kłopot. Tutaj to jeszcze nic, mieszka pani wysoko, nad panią jest tylko pięć pięter, ale nierzadko się zdarza, że montujemy antenę dla lokatorów z parteru albo z pierwszego piętra w siedemnastopiętrowym wieżowcu, gdzie na każdym piętrze są drzwi. To dopiero mitręga! Bywało, że musieliśmy przyjeżdżać po trzy, cztery razy.

To rozwiązanie było Irze na rękę, ale gorzko żałowała, że fachowiec od razu go nie zaproponował, i zmarnowała mnóstwo czasu. Umieściła popłakującego Griszę w wózku i popędziła na rynek. Było już grubo po dwunastej, więc na stoisku, gdzie zawsze kupowała świeże ryby, nie zostało nic ciekawego. Musiała na poczekaniu zmieniać plany kulinarne, mimo że wszystkie artykuły potrzebne do dania rybnego były już kupione, a zmodyfikowane obiadowo-kolacyjne menu wymagało nabycia nowych rzeczy, na co bez wątplenia nie wystarczy pieniędzy. Po nieprzyjemnym incydencie na bazarze przezorna Irocza zaczęła nosić przy sobie niewielkie kwoty, żeby w razie czego zminimalizować straty. Szeptem przeklinając nieudany dzień, kupiła, co mogła, i niemal biegiem wróciła do domu. Pośpiech był usprawiedliwiony: dzisiaj przypadało to rzadkie święto, kiedy Stasow obiecał wrócić na obiad.

Był już, oczywiście, w domu i wyraźnie strapiony rozglądał się po pustej kuchni. Irocзка ze skruszoną miną wdała się w wyjaśnienia, ale zauważywszy, że Władisław parę razy zerknął na zegarek, umilkła i przygotowała coś na chybcika.

Uff! Podsumujmy: Griszeńka nakarmiony, śpi w łóżeczku, pralka włączona, obiad odfajkowany, antena niezamontowana. Co zostało? Posprzątać mieszkanie i przygotować kolację, pamiętając przy tym o dziennikarzu, którego chyba też trzeba będzie zaprosić do stołu. A co z czasem? Pozostały raptem dwie godziny.

Poczyniwszy niezbędne przygotowania do kolacji, Ira zabrała się do sprzątania. Tu jednak też prześladował ją pech. Najpierw się okazało, że skończył się świetny płyn Mister Muscle do przecierania luster i szyb w szafach bibliotecznych. Jeszcze rano, szykując się do wyjścia na rynek, miała to na uwadze, ale później, w pośpiechu i w nerwach, zapomniała. Musiała użyć starego, wypróbowanego sposobu ze zmiętymi gazetami, zajęło to jednak z dziesięć razy więcej czasu. Potem, porządkując łazienkę, zrobiła niezręczny ruch, biegnąc w stronę dzwoniącego telefonu, i rozbiła wysoką szklanę na szczoteczki do zębów, którą akurat wyjęła z okrągłego uchwytu. Zważywszy na ogólną tendencję panującą tego dnia, nawet się nie zdziwiła, gdy zbierając odłamki, poczuła ostry ból w ręce. To by było wręcz niesłychane, gdyby się nie skaleczyła. Dźwięk rozbijającego się szkła obudził Griszeńkę, który, dręczony pragnieniem, od razu zaczął wołać Irę. Na widok skaleczonego i zakrwawionego palca rozplakał się ze strachu. Iroczkę ogarnęło odrętwienie: z jednej strony płaczące dziecko, które trzeba uspokoić i zabawić; z drugiej – skaleczony palec, z którego leje się krew i który trzeba szybko zabandażować, a może nawet zszyć na pogotowiu, z trzeciej – niedokończone sprzątanie, które – czy się tego chce, czy nie – trzeba skończyć, bo już niebawem przyjdzie dziennikarz. Wszystko to trzeba zrobić. A tymczasem Ira Miłowanowa ma

ochotę na coś zupełnie innego: pragnie wtulić twarz w czyjeś opiekuńcze ramię i wybuchnąć płaczem.

Potrafiła jednak opanować swoje niestosowne pragnienie. Powściągnęły łzy, przemyślała skaleczenie wodą utlenioną, obficie polała jodyną, zabandażowała, na rękę z opatrunkiem wciągnęła rękawiczkę i wróciła do sprzątanania. Gdy skończyła w łazience, wyjęła odkurzacz, ale i tutaj fatalny dzień nie zrezygnował z zadania, które postawił sobie rano. Odkurzacz zgasł zaraz po włączeniu i w odpowiedzi na usiłowania Iry, żeby go uruchomić, uparcie udawał, że nie wie, czego się od niego chce. Krótko mówiąc, zepsuł się i już.

Ira znowu miała ochotę się rozplakać, ale po raz kolejny się przemogła i rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do sąsiada.

– Kochany Andrieju Timofiejewiczu, niech mnie pan ratuje, w panu cała nadzieja – wyjęczała.

– Co się stało, moja droga? – zahuczał w słuchawce bas Kotofieicza.

– Odkurzacz... Nie wiem, co się stało, raptem zgasł i w ogóle nie reaguje. A ja muszę szybko skończyć sprzątananie, bo zaraz przyjdą goście.

Trzy minuty później sąsiad zjawił się ze swoim odkurzaczem.

– Domyślam się, że nie ma czasu na naprawę. Niech więc pani użyje mojego, a wasz zabiorę do siebie i obejrzę w wolnym czasie. Może sam naprawię.

– Dziękuję – powiedziała Ira z wdzięcznością i od razu wzięła się do pracy.

– Kogo się spodziewacie? – zainteresował się sąsiad.

– Przyjdzie jakiś dziennikarz, żeby przeprowadzić wywiad z Tatianą. O siódmej. A już za dwadzieścia – zawołała, starając się przekrzyczeć szum odkurzacza.

– To znaczy, że Tatiana Grigorjewna jest w domu? – zdziwił się. – A gdzie się podziewa?

– Jest jeszcze w pracy, ale powinna...

Okazało się, że nie powinna. Telefon od Tatiany, który zadzwonił akurat w tej chwili, położył kres złudzeniom Iroczki. Śledcza Obrazcowa wyjechała na eksperyment śledczy, który potrwa dłużej, niż się spodziewano, więc będzie wolna nie prędzej niż za godzinę i wróci do domu dopiero za jakieś dwie.

– Przeproś dziennikarza – poprosiła Irinę. – Jak chce, niech zaczeka. A jak nie, to niech przyjdzie jutro.

Iroczka odłożyła słuchawkę i zakłopotana spojrzała na Andrieja Timofiejewicza.

– No i masz... Kolejny problem... Tanię zatrzymano. Będę musiała wytłumaczyć to dziennikarzowi, a jeżeli zechce na nią poczekać, to i zabawić go rozmową ze dwie godziny.

– A kiedy wraca Władisław Nikołajewicz? – zapytał sąsiad.

– Dzisiaj pracuje do późna.

Andriej Timofiejewicz się zachmurzył, ale Iroczka nie zauważyła jego zatroskania, bo w skupieniu usuwała jakąś plamkę z podłogi.

– Iro, zna pani nazwisko tego dziennikarza?

– Nie, a dlaczego? Po co panu jego nazwisko?

– Nazwisko jest potrzebne nie mnie, ale pani. Tatiana Grigorjewna nie powiedziała, jak się nazywa i z której jest gazety?

– Nie.

– Może pani do niej zadzwonić i zapytać?

– Ależ skąd, nie ma jej w biurze, wyjechała. A o co chodzi?

Musiała krzyżeć, bo znowu włączyła odkurzacz. Ale hałas chyba nie przeszkadzał Andriejowi Timofiejewiczowi, w każdym razie mówił, prawie wcale nie podnosząc głosu. Miał rzeczywiście potężny bas.

– Moja droga – powiedział surowo. – Jestem doprawdy wstrząśnięty pani lekkomyślnością. Tyle razy powtarzałem, że w obecnej sytuacji powinna pani zachowywać maksymalną ostrożność, a pani chce wpuścić do mieszkania pierwszego

lepszego, w dodatku wtedy, gdy jest pani całkiem sama. Do czego to podobne? Jakiś nieznajomy zadzwoni do drzwi...

– Ale to przecież dziennikarz – zaproponowała Ira z uporem . – Tania jest z nim umówiona. Specjalnie mnie uprzedziła. A więc to żaden nieznajomy. Andrieju Timofiejewiczu, moim zdaniem robi pan z igły widły.

– A nie przychodzi pani do głowy, że Tatiana Grigorjewna umówiła się z dziennikarzem, a do domu przyjdzie nie on, ale zabójca? A w ogóle, Iro, nie ma żadnej dyskusji. Niech pani kończy sprzątanie, a ja zostanę z panią. Nie mogę pozwolić, żeby znalazła się pani sam na sam nie wiadomo z kim. Rozumie pani? A przy okazji, o czym będzie wywiad?

– Chyba o tych zabójstwach...

– O jakich zabójstwach? Czy to ma związek z tamtym programem telewizyjnym, podczas którego Tatianie Grigorjewnie grożono?

– No tak.

Wreszcie sprzątanie dobiegło końca. Andriej Timofiejewicz zaniósł dwa odkurzacze do swojego mieszkania, a gdy wrócił, Irocza była już przebrana i pudrowała nossek przed lustrem w przedpokoju.

– Znakomicie – zagrzmiał dobrodusznie. – Wszystko gotowe. Niepotrzebnie się pani denerwowała.

Dziennikarz Gieorgij Mieńszow pojawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie i bardzo się zmartwił, że Tatiany jeszcze nie ma i w najbliższym czasie nie będzie. Ale na widok życzliwego uśmiechu Iroczy się ożywił.

– Chcę zrobić materiał o tym, co czuje człowiek w sytuacji abstrakcyjnego zagrożenia. Na własne oczy widziałem tamten program w telewizji, kiedy ktoś groził Tatianie Grigorjewnie oraz jej koleżance, więc jestem ciekaw, po pierwsze, czy ta groźba przybrała jakieś realne kształty, a po drugie, jak Tatiana Grigorjewna to znosi. I jak znoszą to członkowie jej

rodziny. Jeżeli nie ma pani nic przeciw, najpierw porozmawiam z panią.

Irocza nie miała absolutnie nic przeciw temu, bo udzielała wywiadu po raz pierwszy; dziennikarze przeważnie interesowali się tylko Tatianą jako autorką popularnych powieści. Niektórzy próbowali wprowadzić rozmowę ze Stasowem i zadawali mu idiotyczne pytania o to, co czuje, będąc mężem znanej pisarki. On jednak nie odznaczał się szczególną delikatnością, więc inteligentnie drwił i wymigiwał się od odpowiedzi. Natomiast na Irinę nikt nie zwracał uwagi. Widocznie uważano ją za dochodzącą pomoc domową.

– A zatem – zaczął Mieńszow, włączając dyktafon – o ile mi wiadomo, zabito już dwie osoby...

– Trzy – od razu poprawił go Andriej Timofiejewicz.

– Naprawdę trzy? – zdziwił się dziennikarz. – A mnie powiedziano, że dwie. Pewnie informacje są nieaktualne. Przepraszam, co pana łączy z Tatianą Grigorjewną? Jest pan jej ojcem?

– Sąsiadem, mieszkam obok. Trzecie zabójstwo zostało popełnione całkiem niedawno.

Ira ze zdziwieniem spojrzała na Andrieja Timofiejewicza. Ależ ma pamięć! W domu omawiali, oczywiście, każde zabójstwo z Tanią, ale w obecności sąsiada ograniczali się do drobnych uwag. On jednak chwycił wszystko w lot!

– A więc popełniono trzy zabójstwa. Wie pani, kim są ci ludzie, dlaczego i w jakich okolicznościach zginęli?

– Tatiana powie panu wszystko, co uzna za stosowne – wymijająco odparła dawno i raz na zawsze poinstruowana Irocza. – Nie mogę omawiać z panem tego, co się wiąże ze śledztwem.

– Chwileczkę. – Mieńszow podniósł rękę. – O ile mi wiadomo, Tatiana Grigorjewna nie jest śledczą prowadzącą tę sprawę. A zatem zakaz nie dotyczy ani jej, ani jej bliskich.

Iroczka pozostawała jednak niewzruszona. Była wprawdzie towarzyska i ustępliwa, ale nigdy nie należała do plotkarek.

– Mimo to – odparła stanowczo.

– Ale przecież Tatiana Grigorjewna omawia z panią te sprawy?

– Tak, oczywiście. I ze mną, i ze swoim mężem.

– A z panem? – Dziennikarz zwrócił się do sąsiada.

– Po części. – Tamten się uśmiechnął. – Ale Irina Pawłowna ma rację, bez Tatiany Grigorjewny nie możemy o tym mówić.

– A czy pani się nie boi? – Mieńszow nagle zmienił temat.

Iroczka się zmieszała.

– Ja? Właściwie nie wiem...

– Niestety, Irina Pawłowna w ogóle się nie boi – wtrącił znowu sąsiad. – Uważam, że to niedobrze; zachowuje się niewłaściwie i tak też traktuje całą tę historię. Z opowieści Tatiany Grigorjewny wynika, że chodzi o strasznego człowieka, który nie zawaha się przed niczym. Niewykluczone, że zamierza skrzywdzić kogoś z członków rodziny. To wymaga szczególnej ostrożności od wszystkich, a przede wszystkim od Iriny Pawłowny, która całymi dniami przebywa sama z małym dzieckiem. Ona jednak przejawia zdumiewającą niefrasobliwość. Nie pomagają moje perswazje ani namowy.

– Proszę powiedzieć... – Mieńszow nieco się zawahał i posłał pytające spojrzenie Andriejowi Timofiejewiczowi.

Tamten odgadł nieme pytanie.

– Nazywam się Andriej Timofiejewicz.

– Tak, dziękuję. Proszę powiedzieć, Andrieju Timofiejewiczu, jest pan sąsiadem, mieszka obok... – Znowu przerwał, bo widocznie nie wiedział, na którym piętrze mieszka sąsiad. – Mieszka pan na tym samym piętrze?

– Przez ścianę – potwierdził sąsiad. – Nasze drzwi są obok siebie.

– A więc całkiem możliwe, że czyha na pana nie mniejsze niebezpieczeństwo niż na sąsiadów. Zwłaszcza że się

przyjaźnicie i często pan tutaj bywa. Nie boi się pan?

– Ja? – Sąsiad wydawał się szczerze zdumiony. – Ja – nie, przecież się obronię. Ale Irina Pawłowna tego nie zrobi, a małe dziecko tym bardziej.

– Widział pan tamten program w telewizji?

– Ma się rozumieć, brała w nim udział moja sąsiadka, którą znam. Byłem więc ciekaw.

– I co pan poczuł, gdy zobaczył na ekranie plakat z pogrózkami?

Ira sądziła, że Andriej Timofiejewicz zacznie się rozwodzić nad tym, że się martwił o Tatianę, że było mu przykro i się niepokoił, ale przypomniała sobie, że podczas telemostu nie było go w domu. Dobrze to zapamiętała, bo była wtedy sama, okropnie się przestraszyła i zdenerwowała na widok plakatu, rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do sąsiada i podzielić się swoimi odczuciami. Nikt jednak nie odebrał, drzwi też jej nie otworzono. Dlaczego więc Andriej Timofiejewicz powiedział, że oglądał program? Przypomniała sobie również to, że w dniu telemostu sąsiad wpadł wieczorem, jak się wyraził, „okazać moralne wsparcie”, ale wtedy, w ferworze rodzinnej dyskusji, Ira nie skojarzyła, że podczas trwania programu nie było go w domu. Wygląda więc na to, że skłamał? Po co?

DRUGA ŻONA ZABÓJCY

Za drugim razem uwzględnił dotychczasowe błędy i poślubił doktorantkę. To dawało mu gwarancję, że żona nie okaże się idiotką i ignorantką. Uwzględnił też inny błąd, dotyczący dziecka. Doktorantka była młoda, miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, toteż postanowił przyspieszyć bieg wydarzeń, żeby zdążyć ukształtować ją na własną modłę, zanim pojawi się potomstwo.

W chwili ślubu żona miała przed sobą jeszcze półtora roku studiów doktoranckich, dopiero zaczęła pisać rozprawę. Wziął zatem sprawy w swoje ręce i pomógł jej dokończyć pracę w rekordowym tempie. Nie, Natasza, jego nowa wybranka, nie była wcale głupia, poradziłaby sobie sama; pomógł jej tylko zrobić doktorat nie w ciągu półtora roku, ale w parę miesięcy. Opracował szczegółowy plan, który zamierzał skrupulatnie wdrożyć. W wieku dwudziestu sześciu lat jego druga małżonka miała zostać doktorem nauk, w wieku trzydziestu – doktorem habilitowanym, a w wieku trzydziestu dwóch czy trzech zdobyć tytuł profesora, no a potem mogłaby urodzić dziecko. Dla kobiety nie jest jeszcze za późno; dzięki temu w wieku jakichś trzydziestu sześciu lat podjęłaby karierę zawodową.

Plan wydawał mu się doskonały i całkiem realny. A najważniejsze – rozsądny. Z pierwszą żoną się nie udało, ale druga na pewno okaże się godna miana członka rodziny Danilewiczów-Lisowskich-Essenów.

Rozsądny i doskonały plan początkowo przebiegał gładko i bez przeszkód. W wieku dwudziestu sześciu lat Natasza uzyskała tytuł doktora nauk; podczas obrony jeden z recenzentów zupełnie poważnie oznajmił, że doktorantka wykazała się nieprzeciętnymi zdolnościami i jej rozprawa nadaje się na przewód habilitacyjny. Zaraz potem podjęte zostały aktywne działania ukierunkowane na zdobycie następnego stopnia naukowego. Jednakże rozprawa habilitacyjna znacznie się różni od doktorskiej. Żeby zostać doktorem, trzeba wykazać się umiejętnością prowadzenia samodzielnych i sensownych badań naukowych, przynoszących choćby niewielki pożytek. Żeby uzyskać habilitację, należy albo dokonać odkrycia, albo wynaleźć coś zupełnie nowego, albo uzasadnić nowy kierunek w nauce. To już inny poziom myślenia. On jednak przychodził z wyraźnym trudem jego drugiej żonie.

Sytuację komplikował nieco fakt, że Natasza, o dziwo, bardzo łatwo zachodziła w ciążę. O takich kobietach mówi się, że wystarczy położyć koło nich męskie spodnie – i za dziewięć miesięcy urodzą dziecko. Plan, rzecz jasna, nie pozwalał na to zbyt wcześnie, więc procesowi pisania rozprawy habilitacyjnej towarzyszyło siedem aborcji. Natalia nie narzekała, ubóstwiała męża, gotowa była modlić się do niego i z góry uznawała za słuszne wszystko, co ten mówił i robił. No i oczywiście uczyniłaby wszystko, żeby zasłużyć na jego pochwałę.

Jej zawodowy entuzjazm cieszył męża, któremu serce rośnie na myśl o niedalekiej perspektywie osiągnięcia zamierzonego celu. Jednakże każdy następny krok przychodził z coraz większym wysiłkiem. Natasza miała problemy z myśleniem teoretycznym, nie potrafiła zrozumieć tego, co uczony małżonek próbował jej wbić do głowy. Skończyła rozprawę dosłownie pod jego dyktando i na obronie omal nie przepadła, bo nie tylko nie potrafiła jasno odpowiedzieć na pytania członków rady naukowej, ale też nie rozumiała niektórych pytań. Sytuację uratował sekretarz naukowy, który wszem wobec oznajmił, że prosi o wyrozumiałość dla habilitantki, gdyż po pierwsze, przyszła na obronę z wysoką temperaturą, a po drugie, bardzo się denerwuje. To wyjaśnienie w zupełności zadowoliło obecnych, bo sama praca, wnioskuje z autoreferatu, była znakomita. Natalia rzeczywiście miała temperaturę i czuła się nie najlepiej, ponieważ poprzedniego dnia poddała się kolejnej aborcji, najwyraźniej niezbyt udanej. Ale nie miało to żadnego wpływu na postępowanie habilitacyjne – naprawdę nie rozumiała większej części tego, co było napisane w jej pracy.

Następne trzy lata poświęcono na to, żeby wyrobić Nataszy nazwisko w świecie nauki. Zarówno ona, jak i jej mąż ofiarnie zmagali się z tym zadaniem, ale z każdym dniem sytuacja stawała się coraz czytelniejsza: to wyraźnie przerastało jej siły. Solidna rozprawa doktorska okazała się szczytem możliwości

intelektualnych Natalii. Oboje nie chcieli się z tym pogodzić i z uporem dążyli do celu: monografia, artykuły naukowe, referaty na ważnych konferencjach, opieka nad doktorantami. Artykuły i referaty przechodziły bez echa, monografia została odrzucona przez kolegium redakcyjno-wydawnicze z adnotacją, że wymaga licznych poprawek, a z czworga doktorantów troje nie skończyło pracy pod jej kierunkiem i otrzymało nowych opiekunów, bo za każdym razem okazywało się, że szanowna Natalia Siergiejewna nie podziela poglądów naukowych swojego podopiecznego i prosi o zwolnienie z funkcji opiekuna. W gruncie rzeczy zwyczajnie ich nie rozumiała, a jeżeli rozumiała, to nie zauważała istotnych błędów, które powinien zauważać i poprawiać opiekun naukowy. Z takimi błędami praca musiała zostać odrzucona podczas obrony, co też się stało w przypadku jej pierwszego doktoranta.

Mąż pomagał jej, jak mógł, z wyjątkiem jednego: nie napisał już ani jednego słowa za żonę. Gotów był od rana do wieczora omawiać z nią problemy naukowe, tłumaczyć niezrozumiałe kwestie, dostarczać trudno dostępną literaturę, wprowadzać poprawki redakcyjne w rękopisach, ale pod żadnym pozorem nie zamierzał czegokolwiek za nią wymyślać. Nie zamierzał oszukiwać ani siebie, ani współpracowników, wystarczyła mu historia z habilitacją. Owszem, dokończył wtedy rozprawę za Natalię, szczerze pragnął jej pomóc, ale później poszedł po rozum do głowy. Co on robi? Kogo próbuje oszukać? Babcia już nie żyje. Mama dawno zginęła. Ojciec cieszy się dobrym zdrowiem, ale jego poglądy na rodzinne tradycje są dość liberalne, sam wywodzi się z klasy robotniczej. Dzisiaj on, wnuk Nikołaja Wieniediktowicza Essena, jest ostatnim potomkiem rodu Danilewiczów, więc powinien zrobić, co tylko w jego mocy, żeby ów ród zyskał godnego sukcesora. Osobiście odpowiada za to, kto będzie jego żoną i urodzi mu następcę, który zdoła podtrzymać rodzinne tradycje. A zatem, pisząc

pracę naukową za Natalię, zwyczajnie się okłamuje, bo nikt poza nim już tego nie oceni.

Z przykrością musiał przyznać, że znowu się pomylił. Nie bacząc na wszystkie starania, Natasza nigdy nie zdołał wspiąć się na takie wyżyny, które uczynią ją godną rodu. Pozostawała ostatnia nadzieja – dziecko. Najlepiej syn. Choć córkę też można wychować tak, że nie trzeba się będzie wstydzić przed przodkami. W końcu Natasza ma stopień doktora habilitowanego. Lepsze to niż nic...Ale i tutaj jego oczekiwania się nie spełniły. Liczne aborcje, do których zmuszał żonę, nie pozwalając jej urodzić dziecka, zanim nie zostanie zrealizowany jego wspólny plan, zrobiły swoje. Natalia nadal bez problemu zachodziła w ciążę, ale na tym wszystko się kończyło. Poronienia następowały jedno za drugim, a to w czwartym tygodniu, a to w szóstym. Lekarze rozkładali ręce i, kiwając głowami, mówili: „Co pani chce, mamusiu, tyle aborcji... Pani macica przypomina sito”.

O adopcji nie mogło być mowy. Należało zachować czystość rodu, a przy adopcji w ogóle nie wiadomo, jakie wady wrodzone wystąpią u dziecka. Ono zresztą powinno mieć krew Danilewiczów-Lisowskich.

Ogarnęła go wściekłość. Dlaczego tak się stało? Przecież plan był idealny; poruszył niebo i ziemię, żeby go zrealizować. Uwzględnił poprzednie błędy związane z wyborem towarzyski życia i matki następcy. Harował jak wół za siebie i za Nataszę. Więc dlaczego? W czym zawinił? Dlaczego los znowu go karze?

Nagromadzoną w duszy złość wyładowywał na żonie. Nie przebierał w słowach, tłumacząc jej, że jest bezpłodna intelektualnie. Jednym słowem, głupia. Nie potrafi samodzielnie zaistnieć w nauce. Nie potrafi nawet urodzić dziecka. Do niczego się nie nadaje.

Nie widział i nie chciał widzieć, że Natasza jest na skraju wytrzymałości. Rozpaczliwe próby zaspokojenia jego wysokich wymagań, nieustanny strach, że rozczaruje ukochanego męża,

bezsenne noce spędzone nad książkami i czasopismami, a także wyczerpujące, zżerające serce uczucie własnej bezsilności – wszystko to dało jej się we znaki i odebrało siły. A tutaj jeszcze wyrok lekarzy: nie będzie miała dzieci. I wyrok męża: jest bezwartościową, do niczego nieprzydatną istotą.

Natasza dobrowolnie rozstała się z życiem, wprawiając tym męża w stan najwyższego zdumienia. Czyżby jego propozycja, żeby się rozwieść, tak na nią wpłynęła? Psychopatka.

[22] Twórca drewnianej lalki z bajki A. Tołstoja *Złoty kluczyk, czyli niezwykle przygody pajacyka Buratino*.

Rozdział 12

ZARUBIN

Z trzecią ofiarą Żartownisia sprawa wyglądała nieco inaczej niż z pierwszymi dwoma. Zarówno Nadieżda Starostienko, zwana Nadką Tancerką, jak i wielokrotnie karany Giennadij Łukin, zwany Liszajem, byli ludźmi zaniedbanymi, zaglądnymi do kieliszka, schorowanymi i, prawdę mówiąc, bezużytecznymi. Tymczasem trzeci zabity, Walentin Kazarian, okazał się dawnym kolegą, człowiekiem w miarę młodym, z wyższym wykształceniem, bez jakichkolwiek oznak alkoholizmu. To znaczy pił jak wszyscy faceci, nie był abstynentem, ale nie został jeszcze nałogowcem.

Obraz jego śmierci wciąż pozostawał niejasny; pewne światło padło nań po tym, jak Andriej Czernyszew razem z Sieriożą Zarubinem obeszlili teren sąsiadujący z dziecięcym obozem i wzięli w obroty wszystkich kręcących się tam włóczęgów. Okazało się, że Kazarian nie zadzierał nosa i zawsze ofiarował schronienie bezdomnym. Wspominali go dobrze, a jego śmierć chyba ich szczerze zasmuciła. Ale nie potrafili niczego powiedzieć na temat ostatniego i przedostatniego dnia życia życzliwego dozorca.

– A cóż to? – zapytał Zarubin łagodnie. – Znaleźliście inny nocleg?

– Musieliśmy poszukać innego – wymijająco odparł włóczęga koło pięćdziesiątki, smagły facet z zębami pożółkłymi od papierosów, przypominający Cygana.

– Dlaczego? Walentin was nie wpuścił?

– No... coś w tym rodzaju.

Włóczęga najwyraźniej nie miał ochoty do zwierzeń, ale takie rzeczy nigdy nie powstrzymywały Siergieja, podobnie jak każdego wywiadowcy. Na tym polega ich praca – muszą

zdobywać, a niekiedy podstępnie wyciągać informacje od tych, którzy nie chcą im ich zdradzić.

– A może urażiliście czymś Kazariana? Ukradliście mu, na przykład, butelkę wódki albo pieniądze i dlatego baliście się pójść do niego nazajutrz, co? – zasugerował.

– Niczego nie ukradliśmy – burknął bezdomny. – Dał nam znać, żebyśmy nie przychodzili. Widocznie nie chciał.

Dał znać? Ciekawe. Dlaczego gościnny i życzliwy dozorca Wala Kazarian nie chciał, żeby znajomi włóczędzy przyszli się do niego ogrzać i coś przekąsić? To jasne jak słońce: miał gościa. Zabójcę? Całkiem możliwe.

– Często dawał wam znać? – zapytał.

– Zdarzało się... Na początku nas uprzedził, że jeżeli przyjedzie jakiś naczelnik, żeby skontrolować obóz, to na płocie w umówionym miejscu będzie wisiała puszka po konserwach. No więc patrzymy – jak nie ma puszki, to znaczy, że można iść, a jak jest – robimy w tył zwrot i szukamy innego miejsca.

– To znaczy, że dzień przed jego śmiercią na płocie wisiała puszka? – uściślił Siergiej.

– No tak.

– A następnego dnia przed południem?

– Przed południem nie było. Ja nie widziałem, ale Biria wstąpił do dozorca, bo potrzebował zapalek.

– No i co, dostał je?

– Aha. Przecież mówię, że skoro Biria przyniósł zapalaki, to znaczy, że puszki nie było. A wieczorem znowu ruszyliśmy do obozu, patrzymy – puszka. Musieliśmy zawrócić.

– Dobrze. Kim jest Biria? Pokaż mi go – poprosił Zarubin.

Biria okazał się chłopaczkiem na oko siedemnastoletnim, zwinnym i ruchliwym, z chytrymi skośnymi oczami i żywą mimiką płaskiej, sympatycznej twarzy. Jego pełne imię brzmiało Birimbek, był uchodźcą z Kazachstanu. Chętnie i szczerze opowiadał o swoich burzliwych losach: wychowanek

domu dziecka, żadnych bliskich krewnych. Wiele lat temu adoptowała go rosyjska rodzina, żyło mu się dobrze, przybrani rodzice mieli jeszcze dwójkę własnych dzieci, więc Biria się nie nudził. Gdy jednak w Kazachstanie zaczęły się prześladowania rosyjskich fachowców, cała rodzina opuściła zasiedziałe miejsce i ruszyła do Rosji. Najpierw zamieszkali w osadzie uchodźców, a później... O tym, co się stało później, Biria nie ma pojęcia, bo uciekł. Znudziło mu się takie życie, zwłaszcza że w osadzie byli tylko Rosjanie, ani jednego Kazacha, a on w swoim rodzinnym mieście czuł się jak przedstawiciel większości narodowej. Zrobiło się nieciekawie i niesympatycznie, udał się więc na poszukiwanie przygód. Tuła się już od trzech lat.

Tamtego dnia, gdy późnym wieczorem zabito Kazariana, Biria rzeczywiście przyszedł do niego po zapalki. Dozorca był sam, nie miał żadnych gości.

– Jak wyglądał? – zapytał Zarubin. – Był nerwowy, przestraszony czy raczej przeciwnie – pogodny i podekscytowany?

– Bo ja wiem? – Biria podrapał się po nosie brudnym palcem, co widocznie oznaczało zadumę. – Normalnie. Jak zwykle.

– Nie zapytałeś go, dlaczego poprzedniego wieczoru powiesił puszkę?

Chłopak pokręcił głową przecząco.

– Powiesił, to powiesił. On wie lepiej. Miałem żądać od niego sprawozdania? Dasz zapalić, szefie?

Siergiej wyjął papierosa z paczki.

– Dzięki. A ogień?

Biria zapalił papierosa, po czym głęboko się zaciągnął, zadarł głowę i wypuścił dym przez mocno zaciśnięte zęby.

– No dobrze, wzięłeś zapalki. A nie zapytałeś o wieczór? O to, czy będzie można przenocować?

– Zapytałem, a jakże.

– I co on na to?

– Nic. Wzruszył ramionami.

– I nie powiedział ani słowa? – Zarubin nie uwierzył. – Przypomnij sobie, Biria. Wysil mózgownicę. Sam chyba rozumiesz, po okolicy krąży zabójca, najpierw sprzątnął dozorcę, później dobiegł do was. Jednego bezdomnego już załatwił; widać, że upodobał sobie waszą zbiorowość.

Siergiej, ma się rozumieć, przesadzał; nie wierzył w to, że Żartowniś popełni kolejne zabójstwo w tym samym miejscu. Ale osiągnął zamierzony efekt: Biria od razu spoważniał.

– Mówisz o Liszaju? Słyszałem rozmowy na dworcu. Liszaja wykończył ten sam facet? Słuchaj, szefie, może on nas nienawidzi, co? Liszaja zabił za to, że jest bezdomny, a dozorcę za to, że nam pomagał. Co, nie potraficie go złapać? Niech lichy porwie takie życie! – zawołał jękliwym głosem chłopak. – Gliniarze nas przeganiają, ludzie obchodzą bokiem, jakbyśmy byli trędowaci, a tutaj jeszcze trafił się jakiś szaleniec, który wypowiedział nam wojnę. Nie ma dla nas, nieszczęśników, miejsca na tej ziemi, nikomu nie jesteśmy potrzebni...

– Powiedz jeszcze, że wykluczeni – przerwał jego wywód Siergiej. – Wtedy wypadnie jeszcze żałośniej. Wierz mi, Biria, że rozumiem twoje problemy. Ale chyba przyznasz, żeby lepiej być nieszczęśliwym niż martwym. Nie pora teraz wylewać żale, trzeba się brać do roboty. Wasza zgrana włóczęgowska brać musi stanąć we własnej obronie. Bo was jest wielu, a nas, milicjantów, mało. Jeżeli nam nie pomożecie, ten szaleniec będzie was likwidował. Zrozumiałeś?

Siergiej nie wiedział, dlaczego użył właśnie tych słów. Nie miał specjalnego przygotowania psychologicznego, ale kierował się intuicją, która bezbłędnie mu podpowiadała, jak powinien prowadzić rozmowę, żeby druga strona uwierzyła i pomogła. Owa genialna intuicja dochodziła do głosu tylko wtedy, gdy miał do czynienia z osobnikami niewykształconymi albo starszymi, albo z takimi, których przyjęto nazywać ludźmi

z marginesu. Z urzędnikami, na przykład, nie potrafił znaleźć wspólnego języka i bardzo się tym przejmował. O ludziach ze sfery biznesu albo sztuki nawet nie było mowy, nie potrafił podążać ich tokiem myślenia i nie rozumiał reakcji. Za to z bezdomnymi i z alkoholikami szybko dochodził do porozumienia.

W rozmowie z Birią wybrał właściwy ton, od razu to wyczuł. Oczy chłopaka zapłonęły; był jeszcze młody, więc cechowała go żądza przygód i zmian. Nie zapomniał jeszcze uporządkowanego życia rodzinnego, połączonego z codziennym chodzeniem do szkoły, można więc było liczyć na to, że przynajmniej przez pewien czas wykaże się konsekwencją w działaniu i odpowiedzialnością.

Pojąwszy wagę misji, Biria wyteńczył pamięć i barwnie zrelacjonował swoje ostatnie spotkanie z Walentinem Kazarianem. Jego zdaniem dozorca wyglądał na zamyślonego, a nawet roztargnionego, jakby wciąż coś rozważał. Na pytanie o wieczór najpierw rzeczywiście wzruszył ramionami, a gdy Biria nie zadowolili się mglistą odpowiedzią, rzucił:

– Jeszcze zobaczymy. Dam znać, jakby co.

Kazarian nie powiedział nic więcej; widać było, że nie ma głowy do chłopaka z jego zapałkami i natrętnymi pytaniami. Biria nie zauważył żadnych oznak, które mogłyby świadczyć o tym, że dozorca spodziewa się gości. A wieczorem bezdomna brać znowu zobaczyła puszkę po konserwach na płocie otaczającym obóz dziecięcy. Po raz kolejny musieli więc szukać noclegu gdzie indziej.

– Może w stróżówce było czystiej niż zwykle? – dopytywał się Zarubin. – Jakby w niej posprzątano?

– Nie, Walka zawsze dbał o czystość i porządek. Szkolił nas, żebyśmy nie zostawiali po sobie śmieci. Nawet jeżeli pozwalał się wykapać, to żądał, żebyśmy potem wszystko wyszorowali. I podłogę, i całe pomieszczenie aż do sufitu. Nie było z nim żartów.

– Że też chciało wam się wlec do takiego czepialskiego gościa – zdziwił się Zarubin. – I posprzątaj po sobie, i wyszoruj podłogę, w dodatku nie codziennie można przychodzić. Nie lepiej było znaleźć kogoś innego, mniej wymagającego?

– Ech! – Biria machnął ręką. – Wszyscy są tacy sami. Kto by chciał sprzątać po obcych? No a w opuszczonej chacie nie ma wody, nie podgrzeje się też żarcia. Czasami imprezujemy u jednego pijusa, wpuszcza nas, żeby nie tankować w pojedynkę. Za kąt do spania i trzy czyste szklanki nasłuchamy się od niego tyle wyzwisk, że ręce aż świerzbią, by mu przyłożyć. On niby jest pijakiem, ale to szanowany obywatel, ma własny dom i działkę, no a my jesteśmy wyrzutkami i wykolejeńcami. A czy nie mamy swojej dumy? My też jesteśmy ludźmi, ale skrzywdzonymi przez los, jaka w tym nasza wina?

– No a Kazarian? Zachowywał się inaczej?

– To był normalny facet. Nigdy nas nie obrażał. Pytał o życie, o różne rzeczy. Traktował jak równych sobie.

Siergiej rozmawiał z Birią ponad godzinę. Chłopak mu się spodobał, był rozsądny i nie wydawał się przegrany; zdaniem Zarubina miał w sobie jeszcze trochę z dziecka, mimo że skończył już dziewiętnaście lat, to znaczy był dwa lata starszy, niż Siergiej sądził na początku. Birimbek pragnął być wolny i dorosły, marzyły mu się podróże i nowe doznania. Zarubin spełnił niemal wszystkie te pragnienia, złożył mu bowiem propozycję, by powałęsał się wśród bezdomnych zarówno pod Moskwą, jak i w samej stolicy. Zadanie było proste, ale ciekawe: jeżeli ktoś wspomni coś na temat nowego znajomego z innego środowiska, Biria ma natychmiast powiadomić wywiadowcę. Żegnając się z nim, Zarubin był pewien, że w niedalekiej przyszłości chłopak dołączy do grona wiarygodnych informatorów.

Po powrocie do Moskwy zadzwonił do Nastii i zaproponował spotkanie koło zoo.

- Dlaczego tam? – zdziwiła się.
 - Ekszona Kazariana mieszka niedaleko – wyjaśnił.
- Coś w jego głosie chyba nie spodobało się Kamieńskiej, bo zapytała surowo:
- Ściemniasz?
 - Odrobinę – przyznał Siergiej. – To niespodzianka, spodoba ci się. Czekam o ósmej przy wejściu do zoo.

KAMIEŃSKA

Tylko niespodzianek jej teraz brakuje! Dobrze być młodym, przed trzydziestką; cokolwiek się zdarzy, nie opuszcza cię pewność, że życie jest wspaniałe i takie już pozostanie. Nastia ma jednak trzydzieści osiem lat i coraz częściej zaczyna wątpić w pomyślne jutro. Podatki Loszy doprowadzą ich do ruiny! Czy naprawdę będą musieli sprzedać samochód? Jej wszystko jedno, jeździ metrem, ale dla Loszki to tragedia, bez auta nigdzie nie zdąży.

Wysiadła na stacji metra Barrikadnaja i dwie minuty później znalazła się przed wejściem do zoo. Zarubin już tam stał i w skupieniu zajadał hot-doga, popijając go piwem z puszki.

- No i gdzie twoja niespodzianka? – Uśmiechnęła się. – Pokażesz mi małąkę, która urodziła tygrysa?

- Ani myślę – odparł wesoło. – Zobaczysz żywy obrazek zatytułowany *Swaty huzara*. Chodźmy.

Ruszył w stronę ulicy Krasnaja Priesnia. Zdziwiona Nastia wzruszyła ramionami i poszła za nim. Nie wiedzieć czemu, była pewna, że obiecana niespodzianka wiąże się z zoo. Tymczasem wygląda na to, że nie...

- Słuchaj, krętaczu, jeżeli twoja niespodzianka nie siedzi w klatce, to po co wyznaczyłeś spotkanie koło zoo?

- Bo tak jest romantyczniej! – Siergiej wepchnął do ust ostatni kawałek gorącej bułki z parówką i głośno upił łyk

piwa. – A jeśli mam być poważny, to zwyczajnie przechadzałem się po zoo, gdy na ciebie czekałem.

– Dziecinniejesz? – zapytała Nastia z kpiną.

– Co ty tam wiesz? „Dziecinniejesz” – burknął Zarubin, przedrzeźniając ją. – Jak chcesz wiedzieć, to w zoo skupia się cała mądrość świata. Prawa doboru naturalnego, rywalizacji, genetyki, wychowania potomstwa przystosowanego do życia. Nawiasem mówiąc, polityki też.

– Jakiej polityki? – zapytała z powątpiewaniem. – Nie przesadzaj.

– A tak! Pewnie sto razy słyszałaś od różnych mądrali, że nawet dzikie zwierzęta nie zabijają osobników podobnych do siebie, a inne osobniki zabijają tylko wtedy, gdy są głodne; jedynie istoty wyższe, noszące miano *Homo sapiens*, są do tego zdolne. Słyszałaś?

– Owszem – przytaknęła Nastia. – I co dalej?

– A to, że rzekomo najszlachetniejsze dzikie zwierzęta, to znaczy lwy, bardzo często zabijają osobniki podobne do siebie, w dodatku ze swojego stada. Młody lew, który chce zostać przywódcą, zabija, po pierwsze, dotychczasowego przywódcę, a po drugie, wszystkie lwiątko, które ten spłodził. Nie dlatego, że ma coś przeciwko nim, ale po to, żeby pozbawione młodych samice straciły mleko i znowu były gotowe do kopulacji. Młody lew musi jak najprędzej mieć dużo dzieci, żeby potwierdzić pozycję lidera. Takie właśnie zwyczaje panują w dzikiej przyrodzie, a my nie możemy wyjść z podziwu, zachwycamy się jej harmonią i naturalnością i przeklinamy ludzkość za to, że wymyśliła zabójstwo.

– Przerażająca historia – przyznała. – Więc chodzisz do zoo, żeby sobie popatrzeć na lwy?

– Na nie też. I na słonie. Kiedyś jeden psychiatra mi powiedział, że niektórzy ludzie mają epileptoidalny typ psychiki. Charakterem przypominają słonie. Są powolni, skrupulatni, przesadnie drobiazgowi, wierni i lojalni, potrafią

kochać do grobowej deski. A przy tym są strasznie pamiętliwi. I niesłychanie okrutni, jeżeli ich wyprowadzić z równowagi. To znaczy nie tak łatwo to zrobić, bo na ogół są spokojni i opanowani; jeżeli tak się jednak stanie, to trzeba jak najprędzej brać nogi za pas. Typ epileptoidalny będzie gnał na oślep jak rozwścieczony słoń, traktując wszystkich na swojej drodze. Musi minąć sporo czasu, żeby się uspokoił. A w ogóle, Pałna, bez względu na to, do której podejdziesz klatki, na pewno zobaczysz typ spotykany w życiu. Albo popatrzyś na zwierzę i nagle zrozumiesz, jaki typ reprezentuje przestępcę, którego akurat szukasz. Dobra, zostawmy te historyjki. Opowiedzieć ci o Kazarianie czy jesteś już tak wkurzona, że niczego nie chcesz słuchać?

– Jestem wkurzona – potwierdziła Nastia. – Dlatego lepiej mów, żebym się nie wkurzyła jeszcze bardziej.

– Aż się trzęsę ze strachu – pisnął Siergiej cienkim głosikiem.
– No więc tak, Pałna. W przeddzień zabójstwa Walentin Kazarian miał jakiegoś gościa, w dodatku był to gość prywatny, nikt z kierownictwa obozu.

– Skąd wiesz? – przerwała mu. – To fakty czy domysły?

– Domysły, ale oparte na faktach. Kazarian miał puszkę po konserwach, którą wieszał na płocie, gdy chciał powiadomić bezdomnych, że nie mogą wejść do obozu. Robił to przeważnie wtedy, gdy z Moskwy przyjeżdżali kontrolerzy albo naczelnicy. W dniu poprzedzającym zabójstwo puszka wisiała i bezdomni udali się na nocleg do znajomego pijaczka. Nazajutrz po południu młody bezdomny zwany Birią poszedł do obozu, żeby wyżebrać zapalki od Kazariana. Puszek nie było, chłopak dostał zapalki, a na zadane wprost pytanie o możliwość wieczornej wizyty nie otrzymał zdecydowanej odpowiedzi. Że niby jeszcze się zobaczy. I ani słowa o tym, że wczoraj do obozu zważyło się kierownictwo na kontrolę przed jesiennymi feriami. Ani słowa! A wieczorem puszka znowu wisiała.

Wróciłem do Moskwy, odszukałem tych naczelników i okazało się, że nie wizytowali obozu w tamtym czasie.

– Z tego wniosek, że poprzedniego dnia ktoś go odwiedził i obiecał wrócić nazajutrz, ale Kazarian nie był pewien, czy rzeczywiście przyjedzie – powiedziała Nastia. – I dlatego idziemy teraz do jego żony, żeby się dowiedzieć, czy któryś ze znajomych Walentina nie pytał ostatnio, gdzie go można znaleźć. Gdzie ona mieszka? Bo nie wiem, dokąd mnie prowadzisz.

– Nie bój się, Pałna, wprawdzie motorem jeżdżę kiepsko, ale pieszo nie błędę. O! Tutaj musimy skręcić w prawo.

Gdy znaleźli się na ulicy Małaja Gruzinskaja, Zarubin zwolnił nieco kroku.

– Idziemy w sprawie służbowej czy na spacer? – Niezadowolona Nastia szarpnęła go za rękaw. – Chyba się nie śpieszysz, kawalerze.

– *Madame* Kazarian, obecnie nosząca nazwisko Ostrowierchowa, będzie w domu dopiero o dziewiątej. O wpół do dziewiątej odbiera syna z basenu.

Nastia usiłowała opanować narastające rozdrażnienie. Czemu właściwie się irytuje? Mogła się spotkać z Sieriożą nie o ósmej, ale o wpół do dziewiątej, a nawet za kwadrans dziewiąta. Mogła w ogóle się z nim nie spotykać, wysłuchać przez telefon opowieści o bezcennej puszcze Kazariana i powierzyć mu Ostrowierchową; sam by sobie poradził, nie jest dzieckiem. A ona, Nastia, pojechałaby do domu. Mogła... Ale dlaczego tak, jak wyszło, jest gorzej, niż tak, jak mogłoby być? Wcale nie jest gorzej. Nastia będzie przez całą godzinę spacerować ulicami; wprawdzie to nie park ani las, powietrze w centrum Moskwy jest zanieczyszczone i zadymione, ale to i tak lepiej, niż gdyby siedziała w pomieszczeniu i paliła papierosa za papierosem. Poza tym będzie mogła porozmawiać z eksząną Kazariana i zadać jej pytania, które uzna za stosowne, zamiast się później denerwować i wyrzucać Sierioży,

że się nie domyślił, by o coś zapytać i wyjaśnić. No i dowie się wszystkiego od razu, a nie jutro rano. To też plus, w dodatku spory.

– A oto i niespodzianka! – oznajmił Zarubin głośnym szeptem.

– Gdzie? – Drgnęła.

– O tutaj, przetrzyj oczy, Pałna! Przed tobą obiecane *Swaty huzara*.

Nastia osłupiała. W odległości dziesięciu metrów zobaczyła Miszę Docenkę z bukietem kwiatów i rozpromienioną Iroczkę. Widocznie dziewczyna dopiero przyszła, bo Misza właśnie wręczał jej kwiaty. Później eleganckim gestem chwycił ją pod rękę, po czym oboje zniknęli za drzwiami, nad którymi lśnił napis „Międzynarodowy Salon Wystawowy”.

– Nieźle – mruknęła Nastia. – Skąd wiedziałeś, że oni tutaj będą?

Zarubin mrugnął chytrze i odchrząknął.

– Bierzesz mnie chyba za tępaka. Każdy wywiadowca ma swoich informatorów. Ale docień Miszę, Pałna. Irina przytarła nam wszystkim nosa swoją znajomością malarstwa, więc postanowił pokazać, że on też nie jest ignorantem, i zaprosił ją na wystawę młodych artystów. Chcesz wziąć udział w tym wspaniałym wydarzeniu? Mamy jeszcze pół godziny.

– O nie. – Nastia pokręciła głową. – Innym razem. Nie będziemy deprymować młodzieży. Zaprowadź mnie lepiej tam, gdzie serwują kawę i kanapki. Sam się najadłeś, a o mnie nie pomyślałeś.

– To prawda – przyznał Siergiej, rozglądając się. – Dokąd pani podpułkownik sobie życzy? Na tej ulicy jest Muzeum Timiriaziewa, wytwórnia Rasswiet, akademik konserwatorium, salon artystyczny, z którego honorowo zrezygnowałaś... Jak mawiali nasi starzy, drogi są dwie: albo wrócimy, skąd przyszliśmy – tam jest piekarnia – albo

zajrzemy do zaułku Wołkowa, gdzie mieści się koreańska restauracja. Wybór należy do ciebie.

Nastia zastanawiała się krótką chwilę, po czym wybrała piekarnię.

– A ja myślałem, że żony profesorów wolą restauracje – zauważył Zarubin, prowadząc ją tam, gdzie można było kupić drożdżówki.

– Żony profesorów muszą teraz żyć z ołówkiem w ręku, żeby zaoszczędzić trochę gotówki na podatki. – Uśmiechnęła się gorzko.

Drożdżówki okazały się wyjątkowo świeże i smaczne, co nieco zrekompensowało Nastii brak kawy. Nieśpiesznie dotarli do wieżowca w zaułku Zoologicznym i punktualnie za pięć dziesiątą zadzwonili do drzwi mieszkania ekszony zabitego Walentina Kazariana oraz jej nowego męża.

SYN ZABÓJCY

Z matką mi się poszczęściło, czego nie mogę powiedzieć o ojcu. Mama zawsze mnie rozumiała i była moją najlepszą przyjaciółką. Gdy odeszła od ojca, byłem jeszcze mały, więc nie mogę powiedzieć, że go dobrze pamiętam. Dopiero znacznie później się dowiedziałem, że był arcyważnym bossem w przemyśle zbrojeniowym, hojnie wynagradzanym, dzięki czemu regularnie dostawaliśmy z mamą wysokie alimenty. Moja mamusia to święta, nigdy nie powiedziała złego słowa o tym durniu, chociaż mu się należało. Tak więc dzieciństwo wiodłem beztroskie. Jak powiadają jajogłowi, bezkonfliktowe.

Pieniądze tatusia płynęły szerokim strumieniem, więc żyliśmy z mamą jak pączki w maśle. I nagle zjawił się tatuś we własnej osobie. Miałem już dwanaście lat i dawno przestałem być nierozumnym brzdącem.

Muszę przyznać, że tatuś zrobił na mnie duże wrażenie. Ubrany jak bohater amerykańskiego filmu, w zagranicznym wozie, przystojny (nie jestem pewien, czy potrafię oceniać facetów, na dziewczynach znam się o niebo lepiej). Zanim się pokazał, zdążyłem się zżyć z mamusią, więc nie potrafiłem rzucić mu się na szyję z okrzykiem: „Tatuś przyszedł!”. W odróżnieniu do mamy, która go objęła i pocałowała w oba policzki, skinąłem tylko uprzejmie głową. Mimo że byłem jeszcze dzieckiem, zrozumiałem, że mama do tej pory kocha tego drania. To dlatego zawsze wyraża się o nim z sympatią. Nie spodobała mi się ta myśl, więc z miejsca straciłem humor. Niby czemu ona go kocha? Nie ma nikogo innego do kochania? Na przykład mnie...

Nie domyśliłem się wtedy, po co on nagle się przywłókł. Przez tyle lat nie dawał znaku życia, a teraz proszę, raczył nas odwiedzić. Długo rozmawiali z mamą, odesławszy mnie do drugiego pokoju. Później tatuś zabrał się do mnie. Jakie mam oceny w szkole, które przedmioty podobają mi się najbardziej, jakie książki czytam, co jeszcze wiem i potrafię oprócz tego, czego się nauczyłem w szkole. Urządził mi istne przesłuchanie. W tamtych latach nie umiałem się burzyć, zgodne życie z mamusią nie usposabiało do tego, więc odpowiadałem posłusznie jak głupiec. Że ze wszystkich przedmiotów najbardziej lubię biologię, książki czytam wyłącznie o zwierzętach, a jedyna rzecz, którą potrafię i którą chcę się zajmować przez całe życie, to pielęgnowanie kotów. Nie gwiazdorzyłem, przysięgam! Naprawdę do szaleństwa kochałem te zagadkowe zwierzęta. Psy wydawały mi się lojalne i życzliwe, a przez to łatwe do rozszyfrowania, koty zaś – to dopiero coś! Nikt ich nie rozumie i to właśnie mnie pociągało. Od dzieciństwa opiekowałem się chorymi, porzuconymi kotami, które znajdowałem na ulicy, dbałem o nie, leczyłem je i pielęgnowałem. Sprawiało mi to taką przyjemność, że żadne słowa tego nie opiszą. Po naszym mieszkaniu wciąż kręciły się

ze cztery koty, niekiedy bywało ich nawet siedem. Ubóstwialiśmy je i gdy były już zdrowe, oddawaliśmy w dobre ręce – wyłącznie sprawdzonym osobom, które ich nie skrzywdzą. Gdy zaś kot był już stary i nikt go nie chciał, mieszkał u nas aż do samego końca. Z całej okolicy znoszono nam puszyste stworzenia do leczenia, niektórzy zostawiali je u nas na czas swojej nieobecności, wiedząc, że tutaj będą miały najlepszą opiekę. Przyjmowaliśmy wszystkich, nikomu nie odmawialiśmy i braliśmy za to symboliczne wynagrodzenie – tylko za pokarm albo lekarstwa. Opieka i dozór były darmowe, bo cieszył nas widok tych niezwykłych istot, w ich towarzystwie odpoczywaliśmy psychicznie. Im więcej ich było, tym lepiej się czuliśmy.

Im lepiej poznawałem koty, tym bardziej mnie ciekawiły, więc już w wieku dwunastu lat wiedziałem, że będę ich znawcą. Nie miłośnikiem, który ma w domu dwa koty i zajmuje się nimi w wolnym czasie, ale prawdziwym fachowcem, dla którego koty to codzienna, ukochana praca. Marzyłem, że otworzę schronisko dla kotów połączone z lecznicą. Mamusia mnie wspierała, słodkie kiciusie jej też skradły serce.

A zatem wyjaśniłem wtedy tacie w dwóch słowach, czym się interesuję poza szkołą. Nawiasem mówiąc, uczyłem się bardzo, ale to bardzo... To znaczy przeciętnie. Piątek miałem, rzecz jasna, niewiele, za to trójek – wcale. Takich jak ja nauczyciele nazywają mocnymi średniakami. Dopiero teraz rozumiem, że szanowali mnie za moją miłość do kotów i dlatego nie stawiali mi trójek. Zresztą nie tylko szanowali, ale też wykorzystywali, gdy wyjeżdżali latem na wakacje. Oboje z mamusią prawie nigdzie nie jeździliśmy, a gdy czasem się udawało, to osobno; najpierw ona wyskakiwała na tydzień do rodziny na wsi, a mnie zostawiała pod opieką sąsiadki, potem ja tam jechałem. Razem nie było szans, komu bowiem mieliśmy powierzyć naszych pupili?

Tatuś nie szalał z radości, słysząc o moich szkolnych sukcesach. Jak to mówią, był nimi usatysfakcjonowany. Kiwał głową z poważną miną, gdy opowiadałem o kotach, a gdy któregoś dnia nazbyt mnie poniosło i zacząłem wychwalać kocie zalety, które sam zaobserwowałem i których nie opisano w żadnej książce, w jego oczach błysnęło coś w rodzaju aprobaty. Wtedy do mojej głowy zakradła się pewna myśl... Głupia, ma się rozumieć, zupełnie dziecinna. Pomyślałem, że może on też lubi koty i da mi pieniądze na schronisko, jest przecież bogaty. Jednym słowem, zapaliłem się do tego pomysłu i zacząłem mu opowiadać o swoich marzeniach. Przez cały czas kiwał głową, później wyszedł z pokoju i znowu wdał się w pogaduszki z mamusią. Chciałem ich podsłuchać, ale akurat kotki zaczęły mi przypominać, że już ósma, pora na jedzenie. Odpuściłem więc sobie rozmowę rodziców i poszedłem rozdawać pokarm; pomyślałem, że mama sama mi powie, jeżeli się okaże, że to coś ciekawego. A jeżeli nie powie, to znaczy, że nie warto o tym wspominać. Zawsze jej wierzyłem, była przecież moją najlepszą przyjaciółką, nigdy mnie nie oszukała.

Nakarmiłem swoich pupili i zacząłem je kolejno szczotkować; przy tym zajęciu zastał mnie tatuś. Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem i mówi:

– No cóż, Aleksandrze.

Aleksander to ja, ma się rozumieć. Ale wszyscy z jakiegoś powodu nazywają mnie Sanioką, nawet mamusia. Sanioka to, Sanioka tamto. Przywykłem do tego imienia, podobało mi się, było w nim coś niezwykłego. Nie Sasza, nie Szurik i nawet nie Sania, ale Sanioka. Tatuś nie mógł tego jednak wiedzieć, więc zwrócił się do mnie bardzo oficjalnie.

– No cóż, Aleksandrze. Sądzę, że powinieneś się przenieść do innej szkoły.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – W tej mi dobrze.

– Musisz się uczyć w szkole o profilu biologicznym. Wiązesz przecież swoją przyszłość z zoologią.

– Niby dlaczego z zoologią?! – Oburzyłem się. – Chcę się zajmować kotami. I tylko nimi. A zoologia to nauka o wszystkich zwierzętach. One mnie nie interesują. Lubię koty, a nie jakieś wielbłądy czy słonie.

– Nie rozumiesz – powiedział tatuś łagodnie. – Nikt cię nie zmusza, żebyś lubił wielbłądy albo słonie. Koty to koty. Ale wszystko należy robić jak najlepiej, na szóstkę, a nie byle jak. Sądzisz, że skoro kot to zwierzę domowe, niepotrzebna ci fachowa wiedza, żeby się nim zajmować?

Tak właśnie myślałem, ale nie zdążyłem tego powiedzieć.

– Mylisz się – ciągnął. – Każdy żywy organizm, nawet najzwyklejsza pchła czy karaluch, to bardzo skomplikowany system; żeby się nim zajmować, trzeba go długo i starannie badać. Żeby zrozumieć, co i jak w nim zachodzi, należy dobrze znać chemię, fizykę i biologię; nawet matematykę, jeżeli zapragniesz zajmować się lekami i leczyć zwierzęta. Poza tym istnieje specjalna dziedzina, zoopsychologia, która bada osobliwości zachowania zwierząt. Ją też trzeba dobrze poznać, inaczej sobie nie poradzisz i nie zrozumiesz kocich zwyczajów. Trzeba się uczyć genetyki, żeby zajmować się hodowaniem i krzyżowaniem gatunków. W zwykłej szkole tego uczą.

Długo wbijał mi do głowy swoje mądrości, ale wciąż nie wiedziałem: po co? Po co miałbym to wszystko wiedzieć? I bez tego świetnie sobie radzę z kotami. Gdy tylko zwierzak zacznie mruścić, już wiem, co chce powiedzieć. Mam dobry słuch, rozróżniam wszystkie niuanse kociego mrużenia i miauczenia, nie mam z tym żadnych problemów. A odkąd nauczyłem się dawać im tabletki, jestem wzywany do domów, w których są chore koty. Nikt lepiej ode mnie nie potrafi tego zrobić, innym koty się wyrywają, gryzą, drapią i piszczą, tabletki są przecież gorzkie, w dodatku one, maleństwa, się boją. A ja szybko pstrykam im w szyję; kotek nawet nie zdąży

się zorientować, w jakim celu to robię, otwiera pyszczek i nie czuje gorzkiego smaku. I po sprawie. A ten mi głądzi tutaj o jakiejś szkole! Mam ją w głębokim poważaniu.

Nie oponowałem jednak na głos, nie mam takiego charakteru. A raczej nie miałem. Teraz inaczej rozmawiałbym z tatusiem, ale wtedy byłem jeszcze mały, nie potrafiłem się kłócić. Mówię przecież, że wychowałem się w cieplarnianych warunkach. Patrzyłem tylko przygnębiony na tatusia i milczałem. A on skończył swoją tyradę i poszedł. Przedtem pogłaskał jednego kotka i powiedział:

– Zadbam, żebyś się uczył w specjalnej szkole.

Mamusia zamknęła za nim drzwi i na mnie zerka. A ja na nią.

– No i co, synku? – pytas. – Pójdziesz do nowej szkoły?

Tylko kręcę głowę. To znaczy, że nie, nie pójdę. Mamusia zaczęła mnie przekonywać tymi samymi słowami co tatuś. Że trzeba się uczyć, fachowa wiedza i takie tam bzdety. Boże, ależ mnie ogarnął strach! Czy ona trzyma jego stronę? – myślę. Moja kochana mamusia, jedyna bliska mi dusza, okazała się zdrajczynią. Uderzyłem, oczywiście, w płacz. Cały się trzęsę, szlocham i myślę, że nie chcę iść do tej głupiej szkoły, w obecnej wyciskaam siódme poty, żeby tylko nie zabroniono mi zajmować się kotami. Znam ja tych nauczycieli, wystarczy byle drobiazg – i od razu lecą na skargę; pani syn na okrągło uprawia sport, nie odrabia lekcji, no i dalej w tym stylu. Przyjdą do mamusi i będą wrzeszczeć, że w głowie mam tylko koty, a powinienem się uczyć geografii. Mamusia powiedziała mi wprost, że nasze kotki – w porządku, byleby tylko nie ucierpiały na tym oceny. Robiłem więc, co mogłem, bo słowo mamusi jest dla mnie rozkazem. Zawsze tak było i będzie. Gdy sobie wyobraziłem, że w nowej szkole będę musiał jeszcze bardziej się przykładać, uznałem, że lepiej zdechnąć. Albo wyrzucą mnie stamtąd za brak postępów, albo mamusia zabroni mi trzymać koty.

No więc siedzę na tapczanie i szlocham, a mamusia stoi obok i na mnie patrzy. I milczył.

Później usiadła obok, objęła mnie, pogłaskała po głowie i mówi:

– Nie bój się, synku, i nie płacz. Nie oddam cię do nowej szkoły. Jak nie chcesz się uczyć, to nie. Nie płacz, mój skarbie. Nasze kotki są z nami, my jesteśmy zdrowi, a więc nic złego się nie dzieje.

Od razu się uspokoiłem i przytuliłem do niej. A jednak moja mamusia jest super!

Owszem, mamusia jest super, ale z tatusiem nie poszło tak łatwo. Dzwonił każdego dnia, co trzy dni przychodził i zadręczał nas swoją szkołą. Mamusia się z nim wyklócała, udowadniała coś, przekonywała, ale nie wciągała mnie w te spory. Tatuś niby odstąpił od swojego pomysłu, ale przychodził nadal co tydzień, w dni wolne od pracy, i sprawdzał nie tylko mój dzienniczek, ale też wszystkie zeszyty. Pytał, czego nowego dowiedziałem się o kotach, jakie książki przeczytałem, zmusił mnie, żebym założył dziennik obserwacji. Jeśli chodzi o dziennik, pomysł okazał się ekstra, początkowo nie zakminiłem i nie chciałem go prowadzić, potem tatuś mnie zmusił, więc zacząłem – niechętnie, byle jak – robić codziennie notatki na temat każdego kota: co jadł, jak się zachowywał, ile razy siusiał i robił kupkę, z jakiego powodu miauczał. Krótko mówiąc, wszystko przelewałem na papier. Męczyłem się przez parę tygodni, a później zobaczyłem, że dziennik przynosi korzyści. Jeden z moich pupili stracił humor, przestał jeść, bez przerwy miauczał żałośnie, aż się serce krajało. Zajrzałem do dziennika, a tam stoi jak wół, że on już od trzech dni je mniej, a od dwóch niemal w ogóle się nie porusza. Zajrzałem do literatury fachowej – i od razu rozpoznałem chorobę. Wtedy doceniłem tatusia. Mimo że jest nudziarzem, czasami gada z sensem.

Wciągnęliśmy się z mamusią w te relacje; przywykliśmy, że tatuś przychodzi co weekend, żeby mnie skontrolować. Był taki film wojenny *Kontrola na drogach*[\[23\]](#). U nas też odbywała się taka cotygodniowa kontrola. Wyglądało na to, że tatuś nie żałował mamusi pieniędzy, bo zaczęło nam się lepiej powodzić, ale ona ani razu o tym nie wspomniała, a ja nie dostawałem od niego nawet kieszonkowego. Można powiedzieć, że niemal się zaprzyjaźniliśmy; podobało mi się, że chętnie słucha opowieści o moich kotach i kotkach, szczegółowo wypytuje, co nowego o nich przeczytałem albo dowiedziałem się z obserwacji. Wprawdzie często napomykał, że skoro zrezygnowałem ze szkoły o profilu biologicznym, to powinienem przynajmniej uczyć się języków obcych, żeby czytać książki specjalistyczne nieprzełożone na rosyjski, ale puszczałem to mimo uszu. Jeszcze tylko języków mi brakowało! I tak muszę się niezłe sprężyć, żeby poradzić sobie z wymaganiami nauczycieli.

W końcu udało mi się jakoś skończyć szkołę. I wtedy znowu się zaczęło!

– Musisz się dostać na Akademię Timiriaziewa i zdobyć wyższe wykształcenie.

Na mamę też naciskał i za każdym razem robił jej te same wyrzuty.

– To twoja wina, że nie zaszczepiłaś w nim pragnienia godnego życia. Oddałaś go do szkoły rok później, niż należało, i w efekcie chłopak nie ma czasu w zapasie. Jesienią dostanie kartę powołania. Jeżeli za pierwszym razem nie zda egzaminów na uczelnię, już w listopadzie trafi do wojska.

– Było mi go żal – tłumaczyła mama. – W dzieciństwie często chorował, musiał nabrać sił.

– Nauka i wiedza jeszcze nikomu nie zaszkodziły – zripostował tatuś. – Niszczysz syna swoją litością, marnujesz mu życie.

Ni cholery nie rozumiałem, czemu mam studiować na akademii i zdobywać wyższe wykształcenie. Ze znajomości kotów zdałem niejeden egzamin, niczego więcej nie potrzebowałem do szczęścia. W mniemaniu tatusia powinienem skończyć akademię, później pójść na studia doktoranckie, napisać jedną rozprawę, potem następną, opracować nową metodę krzyżowania kotów i hodowania nowych gatunków albo przynajmniej metodę leczenia jakiejś kociej choroby, wyrobić sobie nazwisko w świecie nauki i zostać najważniejszym znawcą kotów na ziemi. W najgorszym razie – w Europie. Dżizas, Najważniejszym Znawcą Kotów. Po jakie лихо mi to szczęście? Swoją drogę życiową widziałem jasno: pójdę do wojska, bo nie uda mi się od tego wykręcić, wrócę, zacznę pracować i oszczędzać pieniądze na schronisko dla kotów. A później przez resztę życia będę się zajmował moimi ukochanymi kotkami i kotami, moimi pupilami, puszystymi kiciusiami, niezależnymi, nieposłusznymi, surowymi, nieznoszącymi poufałości, niewrażliwymi, ale... Diabli wiedzą, co w nich właściwie było, nie ulegało jednak wątpliwości, że miały w sobie to coś. Mało, że je ubóstwiałem, byłem chory z miłości do nich.

Wprawdzie nie rozumiałem, po co tatuś ciągnie mnie do nauki, ale to nie ułatwiało sprawy. Uparłem się przy swoim; on najpierw przekonywał, tłumaczył, później zaczął żądać, grozić, a wreszcie krzyczeć. Mamusia patrzyła na te straszne sceny smutnymi psimi oczami i cicho wzdychała, ale otwarcie nie opowiadała się po mojej stronie. Dopiero gdy tatuś się ulatniał, głaskała mnie po głowie i mówiła, że muszę się kierować swoim rozumem i żyć własnym życiem, a nie cudzym, zaplanowanym i narzuconym przez kogoś innego. W szczytowym momencie owych okołouczielnianych batalii odbyliśmy wreszcie z mamusią rozmowę, która otworzyła mi oczy. Mogliśmy, oczywiście, porozmawiać o tym wcześniej, ja jednak nie zadawałem pytań, a mamusia jest osobą taktowną

– pierwsza nie zaczynała. Gdy tatuś zawitał w nasze skromne progi, pochłaniały mnie wyłącznie koty, dlatego nie zapytałem, dlaczego nie pokazywał się przez tyle lat, a później ni z tego, ni z owego się zjawił i w rezultacie nie da się go już wymazać z życiorysu. W dzieciństwie nie oceniałem postępowania dorosłych i nie próbowałem go racjonalnie wytłumaczyć; wychowanie mamusi uczyniło ze mnie posłuszne, łagodne dziecko, które każde słowo dorosłych przyjmowało jak polecenie niepodlegające dyskusji. Ojca nie było i koniec. Zjawił się, a więc tak musi być.

I oto teraz, w przededniu powołania do wojska, dowiedziałem się o wszystkim. I o rodzinnych tradycjach i honorze rodu Danilewiczów-Lisowskich-Essenów, i o mezaliansie, który popełnił genialny tatuś Landau, żeniąc się z mamusią, która w szkole jechała na trójkach, i o tym, jak wyciskał z niej ostatnie soki, zmuszał do nauki, a później najzwyczajniej w świecie zostawił, żeby nie robiła mu wstydu przed naukowcami i różnymi laureatami. Dowiedziałem się też o drugiej żonie tatusia. To dopiero historia, powiem wam... Tak mi było żal tej nieszczęsnej kobiety, że aż łzy mi stanęły w oczach. Ależ ona się starała, wychodziła ze skóry, a jemu, draniowi, wciąż było mało!

W wieku osiemnastu lat wypowiedziałem posłuszeństwo dorosłym, nauczyłem się spierać, kłócić i nie widziałem w tym nic zdrożnego. Gdy mamusia mi wytłumaczyła, czego chce ode mnie tatuś, stanąłem okoniem. Wygląda na to, że on się troszczy nie o mnie, nie o swojego jedynaka, ale wyłącznie o siebie i honor swojej przeklętej rodziny. Najpierw zadręczył mamusię, później uznał, że nie spełnia jego oczekiwań, więc ją przepędził, a razem z nią – mnie, i zaczął szukać kolejnej żony, która urodzi mu nowe dziecko. O mnie w ogóle zapomniał. A później, gdy mu nie wyszło z drugą żoną, przypomniał sobie, że ma gdzieś syna, którego może spróbować ukształtować na swoją modłę i uczynić godnym następcą rodu. Czyli że tak

naprawdę nie obchodzi go, czego ja chcę, ważne jest tylko to, czego on sam chce? Ze mną ten numer nie przejdzie. Zmarnował mamusi życie, drugą żonę doprowadził do śmierci; i wszystko po to, żeby dogodzić jakimś tam Danilewiczom i Essenom, o których nic a nic nie wiem. I szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Nie będę tańczył, jak on mi zagra, o nie!

Względy finansowe powstrzymywały, co prawda, moje buntownicze porywy. Tatusz był facetem majątnym, szczerze nas obdarowywał, więc w głębi ducha miałem nadzieję, że zapali się do mojego pomysłu budowy kociego schroniska i pomoże finansowo. Musiałem wyteńczyć swój niezbyt lotny umysł, zważyć wszystkie argumenty i postanowić, na czym mi zależy bardziej: na pomocy czy na samodzielności. Wszystko wskazywało na to, że bez pieniędzy tatusia nie będzie lekko, ale z jego pieniędzmi i z życiem, które próbował mi narzucić, będzie chyba jeszcze gorzej. Po rozmowie z mamusią zacząłem zupełnie inaczej postrzegać jej życie. Szczerze mi wyznała, że chciała wyjść za mąż za swojego uwielbianego Landaua nie tyle z miłości, ile z chęci zapewnienia sobie wygodnego życia w zamożnej rodzinie. To dopiero ironia losu! Mieliśmy książkę na temat Landaua, ale tego prawdziwego, napisaną przez jego żonę Maję Bessarab, i wyczytałem tam, że prawdziwy Landau lubił mawiać: „Małżeństwo nie należy do przyjemności”. A moja biedna mamusia z niepokażnej komunałki tak go pragnęła. Zawsze mieliśmy dużo książek, nawet się nie zastanawiałem skąd. Z pensją mamusi i z jej horyzontami... Okazało się, że kiedyś mieszkał tutaj mój kochany tatuś ze swoimi rodzicami, później jego mama (czyli moja babcia) umarła i razem z ojcem (wygląda na to, że moim dziadkiem) przeprowadzili się do babci, a mojej prababci. Rzeczy zaś zostawili – i meble, i bibliotekę. Dzieci to jednak dziwne istoty, chodzą swoimi drogami, jak moje koty. Zawsze wiedziałem, że mam babcie – była to mama mamusi. Często nas odwiedzała, a my jeździliśmy do niej na wieś. Gdy jednak myślałem o ojcu,

nigdy mi nie przyszło do głowy, że tatuś, jeżeli w ogóle istnieje, też ma rodziców, więc gdzieś tam chodzą po ziemi również inni moi krewni. Okazało się, że babci ze strony tatusia nie było, umarła, gdy ten był jeszcze mały, ale ojca chyba miał? Miał. Więc gdzie on się podziewa? To głęboko filozoficzne pytanie zrodziło się w moim umyśle dopiero, gdy miałem osiemnaście lat, po rozmowie z mamusią i w przededniu powołania do wojska. Gdy się zrodziło, od razu je zadałem. Mamusia uniosła lekko brwi i machnęła ręką.

– Ojej, Sanioka, o co ty pytasz?! Twój dziadek to ważna figura, gdzie mu tam do nas, maluczkich. Zresztą prawie nie bywa w Moskwie, pracuje w swoich tajnych obiektach.

– A ma inne wnuki? – zainteresowałem się żywo.

– Nie, tylko ciebie.

– Coś takiego, jedyny wnuk i zero zainteresowania – prychnąłem. – Nie rozumiem.

W tym momencie mamusia się zawahała, przez chwilę coś rozważała, a potem wyznała, że dziadek, to znaczy ojciec tatusia, zawsze się mną bardzo interesował, ale zawarli z mamusią umowę, że skoro ja nie wypytuję o ojca, to lepiej nie stresować mnie dziadkiem. Bo jeżeli dziadek będzie się ciągle pojawiał, to zacznę pytać, dlaczego on do nas przychodzi, a rodzony tatuś nie. To pytanie mogłoby pociągnąć za sobą wyjaśnienia zrodzone w bujnej dziecięcej wyobraźni, które jednak nie miałyby nic wspólnego z rzeczywistością. Dziecko mogło albo okropnie się przejąć, że rodzony tatuś, w odróżnieniu od dziadka, go nie kocha i nie chce znać, albo wymyślić inną historyjkę i święcie w nią uwierzyć, co też jest niewskazane, ponieważ prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw i historyjka upadnie, wywołując niewysłowione cierpienia młodej, niedojrzałej psychiki.

– Twój dziadek naprawdę rzadko bywa w Moskwie, wpada tutaj na krótko, ale zawsze do mnie dzwoni i pyta o ciebie.

A gdy byłeś mały, chodził do szkoły, żeby na ciebie popatrzeć – powiedziała mamusia.

– A czy dziadek jest równie pokręcony jak tatuś? Też walczy o czystość rodowodu?

Mamusia kiwnęła głową z westchnieniem.

– Owszem. Nie jest, co prawda, tak uparty, pochodzi z klasy robotniczej, ale rodzinka go popsowała. Gdybyś widział jego minę, gdy Landau przyprowadził mnie do domu! – Parsknęła dźwięcznym śmiechem, odsłaniając białe zęby. – Oboje z babką tak się mnie przestraszyli, jakby zobaczyli żabę. Wiesz, jak to bywa: niby nie ma się czego bać, żaba cię nie zje, jest mała, ale brzydzisz się jej dotknąć i na nią nadepnąć. Właśnie tak mnie potraktowali.

W tej samej chwili nagle zrozumiałem, że nie potrzebuję pieniędzy tatusia. Skoro rodzina brzydziła się mojej mamusi, niech idzie w diabły.

[23] W Polsce pod tytułem *Próba wierności*.

Rozdział 13

KAMIENSKA

Prawie nigdy nie rozglądała się na boki, gdy szła ulicą; nie miała takiego zwyczaju, więc tym bardziej nie patrzyła na okna. Dlatego zbliżając się do swojego domu, nie zauważyła, że w żadnym oknie nie pali się światło. Ciemność na klatce schodowej złożyła na karb rozbijanych bez przerwy żarówek, a niedziałającą windę – na karb zwyczajnego pecha. Dopiero gdy weszła do mieszkania i dotknęła wyłącznika w przedpokoju, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. W całym domu nie było prądu.

Klnąc pod nosem, zdjęła buty, odszukała kapcie, po omacku dotarła do kuchenki i ją włączyła. Dobrze, że jest gazowa, pomyślała. Gdyby była elektryczna, miałabym się z pyszna. Nawet wody bym nie zagotowała. Płomienie palników rozjaśniły wnętrze, więc mogła w miarę swobodnie się poruszać, nie potykając się o sprzęty. Wstawiła wodę i zajęła się obmyśleniem sensownego planu na wieczór, uwzględniając w nim brak prądu. Na komputerze nie popracuje, telewizji nie obejrzy, książki nie poczyta, to oczywiste. Może się położyć, już jedenasta, Loszka nocuje dzisiaj u rodziców i nie przyjedzie do Moskwy. Warto by zadzwonić w parę miejsc, ale już chyba za późno. Najbardziej przykre jest jednak to, że nie da się wziąć prysznic – w łazience panują egipskie ciemności, a w domu nie ma ani jednej świecy. Dlaczego ona nigdy nie kupuje świec? Przecież są sprzedawane na każdym rogu...

Woda w czajniku się zagotowała. Nastia zrobiła sobie kawę i kanapkę z serem i ulokowała się przy stole. Co ciekawego powiedziała *madame* Kazarian-Ostrowierchowa? Właściwie nic. Żaden wspólny znajomy nie szukał Walentina ani w przededniu zabójstwa, ani tydzień czy miesiąc przedtem.

W ciągu ostatniego roku nikt go nie szukał, a nawet gdyby szukał, ekszona nie potrafiłaby powiedzieć niczego konkretnego, bo sama nie wiedziała, gdzie on się podziewa. I szczerze mówiąc, niezbyt ją to obchodziło. Nastia odniosła wrażenie, że Ostrowierchowa ma poczucie winy wobec męża za to, że zostawiła go w kłopotach, i dlatego intuicyjnie usiłuje trzymać się wersji, że żaden Kazarian właściwie nie istniał w jej życiu. Nie chce o nim pamiętać i nie jest ciekawa jego obecnego losu.

– Dlaczego on się tak szybko poddał? – zapytał ją Zarubin. – Biznes upadł, zgoda, ale to się dzieje na okrągło. W takich sytuacjach ludzie zwracają się do przyjaciół, krewnych, dawnych kolegów i proszą o pomoc w znalezieniu innej pracy albo w rozkręceniu nowego interesu. A pani mąż, jeśli wierzyć pani słowom, niczego nie zrobił. Czyżby nie miał przyjaciół?

– Przyjaciół? – Ostrowierchowa lekko uniosła ładnie zarysowane brwi. – Miał ich do licha i trochę. Ale duma mu nie pozwalała. Ormiańska krew, co pan poradzi? Nie chciał zostać uznany za nieudacznika i tłumaczyć wszystkim, że na progu nowego życia wpakował się w prawdziwe szambo. Jak to się mówi, duma nie znosi upokorzenia. A ja mam syna na utrzymaniu, on zaś ma w nosie dumę tatusia, musi coś jeść, rozumie pan?

– Czy Walentin łatwo nawiązywał znajomości?

– Bez trudu. – Ostrowierchowa słabo się uśmiechnęła. – Lubił sobie uciąć pogawędkę przy byle okazji. Kontaktowy, dusza towarzystwa. – Umilkła na chwilę, a potem nagle zapytała: – Nie wie pan, kto się zajmie jego pogrzebem?

Nastia zdziwiła się i odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– A pani nie zamierza?

– Ależ skąd – obruszyła się. – Nie mam na to środków. Mąż daje mi trochę pieniędzy na drobne wydatki i na jedzenie, resztą dysponuje sam.

– Niech więc go pani poprosi. Przecież nie umarł ktoś obcy, ale pani były mąż, ojciec pani syna – powiedziała Nastia z wyrzutem.

– On mi nic nie da. Chyba pani żartuje? Do tej pory jest zazdrosny o Walentina, wciąż mu się wydaje, że wyszłam za niego tylko dla pieniędzy, ze względu na syna, ale nadal kocham Walę. Nie, nie da ani kopiejki na jego pogrzeb. Kim on dla niego jest? Nawet się nie znali.

– To niesłuszne podejście. – Nastia nie ustępowała. – Ma pani przecież syna, który powinien mieć sposobność, by się pożegnać z ojcem. A jak to będzie możliwe, skoro nie podejmie się pani organizacji pogrzebu? Jeżeli pani tego nie zrobi, ciałem zajmie się państwo i nawet się pani nie dowie, gdzie i kiedy Walentin zostanie pochowany, i czy w ogóle do tego dojdzie.

– Mój syn ma ojca – powiedziała Ostrowierchowa wyniośle. – Chłopiec nosi jego nazwisko. Proszę się nie wtrącać do naszego życia, to nie pani sprawa. Niech pani zajmie się swoim zadaniem, to znaczy szukaniem sprawcy zabójstwa. Nie pozwolę stresować mojego dziecka.

Spotkanie pozostawiło po sobie nieprzyjemny osad. Zarówno Siergiej, jak i Nastia mieli chyba podobne odczucia.

– Nie do wiary. Wygląda na to, że zabójca musiał znać charakter żony Kazariana – powiedział Zarubin w drodze do metra. – Zostawił pieniądze na pogrzeb.

– Widocznie Kazarian sam mu powiedział – zasugerowała Nastia. – Spotkali się przecież dwukrotnie, musieli więc rozmawiać na różne tematy. Między innymi o tym, że wszyscy bliscy krewni Walentina zginęli w Spitaku podczas trzęsienia ziemi. Mimo to nie rozumiem, dlaczego on to robi.

– Co robi? – Zarubin nie zrozumiał.

– Zostawia pieniądze. Ma ich za dużo?

– Może to filantrop, zajmuje się dobroczywnością.

– No pewnie, taki filantrop, że gotów jest zabijać ludzi, byle tylko zostawić im pieniądze. Nie, Sierioża, jemu chodzi o coś innego. Gdybyśmy poznali tok jego rozumowania, byłoby nam łatwiej.

Tok rozumowania... Tak naprawdę są tylko dwie możliwości. Albo zostawia pieniądze, bo to dla niego ważne i coś symbolizuje, albo nic nie symbolizuje, a on chce jedynie utrudnić dochodzenie i zamieszać wszystkim w głowach. Podobnie jest z rybkami. Po co je zostawia? Żeby zmanifestować to, o czym mówiła Irocza, czy żeby zagmatwać układankę? Trzeba koniecznie odgadnąć, co łączy ceramiczną rybkę i plastikowego ludzika z pieniędzmi na pogrzeb!

Rybki są jednakowe, a ludziki się różnią. O czym to świadczy? Jeżeli Żartowniś zaplanował zbrodnię i kupił od razu parę rybek, kupiłby też ludziki, które, podobnie jak rybki, byłyby identyczne. Tak jednak nie jest. Wszystko wskazuje na to, że rybki już miał, a ludziki kupował w różnych miejscach. Dlaczego nie wszystkie naraz? Widocznie się obawiał, że osoba kupująca dziesięć jednakowych ludzików wzbudzi podejrzenia sprzedawcy albo zwróci po prostu na siebie uwagę. A Żartowniś boi się sprzedawców, to nie ulega wątpliwości, sprawa ze Starostienko doskonale to pokazała. Eksperci twierdzą, że rybki zrobiono w Meksyku, ale nie da się ustalić, czy trafiły na rosyjski rynek. Złożono zapytania do organizacji zawiadujących importem; kłopot polega jednak na tym, że odpowiedzi nadejdą nie wiadomo kiedy; w dodatku nie ma żadnej pewności, że okażą się wyczerpujące. W deklaracjach celnych wpisuje się „pamiątki”, ale jakie konkretnie? Nawet jeżeli pojawi się gdzieś określenie „pamiątka – ceramiczna rybka”, nie będzie pewności, że chodzi akurat o tę, a nie inną rybkę. Nie mówiąc już o tym, że ktoś mógł zwyczajnie przywieźć całe opakowanie rybek w walizce i go nie zgłosić, bo przywiózł nie

na sprzedaż, ale na prezenty. Równie dobrze mógł to być sam Żartowniś.

To jest myśl! Żartowniś bywał w Meksyku, a to już pewien trop. Wprawdzie niewyraźny, ale i on się liczy.

W pokoju rozległo się brzęczenie telefonu. Nastia zerwała się, zapominając o ciemnościach, i od razu w drzwiach do pokoju natknęła się na remontowo-budowlany Everest. Ze zdenerwowania nie mogła sobie przypomnieć, co gdzie leży; telefon dzwonił, a ona bała się, że to coś pilnego i że nie zdąży odebrać. Zrobiła dwa ostrożne kroki, przecisnęła się między rolnkami tapet i puszkami farby i w chwili, gdy sądziła, że najtrudniejsze ma za sobą, potknęła się o ułożone na podłodze listwy i runęła jak długa. Z góry posypały się na nią tapety i jakiś miął – chyba pękł worek z cementem. Tymczasem telefon nie milknął. Nastia z trudem wstała, czując ostry ból w lewym kolanie i prawym nadgarstku. Boże, gdzie ten cholerny telefon? Dzwoni niedaleko, ale przecież niczego nie widać! Przykucnęła i zaczęła obmacywać rękami podłogę, próbując znaleźć długi sznur. O, chyba jest. Pociągnęła go ku sobie, przysuwając bliżej aparat.

– Halo – prawie wyjęczała, bo przez roztargnienie chwyciła słuchawkę prawą ręką i omal nie krzyknęła z bólu.

– Asia? – Usłyszała zaniepokojony głos męża. – Co się stało?

– Upadłam – wybąkała smętnie.

– Jak to upadłaś? Dlaczego?

– W ciemnościach. W całym domu nie ma prądu, przybiegłam z kuchni do telefonu i nadzieiałam się na naszą remontową stertę. Au, Losza, ale mnie boli...

– A zatem wszystko jasne. – Czistiakow westchnął. – Mam przyjechać?

– No coś ty, słoneczko, nie trzeba. Już późno. Zdaje się, że mieliśmy gdzieś latarkę. Zabrałeś ją do garażu. Nie przyniosłeś jej czasem z powrotem?

– Nie, jest w garażu, widziałem ją dzisiaj. Ale na pewno poradzisz sobie beze mnie? Bo wiesz, że mogę przyjechać.

– Nie groź mi. – Uśmiechnęła się blado. – W ogóle się ciebie nie boję.

– Nie grożę, tylko proponuję pomoc. A ty, głuptasie, odmawiasz.

– To dlatego, że duma mi nie pozwala. Ty zaś próbujesz mnie poniżyć swoją pomocą, jakbym była całkiem nieudolna i głupia – zażartowała Nastia.

– To się nazywa pycha, a nie duma, wariatko. – Aleksiej się roześmiał. – A pycha, jak wiadomo, to wielki grzech. Nawiasem mówiąc, śmiertelny. Skąd ci te głupstwa przychodzą do głowy?

– Dzisiaj przesłuchiwałam kobietę, która jest świadkiem w sprawie. Oskarżała męża o to, że nikogo nie prosił o pomoc, bo duma mu na to nie pozwalała.

– No, no. Pytam po raz ostatni: mam przyjechać?

– Naprawdę nie trzeba, Loszyk. Idę już spać. A rano będzie jasno.

– Dobrze, zostawiam to twojemu sumieniu. A czemu nie ma prądu?

– Nie wiem, pewnie awaria.

– Co to znaczy „pewnie”? – obruszył się mąż. – Nie zainteresowałaś się?

– Nie-e. A po co?

– Jak to „po co”? Żeby wiedzieć, co się stało i kiedy będzie światło.

– Co za różnica? To, że się dowiem, niczego nie zmieni. Nie włączą wcześniej prądu, prawda?

– Owszem, ale przynajmniej coś ustalisz. Może awaria jest na tyle poważna, że prądu nie będzie i jutro, i pojutrze. Wtedy trzeba podjąć środki zaradcze, poprosić kogoś o nocleg i tak dalej. A przynajmniej się dowiesz, jak długo nie będziesz mogła korzystać z komputera. Asiu, tak przecież nie można! Zachowujesz się jak małe dziecko!

Nastia westchnęła z rezygnacją. Losza jak zwykle ma rację. Zawsze ją ma. Jest mądry, rozsądny, spokojny i przewidujący. Powinna go naśladować.

– Masz rację – przyznała ze smutkiem. – Jestem głupia i beznadziejna. Ale inna już nie będę, dlatego nie pójde wypytywać o przyczyny awarii. Kładę się spać.

Czistiakow znowu się roześmiał; jego śmiech sprawił, że Nastia poczuła ulgę, nawet ból w ręce przycichł.

– Dobranoc, beznadziejna żono. Zadzwoń rano, dowiem się, co z prądem.

– I jeżeli go nie będzie, to nie wrócisz do domu?

– A co mam robić w domu bez prądu? Przecież komputer nie działa.

– To znaczy, że przyjeżdżasz tutaj tylko z powodu komputera? – zapytała Nastia z kpiną.

– Oczywiście, chyba nie sądzisz, że z twojego. Nie jesteś mi do niczego potrzebna. Nawiasem mówiąc, jeżeli rano nie będzie prądu, przejrzyj zawartość lodówki i wyjmij to, co może się zepsuć.

– Gdzie wyjąć?

– Gdziekolwiek. Wynieś, na przykład, na balkon, na dworze jest wystarczająco zimno. Kielbasę weź do pracy, zjesz na obiad.

– To już wszystkie zalecenia czy masz jeszcze jakieś w zanadrzu? – zadrwiła Nastia.

– Na razie wszystkie. Kładź się. Całuję.

Nastia odłożyła słuchawkę i ulokowała się wygodniej na podłodze, opierając się plecami o kanapę. Kolano mocno jej dokuczało, więc bała się wstać. Ale nie będzie tak siedziała do rana, musi się przemóc, wstać, rozłożyć kanapę i się położyć. Rano się okaże, że kolano spuchło i nie może ruszać nadgarstkiem. A cały pokój jest przysypany cementem. Niezła perspektywa.

A może wszystko ujdzie jej płazem? Kolano nie spuchnie, ból w ręce ustąpi. A z cementem tylko się jej wydawało. Może tak być? Owszem. Dlaczego nie?

A może rano się okaże, że nie ma żadnego Żartownisia i nikt już nie będzie zabijał bezdomnych i groził Tatianie? Nie, to niemożliwe. Szkoda.

SIEŁUJANOW

Zbliżał się Dzień Milicjanta. Nie wiedzieć czemu, Kola lubił to święto bardziej niż inne. W wydziale trwała nieustająca narada na temat: jak dziesiątego listopada złożyć życzenia Pączkowi, żeby mu było miło, żeby do szpitala mogło pojechać jak najwięcej jego podwładnych i żeby nie udzielił im przy tej okazji reprymendy za to, że cały wydział urządził sobie wolne i ma w nosie robotę. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Gordiejew nie dzieli dni na świąteczne i powszednie i że bez względu na sytuację z jednakową dociekliwością wypytuje o bieżące sprawy. Tak więc podczas ustalania składu osobowego delegacji udającej się z życzeniami należało przemyśleć ów ważny taktycznie moment. Do szpitala pojedą tylko ci, którzy mają się czym pochwalić. Ich liczba nie może być zbyt mała, bo Pączka niełatwo oszukać, od razu się domyśli, że zjawili się jedynie „prymusi”.

– Kola, będziesz przewodniczył ceremonii – polecił Korotkow.
– Jesteś obecnie bohaterem, znalazłeś sprawcę zabójstw dziewięciu narkomanów.

– Ale to przecież nie moja zasługa. – Siełujanow zamachał rękami. – Aśka go znalazła. Mam okłamywać Pączka? Przecież mnie zapyta, jak przebiegało dochodzenie.

– Ściemnisz coś, nie jesteś dzieckiem – odparował Jurij. – Aśki do niego nie puścimy, bo w sprawie Żartownisia poniosła sromotną porażkę. Poprzednim razem nasza pani

podpułkownik omal nie wyszła ze łzami od szefa, dopiekl jej do żywego.

Te i podobne rozmowy prowadzono już trzeci dzień. Wszyscy funkcjonariusze lubili Pączka i chcieli mu złożyć życzenia, ale każdy bał się „analizy wyników”. Zresztą „bał się” to niewłaściwe słowo. „Analiza wyników” odbywała się każdego ranka na odprawach operacyjnych, wszyscy się do tego przyzwyczaili i uważali za rzecz oczywistą, tak działała każda służba w wydziale kryminalnym. Ale reprimenda otrzymana w gabinecie przełożonego w zwykły dzień to nie to samo co w szpitalu, do którego się przyjeżdża z kwiatami, prezentami, serdecznymi życzeniami i w świątecznym nastroju. Można to porównać do sytuacji, kiedy ktoś codziennie zażywa gorzkie lekarstwo, krzywiąc się i kaszląc przy tym, ale rozumiejąc, że to konieczne i nieuniknione; gdy jednak dostanie ciastko, po czym stwierdzi, że tam też jest owo gorzkie lekarstwo, poczuje się skrzywdzony i oszukany. Nikt nie chciał się tak poczuć w dniu świątecznym. Trudno bowiem wyobrazić sobie wywiadowcę, który ma idealny porządek we wszystkich prowadzonych aktualnie sprawach. Nie ma takiego i nigdy nie będzie. Z założenia.

Siełujanow doznawał nieprzyjemnego uczucia winy wobec Nastii. Kamieńska szukała swojego przestępcy, a znalazła zupełnie innego, ale sprawozdanie z jego poszukiwań będzie składał on, Siełujanow. On je złoży, a Nastia wciąż będzie się mordować ze swoim entuzjastą wykolejeńców. Szczerze pragnął jej pomóc, ale nie wiedział jak. Jedyne, jaką mógł zrobić, to dokładnie prześwietlić Szuwałowa. A nuż się okaże, że zabijał nie tylko narkomanów. Ma przecież motyw, nie zapomniał milicjantów, którzy przyczynili się do śmierci jego syna, nie zapomniał śledczej Obrazcowej. A może zapomniał? Nie, nie zapomniał, Kostia Olszański przesłuchiwał go na tę okoliczność cały wieczór po zatrzymaniu.

Nagle Nikołaja tknęła pewna myśl. Owszem, Olszański przesłuchiwał Szuwałowa, ale przecież ten się do niczego nie przyznał. Potwierdził tylko to, co dotyczyło przechowywania broni, nie powiedział nic więcej. Olszański pytał go, rzecz jasna, o śledczą Obrazcową i o szczegóły śmierci syna, ale Szuwałow odpowiadał spokojnie i rzeczowo, ani razu nie pokazał po sobie, że żywi do Tatiany jakieś szczególne uczucia. Powiedział dokładnie tyle, ile na jego miejscu powiedziała by każdy ojciec, który stracił syna.

To zupełnie oczywiste, że Wiktor Pietrowicz Szuwałow jest wyrachowanym, niebezpiecznym przestępcą, działającym ostrożnie i z zimną krwią. Olszański zatrzymał go na siedemdziesiąt dwie godziny w związku z podejrzeniem zamordowania bezdomnych i wysłał broń do ekspertyzy. Ona zaś wykazała, że bezdomnych zabito z innego pistoletu, więc Szuwałow zostanie wkrótce zwolniony, bo za samo nielegalne przechowywanie broni prawo nie przewiduje pozbawienia wolności, a zatem aresztowanie też nie wchodzi w grę. Jednocześnie wypłynęła informacja Aśki dotycząca pistoletu, który nabył i nie wiadomo gdzie schował pierwszy z zabitych narkomanów. W tym samym czasie nadeszła też ekspertyza z kartoteki łusek i pocisków: ślady na łuskach od naboju, użytych podczas strzałów kontrolnych z zabezpieczonego pistoletu „česká zbrojovka”, są identyczne ze śladami na łuskach znalezionych przy zwłokach narkomanów. Sprawę ich zabójstw prowadził inny śledczy i to on wydał nowe postanowienie o zatrzymaniu Szuwałowa. Na kolejne trzy doby. A później się zobaczy.

Teraz Wiktorem Pietrowiczem zajmował się śledczy Paszutin, zrędlivy i humorzasty starzec, który zaczynał pracę chyba jeszcze w czasach Stalina, w każdym razie tak dawno, że mało kto dożywa takiego wieku. Paszutin głęboko nienawidził demokratycznych przemian oraz wszystkich adwokatów razem wziętych i dostawał białej gorączki, gdy słyszał o wyroku

uniewinniającym. Nie znał litości dla przestępców i chyba nie był nawet zdolny do zwykłego ludzkiego współczucia. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że cechowała go niesłychana dociekliwość. Nie warto było zawracać mu głowy wątpliwościami typu: „A może to nie on?”, bo nie przyjmował ich do wiadomości. Ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby zadzwonić do niego nawet w środku nocy z propozycją w rodzaju: „A może przypasujemy go do innych przestępstw?”. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego Paszutin nie odszedł jeszcze na emeryturę, ale wszyscy przyznawali, że w obecnej sytuacji przydadzą się dodatkowe ręce, zwłaszcza wykwalifikowane. Lepszy już stary śledczy, marudny i ze skłonnością do oskarżania podejrzanego, znający doskonale nie tylko oficjalne przepisy, ale i codzienną praktykę, niż młody, niedoświadczony absolwent instytutu, który nie potrafi jeszcze pracować i, co gorsza, nie chce się niczego uczyć. Albo dlatego, że uważa się za wystarczająco biegłego, albo dlatego, że nie zamierza długo siedzieć w tym gabinecie.

Tak, Paszutin na pewno podzielił opinię Siełujanowa. Kto powiedział, że jeżeli zabójca popełnia serię zbrodni, to nie może popełnić kolejnej? Dlaczego od początku założyli, że przestępca zabijający bezdomnych, którego nazwali Żartownisiem, i przestępca likwidujący narkomanów to dwie różne osoby? Pomylili się co do broni? Facet mógł mieć dwa pistolety: z jednego zabijał narkomanów, z drugiego – bezdomnych. Jeden zdążył schować, a z drugim go zatrzymano. Dlaczego nie może tak być? Ależ może.

Motyw też wygląda logicznie, mimo że wydaje się skomplikowany. Trzeba jednak pamiętać, że Wiktor Pietrowicz Szuwałow jest postacią nietuzinkową. Zabija narkomanów, ponieważ przez narkotyki stracił całą rodzinę. Naukowiec z uniwersytetu nie ma dojścia do dilerów, nie wie, jak ich namierzyć i gdzie szukać, wie tylko, że przypominają ważnych biznesmenów, to znaczy zatrudniają cały sztab ochroniarzy,

więc nawet zawodowy zabójca ma problem, by ich zabić, no a cichy inteligent tym bardziej. O wiele łatwiej zabijać pojedynczych narkomanów, którzy stracili resztki rozumu. Dlatego Szuwałow poszedł tą drogą, dając upust swojej nienawiści do narkotyków i do tych, którzy mają z nimi do czynienia.

Bezdomnych zabija wyłącznie po to, żeby się zemścić na śledczej Obrazcowej, którą wini za śmierć swojego szesnastoletniego syna. Umyślnie ją straszy, zostawiając kartki i pokazując tym samym, że o niej pamięta i że każde nowe zabójstwo go do niej zbliża. Ostatnia kartka, zostawiona przy zwłokach Walentina Kazariana, była wielce wymowna. Bezdomni to wyrafinowana zemsta, przemyślana i okrutna, powolna i bolesna. Dlatego Wiktor Pietrowicz użył innej broni do tych zabójstw, zupełnie odmienny jest też *modus operandi*. Stąd inne odciski palców oraz inny charakter pisma. Szuwałow zdaje sobie sprawę, że o przestępstwa wymierzone w śledczą Obrazcową będzie podejrzany właśnie on, jeżeli nie w pierwszej, to na pewno w drugiej kolejności, toteż pamięta o środkach ostrożności. No i trzyma broń z dala od siebie. A o zabójstwa narkomanów nikt go nie będzie podejrzewał, więc tutaj może się nie przyjmować i przechowywać pistolet w domu. Nikt na pewno nie powiąże dwóch tak różnych i tak niepodobnych do siebie serii zabójstw. Nie da się zaprzeczyć, że wszystko zostało dobrze przemyślane.

Wnioski Siełujanowa spodobały się Paszutinowi. Z satysfakcją zacierał suche dłonie i kiwał głową z aprobatą.

– Umowa stoi – podsumował. – Ja się zabiorę do otoczenia Szuwałowa, zwłaszcza do jego baby, która musi być jego współniczką, a w najgorszym razie wie o wszystkim. Ty zaś działaj swoimi kanałami. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Pół godziny później Nikołaj już wybierał potrzebne numery telefonów, szukał właściwych ludzi i uzgadniał sposób

przeprowadzenia inwigilacji zatrzymanego Szuwałowa. Pierwszą osobą, do której zadzwonił, był Siergiej Zarubin.

– Sierioża, wiem, że jesteś najlepszym kumplem bezdomnych w Moskwie i w okolicy – zaczął rześko.

– I prostytutek – dodał Zarubin. – A czego potrzebujesz?

– Konfidenta w celi. Z wyglądu i zachowania przypominającego kloszarda.

– Da się zrobić. Bo gdybyś poprosił o burdelmameę, mogłyby się pojawić problemy. A czego chcesz od mojego człowieka?

– Chcę przeegzaminować pana Szuwałowa z jego stosunku do bezdomnych i do Tatiany Grigorjewny Obrazcowej.

– Jasne – wycedził Siergiej. – Męczy cię sumienie, co?

– Nie mędrkuj, gdy rozmawiasz ze starszym stopniem – odparował Siełujanow.

ZARUBIN

Mężczyzna, którego Siergiej Zarubin wysłał do celi aresztu śledczego z zadaniem szpiclowania, nosił dziwne przydomki. Nowomodne słówko przykleiło się do niego trzy lata temu. Jego autorem był młody elektronik, zatrzymany za gwałt. Przydomki wzięło się stąd, że Printer, wtedy jeszcze Mitka Sycziew, na każdą skierowaną do niego prośbę czy zapytanie odpowiadał, używając tej samej metafory.

– Daj tysiąka na papierosy.

– Nie mam drukarki do pieniędzy.

– Daj papierosa.

– Nie drukuję ich, sam mam mało.

– Co dzisiaj w telewizji?

– Nie drukuję gazet.

I tak dalej. Obląkany na punkcie seksu elektronik, siedzący z Mitką w jednej celi, zareagował szybko.

– Słuchaj, praso drukarska, a może ty jesteś taki Printer, co?

Przez wisko natychmiast do niego przyłgnęło i pozostało na zawsze. Printer był facetem do rzeczy i mimo że nie wylewał za kołnierz, nie tracił przy tym jasności umysłu ani przytomności. Składając Zarubinowi sprawozdanie po wyjściu z celi, niemal dosłownie cytował dialogi z innymi zatrzymanymi, niczego nie pomijał i nie upiększał, co było szczególnie cenne. Bo przecież w tych okolicznościach agent w celi to jedyne źródło informacji; wywiadowcy zmarnują czas i siły na ich weryfikację, więc nie wolno pozwolić, żeby wszystko poszło na darmo tylko dlatego, że gość sobie coś wymyślił.

Minęły trzy dni od czasu, gdy Zarubin wysłał Printera do celi Wiktora Pietrowicza Szuwałowa. Printer wyszedł z niej akurat dziesiątego listopada, w Dniu Milicjanta, i szczegółowo zrelacjonował Siergiejowi historię swoich relacji z Szuwałowem. Obraz wyglądał, z jednej strony, niezrozumiale, a z drugiej – wielce podejrzanie.

Dobrze wiadomo, że ten, który po raz pierwszy znajdzie się w celi, stara się nawiązać kontakt ze współtowarzyszami niedoli. Najpotężniejszą siłą napędową ludzkich działań jest głód informacyjny. Człowieka dręczy uczucie niepokoju i niewiedzy, nie orientuje się w panujących zwyczajach, potrzebuje rad, jak powinien się zachowywać w rozmowach ze śledczym, jest ciekaw, czy może liczyć na spotkania i paczki. Kontakt z innymi wydaje się wręcz niezbędny, pomaga pozbyć się przytłaczającej niepewności. Jeżeli ktoś milczy i jest nietowarzystki, może być parę powodów tego stanu rzeczy. Niewykluczone, że to stały bywalec zakładu, więc nie brak mu doświadczenia i nie potrzebuje rad ani wyjaśnień. Może rzeczywiście jest pierwszakiem, ale napatrzył się filmów i naczytał książek, z których wyniósł nieodparte przekonanie, że wszyscy w celi są wtykami, toteż nie wolno z nimi rozmawiać i dzielić się informacjami. Może się też okazać, że jest niesłychanie silny psychicznie, na jednej szali kładzie

konsekwencje braku informacji, a na drugiej – nieprzepartą niechęć do kontaktu z byle kim, no i niechęć przeważa, bo z głodem informacji potrafi walczyć.

Szuwałow nie wyróżniał się w celi szczególną gadatliwością, ale nie był też milczkiem. Odpowiadał na pytania, sam również je zadawał. Gdy jednak pojawił się Printer, Wiktor Pietrowicz raptem się zmienił. Printer, ubrany w przybrudzone łachy, bez trudu odnalazł się w znanym mu środowisku i z dumą opowiadał o swoich ośmiu wyrokach za włóczęgostwo i drobne kradzieże („Jeszcze za władzy radzieckiej siedziałem sześć razy, miałem taki zwyczaj: rok siedzę, pół roku na wolności, rok siedzę, pół roku na wolności. Ale te sukinsyny skasowały artykuł za włóczęgostwo. No i co teraz uczciwy człowiek ma począć, gdzie się wykurować, gdzie zjeść trzy posiłki dziennie, przespać się w cieple pod kocykiem i na poduszeczce? Pozostaje mu tylko doliniarstwo, ale za to dużo nie dadzą – tyle, żeby odpocząć i podreperować siły. Sami, dranie, z uczciwych ludzi robią złodziei!”). Drugą bajeczką, którą Printer na polecenie Zarubina wcisnął kumplom z celi, była wzruszająca historia o śledczej Obrazcowej, „za której rządów” kibluje już trzeci raz, i to wyłącznie na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

– Ta baba rozumie, co się kryje w naszych duszach! Takich jak ona ze świecą szukać! Przedtem mieszkałem w Petersburgu. Dwa razy mnie tam oskarżała. Pierwszy raz nic nie powiedziała, przygotowała dokumenty i wysłała do sądu. A za drugim razem, jakieś trzy lata później, roześmiała się na mój widok. „Co, Mitia – mówi – zmęczyłeś się na wolności, zachciało ci się poleniuchować w celi?”. I w ogóle mnie nie pouczała, że muszę pracować i żyć jak wszyscy. Inni śledczy na okrągło prawili mi morały, a Tatiana Grigorjewna – ani słowa, w dwie minuty załatwiła moją sprawę. Wyroki losu są jednak niezbadane! Przeprowadziłem się do Moskwy, tutaj ludzie są bogatsi, częściej coś dają i w śmietnikach znajdzie

się więcej ciekawych rzeczy. No i masz, ona też tutaj zjechała! Zobaczyła mnie – i w śmiech. Możesz to sobie wyobrazić? Macha rękami i chichocze. „Oj, Mitia – mówi – nigdzie nie mogę się przed tobą ukryć, znajdziesz mnie chyba nawet na Biegunie Północnym. Świat jest mały, prawda?”. Powiem wam, że Obrazcowa to świetna baba. I pamięta mnie z imienia, co jest szczególnie miłe. „Ojej, Mitia...” – mówi.

Co na miejscu Szuwałowa zrobi ktoś, kto miał kiedyś do czynienia z Obrazcową? Włączy się, oczywiście, do rozmowy, sprawdziwszy najpierw, czy chodzi o tę samą Obrazcową, i jeżeli to ona, opowie o swoich wrażeniach ze spotkań, które z nią odbył, podyskutuje na temat jej zalet i wad, ucieszy się, że trafił na „kolegę z jednej paki”, tak jak by się ucieszył na widok krajana spotkanego z dala od domu. A co robi człowiek, który chce ukryć swoje prawdziwe uczucia, a przede wszystkim nienawiść do Obrazcovej i pragnienie odegrania się na niej? Będzie milczał, rzecz jasna, nie włączy się do rozmowy i uda, że nazwisko śledczej słyszy po raz pierwszy i że nic mu ono nie mówi. Tak właśnie postąpił Wiktor Pietrowicz, mimo że na przesłuchaniach u Olszańskiego spokojnie odpowiadał na pytania związane z Tatianą i wcale nie udawał, że jej nie pamięta.

A poza tym wyraźnie stronił od Printera. Nie zwracał się do niego w jakiegokolwiek sprawie, odwracał wzrok, żeby go nie widzieć, a na pytania odpowiadał albo bardzo krótko, albo je ignorował.

Jego zachowanie świadczyło o tym, że próbuje zamaskować swoje zainteresowanie zarówno bezdomnym, będącym przedstawicielem całej warstwy społecznej, jak i śledczą Obrazcową. Wyglądało na to, że Wiktor Pietrowicz mógł być autorem nie tylko jednej serii zabójstw, ale też drugiej.

Podeksycytowany zdobytymi informacjami i wyciągniętymi wnioskami, Zarubin rzucił się na poszukiwania Siełujanowa.

Nie było go na miejscu, więc Siergiej zadzwonił do Kamińskiej.

– Są nowości, Pała. Nigdzie nie wychodzisz?

– Nie, jestem u siebie.

Głos miała przytłumiony, a może tylko zmęczony, ale Siergiej nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Głosy funkcjonariuszy wydziału kryminalnego brzmią rozmaicie. Życie ich nie rozpieszcza, trzeba to zrozumieć.

Idąc długim korytarzem do pokoju Kamińskiej, Siergiej na wszelki wypadek pchnął drzwi, za którymi siedział Siełujanow; okazało się jednak, że są zamknięte. Korotkowa też nie było. Pewnie tankują, pomyślał Zarubin z zazdrością. W końcu mamy święto. Tylko ja uwijam się jak w ukropie.

Nastia była w swoim pokoju. Mimo zapadającego zmierzchu nie włączyła światła.

– Czemu siedzisz w ciemnościach, Pała? – zawołał Siergiej wesoło. – Wszystkiego najlepszego z okazji święta, pani podpułkownik. Samych jasnych dni.

– Dziękuję, Sieriożenka – odparła apatycznie. – Tobie również.

– A gdzie wszyscy? Pół dnia szukam Siełujanowa. Już świętują? Bez ciebie?

– Nie świętują. Korotkowowi umarła teściowa. Kola z nim pojechał, żeby pomóc, no i w ogóle... Reszta – ci, którzy nie mają służby – są w szpitalu u Gordiejewa, składają mu życzenia.

– A ty zostałeś? – zdziwił się Zarubin.

– Ktoś musi przecież pilnować interesu. Jakie masz nowości?

– Nastiu Pała, coraz bardziej podejrzewam, że znalazłaś zabójcę nie tylko w sprawie Siełujanowa, ale też w swojej. Ze słów agenta, którego umieściłem w celi Szuwałowa, wynika, że bezdomnych zabijał również on. Mój człowiek...

– Przestań, Sierioża – powiedziała Nastia cicho. – To nie on.

– Co? – zapytał z osłupieniem.

- Mówię, że to nie Szuwałow.
- Dlaczego? Tylko posłuchaj, co powiedział mój człowiek.
- Nie, to ty mnie posłuchaj.

Włączyła lampę na biurku i dopiero wtedy Siergiej zobaczył leżącą na biurku kartkę. Nastia mu ją podsunęła.

- Przeczytaj.

Nachylił się, żeby lepiej widzieć, ale i tak niczego nie zrozumiał. Litery były łacińskie, ale słowa na pewno nie angielskie, Zarubin zaś nie znał żadnego innego języka obcego.

„Com esta, cara signora?”

Podniósł głowę zdziwiony.

- Co to znaczy?

– „Co słyhać, moja droga?” Po włosku.

– Ożeż! Nie rozumiem, co ma do tego włoski? Co to za kartka?

– To, Sierioża, czwarte ciało. Znalezione godzinę temu. A to ksero kartki, która była dołączona do zwłok. Tak więc twój Szuwałow nie ma z tym nic wspólnego.

- Ale dlaczego po włosku? Co to za wygłupy?

– Dlatego, Sierioża, że dobrze znam włoski, nieopatrznie zdradziłam to podczas tamtego programu. Wszystko jest wymierzone we mnie, a nie w Tatianę.

– Niech to szlag! – gwizdnął Zarubin. – A co mu zrobiłaś? Czemu się do ciebie przyczepił? A w ogóle wiesz, kto to taki?

Nastia w milczeniu wzruszyła ramionami i nagle rozplakała się cicho.

SYN ZABÓJCY

No więc pojechałem odbywać prawdziwą służbę wojskową. Dopisało mi szczęście, w dodatku dwukrotnie. Po pierwsze, nie wysłano mnie na wojnę, chociaż było gdzie. I po drugie,

dowódca dywizji czołgów, do której mnie przydzielono, okazał się właścicielem wspaniałego, cholernie rasowego kota, ale nie miał zielonego pojęcia, jak go pielęgnować. Takie rzeczy często się zdarzają, widziałem na własne oczy: ktoś, kto nigdy nie miał żadnego zwierzaka, dostaje kotka albo przygarnia jakiegoś z ulicy – nieważne, jak zwierzę się pojawia, ważne jest to, że człowiek może się do niego przywiązać, i to całym sercem, ale nie wie, jak o nie dbać, więc każdy objaw choroby wywołuje atak paniki graniczącej z obłędem.

A zatem dowódca przyjeżdża do naszej jednostki i zaczyna musztrować wszystkich bez wyjątku. Oficerowie biegają bladzi ze strachu i syczą na nas, żebyśmy się niepotrzebnie nie wychylali. Byłem wtedy jeszcze nieoblatany, pierwszy raz widziałem coś takiego, więc wybałuszyłem oczy i pytam:

– A czemu dowódca się wścieka? Zawsze tak się zachowuje?

Tłumaczą mi, że nie zawsze, że tylko wtedy, gdy jego kot jest chory. I opowiadają wzruszającą historię o tym, jak syn naszego dowódcy, oficer floty podwodnej, pół roku temu przywiózł ojcu dwumiesięcznego kotka z długą smugą. To znaczy przywiózł w prezencie. Zabawił tydzień i wyjechał. A parę dni później zginął podczas wykonywania rozkazu. Dowódca jest rozwiedziony, bez rodziny, miał tylko syna, ale od dawna razem nie mieszkali, no i teraz został sam z kotem, który przypomina mu o nieżyjącym synu. Jasna sprawa, gdyby syn przywiózł mu książkę albo na przykład długopis, dowódca trząsnąłby się nad tą rzeczą, bo to przecież ostatni prezent, jednym słowem – pamiątka. A tutaj kot, żywa istota, cierpi, gdy niedomaga. No, myślę sobie, biedny facet wpadł w niezłą kabałę; rasowe koty są bardzo wrażliwe, wystarczy, że jakieś zarazki krążą koło nich w powietrzu, a już chorują. Poza tym są absolutnie zdrowe, mają dobre geny, ale odporności żadnej, bo przecież hodowane są w cieplarnianych warunkach, byle głupstwo – i od razu do weterynarza, a potem lekarstwa, toteż organizm nie nawykł do walki

z chorobami. Kot dowódcy z założenia powinien chorować co dwa, trzy tygodnie. Wiem, że te choroby nie są poważne i niebezpieczne, niektóre nie są żadnymi dolegliwościami, to normalny stan, ale jeżeli właściciel tego nie wie, jego życie zamienia się w pasmo udręki i lęku. Nie śmieję się z tego, przeciwnie, patrzę ze współczuciem, bo jeżeli właściciel cierpi razem z kotem, to znaczy, że go kocha, a dla mnie to ważniejsze niż jakikolwiek dyplom naukowy czy tytuł bohatera.

W tamtej chwili na nic nie liczyłem, po prostu poczułem litość dla dowódcy i zaniepokoiłem się losem kota; brak doświadczenia opiekuna może doprowadzić niewinne zwierzę do zguby. Powiedziałem, komu trzeba, że jeżeli towarzysz generał chce, to mogę udzielić mu instruktażu, jak pielęgnować ukochanego kota. Głuchy telefon, jak wiadomo, jest szybszy niż prawdziwy, zwłaszcza gdy ludzie mają dość ciągłego musztrowania, toteż już następnego dnia wezwano mnie, żebym zbadał kota.

Miesiąc później zostałem najlepszym przyjacielem dowódcy, nie w dosłownym znaczeniu, rzecz jasna, bo to generał, a ja jestem zwyczajnym rekrutem, ale w takim, że dowódca zobaczył we mnie osobę, której leży na sercu los jego kota, podobnie jak jemu. W ciągu miesiąca nauczyłem go, jak się opiekować Filą (w rodowodzie kot zwał się Felicija Taggerdaun Lex Bliou, ale tego się nie da wymówić), jak ją szczotkować, czyścić jej uszy i przemywać oczy, ułożyłem jadłospis na cały tydzień i zaplanowałem trzydniową dietę na wypadek choroby: jedna wersja – w razie wymiotów i biegunek, druga – jeżeli wystąpią tylko wymioty, a trzecia – jeżeli biegunka. Ale dwóch rzeczy generałowi nie udało się opanować: podawania tabletek i analizowania wymiocin w celu ustalenia przyczyn dolegliwości. Gdy Fila dostawała mdłości (a działo się to średnio dwa razy w tygodniu), ogarniało go takie przerażenie,

że nie potrafił logicznie myśleć, a co dopiero analizować wymiocin.

Jednym słowem, nie mógł się beze mnie obejść, więc dwa lata służby w wojsku minęły spokojnie i błogo. Przez cały ten czas uważnie obserwowałem Filę i badałem jej cechy gatunkowe. No i, ma się rozumieć, sprawowałem opiekę lekarską nad wszystkimi kotami, które przynosiły mi żony i dzieci oficerów z całej dywizji.

Po powrocie z wojska wytrzymałem kolejny trzymiesięczny najazd tatusia zatytułowany „musisz podjąć studia i zostać mistrzem w swoim zawodzie”. Pobyt w koszarach nauczył mnie opanowania i taktu wobec starszych stopniem, nawet jeżeli w ogóle nie mieli racji, toteż mojej wrodzonej uprzejmości wystarczyło nie na tydzień, jak przedtem, ale aż na trzy miesiące. Podzielałem pogląd tatusia, że trzeba być mistrzem w swoim zawodzie, ale pojmowałem to w ten sposób, że jeżeli ktoś się do czegoś bierze, powinien to robić rzetelnie, z pełnym oddaniem. Tak właśnie – rzetelnie i z pełnym oddaniem – przez całe życie opiekowałem się kotami i gotów byłem opiekować się nimi do śmierci. Tymczasem tatuś uważał, że powinienem zostać sławnym felinologiem, co jednak zupełnie nie wchodziło w zakres moich planów. Nie zamierzałem hodować nowych ras ani opracowywać nowych, arcyskutecznych leków. Chciałem pomagać i ulżyć w cierpieniach kotom, które nie są nikomu potrzebne i o które nikt nie dba. Przez trzy miesiące odpierałem ataki tatusia, starannie dobierając słowa i wymyślając kolejne argumenty. Wreszcie zrozumiałem, że mnie nie słyszy, że moje argumenty go nie interesują, chce tylko podtrzymać rodzinną tradycję i uczynić ze mnie kogoś godnego swoich przodków. Wtedy przestałem dobierać słowa i podniosłem głos.

Pozwoliłem sobie na to tylko raz, ale on wystarczył, żeby tatuś się odczepił. Widocznie byłem bardzo przekonujący.

KAMIENSKA

Wszystkiego najlepszego w Dniu Milicjanta, Anastazjo Pawłowna. Z okazji czwartego trupa. Trzeba przyznać, że święto się udało, i to znakomicie. A więc celem nie jest Tatiana...

Było jej wstyd, ale usiłowała przepędzić tę myśl i wpaść na inne rozwiązanie, które by wyjaśniło zachowanie przestępcy. Dlaczego tak autorytatywnie oświadczyła Zarubinowi, że poszukiwany Żartowniś to nie Szuwałow? Tylko dlatego, że do nowej zbrodni doszło, gdy Wiktor Pietrowicz znajdował się w celi? Banalna sytuacja, tysiące razy spotykana w życiu i opisana w wielu książkach. Ale jeżeli uznać, że Siergiej się nie myli i Szuwałow ma związek z zabójstwami bezdomnych...

Do diabła, dlaczego bezdomnych? Czy Nadieżda Starostienko była osobą bez stałego miejsca pobytu? Nie, miała własne mieszkanie. Owszem, nie pracowała, owszem, sporo piła i prowadziła wielce niefrasobliwy styl życia, ale miała miejsce stałego pobytu. Kazarian? Można przyjąć, że nie miał własnego lokum, podobnie jak meldunku. Mieszkał w obozie, którego pilnował, ale to praca sezonowa, w każdej chwili mógł dostać wypowiedzenie, co stanowiłoby wystarczającą podstawę, by go uznać za osobę bez stałego miejsca pobytu. Jedyнным prawdziwym bezdomnym był Giennadij Łukin, zwany Liszajem. Słuszniejsze byłoby stwierdzenie, że Żartowniś wybiera osoby z marginesu społecznego. Chociaż niewykluczone, że Sierioża Zarubin jest bliski prawdy: Kazarian został zabity tylko dlatego, że się przyjaźnił z włóczęgami i oferował im nocleg.

Jednakże czwarta ofiara Żartownisia nie pasowała do tej kategorii. Samotna staruszka, mieszkająca od wielu lat z czterema kotami, zgrzybiała i niedołączna. Sił wystarczało jej tylko na to, żeby raz na parę dni pokuśtykać do sklepu po

niewyszukane jedzenie dla siebie i dla kotów. Niczego więcej nie była w stanie zrobić, w tym posprzątać mieszkania. Panował tam taki fetor, że badający miejsce zdarzenia milicjanci ledwie powstrzymywali mdłości. Tym razem Żartowniś nie zostawił pieniędzy koło ciała, ograniczył się tylko do kartki i tradycyjnej rybki z ludzikiem. Pożałował dolarów? Czy mu się skończyły? Bo zaczął zmieniać zwyczaje...

Pogrążona w zadumie Nastia dotarła do domu, nie zauważając niczego po drodze. Humor miała tak dalece nieświęteczny, że nawet nie zwróciła uwagi na smakowite zapachy, roznoszące się po klatce schodowej przed mieszkaniem. Dopiero gdy otworzyła drzwi, domyśliła się, że przyjechał Czistiakow. W dodatku chyba nie sam.

– Nastieńka!

Z kuchni wypadła Dasza i zawisła jej na szyi.

– Wszystkiego najlepszego z okazji twojego święta! Przyjmij najserdeczniejsze życzenia! Rozbieraj się szybko, czekamy na ciebie z kolacją!

Nastia zmusiła się do pseudoradosnego uśmiechu i ucałowała bratową.

– Wbrew wszelkim prawom natury młodniejesz w oczach, Daszuniu – zażartowała. – W wieku pięćdziesięciu lat będziesz wyglądać jak pierwszoklasistka.

Zdjąwszy kurtkę i buty, przecisnęła się do pokoju. Na biurku obok komputera leżały nieziemsko piękny bukiet jakichś egzotycznych kwiatów i duża jaskrawa paczka. Brat Sasza majstrował przy magnetowidzie, siedząc w kucki. Nastia podeszła do niego i czułym gestem zwichrzyła mu czuprynę.

– Cześć, co robisz?

– Czyszczę głowicę. Coś jest nie tak z dźwiękiem. Nie zauważyłaś?

– Nie-e. A gdzie profesor?

– Pobiegł do całodobowego marketu, zabrakło mu jakichś ziół do sosu. – Sasza przykręcił coś śrubokrętem i włączył odtwarzanie. – Proszę, teraz w porządku. Widzisz różnicę?

Nastia jej nie zauważyła, bo nie pamiętała poprzedniej jakości dźwięku, ale skłamała, żeby nie urazić brata.

– No jasne! Sańka złota rączka, oto kim jesteś.

Sasza nieśpiesznie wstał, wyprostował się i objął siostrę.

– Póki nie ma twojego męża, zadam ci nieprzyzwoite pytanie.

Mogę?

– Wał – pozwoliła.

– Co to ma być?

Znaczącym gestem pokazał stertę materiałów budowlanych pod ścianą.

– To? Niedokończony remont, Saszeńka.

– Jak długo trwa?

– Od sierpnia. Chyba znasz powód.

– To znaczy, że od trzech miesięcy – uściślił Sasza. – I jak to, twoim zdaniem, się nazywa?

– No jak? – zdziwiła się Nastia. – Prawnicy nazywają to siłą wyższą. Nikt nie sądził, że banki padną z dnia na dzień. Nie rozumiem, co cię tak poruszyło?

Sasza ulokował się na kanapie, wyciągnął do Nastii rękę i przyciągnął do siebie.

– Powiedz, siostrzyczko, czy ty jesteś sierotą? Nie masz rodziny?

Nastia się zachmurzyła. Wiedziała, dlaczego brat poruszył ten temat podczas nieobecności Czistiakowa. Losza nie zaakceptuje takiego postawienia sprawy, to pewne, zresztą jej też nie w smak była ta dyskusja.

– Sasza, jaki to ma związek...

– Taki, że jestem twoim bratem, który jest ci dozgonnie wdzięczny, a ty jak ostatnia egoistka nie pozwalasz mu zrobić dla ciebie choćby jakiegoś głupstwa. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz problemy z pieniędzmi? Czy ja

wyglądam na Gobsecka? Myślisz, że po co zarabiam pieniądze?

Nastia wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie po to, żeby mieć poczucie dobrobytu i niezależności. Żeby utrzymać żonę i syna. Żeby płacić duże alimenty pierwszej żonie i córce. Żeby pomagać rodzicom. Czemu się do mnie przyczepiłeś? Nawiasem mówiąc, dzisiaj świętuję, a ty mi zawracasz głowę bzdurami.

Kamieński roześmiał się i objął siostrę ramieniem.

– To nie bzdury, siostrzyczko, ale normalne relacje między krewnymi. A pieniądze, jak chcesz wiedzieć, zarabiam po to, żeby mi przynosiły radość. Na przykład radość zrobienia czegoś miłego albo pożytecznego dla ciebie. Ile jeszcze trzeba dołożyć, żeby w rekordowym tempie skończyć ten remont? Przyjmij, że to mój prezent dla ciebie z okazji Dnia Milicjanta.

Nastia pokręciła głową i wstała z kanapy.

– Nie trzeba, Saszeńka, to dla nas upokarzające. Sami sobie jakoś poradzimy.

Kamieński wybałuszył oczy ze zdumienia.

– To upo... Jak? U-po-ka-rza-ją-ce? – wyskandował.

– Tak – powtórzyła Nastia stanowczo. – Upokarzające. W każdym razie dla mnie i dla Loszy.

– Ta-ak – wycedził, w ślad za Nastią wstając z kanapy. – A więc uważasz, że przyjmowanie pomocy jest upokarzające?

– Nie, wcale tak nie uważam. Pomoc to pomoc, ale oznacza, że ktoś znalazł się w sytuacji, która mu się wymknęła spod kontroli. Wtedy może przyjąć pomoc, to normalne. Jeżeli jednak sytuacja nie jest katastrofalna i po pewnym czasie może nad nią zapanować, to nie powinien obarczać swoimi problemami obcych ludzi, a nawet krewnych, i zmuszać ich, żeby udzielali mu pomocy, zaniedbując przy tym własne sprawy. Czy ja nie mam gdzie mieszkać? Czy przecieka mi dach, okna są wybite, a podłoga jest dziurawa? Nie ma wody? Nic podobnego. Owszem, mieszkanie jest w fatalnym stanie,

kafelki i tapety zerwane ze ścian i tak dalej, owszem, na środku pokoju piętrzy się sterta rupieci, o którą się niedawno potknęłam, ale na szczęście uderzyłam się w nogę, a nie w głowę, a to nie jest śmiertelne. Rozumiesz? Nie chcę niczyjej pomocy, mogę spokojnie poczekać, aż sytuacja finansowa naszej rodziny jako tako się ustabilizuje, i samodzielnie skończyć remont. Przyznaję, że stan mieszkania budzi niesmak, ale nie stanowi zagrożenia dla życia. Dosyć, Saszeńka, dyskusja skończona, Czistiakow chyba skrobie do drzwi.

Od strony drzwi wejściowych rzeczywiście dobiegał zgrzyt klucza.

– Dobrze. – Kamieński westchnął. – Rozmowa z tobą prowadzi donikąd. Pogadam z twoim mężem.

– Spróbuj. – Nastia się uśmiechnęła. – Usłyszysz to samo, tylko w mniej uprzejmej formie.

Nie pomyliła się. Mniej więcej czterdzieści minut po rozpoczęciu uroczystej kolacji Sasza Kamieński znowu poruszył temat pomocy materialnej dla rodziny siostry, tym razem adresując swoje argumenty bezpośrednio do Loszy. Ten jednak wykazał się większą dyplomacją, a zarazem nieustępliwością niż Nastia. Nawet nie usiłował tłumaczyć swojego stanowiska, jak to robiła jego żona, i nie próbował przekonywać szwagra. Zamiast tego oznajmił:

– Sasza, jestem ci wdzięczny za troskę. Wiem, że zależy ci na mnie i na Aśce, więc daj mi słowo, że jeżeli zwrócimy się do ciebie o pomoc, to nam nie odmówisz. Zgoda?

– Ma się rozumieć! – natychmiast odparł Kamieński.

– No to świetnie. Możesz być pewien, że się do ciebie zwrócimy w razie rzeczywistej potrzeby. A teraz, moi kochani, proponuję wznieść toast za naszą milicjantkę, która ma dzisiaj święto, o czym nie wolno nam zapominać!

Czistiakow wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza rozwijać tematu. Nastia była mu wdzięczna za to, że uciał

nieprzyjemną rozmowę, zanim ta na dobre się zaczęła. Musiałaby wziąć udział w dyskusji, inaczej nie wypadało, a nie miała na to ochoty. Prawdę powiedziawszy, na nic nie miała ochoty. Źle znosiła obecność bliskich i czuła się z tego powodu okropnie winna. Sasza i Daszunia gorąco pragnęli zrobić jej przyjemność, kupili kwiaty i prezent, przyjechali, żeby złożyć życzenia, a tymczasem ona tego nie potrzebuje... Naprawdę nie potrzebuje. Nie w ogóle, ale w tej chwili, tego dnia. Bo dzisiaj Żartowniś zrobił kolejny krok naprzód. W jej stronę.

„Zbliżam się do ciebie, moja droga”.

Uprzedził ją o tym tydzień temu. Ją, a nie Tatianę. A ona nie zrozumiała, odsunęła tę myśl, łatwiej było jej sądzić, że Żartowniś nie zwraca się do niej. A dzisiaj oznajmił o tym wprost i wyraził uprzejme zainteresowanie.

„Co słyhać, moja droga?”

Robi się coraz bezczelniejszy...

– Co słyhać, moja droga?

Nastia drgnęła i upuściła widelec, rozglądając się z przerażeniem. Ale nic strasznego się nie działo, obok niej siedziała Daszeńka i uśmiechała się swoim anielskim uśmiechem, rozświetlającym wszystko wokół.

– Zapytałam, co słyhać – powtórzyła szeptem. – Czego się tak przestraszyłaś?

– Ja... Niczego... – Nastia wzięła się w garść, usiłując mówić normalnym głosem. – Zamyśliłam się. Zwyczajnie się zamyśliłam. Wszystko w porządku, Daszuniu.

– Nie kłam – wyszeptała znowu Dasza. – Możesz oszukać brata, ale nie mnie. Wyczuwam twój nastrój na kilometr. Masz kłopoty?

– Uhm – mruknęła Nastia, udając, że wybiera kawałek keksu na dużym talerzu. – Takie tam służbowe nieporozumienia. Nie zwracaj uwagi. Powiedz lepiej, co u mojego bratanka. Rośnie?

– Dzieci zawsze rosną – cicho i wolno odrzekła Dasza. – Nie zagaduj mnie. Niepotrzebnie dzisiaj przyszliśmy, prawda? Nie masz humoru ani głowy do nas, a tutaj jeszcze Sasza wyskoczył z rozmową o pieniądzach... Uprzedzałam go, że się obrazicie, ale mnie nie posłuchał.

– Ależ skąd, kochanie, bardzo się cieszę, że was widzę; jest mi bardzo miło, że pamiętaliście o moim święcie i przyszliście z życzeniami. Naprawdę, słowo daję!

Nastia usiłowała mówić szczerze, próbowała nawet uwierzyć w to, co mówi, ale jej słowa brzmiały sztucznie. I Dasza, rzecz jasna, nie uwierzyła.

– Nawet nie rozpakowałaś prezentu – powiedziała z wyrzutem. – A my się staraliśmy, kompletowaliśmy go przez cały miesiąc.

– Boże, a cóż to za prezent, który trzeba kompletować przez miesiąc? Może klocki? – Nastia się roześmiała, zdziwiona, że potrafiła to zrobić.

– Skoro jesteś ciekawa, to idź i zobacz – włączył się Aleksiej. – Ja, na przykład, już przestudiowałem ową intelektualną ucztę.

– Nie waż się drwić – odezwała się Dasza z przejęciem. – Co z tego, że tobie się nie podoba? Masz inny gust. Wiem, że Nastii się spodoba. To prezent dla niej, a nie dla ciebie.

– Daj spokój, Daszuniu, czy ja się śmieję? Raczej szlocham. I z rozpaczy rwę sobie włosy z głowy. Nie dość, że nasza pani detektyw całymi dniami zajmuje się zabójcami i zwłokami, nie dość, że przywleka z pracy do domu rozmaite akta kryminalne, nie dość, że razem z nimi przynosi też myśli, którymi się gryzie przez całą noc, to teraz będziemy mieć krew i śmierć nawet na ekranie. Moja wrażliwa dusza naukowca tego nie wytrzyma.

Nastia widziała, że mąż szydzi, ale oczy ma poważne. Czy naprawdę ma dosyć jej pracy wypełnionej nieustannymi tragediami, śmiercią i lękami? Ależ skąd, jakie lęki, zwyczajna

codzienna rutyna; obłąkańców rozczłonkowujących dziecięce zwłoki albo zabójców z zaburzeniami osobowości, kierujących się niezrozumiałymi, wydumanymi motywami, takich jak obecny Żartowniś, bywa niewielu. Przeważnie Nastia ma do czynienia z elementem przestępczym zabiegającym o władzę albo o pieniądze, co w sumie na jedno wychodzi.

Daszka ma jednak rację. Ona, Nastia, zachowuje się nieuprzejmie. Powinna się otrząsnąć, uśmiechnąć, włączyć do ogólnej rozmowy, obejrzeć prezent i wyrazić nim zachwyty.

Wyślizgnęła się zza stołu i przesuając ostrożnie nogi, dotarła do pokoju. W jaskrawej paczce leżącej koło bukietu były kasety. Równo dziesięć. Sądząc z naklejek, niektóre filmy przetłumaczono na rosyjski, inne zaś były w języku oryginalnym, angielskim albo francuskim. Nastia pobieżnie przeczytała opisy. Tak, Sasza i Daszeńka wiedzieli, co jej sprawi przyjemność! Były to kryminały, ale nie miały nic wspólnego z thrillerami opowiadającymi o biznesie narkotykowym czy terrorystach. Dotyczyły seryjnych zabójców.

Już dawno doszła do wniosku, że „wszystko kiedyś było”. Przejawy ludzkiego życia są bogate i różnorodne, ale liczba filarów, na których się wspierają, jest ograniczona. Spora, ale skończona. A ponieważ ludzkość istnieje od wielu tysięcy lat, wszystkie te filary pojawiały się wielokrotnie i zostały opisane zarówno w literaturze faktu, jak i w literaturze pięknej. Filarami są pragnienia, dążenia, pobudki i namiętności. A także motywy. Stara prawda głosi: znajdź motyw, a znajdziesz mordercę. Dlatego Nastia żywo interesowała się tym, co wyobraźnia twórców stworzyła na temat motywów zabójstwa, zwłaszcza patologicznych. Doskonale wiedziała, że każde przestępstwo, z jakim ma do czynienia, wspiera się na filarze, który ktoś już kiedyś opisał. I uważała, że im więcej będzie wiedzieć o tym, co wymyślono, tym łatwiej poradzi sobie z tym, co spotyka w rzeczywistości.

– Dziękuję wam, kochani – powiedziała wzruszona po powrocie do kuchni. – Zrobiliście mi znakomity prezent.

W dodatku na temat, dodała w myślach. Bo Żartowniś bardzo przypomina szalonego seryjnego mordercę.

Nie mogła jednak powiedzieć tego na głos; wrażliwa Daszka jak zwykle okropnie się przestraszy, a przedsiębiorczy Sasza od razu zacznie proponować pomoc w postaci ochrony, za którą, oczywiście, sam zapłaci. Bogaci biznesmeni to ciekawy gatunek! Niektórym z nich, na przykład Saszy, wciąż się wydaje, że pieniądze mogą rozwiązać każdy problem. Ich zdaniem w razie problemu należy od razu podjąć próby, by go rozwiązać za pomocą pieniędzy. Kupić, zapłacić, wykupić się i tak dalej. Może mają rację? Może pieniądze są rzeczywiście najlepszym wyjściem i potrafią uratować każdą sytuację? Nie, od śmierci człowiek przecież się nie wykupi.

Mimo szczerych chęci Nastia nie zdołała opanować przygnębienia, toteż świąteczny wieczór się nie udał. Czuła się niezręcznie wobec krewnych, było jej żal wysiłku Loszy, który przygotował kolację, ale nie mogła na to nic poradzić. W uszach wciąż brzmiał czyjś przytłumiony głos: „Zbliżam się do ciebie, moja droga”.

Rano wstała z ciężką głową, ale z jasnym umysłem, który podsunął ważną myśl: Wiktor Pietrowicz Szuwałow ma współnika. Szuwałow obmyślił zbrodnię, ale ktoś jeszcze wziął udział w realizacji planu. Właśnie dlatego czwarte zabójstwo Żartownisia zostało popełnione podczas pobytu Szuwałowa w areszcie. Ten fakt świadczy niby o tym, że Wiktor Pietrowicz nie ma nic wspólnego z zabójstwami, i jest obliczony na to, że milicjanci pójną tym tropem.

A kartka? – od razu zadała sobie pytanie Nastia. Kartka napisana po włosku niedwuznacznie wskazuje na to, że druga seria zabójstw nie łączy się z Tatianą. No cóż, to sprytna sztuczka, żeby odciągnąć milicjantów i zwrócić ich uwagę na Kamieńską. Skoro chodzi o Kamieńską, celem zabójcy nie jest

Obrazcowa. A skoro nie Obrazcowa, to znaczy, że nie chodzi o Szuwałowa. Logiczne.

DOCENKO

Z jakiegoś powodu był pewien, że gdy się oświadczy Irze Miłowanowej, zostanie przyjęty. Jak mogłaby odmówić, skoro czarno na białym widać, że są dla siebie stworzeni? Nie jest przecież ślepa! Dlatego Michaił metodycznie, na tyle, ile pozwalała mu praca operacyjna, kontynuował zabiegi mające na celu pozyskanie jej względów, wiedząc, że to konieczny etap, bez którego się nie obędzie w porządnym towarzystwie, i ani przez chwilę nie wątpił, że Ira podchodzi do tego w ten sam sposób. Historia zna, oczywiście, różne przypadki. Stasow, na przykład, oświadczył się Tatianie tydzień po tym, jak się poznali; ona, co prawda, najpierw odmówiła, ale trzy tygodnie później zmieniła zdanie. Z owych trzech tygodni dwa spędzili razem. Ale Stasow i Tania to zupełnie co innego. Władisław był już kiedyś żonaty, a Tatiana, zanim za niego wyszła, aż dwa razy stawała na ślubnym kobiercu. Oboje mają więc doświadczenie, dla nich wszystko jest łatwiejsze. A Michaił z Iroczką muszą przestrzegać ustalonych zasad.

Od paru dni Docenko telefonował do niej rano, zaraz po obudzeniu się, mimo że nie miał nic szczególnego do powiedzenia. Tekst był mniej więcej ten sam.

– Iriszo, nie mam pojęcia, jak mi się ułoży dzień, ale jeżeli będę mógł się z tobą spotkać, to zadzwonię, dobrze?

Ira odpowiadała też jednakowo.

– Nawet jeżeli nie będziesz mógł się ze mną zobaczyć, to zadzwoń, zgoda?

Te słowa uskrzydlały Miszę. Przez cały dzień fruwał Bóg wie gdzie, a raczej tam, gdzie wymagała tego sprawa kolejnego przestępstwa, którą rozwiązywał. Gwoli ścisłości warto

zauważyć, że nie zauważał procesu lotu. Wiedział, że godzinę temu był w jednym miejscu, teraz jest już w innym, ale jak się tutaj znalazł – nie miał zielonego pojęcia, bo przez całą drogę myślał o swojej przyszłej żonie i o czekającym go życiu rodzinnym, które, jeśli wierzyć intuicji, będzie usłane różami.

Dzisiaj zajmował się zabitą poprzedniego dnia samotną staruszką; przy jej ciele znaleziono kolejną dziwną kartkę od Żartownisia. Musiał znaleźć odpowiedzi na co najmniej dwa pytania: jak Żartowniś ją poznał i dlaczego, łamiąc ustalony przez siebie zwyczaj, nie zostawił pieniędzy na pogrzeb. Szczerze mówiąc, zwyczaj wydawał się chwiejny, bo na samym początku – w przypadku Nadieżdy Starostienko – pieniędzy też nie znaleziono. Ale później dwukrotnie się pojawiły, więc dopatrzone się w tym pewnej logiki: Nadka Tancerka miała przyjaciół, którzy ją pochowają, miała też mieszkanie, którego sprzedaż pozwalała opłacić pogrzeb. Chociaż niewykluczone, że to nie miało znaczenia, Żartowniś mógł wpaść na pomysł zostawiania pieniędzy dopiero po pierwszym zabójstwie. Tak czy inaczej, nie wiadomo, dlaczego pieniądze nie znalazły się koło zabitej Serafimy Antonowny Firsowej – samotnej jak palec, niedołężnej i żyjącej w nędzy osiemdziesięcioośmioletniej staruszki.

Sąsiedzi wypowiadali się ciepło i ze współczuciem o zabitej. Niektórzy nawet pamiętali, że Firsowa miała chyba rodzinę, ale bardzo dawno temu, tak dawno, jakby jej nigdy nie miała. Jedyna rzecz, którą wiedzieli na pewno, była taka, że miała syna, który z piętnaście lat temu zapił się na śmierć. Żona odeszła od niego trzy lata po ślubie; nie chciała czekać, aż codzienne zaglądnienie do butelki zamieni się w nałogowe pijaństwo; później facet już się nie ożenił, mieszkał z matką, gdzieś tam pracował, ale przeważnie się leczył, a potem wpadał w ciąg alkoholowy i przepijał wszystko, co znajdował w domu. Skończyło się tym, że Firsowa wyrzuciła go z mieszkania, zdecydowała się nawet na to, żeby wystąpić

w tej sprawie do sądu. W najbliższym komisariacie potwierdzono te informacje. Co się tyczy męża zabitej, nie było o nim żadnej oficjalnej wieści; Serafima Antonowna wprowadziła się tu z synem ponad trzydzieści lat temu.

Michaił Docenko cierpliwie odwiedzał kolejnych sąsiadów, zadawał pytania i wysłuchiwał rozmaitych odpowiedzi: albo krótkich i zwięzłych, albo obszernych, którym towarzyszyły dygresje na temat dawno minionych lat i narzekania na obecne „bezprawie finansowe”, sprawiające, że starsi ludzie, którzy uczciwie przepracowali całe życie dla państwa, płacąc za to zdrowiem, teraz muszą wieść żałosną egzystencję, bo wysokość ich emerytury ma się nijak do cen żywności i lekarstw i w ogóle nie przystaje do rzeczywistości. Rozmowy z mieszkańcami czteropiętrowego chruszczowowskiego bloku wykazały, że Serafima Antonowna nie była kobietą nazbyt gościnną, nikogo do siebie nie zapraszała i zadowalała się towarzystwem czterech kotów. Ale gwoli sprawiedliwości należy zauważyć, że sąsiedzi, którzy chociaż raz zaryzykowali i zajrzeli do samotnej staruszki, wypadali z jej mieszkania jak oparzeni i nie podejmowali dalszych prób, żeby się do niej zbliżyć, bo unosił się tam obrzydliwy fetor, nie do zniesienia dla nienawykłego powonienia.

– Któregoś dnia spotkałam ją na schodach – opowiadała kobieta koło czterdziestki, mieszkająca piętro wyżej. – Serafima Antonowna wracała ze sklepu. Pokonywała stopnie z takim trudem, że łzy napłynęły mi do oczu na ten widok. Akurat niedawno się przeprowadziliśmy, nie znałam jeszcze sąsiadów. Gdy więc zobaczyłam staruszkę, zaproponowałam, że zaniosę jej torbę do mieszkania. Poskarżyła się, że ma chore nogi, a ponieważ zbliża się Wielkanoc, nawet nie zdoła pójść ze święconką do cerkwi, bo to daleko. Gdy nadeszły święta, postanowiłam zrobić sąsiadce przyjemność, kupiłam jej babę paschalną i zaniosiłam razem ze swoją do poświęcenia. Później do niej wstąpiłam, przekazałam babę,

ona mi dziękuje, a ja ledwie się powstrzymuję, żeby nie zatkać sobie nosa. Wiem, oczywiście, że to stara, samotna kobieta, która nie ma siły sprzątać, ale po co wobec tego trzyma koty? Zapytałam ją delikatnie, czy nie ma kogoś, kto by jej pomógł w porządkach. Mogła przecież zwrócić się do opieki społecznej; wiem, że przydzielają opiekunki samotnym starszym ludziom. Ale Serafima Antonowna spojrzała na mnie krzywo, zacisnęła usta i mówi: „Nigdy w życiu nie wpuszczałam obcych do mieszkania, więc na stare lata tym bardziej nie wpuszczę. Teraz wszędzie panoszy się złodziejstwo, nikomu nie można ufać”.

– Coś takiego – zdziwił się Docenko. – I jak pani zareagowała?

– Zapropnowałam, że zrobię jej generalne porządki, przynajmniej raz, bezpłatnie. Dla mnie to nie problem, mieszkanie Firsowej jest nieduże, uwinęłabym się w parę godzin.

– I co ona na to?

– Odmówiła. W dodatku takim tonem, jakbym to nie ja jej proponowała, ale odwrotnie – poprosiła ją o pomoc w sprzątaniu. Długo się potem zastanawiałam, czy nie zachowałam się nieuprzejmie. Bo Serafima Antonowna obrzuciła mnie wrogim spojrzeniem.

– Dziwna kobieta. – Docenko westchnął. – Nie rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowała. A nie domyśliła się pani z rozmowy, o co chodzi? Tylko o to, że bała się złodziei? Przecież pani jest sąsiadką i nie wygląda na złodziejkę, a ona mimo to odmówiła przyjęcia pomocy.

– Też tego nie rozumiem. – Kobieta kiwnęła głową na znak zgody. – Odniosłam wrażenie, że Firsowa jest trochę nienormalna.

Michaił się zaniepokoił.

– Dlaczego? Coś wydało się pani dziwne?

– Nie żeby dziwne... Odniosłam wrażenie, że ona mówi od rzeczy. Gdy odrzuciła moją propozycję, mamrotała coś o jakiejś Niurce. No więc pomyślałam, że gada od rzeczy.

– A co konkretnie mówiła? – nalegał Misza.

– Że znajdzie na nią sposób. Coś w tym rodzaju.

– Proszę, bardzo proszę przytoczyć całe zdanie.

– Ależ nie pamiętam...

– Tak jak pani zapamiętała.

Kobieta zamyśliła się, odwróciła wzrok w prawo, wytyżając pamięć.

– Zaraz... A na tę zdziwę Niurkę znajdę jeszcze sposób.

– Kim jest Niurka? – zainteresował się Docenko.

– Skąd mam wiedzieć? – zdziwiła się sąsiadka. – Właśnie dlatego pomyślałam, że gada od rzeczy.

Niura, Niuroczka, Niurka, zgrabna figurka – podśpiewywał w myślach Docenko, wracając na Pietrowkę. Gdy wszedł do swojego pokoju, od razu zadzwonił do Iroczi, wymienił z nią parę nic nieznaczących zdań, które jednak podniosły go na duchu, i ruszył do Kamieńskiej.

– Z długich rozmów, które przeprowadziłem z sąsiadami, wynika, że Firsowa źle wspominała niejaką Niurę, to znaczy Annę[24], w dodatku w kontekście niewpuszczania do domu obcych, którzy ją na pewno okradną – zameldował ochoczo.

Nastia siedziała przy biurku osowiała i obojętna na wszystko. Ogarnęła ją apatia, która przyszła nie wiadomo skąd, spowiła umysł gęstą mgłą, a ręce i nogi skuła łańcuchem.

– Niura? – powtórzyła tępo. – Kto to taki?

– Moim zdaniem była synowa Firsowej, Anna Nikołajewna Firsowa. Co prawda nie mieszka z teściową już ze dwadzieścia lat, odkąd się rozwiodła z jej synem, ale niewykluczone, że się widywały. Wnioskując z „życzliwego” nastawienia Serafimy Antonowny, musiało dojść między nimi do ostrego konfliktu, w dodatku chyba niedawno. Istnieje przynajmniej szansa, że

Anna Firsowa wie trochę więcej na temat staruszki niż jej sąsiedzi. Anastazjo Pawłowna, czy pani jest chora? – zapytał Docenko troskliwie.

Nastia z trudem podniosła głowę i popatrzyła na Miszę.

– Chora? Dlaczego? Nie, nic mi nie jest.

– Wygląda pani nieciekawie. Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku.

Jej głos, monotony i przytłumiony, dobitniej niż słowa mówił o tym, że nie wszystko, rzecz jasna, jest w porządku. Ale Docenko się nie dopytywał. Po pierwsze, nie wypadało mu tego robić, a po drugie... Po drugie, wolał myśleć o Irinie – to było przyjemniejsze i ciekawsze.

ZARUBIN

Na papierze plan był prosty, ale w realizacji okazał się niełatwy. Siergiej Zarubin musiał dokładnie prześwietlić wszystkich znajomych Wiktora Pietrowicza Szuwałowa, podczas gdy Misza Docenko miał ustalić jak największą liczbę osób z otoczenia Walentina Kazariana i Serafimy Antonowny Firsowej. Oba kręgi muszą się gdzieś przeciąć. To oczywiste. I wtedy obraz związku dwóch serii zabójstw wyłoni się w całej pełni i krasie. Szuwałow wynajął kogoś, żeby popełniał przestępstwa w imieniu Żartownisia; ów osobnik dotąd przebywa na wolności. Całkiem możliwe, że nawet nie wie o aresztowaniu zleceniodawcy. W końcu nawet Kazariana, nie mówiąc już o Nadce Tancerce czy Liszaju, można było znaleźć przypadkiem. Ale na pewno nie Firsową. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której jakiś zbrodniarz chodziłby ulicami, zagadywał przechodniów i wypytywał, gdzie w pobliżu mieszkają samotne staruszki. Z zeznań sąsiadów wynika, że Firsowej nie można było zaczepić w sklepie albo przed domem. Serafima Antonowna należała do osób nieufnych. Ten, który ją

odwiedził, musiał wiedzieć, co i jak jej powiedzieć, żeby go wpuściła do środka. Ale najważniejsze jest to, że musiał wiedzieć, do kogo i gdzie pójść. To znaczy, że albo Szuwałow, albo jego najemnik ma informatora, który podsunął Firsową. A zatem kręgi muszą się koniecznie przeciąć.

Kandydatura Anny Nikołajewny Firsowej, byłej synowej Serafimy Antonowny, wyglądała w tym świetle bardzo obiecująco. Ale jak znaleźć kobietę o tak „rzadkim” imieniu i o nieznanym nazwisku, bo przecież niewykluczone, że wyszła ponownie za mąż i przyjęła nazwisko małżonka.

Wbrew obawom poszukiwania dość szybko przyniosły efekt. Anna Nikołajewna Firsowa nie zmieniła nazwiska, mimo że miała nowego męża. W tym miejscu sprawa utknęła, bo kobieta już od dwunastu lat mieszkała w Czelabińsku, a będąc teściową widziała po raz ostatni na pogrzebie męża, to znaczy piętnaście lat temu. Ubolewała nad straszną śmiercią Serafimy Antonowny, nie wypowiadała się o niej niepocholebnie i wyglądało na to, że mówi szczerze. Tak w każdym razie stwierdzili czelabińscy milicjanci, którym powierzono znalezienie i przesłuchanie Firsowej. Można było dalej podejrzewać Annę Nikołajewnę o potajemny związek z zabójcą, ale gdy zadano jej pewne pytanie, odpowiedź od razu rozwiała wszelkie podejrzenia. Zapytano ją, czy nie wie, jaką kobietę o imieniu Anna teściowa mogła określać mianem „zdzira Niurka”.

– Oczywiście, że wiem – odparła natychmiast. – Chodzi o Annę Zacharownę, która mieszkała na parterze. Teściowa jej nienawidziła, zresztą Zacharowna odwzajemniała jej uczucie.

– Były skłócone? O co poszło?

– Właściwie nie wiem. – Firsowa pokręciła głową. – Ale spór był chyba zadawniony, powstał, zanim weszłam do rodziny. Pamiętam, że Serafima bardzo często powtarzała, że Anna Zacharowna to dzzira. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że obie wciąż się spotykały. Serafima Antonowna uśmiechała

się do Anny Zacharowny, odwiedzała ją, zapraszała do siebie, a za plecami... Wolę nie przytaczać słów, które mówiła. Miała ciężki charakter, co tu kryć.

Po otrzymaniu informacji z Czelabińska Zarubin rzucił się na poszukiwania Anny Zacharowny. W tamtym domu już nie mieszkała, wiedział to na pewno, sprawdził na liście lokatorów, którą dostał od Miszy Docenki. Może już umarła? Okazało się jednak, że cieszy się dobrym zdrowiem, mimo że jest już w podeszłym wieku, i mieszka razem z dziećmi oraz wnukami w dużym domu za miastem, zbudowanym przez zięcia, któremu powiodło się w interesach. Nie odkładając sprawy na później, Siergiej ruszył szosą Dmitrowską w stronę zbiornika wodnego Uczinskoje, gdzie znajdował się wzmiankowany dom.

Anna Zacharowna, kobieta o nader obfitych kształtach i o niewyczerpanej pogodzie ducha, siedziała na oszklonej werandzie w szerokim, miękkim fotelu, owinięta kwiecistym szalem, i wolno, z przejęciem rozkładała karty na stole.

– Układa pani pasjansa? – zapytał Zarubin, który wszedł po stopniach i stanął na progu otwartych drzwi.

– Wróżę.

Anna Zacharowna podniosła głowę, zmrużyła oczy, nieśpiesznie zdjęła okulary, po czym z drogiego skórzanego futerału wyjęła nowe i je włożyła.

– A ty czyj jesteś? Znam wszystkie dzieci sąsiadów. Zamykaj drzwi, bo wpuszczasz zimno. Widzisz przecież, że postawiłam tu grzejnik.

Głos miała łagodny i aksamitny, jak gdyby czas postanowił odcisnąć swoje piętno wyłącznie na figurze i twarzy, pozostawiając w spokoju całą resztę. Na dźwięk tego głosu Zarubin skrzywił się w duchu. Był przygotowany na rozmowę z prostą babiną, kiepsko zorientowaną w rzeczywistości, za to dobrze pamiętającą odległą przeszłość, a trafił chyba na młodą duchem dawną aktorkę. Tylko teatralną przeszłością mógł

bowiem wytłumaczyć ten nietknięty zębem czasu cudowny głos. A to pech! Inteligencja twórcza to zupełnie nie jego profil, nie potrafi rozmawiać z ludźmi tego pokroju.

– Jestem z milicji, Anno Zacharowna. Dzień dobry. Mogę wejść? – powiedział uprzejmie, zamykając za sobą drzwi, ale nie ruszając się z miejsca.

– Wejdz. Jaki interes ma do nas milicja? Wnuki? Czy ukochany zięciunio prowadzi lewe interesy? Mów, nie krępuj się, od dawna jestem na wszystko przygotowana, czytam gazety i oglądam telewizję.

– I co mówią w telewizji?

– Że za uczciwe pieniądze nie zbuduje się takiego domu jak nasz. Jak się nazywasz?

– Siergiej. Jestem starszym lejtnantem milicji. Siergiej Kuźmicz Zarubin...

– Ojej! – jęknęła Anna Zacharowna. – Nie jesteś przypadkiem synem Kuźmy Zarubina? Czy twój dziadek miał na imię Fiedosiej?

Zarubin pomyślał z radością, że chyba wyciągnął pochopne wnioski na podstawie głosu. Zdaje się, że staruszka jest taka, jak sobie wyobrażał. Znała też jego ojca i dziadka, więc teraz rozmowa pójdzie łatwiej. A jednak i wywiadowcom czasem dopisuje szczęście.

– Dlaczego miał? Do dzisiaj wszyscy nazywają go Fiedosiejem Jewgrafowiczem. – Siergiej się uśmiechnął.

– To znaczy, że jeszcze żyje?

– Owszem – potwierdził. – I trzyma się nieźle. A więc pani go znała?

– A jakże! Odpowiadał za dekoracje w naszym teatrze.

– W jakim teatrze?

Z tego, co Siergiej wiedział, dziadek nigdy nie pracował w teatrze, był tokarzem w fabryce. A zatem zaraz się okaże, że to pomyłka i że nie mają z Anną Zacharowną żadnych wspólnych znajomych? Co za niefart! Rozmowa zaczynała się

już dobrze układać... W dodatku jego podejrzenia były słuszne, kobieta ma teatralną przeszłość. Jak pech, to pech!

– Jak to w jakim teatrze? Amatorskim. Oglądałeś film *Muzyka i miłość*?

– Ten, w którym gra Lemieszew?

– Zgadza się. Opowiada właśnie o takim teatrze. W tamtych czasach było to modne, wszyscy się tym pasjonowali, jedni wystawiali dramaty, inni komedie albo opery. Twój dziadek odpowiadał za dekoracje, jak już mówiłam, a ja śpiewałam partię Hrabiny w *Damie pikowej*. Z czego się śmiejesz? Teraz wyglądam inaczej, ale pół wieku temu miałam tłumy adoratorów. Wśród nich był też twój dziadziuś. – Anna Zacharowna uśmiechnęła się znacząco. – Czy ktoś ci mówił, że do złudzenia przypominasz Fiedosieja w młodości? On też był niziutki, zwinny i ruchliwy. Przeprowadzał na przedstawienia Kuźmę, twojego ojca. Bardzo się martwił, że nie ma głosu; pragnął śpiewać w przedstawieniach – bardzo lubił teatr. Gdy tylko odbębnił zmianę w fabryce, od razu biegł na próbę. Pamiętam, że nigdy żadnej nie opuścił. Zdarzało się, że czołowi wykonawcy byli nieobecni, ale twój dziadek – ani razu! Nawet gdy dekoracje nie były potrzebne, przychodził, siadał na sali i słuchał. „Wiesz, Niuroczko – mówił – marzy mi się, żeby mój syn został śpiewakiem i występował na scenie operowej, jak Szalapin albo Sobinow”. Kim jest twój ojciec? Został artystą?

– Niestety nie. – Zarubin się roześmiał. – Wdał się w dziadka; okazało się, że nie ma głosu. Skończył instytut samochodowy, został inżynierem.

– Wielka szkoda. – Anna Zacharowna westchnęła. – Ładny był z niego chłopak, o ile pamiętam. Gdyby został artystą, wszystkie dziewczyny usychałyby z miłości do niego. A ty chyba się w niego nie wdałeś, przypominasz dziadka, też masz spiczasty nos, jesteś niewysoki... Ale już to mówiłam. No więc jaką przykrą wiadomość przynosisz, Siergieju Kuźmiczu?

- Pamięta pani Serafimę Antonownę Firsową?
- Simę? Ma się rozumieć! Przez wiele lat mieszkaliśmy w tym samym domu. Co z nią?
- Nie żyje.
- A więc tak się sprawy mają... – wycedziła staruszka. – No cóż, przyszła na nią pora. Jak to mówią, młode lata dawno zostawiła za sobą. Była trzy lata starsza ode mnie, ja mam osiemdziesiąt pięć, więc ona miała osiemdziesiąt osiem. No dobrze, Sima umarła, ale co milicji do tego?
- Nie umarła śmiercią naturalną. Ktoś ją zabił.
- Anna Zacharowna wolno pokręciła głową i zebrała leżące na stole karty.
- No tak. Doigrała się. Sto razy ją uprzedzałam... Wszystko skradziono?
- Co to znaczy „wszystko”? – zapytał Zarubin, który zwęszył trop niczym pies myśliwski. Chyba nie na darmo przyjechał tutaj.
- No pieniądze, świecidełka i co tam jeszcze miała, nie wiem dokładnie.
- Co też pani mówi, Anno Zacharowna, jakie pieniądze?! Była biedna jak mysz kościelna, ledwie wiązała koniec z końcem.
- A niby skąd wysnułeś ten wniosek?
- Przecież to widać. Na każdym kroku. Sąsiedzi mówią to samo.
- Nie wierz im!
- Mówiąc to, Anna Zacharowna uderzyła pięścią w stół, w dodatku tak mocno, że aż szyby zadrżały. Mimo podeszłego wieku miała jeszcze sporo sił, no i solidną wagę.
- Nie wierz! – powtórzyła już spokojniej. – Mało to rzeczy ludzie gadają? Co oni tam wiedzą? Simka była bogata, tyle że nieprzyzwoicie skąpa! W młodości trzęsła się nad każdą kopiejką, kupowała najtańsze rzeczy. Zanim poszła do sklepu po kiełbasę, całą godzinę liczyła, ile musi kupić, na ile

kanapek, żeby czasem nie wziąć za dużo. Wiesz, że wyrzuciła z domu rodzzonego syna?

– Owszem. – Siergiej kiwnął głową. – Powiedziano mi, że z powodu pijaństwa.

– To prawda, ale było też coś jeszcze. Syn dobrał się do odziedziczonego bogactwa. Gdyby tylko pił, Sima by go nie tknęła. On jednak wyciągnął ręce po jej pieniądze, a tego już nie zniosła.

– Skąd miała pieniądze, Anno Zacharowna?

– Simka pochodzi przecież z kupieckiej rodziny. Gdy po rewolucji zapachniało wywłaszczeniem, jej ojciec szybko sprzedał cały majątek i ulokował pieniądze w biżuterii. Dobrze ją ukrył, udawał szaraka, garść świecidełek ofiarował bolszewikom: że niby przekazuje wszystko, co ma, na budowę świetlanej przyszłości. Uwierzono mu, oferowano nawet jakieś kierownicze stanowisko w fabryce. A ta garstka była kroplą w morzu, resztę ukrył i przekazał w spadku ukochanej Simoczce.

– Nic nie rozumiem. – Zarubin rozłożył ręce przygnębiony. – Mieć taki majątek i żyć w biedzie! W głowie się nie mieści. Może Serafima Antonowna wydała na coś swój spadek?

– No pewnie! – fuknęła Anna Zacharowna. – Ona by wydała, dobre sobie! Przecież ci mówię, że była skąpa, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. W nocy wyjmowała swoje skarby i je oglądała, brała do rąk, głaskała. Nawet synowi nie wspomniała o spadku, bała się, że ten nie utrzyma języka za zębami, a wtedy jego kolesie nie wytrzymają i obrobiją mieszkanie. Albo bezwstydne dziewczki połaszczą się na bogactwo. Zrobiła w mieszkaniu parę skrytek i pochowała w nich swoje błyskotki. Syn przypadkiem trafił na jedną, wziął parę pierścionków, sprzedał, przepił, a wtedy ona go prędko eksmitowała, podając za powód alkoholizm, żeby tylko nie znalazł reszty. Musiałbyś słyszeć, jak lamentowała nad stratą tych pierścionków! Że niby jeden dostała od męża z okazji

ślubu, inny – z okazji urodzin syna, że to jedyna pamiątka po nim, odłożona na czarną godzinę. Kłamała jak najęta, byle tylko synek się nie domyślił, że gdzieś w mieszkaniu jest jeszcze coś, na czym można się obłowić. Wszystko się działo na moich oczach, stąd wiem.

– A dlaczego Serafima Antonowna zapałała nienawiścią do pani? – zapytał Zarubin obcesowo, postanawiając nie bawić się w konwenanse.

– A niby czemu miała mnie lubić? – odpowiedziała kobieta pytaniem na pytanie. – Wiedziałam przecież o spadku, no i niemal codziennie wierciłam jej dziurę w brzuchu, żeby nie żyła w biedzie, ale wyprzedawała po trochu kosztowności i żyła jak człowiek. Dla kogo ma to przechowywać? Dla kogo pilnować? Jest sama jak palec, syn nie żyje, wnuków jej nie zostawił. Gdy umrze, wszystko zabierze państwo. Ale ona się uparła. Biżuteria była jak balsam na jej serce, nie potrafiła się z nią rozstać. Musisz wiedzieć, Sieriożeńka, że zawsze miałam poczucie humoru, teraz też mi go nie brak. Mówiłam więc Simie, że jeżeli nie zacznie wydawać pieniędzy, naślę na nią bandytów. To był, oczywiście, żart. Ale ona widocznie uwierzyła. Zaczęła mnie unikać, później przestała ze mną rozmawiać. Kiedyś codziennie piłyśmy herbatę to u niej, to u mnie, nawet się przyjaźniłyśmy, gdy byłyśmy młodsze. Ale potem jak nożem uciął.

– Czy ktoś oprócz pani mógł wiedzieć, że Firsowa ma pieniądze?

– Oczywiście. Przecież na początku nie ukrywała, że jest bogata. Pyszniła się tym, mówiła, że żyje skromnie, oszczędza każdą kopiejkę, żeby się utrzymać z pensji, bo ze spadku niczego nie weźmie, wszystko zostawi wnukom, żeby ją dobrze wspominały. Później zaczęła być ostrożniejsza, bała się złodziei. A potem, gdy z synem stało się to, co się stało, wpadła w marazm. W każdej napotkanej osobie widziała wroga, przestała obcować z ludźmi, nikogo do siebie nie

zapraszała, a jeżeli ktoś przychodził, to wpuszczała go tylko do przedpokoju. W kółko jej powtarzałam, żeby przestała się wszystkim bać, bo ci, którzy wiedzieli o jej bogactwie, już dawno o nim zapomnieli – przez tyle lat udawała biedną, że wszyscy dokoła uwierzyli.

– I co ona na to?

– Patrzyła tak, że robiło się niedobrze, zaciskała usteczka i mówiła: „Ty przecież nie zapomniałaś, więc ci, co mają w tym interes, też pamiętają”. Takie oto prowadziłyśmy rozmowy, gdy zaczęła ode mnie stronić. A przecież kiedyś byliśmy przyjaciółkami!

– I ostatnie pytanie, Anno Zacharowna. Wspominała pani komuś o spadku Firsowej?

– Ja? Ależ oczywiście. Jeszcze wtedy, wiele lat temu, mówiłam, że Simka jest stuknięta, śpi na pieniądzach, a je suchy chleb. Mówiłam wszystkim.

– A ostatnio?

– Nikomu. Ostatnio nie miałam z kim rozmawiać o Simce. Dzieci i wnuki jej nie znają, nie są ciekawe opowieści o mojej sąsiadce, zresztą ja też, szczerze mówiąc, nie miałam ochoty na wspominki. W ostatnim czasie przeważnie omawiamy bieżące wiadomości – kto komu i co powiedział w Dumie, kto komu dał w pysk albo po ile chodzą obecnie dolary.

– A czy w domu, w którym mieszkała pani z Firsową, są ludzie, którzy wiedzieli o spadku?

– Skąd mam wiedzieć? – Staruszka wzruszyła potężnymi ramionami. – Coś mi się zdaje, że nikt już nie został, wszyscy się porozjeżdżali, starzy ludzie poumierali. Wprowadziliśmy się tam w sześćdziesiątym ósmym roku, a mniej więcej w osiemdziesiątym piątym piłyśmy z Simą herbatę i liczyłyśmy na palcach, kto jeszcze został z pierwszych mieszkańców. Oprócz jej i mnie znalazły się dwie rodziny, reszta była nowa.

– A te dwie to kto, pamięta pani?

– Pamiętam, a jakże! Lebediewowie i Storożenkowie.

Zarubin wyjął z kieszeni notes i zjrzał do listy, którą dostał od Docenki. Nie było na niej ani Lebediewów, ani Storożenków. To znaczy, że oni też się wyprowadzili. No cóż, trzeba będzie prześwietlić dodatkowo znajomości wszystkich dawnych mieszkańców domu. Może ktoś jeszcze pamięta o bogactwie Firsowej i owa informacja dotarła do Żartownisia. To dlatego nie zostawił pieniędzy na pogrzeb; wiedział, że ofiara nie była biedna. Ta-ak, roboty po uszy.

– To już wszystkie pytania, Siergieju Kuźmiczu? – zainteresowała się Anna Zacharowna.

– Chyba tak.

– W takim razie napijmy się herbaty. A może coś przekąsisz? Mam gotowy obiad, wystarczy podgrzać. Co ty na to?

Zarubin zerknął na zegarek. Musi zadzwonić do Olszańskiego w sprawie przeszukania w mieszkaniu Firsowej; trzeba sprawdzić, czy są tam skrytki z kosztownościami. Może skrytki są puste, a może w ogóle ich nie ma, a olbrzymi spadek to jedynie mit wymyślony przez Serafimę Antonownę. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to owszem, chętnie wrzuciłby coś na ruszt; zbliża się już wieczór, a on przez cały dzień wypił tylko szklanekę herbaty i zjadł kanapkę rano.

– Ma pani telefon?

– Tam, w pokoju, wejdz.

– Wobec tego, jeżeli pani pozwoli, zadzwonię do pracy, a później chętnie zjem z panią obiad.

IRINA

Był piątek, więc Ira od samego rana, jak zwykle u progu weekendu, zajęła się wypiekami. Bułeczki z dwoma rodzajami nadzienia i obowiązkowy tort wchodziły do stałego sobotniego zestawu, a na piątkową kolację musiały być ciasteczka. Sama wprowadziła tę zasadę i ściśle jej przestrzegała.

Koło południa, obejrzawszy stół zastawiony wyrobami cukierniczymi, uznała, że nie wypada być zachłannym. Bułeczek jest mnóstwo, rodzina nie upora się z nimi w piątek wieczorem oraz w sobotę, a w niedzielę ciasto będzie już niesmaczne. To jednak żaden problem, gdy pod ręką jest tak wspaniały sąsiad jak Andriej Timofiejewicz, który lubi kuchnię Iroczi, no i ma też doskonały apetyt.

Umieściła bułeczki i ciastka na dużym półmisku, nakryła go wykrochmaloną ściereczką, po czym zadzwoniła do drzwi sąsiedniego mieszkania. Od razu rozległo się basowe szczenie czarnego doga Agata, ale kroków właściciela, śpieszącego otworzyć drzwi, się nie doczekała. W pewnej chwili odniosła wrażenie, że słyszy odgłosy dobiegające z mieszkania sąsiada. Może Andriej Timofiejewicz śpi? – pomyślała. Mój dzwonek go obudził, ale jeszcze się nie otrząsnął ze snu. Uważnie nacisnęła przycisk dzwonka jeszcze dwa razy, ale na próżno.

Zamykając za sobą drzwi, Ira usłyszała, że u sąsiada dzwoni telefon. Dzwonek urwał się w środku drugiego sygnału – widocznie odebrano. Albo włączyła się automatyczna sekretarka, którą Andriej Timofiejewicz uruchamiał czasem, gdy wychodził z domu. Ira postawiła półmisek z ciastem w kuchni, po czym stanowczym ruchem podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer. Sąsiad odebrał od razu i wcale nie miał zaspanego głosu.

– Słucham... Halo! Nic nie słyhać, proszę zadzwonić jeszcze raz.

Ira szybko się rozłączyła. Ze zdziwieniem popatrzyła na swoje drżące ręce. Było jej przykro. Andriej Timofiejewicz jest w domu, ale nie otwiera drzwi? Dlaczego? Gości jakąś kobietę? Ale w tej sytuacji nie odebrałby też telefonu. Zresztą co to za bzdury? Może naprawdę jest u niego kobieta, a on nie otwiera drzwi, bo oboje nie są ubrani, co jednak wcale nie przeszkadza odbierać telefonów.

Wzruszywszy ramionami, Irocza uznała, że nie warto tego drażnić, i zajęła się domowymi sprawami. Myśli wciąż powracały jednak do dziwnego sąsiada i stawały się coraz trwożniejsze.

Trzeba przyznać, że Andriej Timofiejewicz jest naprawdę dziwny. Gdy człowiek nie myśli o złych rzeczach, nie zauważa owych dziwactw, albo zauważa, ale nie przypisuje im żadnego znaczenia. Gdy jednak ma powody do strachu, mimo woli staje się uważniejszy, ostrożniejszy i bardziej spostrzegawczy. Weźmy na przykład mieszkanie sąsiada. Bez względu na to, ile razy Irocza tam zaglądała, widziała tylko kuchnię i jeden pokój. Drzwi do pozostałych pokoi były szczelnie zamknięte, w dodatku zamontowano w nich zamki, sama widziała. Dlaczego? Co Andriej Timofiejewicz tam ukrywa? A najważniejsze, przed kim? Przecież mieszka sam.

Irocza bezwiednie przypominała sobie inne dziwactwa w zachowaniu sąsiada. Niekiedy zniknął na dwa, trzy dni, zabierając ze sobą psa, a po powrocie na pełne niepokojów pytania odpowiadał ze śmiechem, że wybrał się na ryby albo na polowanie. Na polowanie z dogiem! To doprawdy śmieszne. I ani razu – ani razu! – nie poczęstował sąsiadów rybami albo dziczyzną. Nawet się nie pochwalił zdobyczą. Prawdziwi wędkarze i myśliwi nie zachowują się w ten sposób. Pewnego dnia Ira zobaczyła przez okno, że sąsiad wyjeżdża. W garniturze i z dyplomatką w rękach wsiadał do wołgi, umieściwszy Agata na tylnym siedzeniu. Wrócił trzy dni później i oznajmił: „Byłem na rybkach”. W garniturze i z dyplomatką zamiast wędek?

Irina tego nie skomentowała, bo była osobą dobrze wychowaną i taktowną. W końcu sąsiad jest przystojnym mężczyzną, w sile wieku, a na dodatek wdowcem, innymi słowy, bez zobowiązań. Pewnie spędził trzy dni z kochanką; kto mu jednak zarzuci, że nie powiedział prawdy? Tak, ten jeden jedyny raz nie miała wątpliwości, że Andriej

Timofiejewicz skłamał, ale znalazła całkiem przekonujące usprawiedliwienie jego oszustwa. Jednakże teraz, sięgnąwszy pamięcią wstecz, doszła do wniosku, że sąsiad często mydlił jej oczy. Zawsze kłamał, mówiąc o swoich wyjazdach; nie jest żadnym wędkarzem ani myśliwym. Ma po prostu kochankę, która pojawiła się dawno, niewykluczone, że zaraz po śmierci żony, to znaczy trzy lata temu, a może wcześniej, gdy żona jeszcze żyła. Sąsiad nie chce, żeby o nim mówiono: „Ledwie pochował żonę, już znalazł sobie inną”, więc to ukrywa. A może ta kobieta jest jakąś celebrytką, może to, na przykład, słynna aktorka, której twarz wszyscy znają, więc Kotofiejewicz nie chce, żeby sąsiedzi się o niej dowiedzieli.

Doszedłszy do tego wniosku, Irocza odetchnęła z ulgą. No proszę, niepotrzebnie go podejrzewa, szuka dziury w całym. Wszystko w porządku, sprawa da się wytłumaczyć.

Zdażyła pójść na spacer z Griszeńką i zamarynować mięso na kolację, gdy znowu obudziły się w niej podejrzenia. A pokoje? Dlaczego sąsiad je zamyka? Dlaczego ani razu nie pokazał Irze całego mieszkania, jak to przeważnie robią wszyscy właściciele? Przypomniła też sobie, że parę razy ją wypraszał, gdy ktoś do niego zadzwonił. Nie żeby robił to niegrzecznie, o nie. Podnosił słuchawkę, rzucał krótko: „Chwileczkę”, po czym odwracał się do Iroczy i miło się uśmiechając, mówił: „Odprowadzę panią, moja droga?”. Tak, właśnie tak, z pytającą intonacją, która nie pozostawiała dużego pola manewru. Co mogła odpowiedzieć? Miała dwie możliwości. Albo: „Tak, oczywiście, dziękuję za herbatę, do widzenia”. Albo: „Niech się pan nie fatyguje, znajdę drogę do drzwi”. Trzeciej możliwości nie było. Nie mogła przecież powiedzieć: „Niech się pan nie krępuje i sobie rozmawia, a ja posiedzę, posłucham”. Kulturalna Ira wykorzystywała w takich wypadkach pierwszą możliwość i wychodziła. Jakie tajemnicze rozmowy prowadził Kotofiejewicz? Zresztą jeżeli chodzi o kobietę, wtedy wszystko jest jasne. Przecież nie będzie

w obecności Iroczi gruchał ze swoją ukochaną, z którą łączy go starannie ukrywany przed światem romans.

Przy akompaniamencie miarowego szumu odkurzacza (nawiasem mówiąc, naprawionego przez zręcznego sąsiada) podejrzewa znowu się rozwiały, ale pozostała niewyjaśniona kwestia zamkniętych pokojów. Ach, gdyby Iroczi mogła wymyślić logiczne wytłumaczenie owych drzwi z zamkami, w jednej chwili odzyskałaby radość i spokój ducha. Nie miała ochoty podejrzewać o coś brzydkiego miłego starszego pana, który jest niesłychanie sympatyczny i zawsze służy pomocą. Nie potrafiła jednak wpaść na żadne wytłumaczenie, co psuło jej trochę humor.

[24] Niura to zdrobnienie imienia Anna.

Rozdział 14

KAMIENSKA

Tego się nikt nie spodziewał. W samym środku porannej odprawy operacyjnej, którą prowadził Korotkow, drzwi się otworzyły i na progu pojawił się pułkownik Gordiejew. We własnej osobie. Nie wyglądał kwitnąco, ale też nie robił wrażenia chorego.

– Obraz Riepina *Nie oczekiwali* – skomentował szeptem Docenko, nachylając się ku Nastii.

– Ty wiesz lepiej. – Uśmiechnęła się. – Teraz jesteś naszym najlepszym specem od malarstwa.

– Niby dlaczego?

– Dlatego. Nie ty jeden jesteś detektywem.

Nastia nawet nie zauważyła, że pierwszy raz, odkąd zaczęła pracować z Michaiłem, zwróciła się do niego na „ty”. On też chyba tego nie zauważył, bo całkowicie pochłonęła go myśl, w jaki sposób Kamińska dowiedziała się o tym, że odwiedził wystawę malarstwa.

Pączek stał przez chwilę w drzwiach, uważnie lustrując obecnych, po czym skinął głową z aprobatą.

– Kontynuujcie. Nie będę przeszkadzał. Po odprawie proszę, żeby stawili się u mnie Korotkow, Kamińska i Docenko.

Wyszedł, ale odprawy nie kontynuowano. Korotkow rozejrzał się po twarzach zebranych i zapytał:

– Czy ktoś wie, co się stało? Dlaczego Gordiejew jest tutaj?

W odpowiedzi rozległ się gwar głosów, z którego wynikało, że pojawienie się szefa było dla wszystkich zupełną niespodzianką.

– Może go wypisano? – padła sugestia.

– Wykluczone. – Jurij pokręcił głową przecząco. – Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem, o opuszczeniu

szpitala nie było mowy.

– Mógł zwyczajnie o tym nie wspomnieć – powiedziała Nastia.
– Wiedział, że dzisiaj zostanie wypisany, ale specjalnie milczał, żeby nas zaskoczyć i zobaczyć, czym się zajmujemy rano.

– Dobrze, wszyscy są wolni. Misza i Asia – za mną marsz.

We troje weszli do pokoju Pączka i zatrzymali się przy drzwiach, patrząc pytająco na szefa. Słusznie, pomyślała Nastia z krzywym uśmiechem, nie ma to jak z samego rana dostać reprimendę od przełożonego, żeby później przez cały dzień czuć się wolnym.

Gordiejew siedział przy biurku i przeglądał dokumenty. Zerknął przelotnie na podwładnych, po czym znowu wbił wzrok w jakąś kartkę, rzuciwszy krótko:

– Siadajcie. Porozmawiamy.

Usiedli w milczeniu wokół długiego, dostawianego blatu, nie spodziewając się niczego dobrego. Ich obawy całkowicie się potwierdziły.

– Chciałbym usłyszeć szczegółowe i spójne sprawozdanie z dochodzenia w sprawach zabójstw związanych z programem telewizyjnym – powiedział oschle. – Dzisiaj rano zadzwonił do mnie generał i grzecznie zapytał, kiedy zamierzam złożyć raport. Chyba rozumiecie, że na tak postawione pytanie odpowiedź mogła być tylko jedna: dzisiaj. Zbrodniami interesuje się prasa, sprawa nabrała rozgłosu, Obrazcowa udziela wywiadu, jeden za drugim pojawiają się artykuły, których wy, oczywiście, nie czytacie, jesteście przecież niesłuchanie zajęci, ujęliście wszystkich zabójców grasujących w Moskwie podczas mojej choroby. Z tego, co mi mówicie, gdy przyjeżdżacie do szpitala, wypływa smutny wniosek, że nie ma o czym raportować. Nie mogę iść do generała z tą ciekawą myślą. A teraz słucham.

Meldowali po kolei, najpierw Korotkow, później Nastia, a na końcu Misza Docenko. Gordiejew prawie nie przerywał, tylko

od czasu do czasu zadawał krótkie pytania i wciąż coś notował.

– To przykre – podsumował. – Minął już miesiąc z hakiem, a wy w tym czasie omal nie zatrzymaliście niewinnej osoby, złapaliście zabójcę narkomanów i wydedukowaliście, że wasz Żartowniś musi być jakoś powiązany z Szuwałowem. Mówiąc bez ogródek, nie zrobiliście w sprawie nic. Nic – powtórzył dobitnie. – Jak mam to rozumieć? Czy powodem jest to, że Korotkow nie radzi sobie z obowiązkami naczelnika wydziału? Czy raczej to, że go oszukujecie, wykorzystując wieloletnią przyjaźń, która was z nim łączy, i zamiast pracować, zajmujecie się diabli wiedzą czym w godzinach pracy?

– Wiktorze Aleksiejewiczu – zaczęła Nastia. – Jest pan niesprawiedliwy. Korotkow jest dobrym szefem, nasza przyjaźń nie ma tu nic do rzeczy.

– Więc o co chodzi?

– O przestępcę. O Żartownisia. Jest trudnym przeciwnikiem, nie da się go szybko namierzyć, nic go nie łączy z ofiarami...

– Nie rób mi tu wykładu! – obruszył się Gordiejew. – Sam wiem, co jest łatwe, a co trudne! Nie pytam, dlaczego Żartowniś do tej pory jest na wolności. Pytam, dlaczego tak mało zrobiliście i co mam za godzinę zameldować generałowi. Przez pół miesiąca zajmowaliście się Gorszkowem i okazało się, że nie macie racji. Kolejne pół zmarnowaliście na Szuwałowa i znowu zawiodła was intuicja. Mam zatem opowiadać generałowi o waszej niewydarzonej intuicji?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, z Szuwałowem jeszcze nie skończyliśmy. Jestem pewna, że ma współnika...

– Wszyscy są wolni oprócz Kamieńskiej – przerwał jej Pączek. – Ruszajcie. Bierzcie się, cholera, do pracy, jeżeli jeszcze nie oduczyliście się tego robić.

Korotkow i Misza Docenko natychmiast się ulotnili. Gordiejew zdjął okulary, cisnął je na biurko i zaczął się przechadzać za plecami Nastii. Ona zaś cierpliwie czekała,

wiedząc, że nie doczeka się niczego przyjemnego. Wreszcie pułkownik stanął i usiadł przy stole konferencyjnym naprzeciw niej.

– Co się dzieje, Stasienko? – zapytał półgłosem. – Czyżbyś aż tak się przestraszyła?

Nastia kiwnęła głową w milczeniu, czując napływające do oczu łzy. Żeby tylko się nie rozplakać, tego jeszcze brakowało!

– Wszyscy zachowujecie się tak, jakbyście mieli klapki na oczach – ciągnął Gordiejew. – Próbujecie podciągnąć każdą informację pod hipotezę, że zbrodnie Żartownisia wymierzone są w Obrazcową. No dobrze, mógłbym to zrozumieć, gdyby chodziło tylko o ciebie. Skoro głównym celem Żartownisia nie jest Tatiana, to znaczy, że jesteś nim ty. Ta myśl jest nieprzyjemna, budzi w tobie lęk, więc starasz się ją odsunąć. To niesłuszne, ale przynajmniej rozumiałe. Gdzie jednak patrzy Korotkow? A Siełujanow? A Docenko? A ten chłopak z okręgu, Zarubin? Oni powinni mieć trzeźwiejsze spojrzenie, bo stoją z boku. Dlaczego zatem niczego nie widzą?

Nastia usiłowała się uśmiechnąć, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

– Pewnie mnie żałują – powiedziała.

– Ależ mają miękkie serduszka! A tych, których Żartowniś załatwił w tym czasie, jakoś im nie żal, he? Ty też jesteś dobra, minął szmat czasu, odkąd rozmawialiśmy w szpitalu. Już wtedy wyraźnie ci kazałem, żebyś się nie oglądała na Tatianę, ale szukała swojego wroga. A ty? Ucieszyłaś się, że się nawinął Szuwałow, który zagiął parol na Tatianę, i wyłącznie na nim skupiłaś uwagę. Rozumiem, że się boisz, rozumiem, że nie chcesz myśleć, że to jest wymierzone w ciebie, ale kogo, moje dziecko, na tym świecie interesuje, z jakiego powodu się boisz i czego chcesz? Nikogo. Nikogo! Nawet mnie to nie interesuje. Jestem naczelnikiem, również twoim, więc zależy mi przede wszystkim na tym, żeby moi ludzie pracowali solidnie i byli skuteczni. A emocje – to tam. – Machnął ręką w stronę okna. –

W domu. Ile dusza zapagnie. Chcesz, to ci powiem, co się stało. Czy może wiesz?

– Nie wiem. Proszę powiedzieć.

Nastia sądziła, że Pączek przedstawi historię zbrodni Żartownisia, tak jak ją sobie ułożył w głowie na podstawie ich raportów, i będzie ona wyglądać zupełnie inaczej niż w jej oczach. Gordiejew zawsze potrafił niestandardowo spojrzeć na sytuację.

– No więc tak. W domu Korotkowa powoli umiera teściowa, więc Jurij wciąż krąży myślami wokół problemów związanych z jej śmiercią. Zastanawia się, na przykład, nad tym, od kogo pożyczyć pieniądze na pogrzeb i stypę, jak i na którym cmentarzu wykupić miejsce, czy ją pochować, czy lepiej poddać kremacji. Przypuszczam nawet, że wieczorami prowadzi na ten temat dyskusje z żoną, które kończą się kolejną awanturą. Siełujanow zajmuje się serią zabójstw narkomanów, nie interesował się twoim Żartownisiem, póki przypadkiem trop nie poprowadził w tę stronę. Miszka Docenko zakochał się w krewniczce Obrazcowej i biega na randki. Tak oto przedstawia się pole bitwy. A ty, moje dziecko, pozwoliłaś sobie na luksus strachu, pofolgowałaś sobie i uznałaś, że myśl jest materialna. Innymi słowy, uznałaś, że jeżeli ktoś czegoś bardzo pragnie, to tak się stanie. Z całego serca zapagnęłaś, żeby Żartowniś wystąpił przeciw Obrazcowej, a nie przeciw tobie. Wmówiłaś sobie, że to jej, a nie tobie, już od początku proponował, by zgadła, gdzie odbędzie się spotkanie ze śmiercią. Że to do niej zbliża go każda nowa ofiara. Tak bardzo tego pragnęłaś, że przestałaś być detektywem i stałaś się zwyczajną dogmatyczką naciągającą fakty do własnej tezy. A nasi chłopcy posłusznie za tobą poszli, po pierwsze dlatego, że jesteś starsza stopniem, po drugie dlatego, że zawsze byłaś kopalnią pomysłów i się do tego przyzwyczaili, a po trzecie – z wymienionych przed chwilą powodów. Wszyscy mają swoje problemy, więc skorzystali

z tego, że za nich myślisz, i wykonywali jedynie polecenia, pochłonięci własnymi sprawami. Poleżli za tobą jak cielęta za krową, bezkrytycznie akceptując twoje wnioski, a ty się z tego cieszysz. No co, mam rację?

Było jej wstyd i nie chciała przyznać, że szef ma rację. Nie mogła jednak tego nie zrobić. Już dawno zrozumiała, że pozwoliła, by strach i słabości przejęły nad nią władzę, ale nie potrafiła znaleźć w sobie dość sił, żeby coś zmienić. Bycie słabym jest bardzo wygodne...

– Tak. – Zrobiła głęboki wdech, po czym wolno wypuściła powietrze. – Tak, Wiktorze Aleksiejewiczu, ma pan rację.

– A więc jedno ustaliliśmy.

Gordiejew wstał i przesiadł się na swoje miejsce, tam, gdzie stał fotel dyrektorski z wysokim oparciem i gdzie pod ręką były aparaty telefoniczne.

– Idź i bierz się do normalnej pracy. Zrób wreszcie to, co ci już dawno kazałem: przyjrzyj się wszystkim swoim klientom, zastanów się, wybierz kandydatów, którzy najbardziej pasują do roli Żartownisia. Sporządź plan ich inwigilacji. Zadzwoń do psychologów, przekaz im wszystkie materiały, niech zrobią portret psychologiczny przestępcy. Nie rozumiem, dlaczego do tej pory tego nie zrobiono! Nie do wiary, co za burdel!

Nastia wyszła z pokoju Gordiejewa i nagle poczuła ból głowy, i to taki, że jeszcze chwila, a zacznie się dusić. Pokonując mdłości, zeszła po schodach i znalazła się na wewnętrznym dziedzińcu. Natychmiast oblepiło ją zimne i wilgotne powietrze, dostała dreszczy, ale trochę jej ulżyło. Postąpiła chwilę na przeszywającym wietrze, a później wróciła do siebie. Gordiejew ma rację, za bardzo się rozkleiła. Gdyby nie uległa strachowi, gdyby od razu, na samym początku, dopuściła do siebie i potraktowała poważnie myśl, że Żartowniś prowadzi przeciwko niej grę, to kto wie, może zdążyłaby już coś wykombinować – coś, co by go powstrzymało. Czy to możliwe, że ma na sumieniu przynajmniej jedną z czterech ofiar? Ta

myśl jest nieznośna, ale nie wolno jej dłużej ignorować i udawać, że to, co się dzieje, dotyczy kogoś innego. Bo dotyczy właśnie jej, Nastii.

Wysiłkiem woli skupiła się na pracy. Wieczorem leżała przed nią lista, na której figurowały cztery osoby; każda z nich była zdolna do nietypowych działań.

ZABÓJCA

– Gdyby jedni z nas umierali, a inni nie, to umieranie byłoby niesłychanie przykre. – Babcia się uśmiechnęła.

Ze smutkiem patrzyłem na jej pomarszczoną, znużoną przewlekłym bólem twarz, z której nawet ciężka choroba nie zdołała zetrzeć szlachetnych rysów, i po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że będzie mi jej brakować. W moim życiu zostały tylko dwie osoby – ojciec i babcia. Żona się nie liczy, jest zbyt młoda i głupia, żeby mogła przekazać mi jakieś duchowe wartości. Tymczasem ojciec i ta stara, lecz silna kobieta stanowili dwa główne filary, przy których trwałem. Ojciec był dla mnie przykładem służby ojczyźnie i prawdziwym Mężczyzną, którego powinienem naśladować. Babcia z kolei stanowiła wzór wytrwałości, niezłomności i odwagi. Naprawdę niczego się nie bała. Jak się okazało, nawet śmierci. Miała przed sobą zaledwie parę dni życia, o czym doskonale wiedziała, a mimo to potrafiła żartować.

– Jak długo trzeba żyć, żeby dojść do tego wniosku? – zapytałem, starając się nie pokazać po sobie smutku.

– Nie wiem, kochany. Jeden mądry człowiek wpadł na to przed czterdziestką, ja tylko powtarzam jego słowa. Ale muszę przyznać, że robię to, bo przyznaję mu całkowitą rację.

– I któż jest owym mędrcelem?

– Jean de La Bruyère. Żył w czasach Ludwika XIV i był nauczycielem wnuka księcia de Condè. Wstyd, że ty, potomek

rodu Danilewiczów-Lisowskich, tego nie wiesz. Zaraz zaczniesz działać zastrzyk i zasną. Weź w tym czasie tomik La Bruyère'a i przeczytaj, na pewno ci się przyda. Stoi na półce z francuskimi filozofami.

Nie wiedziałem, a raczej nie poczułem, że to nasza ostatnia rozmowa. Zastrzyk zaczął działać, babcia zasnęła i już się nie obudziła. Spała i umierała, a ja siedziałem obok w głębokim skórzanym fotelu i czytałem: „Życie dzieli od śmierci długi okres choroby, najprawdopodobniej po to, żeby śmierć stała się wybawieniem i dla tego, który umiera, i dla tego, który zostaje”. Przeczytawszy to zdanie, drgnąłem. Wydało mi się niesłychanie cyniczne i okrutne. Jednakże już w następnej chwili podjąłem wysiłek, zajrzałem w głąb siebie i zrozumiałem, że owo stwierdzenie – mimo swojego cynizmu – jest słuszne. Nie chciałem, żeby babcia umarła. Ale nie chciałem też spędzać całego wolnego czasu przy jej łóżku. Chciałem, żeby była zdrowa i pełna sił, bo niedołączna i umierająca stała się dla mnie ciężarem. Musiałem skończyć rozprawę habilitacyjną i przeprowadzić mnóstwo eksperymentów w laboratoriach.

Dręczące mnie po zabójstwie mamy pytanie o stosunek życia do śmierci przybrało odtąd inny wymiar. Śmierć jest nieuchronna i trzeba się z tym pogodzić. Na ten temat La Bruyère też się wypowiedział: „Nieuchronność śmierci łagodzi po trosze fakt, że nie wiemy, kiedy nas dosięgnie; w owym braku pewności jest coś z nieskończoności oraz z tego, co nazywamy wiecznością”. W tym miejscu nie zgadzałem się jednak z francuskim filozofem. I to kategorycznie. Żył w siedemnastym wieku i zapewne sądził, że wieczność i nieskończoność to pojęcia boskie, niedostępne rozumowi, a skoro tak, to trzeba je przyjąć jako dobrodziejstwo niebios i być wdzięcznym za to, że się nie zna daty własnej śmierci. Dla mnie natomiast, osoby wychowanej w dwudziestym wieku i mającej wykształcenie wyższe techniczne, pojęcia wieczności

i nieskończoności były zrozumiałe i bliskie, na przestrzeni lat miałem z nimi codziennie do czynienia i nie widziałem w nich niczego zesłanego „z góry”, „od boga”. Nie wiemy, kiedy dosięgnie nas śmierć? Owszem. Ale to właśnie jest niedobre. Mama nie wiedziała i co się stało? Jaka śmierć ją spotkała? Potworna, byle jaka, brudna. Śmierć, która była niegodna zarówno jej, jak i życia, które prowadziła. I nic, żadne wyobrażenia o wieczności i nieskończoności nie mogą mnie z tym pogodzić, jak obiecuje prywatny gubernator małego następcy – księcia de Condè.

Podobno człowiek jest panem swojego losu. Dla mnie to oznaczało, że jestem panem nie tylko swojego życia, ale też swojej śmierci. Albowiem śmierć to też los, jego część, punkt końcowy, akt wieńczący proces, podobnie jak kropka jest nieodłączną częścią zdania. Więc skoro staram się żyć tak, by stać się godnym swojego rodu i swoich przodków, umrzeć również powinienem godnie.

Nie sądzicie, że wszystko to zrozumiałem od razu, w jednej chwili, gdy siedziałem w fotelu przy umierającej babci. Potrzebowałem lat. To śmieszne? Z pewnością. Przez długie lata obmyślać to, co można powiedzieć w dwie minuty... Zresztą wszystkie odkrycia naukowe można streścić w ciągu dwóch minut, a trzeba im poświęcić wiele lat! „Poddać się naturze i ulec strachowi śmierci jest o wiele łatwiej, niż uzbroić się w dowody rozsądku, podjąć walkę z samym sobą i za cenę nieustających wysiłków pokonać ów strach”. To też, nawiasem mówiąc, słowa La Bruyère’a. Facet nie był głupszy od nas. Uzbroić się w dowody rozsądku, przyznać, że śmierć jest nieuchronna, absolutnie nieuchronna, więc nic się na to nie poradzi. To etap pierwszy. Walka z samym sobą i okupione nieustającym wysiłkiem pokonywanie strachu przed śmiercią. To etap drugi. Każdy z nich wymaga czasu i sił ducha. Dużo czasu i dużo sił. Mnie jednak się udało, dokonałem tego. Przestałem się bać śmierci.

IRINA

Ira wciąż się łapała na tym, że myśli o Miszy Docence. Miała jednak za sobą tyle nieudanych związków, łez i gorzkich rozczarowań, że bała się zaufać zarówno sobie, jak i nowemu adoratorowi. Do głowy jej nie przychodziło, że Docenko wcale nie uważa się za zwyczajnego adoratora i że ma poważne zamiary. Widziała, że szuka byle powodu, by do niej zadzwonić, i byle okazji, by ją zobaczyć. Cieszyła się z tego, ale nie myślała o niczym więcej. Misza bardzo jej się podobał. Bardzo.

Dlatego chętnie przyjęła jego kolejną propozycję, mimo że brzmiała dość osobliwie.

– Iriszo – powiedział Michaił przez telefon koło południa. – Gdy odwiedziłem was z Sieriożką Zarubinem pierwszy raz, Tatiana była u jakiegoś fachowca od kotów. Pamiętasz?

– Oczywiście – potwierdziła Ira.

– Mogłabyś zapytać o jego adres i telefon?

– Po co? – zdziwiła się. – Chcesz kupić kotka?

– A skąd! Chodzi o to, że niedawno ktoś zabił pewną starszą panią, całkiem samotną. Nie miała nikogo prócz czterech kotów. Teraz koty zostały bez opieki, na razie zabrali je sąsiedzi, ale zapowiedzieli, że tylko na parę dni. Nikt nie ma pojęcia, co potem z nimi zrobić. No więc pomyślałem, że może je wezmę i skoczmy razem do fachowca, zasięgnemy rady. Niewykluczone, że facet zna adres jakiegoś schroniska dla kotów. Co o tym sądzisz?

Ira nie widziała przeszkód. Mieli pojechać do specjalisty wieczorem, gdy Misza będzie już po pracy, a to jej odpowiadało. Wieczorem w domu są Tatiana i Stasow, więc odpada problem, z kim zostawić Griszeńkę. Obiecała zatem, że

zapyta Tatianę o numer telefonu, i nawet zaproponowała, że zadzwoni do miłośnika kotów i umówi się na spotkanie.

O ósmej wieczorem stała już przed wejściem, błyskając ładnie pomalowanymi oczami. Michaił trochę się spóźniał, ale było to zrozumiałe. Musiał gdzieś zdobyć specjalny koszyk do transportu kotów, odebrać je od litościwych sąsiadów i złapać taksówkę. Trudno przewidzieć czas co do minuty. Kwadrans po ósmej przed domem zatrzymała się biała wołga. Ira z uśmiechem na twarzy ruszyła w jej stronę, ale gdy drzwi się otworzyły, wysiadł z niej nie Michaił, ale sąsiad Andriej Timofiejewicz. Przez chwilę Ira miała wrażenie, że na jej widok pośpiesznie zatrzasnął drzwi. Nawet zbyt pośpiesznie. I miał niezadowoloną minę.

– Dobry wieczór, moja droga – przywitał się jak zwykle, ale Ira wyczuła lekkie napięcie w jego głosie. – Czekają na kogoś?

– Na Miszę. Dzień dobry, Andrieju Timofiejewiczu.

– Macie randkę? – Uśmiechnął się, zdaniem Iry, krzywo.

– Nie tyle randkę, ile sprawę do załatwienia. Cztery biedne kotki zostały bez opiekuna, więc chcemy z Miszą zawieźć je do fachowca, który poradzi, co z nimi zrobić.

– Co zrobić z kotami? – zapytał sąsiad i z niespodziewaną złością dodał: – Zanieść na śmietnik, to dla nich najodpowiedniejsze miejsce. Zresztą... – Nagle się uśmiechnął.

– Proszę nie zwracać uwagi na moje marudzenie. Agat nie znosi kotów, widocznie zaraził mnie swoją niechęcią. W sumie koty to zabawne i bardzo miłe istoty. Do zobaczenia, moja droga. Proszę uważać, żeby nie zmarzła pani na wietrze.

Wszedł do budynku, a Ira odprowadziła go zdumionym wzrokiem. Coś takiego, okazuje się, że Kotofieicz bywa zdolny do złośliwych ataków. A na pierwszy rzut oka jest taki sympatyczny... Owszem, sympatyczny, ale zamyka na klucz drzwi do pokojów.

Znowu poczuła się nieswojo i ogarnął ją lęk, ale w tej samej chwili Misza podjechał taksówką.

DOCENKO

Gdy Ira podała adres, pod który należało zawieźć koty, Docenko zaklął w duchu. Fachowiec mieszkał w centrum Moskwy, w tej samej dzielnicy co Firsowa, niemal po sąsiedzku. Po co więc Michaił zabierał koty, a potem pędził tak daleko, do Butowa, żeby się spotkać z Iżą, skoro teraz musi jechać z powrotem? Ależ z niego głupiec, dlaczego od razu nie zapytał Iriszki, gdzie mieszka ów miłośnik kotów? Mogli się umówić zupełnie inaczej, zaoszczędzić czas i pieniądze. Docenko nie był skąpy, ale milicyjna pensja, jak wiadomo, nie skłania do rozrzutności.

Fachowiec od kotów, Aleksander Kazakow, przywitał ich uprzejmie i życzliwie.

– Zapraszam do środka, zaraz obejrzymy wasze kotki – powiedział, biorąc koszyk od Docenki. – Jeżeli są chore, najpierw pobędą u mnie, podleczę je i doprowadzę do porządku, a dopiero później się zastanowimy, co z nimi zrobić. Och, ależ z ciebie pięknotka, chodź do mnie, chodź, moja kochana, chodź, moja śliczna. O, znakomicie!

Zręcznie wyciągnął z koszyka jednego kota, pozostawiając resztę w środku. Docenko chciał je wypuścić, ale Kazakow powstrzymał go gestem.

– Nie mogę ryzykować, póki ich nie obejrzę – wyjaśnił. – Niech na razie posiedzą w izolacji; oprócz swoich kotów mam tu też takie, które powierzono mojej opiece, więc za nie odpowiadam.

Mieszkanie Kazakowa było nieduże, ale przytulne. Uwagę Docenki przyciągnęła olbrzymia biblioteczka – książki wypełniały niemal całą przestrzeń, pozostawiając jedynie

skrawek miejsca na meble. Meble z kolei, mimo że nie nowe, nie były sfatygowane. Wszędzie wyczuwało się staranną i troskliwą rękę właściciela. W powietrzu nawet nie unosił się zapach kotów.

Badanie pierwszego kota nie zabrało dużo czasu. Okazał się zdrowy, mimo że miał już swoje lata. Kazakow sięgnął po kolejnego ulubieńca nieżyjącej Serafimy Antonowny – olbrzymiego, spasionego rudzielca. Umieścił go na stole pod lampą, po czym gwizdnął.

– Przecież my się znamy, kolego. Własnoręcznie zszyłem ci rozerwane uszko, gdy jeszcze chodziłem do szkoły, a ty miałeś sześć miesięcy. Zrobił się z ciebie kot na schwał, nie poznałbym cię, gdyby nie ucho. Chwileczkę... – Odwrócił się do Docenki i zerknął na niego podejrzliwie. – Skąd pan ma tego kota?

– A czemu? – zapytał Michaił z niewinną miną. – To jakiś problem?

– Kot jest własnością babci Serafimy, doskonale go pamiętam. Jak on do pana trafił? I reszta kotów... Skąd one są?

– Od Serafimy Antonowny, nie myli się pan. No cóż, Sasza, Serafima Antonowna nie żyje, a ja próbuję umieścić gdzieś jej koty. A więc znał pan Firsową?

– Znam wszystkie koty w okolicy. – Kazakow się roześmiał. – A także ich opiekunów, rzecz jasna. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, ludzie przynosili mi swoich pupili; jedni – bo były chore i wymagały leczenia, inni – żebym się nimi zaopiekował podczas ich nieobecności.

– Czy Serafima Antonowna często pana odwiedzała? – zapytał Docenko.

– Bardzo często. Była bardzo biedna, jak to się mówi – bez środków, więc nie brałem od niej pieniędzy. Strasznie się trzęsła nad swoimi kotami, była przecież samotna, nie miała nikogo prócz nich, no więc przychodziła do mnie z byle

powodu. Bardzo się bała, że złapią jakąś poważną chorobę, a wtedy będzie musiała kupić leki albo zapłacić za zabieg, a nie miała pieniędzy. Zabawna staruszka!

– Dlaczego zabawna?

Kazakow rozmawiał, nie przerywając badania. Zręcznie otwierał kotu pysk, oglądał zęby i język, sprawdzał łapy, obmacywał brzuch, przeczesywał sierść.

– Podobno spała na pieniądzach, ale udawała biedną. Nie wiem, może naprawdę się jej nie przelewało, a te plotki o bogactwie były wyssane z palca. Zajmowałem się jednak za darmo jej kotami, bo nigdy nie biorę pieniędzy od starych ludzi – kot to ich jedyna radość. Mają bardzo skromne emerytury, więc, gdy będą musieli zapłacić za leczenie, zaczną oszczędzać i zaniedbają chorobę. Tak, rudy łobuzie, ty też jesteś zdrowy, idź się tymczasem pobawić. Następny, proszę!

Docenko niecierpliwie czekał, aż Kazakow skończy badanie kotów Serafimy. Powiedzenie „raz na wozie, raz pod wozem” jest jednak prawdziwe. Najpierw miał pecha, bo źle zaplanował drogę, za to teraz mu się poszczęściło – pojawił się jeszcze jeden świadek, który może coś wiedzieć na temat Serafimy Antonowny. Podczas gdy Kazakow zajmował się kotami, do pokoju zajrzała sympatyczna kobieta, na oko czterdziestopięcioletnia, zgrabna i jasnowłosa.

– Sanioka, zaproponowałaś gościom herbatę?

– Nie zdążyłem, mamusiu – odparł Kazakow. – Jeszcze badam pacjentów.

Herbata... To dobrze, pomyślał Docenko, posiedzimy w miłej, rodzinnej atmosferze i porozmawiamy. Przyjrzymy się młodej i ładnej mamusi, niewykluczone, że ma pełno adoratorów i któremuś z nich spodobały się kosztowności staruszki Firsowej. Sam nie mógł ich wziąć, ale komuś powiedział. Jeżeli w tej rodzinie prowadzono rozmowy o bogactwie Serafimy Antonowny, trzeba dokładnie sprawdzić, kto jeszcze brał w nich udział.

– Proszę nam zaproponować herbatę – powiedział szybko, uśmiechając się przy tym czarująco.

Stojąca obok Irina szturchnęła go łokciem i z wyrzutem szepnęła:

– Daj spokój, Misza, przecież to nie wypada.

– Ależ wypada – natychmiast odezwał się Kazakow, który widocznie miał doskonały słuch. – Mamusia lubi częstować gości herbatą. No i w ogóle przepada za nimi.

– Ale my nie jesteśmy gośćmi – zaoponowała Ira z uporem. – Przyszliśmy ze sprawą.

– To bez znaczenia. I tak musimy się zastanowić, co zrobić z kotami Serafimy, więc omówimy to przy herbacie. Jesteście państwo jej sąsiadami?

– Nie, my... – zaczęła Irocza, ale Docenko nie pozwolił jej dokończyć.

– Tak, mieszkamy w tym samym domu co Serafima Antonowna. A raczej ja mieszkam – poprawił się. – Ira mieszka gdzie indziej.

Napotkawszy oburzone spojrzenie Iriny, Docenko lekko dotknął jej ręki i skinął głową. Jednakże Kazakow okazał się spostrzegawczy, drobna niezgodność w zeznaniach nie umknęła jego uwadze. Znowu obrzucił Irę i Michaiła podejrziwym spojrzeniem i pokręcił głową.

– Chyba się czegoś obawiacie, mili państwo, ale to nic. – Uśmiechnął się wesoło. – Wasza sprawa. Moja narzeczona też czasem się boi, nocuje u nas co drugi dzień, więc gdy ktoś ją pyta, gdzie mieszka, podaje albo swój, albo mój adres.

Tak, pomyślał Docenko, wygląda na to, że nie skończy się na adoratorach mamusi. Nasz bohater ma narzeczoną, a przedtem też pewnie zaglądały do niego różne panienki. No cóż, chłopak jest postawny, przystojny, ma nietypowy zawód, nic zatem dziwnego, że przyciąga uwagę dziewcząt.

– Jest pan z wykształcenia weterynarzem? – zapytał.

– Ja? – Kazakow przytrzymał za łapy ostatniego kota Serafimy Antonowny i opuścił go na podłogę. – Nie mam żadnego wykształcenia. Szkoła, a później wojsko – oto całe moje wykształcenie.

– No a koty? – zdziwiła się Ira. – Polecano pana na wystawie w Sokolnikach jako znanego fachowca. Sądziliśmy, że gdzieś się pan uczył...

– Czego? Opieki nad kotami? Uczyłem się tego przez całe życie, tyle że w praktyce, a nie na uczelniach. Czytałem wprawdzie książki, ale przeważnie bazowałem na własnym doświadczeniu. A co się tyczy wystawy... – Roześmiał się, wziął z kanapy puszystego białego kota, położył sobie na ramieniu i zaczął delikatnie głaskać. – Ktoś mnie polecił? Jakiś hodowca?

– N-nie. – Ira się zmieszała. – Raczej klient.

– No właśnie. Właściciele rasowych kotów mnie nie szanują, bo nie dbam o czystość rasy, nie zajmuję się selekcją i nie interesuję się wystawami. Lubię koty dla nich samych. Kot porzucony przez opiekuna liczy się dla mnie bardziej niż ten najbardziej rasowy, bo jest nieszczęśliwy i potrzebuje pomocy. Hodowcy tego nie rozumieją, uważają mnie za szarlatana. A zresztą jest jeszcze jeden niuans. Hodowca chce sprzedać kotka, więc opowiada różne rzeczy klientowi na wystawie. Niejeden wpada przez to w niezłą kabałę: kupuje kota, który miał być bezproblemowy, spokojny i niewybredny w jedzeniu, a miesiąc później się okazuje, że kot tego nie je, tamtego też nie, codziennie chce surowe mięso, roznosi sierść po całym domu, trzeba go szczepić, no i jakoś sobie radzić z rują, pilnować kwiatów, nie otwierać okien ani drzwi na balkon. W mieszkaniu robi się duszno i gorąco, więc trzeba wstawić siatki albo wydać grube pieniądze na klimatyzację... W sumie kłopotów i wydatków jest więcej niż przyjemności. Regularnie odwiedzam wystawę, więc parę razy się zdarzyło, że byłem świadkiem rozmowy hodowcy z klientem. Przysłuchiwałem się

z boku, a później prosiłem klienta, żeby wyszedł ze mną na ulicę, i tłumaczyłem mu, co i jak, żeby wiedział, co go czeka, i nie kupował, jak to się mówi, kota w worku. Klient zapisywał mój telefon na wypadek pytań, później przekazywał innemu i w ten sposób mój numer zaczął krążyć. Bywalcy wystawy, którzy nie kupują kotów, a tylko je oglądają, znają mnie i polecają początkującym. Tak to właśnie wygląda. No to jak? Idziemy na herbatę?

Weszli do drugiego pokoju, większego i wytworniejszego, chociaż umeblowanego podobnie – sprzętami z lat pięćdziesiątych. O ile mały pokój, który przed chwilą opuścili, przypominał raczej gabinet z półkami na książki, wąską kozetką i stołem diagnostycznym, oświetlonym silną lampą, o tyle duży wyglądał jak prawdziwy salon z solidnym starym żyrandolem wiszącym nad umieszczonym na środku okrągłym stołem, a także z portretami i zdjęciami na ścianach.

– Poznajcie, państwo, moją mamę.

– Elena –przyjaźnie odezwała się zgrabna blondynka, wyciągając rękę do Michaiła.

– Bardzo mi miło. Ja jestem Michaił, a to Irina, moja narzeczona.

Ira posłała mu zalęknione spojrzenie, później nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Niech się pani nie wstydzi – powiedziała Elena wesoło. – Sanioka też ma narzeczoną. Teraz to niemodne, młodzi albo od razu się pobierają, albo w ogóle tego nie robią. W obu przypadkach dziewczyna nie ma okazji, żeby się nacieszyć narzeczeństwem. A kiedy bierzecie ślub? Niebawem?

– Zgadza się – szybko odparł Docenko. – Załatwimy tylko sprawę kotów Serafimy i od razu biegniemy do urzędu stanu cywilnego. Prawda, Iriszo?

Ira milczała oszołomiona, więc Michaił pomyślał, że się pośpieszył i popełnił błąd. Nie powinien przy obcych mówić tak zdecydowanie o sprawach, o których wcześniej nawet się

nie zająknął. Później jednak się uspokoił, widząc, że Ira się nie obraziła. Może to nawet lepiej. Pewnie długo jeszcze zbierałby się na odwagę, żeby się oficjalnie oświadczyć, a tak wszystko poszło gładko i bez wysiłku.

Popijając herbatę, prowadzili luźną rozmowę. Michaił bez trudu kierował ją na odpowiednie tory, zwłaszcza że głównym tematem były jednak koty Serafimy, a więc i ona sama. Niczego nie mógł zapisywać, musiał zatem dokładać starań, zapamiętywać wszystkie imiona, nazwiska oraz wskazówki dotyczące miejsc zamieszkania, żeby już nazajutrz z samego rana rozpocząć obserwację osób, które wiedziały o bogactwie Firsowej. Ale ze mnie dureń, parę razy strofował się w myślach. Gdybym wiedział, że sprawa przyjmie taki obrót, wziąłbym dyktafon.

KAMIEŃSKA

W domu sprawdziła w komputerze wszystkie informacje na temat czterech mężczyzn, których wybrała w ciągu dnia. Tak, pamięć jej nie zawiodła, wszyscy znajdowali się teraz na wolności, dwaj opuścili już zakład karny, a dwóch nie udało się jednak wysłać na ławę oskarżonych. Wszyscy czterej byli zameldowani gdzieś w Moskwie, informacje o ich miejscu pobytu były niepełne – nie pojawiła się dotąd paląca potrzeba, żeby je zbierać. W głębi ducha Nastia nie wierzyła, że któryś z nich może się okazać Żartownisiem, zbyt dobrze pamiętała każdego z tej czwórki i wiedziała, że z uwagi na swoją mentalność oraz usposobienie mogli wymyślić i przeprowadzić ową wielopiętrową, szatańską intrygę, ale to mało prawdopodobne – znowu ze względu na ich usposobienie – że zechcą się zemścić albo wyrównywać z nią rachunki. Wszyscy są inteligentni i rozsądni; wiedzieli, że Nastia wykonywała swoją pracę i nie zrobiła w stosunku do nich niczego, na co by

nie zasłużyli. Nie, nie wierzyła, że to któryś z nich. I dlatego nie zawracała sobie głowy ich sprawdzaniem, gdy Gordiejew kazał jej to zrobić. Jednakże powtórne polecenie sprawiło, że nie mogła się już wykręcić. No cóż, machina poszła w ruch, wzięto ich pod lupę. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Wyłączyła komputer, usiadła w fotelu i sięgnęła po paczkę kaset wideo, które dostała w prezencie z okazji Dnia Milicjanta. Głowa wciąż ją bolała, wprawdzie nie tak mocno jak rano, ale paskudnie i uporczywie, tabletki saridonu nie pomogła, więc pomyślała, że chyba nie obejrzy filmu w oryginalnej wersji językowej – nie zdoła się wystarczająco skoncentrować. Wybierze coś przetłumaczonego na rosyjski. Szybko podzieliła kasety ze względu na język, zaczęła czytać opisy i nagle drgnęła jak rażona prądem. Na jednym z pudełek zauważyła reprodukcję obrazu Boscha *Siedem grzechów głównych*. A może to tylko złudzenie? Nie, o pomyłce nie ma mowy, wiele razy oglądała ów okrągły obraz namalowany na blacie stołu, po tym jak Irocza przypomniawszy sobie rybę pożerającą człowieka. Przysunęła pudełko do samych oczu i zaczęła czytać napisany drobnym drukiem opis: „...policyjne dochodzenie w sprawie serii krwawych zabójstw popełnionych przez szaleńca. Każde zabójstwo jest karą za określony grzech. Biblia opisuje siedem grzechów...”. Film nosi taki właśnie tytuł *Siedem*. Na odwrocie pudełka Nastia zobaczyła listę grzechów: Obżarstwo, Chciwość, Lenistwo, Pycha, Gniew, Nieczystość, Zazdrość. Do licha! Czyżby trafiła na takiego samego szaleńca?

Stop, nie wolno wyciągać pochopnych wniosków. Zobaczymy, co mamy. Nadieżda Starostienko, dawna tancerka baletowa, obecnie niechlujna pijaczka. Za jaki grzech Żartowniś mógłby ją ukarać? Chyba za nieczystość. Informacje zdobyte przez Sieriożę Zarubina mówią o tym wystarczająco dobitnie. Giennadij Łukin. Trzykrotnie karany za chuligaństwo i rozboje. Nie ma takich grzechów na liście. Chciwość raczej

nie wchodzi w grę... Nie, oczywiście, że nie. Przepięknie, których się dopuścił, świadczyły nie o interesowności, lecz raczej o głupocie i zapalczywości – skoro bił po głębie pierwszego, który mu się nawinał pod rękę, i chwycił byle co. Jaki więc grzech popełnił Liszaj?

Nastia zerwała się z fotela i znowu włączyła komputer. Znalazła informacje o zabójstwie Łukina i przebiegła je wzrokiem. Przed śmiercią zjadł obfity posiłek. A oto i orientacyjna lista dań, sporządzona przez Sieriożę Zarubinę po tym, jak odwiedził restaurację, w której Łukin zjadł kolację trzydzieści minut przed śmiercią. Tak, obfity posiłek to mało powiedziane. Gdyby nie chodziło o ofiarę, można by rzec, że się „nażarł”. A zatem grzech Łukina to obżarstwo. Tyle że ten wniosek jest trochę, a nawet grubo na wyrost... No bo czy o kłozardzie żywiącym się resztkami ze śmietników da się powiedzieć, że jest żarłokiem? Bzdura! Taki ktoś bez przerwy nie dojada. Zabójca wyraźnie go sprowokował, dał pieniądze, zaprowadził do restauracji, powiedział: „Jedz, ile chcesz”. Łukin zapragnął się najeść za wszystkie czasy, ale powodem był głód, a nie obżarstwo. To znaczy, że Żartowniś nie karał nieszczęsnego Liszaja, ale go wykorzystał, by zilustrować obraz, którego potrzebował. To dopiero perfidny drań! Gdyby był uczciwym szaleńcem, który sobie uroił, że jest katem i nauczycielem ludzkości, można by to jeszcze zrozumieć. Ale żeby postępować tak cynicznie...

Co dalej? Walentin Kazarian. Jeżeli wierzyć temu, co o nim mówiła była żona, chodzi tutaj o grzech pychy.

Serafima Antonowna? Grzech chciwości.

Co zostaje? Lenistwo, gniew i zazdrość. Jeszcze co najmniej trzy ofiary, z których każda będzie uosabiać jeden z tych grzechów. A zatem Nastia musi teraz wydedukować, jak i gdzie zabójca będzie szukał ludzi, których śmierć okaże się karą za owe grzechy. Jak i gdzie Żartowniś znajdzie osobę leniwą, skorą do gniewu i zazdrośną?

Ale jest tutaj jeszcze jeden wątek: zabójca wykorzystał symbol Boscha, żeby podpowiedzieć Nastii, jakie intencje nim kierują. Widział ten film i wykorzystał zamysł. Pozostaje pytanie: po co? Po co to robi? Uznał, że wymowa filmu jest mu bliska, i postanowił własnoręcznie urzeczywistnić zamysł na terenie Rosji. Do tego miejsca wszystko jest logiczne, chociaż trąci psychopatologią. Po co jednak Żartowniś zostawia rybkę i ludzika? Przecież właśnie dzięki temu symbolowi Nastia zwróciła uwagę na kasetę z filmem. Gdyby nie on, prawdopodobnie nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby zestawić cechy osobowe ofiar z listą siedmiu grzechów głównych. Zabójca jej podpowiedział. Po co?

Odpowiedź przyszła sama i była tak zaskakująca, że trudno było w nią uwierzyć. Żartowniś chciał zastraszyć Nastię. Jego słowa, że się zbliża, nie były częścią pogroźką. Popęlni jeszcze dwa zabójstwa, ukarze kogoś za gniew i zazdrość, a później zabije Nastię. Za lenistwo. Przecież sama, idiotka, przyznała się do swojej słabości na antenie. Biblia mówiła, rzecz jasna, o innym grzechu – grzechu próżnowania, o to zaś nikt nie może jej oskarżyć. Nie da się jednak zaprzeczyć, że bywa leniwa, a Żartowniś już pokazał, że nie zamierza trzymać się ściśle ducha Biblii, wystarczają mu słowa. Giennadij Łukin nie był przecież żarłokiem, umarł jednak właśnie z tego powodu, a raczej w celu zilustrowania owego grzechu.

Pozostały jeszcze trzy zabójstwa, z których dwa Nastia zobaczy. A trzeciego już nie.

Ogarnął ją lęk, i to taki, że się zerwała i włączyła światło w całym mieszkaniu, nawet w łazience i w toalecie. Wydawało jej się, że gdy będzie dużo światła, strach minie. Żeby chociaż Loszka wrócił szybko. Dzisiaj jednak zatrzyma się w Żukowskim, już rano ją uprzedził. Muszę obejrzeć film, powiedziała sobie Nastia, to mi pomoże się odprężyć. Poza tym niewykluczone, że znajdzie się w nim jeszcze jakaś wskazówka.

Włożyła kasetę do magnetowidu i ulokowała się w fotelu, otuliwszy się ciepłym, kraciatym pledem. Film *Siedem* zrobił na niej dziwne wrażenie, chyba dlatego że nie mogła się oderwać od własnego życia i traktować go jedynie jak fikcji. Cokolwiek działo się na ekranie, dopasowywała to do przestępstw Żartownisia i do działań zarówno swoich, jak i kolegów. Finał obrazu był jak uderzenie obuchem w głowę: ostatnią ofiarą szaleńca stał się on sam. Umyślnie sprowokował policjanta, zabijając jego młodą, ciężarną żonę: „Zabij mnie – mówił – bo mój grzech to zazdrość, zazdrościłem ci życia, które prowadzisz”. No cóż, jeżeli w filmie siódmą ofiarą została osoba nie z zewnątrz, ale uwikłana w wydarzenia, nasuwa się całkiem logiczny wniosek, że w łańcuchu zbrodni Żartownisia okaże się nią również nie ktoś z ulicy, przypadkowo wybrany przez zabójcę, jak na przykład Liszaj, ale osoba „uwikłana”. Kto jest uwikłany w proces poszukiwań zabójcy? Zabójca i milicjanci. Opcja z zabójcą została wykorzystana w filmie. Natomiast w życiu rola siódmej ofiary przypadnie któremuś milicjantowi. Któremuś... Nie ma sensu udawać, że to nie o nią chodzi. Nie któremuś, ale jej, Nastii.

Wszystko się zgadza. Żartowniś zupełnie jasno przedstawił swoje stanowisko.

Rozdział 15

PIĄTA OFIARA

To nie ma końca. I nie będzie miało. Jak długo jeszcze zdołam żyć z poczuciem winy? Lekarz robi, co może, codziennie poświęca mi dwie godziny. W odpowiedzi na jego wywody kiwam głową, zmuszam się do czegoś na kształt uśmiechu i udaję, że przyjmuję jego argumenty. Ale mu nie wierzę. Nie wierzę, że można żyć tak, jak żyję. Nie wierzę, że można się pogodzić z tym, co się stało.

Uważają mnie za wariatkę. A dlaczego? Dlatego że chciałam ze sobą skończyć. Chciałam odejść z życia po cichu, niezauważenie, bo nie potrafiłam już znieść poczucia winy. Uratowano mnie. Po co? Czy o to prosiłam? Po co to zrobili? A teraz uważają, że jestem wariatką. Lekarz szczegółowo mi tłumaczył, że zdrowy człowiek ma silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy, który sprawia, że nigdy nie opuszcza go pragnienie życia. Jeżeli instynkt milknie, to znaczy, że człowiek jest chory. O Boże, czy oni są w stanie mnie zrozumieć? Co ma do tego instynkt? Każdy pragnie ulżyć sobie w cierpieniu i pozbyć się bólu. Czy to coś nienormalnego? Nie potrafię dłużej się męczyć. A oni mi każą. Żyć i się męczyć. Dlaczego muszę to robić? Dlaczego?

Nie słyszę niczego prócz krzyku: „Czyje to dziecko?!?”. Dlaczego to nie ja usłyszałam wołanie mojego dziecka? Jak mogłeś pozwolić, Boże, żebym nie usłyszała jego głosiku? Dlaczego zatkałeś mi uszy i odwróciłeś wzrok? Usiłuję sobie przypomnieć, zaciskam powieki i przywołuję w pamięci tamten straszliwy dzień, tamten słoneczny, piękny dzień na południowym wybrzeżu Hiszpanii. Pojechałam tam z synkiem na dwa tygodnie, mąż wysłał nas samych, miał przylecieć pięć dni później. Znalazłam się w innym świecie, bajkowym

i wspaniałym, niewiarygodnym i oszałamiającym. Pierwszy raz byłam za granicą, przedtem nie widywałam niczego prócz sześćciorowego letniska, brudnej podmoskiewskiej rzeczki i, gdy dopisało mi szczęście, Morza Czarnego – mętneho, pełnego niedopałków i ogryzków jabłek, które przyklejały się do ciała, albo lodowatego i rojącego się od meduz.

Wyszłam za mąż bardzo młodo, skusiły mnie pieniądze i atrakcyjna powierzchowność. Byłam czwartą żoną mojego męża. Wszyscy mnie odwodzili od tego kroku, uprzedzali, że z tego małżeństwa nie będzie nic dobrego, ale nikogo nie słuchałam. Uważałam, że jestem już na tyle dorosła i mądra, by podjąć słuszną decyzję. Zaloty były krótkie i natarczywe: naręcza kwiatów, morze szampana, garście biżuterii. Mąż zrobił, oczywiście, co tylko w jego mocy, żeby ślub odbył się w ciągu tygodnia. Zaraz potem zmusił mnie, żebym odeszła z pracy i zajęła się domem. Niemal od razu zaszłam w ciążę, mąż fruwał koło mnie, machał skrzydłami – witaminy, kontrola lekarska, ścisły harmonogram dnia, dieta, spacer. Później urodziło się dziecko. Syn.

Prawie nigdzie nie wychodziłam. Mąż wynajął pomoc domową, która robiła zakupy, prała, gotowała, sprzątała nasze olbrzymie mieszkanie. Czasami wydawał mi polecenie, żebym się wystroiła, uczesała i włożyła biżuterię. Wyprowadzał mnie w świat. Na przyjęcia albo na bankiety z okazji zakończenia negocjacji. Zabierał mnie ze sobą jak złotą papierośnicę. Miałam wrażenie, że wkłada mnie, jak wkłada przed wyjściem wizytowy garnitur albo zakłada drogi zegarek. Mężczyźni zwracali na mnie uwagę, ale miałam bezwzględny zakaz flirtowania, a nawet rozmawiania z nimi, jeżeli, oczywiście, nie była to wspólna rozmowa paru osób. We wspólnej rozmowie wolno mi było uczestniczyć. Kiedyś zgodziłam się z kimś zatańczyć, ale później mąż urządził mi okropną awanturę. Nie, nie był zazdrosny, nawet mu przez myśl nie przeszło, że mogłabym go zastąpić kimś innym. Najbardziej zależało mu

na tym, żeby nikt – ale to nikt! – nie mógł mnie posądzić o flirt. Uważał, że toby rzuciło na niego cień i uczyniło zeń rogowca w oczach znajomych .

Tak minęło pięć lat. I nagle – co za szczęście! – jedziemy na wczasy. Na początku, ma się rozumieć, nawet nie było mowy, że pojedziemy osobno. Mieliśmy lecieć wszyscy razem, ale dosłownie w przeddzień wyjazdu nagle się okazało, że wiza męża się kończy. Miał roczną wizę wielokrotnego wjazdu do strefy Schengen, uprawniającą do trzymiesięcznego pobytu. Wiele razy wyjeżdżał za granicę w interesach, więc stracił rachubę. Był pewien, że zostało mu jeszcze piętnaście dni, akurat tyle, ile potrzeba na wczasy. Dzień przed wyjazdem zaczęliśmy pakować rzeczy i dokumenty, wtedy postanowił jeszcze raz sprawdzić daty wjazdu i wyjazdu, żeby przeliczyć dni. No i się okazało, że pozostało mu ich zaledwie osiem, a nie piętnaście. Musiałam więc polecieć sama z synem, mąż miał do nas dołączyć na osiem ostatnich dni.

Znalazłam się w Hiszpanii. Sama. Bez nadzoru. Ubrana w modne fatałaszkę, ostrzyżona w najdroższym salonie kosmetycznym, w kostiumach kąpielowych, które kosztowały tyle co suknia wieczorowa od Givenchy. Młoda, niedoświadczona, żądna wrażeń, stęskniona za zwyczajną kobietą kokieterią i męskim zainteresowaniem. Pragnęłam się podobać, chciałam, żeby mężczyźni podejmowali ze mną grę i flirtowali. Nie miałam zamiaru zdradzać męża, byłam zadowolona z naszego intymnego pożycia i nie marzyłam o niczym więcej. Ale przecież żeby się czuć kobietą, pożądanie męża nie wystarczy.

Zakręciło mi się w głowie. Wieczorem siedziałam w przybrzeżnym barze z kolejnym adoratorem. Grała muzyka, tańczyliśmy, piliśmy jakiś smaczny, korzenny koktajl, on czule głaskał mnie po ręce i zaglądał mi w oczy, a ja pragnęłam, żeby ta bajka nigdy się nie skończyła. Nazajutrz miał przylecieć mąż, wiedziałam więc, że to ostatni wieczór mojej

wolności. Może za dużo wypiałam. Może muzyka była za głośna. Może zanadto uległam nastrojowi chwili... Nie wiem, co się stało. Nie wiem, jak do tego doszło. Niczego nie widziałam i nie słyszałam, o niczym nie pamiętałam i nie myślałam, jedynie o tym, że istnieje prawdziwe, normalne, piękne życie, które los podarował mi na pięć dni, bo później znowu trafię do więzienia. Do klatki, mimo że złotej.

„Czyje to dziecko?!!!”

Do tej pory mam ten krzyk w uszach. Dlaczego nie zauważyłam, że synek wymknął się z baru i poszedł na plażę? Dlaczego go nie zatrzymałam? Dlaczego nie usłyszałam, gdy wołał o pomoc? Zauważył go któryś klient i krzyknął. Zdrętwiałam. Mężczyźni rzucili się w stronę morza. Było jednak za późno.

Nazajutrz przyleciał mąż. Załatwił wszystkie dokumenty, zabraliśmy ciało syna i wróciliśmy do Moskwy. Przez cały czas odezwał się do mnie tylko raz. Zapytał, jak to się stało. Później odszukał chyba ludzi, którzy byli tamtego wieczoru w barze, i ich wypytał. Domyślam się, co mu powiedzieli. Odtąd zamknął się w sobie. Nawet nie próbował dzielić ze mną smutku. Jakby tylko jemu umarł syn. Jakby to wszystko mnie nie dotyczyło.

Milczał przez trzy miesiące. Później zaczął mówić. Byłoby jednak lepiej, gdyby nadal milczał! Nazywał mnie tępą dziwką, która straciła resztki wstydu na widok obcych facetów. Oskarżał o wszelkie możliwe grzechy. Jakbym sama nie wiedziała, że to moja wina! Jakbym ją umniejszała! Nie chciał widzieć mojego bólu. Później zrozumiałam, że widział, ale uważał, że to za mało. Pragnął, żeby mój ból był jeszcze dotkliwszy.

Próbowałam popełnić samobójstwo. Podciąłem sobie żyły. Pech sprawił, że pomoc domowa zjawiała się wcześniej. Odratowano mnie. I zamknięto w szpitalu. Lekarze radzili mi się pogodzić z sytuacją, tłumaczyli, że moja śmierć niczego nie

zmieni i nie wskrzesi syna. Ale nie potrafili zrozumieć, że nie zamierzam niczego zmieniać w życiu, skoro ułożyło się tak, jak się ułożyło. Zwyczajnie go nie chcę. Niech się toczy beze mnie. Nie potrafię dłużej znosić bólu...

W szpitalu trzymano mnie przez pół roku. Mąż przyjeżdżał codziennie, przywoził mi jedzenie i leki. I nie przestawał mówić. Staralam się go nie słuchać, ale to było niemożliwe. Potem mnie wypisano. Naszpikowano jakimiś prochami. Ból pozostał, nie zniknął. Nadal nie chciałam żyć. Zmieniło się tylko jedno: zrozumiałam, że nie mam dość sił, by samodzielnie skończyć z tym wszystkim. Przez pół roku poddawano mnie hipnozie i w końcu osiągnięto zamierzony cel. Teraz nie potrafiłam sama odebrać sobie życia.

Wychodziłam na ulicę i marzyłam, żeby potrafiła mnie ciężarówka. Albo żeby zabił mnie bandyta. Parę razy próbowałam wyskoczyć na jezdnię, stałam na chodniku i wybierałam moment, gdy ruch samochodów był największy, ale w ostatniej chwili uświadamiałam sobie, że nie potrafię. Niech będą przeklęci hipnotyzerzy! Nie usunęli bólu z mojego serca, za to pozbawili mnie możliwości samodzielnego uwolnienia się od potwornego cierpienia.

Dzisiaj jednak nastąpi koniec. Już niebawem. Dzisiaj spotkałam Jego. Przypadkiem, na ulicy. Podszedł do mnie i zapytał, jak się czuję. Uśmiechał się wyrozumiale i współczująco. Odparłam, że znakomicie.

– Rozumiem panią – powiedział. – To było głupie pytanie, kobieta w pani sytuacji raczej nie czuje nic poza ogromnym, rozdzierającym bólem.

– Skąd pan wie?

– Wiem wszystko. Chyba to pani nie dziwi?

W tej samej chwili jakby przerwała się we mnie tama. Miałam przed sobą człowieka, który potrafi zrozumieć. Który nie zamierza mnie oskarżać. Mówiłam jak nakręcona, nie mogłam się powstrzymać, chyba nawet płakałam, bo potem

się okazało, że trzymam w ręce wilgotną chusteczkę do nosa. Szliśmy gdzieś, ale nie patrzyłam na drogę, było mi wszystko jedno. Najważniejsze, że mogłam mówić, bez obawy, że znowu trafię do psychiatryka.

– Potrzebuje pani mojej pomocy? – zapytał, gdy wreszcie skończyłam.

– Tak.

Nie zapytałam, co ma na myśli i jak zamierza mi pomóc. Potrzebowałam pomocy, i to rozpaczliwie, byłam gotowa stanąć na skrzyżowaniu i wołać: „Zabijcie mnie, niechże wreszcie ktoś mnie zabije!!!”. Z jakiegoś powodu byłam pewna, że mężczyzna nie jest lekarzem i jego pomoc nie polega na kolejnej kuracji czy hipnozie. Uwierzyłam mu od razu, od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłam jego oczy. Uwierzyłam, że wie wszystko, bo... Bo musi wiedzieć. Nie potrafiłam tego logicznie wytłumaczyć. Po prostu to czułam.

– Jest pani gotowa pojechać ze mną?

– Tak.

– Nie pyta pani dokąd?

– To nieważne. Chcę, żeby mi pan pomógł.

– Może pani pojechać od razu?

– W każdej chwili. Choćby zaraz, choćby jutro.

– A kiedy by pani wołała?

– Najlepiej zaraz. Nie mogę dłużej czekać. Nie wytrzymam.

Spojrzał na mnie uważnie i lekko pogłaskał po policzku.

– Tak, jest pani całkowicie gotowa. Teraz to widzę. Wobec tego jedźmy.

No i jedziemy. Nie wiem dokąd, ale wiem, że niebawem nastąpi koniec. Czuję ulgę, ból jakby ustępuje, jestem pewna, że niedługo moje cierpienia się skończą. Już niedługo.

ZABÓJCA

A zatem przestałem się bać śmierci. No i co dalej? Gdy człowiek żyje w lesie, może przestać się bać dzikich zwierząt, ale to wcale nie znaczy, że one go nie zaatakują. Wyzbywszy się strachu przed śmiercią, rozwiązałem tylko połowę zadania. Druga polegała na tym, żeby umrzeć godnie.

Zgodnie z moimi ówczesnymi wyobrażeniami godna śmierć była śmiercią we własnym łóżku albo w dobrym szpitalu, najlepiej we śnie, żeby się nie męczyć i nie wiedzieć, co się dzieje. Ale to, by tak rzec, teoretycznie, jako że w praktyce wszystko wygląda nie do końca tak, jakby się chciało. Żeby umrzeć w sposób „idealny”, trzeba nie mieć żadnych poważnych chorób, z wyjątkiem słabego serca, wtedy istnieje realna szansa, że uda się opuścić ten świat po cichu – podczas snu we własnym (w najgorszym razie – szpitalnym) łóżku. Można do tego zmierzać i jest spore prawdopodobieństwo, że uda się osiągnąć pożądaną cel. Należy prowadzić zdrowy styl życia, uprawiać sport, nie pić i nie palić, jeść z umiarem i przestrzegać dni ścisłej diety, kontrolować wagę, regularnie i sumiennie poddawać się badaniom profilaktycznym w resortowej przychodni, nie próbując przy tym zbyć lekarzy krótkim stwierdzeniem: „Nic mi nie dolega”, ale mówić im o wszelkich dolegliwościach fizycznych, żeby mogli w porę zdiagnozować chorobę, nie pozwalając jej się rozwinąć w przewlekłe schorzenie.

Rozwiązanie wydało mi się proste i niezawodne, więc przez parę lat gorliwie wykonywałem to, co było konieczne do jego realizacji. Dopóki pewnego dnia, poskarżywszy się lekarzowi na okresowe bóle żołądka, nie trafiłem do szpitala na badania gastroenterologiczne. Dwa tygodnie spędzone na szpitalnym łóżku sprawiły, że wniosłem poprawki do wyobrażenia o godnym końcu mojego życia. Po pierwsze, zrozumiałem, że śmierć w szpitalu nie wchodzi w rachubę. Nawet w najlepszym. Nie jestem członkiem władz kraju, więc nie mogę liczyć na naprawę dobre warunki, a cała reszta opcji

w najmniejszym stopniu nie odpowiada pojęciu „godnej śmierci”. Brudne toalety, smród, bieda, nietrzeźwe salowe, niedouczeni lekarze, brak leków oraz aparatury medycznej, cuchnący pacjenci na sąsiednich łóżkach i na korytarzach, skąpe i niesmaczne jedzenie – oto dola tych, którym przyszło do głowy chorować, nie dotarwszy na szczyty władzy. A do tego wszystkiego unosząca się w powietrzu aura smutku, bólu i strachu. Nie chcę, oczywiście, powiedzieć, że w szpitalu wojskowym było właśnie tak, nie, było o wiele lepiej, ale nawet tam czułem się źle. A przecież zdawałem sobie sprawę, że te wersje życia i śmierci, które sobie zaplanowałem, sprawią, że umrę w podeszłym wieku, więc trafię wcale nie tutaj, ale do jednego z miejskich szpitali, na które już się napatrzyłem, gdy odwiedzałem krewnych i znajomych. Ale najważniejsze było to, że na własne oczy zobaczyłem choroby łączące się ze starością. I przez chwilę wyobraziłem sobie, że dotknie mnie paraliż i ktoś będzie podstawiał mi basen, krzywiąc się przy tym z odrazy i życząc mi szybkiego zgonu. Kto to będzie? Żona? Syn? Daleki krewny? Albo pijana salowa? Bez względu na to, kim owa osoba się okaże, nie życzyłem sobie takiego końca.

Dlatego następnym etapem w walce o godną śmierć była koncepcja eutanazji. Jeżeli ja, ciężko chory i niedołączony człowiek, otrzymam możliwość podjęcia samodzielnej decyzji dotyczącej przerwania swojego życia i ktoś mi pomoże to zrobić w sposób prosty i bezbolesny, taki finał będzie mi całkowicie na rękę. Zacząłem czytać literaturę fachową, przejrzałem mnóstwo gazet i czasopism, w których podejmowano problem eutanazji, i ku mojemu rozczarowaniu stwierdziłem, że owa wspaniała koncepcja nie przyjęła się w naszym kraju. Byłem szczerze zdumiony – dlaczego? Dlaczego człowiek może rzucić się z okna albo pod samochód, powiesić się, utopić, zastrzelić, ale nie może liczyć na to, że dostanie bezbolesny zastrzyk, po którym zaśnie i się nie

obudzi? To barbarzyństwo! Owszem, gdy ktoś jest w stanie się poruszać, sam zadecyduje o swoim losie. Ale jeżeli jest przykuty do łóżka, jeżeli nie może wyjść z domu, a nawet wstać, to dlaczego trzeba go skazywać na męczące i powolne gaśnięcie, podczas którego cierpi zarówno fizycznie, jak i moralnie, przysparzając cierpienie swoim bliskim?

Chciałem zdobyć gwarancję szybkiej i lekkiej śmierci na wypadek nagłej choroby, która pozbawi mnie samodzielności i sprawi, że stanę się niedołączny, całkowicie uzależniony od otoczenia, dla którego będę ciężarem. Dobrze, jeżeli choroba zacznie mnie pokonywać powoli, wtedy w przewidywaniu niedalekiego niedołęstwa zdążę jeszcze podjąć i wykonać ostatnią decyzję. Jeżeli jednak zwali się na mnie nagle, jak udar mózgu? Albo potrafi mnie samochód i zostanę inwalidą przykuty do łóżka? Będę zdany na litość lekarzy, a tej, jak wiadomo, można się nie doczekać.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim do mnie dotarło, że pod żadnym pozorem nie powinienem zostawiać tej sprawy własnemu biegowi. Chorób i nieszczęść jest bez liku, natura zna mnóstwo sposobów na wyrwanie człowieka z normalnej egzystencji, cicha śmierć na atak serca we śnie to tylko jedna szansa na tysiąc, a mnie, doktorowi habilitowanemu nauk technicznych, nie przystoi na nią liczyć, w końcu potrafię obliczać prawdopodobieństwo. Zresztą mój przyjaciel La Bruyèr jest podobnego zdania. „Z punktu widzenia miłosierdzia śmierć jest dobra z tego względu, że kładzie kres starości. Śmierć poprzedzająca niedołęstwo jest bardziej pożądana niż śmierć, która je wieńczy”. Racja, nie trzeba czekać na starczą bezsilność, należy ująć stery życia i śmierci w swoje ręce.

Drugą stroną owego zagadnienia była śmierć z ręki przestępcy. Podobno bomba nie spada dwa razy w to samo miejsce; jeżeli ktoś w rodzinie zginął z ręki zabójcy, innym członkom rodziny już to nie grozi. Możliwe... Życie pokazuje

jednak, że jest inaczej. Znałem historie rodzin, w których to samo nieszczęście spotykało dwóch albo nawet trzech jej członków. I chodziło nie o choroby (w tym nie byłoby akurat nic dziwnego z uwagi na prawa dziedziczenia), ale o takie nieszczęścia jak przestępstwa, wypadki albo nieszczęśliwe zdarzenia. W jakiejś gazecie przeczytałem o zupełnie niewiarygodnym zbiegu okoliczności: dwaj bracia kolejno wpadli pod samochód w tym samym miejscu, w dodatku za kierownicą siedział ten sam mężczyzna. Zostać ofiarą nałogowego alkoholika, szaleńca albo naćpanego narkomana? Umrzeć z ręki tępych, bezmózgich opryszków, gotowych strzelać do tłumu dla stu dolarów? Zginąć pod kołami samochodu, za którego kierownicą siedzi pozbawiony skrupułów, nieznający przepisów idiota? Czy to godny koniec dla przedstawiciela rodu Danilewiczów-Lisowskich-Essenów? Jako osoba, która potrafi wyliczyć prawdopodobieństwo, zdawałem sobie sprawę z tego, że odpowiednie, przemyślane i racjonalne zachowanie może ograniczyć do minimum ryzyko takiej śmierci. Ale owo minimum okaże się w sumie nie aż tak nikłe, żeby dało się je zlekceważyć. Można je sprowadzić do zera tylko w sytuacji, gdyby się zamknąć w mieszkaniu, nigdzie nie wychodzić i nikomu nie otwierać drzwi. To nie jest rozwiązanie problemu.

Pozostawały tylko dwa wyjścia pozwalające uniknąć śmierci, którą uważałem za niegodną. Pierwsze – skończyć ze sobą już teraz, nie czekając, aż spotka mnie nieszczęśliwy wypadek albo ciężka choroba. Po głębokim namyśle odrzuciłem to rozwiązanie. Po pierwsze, nie potrafię podnieść na siebie ręki. Nie potrafię i już! Mam normalnie rozwinięty instynkt samozachowawczy. Po drugie, samobójstwo (co wyraźnie pokazał przykład mojej drugiej żony Natalii) budzi w znajomych nie tylko zdziwienie, ale też silne podejrzenie co do stanu psychicznego ofiary, a na to nie mogłem pozwolić. Tego jeszcze brakowało, by o mnie mówiono, że wpadłem

w depresję i zwariowałem! Ja?! Nigdy w życiu na to nie pozwolę.

Jest jednak inne wyjście...

KAMIEŃSKA

Wszystkie ściany w jej gabinecie były zawieszane dużymi arkuszami brystolu. Zgodnie z przyjętym schematem Nastia zapisywała na nich ołówkiem informacje na temat Wiktora Szuwałowa i jego otoczenia, Serafimy Antonowny Firsowej, jej sąsiadów i znajomych, felinologa Kazakowa i jego kontaktów, dozorca Walentina Kazariana, a także tamtych czterech mężczyzn, których wytypowała jako ewentualnych (choć bardzo mało prawdopodobnych) kandydatów do roli Żartownisia. Jeżeli bowiem weryfikować hipotezy, to wszystkie naraz, a nie dopasowując je do własnych zachcianek i życzeń. Docenko, Sierioża Zarubin i włączony do pracy Kola Siełujanow dostarczali jej owe informacje, a ona cierpliwie i metodycznie umieszczała je na schematach i w tabelach, licząc na to, że kiedyś i gdzieś się zbiegną, a może nawet skrzyżują.

Jednocześnie wykonywała polecenie Gordiejewa i przygotowywała szczegółowy raport dla psychologów. Którego dnia i o jakiej porze popełniono zabójstwo, gdzie i w jaki sposób, charakterystyka ofiary, opis miejsca przestępstwa i pozostawionych śladów, zdjęcia figurek, kserokopie kartek. Gdy dotarła do zabójstwa Firsowej, zaczęła się zastanawiać, czy powinna dołączyć do materiałów kasetę wideo z filmem *Siedem*. Z jednej strony, mogą to być wyłącznie jej domysły, niemające żadnego związku ze zbrodniami Żartownisia, co tylko zagmatwa sprawę, ale z drugiej, jeżeli Żartowniś jest rzeczywiście pod wpływem owego filmu, to psycholodzy muszą go zobaczyć.

W miarę sporządzania sprawozdania fakty wskakiwały na swoje miejsca i Nastia nie mogła się nadziwić, że do tej pory nie uporządkowała ich w ten sposób. Nie uporządkowała, bo nie chciała. Bała się bowiem uwierzyć, że gra toczy się przeciwko niej, a nie przeciwko Tatianie. I pragnęła interpretować je inaczej. Nikt nie ma ochoty przyznawać się przed sobą do nieprzyjemnych rzeczy, zwłaszcza gdy są nie tylko nieprzyjemne, ale teże budzą strach. Zawsze była bardzo dumna ze swojego racjonalnego podejścia, zdolności odsuwania na bok emocji i z logicznego myślenia, tymczasem okazało się, że jest taka jak inni i ma rozbudowany instynkt wyparcia. To, co wywołuje niepokój, wypierane jest ze świadomości i zastępowane rozmaitymi usprawiedliwieniami, wymyślonymi argumentami albo nieprawdziwymi faktami.

– Jura, mam się zwrócić do jakiegoś konkretnego psychologa, który pracuje na Pietrowce, czy jest ci wszystko jedno? – zapytała Korotkowa, gdy skończyła wreszcie sprawozdanie.

– To bez znaczenia – odparł. – A co, masz na oku kogoś lepszego niż nasi?

– Łarcewa.

Korotkow posłał jej zdumione spojrzenie, po czym bez słowa sięgnął po papierosa.

– Nie boisz się?

– Juroczka, nie można się bać w nieskończoność. Oboje wiemy, że Wołodia jest dobrym psychologiem, poza tym zna naszą robotę i nasze problemy. Nie ponosimy winy za to, co się stało. Sam tam poszedł i trafił pod kule.

– Ale to my go sprowokowaliśmy – zauważył Korotkow. – Dobrze pamiętam. Gordiejew prowadził go na sznurku i zmusił do zrobienia tego, co zrobił.

– Nieprawda – zaoponowała Nastia. – To prawda, że Pączek zmusił go do kontaktu z przestępcami, ale nikt mu nie kazał szukać adresu Natalii Dachno i do niej iść. Nasza wina polegała tylko na tym, że dowiedzieliśmy się prawdy

o Łarcewie i nie chcieliśmy się z nią pogodzić. Sądzisz, że ma nam to za złe? Minęło pięć lat^[25].

– No dobrze, przypuśćmy. – Korotkow się poddał. – Jesteś jednak pewna, że on nadal zajmuje się psychologią?

– Owszem. Zasięgnęłam języka. Gdy go zwolniono, skończył specjalny kurs na uniwersytecie i doradza różnym firmom w sprawach doboru i organizacji kadr.

– A jak cię przepędzi na cztery wiatry? Pamiętaj, że doznał urazu czaszki. Po czymś takim ludzie stają się wybuchowi i nie panują nad sobą. Zaryzykujesz?

Nastia się roześmiała.

– Mogłabym, oczywiście, powiedzieć, że zaryzykuję, a wtedy zaimponowałabym ci swoją szaleńczą odwagą. Ale nie będę kłamać, już do niego dzwoniłam.

– Poważnie? – Korotkow, nie wiedzieć czemu, się ucieszył. – Jak on się miewa? Ostatnio rozmawiałem z nim chyba ze dwa lata temu.

No właśnie, ze smutkiem skonstatowała Nastia. Pracuje się z kimś ramię w ramię, dzieli z nim niebezpieczeństwa, radości i smutki, a później ten ktoś odchodzi i po pewnym czasie kontakt się urywa. Z każdym miesiącem telefony są coraz rzadsze, bo skoro razem już się nie pracuje, nie ma wspólnych tematów. W końcu przychodzi chwila, gdy człowiek próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio do niego dzwonił, i się okazuje, że było to dwa lata temu.

– Jura, jak sądzisz, czy tylko my straciliśmy ludzkie oblicze w swojej pracy, czy inni są tacy sami? – zapytała.

Korotkow szarpnął ramionami, jakby chwyciły go dreszcze, podszedł do okna i zamknął lufcik. Nalał z dzbanka wody do czajnika elektrycznego, wsunął wtyczkę do kontaktu i ze skupioną miną zaczął wyciągać kubki z szafki.

– Masz ochotę na kawę?

– Mam. Zadałam pytanie, Jura – powtórzyła Nastia z uporem.

– Tylko nie udawaj, proszę, że moja odpowiedź coś dla ciebie znaczy – odparł Korotkow z rozdrażnieniem. – Zaraz zaczniemy moralizować i utyskiwać, jacy się zrobiliśmy podli i niewrażliwi. Zapomnieliśmy o Wołodce, a przecież on został sam z córeczką, w dodatku jest chory. Wytlumaczę ci na przykładzie teściowej. Na pogrzeb przyszło jakieś pięćdziesiąt osób, z czego tylko trzy albo cztery regularnie dzwoniły i interesowały się jej samopoczuciem podczas wieloletniej choroby, z tej trójki czy czwórki tylko jedna osoba zaproponowała pomoc. Skąd więc wzięła się reszta? Kiedyś z nią pracowali, codziennie ze sobą rozmawiali, zajmowali się tymi samymi sprawami. A później, gdy dostała paraliżu... – Zrobił znaczący gest i pstryknął palcami. – Fiuuu! Rozpłynęli się we mgle. Przyszli się jednak pożegnać. Więc nie zwalaj wszystkiego na nasze głowy i na naszą robotę. Wszyscy mają tak samo.

Woda w czajniku się zagotowała, Jura zrobił kawę i podsunął Nastii kubek ze śliczną różyczką oplecioną niebieskimi listkami. Sam pił z wysokiego kubka, na którym widniał groźny buldog.

– Przydzielasz naczynia według płci? – zapytała Nastia, sceptycznie przyglądając się obrazkowi na kubku. – Dziewczynkom – różyczki, chłopcom – psy służbowe.

– Jak chcesz, to możemy się zamienić – odparował. – Dla mnie to żadna różnica, z jakiego kubka piję. Kiedy pojedziesz do Łarcewa?

– Dzisiaj. Skończę tylko kawę i pojedę.

– Pozdrowisz go ode mnie?

– Dobrze, tylko najpierw ładnie zapakuj swoje pozdrowienia – zażartowała.

Przez pewien czas pili kawę w milczeniu. Korotkow ukradkiem przyglądał się Nastii, ona zaś wyczuwała jego spojrzenie, ale nie reagowała. Przeważnie w takich sytuacjach ogarniała ją złość, bo nie znosiła, gdy ktoś w milczeniu się jej

przypatrywał, ale dzisiaj ze zdziwieniem stwierdziła, że nie dba o to. Co za różnica? Przyglądanie się i tak nic nie da. Niedługo Jurij będzie miał jeszcze dwa nieznanne trupy, a później trzeciego, znanego – Nastii. Okropny strach, który ją opanował podczas oglądania filmu *Siedem*, zastąpiły obojętność i kamienny spokój. Wiedziała, że ów spokój bywa niebezpieczny, osłabia uwagę i siłę percepcji; człowiek będący w takim stanie często sam idzie na spotkanie śmierci. Nie dlatego, że jej pragnie, ale dlatego, że nie widzi niebezpieczeństwa, choć powinien.

– Asiu, dlaczego nie chcesz ochrony? – zapytał nagle Korotkow, jakby czytał w jej myślach. – Skoro jesteś pewna, że Żartowniś zamierza cię zabić, postępujesz bardzo lekkomyślnie.

– Facet ma jeszcze w planie dwa zabójstwa, za grzech gniewu i zazdrości. Gdy je popełni, przyjdzie czas na moją ochronę. Muszę ci się przyznać – powiedziała wolno, odstawiając kubek – że czuję się tak, jakbym traciła rozum. To duże obciążenie: wiedzieć, że zginą dwie osoby, niczemu niewinne i niczego niepodważające, i nie mieć żadnej możliwości, by je uratować. Nie udźwignę tego. Żartowniś z jakiegoś powodu chce mnie zabić, ale zanim to nastąpi, mam oszaleć ze strachu, czekając na swoją śmierć, bo on najpierw musi zlikwidować pewną liczbę osób. Tylko pomyśl, Jura. Żeby się na mnie zemścić, zabija innych. Jeżeli popatrzeć na ten obrazek z drugiej strony, wygląda na to, że zrobiłam coś złego, za co spotka mnie straszna zemsta, i w efekcie zginie sześć osób. Cztery już zginęły, dwie to jeszcze czeka. Mam na sumieniu sześć zgonów. Gdybym nie zrobiła czegoś złego, za co Żartowniś wyrównuje ze mną rachunki, wszyscy ci ludzie by żyli.

– Ale przecież zawsze wykonywałaś tylko swoją pracę. I wszystko, co robiłaś, było słuszne i uzasadnione, bo na tym polega ta robota i taki jest twój obowiązek – bardzo poważnie

odparł Korotkow. – Państwo ci za to płaci. Potrafisz wyobrazić sobie taką sytuację, w której państwo oficjalnie by pozwalało i płaciło za to, żeby ludzie robili owe złe rzeczy, o których mówisz? Przestań się zadreć, Asiu, to bez sensu.

Nastia siedziała na krześle, kołysząc się z boku na bok; niewidzącymi oczami wpatrywała się w krawędź sejfu, który stał w rogu pokoju.

– Nie mogę, Jura – wymamrotała ledwie słyszalnie. – Nie mogę przestać się dreć. Wciąż czuję się winna.

– Bzdury! – przerwał jej gwałtownie. – To specyfika naszej pracy albo – jak wolisz – jej koszty. Wszyscy żyją i pracują w ten sposób. Nie dreć się, lepiej jedź do Łarcewa, może on podpowie ci coś ciekawego.

Nastia wiedziała, że Korotkow wcale nie jest ograniczony ani nieczuły i doskonale rozumie to, co mu powiedziała. Jest jednak jej szefem i musi się zachowywać jak szef, a nie jak bliski przyjaciel, którym był przez wiele lat. Szef nie ma prawa się rozczulać nad swoimi podwładnymi, gdy się rozklejają, musi udawać, że jest żelaznym Feliksem, i mobilizować kadrę do bohaterskich czynów, a w najgorszym razie – do rzetelnej codziennej pracy.

Nastia nie widziała Łarcewa od pięciu lat – odkąd na skutek odniesionej rany został zwolniony z organów ścigania – ale parę razy rozmawiała z nim przez telefon. Ciekawe, jak wygląda? – pomyślała, wjeżdżając windą, i natychmiast sobie uświadomiła, że w ogóle jej to nie interesuje. Chyba niewiele rzeczy ją teraz obchodzi, z wyjątkiem Żartownisia i własnej śmierci.

Drzwi otworzyła jej ładna szesnastoletnia dziewczyna – córka Łarcewa, Nadia.

– Dzień dobry, ciociu, wejdz, tata zaraz przyjdzie – powiedziała.

– Nie ma go? – zdziwiła się Nastia. – Przecież się umawialiśmy...

– Poszedł do sklepu po kasetę, bo mu zabrakło czystej – wyjaśniła Nadia takim tonem, jakby Nastia wiedziała, o jaką kasetę chodzi i dlaczego należało ją pilnie nabyć przed jej wizytą. – Sama chciałam to załatwić, ale wstawiłam ciasto do piekarnika i muszę go pilnować. Tata nie dałby sobie rady – na pewno by się spaliło.

Nastia ruszyła do pokoju, a dziewczyna zniknęła w kuchni. Tak, odkąd Nastia była tutaj ostatni raz, dużo się zmieniło. Właściwie wszystko. Są inne meble i tapety, nawet podłoga jest inna. Przedtem był sfatygowany, wiecznie cyklinowany parkiet, a teraz pod nogami leży miękka, puszysta wykładzina dywanowa. Łarcew nie bieduje, to dobrze. Może jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zwolnienie z milicji przyniosło korzyść w postaci dobrobytu, Wołodia może też spędzać więcej czasu z córką.

Gdy jednak pojawił się Łarcew, Nastia zważyła w słusność swoich wywodów. Korzyść, pewnie, tyle że... Wołodia był całkiem siwy, twarz miał pooraną głębokimi zmarszczkami, wyraźnie się przygarbił i, co najbardziej przykre, drżały mu ręce i trzęsła się głowa. Oczy jednak iskrzyły się radością i żyły jakby swoim życiem, nie zważając na schorowany, wyczerpany ciężkim urazem organizm.

– Cześć, Nastiucha! – zawołał wesoło, wchodząc do pokoju i ją obejmując. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę! Nie szkodzi, że przyszedłeś w jakiejś sprawie, a nie w celach towarzyskich, bo okropnie się za tobą stęskniłem. Nadienka! Co z ciastem i herbatą? Nie możemy się doczekać!

Nastii spadł kamień z serca. Łarcew jest wciąż ten sam, nie chowa urazy i nie zamknął się w sobie. Chociaż, jeżeli oceniać po wyglądzie, to chyba nie czuje się najlepiej.

– Twoja córka jest wspaniałą gospodynią – stwierdziła, próbując ciasto.

Łarcew chrząknął znacząco, a Nadia się zaczerwieniła i zmieszała.

– To nie moja zasługa – wyznała. – Kupuję gotowe ciasto, a jako nadzienie wykorzystuję konfitury, które dostajemy od babci każdej jesieni. Parę razy próbowałam sama zrobić ciasto, ale się nie udało. Tata mówi, że do tego potrzeba smykałki.

– Zgadza się – potwierdziła Nastia. – Mój mąż też to powtarza. Nie pozwala mi przygotowywać mięsnych dań, żebym ich nie sknociła. Jest w tym pewna prawidłowość: jak ktoś nie ma smykałki do gotowania, to im bardziej się stara, tym gorzej mu wychodzi.

– A kim z wykształcenia jest twój mąż, ciociu? – zainteresowała się Nadieżda.

– Profesorem – zażartowała Nastia. – Zajmuje się matematyką.

– I naprawdę sam gotuje? – Dziewczyna ze zdumieniem klasnęła w dłonie. – Takie rzeczy się nie zdarzają! Nabierasz mnie, prawda?

– Zdarzają, zdarzają – włączył się Łarcew, nakładając sobie trzeci kawałek ciasta. Choroba chyba nie odebrała mu apetytu. – Sam nieraz obserwowałem to niesamowite zjawisko. Co prawda wtedy jeszcze Aleksiej nie był mężem cioci Nastii. No dobrze, Nadieńko, najedliśmy się. Dziękuję ci, córeczko. Pójdziemy popracować, więc teraz nam nie przeszkadzaj, zgoda?

– W porządku, tato. Posprzątam ze stołu. Mogę później pójść na spacer?

– Z kim? – zapytał Wołodia surowo.

– Z Nikitą.

– Dokąd?

– No... Nie wiem... – Zmieszała się. – Tam, gdzie mnie zaprosi. Chyba do parku.

W oczach Łarcewa zatańczyły gniewne iskierki.

– Do parku? W taką pogodę? Gdy zapada już zmrok? Nie, nie pozwalam.

– Ale, tato...

– Nie ma żadnej dyskusji. Jeżeli chcesz się spotkać z Nikitą, to niech on przyjdzie do nas. Poczęstujesz go ciastem. Obejrzyjcie sobie jakiś film na wideo.

– Tato, ale...

– Powiedziałem „nie”! – uciął Łarcew, w dodatku takim tonem, że nawet Nastia bałaby mu się przeciwstawić. – Zadzwoń do Nikity i go zaproś. Na spacer ci nie pozwalam.

Wrócili do pokoju, którego część była umeblowana jak gabinet. Duże biurko z fotelem dla gospodarza i dwoma fotelami dla gości tworzyły całkiem wygodne warunki zarówno do rozmowy biznesowej, jak i do przyjacielskich pogaduszek. Łarcew zajął jeden z foteli przeznaczonych dla gości i gestem zaprosił Nastię, żeby usiadła naprzeciw niego.

– Aleś ty nieprzejeđnany – powiedziała półgłosem, śmiejąc się. – Trzymasz córkę żelazną ręką, nie pozwalasz...

– Trzymam nie ją, ale Nikitę – odparł Wołodia surowo. – Nadia nie sprawia kłopotów, po tamtym wypadku... no wiesz, o czym mówię. Dobrze wie, że musi słuchać taty, bo on jej źle nie doradzi. Jeżeli przed czymś ostrzega, to znaczy, że niebezpieczeństwo naprawdę istnieje, że to nie czcza gadanina ani głupie rodzicielskie obawy. Ale Nikita to co innego. Odebrał inne wychowanie. Nie mogę za niego ręczyć. Dlatego wolę mieć ich na oku. Nie chcę, żeby się włóczyli po parku.

– Jesteś pewien, że postępujesz słusznie? – z powątpiewaniem zapytała Nastia.

– To bez znaczenia. Liczy się efekt. On zaś jest widoczny jak na dłoni – Nadia wyrosła na dobrą, posłuszną dziewczynę, która nie ma pstro w głowie. Wiesz, że w jej klasie ponad połowa uczniów bierze narkotyki? A przecież to zwyczajna szkoła, nie jakaś specjalna dla trudnej młodzieży. Gdy tylko wypuszczę ją spod swoich skrzydeł, moje miejsce od razu zajmie ktoś inny. Wiesz przecież, że natura nie znosi próżni. No ale dość już o tym, opowiadaj swoją straszną historię.

– Przyniosłam notatki. – Nastia sięgnęła do torby po skoroszyt.

– Zostaw je, przeczytam po twoim wyjściu. Teraz opowiedz wszystko swoimi słowami i nie zapomnij o komentarzach. Włączę dyktafon, nie masz nic przeciwko? – Na widok zdziwionego spojrzenia Nastii dodał: – Chyba widzisz, w jakim stanie są moje ręce. Trzęsą się tak, że nie mogę utrzymać długopisu. Dlatego nie zapisuję niczego na kartce, posługuję się dyktafonem.

A więc o to chodzi, pomyślała. Teraz wiadomo, po co była potrzebna czysta kasetka. Biedny Wołodka!

– To efekt odniesionego urazu? – zapytała delikatnie.

– Ręce? Owszem. Ręce drżą, a głowa się trzęsie jak u zgrzybiałego starca. W wieku czterdziestu pięciu lat wyglądam na co najmniej sto, prawda? Siwy, pomarszczony... Cud piękności! – Rozprostował ramiona, przeciągnął się i wesoło mrugnął do Nastii. – Wiesz, co jest dobrego w psychologii?

– To, że pomaga zrozumieć innych.

– Nic podobnego, Nastiucho! Za cholerę nie pomaga zrozumieć innych. Drugiego człowieka nie sposób zrozumieć, właśnie dlatego, że jest inny, że myśli i czuje inaczej, a ty przykładasz do niego swoją miarę. Psychologia jest dobra z tego względu, że pozwala zrozumieć samego siebie, że dzięki niej można się pozbyć się kompleksów. Zaakceptować sytuację i nie odchodzić od zmysłów, że nie jest taka, jakby się pragnęło.

– Żartujesz? – zapytała Nastia nieufnie.

– Ja? Oczywiście, że żartuję – odparł ze śmiechem. – Ale mówiąc serio... Oczywiście, że wolałbym być młodym, przystojnym oficerem, zrobić wspaniałą karierę w naszej pracy operacyjnej, dosłużyć się stopnia pułkownika i kierowniczego stanowiska, być szczęśliwym mężem, ojcem dwójki dzieci i tak dalej. Co mam zamiast tego? Jestem starym, schorowanym

inwalidą, który z uwagi na stan zdrowia musiał w stopniu majora odejść z organów ścigania; wdowcem, który stracił żonę i dziecko, i omal nie utracił Nadienki. Wszystko ułożyło się nie tak, jak pragnałem i marzyłem. Dosłownie wszystko! A ja tymczasem nadal prowadzę normalne życie, pracuję i, nawiasem mówiąc, nieźle zarabiam, cieszę się opinią dobrego fachowca, wychowuję córkę. Wiesz, co jest najdziwniejsze?

– Co? – zapytała potulnie.

Łarcew zniżył głos do dramatycznego szeptu i wykrzywił twarz w grymasie.

– Najdziwniejsze jest to, że wciąż podobam się kobietom. Nie mogę się od nich opędzić. Gdy patrzę na swoje odbicie w lustrze, zachodzę w głowę: co one we mnie widzą? A gdy sobie przypomnę, że jestem psychologiem, zadaję sobie inne pytanie, słuszne: po co im jestem potrzebny? I bez trudu znajduję odpowiedź. No dobrze, Nastiucha, zostawmy te farmazony. Przejdźmy do sprawy.

Gdy włączył dyktafon, Nastia przystąpiła do relacji. Mówiła długo i tylko raz sięgnęła do teczek. Wołodia chciał obejrzeć zdjęcia ceramicznej rybki i plastikowego ludzika wsuniętego do jej pyska. Całą resztę odtworzyła z pamięci. Kątem ucha słyszała, że trzasnęły drzwi wejściowe i z przedpokoju dobiegł przytłumiony chłopięcy głos – to znaczy, że Nadia zrobiła tak, jak kazał ojciec, i zaprosiła kolegę do domu. Łarcew słuchał ze skupieniem, udając, że ignoruje odgłosy dobiegające zza drzwi. Nastia już niemal skończyła swoją opowieść, gdy zadzwonił telefon. Łarcew podniósł słuchawkę.

– Tak, słucham... A, cześć, Jurka! Miło cię słyszeć. Pozdrowienia? Przekazała, a jakże, nie zgubiła ich po drodze. – Posłał Nastii łobuzerskie spojrzenie. – Tak, oczywiście. – Podał jej słuchawkę. – Do ciebie. Korotkow.

Ogarnęło ją niedobre przeczucie. Czyżby znowu coś się stało? Czyżby kolejny wyczyn Żartownisia?

– Asia? Weź długopis i kartkę, coś ci podyktuję – rozległ się w słuchawce głos Jury.

– Zapamiętam – odparła odruchowo, oddychając z ulgą. Chyba niepotrzebnie się martwiła. Na razie nic się nie stało.

– Nie zapamiętasz. – W głosie Korotkowa pojawiła się irytacja. – Rób, co powiedziałem.

– Dobrze. – Przycisnąwszy słuchawkę ramieniem do ucha, sięgnęła po długopis i kartkę. – Dyktuj, jestem gotowa.

– En, o, en, przerwa, si...

– Co to jest? – przerwała mu Nastia. – Co to za bzdury?

– Litery łacińskie. Wymawiam je po angielsku. No dalej, pisz. Si, ar, i, di, i, przerwa...

Nastia zapisywała automatycznie, już od pierwszego słowa wiedziała, że to kolejny tekst po włosku. A więc stało się...

– ... ar, aj, ti, ej, znak zapytania. Zapisalaś?

– Tak – odparła drewnianym głosem.

– Co wyszło?

– *Non crede, cara mia, che sarebbe ora di ammettere la mia superiorita?*

– I co to znaczy?

– Nie sądzisz, moja droga, że nadszedł czas, byś uznała moją wyższość? – przetłumaczyła Nastia. – Jura, skąd to się wzięło?

– Wiadomo – rzucił Korotkow ze złością. – Stąd, co i cała reszta. Ten kretyń nie potrafi się opamiętać. Długo wam jeszcze zejdzie?

– Nie, wszystko już opowiedziałam Wołodii, teraz będzie myślał.

– Pojedziesz ze mną na miejsce zdarzenia?

– Nie.

– Jak chcesz. Wobec tego zobaczymy się jutro.

Nastia właściwie nie wiedziała, dlaczego nie chciała pojechać z Korotkowem na miejsce, gdzie znaleziono piąte zwłoki. Odmówiła z rozpędu, bez zastanowienia. Jakby wcześniej uznała, że nie pojedzie, gdyby coś się wydarzyło. Może to

właśnie przejaw owego kamiennego spokoju, który jest tak niebezpieczny i zdradziecki? A może Żartowniś ma rację i rzeczywiście nadszedł czas, by uznać jego wyższość, darować sobie bezowocne próby namierzenia i znalezienia go, opuścić rękę, wycofać się i bezmyślnie czekać na śmierć?

[25] Wspomniana historia została opisana w powieści A. Marininy *Ukradziony sen*.

Rozdział 16

KAMIENSKA

Miała wrażenie, że wszystko już było w jakimś innym życiu, wieki temu. Wtedy też szła długim, krętym korytarzem centrum telewizyjnego w Ostankinie, nie wiedząc, dokąd ją prowadzą i jak dotrze z powrotem. A przecież to naprawdę się wydarzyło – nie w innym życiu, ale zaledwie półtora miesiąca temu, w połowie października. Czuła się tak, jakby od tamtego czasu przeżyła całe życie.

– Najpierw do charakteryzatorki – powiedziała asystentka, otwierając drzwi do pomieszczenia.

Nastia się skrzywiła. Nie miała teraz głowy do makijażu.

– Czy to konieczne? – zapytała.

Dziewczyna zerknęła na nią ze zdziwieniem i z dezaprobatą.

– Oczywiście. Ze względu na oświetlenie... Chyba nie chce pani, żeby jej twarz wyglądała na siną, jak u nieboszczyka. I żeby błyszczała.

Do diabła z twarzą, niech sobie będzie błyszcząca i sina, pomyślała Nastia, ale posłusznie weszła do środka. Nie będzie się upierać; dobrze, że dyrekcja jednego z czołowych kanałów telewizyjnych poszła na ręką szefostwu wydziału kryminalnego i zgodziła się wyemitować jej apel. Umówili się, że nagranie pojawi się na antenie trzykrotnie: o siódmej wieczorem, o dziesiątej i o północy.

Nastia usiadła w fotelu, przymknęła oczy i zaczęła powtarzać w myślach tekst wystąpienia. Miała zaledwie czterdzieści sekund. W tym czasie musi powiedzieć wszystko, co uważa za konieczne, i to tak, żeby dotrzeć do tego potwora. Makijażystka nakładała podkład, a Nastia wciąż się zastanawiała, jak powinna się do niego zwracać, na „ty” czy na „pan”. Chyba raczej na „pan”; skoro w grę wchodzi przyznanie

wyższości, musi okazać szacunek dla przeciwnika. Tyle że w „tykaniu” jest coś poufałego, adresowanego do bliskiej osoby. Może zabójca się na to nabierze?

– Gotowe. – Charakteryzatorka zdjęła krótką plastikową pelerynkę z ramion Nastii. – Może pani iść do studia.

W studiu ulokowano ją przy niskiej ławie i przypięto mikrofon do klapy marynarki. Zgodnie z radą Łarcewa włożyła mundur. Żeby każdy, kto ją zobaczy, wiedział, że jest oficerem milicji, a nie przypadkowym cywilem. Żartowniś zaś, jeżeli się im powiedzie i zobaczy ten apel, doceni powagę jej kroku. Występuje bowiem nie jako osoba prywatna, ale jako przedstawiciel organu państwa.

– Jest pani gotowa?

– Tak.

– Gdy zapali się czerwona lampka, proszę zaczynać. I patrzeć w kamerę.

Lampka się zapaliła i Nastia powiedziała:

– Zwracam się do mężczyzny, który zabił pięć niewinnych osób. Dotarł do mnie pański list. Niełatwo mi się zdobyć na te słowa, ale przyznaję panu rację. Przyznaję pańską wyższość. Naprawdę jest pan ode mnie mądrzejszy, nie jestem w stanie zgłębić pańskiej logiki i nie potrafię zrozumieć sposobu działania. Jest pan osobą niezwykłą. Poddaję się. Proszę tylko o jedno: niech pan nikogo więcej nie zabija. Już mi pan wszystko udowodnił, nie trzeba płacić za to tak strasznej ceny. Wiem, że zamierza pan zabić jeszcze dwie osoby. Proszę je pozostawić przy życiu. Dziękuję, że mnie pan wysłuchał.

Czerwona lampka zgasła.

– Trzydzieści pięć sekund – powiedział reżyser. – Jeżeli pani chce, możemy powtórzyć nagranie, będzie pani mogła dodać coś jeszcze.

– Nie trzeba, powiedziałam wszystko, co chciałam.

– Dobrze, puścimy to na antenie jeszcze dzisiaj. Lusia panią odprowadzi. Tak jak uzgodniliśmy, przygotujemy

wprowadzenie do pani wypowiedzi. Wspomnimy o sytuacji z telemostem, odwołamy się do wywiadu z Obrazcową, podamy pani stanowisko i stopień.

– Dziękuję.

Idąc za Lusią długimi, źle oświetlonymi korytarzami do wyjścia, Nastia wracała myślami do swojego wystąpienia i zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, mówiąc: „Wiem, że zamierza pan zabić jeszcze dwie osoby. Proszę je pozostawić przy życiu”. Analizowała tę kwestię wczoraj i dzisiaj przed nagraniem, ale stwierdziła, że skoro już uznaje wyższość Żartownisia, musi być wiarygodna. Skoro mówi, że on jest mądrzejszy, powinna to naprawdę okazać. Nie ma pojęcia, że zostanie siódmą ofiarą. Niech Żartowniś sądzi, że nie jest bystra i nie odgadła jego zamysłu. Może dzięki temu oszczędzi przynajmniej szóstą ofiarę. Rozumowanie wydało jej się rozsądne, ale teraz znowu ogarnęły ją wątpliwości. Czy na pewno dobrze skonstruowała wystąpienie? No i czy w ogóle ma rację, zwracając się do Żartownisia za pośrednictwem telewizji?

Na ulicy czekał na nią Korotkow. Nastia nie miała ochoty podróżować w mundurze środkami komunikacji miejskiej, więc Jura zaproponował, że ją zawiezie.

– No i jak? – zapytał, gdy wsiadła do samochodu.

– Nie wiem. Zobaczymy wieczorem, co wyszło.

Gdy zapalała papierosa, drżały jej palce.

– Sądzisz, że to coś da?

– Nie wiem – powtórzyła. – Ale musimy przecież coś robić.

Jura, masz znajomego notariusza?

– Notariusza? Musiałbym się zastanowić. A po ci on?

– Chcę się poradzić w kwestii testamentu.

Korotkow nieco zwolnił i posłał jej zdumione spojrzenie.

– Jakiego testamentu?

– Mojego.

– Nie rozumiem...

– Gdyby coś mi się stało... To znaczy, gdyby Żartowniś zrealizował do końca swój plan, nie chciałabym, żeby Loszka i rodzice mieli problemy z moim mieszkaniem. Wiem, że korowody prawne trwają w nieskończoność. Trzeba zebrać tonę dokumentów, by udowodnić prawo do spadku oraz to, że nie ma innych spadkobierców. I czekać sześć miesięcy, zanim nastąpi otwarcie spadku. Zacznie się też zamieszanie z kontami w S Bierbanku.

– Trzymasz pieniądze w S Bierbanku?

– No a gdzie? Loszka wpłacił honoraria na konto w Inkombanku, teraz plujemy sobie w brodę. Wiesz, co jest najbardziej przykre? Że otworzył tam konto wcale nie z powodu większych odsetek od wkładów. Znacznie wygodniej było mu trzymać pieniądze w S Bierbanku, bo oddział znajduje się w sąsiednim budynku. Otworzył tam konto walutowe, żeby księgowano mu zagraniczne honoraria, a tymczasem pieniędzy wciąż nie ma. Zapytał Chicago, mieli mu stamtąd przelać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a z Chicago odpowiadają O, że pieniądze już dawno poszły i przefaksowali mu kopię przelewu. Loszka pobiegł do S Bierbanku, pokazuje kwit, a tam wzruszają ramionami, że niby nic nam o tym nie wiadomo, trzeba szukać. I co na to powiesz? Mijają kolejne dwa miesiące, ktoś dzwoni z Chicago i mówi, że pieniądze do nich wróciły. To znaczy, że jakiś łajdak ze S Bierbanku nie zaksięgował pieniędzy na koncie Loszki, ale obracał nimi przez pół roku, zarobił na tym, a później udał głupiego i zwrócił – że niby nie możemy znaleźć beneficjenta. Mój Cżisitakow machnął ręką na S Bierbank i otworzył konto w Inkombanku. Pieniądze wpłynęły następnego dnia. Teraz mamy efekt. – Westchnęła. – Boimy się nawet zbliżyć do prywatnych banków. Oszczędzamy, ile się da, zbieramy na podatki. Loszka ma swoje konto, w Żukowskim, a ja swoje, w Moskwie.

– A po co dwa? – zdziwił się Korotkow.

– Żeby łatwiej było operować pieniędzmi. Kto ma czas, ten idzie. Poza tym mam też osobno konto, z którego opłacam bieżące rachunki. To bardzo wygodne dla takich próżniaków jak ja. Otwierasz konto, wpłacasz pieniądze i dajesz zlecenie, żeby co miesiąc przelewano tyle i tyle za mieszkanie, tyle i tyle za telefon, tyle i tyle za prąd. Ja przecież wciąż zapominam płacić w terminie. Za mieszkanie to jeszcze pół biedy, rośnie tylko kara, ale telefon mogą przecież wyłączyć, jeśli się nie zapłaci. Pamiętam, że gdy otwierałam konta, była tam kartka, na której mogłam napisać, komu zapisuję wkład. Przebiegłam ją wzrokiem i roześmiałam się w duchu – że niby mnie to nie dotyczy. I nic nie wpisałam. Głupio zrobiłam. Muszę tam wpaść i się dowiedzieć, jak to załatwić. Mam też jeszcze jeden problem ze S Bierbankiem. Wynajmuję tam sejf, przechowuję w nim prezenty od Loszki. Chyba pamiętasz, bransoletka ze szmaragdami, kolczyki – krótko mówiąc, wszystko, co mi podarował. Jeżeli ktoś nam okradnie mieszkanie albo wybuchnie w nim pożar, przynajmniej coś ocaleje. Jeżeli... no wiesz, o czym mówię, no więc wtedy Loszka nie będzie mógł zabrać rzeczy z sejfu. Na ten temat też musi się znaleźć wzmianka w testamencie.

Korotkow zatrzymał auto przy chodniku i odwrócił się do Nastii.

– Mówisz to wszystko poważnie?

– Jak najbardziej.

– I nie wstyd ci?

– Dlaczego mam się wstydzić?

– Dlatego że wierzysz w to, że Żartowniś cię dopadnie, a my cię nie ochronimy.

– Ale przecież on mnie dopadnie – zauważyła Nastia spokojnie. – Jeżeli nie wpłynie na niego to, co dzisiaj wyemitują w telewizji, niedługo będziemy mieć szóstego trupa. Wtedy moje dni będą już policzone. Czemu się zatrzymałeś? Jedźmy.

– O nie, droga koleżanko, nigdzie nie pojedziemy, póki nie porozmawiamy i czegoś nie ustalimy. Naprawdę nie wierzysz, że cię ochronimy?

Nastia uśmiechnęła się słabo i pogłaskała Korotkowa po ramieniu.

– Juroczka, mówisz teraz głosem szefa, który nie ma prawa wątpić w swoich podwładnych i powinien podtrzymywać ich na duchu. Wszystko robisz, jak należy. Ale nie musisz mnie oszukiwać, wystarczy, że sama się oszukiwałam przez niemal półtora miesiąca. A zresztą cała ta historia z testamentem nie ma bezpośredniego związku z Żartownisem i z twoją umiejętnością zapewnienia mi ochrony. Żartowniś to tylko powód, bodziec do tego, żeby pomyśleć o ewentualnej śmierci. Niekoniecznie muszę zostać siódmą ofiarą tego wykolejńca. Całkiem możliwe, że zginę w wypadku samochodowym, porazi mnie prąd, otruję się starymi konserwami albo trafię do nierzetelnego dentysty i zarażę się AIDS. Każdy z nas może umrzeć w dowolnej chwili, Jura. To nieprzyjemna myśl, usuwamy ją ze świadomości, bo czyni nasze życie nieznośnym i pozbawia je perspektyw. Jednakże ignorowanie jej nie zmieni mechanizmu życia. Bo ono jest właśnie takie, rozumiesz? Człowiek to krucha istota, organizm może nas zawieść z niezliczonej liczby powodów, tak nas stworzyła natura. Nikt nie może być pewien, że doczeka późnej starości. Dlaczego przyjęło się uważać, że sporządzaniem testamentu należy się zająć dopiero koło siedemdziesiątki? Są tacy, którzy nawet w wieku dziewięćdziesięciu lat o nim nie myślą. Gdy zrozumiałam, że Żartowniś zamierza mnie zabić, otworzyły mi się oczy. Nagle sobie uświadomiłam, że naprawdę mogę wkrótce umrzeć. Mogę. Wkrótce. Umrzeć – powtórzyła wolno, jakby wsłuchując się w swoje słowa. – Z jednej strony, muszę się postarać temu zapobiec. Ale z drugiej, powinnam zrobić, co tylko możliwe, żeby moja śmierć, jeżeli jednak do niej dojdzie, sprawiła moim bliskim jak najmniej problemów

i zamieszania. Idealnie byłoby wykupić jeszcze miejsce na cmentarzu albo w kolumbarium, żeby Loszka się tym nie kłopotał. Nie wiesz, jak to się robi?

Korotkow siedział z poszarzałą twarzą i zapadniętymi oczami. Patrzył na Nastię z takim przerażeniem, jakby miał przed sobą nieboszczyka, który wstał z grobu.

– Co ty mówisz? – powiedział, z trudem dobierając słowa. – Czy ty się w ogóle słyszysz?

– Słyszę, Juroczka. Z moim słuchem wszystko w porządku.

– Ale z głową nie! – Wybuchnął. – Czemu się żegnasz z życiem? Całkiem ci odbiło?!

– Jura –powiedziała Nastia z wyrzutem, uśmiechając się. – Fe, jak niegrzecznie rozmawiasz z damą, w dodatku z twoją podwładną, i używasz obcesowych słów.

– Użyję jeszcze mocniejszych, jeżeli nie przestaniesz strugać wariata! Zaraz cię... Zaraz cię... – Zabrakło mu tchu z wściekłości. – Zaraz cię zamknę w mieszkaniu i nigdzie nie wypuszczę, póki nie schwytały Żartownisia, jasne?

– A on podłoży bombę pod dom, nie będzie przebierał w środkach – zaoponowała spokojnie.

– Postawimy ochronę wokół domu.

– Naprawdę? I kto ci na to pozwoli? Czy ja jestem ministrem obrony? Prezydentem kraju? A zresztą zauważ, że nasz Żartowniś jest pomysłowy i wytrwały. Wiesz, co zrobi w odpowiedzi na twoją ochronę? Poobserwuje dom, wypatrzy odpowiednią osobę, zagadnie ją, poprosi o zanieśenie torby na klatkę schodową i zaferuje za to niemałą sumkę. Opowie przy tym taką bajeczkę, że nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Oto cała historia. Dosyć, Jura, odpuść sobie morały na temat życia wiecznego. Jedźmy do pracy.

Korotkow uruchomił silnik i przez całą drogę na Pietrowkę milczał ponuro.

ZABÓJCA

Drugim sposobem pozwalającym uniknąć śmierci, którą uważałem za niegodną, była śmierć z ręki wroga. Nie chodziło jednak o pospolitego rzezimieszka, ale o najprawdziwszego wroga, który usiłuje wyrzucić krzywdę mojej ojczyźnie. Potrafiłem bowiem prawdziwie ją kochać. Nauczył mnie tego ojciec, bezgranicznie oddany interesom swojego (oraz mojego!) kraju i gotów służyć mu do ostatniej kropli krwi. Samo słowo „ojczyzna” było dla mnie święte, a stwierdzenia „jeżeli ojczyzna zażąda” nie traktowałem bynajmniej jako pustego frazesu.

Od dzieciństwa słyszałem od ojca, że nasz kraj jest najlepszy, najsprawiedliwszy i najpiękniejszy, więc powinienem być dumny z tego, że się w nim urodziłem, że tutaj mieszkam, i czuć się wyróżniony, gdy los podaruje mi okazję, bym mógł zrobić coś dla jego dobra. Nie miałem powodu podawać w wątpliwość jego słów. Babcia, rzecz jasna, nie podzielała tych poglądów, ale dowiedziałem się o tym, dopiero gdy dorosłem. W dzieciństwie i w młodości ani razu od niej nie usłyszałem, że kraj, w którym żyjemy, nie jest wcale tak dobry i sprawiedliwy, jak przyjęło się oficjalnie uważać. Tylko raz mogłem poznać jej opinię na ten temat – było to podczas tamtej rozmowy ojcem, gdy go poprosiła, żeby zmienił pracę, przeprowadził się do Moskwy i był bliżej syna, to znaczy mnie. Ale rozmowa ta, po pierwsze, odbyła się w gabinecie w cztery oczy z tatą i nie była przeznaczona dla moich uszu, a po drugie, nie pozostawiła w mojej pamięci najłżejszego wspomnienia antypatriotycznej postawy babci, bo najważniejsza była w niej informacja o ojcu. Dowiedziałem się, że wcale nie pracuje przy łopacie, ale jest cenionym naukowcem, który zajmuje się nowymi rodzajami uzbrojenia. To napełniło moje dziesięcioletnie serce taką radością i dumą, że całą resztę zignorowałem. Babcia, mimo że miała trudny charakter, okazała się osobą nad wyraz mądrą, bo doskonale

rozumiała, że skoro będę musiał jednak żyć w tym kraju, to nie warto wślaczać mi do głowy myśli ani uczuć, które utrudnią adaptację do rzeczywistości znienawidzonej przez starą arystokratkę.

Adaptacja zaś była nader pomyślna. Szczerze kochałem swoją ojczyznę i z całego serca pragnąłem być jej przydatny. Pomimo wszystko, pomimo zmiany władzy i likwidacji starego systemu wartości moralnych, pomimo ekonomicznych i politycznych zawirowań, które wyraźnie podważały teorię, że jesteśmy „naj”. Jak mówią Anglicy: *My Motherland, right or wrong*. Ma rację czy nie, ale to moja ojczyzna. Kocham ją i jestem z niej dumny. Żadne ekonomiczne ani polityczne wstrząsy nie zachwieją moim przekonaniem ani go nie wykorzenia.

A zatem w świetle tego, co powiedziałem wyżej, zrozumiałem, że godna śmierć to śmierć z ręki wroga, który dokonał zamachu na interesy mojej ojczyzny.

Afganistan już się skończył, i to niesławnie, ale zaczęły się konflikty zbrojne w innych punktach zapalnych. Nie mogłem pojechać tam samowolnie, bo nie pozwalała mi na to dyscyplina, zaszczepiona przez babcię i ojca i wzmożona latami pracy w resorcie wojskowym. Obijałem progi gabinetów i tworzyłem niekończące się pisemne raporty, z których wynikało, że muszę koniecznie znaleźć się w warunkach bojowych. Ale z jakiegoś powodu tylko ja dochodziłem do tego wniosku. Odmawiano mi, tłumacząc, że potrafię dobrze robić broń, ale nie umiem się nią posługiwać. Na wojnie potrzeba mięsa armatniego, a nie fachowców z zakresu obronności, którzy są wykorzystywani w czasach pokoju. Nie zakomunikowano mi tego wprost, rzecz jasna, ale musiałbym być kompletnym idiotą, żeby nie zrozumieć. Konflikty powoli wygasaly. Spośród miejsc, w których można było oddać życie w interesach ojczyzny, pozostały tylko Czeczenia i Tadżykistan. W dodatku pojęcie „interesów kraju” uległo

dziwnej transformacji. Mógłbym przymknąć na to oko i pozostać gorącym, szczerym patriotą, który uwielbia swoją ojczyznę, gdyby nie mrozące krew w żyłach szczegóły śmierci naszych chłopców. Ktoś może mnie zabić z ukrycia albo porwać, a za miesiąc podrzucić ciało z odciętą głową i bez genitaliów. I nikt nigdy mnie nie rozpozna, opuszczę ten świat zapomniany albo jeszcze gorzej – uznany za kogoś, kto przeszedł na stronę przeciwnika. Czy takiej śmierci pragnąłem? Nie, nie i jeszcze raz nie.

Miesiące męczących rozmyślań przyniosły efekt. W końcu wpadłem na pomysł, jak rozstać się z życiem, zachowując przy tym wszystkie konieczne warunki. Moje odejście musi być piękne. Żeby wszyscy je zapamiętali i żebym nie zginął anonimowo. Co więcej, musi zmusić innych do refleksji na temat własnej śmierci i przygotowania do niej. Musi się wydarzyć w niedalekiej przyszłości, póki jestem jeszcze względnie zdrowy i nie zamieniłem się w cuchnącą, niedołączną kukłę. I wreszcie najważniejsze: musi do tego dojść w imieniu ojczyzny, zgodnie z jej wolą i życzeniem. Tylko z jej rąk jestem gotów przyjąć śmierć. I tylko w tym wypadku będzie ona godna.

DOCENKO

Piątą ofiarą Żartownisia została niejaka Swietłana Jastriebowa, lat dwadzieścia pięć. Zabójca znowu zostawił rybkę z ludzikiem i kartkę, ale pieniędzy na pogrzeb tym razem też nie było. Zresztą nic w tym dziwnego. Jastriebowa była żoną bardzo zamożnego biznesmena, środki na pogrzeb na pewno by się znalazły. Wygląda na to, że Żartowniś skończył z nędzarnikami i zaczął likwidować ludzi majątnych. Najpierw staruszka Firsowa, teraz żona biznesmena.

– A może ma pseudokomunistyczne poglądy? – zasugerował Sierioża Zarubin. – Nie powinno być ani biednych, ani bogatych... Coś w tym rodzaju.

– Aleś wymyślił! – Docenko się roześmiał. – Nawet najzagorzalsi komuniści nie osiągnęli takiej apoteozy.

– Przecież to świr – nalegał Zarubin. – Kto wie, co sobie ubzdurał. Czemu się śmiejesz? Musi być jakiś logiczny łańcuch. Troje biednych, dwoje bogatych. Pamiętasz z dzieciństwa książkę Eysencka *Sprawdźcie swoje zdolności*? Były tam różne zadania, między innymi należało dokończyć ciąg podanych liczb i liter. Tak więc mamy dwie opcje. Albo troje biednych i troje bogatych, albo troje biednych, dwoje bogatych i jeszcze ktoś. Musimy tylko odgadnąć kto.

Przechadzali się po pierwszym piętrze drogiego moskiewskiego sklepu British House na Nowym Arbacie. Michaił umówił się przed wejściem z Iriną. Z okazji Dnia Milicjanta dostał sporą nagrodę, więc uznał, że zacznie kupować noworoczne prezenty, póki ma pieniądze. Zgodnie z jego zamysłem Ira miała wystąpić w roli konsultantki do spraw zakupu prezentów dla kobiet. Godzinę przed randką Docenko spotkał się z Sieriożą Zarubinem, żeby omówić informacje zdobyte na temat piątej ofiary. Razem dotarli do Nowego Arbatu i zatrzymali się w uzgodnionym miejscu, postanawiawszy przedyskutować najpilniejsze kwestie przed przyjściem Iry. Ona jednak nie pojawiła się o wyznaczonej godzinie. Zaniepokojony Docenko zadzwonił do niej do domu; telefon odebrała Tatiana i serdecznie go przepraszając, wyjaśniła, że Ira wyszła dosłownie kwadrans temu, ponieważ ona, Tatiana, się spóźniła, a Griszy nie można było zostawić samego.

– Muszę zacząć jeszcze co najmniej czterdzieści minut – oznajmił Docenko, wracając do Siergieja, który na wszelki wypadek stał nadal przy wejściu, żeby nie przegapić Iroczi. – Pójdiesz już czy zostaniesz?

– Zostanę – odparł Siergiej stanowczo. – Obgadamy jeszcze szczegóły. Ale tutaj panuje straszliwy ziąb. Może wejdziemy do środka? Za czterdzieści minut wyjdziemy.

– Dobry pomysł – przyznał Michaił.

Parter sklepu ich nie zachwycił, sprzedawano tam odzież i obuwie, a Docenko nie planował kupować tych rzeczy na prezenty. Pierwsze piętro wydało im się znacznie ciekawsze.

– Zobacz, co za cacko! – Siergiej gwizdnął z podziwem, obracając w rękach małą drewnianą kulkę, która wydzieliała egzotyczny zapach. – Do czego to służy? Pachnie obłędnie!

– Nie mam pojęcia. Daj, zerknę.

Docenko wyciągnął rękę i wziął od niego kulkę. Przysunął ją do twarzy, parę razy pociągnął nosem i uśmiechnął się błogo.

– A-ależ pachnie. Proszę pani! – zawołał do ekspedientki. – Co to takiego?

Kobieta uśmiechnęła się wyrozumiale. Jej mina bardzo wyraźnie pokazywała, co sądzi na temat takich oto klientów, którzy przychodzą do drogiego sklepu nie wiadomo po co i nawet nie wiedzą, co się w nim sprzedaje.

– To zapachowe kulki do szafy – wyjaśniła, patrząc w bok, jakby dwaj młodzi mężczyźni w ogóle jej nie interesowali. – Kładzie się je na półce z ubraniami i wszystko przechodzi zapachem.

– O-o! – rzucił Michaił z entuzjazmem. – Super! Zobacz, Sierioża, tutaj jest tego mnóstwo, pewnie zapachy też różne. Świetny prezent, nie sądzisz?

Z zapałem uczniów, którzy uciekli z lekcji, zaczęli przeglądać leżące w dużych koszach kule różnych kształtów i rozmiarów i studiować zapachy.

– A powąchaj tę...

– A ta jaka ekstra...

– Ta to w ogóle...

Usatysfakcjonowani odorologicznymi badaniami, ruszyli dalej, tam, gdzie na wystawach widniały naczynia. Genialną

myśl na temat „logicznego łańcucha: troje biednych – dwoje bogatych – i jeszcze ktoś” Zarubin wyartykułował w owej dramatycznej chwili, gdy Docenko oglądał talerze „do dań na gorąco” – białe z bladozielonym, wypukłym wzorem.

– Jesteś nad wiek rozgarnięty, Sierioża. – Michaił pokręcił głową, oglądając talerz ze wszystkich stron, jakby próbował dojrzeć na nim coś niezwykłego. – Jak sądzisz, czy taki serwis nada się na prezent ślubny, gdy będę się żenił?

– Zależy z kim – doprecyzował Zarubin rozsądnie.

– Z Irką.

– Jeżeli z nią, to w porządku, ona to doceni, bo zajmuje się domem.

– Załatwione, kupię go, gdy przyjdzie pora. No więc wracając do naszego Żartownisia, przy okazji powiem, że podczas gromadzenia informacji na temat piątej ofiary wypłynął jeden ciekawy fakt. Swietłana Jastriebowa przez półtora roku leczyła się w klinice psychiatrycznej w związku z próbami samobójczymi. A lekarz, który się nią zajmował po wypisaniu, powiedział mi nie dalej jak dzisiaj, że w trakcie kuracji zablokowano jej zdolność do wyrządzenia sobie krzywdy, a zwłaszcza do odebrania życia. Nie zdołano jednak skorygować jej negatywnego stosunku do życia. Przetłumaczyć ci na rosyjski?

– Nie jestem przecież tępy – burknął Zarubin z urazą. – Innymi słowy, kobieta nie chce żyć, a nie może umrzeć. Dobrze zrozumiałem?

– Przecież mówię, że jesteś nad wiek rozgarnięty – mruknął Docenko. – A wiesz, dlaczego nie chciała żyć?

Podczas gdy Misza opowiadał Siergiejowi smutną historię Swietłany Jastriebowej, zdążyli obejrzeć wszystkie naczynia znajdujące się w asortymencie i zgodnie ruszyli do działu z artykułami łazienkowymi.

– Tylko popatrz, Sierioża, co za gąbka! Aż szkoda się nią myć. Trzeba by ją oddać do muzeum, a nie umieszczać w łazience.

No więc, drogi kolego, trochę pogłótkowałem, bo chciałem pojąć, jak to się mogło stać, że porządna w każdym calu Swietłana Jastriebowa udała się nie wiadomo gdzie z nieznanym facetem. W dodatku nie była pijana. Eksperci medycyny sądowej nie znaleźli najmniejszych śladów alkoholu. O rany, zobacz, co za ręczniki!

– Odpuść sobie. – Zarubin się rozgniewał. – Mówmy o sprawie.

Docenko odłożył ręcznik i sięgnął po szczotki na drewnianych rączkach.

– Nieźle – powiedział z uznaniem. – A z ciebie jeszcze żółtodziób. Jak się zdecydujesz na małżeństwo, wtedy mnie zrozumiesz. Jeszcze sobie popatrzę, jak będziesz latał po sklepach z wywieszonym językiem. Wróćmy zatem do *madame*. Dlaczego poszła z Żartownisem? Odpowiedz, nieżonaty kolego.

– Dlatego że go znała.

– Słusznie. A inne opcje?

Zarubin zamyślił się, starając się nie rozglądać na boki, bo niesłychane bogactwo artykułów gospodarstwa domowego odwracało jego uwagę i uparcie kusilo, żeby pomarzyć o rzeczach przyjemnych i nieziszczalnych. Na przykład o własnym piętrowym domu...

– Zabójca musiał znać jej problemy. Wiedział, jak i o czym z nią rozmawiać; wiedział, że ona nie chce dłużej żyć. Nawiasem mówiąc, Jastriebowa nie musiała go znać. Raczej nie należał do grona jej znajomych, bo w przeciwnym razie można by go było łatwo namierzyć. A to ostrożny facet, nie popełnia żadnych głupstw.

– Znowu powtórzę, żeś rozgarnięty – powiedział Docenko z przekąsem. – Słusznie, ja również doszedłem do tego wniosku. A teraz zadam ci najważniejsze pytanie, Sierioża. Skąd on mógł wiedzieć o tym wszystkim? Odpowiadaj, i to

szybko, z moich szacunków wynika, że Irka będzie na dole za trzy minuty.

– Wobec tego chodźmy. – Zarubin westchnął. – Nie wypada, żeby czekała.

– Wykręcasz się? Nie znasz odpowiedzi i dlatego udajesz dżentelmena? – Docenko nie mógł się powstrzymać, żeby nie dociąć Zarubinowi.

Ten zaś zerknął na niego przelotnie i się odwrócił. Niemal zbiegli po ruchomych schodach na parter i wypadli na ulicę. Irina stała już przy wejściu i niespokojnie wpatrywała się w tłum, który przewalał się ulicą.

– Irisza, jesteście tutaj! – zawołał Michaił.

Podbiegła do niego i zawisła mu na szyi.

– Ojej, jak dobrze, Miszeńka. Już się bałam, że sobie poszedłeś. Cześć, Sierioża.

– Witaj. No to trzymajcie się, leczę. A tobie, miłośnikowi ożenku, na odchodne powiem: Żartowniś wiedział o tragedii Jastriebowej, bo był tam, gdzie się wydarzyła. Doszło do niej na oczach sporej liczby osób, nie wszystkich Swietłana znała osobiście. I jeszcze, miłośniku żeniaczki, przyjmij ode mnie prezent ślubny: do tragedii z synem Jastriebowej doszło w Hiszpanii, a tam mówią tym samym językiem co w Meksyku. Oba kraje łączą stosunki handlowe, i to chyba dość ożywione. Czy *mademoiselle* pozwoli pocałować się w rączkę?

Zdezorientowana Ira posłusznie podała Sierioży rękę, na której ten złożył szarmancki pocałunek. Potem pomachał Michaiłowi na pożegnanie, odwrócił się i zniknął w tłumie.

Docenko pokręcił głową, patrząc w ślad za nim.

– Naprawdę jest nad wiek rozgarnięty.

IRINA

– Powtórz, proszę, jeszcze raz, co było na kartkach – poprosiła Ira.

– Po co? – zdziwił się Michaił.

– No bardzo cię proszę.

– Nic nie rozumiem. Bawisz się w detektywa? Iriszo, mieliśmy się zająć czymś przyjemnym, przejść się po ciekawym sklepie, wybrać prezenty, a ty wszystko psujesz. Przez dwie godziny rozmawiałem na ten temat z Sieriożką, a teraz ty chcesz...

– Proszę cię – powtórzyła stanowczo.

– No dobrze. – Docenko się poddał.

Wyciągnął notes, przekartkował go i zacytował jej teksty umieszczone na kartkach, które zostawił Żartowniś koło zwłok Kazariana, Firsowej i Jastriebowej.

– Zadowolona? – rzucił gniewnie, chowając notes.

– Dziękuję – odparła krótko.

– Teraz wytłumacz, o co chodzi.

Wytłumacz... Czy ona potrafi to wytłumaczyć? Misza będzie z niej kpił, nazwie domorośłym Sherlockiem Holmesem albo niewydarzoną Miss Marple. Właśnie tak ochrzcili ją Stasow i Tatiana, gdy ubiegłej zimy dała upust swoim strachom i podejrzeniom. Pokładali się ze śmiechu! Trzeba, co prawda, przyznać, że Ira też się śmiała.

Historia okazała się naprawdę zabawna. Dni były bardzo ciepłe jak na zimę, termometr pokazywał parę stopni powyżej zera, a kaloryfery buzowały, jakby za oknem panował trzaskający mróz. W mieszkaniu nie dawało się oddychać, a w nowych oknach z jakiegoś powodu nie zaprojektowano lufcików. Ira otworzyła na oścież okno w kuchni, gdzie przy włączonej kuchence elektrycznej trudno było wytrzymać, i zabrała się do szykowania obiadu. Nagle jej uwagę przyciągnęły głośne głosy dobiegające z mieszkania sąsiada. Słysząc je było dobrze, widocznie sąsiad, którego Ira jeszcze nie знаła, też otworzył okno z powodu gorąca.

– Jak pan śmie! – grzmiał męski głos. – Że też ma pan czelność proponować mi coś takiego!

Odpowiedział mu inny głos, też męski, ale nieco przytłumiony, więc Ira nie zdołała rozróżnić słów.

– Niech się pan stąd zabiera! Zabraniam panu nawet myśleć o tym! Łajdak!

I znowu w odpowiedzi zaszemrał czyjś niewyraźny głos. Na krótką chwilę wszystko ucichło, a potem rozległ się łoskot – jakby ciężkie ciało bezwładnie zważyło się na podłogę. Parę sekund później trzasnęły drzwi i dog sąsiada zaniósł się ogłuszającym szczekaniem.

Ira poczuła się nieswojo. Wytarła w fartuch ręce uwalane mąką, ostrożnie otworzyła drzwi mieszkania, wyjrzała na klatkę schodową i zdrętwiała z przerażenia. Od drzwi sąsiada do drzwi windy ciągnęły się ślady krwi. Świeżej, nie zaschniętej. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, nie mogła zebrać myśli. Co się stało? Ktoś zamordował sąsiada? A może to on zabił swojego gościa, bo ten ośmielił się zaproponować mu coś strasznego? Albo go zranił, ale nie śmiertelnie?

Ira bez wahania podbiegła do drzwi mieszkania obok, starając się nie wdepnąć w krew, i z całej siły nacisnęła guzik dzwonka. Pies wciąż ujadął, ale nikt nie podszedł do drzwi. Ira nie zdejmowała palca z dzwonka; pomyślała, że może sąsiad jest tylko ranny, zaraz zbierze siły i jeżeli nawet nie otworzy, to przynajmniej powie, że potrzebuje pomocy. Z powodu głośnego szczekania nie słyszała jednak, czy oprócz psa ktoś jeszcze jest w mieszkaniu. Po dziesięciu minutach bezowocnych wysiłków wróciła do siebie i zdjęta paniką, zadzwoniła najpierw do Tatiany, później do Stasowa, a na końcu – na wszelki wypadek – do Nastii.

– Stało się coś strasznego! – zduszonym głosem krzyczała do słuchawki. – Ktoś zabił naszego sąsiada! Cała klatka schodowa jest we krwi! Zróbcie coś!

Pierwszy zjawił się Stasow. Jego zagraniczne auto było szybsze niż rozklekotane żiguli Korotkowa, który, długo się nie namyślając, postanowił pojechać z Nastią. Stasow zostawił Irę w mieszkaniu, a sam zadzwonił kontrolnie do drzwi sąsiada. Ku jego szczeremu zdumieniu drzwi się otworzyły. Sąsiad stał przed nim w starym dresie, cały i zdrowy, z mokrą szmatą do podłogi w rękach.

– Pewnie chodzi panu o krew? – zapytał od razu. – Proszę się nie denerwować, zaraz wszystko zetrę.

Ira nie wytrzymała, podkradła się pod otwarte drzwi i słuchała z zapartym tchem.

– Nie żebym się denerwował – odparł Stasow, dyskretnie próbując zajrzeć do środka. – Każdy się jednak zaniepokoi, gdy z mieszkania dobiegają krzyki, później słysząc łoskot padającego ciała, a na końcu cała klatka schodowa jest wymazana krwią. Chyba pan nie zaprzeczy...

Jego tyradę przerwał głośny rechot. Sąsiad śmiał się tak gwałtownie, że aż upuścił szmatę. Śmiech wydał się Irze upiorny, rodem z piekieł. To szaleniectwo, pomyślała, dygocząc z przerażenia. Zabił człowieka, a teraz jak gdyby nigdy nic zmywa krew. I jeszcze się śmieje! Ma powód do radości! O Boże, zaraz wykończy Władika, a później mnie.

– Przepraszam, jak pana godność? – zapytał sąsiad, gdy nieco się uspokoił.

– Władisław Nikołajewicz.

– Bardzo mi miło. A ja jestem Andriej Timofiejewicz. Drogi Władisławie Nikołajewiczu, proszę przyjąć serdeczne przeprosiny za to, że swoim brakiem opanowania sprawiłem panu kłopot. Zjawił się u mnie pewien młody mężczyzna, który z jakiegoś powodu uznał, że ma wobec mnie ogromny dług wdzięczności. Rzeczywiście mu pomogłem, ale nie było to nic, co by wychodziło poza ramy zwyczajnej życzliwości. On widocznie sądzi inaczej i myśli, że musi mi się odwdzięczyć. No i w ramach owej wdzięczności przytaszczył część tuszy łosia,

którego upolował i niedawno oprawił. Niech pan sobie wyobrazi, że wchodzi do mojego mieszkania, rzuca na stół kuchenny zawinięty w folię worek z mięsem i zaczyna się rozwodzić nad tym, jak jest mi wdzięczny i jak wiele dla niego zrobiłem. I prosi, żebym przyjął jako podziękowanie zakrwawioną zawartość owego worka. Poniosło mnie, rzecz jasna. Czyżbym tak głośno krzyczał?

Stasow się zmieszał, bo przecież nie słyszał krzyków, ale w tej samej chwili Irka wysunęła głowę.

– Bardzo – powiedziała z naciskiem. – Musi pan wiedzieć, że robiło to dość dziwne wrażenie.

Sąsiad wyglądał na niesłuchanie strapionego, więc nieco złagodniała.

– A więc pani też się zdenerwowała? Bardzo mi przykro, przysięgam: nie sądziłem, że wszystko tutaj tak słyhać.

– A co upadło na podłogę? – drążyła Ira, która zasmakowała w przesłuchaniu. – Wydawało mi się, że czyjeś ciało.

– Moja kochana, tusza łośia waży więcej, zapewniam. Jak pani widzi, nie należę do słabeuszy, nie brak mi tężyzny fizycznej, zwłaszcza gdy się zirytuję. No więc chwyciłem ten worek ze stołu, cisnąłem na podłogę i kazałem swojemu gościowi, żeby się wynosił, bo w przeciwnym razie wyrządę mu krzywdę. Owszem, przyznaję się – znowu parsknął gromkim śmiechem – że mu wygrażałem i nie kryłem złych zamiarów. Na tym się jednak skończyło. Facet zabrał swój worek i powlókł go po dobroci.

– A dlaczego nie otworzył pan drzwi, gdy dzwoniłam? Właśnie dlatego uznałam, że ktoś pana... – Stropiła się. – No... że się panu coś stało.

– Byłem pewien, że łąjdak wrócił z kolejnym prezentem, więc nie otworzyłem. Zaspokoilem pani ciekawość, moja kochana?

– A krew? – zapytała Ira z nieustającą podejrzliwością. – Skąd się wzięła?

– Moja droga, gdy tusza jest oprawiona, musi ociekać krwią. Tak to natura urządziła. Najpierw worek był w folii, ale gdy go ze złości zrzuciłem na podłogę, folia się rozwinęła, a mój gość tak się przestraszył, że wolał nie tracić czasu na pakowanie, i powlókł swoje trofeum w worku, przez który sączyła się krew.

Poufały zwrot „moja droga” wywarł wtedy na Irze przykre wrażenie, ale szybko o tym zapomniała, bo w oczach zarówno sąsiada, jak i Stasowa wyglądała niesłychanie głupio, więc jej myśli krążyły głównie wokół tego. Zanim przyjechali Nastia i Korotkow, sytuacja ostatecznie się wyjaśniła. Tatiana zastała całe towarzystwo w swoim mieszkaniu. Wszyscy pokpiwali z Iry i popijali herbatę z jej wspaniałymi bułeczkami. Właśnie wtedy rodzina poznała Andrieja Timofiejewicza.

Po pewnym czasie Ira poczuła sympatię do sąsiada i nie zwracała już uwagi na jego ciągłe „moja kochana” albo „moja droga”. Przywykł tak mówić, co poradzić? W końcu: co za różnica? Nie ma w tym nic obraźliwego, takie nieszkodliwe dziwactwo.

Teraz jednak myślała zupełnie inaczej. W tym właśnie sęk, że ktoś przywykł mówić w ten sposób. Przywykł na tyle, że sam siebie nie słyszy i nie zauważa tego, co mówi. Oraz tego, co pisze.

Trzymając Michaiła pod rękę i gawędząc z nim o miłych głupstwach, jakąś częścią umysłu analizowała fragmenty zdań, które znalazły się na kartkach zostawionych przez zabójcę.

„Zbliżam się do ciebie, moja droga...”

„Co słyszać, moja droga?”

„Nie sądzisz, moja droga, że....”

Rozdział 17

KAMIENSKA

Chyba po raz pierwszy w życiu Nastia nagle zaczęła się rozglądać dokoła. Duże prawdopodobieństwo rychłej śmierci obudziło w niej zainteresowanie tym, co się dzieje poza codzienną, uwielbianą pracą. Mnie nie będzie, myślała, zmierzając wolnym krokiem od budynku na Pietrowce na stację metra Czechowskaja, a w sali kinowo-koncertowej Puszkinskij wciąż będą się odbywać premiery nowych filmów, do kasyna co wieczór będą przychodzić amatorzy gry i codziennie ktoś będzie wychodził stamtąd spłukany, inny zaś – uskrzydłony niespodziewanym powodzeniem. Ten sklep też będzie otwarty, będą się w nim pojawiać nowe towary i wciąż będą go odwiedzać nowi klienci. Tylko ja nie zobaczę już tych towarów i nie przyjdę ich kupić.

Zwracała uwagę na samochody, elegancko ubranych ludzi, witryny kiosków i budziło się w niej pragnienie, by zobaczyć i poznać to, czego nie zobaczyła i nie poznała, bo jeszcze wczoraj jej to nie obchodziło. Co czuje kobieta, gdy przychodzi do drogiego butików, żeby wybrać nową sukienkę albo bieliznę? Gdy się stroi i idzie z mężem do nocnego klubu? Gdy spaceruje z psem? Gdy jeździ na letnisko i zajmuje się uprawą działki?

Mam trzydzieści osiem lat, mówiła sobie, trzęsąc się w wagonie metra, a co widziałam w swoim życiu? Szkoła, uniwersytet, praca. Gabinety, zwłoki, twarze ofiar, świadków i przestępców. Metro. Własne mieszkanie. Pogodziłam się już z tym, że mogę niebawem umrzeć, ale okropnie żał mi rozstawać się z życiem, nie zobaczywszy i nie przeżywszy mnóstwa rzeczy, które są dostępne, ale które zawsze odkładałam „na potem”, bo szkoda było czasu. Pojechać na

wczasy do Miami już, oczywiście, nie zdążę, zresztą to nie na moją kieszeń. Luwru też nie zobaczę, mimo to jest jednak coś, co jeszcze zdążę zrobić. Na przykład obejrzeć parę dobrych sztuk w teatrach.

Nie podejrzewała, że uczucia, których doznawała, noszą nazwę pragnienia życia. I że chciała choć trochę je zaspokoić.

Gdy znalazła się w domu, ze skupieniem zerknęła na zegarek – do przyścia Czistiakowa pozostawało pół godziny. Zdecydowanym ruchem otworzyła szafę. Mój Boże, mama przywiozła jej tyle ciuchów ze swoich niezliczonych zagranicznych delegacji! Z całej tej garderoby Nastia miała na sobie chyba tylko ten szary kostium, gdy brała ślub, no i jeszcze wąskie czarne spodnie, które włożyła też tylko raz. Reszta wisi bezużytecznie na wieszakach. Warto by to wszystko ponosić...

Jej wzrok spoczął na przygotowanych, ale niewykorzystanych materiałach budowlanych. Jak długo jeszcze tak poleżą? Później Loszka będzie musiał się męczyć z remontem. Może powinna machnąć ręką na zasady i poprosić brata o pieniądze? Wtedy udałoby się wyremontować mieszkanie, żeby nie zostawiać mężowi po swojej śmierci również i tych problemów. Co jeszcze? Trzeba by usiąść i się zastanowić, które sprawy należy uporządkować albo doprowadzić do końca, żeby potem nie okazały się ciężarem dla bliskich.

Zanim wrócił Czistiakow, Nastia zdążyła nie tylko wybrać strój, ale i zrobić makijaż.

– Co to ma być? – ze strachem zapytał Aleksiej, zamarłszy na progu pokoju.

– Chodźmy gdzieś na kolację, Loszyk – poprosiła.

– Dlaczego? – Odkaslnął, zabawnie marszcząc przy tym nos.

– Mam na myśli: z jakiej okazji?

– Tak po prostu. W lodówce nic nie ma...

– Przyniosłem – przerwał jej Aleksiej. – Pojechałem na rynek i kupiłem jedzenie na cały tydzień.

– Nie chcę, żebyś teraz szykował kolację. No proszę, słoneczko, wybierzmy się gdzieś.

Czistiakow nieśpiesznie zdjął kurtkę, wyjął z kieszeni okulary, włożył je i zaczął uważnie lustrować żonę.

– Czemu tak mi się przyglądasz? Nie do twarzy mi w tym? – zapytała z niepokojem.

– Do twarzy. Leży bardzo ładnie.

– Więc o co chodzi?

– To ja chcę zapytać, o co chodzi. Gdy jesteś w normalnym stanie, za nic nie dasz się zaciągnąć do restauracji, a o tym, żebyś się porządnie ubrała, można tylko pomarzyć. A teraz widzę, że pomalowałaś nawet oczy.

– I usta – dodała Nastia.

– No więc chcę wiedzieć, co się dzieje. Mamy jakąś rocznicę, o której na swoje nieszczęście zapomniałem?

– Nie.

– Wydarzyło się coś, co chciałabyś uczcić?

Czy coś się wydarzyło? Na to wygląda. No bo zmianę stosunku do własnego życia można chyba nazwać wydarzeniem? To się dzieje rzadko, w dodatku nie każdy tego doznaje. A zwłaszcza gdy w grę wchodzi zmiana stosunku do własnej śmierci. Czy można jednak wytłumaczyć to Loszy? Właściwie można, ale po co? Przestraszy się, zacznie się martwić i denerwować. Ale nie można też nie wytłumaczyć; gdy się kogoś kocha, nie wypada traktować go jak kretyna i bawić się w ciuciubabkę. Tyle że rozmowa będzie poważna i długa, nie da się jej zacząć ot tak, w pośpiechu, stojąc na progu.

– Tak, Loszeńka, coś się wydarzyło i muszę ci o tym powiedzieć. Ale nie w dwóch słowach. Chodźmy gdzieś, wyjaśnię ci wszystko podczas kolacji.

Czistiakow westchnął i opadł na fotel, krzyżując ręce.

– Asieńko, doceniam twoją chęć, by wyjść w świat, ale odłożmy to, bardzo cię proszę. Po pierwsze, nie jestem

w nastroju. Po drugie, dzisiaj wieczorem czekam na telefony od co najmniej trzech osób, już się z nimi umówiłem i obiecałem, że będę w domu. To telefony służbowe i nie mogę ich zlekceważyć.

Oczy Nastii przygasty, ramiona się przygarbiły. Mogła to, oczywiście, przewidzieć. Czy Loszka musi ulegać jej niespodziewanym zachciankom? Nie tylko ona wraca zmęczona po pracy, inni też nie siedzą z założonymi rękami. Szkoda... No cóż, jutro wcale nie będzie za późno, Żartowniś musi najpierw znaleźć i zabić szóstą ofiarę. Chyba że się rozmyśli po obejrzeniu dzisiejszych wiadomości.

– Dobrze – powiedziała apatycznie. – Skoro dzisiaj nie, to trudno. Idę zmyć makijaż.

Zdjęła ciemnozielony jedwabny kostium z długą spódnicą i ruszyła do łazienki. Najpierw chciała umyć tylko twarz, ale później doszła do wniosku, że weźmie prysznic. Ze wstrętem tarła twarz małą, okrągłą gąbką, zwilżoną specjalnym żelem, i myślała o tym, że skoro musi jednak umrzeć – niebawem albo trochę później – powinna coś zrobić, żeby krewni i przyjaciele nie doznali szoku. Oto pierwsze pytanie: jeżeli przez najbliższe parę dni chce zmienić styl życia, czy może to zrobić, nie informując Aleksieja o swoich żałobnych planach? Odpowiedź jest oczywista: nie, nie może. Loszka nie jest idiotą, to człowiek dociekliwy, niczego nie robi, nie wiedząc, czemu to ma służyć. Może powinna wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo? Opowiedzenie zgrabnej historyjki to żaden problem, ale czy wypada oszukiwać męża w poważnych sprawach? A zresztą Loszka i tak się zorientuje, jest uważny i wrażliwy, zna żonę na wylot, to nie przypadek, że są razem już... Tak, dwadzieścia trzy lata. W tym czasie nawet kompletny kretyn pozna charakter i przyzwyczajenia bliskiej osoby, a co dopiero Loszka... Wokół same pytania, a z odpowiedziami krucho.

Przez szum lejącej się wody usłyszała, że zadzwonił telefon. I zaraz potem – znowu. To pewnie rozmowy, na które czekał Czistiakow. Gdyby wiedziała, że mąż załatwi swoje sprawy lada chwila, nie rozbierałaby się i nie brała prysznic, ale spróbowałaby wyciągnąć go na kolację. Czemu tak jej zależy na tym, żeby pójść do restauracji? Musiała przyznać, że wie, dlaczego ta myśl tak uparcie drążyła jej umysł. Wiele razy słyszała, że ci, którzy nie chcą zawracać sobie głowy gotowaniem, idą do restauracji w dzień powszedni, a nie świąteczny albo z okazji jakichś uroczystości. Miała wrażenie, że owe rozmowy i owi ludzie pochodzą z innego życia, nie z moskiewskiego ani z rosyjskiego, a na pewno nie z życia urzędników państwowych, jakimi byli ona i jej mąż. Jej los to życie zdeterminowane bezduszną ekonomią, zwłaszcza po tej dziwacznej sytuacji z zaginionymi honorariami i z koniecznością zapłacenia od nich podatków. Nagle zapragnęła spędzić przynajmniej jeden wieczór, prowadząc inne życie! Ze zwyczajnej ciekawości.

Wytarła się do sucha dużym, puszystym ręcznikiem, zawinęła się w ciepły szlafrok i poszła do pokoju. Czistiakow siedział w fotelu przed włączonym telewizorem i oglądał wiadomości. A raczej tak się Nastii wydało. Bo już chwilę później zorientowała się, że Loszka niczego nie słyszy. Twarz miał kredowobiałą, oczy utkwione w róg pokoju.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem. – Złe wiadomości?

Aleksiej drgnął, przesunął na nią wzrok i wyłączył telewizor pilotem.

– Mogłaś mi powiedzieć – oznajmił półgłosem.

– O czym?

– O wystąpieniu w telewizji. A może uważasz to za normalne, że dowiaduję się o tym od zupełnie obcych ludzi? Zadzwoniły do mnie dwie osoby – dwie! – i powiedziały, że bym szybko włączył telewizor, bo mówią tam o mojej żonie. Włączyłem

i zdążyłem usłyszeć twój apel. Ty jednak z jakiegoś powodu nie uznałaś za stosowne, żeby mnie o tym powiadomić.

– Losza, ja...

– Co – Losza? – Podniósł głos. – Od ponad dziesięciu lat pracujesz w wydziale kryminalnym i wszystko, czym się zajmowałaś, działo się na moich oczach. Nigdy jednak nie apelowałaś do przestępcy w telewizji. Jaki wniosek powinienem z tego wyciągnąć?

– Loszeńka, tylko nie wyciągaj pochopnych wniosków – powiedziała Nastia bardzo spokojnie. – Apel w telewizji to moje *know-how*, próba wdrożenia nowych technologii do procesu ujęcia przestępcy, nic ponadto. Jeżeli chcesz powiedzieć...

– Tak – zagrmiał Czistiakow. – Właśnie to chcę powiedzieć! Mówisz o zabójcy, który wykończył już pięć osób i zamierza zlikwidować jeszcze dwie, a później wkładasz elegancką suknię, robisz makijaż i zapraszasz mnie do restauracji. Sądzisz, że cierpię na otępienie umysłowe? Że możesz mnie prowadzić na sznurku jak ślepego i głuchego barana? Jestem twoim mężem i mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Nastia przysiadła na poręczy fotela, licząc na to, że Aleksiej jak zwykle ją obejmie, on jednak się odsunął.

– Okropnie krzyczysz... – zaczęła.

– Przepraszam – burknął, ścisząc głos. – Ale chyba przyznasz, że na to zasłużyłaś.

– Nie przerywaj mi. Okropnie krzyczysz, więc doskonale wiem, że nie muszę ci niczego wyjaśniać, bo sam się domyśliłeś, co się dzieje. Mądrała z ciebie, Loszeńka, więc na pewno rozumiesz, że niełatwo mi o tym mówić. To trudne, bolesne i przerażające. Nie potrafię się do tego zmusić, bo nie chcę cię niepotrzebnie straszyć. Może wszystko się jakoś ułoży, a ty będziesz się denerwował i przybędzie ci siwych włosów. Skoro zrozumiałeś wszystko bez moich wyjaśnień, nie zmuszaj mnie, żebym mówiła o tym na głos.

Przez chwilę Czistiakow milczał, jakby się zastanawiał nad tym, co usłyszał. Wreszcie przysunął się nieco do Nastii i ją objął. Zrozumiała, że zgoda została przywrócona.

– Na jakiej podstawie wysnułaś wniosek, że on zamierza cię zabić? – zapytał całkiem zwyczajnym tonem, tak jakby pytał, skąd wie, że w lodówce jest masło, które się skończyło dwa dni temu.

– Obejrzałam film, do którego robił aluzje. Szaleniec zabija w nim sześć osób, które uosabiają sześć grzechów głównych, a później prowokuje policjanta, żeby go zabił, bo on sam jest nosicielem siódmego.

– I co? Dlaczego uznałaś, że to ma związek z twoją śmiercią?

Aleksiej nadal mówił spokojnie i rzeczowo. Nastia wiele razy słyszała, jak rozmawiał podobnie z doktorantami, którzy przyjeżdżali do niego po wskazówki do swoich dysertacji. Zrozumiała, że wyzbył się emocji i jak zwykle przystąpił do omówienia problemu, odsunawszy na bok przykrą myśl, że tak naprawdę mowa jest o możliwej śmierci jego żony. Zawsze ceniła w nim tę zaletę, której sama nie miała: nie potrafiła w krytycznej chwili zachować zimnej krwi oraz przeanalizować zadania w sposób racjonalny i logiczny. Ześlizgnęła się z poręczy, przesiadła się na kanapę i odwróciła tak, żeby widzieć twarz męża.

– Loszyk, ten mężczyzna – nazywamy go Żartownisiem – za każdym razem zostawia koło ciała ceramiczną rybkę z wsuniętym do jej pyszczka plastikowym ludzikiem. Długo nie potrafiłam zrozumieć, po co to robi i co ta rybka oznacza, póki Irocza Miłowanowa nie przypomniała sobie, że to jeden z ulubionych tematów Boscha. Mimo to nadal nie wiedzieliśmy, co ma do tego Bosch. Ale zapamiętaliśmy. I pewnego dnia natknęłam się na film *Siedem*, a wtedy...

– Rozumiem – przerwał jej Aleksiej. – Widziałem ten film, dostałaś go przecież od Saszy i Daszki. Masz na myśli szatę graficzną pudełka?

– No tak – odparła Nastia z przejęciem. – I szatę graficzną pudełka, i samą treść filmu. Na pudełku jest obraz Boscha, to znaczy, że zabójca za pomocą rybek próbował zwrócić moją uwagę na film.

– Wątpię. – Losza pokręcił głową. – Skąd mógł mieć pewność, że rozszyfrujesz tak skomplikowaną intrygę? Po pierwsze, powinnaś się domyślić, że rybka z ludzikiem ma związek z Boschem. Po drugie, powinnaś zainteresować się kasetą, a tego nikt nie zagwarantuje. Może nie jesteś miłośniczką tego gatunku i nie oglądasz takich filmów. A może nie masz wideo i nie zwracasz sobie głowy kasetami. Po trzecie, powinnaś zwrócić uwagę na szatę graficzną pudełka i odkryć, że to też jest aluzja do Boscha. Po czwarte, powinnaś zapragnąć obejrzeć film. I po piąte, obejrzawszy film, powinnaś go właściwie zinterpretować. Nie za dużo tych założeń, Asieńko? Człowiek, który chce sterować twoim zachowaniem, musi być pewien, że usłyszysz polecenie. A w tym schemacie pojawia się sporo przeszkód i może ono do ciebie nie dotrzeć. Czegoś nie przemyślałaś. Albo nie zrozumiałaś. Spróbujmy się temu spokojnie przyjrzeć.

Nastia opuściła głowę w zadumie. Losza ma chyba rację, za dużo założeń. Żeby je przyjąć, trzeba sformułować kolejne założenia, które będą jednak całkiem niewiarygodne. Przestępca musiałby zadbać o to, żeby ktoś z otoczenia Nastii znał twórczość Boscha i miał okazję omawiać zabójstwa popełniane przez Żartownisia. Musiałby sprawić, żeby do jej rąk trafiła kasetka, to znaczy musiałby mieć jakieś dojście do Saszy albo Daszeńki. To nazbyt skomplikowane, takie rzeczy się nie zdarzają. Jeżeli uznać, że tak właśnie było, trzeba iść dalej i przyznać, że Żartowniś pochodzi z jej otoczenia, że to ktoś, kto zna Iroczkę i rodzinę Saszy Kamieńskiego. I prawdopodobnie samą Nastię. Cóż za przyjemny wniosek.

– Losza, ale to przecież nie może być ktoś z naszych znajomych, prawda? – zapytała, zdziwiona żałosnym

brzmieniem swojego głosu.

– Dlaczego nie? – Czistiakow się uśmiechnął. – Czy nasi znajomi są jacyś szczególnie? Setki razy wbijałaś mi do głowy, że przestępcy są takimi samymi ludźmi jak cała reszta, że chodzą do tych samych szkół, czytają te same książki, oglądają te same filmy w telewizji, kupują gazety w tych samych kioskach, a chleb i cukier – w tych samych sklepach co my. Tak samo jak nas boli ich głowa i tak samo jak my chodzą do apteki po metamizol. To twoje słowa?

– Moje – przyznała.

– Więc skoro przestępcy niczym się od nas nie różnią, dlaczego nie mogą się znaleźć wśród naszych znajomych? Z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa mogą, z punktu widzenia statystyki – też. To nie jest sprzeczne. Pewnie, że przykro tak sądzić. Ale to wcale nie oznacza, że sama myśl jest niesłuszna. Mnie jednak, szczerze mówiąc, odpowiada inna logika.

– Tak? – zapytała Nastia z nadzieją.

– Wolę myśleć, że twój Żartowniś nie pochodzi z naszego otoczenia. To zaś prowadzi do nieodpartego wniosku, że wszystkie założenia są nieuzasadnione. No a skoro tak, to twoje wywody są niesłuszne. On wcale nie zamierza cię zabić. I nie miał na myśli żadnego filmu.

Nastia się uśmiechnęła, nagle poczuła spokój i błogość. Co za szczęście, że los podarował jej Loszkę! Niezawodnego i pewnego. Można się za nim schować jak za murem i o nic się nie martwić. Co ona sobie ubzdurała? Jeżeli zdarzy się to, jeżeli tamto... Poważni ludzie tak nie gdybają, a Żartowniś to człowiek bez wątplenia poważny. Nie mógł się zdać na taką liczbę przypadków i zbiegów okoliczności, a to oznacza, że naprawdę nie zamierza jej zabić. No i dlaczego jej umysł jest tak głupio skonstruowany? Popada ze skrajności w skrajność: albo wypiera straszne myśli, albo zaczyna tworzyć koszmary – jeden straszniejszy od drugiego. Nie potrafi pracować na

zasadzie złotego środka, w sposób racjonalny i wyważony, tak jak w przypadku Loszki. Aleksiej ma wspaniały umysł, w końcu nie przyznano mu tytułów naukowych na ładne oczy.

– Napijemy się herbaty, Losza?

– A czemu tylko herbaty? – odparł żartobliwie, wstając z fotela. – Przyniosłem mnóstwo smacznych rzeczy. Ale dostaniesz wszystko pod warunkiem, że odwołasz swój pogrzeb.

Nastia zamierzała zażartować w odpowiedzi, ale nie zdążyła. Rozległ się ostry dźwięk dzwonka przy drzwiach. Ktoś nacisnął przycisk i nie zdejmował z niego palca. Aleksiej posłał żonie pytające spojrzenie.

– Czekamy na kogoś?

– Ja – nie – odparła szybko.

Czistiakow poszedł otworzyć.

– Aśka w domu? – zapytał znajomy głos.

Do mieszkania wpadł zdyszany Siełujanow.

– Ale ten typ błyskawicznie reaguje! – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – W wiadomościach o siódmej po raz pierwszy wyemitowano twój apel, a o dziesiątej już mieliśmy szóstego trupa.

Pod Nastią ugięły się nogi, bezwolnie opadła z powrotem na kanapę.

– Jak? Już? – zdołała wydusić.

– Aha, już. Profesorze, bądź tak dobry i daj mi wody, bo zaraz padnę. Wasza winda nie działa, musiałem się wdrapywać na górę. Po co przybiegłem? Facet zostawił nam zwłoki niedaleko, na ulicy Bajkalskiej. Dziękuję, profesorze. – Niemal wyrwał z rąk Aleksieja szklanekę i opróżnił ją duszkiem. – Przy zwłokach jest kartka, eksperci od razu ją przejęli, ale przepisałem dla ciebie to, co na niej było. Masz, czytaj.

Nikołaj wręczył Nastii kartkę zapisaną dużym, mocno pochyłym pismem.

– Cały list. Dzisiaj się rozkręcił; zobacz, ile napisał. No i w ogóle poszedł za ciosem – zostawił rybkę, ludzika oraz pieniądze na pogrzeb – pełen dżentelmeński zestaw.

Nastia pograżyła się w lekturze.

„Jesteś mądra i przenikliwa, to oczywiste. Nie jesteś próżna, co mnie cieszy. Lubię mieć z tobą do czynienia, moja droga. Następnym razem zbliżę się do ciebie jeszcze bardziej. To twoja ostatnia okazja, żeby spojrzeć mi w oczy. Czy wystarczy ci wyobraźni, żeby jej nie przegapić? Postaraj się, moja droga, w przeciwnym razie będziesz żałować”.

– I jak ci się to podoba? – zapytał Siełujanow, który zdążył już złapać oddech.

– Daj no tutaj. – Czistiakow wziął od Nastii kartkę i przebiegł ją wzrokiem. – Nie podoba nam się – powiedział krótko.

– Zaczekaj, Losza. – Nastia go powstrzymała. – Kto tym razem jest ofiarą?

– Down.

– Kto?

– Chłopak z zespołem Downa. Dwadzieścia sześć lat, mieszkał z przewlekle chorą matką, która najpierw go oddała do specjalnego ośrodka, a gdy podrośł, nie wysłała do domu opieki. Wolała, żeby został razem z nią. Nawiasem mówiąc, spokojnie przyjęła jego śmierć.

– Dlaczego? – zdziwił się Czistiakow. – Jest aż tak pomyłona, że nie rozumie, co się dzieje?

– Ależ skąd, wcale nie jest pomyłona – wyjaśnił Siełujanow. – Cierpi na niewydolność serca, nerek i czegoś jeszcze. Osoby z zespołem Downa nie żyją długo, nawet dwadzieścia sześć lat to dla nich bardzo dużo. Matka od dawna była przygotowana na to, że syn może umrzeć w każdej chwili. No i umarł. Mam nawet wrażenie, że poczuła ulgę, sama jest ledwie żywa, a musiała opiekować się jeszcze synem. Skąd miała brać siły? Dobra, kochani, lecę z powrotem, Olszański szaleje i się sroży, kieruje postępowaniem. Ledwie go ubłagałem, żeby mnie

puścił na dwadzieścia minut, chciałem ci przywieźć kartkę. Jutro o piętnastej zero zero masz się u niego stawić.

– Pragnę zauważyć, że jutro sobota – oznajmił Aleksiej z niezadowoleniem.

– On ma to w nosie. – Siełujanow machnął ręką. – Zamknijcie za mną. Trzymajcie się.

Jedli kolację w milczeniu; przez pół godziny wymienili parę zdań w stylu: „Możesz mi podać sól?” albo „Mamy majonez?”. Nastia bała się zaczynać pierwsza i gubiła się w domysłach, dlaczego Losza też nic nie mówi. Po kolacji zmyła naczynia, włożyła do lodówki przyniesione przez męża wiktuały i bezradnie na niego popatrzyła.

– Kładziemy się? – zapytała łagodnie.

– Tak.

Nadal się do siebie nie odzywając, rozłożyli kanapę i wyjęli pościel. Nastia szybko zrzuciła szlafrok, wślizgnęła się pod kołdrę i zwinęła w kłębek przy ścianie. Parę minut później z łazienki wyszedł Aleksiej, wyłączył światło i też się położył.

– Asiu, nie miałem racji – powiedział półgłosem.

– Wiem – odparła ledwie słyszalnie.

– On był zadowolony z tego, co powiedziałaś w telewizji. To znaczy, że postępujesz i myślisz, jak facet sobie życzy.

– Tak.

– A więc słusznie zrozumiałaś aluzję do Boscha i filmu.

– Tak – powtórzyła.

– Czyli że pozostało tylko jedno zabójstwo, siódme.

– Tak – przyznała po raz trzeci.

– Siódme, ostatnie.

– Tak. Dobranoc, słoneczko.

– I to jest ktoś, kto cię zna.

– Tak. Chociaż przykro to przyznać. Śpijmy już, proszę.

ZABÓJCA

Decyzja została podjęta, ale na razie tylko teoretycznie. Otwarte pozostawało pytanie: kiedy? Miałem pracę, którą kochałem i w której zrobiłem błyskotliwą karierę. Byłem jeszcze względnie zdrowy, nie zauważałem żadnych oznak zbliżającego się ciężkiego niedomagania. Istniały nieprzewidziane zbiegi okoliczności, niezależne od stanu zdrowia, ale one mogły się zdarzyć w każdej chwili; był to ów minus, którego ciężar równoważyły dwa plusy. Pierwszy – praca, która dawała mi radość i która była potrzebna ojczyźnie. Drugi – syn z pierwszego małżeństwa, w stosunku do którego tliła się we mnie jeszcze nadzieja. To prawda, że przegapiłem jego wychowanie w pierwszych latach życia, ale może nie wszystko jeszcze stracone i uda mi się uczynić go spadkobiercą tradycji rodu Danilewiczów-Lisowskich-Essenów.

Chłopiec, jak z początku mi się wydało, rokował nadzieje, co nawet napełniało mnie dumą. Krew naszego rodu dawała o sobie znać mimo nieodpowiedniego wychowania (a raczej jego braku) ze strony mojej pierwszej żony. Jeżeli chodzi o nią, to pozostała lekkomyślną ignorantką, więc miałem podstawy, by się obawiać, że wyrze zły wpływ na Aleksandra. Jednakże podczas pierwszego spotkania, które odbyliśmy po długiej przerwie, syn mi się spodobał. Był pochłonięty swoją pasją i miał poważne zainteresowania. Z tak wspaniałymi zadatkami mógł zostać znakomitym fachowcem, wyjątkowym i powszechnie znanym, za którego nie musiałbym się wstydzić przed przodkami. Wprawdzie kategorycznie odmówił rozpoczęcia wczesnej specjalizacji i przeniesienia się do szkoły o profilu biologicznym, co mnie zasmuciło, ale nie porzucałem nadziei. W końcu ja też nie skończyłem szkoły o profilu matematyczno-fizycznym. Chodziłem do szkoły językowej z rozszerzonym niemieckim i z drugim językiem obcym; nie

przeszkodziło mi to jednak dostać się za pierwszym razem na uczelnię techniczną i ukończyć jej z celującymi wynikami.

Uważnie kontrolowałem rozwój syna, sprawdzałem jego postępy nie tyle w nauce, ile w wybranej specjalności, i przez parę lat nie opuszczało mnie poczucie, że wszystko powinno się udać. Jednakże mimo podjętych wysiłków Aleksander nie chciał kontynuować nauki i nawet nie próbował zdawać na studia. Gdy został powołany do wojska, cierpliwie czekałem, aż wróci. Byłem pewien, że wojsko nauczy go rozumu i wybije z głowy bzdury, że wróci do domu dojrzały i uświadomi sobie konieczność uczenia się. Dwa lata niepotrzebnych i głupich złudzeń... Syn wrócił rzeczywiście dojrzały, ale wyrażało się to jedynie w tym, że nauczył się rozmawiać arogancko i po chamsku. Bardzo szybko zrozumiałem, że nie uda mi się go złamać; jest równie leniwy umysłowo jak jego matka i podobnie jak ona niezainteresowany systematyczną, gruntowną wiedzą ani własną karierą.

Rozczarowanie było bolesne, lata starań i wysiłków poszły na marne. Gdybym mógł to przewidzieć, nie pokładałbym w synu tyle nadziei. Zamiast tego spróbowałbym znaleźć sobie jeszcze jedną żonę, która urodziłaby mi dziecko – jego na pewno nie oddałbym nikomu na wychowanie. Ale znowu się pomyliłem...

Powrót Aleksandra z wojska i moje zerwanie z nim zbiegły się w czasie z ograniczaniem badań naukowych w dziedzinie nowych technologii. Konwersja dotknęła nie tylko przemysł zbrojeniowy, ale też projekty naukowe. Moje laboratorium najpierw zredukowano o trzydzieści procent, potem o kolejne pięćdziesiąt, a w końcu zamknięto. Okazało się, że z całą swoją wiedzą i doświadczeniem jestem nieprzydatny ojczyźnie, którą tak gorąco kochałem.

Początkowo nawet nie zdawałem sobie sprawy ze skali katastrofy. Trudności wydawały mi się przejściowe i nieistotne, ale im dalej, tym bardziej się przekonywałem, że mój sektor jest zamykany z powodu nierentowności i nie ma najmniejszej

szansy na jego odrodzenie. No i co z tego? – mówiłem sobie. Mogę zmienić specjalność i pracować dla dobra ojczyzny. Zmiana specjalności okazała się jednak nie tak łatwa, jak na początku sądziłem. Cała branża badawczo-naukowa była redukowana i ci, którym się udało zaczepić i zostać, wcale nie pragnęli ustąpić mi miejsca. A zresztą miałem też dumę naukową. W swojej dziedzinie wspiałem się na wyżyny, wyrobiłem sobie nazwisko, znane nie tylko w naszym kraju. Miałem więc teraz zrezygnować z tego wszystkiego dla kawałka chleba? Albo zacząć knuć intrygi, uruchomić kontakty i znajomości, żeby znaleźć sobie miejsce równorzędne z tym, które straciłem? Czy może przyjąć stanowisko młodszego pracownika naukowego? Wszystkie te opcje były niegodne przedstawiciela naszego rodu. A poza tym nie potrafiłem i nie chciałem robić tego, co mnie nie interesowało.

Nie narzekałem na brak pieniędzy, więc nie musiałem się martwić, z czego będę żył. Zacząłem rozważać inną kwestię. Co osiągnąłem? Kariera naukowa została przerwana i nie ma żadnych szans, by wrócić na tę ścieżkę – w tym celu musiałbym zrezygnować ze swoich zasad. Ojczyźnie okazałem się niepotrzebny, ale nie ma w tym jej winy. Tak się po prostu złożyło. Teraz nie zdołam dożyć swoich dni jako godny kontynuator tradycji rodu Lisowskich. Nie potrafiłem sprawić, żeby moi potomkowie z honorem podtrzymali owe tradycje. Syn się nie udał, a dzisiaj już za późno, by zaczynać wszystko od początku, szukać żony i wychowywać kolejne dziecko. Zanim dorośnie, zestarzeję się, nie zdążywszy w porę odejść, i wówczas spotka mnie owa niegodna śmierć, którą chcę oszukać.

Minął niemal rok, zanim sobie jasno uświadomiłem: już czas. Nie mam na co czekać, muszę się zająć przygotowaniem własnej śmierci.

Czym jest śmierć? Jak wygląda? Co oznacza? Te pytania przez długi czas wydawały mi się – osobie wychowanej

w surowym duchu materialistycznym – jałowe i bezużyteczne. Jednakże lata życia i olbrzymie doświadczenie w pracy na niwie techniki podpowiadały, że wbijana nam do głów teoria materializmu to tylko mit, który nie jest w stanie wytłumaczyć mnóstwa zjawisk, ale który w zetknięciu z czymś niepojętym i niewytłumaczalnym sprowadza to do miana albo błędu naukowego i eksperymentalnego, albo ściśle tajnych informacji, opatrzonych licznymi pieczęciami. Myśl o nieuchronności śmierci powstała w moim umyśle wcześniej niż pytanie o to, czym tak naprawdę jest. Ponieważ pytanie się jednak pojawiło, musiałem znaleźć na nie odpowiedź, i to zanim przystąpiłem do działania.

Obłożyłem się literaturą i zacząłem studiować problem. Czytałem prace Ławrina i Watsona, Dobrochotowej i Moody’ego, Landsberga i Fayeta. Ze zdziwieniem i z satysfakcją stwierdziłem, że nie jestem osamotniony w swoich poglądach i obawach. Ucieszył mnie zwłaszcza ten fragment:

„Kiedy człowiek wybiera się w podróż, planuje ją, nabywa bilety i zapewnia sobie lokum; sprawdza, czy ma odpowiedni ubiór. Ironia losu sprawia, że większość ludzi nie czyni żadnych przygotowań do najważniejszej i nieuniknionej podróży w życiu – do śmierci. Brak takiego przygotowania, u podstaw którego leży strach przed śmiercią, cechuje większość mieszkańców zachodnich cywilizacji. W kulturach wschodnich i afrykańskich ludzie nie znają tanatofobii, bo śmierć poprzedzają staranne przygotowania; istnieje szkoła umierania, pozwalająca się dowiedzieć, czego oczekiwać”.

No cóż, miałem rację; myśl o tym, że odejścia z tego świata nie należy puszczać na żywioł, ma mnóstwo zwolenników. Ale ich liczba to ziarnko piasku na pustyni w porównaniu z tymi, którzy panicznie i podświadomie boją się śmierci, i dlatego nie chcą o niej myśleć ani tym bardziej – szykować się na spotkanie z nią. Z tego, co przeczytałem, największe wrażenie

zrobiła na mnie rekapitulacja *Tybetańskiej Księgi Umarłych*. Zrozumiałem, że śmierć „to tylko chwila w niekończącym się potoku doświadczenia nabytego od czasu «sprzed urodzenia» do czasu «po śmierci» i jeżeli zachować spokojny i jasny stan umysłu podczas umierania, to doświadczenie śmierci może się okazać przeżyciem duchowym i wyzwalającym, a smutek przyjaciół i bliskich osób utrudnia umieranie, opóźnia odejście duszy i przeszkadza w duchowym wyzwoleniu”.

Żeby zatem w odpowiedni sposób pożegnać się z tym światem, musiałem spełnić trzy warunki.

Pierwszy: muszę poznać teorię „świadomej śmierci” Goulda, żeby zachować przytomność podczas procesu śmierci–przejścia–odrodzenia. Zgodnie z ową teorią odrodzenie należy rozumieć jako pojawienie się nowej świadomości na wyższym poziomie istnienia. Podczas „przejścia” umysł ulega rozkładowi, trzeba więc dobrze się przygotować, żeby nowe narodziny nie odbyły się w stanie oszołomienia i niewiedzy. Zdaniem Goulda różnice na poziomie przygotowania tłumaczą, dlaczego jedni ludzie, będący w stanie śmierci klinicznej, są zdolni przeżyć pewne doświadczenie, a potem o nim opowiadać, inni zaś – nie. Znalazłem prace Goulda w języku angielskim oraz niemieckim i je przestudiowałem, uważnie i dogłębnie analizując proponowane metody owego przygotowania.

Drugi: żebym mógł zachować jasność umysłu w krytycznej chwili, śmierć nie może być niespodziewana. Muszę dobrze znać termin spotkania z nią.

I trzeci: muszę uniknąć smutku i bólu przyjaciół oraz bliskich, którzy zbiorą się przy moim łożu śmierci. Albo przy mojej trumnie.

Określiwszy owe trzy warunki, zacząłem opracowywać plan, który pozwoliłby je spełnić. W końcu go ukończyłem. Musiałem tylko wybrać wykonawców w tym przedstawieniu i czekać na odpowiednią chwilę.

KAMIENSKA

Aż do samego rana Nastia i Aleksiej udawali, że śpią. Oboje starali się nie wiercić, żeby nie obudzić partnera. Koło szóstej rano Czistiakow jednak zasnął. Słyszając jego miarowy oddech, Nastia ostrożnie wyslizgnęła się spod kołdry, wyjęła z szafy kolejny nienoszony kostium i na palcach przekradła się do kuchni. Szczelnie zamknęła drzwi do pokoju i do kuchni, w pośpiechu wypłała dwa kubki kawy, wypaliła trzy papierosy, ubrała się, zrobiła makijaż i, starając się nie narobić hałasu w przedpokoju, wyszła z domu.

W sobotę o siódmej ulice były całkiem puste. Deszcz, który siąpił przez cały wczorajszy dzień, ustał, chmury powoli się rozstępowały i miasto przypominało nie do końca rozbudzone dziecko, które zasnęło splakane, ale rano zapomniało o swoim smutku i otworzywszy oczęta, zaczynało się uśmiechać opuchniętą od łez twarzą. Nastia szła pieszo, w ogóle nie myśląc, którądy idzie, wiedziała jednak, że zmierza do metra.

Nigdy przedtem nie przydarzyło mi się coś takiego, myślała, nieśpiesznie krocząc ulicą. W sobotni ranek nie leżę w łóżku ani nie biegnę do pracy w dżinsach i adidasach, ale przechadzam się ulicami elegancko ubrana i w szpilkach. Dobrze się oddycha po deszczu, póki samochody nie zdążyły jeszcze zatruć powietrza! Chyba z tysiąc lat nie oddychałam takim powietrzem.

Czarny dżip olbrzymich rozmiarów zahamował koło niej.

– Podwieźć cię, laleczko?

Nastia odwróciła głowę i zobaczyła trzech młodych muskularnych mężczyzn.

– Dziękuję, dojdę pieszo. – Uśmiechnęła się pojednawczo.

– Walisz z roboty? – zainteresował się ten, który siedział za kierownicą.

– Ależ skąd, jestem już za stara do takiej roboty. –
Roześmiała się. – Przeciwnie, idę do pracy.

– Zastanów się, możemy cię podrzucić. Jesteśmy prawdziwymi facetami, wiek nam nie przeszkadza. Dasz swój telefon?

Pokręciła głową przecząco, znowu się do nich uśmiechnęła i ruszyła dalej. Dżip jeszcze przez pewien czas jechał wolno obok, mężczyźni próbowali ją zagadywać, później kierowca wcisnął parę razy klakson na pożegnanie i gwałtownie przyśpieszył. Coś takiego, pomyślała Nastia z uśmiechem, okazuje się, że mogę jeszcze zwrócić czyjąś uwagę, gdy zadbam o wygląd.

O ósmej wyszła z metra w centrum Moskwy, na stacji plac Rewolucji, i nieśpiesznie ruszyła przez plac Czerwony w stronę mostu Wielkiego Moskwockiego. Znalazłszy się po drugiej stronie, skręciła na Nabrzeże Kadaszewskie, później mostem Wielkim Kamiennym wróciła na Nabrzeże Kremłowskie i powłokła się koło Biblioteki imienia Lenina w stronę hotelu National, potem Twerską do placu Puszkina. Jeszcze dziesięć minut i będzie na Pietrowce, w budynku, gdzie pracuje. Ale dzisiaj tam nie pójdzie. Dzisiaj spaceruje, bezmyślnie i bez celu, dla samego spaceru, świadoma swojego ładnego wyglądu, od czasu do czasu chwytając zaciekawione męskie spojrzenia, o których istnieniu już niemal zapomniała.

Punktualnie o dziewiątej podeszła do automatu i zadzwoniła do Łarcewa. Wołodia miał zaspany głos – widocznie w wolne dni nie trudził się wczesnym wstawaniem.

– Mogę przyjechać? – zapytała.

– Uhm – mruknął niewyraźnie. – Cierpisz na bezsenność...
Czekać na ciebie ze śniadaniem?

– Czekaaj, będę za dwadzieścia minut.

Gdy Łarcew otworzył jej drzwi, był jeszcze w szlafroku, ale dokładnie ogolony, z włosami wilgotnymi po kąpieli.

– Nie do wiary! – jęknął na powitanie. – Wciąż jeszcze nie mogę wyjść ze zdumienia, że tak wczesnie wstałaś, a teraz doznaję szoku na twój widok. Co z tobą?

– Jesteś przecież psychologiem. – Nastia uśmiechnęła się, zdejmując ciepły płaszcz podbity futrem – to też był prezent od matki, który przez dwa lata wisiał bezużytecznie w szafie. – Odpowiedz sam na swoje pytanie.

– Gdy kobieta radykalnie zmienia wygląd, to znaczy, że zamierza gruntownie zmienić stosunek do życia. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ze mną jest tak samo. Gdzie obiecane śniadanie?

– Chodźmy do kuchni. Mamy dzisiaj samoobsługę. Nadiuszka wyjechała z klasą na trzydniową wycieczkę po Złotym Pierścieniu.

Już dawno kawa nie smakowała Nastii tak jak dzisiaj. Poranny spacer obudził w niej zdrowy apetyt, a historia z pasażerami dżipa wciąż jeszcze ją bawiła.

– Wyobraź sobie, Wołodia, że wczesnym rankiem trzech napakowani młodzieńcy usiłowali mnie poderwać – oznajmiła, zapalając papierosa.

– Rozumiem ich, wyglądasz dziś olśniewająco. Masz wiadomości czy będziemy pracować ze starym materiałem?

– Jest szósty trup z rybką, pieniędzmi na pogrzeb i kartką. Proszę, *sir*. – Podała mu kartkę, którą dostała od Siergieja.

Łarcew uważnie ją przestudiował i pokręcił głową.

– Wszystko jasne, Nastazjo. Ciężki przypadek, ale mogę cię pocieszyć, że to nie patologia. Gość jest całkiem normalny. Odbiła mu szajba, to oczywiste. Tok rozumowania jest tak nieszablony, że nie da się go rozszyfrować w standardowy sposób. Moim zdaniem nie ma jednak mowy o chorobie psychicznej. A przy okazji, nie musisz planować zmian.

Nastia poderwała głowę i popatrzyła na niego z niepokojem.

– Co chcesz powiedzieć?

– Tylko to, co powiedziałem. Ostatnim razem wspominałaś przecież, że zamierzasz zostać siódmą ofiarą tego kretyna. Zgadza się?

– Owszem.

– No to się uspokój. Facet nie zamierza cię zabić. Nigdy nie myślał o takich bzdurach. Jest znacznie mądrzejszy, sprytniejszy i bardziej wyrafinowany. Kto został szóstą ofiarą?

– Chłopak z zespołem Downa.

– Wiek?

– Dwadzieścia sześć lat.

– O-o, z tą diagnozą można go uznać za długowiecznego. – Łarcew pokręcił głową. – Zaczekaj chwilę, pójdę po twoje dokumenty, będę do nich zaglądał, żeby nie poplątać nazwisk i faktów.

Wyszedł z kuchni i wrócił chwilę później z notatkami Nastii.

– Zobacz, co mamy. Pierwsza ofiara – Nadieżda Starostienko, nikomu niepotrzebna alkoholiczka, w przeszłości śliczna jak malowanie tancerka baletowa, bożyszczę wielu mężczyzn. Druga ofiara – dawniej wielokrotnie karany Giennadij Łukin, bez stałego miejsca zamieszkania i bez jakichkolwiek środków do życia, chory, samotny i, podobnie jak Starostienko, nikomu niepotrzebny. Trzecia ofiara – Walentin Kazarian, zubożały eksplinier, który popędził za niebotyczną kasą, a dostał figę z makiem i na dodatek kulkę, utrzymujący się ze skromnej pensyjki dozorca i, tak jak poprzednie ofiary, nikomu niepotrzebny. Czwarta ofiara – Serafima Firsowa, lat osiemdziesiąt osiem, stara, chora i też nikomu niepotrzebna. Piąta ofiara – nieszczęsna młoda kobieta, ładna i dobrze sytuowana, ale dotknięta straszliwą tragedią i pragnąca umrzeć. O niej, zauważ, Nastazjo, nie da się powiedzieć, że była nikomu niepotrzebna. Miała męża, rodziców oraz rodzeństwo. I wreszcie szóstą ofiarą – nieuleczalnie chory od urodzenia chłopak, który nie zdaje sobie sprawy z koszmaru

własnej egzystencji, ale zamieniający w ów koszmar życie bliskich. Ma krewnych?

– Owszem, matkę. Niemłoda, z wieloma przewlekłymi chorobami.

– No widzisz, wszystko się zgadza. Szczerze mówiąc, jego śmierć jest dla niej wybawieniem.

– A co z grzechami? – zapytała Nastia. – Żądza, obżarstwo, pycha i chciwość – te grzechy zostały już ukarane. Jeśli chodzi o Jastriebową, to uosabia grzech próżności, to znaczy lenistwa. Od lat nie pracuje, jest na utrzymaniu męża. Najpierw myślałam, że lenistwo to mój grzech, ale widocznie Żartowniś zamierza zarzucić mi zazdrość. A raczej gniew. Doprowadził mnie już do kresu, w każdej chwili mogę dostać ataku hysterii. Ale jaki grzech popełnił ten nieszczęsny chłopak?

– Co mają do tego grzechy?! Zapomnij o nich. Kazałaś mi stworzyć portret psychologiczny mężczyzny, który popełnił pięć... teraz już sześć zabójstw. Żeby to zrobić, trzeba wiedzieć, na kogo podnosi rękę.

– Na tych, co grzeszą – stwierdziła Nastia z uporem.

– Słuchaj! – Łarcewa zaczęła ogarniać złość. – Czy to nie ty zawsze mówiłaś, że jeżeli przynajmniej jedna rzecz nie pasuje do schematu, to nie dlatego, że jest niewłaściwa, ale dlatego, że schemat jest fałszywy. Osoba z zespołem Downa z założenia nie może popełnić grzechu, bo nie rozumie i nie potrafi zrozumieć, czym jest dobro, a czym zło. Skoro wśród ofiar Żartownisia jest ktoś taki, to znaczy, że nie chodzi o grzechy.

– A o co?

– O śmierć, Nastieńko. To nie grzechy łączą wszystkie te osoby, łączy je jeden niezbity fakt, że nie żyją. I zostaną pochowane w należyty sposób, nie będą anonimowo poniewierać się w kostnicach. Twój Żartowniś ma fioła na punkcie śmierci. W swoich zbrodniach przygląda się jej z każdej strony. Weźmy przyzwoitego w każdym calu

Kazariana. Gdy umrze, nikt nad nim nie zapłacze i nie da pieniędzy na jego pogrzeb. Albo pijąca na umór Tancerka, która w przeszłości miała wszystko – sławę, urodę, względy mężczyzn, życie w środowisku bohemy. Teraz nic jej nie czeka. Ma, co prawda, kupę kochanków i kompanów od kieliszka, ale komu potrzebne takie życie? Weźmy nic niewartego Gienkę Liszaja. Jego też, podobnie jak przyzwoitego Kazariana, nie będzie miał kto pochować i nikt po nim nie będzie płakał. No a szanowana babcia Firsowa? Może jest chciwa, ale nie pochodzi z marginesu. Jej też nie będzie miał kto pochować. Gdy umrze, zgnije w swoim mieszkaniu, zanim ktoś ją znajdzie. Jeśli chodzi o Swietłanę Jastriebową, to stanowi zupełnie inny fenomen. Chce umrzeć, pragnie dobrowolnie rozstać się z życiem, ale otoczenie jej nie pozwala, zmusza do leczenia, poddaje hipnozie, to znaczy przeszkadza zrobić to, czego ona za wszelką cenę pragnie. Ma prawo, by samodzielnie stanowić o swoim losie, ale nikt go jej nie przyznaje. Czy to sprawiedliwe? I wreszcie chłopak z zespołem Downa. Po co ma żyć? Nikomu nie przynosi radości, przeciwnie, wszystkim zawadza, dla wszystkich jest ciężarem. W dodatku stoi na progu śmierci. Czy matka może zdecydować o jego losie? A on sam? Krótko mówiąc, swoimi zabójstwami Żartowniś pokazuje wam różne sytuacje związane z umieraniem. Teraz jasne?

– Ale po co? Po co to robi?

– Oglądałaś przecież film, Nastieńko, sama przyniosłaś mi kasetę, a teraz zadajesz pytania.

– Ale film jest o zabójstwach za grzechy...

– Zostaw wreszcie w spokoju te grzechy! – krzyknął Łarcew, ale zaraz potem odwrócił się zmieszany. – Przepraszam, od czasu urazu łatwo się irytuję i niekiedy wybucham. Owszem, film jest o zabójstwach za grzechy, ale jest w nim jedno charakterystyczne zdanie, które przegapiłaś. To ono dało impuls całej sprawie. Żartowniś chciał, żebyś je usłyszała

i zrozumiała. Ale ty nie usłyszałaś, wciąż myślałaś o grzechach.

– Co to za zdanie?

– „Jeżeli chcesz, żeby ludzie cię usłyszeli, nie wystarczy ich tylko poklepać po ramieniu. Trzeba uderzyć młotem”.

Tak, Nastia pamiętała to zdanie, ale rzeczywiście nie zwróciła na niej szczególnej uwagi. Wtedy co innego wydawało jej się ważne. Czyżby Wołodia miał rację i chodzi nie o grzechy, ale o te słowa?

– No i co ludzie powinni usłyszeć?

– Jeszcze nie wiem, mam za mało informacji, żeby się domyślić. W każdym razie wiadomo, że Żartownisia opanowała *idèe fixe*, którą próbuje nam wytłumaczyć w taki oto straszny sposób.

– Dobrze, zastanowię się nad tym. A dlaczego jesteś pewien, że nie zostanę kolejną ofiarą?

Łarcew się roześmiał.

– Masz manię wielkości, Nastiu! Na jaką cholere jesteś mu potrzebna? Facet ma własny problem, twoja śmierć nie pomoże mu go rozwiązać.

– Ale przecież przyznał, że odgadłam tok jego rozumowania. W swoim telewizyjnym wystąpieniu powiedziałam, że zamierza zabić jeszcze dwie osoby, a on to potwierdził. Czytałeś kartkę.

– Nie ustępowała.

– Czytałem – przyznał Łarcew. – I przeczytałem tam tylko jedno: że rzeczywiście zamierza zabić jeszcze dwie osoby. Na tym jednak wszystko się skończy.

– Co się skończy? – Nie zrozumiała.

– Wszystko. Albo go schwytasz, albo nie. Poprzestanie na zabiciu siódmej osoby.

– Nawet jeżeli go nie złapię?

– Tak.

– Nic z tego nie rozumiem!

Z rozpaczą objęła głowę rękami i zacisnęła powieki.

– Nie mam pojęcia, dlaczego on to wszystko robi! Gdyby był szaleńcem, który zabija, póki nie zostanie schwytany, można by go było przynajmniej zrozumieć. Ale zaplanować siedem zabójstw, żeby komuś coś udowodnić, popełnić je i przestać zabijać, nie mając pewności, że cel został osiągnięty i że udało mu się udowodnić to, czego pragnął? Nie pojmuję tej logiki. A ty mi mówisz, że facet jest normalny?

– Absolutnie. Absolutnie normalny. Nastiu, wszystko jest jasne jak słońce. On chce, żeby go schwytano. I żeby zrobił to nie ktoś przypadkowy, ale ty. Jeżeli nie zdołasz tego zrobić, nie chce zostać schwytany. Albo ty, albo nikt.

Rozdział 18

IRINA

Telefon Nastii Kamińskiej ją zaskoczył. W sobotnie przedpołudnie wysłała Stasowa i Tatianę na długi, mający potrwać do wieczora, spacer z małym Griszeńką, i szykowała się na randkę z Miszą Docenką.

Po wizycie u felinologa, Saszy Kazakowa, kwestię ślubu omawiali jak rzecz dawno postanowioną. Michaił całkiem poważnie się zastanawiał, kiedy najlepiej się wybrać do urzędu stanu cywilnego, żeby ślub wypadł w dogodnym terminie, pod żadnym pozorem nie w okresie Wielkiego Postu, a najlepiej – w dzień Antypaschy. Ira się zgadzała, ale wciąż jeszcze nie mogła we wszystko do końca uwierzyć, mimo że zakochała się w Docence po uszy. Byli już sobie bliscy, ale dzisiejsze spotkanie, niezależnie od intymnych radości, zostało zaplanowane przez Miszę jako kolejny etap wyboru daty ślubu i, co najważniejsze – w celu psychicznego przygotowania Iry do znajomości z przyszłą teściową. Docenko pragnął połączyć ową znajomość z urodzinami swojej mamy, które wypadały na początku grudnia.

Ira nie potraktowała Nastii, rzecz jasna, jako przeszkody w prywatnych planach; obie od dawna dobrze się znały, więc nie czuły się skrępowane w swojej obecności. Mimo to niespodziewany pomysł Nastii, by wpaść na pogawędkę, wywołał lekkie zdziwienie. W sobotę? Gdy nie ma Tatiany? Dziwne.

Widok gościa wstrząsnął Irawą do głębi. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiła sobie przypomnieć, żeby Nastia ubierała się podobnie bez okazji.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała. – Do teatru?

– Nie, po prostu eksperymentuję z wizerunkiem – odparła Nastia wymijająco. – Kiedy przyjdzie Miszka?

– Umówiliśmy się, że w porze obiadowej, koło drugiej. A co, jest ci potrzebny?

– Jeszcze nie wiem, raczej nie. Iroczo, mam do ciebie pytanie, które może ci się wydać dziwne, ale wierz mi, że jest bardzo ważne. Postaraj się więc nie wykręcać, dobrze?

– Boże, nie strasz mnie! – Irina klasnęła w ręce. – O co tak okropnego zamierzasz mnie zapytać? Zaczekaj; zanim zaczniemy rozmawiać, powiedz, czy ci zaparzyć kawę.

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową. – I to mocną, bo zasypiam na stojąco. Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Ira zaparzyła kawę, podała ją w ładnej, eleganckiej filiżance i usiadła przy stole naprzeciw Nastii, podpierając ręką podbródek.

– Teraz możesz zadać swoje straszne pytanie.

– Skąd tak dobrze znasz twórczość Boscha?

Ira osłupiała. Spodziewała się każdego pytania, ale nie tego.

– A co ma do tego Bosch?

– Najpierw odpowiedz, później ci wytłumaczę.

– No... – Zawahała się, ale nie dlatego, że poczuła się zmieszana. Chciała odpowiedzieć wyczerpująco, a zarazem zwięźle. – Lubię malarstwo, ale tradycyjne: portrety, martwą naturę. Zawsze kolekcjonowałam albumy, lubiłam oglądać reprodukcje. Gdy mieszkaliśmy w Petersburgu, wciąż biegałam do Muzeum Rosyjskiego i do Ermitażu. A tutaj zgadałam się kiedyś z sąsiadem, z Andriejem Timofiejewiczem, chyba go pamiętasz...

Nastia kiwnęła głową w milczeniu.

– Zaczęliśmy rozmawiać o malarstwie – ciągnęła Irina. – Podśmiewał się ze mnie, ale po przyjacielsku; powiedział, że mam niewyrobiony gust, i zaczął opowiadać o Boschu. W dodatku tak ciekawie, że zapomniałam o całym świecie!

I pokazał mi dwa albumy. Szczegółowo przeanalizował każdy obraz. A niedawno podarował mi album Boscha.

– W związku z czym?

– Z niczym. Tak po prostu, bez powodu. Co w tym złego? To przecież album malarstwa, a nie brylanty.

– Dawno to było?

– Nie, mniej więcej w połowie października.

– To znaczy po telemoście?

Ira się zamyśliła. Tak, to chyba było po tamtym programie. Zgadza się, nazajutrz po historii z rynkiem. Kotofieicz wpadł do niej przed południem, przyniósł ładnie zapakowany album i powiedział, że malarstwo to najlepsze lekarstwo na stres.

– Tak – odparła bez wahania. – Po telemoście.

– Teraz drugie pytanie. Pamiętasz mojego brata Saszę Kamińskiego?

– Oczywiście – zdziwiła się. – A jaki jest związek między Boschem a twoim bratem? Czegoś tu nie chwytam.

– Chwileczkę, Iriszo, pozwól, że najpierw zadam wszystkie pytania, a później odpowiem na twoje. Często się spotykasz ze swoim sąsiadem?

– Można powiedzieć, że tak. Zwłaszcza ostatnio, po tym, jak się wydarzyła ta historia z telemostem. Bardzo się martwił o moje bezpieczeństwo i nalegał, żebym była ostrożna i korzystała z jego pomocy przy każdej okazji.

Nastia się zachmurzyła.

– Jakiego rodzaju pomocy?

– Na przykład żebym nie otwierała drzwi nieznanym. Chciał, żebym za każdym razem, gdy ktoś zadzwoni do drzwi, najpierw telefonowała do niego. No i w ogóle... Nastiu, nie rozumiem, o co chodzi. Możesz mówić wprost?

– Mogę, ale najpierw jeszcze jedno ostatnie pytanie. Czy sąsiad nigdy nie napomknął, że zna mojego brata?

– Nie – odparła Ira zdecydowanie. – Zwróciłabym na to uwagę. To było ostatnie pytanie, teraz wytłumacz, o co chodzi.

Bardzo się starała opanować emocje i wyglądać na nieorientowaną, ale niepokój, który ją coraz częściej ogarniał, wciąż narastał. No a teraz Nastia wszczęła rozmowę o Kotofieiczu. Czyżby jej podejrzenia nie były bezpodstawne?

– No cóż – zaczęła Nastia niepewnie. – Całkiem się pogubiliśmy z Żartownisiem i zaczęły nam przychodzić do głowy różne bzdurne pomysły. W żadnym razie nie chciałabym rzucać cienia na szanowanego człowieka, więc po prostu podzielę się z tobą pewnymi spostrzeżeniami. Nie traktuj ich jako ostatecznego rozwiązania, dobrze?

– Dobrze.

– No więc po długich rozmyślaniach doszłam do wniosku, że przestępca musi znać zarówno ciebie, jak i mojego brata. Albo jego żonę. Dlatego próbuję znaleźć taką osobę. Co w ogóle wiesz o swoim sąsiedzie?

– Jest emerytem – zaczęła szybko Ira. – To wdowiec, żona umarła dwa lata temu, ma syna...

I urwała. Właściwie na tym kończyły się jej informacje na temat sąsiada. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie zna nawet jego nazwiska.

– A czym się zajmował, zanim przeszedł na emeryturę?

– Nie wiem. Nie opowiadał, a ja nie pytałam. Nastiu, ja... mnie... Nie śmiej się ze mnie, proszę, coś ci opowiem.

– Czemu miałabym się śmiać?

– Bo już się śmiałaś, pamiętasz? Wtedy, zimą, gdy postawiłam wszystkich na nogi, zawiadamiając o krzykach i krwi. Wszyscy się ze mnie śmialiście. Dawno chciałam porozmawiać o tym z Tanią, ale wydawało mi się, że jestem kompletną kretynką i że robię z igły widły. Ale skoro zaczęłaś rozmowę o Kotofieiczu, to powiem.

Zebrała się na odwagę i dokładnie zrelacjonowała to, co ją niepokoiło. Opowiedziała o dziwnych wyjazdach sąsiada i oczywistym kłamstwie na temat połowu ryb i polowania. O stale zamkniętych drzwiach. O tym, że często nie otwiera,

mimo że jest u siebie. O tym, że czasami niedwuznacznie ją wypraszał, gdy ktoś do niego telefonował. O jego niezrozumiałej, ale uporczywej chęci, by się orientować w przebiegu dochodzenia w sprawie zabójstw Żartownisia; o tym, że nasłuchuje każdego słowa, które Tatiana albo Stasow powiedzą na ten temat, niczego nie przeoczy i nie zapomni. O tym, że często używa określenia „moja droga”. A nawet o tym, że dwukrotnie skłamał, mówiąc, że widział tamten program w telewizji, choć Ira dobrze pamiętała, że nie było go wtedy w domu.

– Jesteś pewna, że go nie było? – zapytała Nastia surowo. – Iro, proszę, żebyś się nie śpieszyła z gołosłownym zapewnieniem, to bardzo ważne.

– Jestem pewna – powtórzyła niecierpliwie. – Tak się wtedy zdenerwowałam, że musiałam z kimś porozmawiać. Stasow w pracy, Tania w telewizji, ty też, nie mogłam do ciebie zadzwonić, no więc pobiegłam do sąsiada, w końcu to jakaś żywa dusza. Dzwoniłam do drzwi i telefonowałam. Nie było go w domu, nie ma wątpliwości.

– Ale przecież sama powiedziałaś, że czasami jest u siebie, ale nie otwiera – zauważyła Nastia.

– Drzwi nie otwiera, ale zawsze odbiera telefon. A wtedy nie odebrał. Zresztą słyszałam, jak wrócił. To zawsze słyhać, bo pies głośno szczeka z radości, gdy Kotofieicz wraca. Słyszy go, gdy ten jest jeszcze na dole, i zaczyna ujadać. Później wjeżdża winda i trzaskają drzwi. Nastiu, sądzisz, że Kotofieicz jest zabójcą? – zapytała bez ogródek. – Powiedz mi szczerze: tak właśnie sądzisz?

Ira sama nie wiedziała, jaką odpowiedź chciałaby usłyszeć. Z jednej strony, przykro było myśleć, że znowu robi z siebie podejrzliwą idiotkę i dopatruje się przestępczych zamiarów w najniewinniejszych czynach. Ale z drugiej strony, przyznać, że jej miły, sympatyczny, zawsze chętny do pomocy sąsiad Kotofieicz jest okrutnym zabójcą...

Nastia odsunęła filiżankę i ze znużeniem oparła czoło na rękach.

– Nie wiem już, co myśleć, Iriszo. Kręcę się tu i tam, jak ślepy kociak, próbuję coś zrobić, ale nic mi nie wychodzi, giną kolejne osoby. A ja czuję się winna ich śmierci, bo nie mogę schwytać Żartownisia. Nie mogę go schwytać, bo nie potrafię zrozumieć. Jestem bezsilna wobec jego logiki, nie rozumiem, czego chce. Dzisiaj rano byłam u psychologa, któremu pokazałam wszystkie materiały dotyczące zbrodni. Wiesz, co mi powiedział? Że Żartowniś chce, bym go złapała. Ale jak go mogę złapać, skoro nie rozumiem sensu jego czynów? Muszę go szukać w sposób tradycyjny, tak jak się szuka zabójców – namierzać kontakty, badać przepływ informacji. Robię te rzeczy, ale wciąż czuję, że to nie to. Nie to! Że trzeba go szukać inaczej. Wybacz, że cię obciążam swoimi służbowymi problemami, nie musisz ich zgłębiać. – Zerknęła na zegarek. – Wpół do drugiej. O trzeciej muszę być w prokuraturze u śledczego. Czy twój sąsiad jest teraz w domu?

– Nie wiem. Mogę zadzwonić...

– Wstąpmy do niego. Jeżeli go nie ma, to od razu pojedę.

– Ale przecież podejrzewasz, że jest zabójcą – powiedziała Ira z przerażeniem. – I chcesz do niego iść?

– A co w tym złego? – Nastia uśmiechnęła się i zgasła papierosa. – Jeżeli jest zabójcą, to nie można go odwiedzić? Zabójcą jest tylko wtedy, gdy do kogoś strzela, przez resztę czasu jest zwyczajnym sąsiadem. Przecież go odwiedzałaś?

– Tak...

– No właśnie. I nic ci się nie stało. Chodźmy, spróbujemy go złapać bez uprzedzenia. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Ira poczuła się nieswojo. To prawda, że wiele razy odwiedzała Kotofieicza, ale wtedy nie był w jej oczach przestępcą, a to zupełnie co innego. Zresztą dlaczego co innego? Może Nastia ma rację: jeżeli się nie wie, że ktoś jest zabójcą, można z nim

rozmawiać jak z każdym. Na czole nie ma przecież wypisane...
Mimo to Ira wolałaby, żeby Kotofieicz nie otworzył im drzwi.

On jednak był w domu.

KAMIEŃSKA

Bojaźliwa i obowiązkowa Irocza postanowiła, że koniecznie zostawi na drzwiach kartkę dla Miszy Docenki, jeśli ten się zjawi, podczas gdy ona będzie u sąsiada. Zabrała się do pisania, a Nastia poszła do przedpokoju i energicznie wsunęła nogi w pantofle. Ból okazał się tak ostry, że aż pociemniało jej w oczach. Noga, odwykła od wąskiej cholewki i wysokiego obcasa, za nic nie chciała się zmieścić w modnym bucie. Sama jestem sobie winna, pomyślała Nastia gniewnie. Zapomniałam o starej zasadzie: jeżeli masz problem z butami, to ich nie zdejmuj, zanim nie wrócisz do domu. Bo jak zdejmiesz, noga odpocznie i potem już nie wejdzie do buta. No i co teraz zrobić? Wiadomo co: męczyć się.

– Iro, masz może plaster? – zapytała cierpiętniczym głosem, ze smutkiem oglądając opuchniętą, purpurową piętę, której wspaniałego koloru nie potrafiły ukryć nawet rajstopy.

Irocza natychmiast sięgnęła do apteczki, ale Nastia nagle się rozmyśliła.

– Zaczekaj, na razie nie trzeba. No jak, jesteś gotowa? Napisałaś liścik do swojego ukochanego?

– Tak, chodźmy. – Ira westchnęła z rezygnacją i w tej samej chwili jęknęła na widok Nastii, która stała boso, ze szpilkami w rękach.

– Zamierzasz tak iść?

– Owszem.

Irina chwyciła wiszący na lodówce magnes w kształcie apetycznego kawałka sera, otworzyła drzwi i zadzwoniła do sąsiada.

Andriej Timofiejewicz od razu im otworzył. Przystojny, wyprostowany jak struna, z ładną siwizną i starannie przystrzyżoną brodą, wyglądał jak aktor grający rolę szlachetnych ojców.

– Co za gość! – zawołał z radością na widok Iry, ale zauważywszy stojącą za jej plecami Nastię, stłumił nieco uśmiech. – Czym mogę służyć? – zapytał z rezerwą.

Nastia delikatnym ruchem odsunęła Irinę i zrobiła krok do przodu.

– Proszę wybaczyć, że pana niepokoiimy. Mamy dość głupie pytanie. Nie wie pan, gdzie zadzwonić, żeby taksówka przyjechała nie w ciągu godziny, ale szybciej? – zapytała zmieszana.

– Dwieście trzydzieści osiem – dziesięć – zero jeden – odparł sąsiad bez wahania. – Zawsze korzystam z usług tej firmy, szybko przysyła samochód, no i jest niezawodna, nigdy się nie spóźnia. To Moskiewska Taksówka. A co, mają panie jakiś problem?

– Niestety! – powiedziała ze smutkiem, prezentując buty, które trzymała w ręce. – Obtarłam nogi i nie mogę chodzić. Widzi pan, jak to wygląda?

Udając, że nie ma pojęcia o dobrym wychowaniu, uniosła nogę i zademonstrowała Andriejowi Timofiejewiczowi wyraźne ślady po bezlitosnym obuwiu.

– No rzeczywiście! – zawołał sąsiad. – A plaster? Musi pani koniecznie zakleić nogi plastrem.

– Nie mam przy sobie.

– A pani, Iro? Czyż w domu nie było plastra?

Irocza bezradnie rozłożyła ręce, przyznając się do swojej aptekarsko-gospodarczej niefrasobliwości.

– Proszę usiąść – polecił sąsiad nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Zaraz poszukam, chyba powinienem mieć. Zapraszam do pokoju.

Podczas gdy Ira, wróciwszy na klatkę schodową, przymocowywała magnesem kartkę adresowaną do Docenki, Nastia szybko się rozejrzała. Tak, chyba Iriszka miała rację, z przestronnego holu drzwi prowadziły do trzech pokoi, na dwóch wyraźnie widać zamocowane zamki. Tylko do jednego drzwi były szeroko otwarte, tam właśnie weszła.

– Jak pani chce, proszę tymczasem zadzwonić i wezwać taksówkę – dobiegł z kuchni głos Andrieja Timofiejewicza. – Telefon stoi koło kanapy.

Nastia skorzystała z propozycji i podczas rozmowy z dyspozytorem uważnie lustrowała pokój. Nic szczególnego, zwyczajne pomieszczenie samotnego mężczyzny, względnie schludne i posprzątane. Książek niewiele, zbiór dzieł Czechowa, Tołstoja, *Baśnie tysiąca i jednej nocy* w ośmiu tomach i ze dwadzieścia różnych wydań rosyjskich pisarzy – Biełow, Asatafjew, Rasputin, Bogomołow, Wasiljew... Na półkach za szkłem parę amatorskich zdjęć.

– Iro, kto jest na tych zdjęciach? – zapytała szeptem Nastia.

– Nie wiem – wyszeptała Irocza w odpowiedzi. – Na jednym chyba zmarła żona, o resztę nie pytałam.

Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia, brwi się zsunęły. Podeszła do jednej z półek i zaczęła uważnie studiować stojące na niej zdjęcie. Ze swojego miejsca Nastia nie widziała, co właściwie przyciągnęło jej uwagę. Już miała zapytać, ale nie zdążyła – do pokoju wszedł Andriej Timofiejewicz z pudełkiem plastrów w ręce.

– No i znalazłem! – zawołał triumfalnie. – Proszę. Wezwała pani taksówkę?

– Tak, dziękuję. Chodźmy, Iriszo, zakleję sobie nogi.

Nastia wstała i wzięła od Andrieja Timofiejewicza kartonowe pudełeczko, starając się trzymać je tylko paznokciami, w dodatku tak, żeby sąsiad nie zauważył.

– Co panią tak zainteresowało, moja droga? – zwrócił się z niezadowoleniem do Iry, która stała jak wryta przed półką

z książkami i nie spuszczała z niej wzroku.

– Co za piękna kobieta. Kto to taki?

– Nikt szczególny... stara znajoma.

Andriej Timofiejewicz wyraźnie nie miał ochoty rozwijać tematu; widać było, że chce jak najprędzej pozbyć się nieproszonych gości. Serdecznie dziękując mu za pomoc, Nastia i Irina powoli się wycofywały. Wróciwszy do mieszkania Stasowa, Nastia zaczęła pośpiesznie ściągać rajstopy, żeby nakleić plaster. Wytrząsnęła paski plastra na stół, po czym ostrożnie włożyła pudełko do foliowego woreczka i wsunęła do torby.

– No i jak? – drżącym głosem zapytała Irocza. – Co o nim sądzisz?

– Nic. Facet jak facet. Przecież ci mówiłam, że przestępcy nie mają wypisane na czole, że są przestępcami. Zwyczajny sąsiad.

– Po co w takim razie poszłyśmy do niego? Jeżeli nie ma wypisane na czole, co chciałaś tam zobaczyć?

– Jak na mnie zareaguje. Chciałam zobaczyć jego mieszkanie.

– No i zobaczyłaś?

– Zobaczyłam. Co to za zdjęcie, któremu się przypatrywałaś? Sąsiad się chyba rozgniewał. Wyraźnie mu się nie spodobało.

– Tam... Nastiu, tylko nie myśl, że jestem podejrzliwa i wciąż zwidują mi się różne okropieństwa.

– Nie pomyślę. Mów. Dalej, Iro, za pięć minut przyjedzie taksówka.

– Na zdjęciu jest kobieta, bardzo młoda, ma około dwudziestu pięciu lat. Wiesz, do kogo jest podobna?

– Do kogo?

– Do matki tamtego fachowca od kotów, u którego byłam z Miszą.

To dopiero numer! Czyżby sąsiad znał tę rodzinę? W tej sytuacji to oczywiste, że mógł wiedzieć o staruszce Firsowej

i o jej nieprzebranych skarbach. A więc wszystko zaczyna pasować? I Bosch, i Firsowa, i dziwne zachowanie. A nawet niewinne wyrażenie „moja droga”. Jeszcze za wcześnie na wnioski, zaraz Nastia pojedzie do Olszańskiego i przekaże mu pudełko po plastrach, niech eksperci zbadają odciski palców.

– Jesteś pewna co do zdjęcia? – zapytała Irinę surowo.

– Nie. Przecież mówię, że na zdjęciu kobieta wygląda na dwadzieścia pięć lat. Teraz ma syna w tym wieku. Widać jedynie pewne podobieństwo. Nastiu, ja... Boję się. Zaraz sobie pojedziesz i zostanę sama. A za ścianą zabójca.

– Po pierwsze, lada chwila zjawi się Misza, więc nie będziesz sama. Po drugie, nic ci nie grozi. Po co miałby cię zabijać? Zostanie ujęty w ciągu dwóch minut. Wyrzucić z głowy te bzdury.

Nastia ani przez chwilę nie wierzyła w to, co mówiła. Jeżeli Wołodia Łarcew ma rację, Żartowniś chce zostać ujęty. W dodatku ostatni list tego łajdaka wyraźnie dawał do zrozumienia, że schwytać go można tylko podczas siódmego zabójstwa. A więc na ofiarę musiał wybrać kogoś znanego Nastii. Dlaczego tą osobą nie może być Ira? Tylko dlatego, że w żaden sposób nie wpisuje się w ciąg poprzednich ofiar? Ale przecież Nastia nie zdołała rozszyfrować logiki owego ciągu. Może Ira do niego pasuje...

Nastia wcisnęła nogi do butów i bezwiednie się skrzywiła. Ćmiący ból w zaklejonych plastrem piętach się zmniejszył, ale stopa tak ją rwała, że z trudem powstrzymała jęk. Trudno, musi biec, póki nie przyszedł Docenko. Chciała zaczekać na niego na dole, żeby porozmawiać bez Iriny. Miejmy nadzieję, że chłopak nie da na siebie zbyt długo czekać, i Nastia zdąży do Olszańskiego.

Dopisało jej szczęście. Taksówka jeszcze nie przyjechała, a na Michaiła natknęła się przy wejściu na klatkę schodową.

– Anastazja Pawłowna? – zdumiał się. – Była pani u Iry?

– Miszeńska – powiedziała pośpiesznie. – Sytuacja radykalnie się zmieniła. Po pierwsze, niech pan siedzi z Irą i nigdzie nie idzie, póki nie wrócą Stasow i Tatiana. Nawet jeżeli wrócą bardzo późno. Pod żadnym pozorem niech pan nie zostawia Iroczi samej. Po drugie, gdy tylko pan do niej wejdzie, proszę zadzwonić do Korotkowa, niech wyda polecenie, żeby zebrać jak najwięcej informacji o sąsiedzie.

– O Kotofieiczu?! Co też pani mówi, Anastazjo Pawłowna?!

– Miszeńska, lepiej dmuchać na zimne, niż wyjść na głupca, prawda? Ira wszystko panu wyjaśni, wie, o co chodzi. Jadę do Olszańskiego, w razie czego proszę tam dzwonić.

Niepowodzenie z pantoflami i nogami zrównoważył jeszcze jeden łut szczęścia: taksówkarz okazał się starszym facetem, pogrążonym w głębokiej zadumie. Nie próbował nawiązać rozmowy z pasażerką i, co najważniejsze, nie słuchał radia. W ciszy Nastii udało się skupić.

Co powiedział Łarcew? Żartowniś demonstruje im rozmaite sytuacje związane ze śmiercią i pochówkiem. Jasno dał do zrozumienia, że ma w planach jeszcze jedno zabójstwo. Pozostała tylko jedna ofiara, która powinna stanowić ostatnie ogniwo w logicznym łańcuchu rozumowania. To po pierwsze. Ofiara, którą Nastia jest w stanie wydedukować. To po drugie. No cóż, zaczniemy wszystko od początku, opierając się na tym, co zaproponował Łarcew.

Nadieżda Starostienko, inaczej Nadka Tancerka – to, co najlepsze, pozostawiła za sobą, przed nią tylko pijaństwo i bezsensowny nierząd. Może rozstać się z życiem. Zostanie pochowana w czystym, nowym ubraniu, a nie w brudnych łachach.

Giennadij Łukin, przydomek Liszaj – w życiu chyba nie spotkało go nic dobrego, żałosna egzystencja biednego kloszarda, szperającego w śmietnikach okolicznych domów. Bez przeszkód może opuścić ten świat. On też zostanie pochowany w należyty sposób i będzie wyglądał przyzwoicie.

Walentin Kazarian, dawny funkcjonariusz milicji, z powodu fałszywej (a może prawdziwej?) dumy zerwał wszelkie kontakty z otoczeniem i stacza się na dno. Względnie młody, na razie jeszcze zdrowy, ale, z uwagi na swój charakter – bez perspektyw. Może czas, by odszedł już teraz, nie czekając, aż zacznie wieść życie Gienki Liszaja? A tak się stanie, to nie ulega wątpliwości.

Serafima Antonowna Firsowa, samotna emerytka, w której mieszkaniu podczas starannego przeszukania znaleziono biżuterię i złote monety warte krocie – życie przeżyte, dalej będzie coraz gorzej. Po co zwlekać z odejściem? Pieniądze nie ulżyły jej w starości, ale zapewnią godny pogrzeb.

Swietłana Jastriebowa, żona biznesmena, w tragicznych okolicznościach i z własnej winy straciła synka – w ogóle nie chce żyć, po co jej przeszkadzać?

Chłopak z zespołem Downa, Nastia nie zna jeszcze jego imienia, Siełujanow wczoraj go nie wymienił – umrze i tak, a matka się męczy i cierpi. Ledwie daje radę zadbać o siebie, z pieniędzmi też krucho... Nieszczęsny chłopak przeżył swoje niedługie życie w szczęśliwej niewiedzy i będzie pochowany, jak należy, Żartowniś zostawił na to pieniądze.

Sześć sytuacji usprawiedliwiających przedwczesną śmierć. Umrzeć, bo to, co najlepsze, już nie wróci. Umrzeć, bo ciężko żyć. Umrzeć, gdy wszystko jest jeszcze znośne, nie czekając, aż stanie się nie do wytrzymania. Umrzeć, bo już teraz jest źle, a później będzie jeszcze gorzej. Umrzeć, bo nie ma się ochoty żyć. Umrzeć, bo jest się ciężarem dla rodziny z powodu swojej choroby.

Pozostało jeszcze jedno „umrzeć”. Jakie? Odpowiedź przyszła od razu i wydała się Nastii tak oczywista, że aż się zdziwiła, dlaczego wcześniej na to nie wpadła. Siódmą ofiarą powinien zostać niepełnosprawny, tyle że nie w sensie psychicznym, ale fizycznym.

Niepełnosprawny, którego Nastia może wydedukować. Którego zna.

Tieriochinowie... Trzy siostry i mały brat. Czwórka nieszczęsnych dzieci nieszczęsnej matki, która nie potrafiła się pogodzić z myślą, że ich ojciec – jej kochanek – prowadził na nich eksperymenty medyczne. Wypchnęła dzieci z okna na ósmym piętrze i sama skoczyła. Tylko najstarsza córka potrafiła się wyrwać i uciec. Reszta runęła na bruk, ale pozostała przy życiu. Wszyscy są kalekami[26]. Które z nich?

ZABÓJCA

Przygotowywałem się długo i starannie. Do zaplanowanego przedstawienia potrzebowałem statystów i jednego głównego wykonawcy. Statystów wybierałem, kompletując informacje z różnych źródeł, a także spacerując po mieście. Trwało to miesiące, ale w efekcie połów okazał się niezły. Do sieci trafili konkretni ludzie, tacy jak Swietłana, której tragedię obserwowałem w Hiszpanii, gdy odpoczywałem tam w ubiegłym roku (nawiasem mówiąc, stamtąd przywoziłem ceramiczne rybki; zobaczyłem je w sklepie z pamiątkami i kupiłem od razu dziesięć sztuk, bo bardzo mi się spodobały), i staruszka Firsowa, a także ludzie przypadkowi i w zasadzie niekonkretni. Znalazłem, na przykład, parę osób z zespołem Downa i drogą prostych obserwacji odkryłem, gdzie mieszkają. Powłóczyłem się po dworcach i stwierdziłem, że potrzebnych do mojego planu bezdomnych mogę znaleźć w każdej chwili, zarówno mężczyzn, jak i kobiety – w dowolnym wieku oraz dowolnego wyglądu. Spacerowanie po mieście przyniosło mi wiele cennej wiedzy, w szczególności o alkoholikach, od których aż się roi w starych dzielnicach. Alkoholików również potrzebowałem. Do mojej sieci trafili też ludzie zupełnie nieprzewidziani, ale uznałem, że nie będę ich lekceważył,

przydadzą się. Taką osobą był, na przykład, Kazarian, o którym się dowiedziałem, gdy się kręciłem pod Moskwą w poszukiwaniu miejsc, gdzie się gromadzą pijacy i bezdomni. Dlaczego zainteresowałem się terenami pod miastem? Przewornie gromadziłem różne opcje, bo nie wiedziałem, kto się okaże głównym wykonawcą. Gdy go wybiorę, wtedy będzie jasne, których statystów z obszernej listy wprowadzę do przedstawienia.

Szukanie głównego wykonawcy było bardziej skomplikowane. Nie mogłem go znaleźć, spacerując po Moskwie. Nie mogłem też otwarcie zasięgać języka. Jest jednak pewna wspaniała rzecz – prasa i telewizja. Przez parę miesięcy regularnie, codziennie bez wyjątku oglądałem programy poruszające tematy kryminalne, w których bardzo często przeprowadzano wywiady z pracownikami prokuratury i wydziału kryminalnego. Przyglądałem im się, zgłębiałem sens ich wypowiedzi, obserwowałem mimikę i gesty w poszukiwaniu tego, który mógłby godnie odegrać główną rolę w moim przedstawieniu. W tym samym celu przeglądałem materiały o problematyce kryminalnej w gazetach i czasopismach – chciałem znaleźć godnego wykonawcę. Czasami trafiali się całkiem odpowiedni kandydaci, wyraźnie niegłupi, o sprytnych oczach, wygłaszający rozsądne sądy. W końcu na mojej liście pretendentów do głównej roli pozostało dwanaście osób. Po głębokim zastanowieniu i kalkulacji pozostawiłem dwoje i musiałem zdecydować, na kogo z tej dwójki postawić. Jedna osoba była śledczym z olbrzymim stażem, druga pracowała w wydziale kryminalnym i wywarła na mnie wrażenie postaci nietuzinkowej. Zacząłem się zastanawiać, jak zebrać o każdej z nich dodatkowe informacje, które pozwolą mi dokonać ostatecznego wyboru.

I nagle...

KAMIEŃSKA

– Tieriochinowie? – z powątpiewaniem zapytał Konstantin Michajłowicz Olszański. – Dlaczego jesteś pewna, że chodzi o nich?

– Bo o tej rodzinie pisano w wielu gazetach. I była to jedyna sprawa, w której podano do publicznej wiadomości moje nazwisko. Nigdy więcej nie pojawiła się o mnie wzmianka w prasie – wyjaśniła Nastia. – Jeżeli Żartowniś chce zabić osobę niepełnosprawną, którą znam, może to być tylko ktoś z Tieriochinów. Albo cała czwórka.

– No dobrze, przypuśćmy. – Śledczy kiwnął głową. – Przypuśćmy, że masz rację. A co z siedmioma grzechami, którymi zwracałaś mi głowę? Gdzie się podziały?

– Niech pan sobie wyobrazi, Konstantinie Michajłowiczu, że Żartowniś ma dziwny kaprys – chce, żebym to ja go złapała, ale żebym się wykazała przy tym inteligencją. Bosch stanowił fałszywy trop. Żartowniś próbował mnie zmylić, zaprowadzić w ślepą uliczkę. Inaczej mówiąc, sprawdzić, ile jestem warta. Mętnie tłumaczę, tak?

– To delikatnie powiedziane – mruknął Olszański, poprawiając okulary. – Mogłabyś się postarać mówić jaśniej. Zaczekaj, skontaktuję się z kryminalistykami.

Zdjął słuchawkę, żeby zadzwonić do eksperta, którego pół godziny temu poprosił, by rzucił okiem na przywiezione przez Nastię pudełko po plastrach.

– Jeszcze nie zrobił – burknął z niezadowoleniem, skończywszy rozmowę. – Obiecuje za jakieś dwadzieścia minut. Mów dalej.

– Żartowniś ma obsesję na punkcie śmierci w chwili, gdy człowiek sam tego zapragnie. Widocznie on też chce umrzeć, ale postawił sobie jeszcze jeden cel – zamierza ujawnić nam swoją teorię. Nie wyszeptać, ale wykrzyknąć na całe gardło. Nie wiem, dlaczego akurat mnie wybrał na marionetkę. Gdy go

złapiemy, będzie pan mógł go o to zapytać. Musiał się jednak przekonać, że jestem godną przeciwniczką i podejmę jego grę. Nie miał żadnej pewności, czy zrozumie symbol Boscha i czy trafię na film *Siedem*. Ale wcale nie musiał być tego pewien, rozumie pan?

– Nie, nie rozumiem. – Olszański się rozgniewał. – Bądź uprzejma wyrażać się klarowniej.

– W tamtym programie telewizyjnym pojawiła się informacja, że znam pięć języków obcych. Jaka może być reakcja? No proszę, taka jesteś wykształcona? Powinnaś zatem orientować się nie tylko w swoich milicyjnych sprawach, ale też w wielu innych kwestiach, powinnaś znać literaturę, historię, malarstwo, filozofię, geografę i tak dalej. Jeżeli znasz malarstwo, zrozumiesz aluzję do Boscha, ale jeżeli nie, to znaczy, że twoje wykształcenie jest iluzoryczne. Idziemy dalej. W programie powiedziałam, że ludzkość nie jest w stanie niczego wynaleźć na płaszczyźnie psychologicznej, bo wszystko już kiedyś było, i to wiele razy. Nie sposób popełnić przestępstwa, którego jeszcze nigdy nie było. Może być oryginalne pod względem technicznym, ale jego motyw będzie stary jak świat. Co można na to odpowiedzieć? Aha, taka z ciebie mądrala? Jeżeli naprawdę tak myślisz i palnęłaś tę gadkę nie po to, żeby się popisać, powinnaś też postępować zgodnie ze swoją deklaracją. Powinnaś czytać furę kryminałów i oglądać filmy o przestępstwach, żeby mieć pełną listę możliwych motywów i skrzywień psychicznych. A zatem na pewno obejrzysz film *Siedem*, jeżeli jeszcze go nie widziałaś. To bardzo znany film, wszyscy miłośnicy i znawcy gatunku go widzieli. Jeśli zaś nie znasz tego filmu, to znaczy, że jesteś zwyczajną pozerką i mówisz nie to, co myślisz. A skoro jesteś niewykształconą pozerką, to mnie, oczywiście, nie złapiesz, tyle że wcale mi na tym nie zależy. Chcę, żeby złapał mnie godny przeciwnik, z którym nie będzie wstyd przegrać. Jeżeli zdołasz mnie złapać, jeżeli okażesz się taka, na jaką

wyglądasz, wtedy gotów jestem oddać się w twoje ręce. Taki właśnie był tok jego rozumowania. Wczoraj długo debatowałam z Loszką, próbowaliśmy razem zrozumieć, dlaczego Żartowniś świadomie pozwolił na tyle przypadków, przecież każdy z nich mógł nie wypalić. Nie wpadnę na aluzję do Boscha, nie zobaczę filmu i tak dalej. Doszliśmy do wniosku, że musi to być ktoś z mojego otoczenia i że ma możliwość kontrolowania sytuacji. Dlatego pobiegłam dzisiaj do Iriny – chciałam się dowiedzieć, skąd zna obrazy Boscha. Może ktoś jej o nich wspomniał? A teraz myślę, że Żartowniś nie musi koniecznie pochodzić z mojego otoczenia i kontrolować sytuacji, bo ona sama się kontroluje, rozumie pan? Jeżeli jestem godną przeciwniczką, to go złapię, a jeśli nie – to on nie chce być schwytany. Przyczął się na pewien czas i obmyśla kolejną kombinację, wybierze sobie nową marionetkę i będzie sprawdzał jej wartość intelektualną. Jest owładnięty swoją teorią i będzie ją wcielał w życie bez względu na cenę. W tych okolicznościach sąsiad Irki idealnie pasuje, nie sądzi pan? Wiedział o telemoście, parę dni wcześniej odwiedził Stasowa, gdy ja też tam byłam. Uzgadniałyśmy z Tatianą, co i jak powiemy. Podczas telemostu nie było go w domu, tak twierdzi Ira. Na okrągło używa w rozmowie określenia „moja droga”, takiego samego jak na kartkach. Nie spoufala się z sąsiadami, nie pozwala im ingerować w swoje życie, nie opowiada o nim, nie pokazuje pokoiów w mieszkaniu. Nikt nie zna nawet jego nazwiska!

Jej monolog przerwał dzwonek telefonu. Olszański w milczeniu wysłuchał rozmówcy i się zachmurzył.

– Dziękuję. – Odłożył słuchawkę. – To nie on.

Nastia nie wierzyła własnym uszom.

– Jak to nie on? Na pewno?

– Eksperci czasami się mylą, rzecz jasna. – Olszański się uśmiechnął. – Ale nie w takich prymitywnych rzeczach. Na pudełku nie ma odcisków palców Żartownisia.

Znowu wpadka... Jak długo można? Nastia miała ochotę rozplakać się z irytacji. Bezsenna noc dawała o sobie znać, okropnie bolały ją też nogi. A może jednak się nie pomyliła?

– Chwileczkę, Konstantynie Michajłowiczu. Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o Szuwałowie? Narkomanów zabijał sam, ale do innych zabójstw wynajął kogoś, kto pisał kartki i zostawiał swoje odciski palców na figurkach. A może Żartowniś właśnie tak postąpił? Może nikogo nie wynajmował, może robi wszystko sam: zabija, ale zostawia na miejscu zbrodni kartki napisane przez kogoś innego i figurki ze zdobytymi wcześniej odciskami palców tej osoby? W tej sytuacji żadne ekspertyzy mu niestraszne.

Śledczy pokręcił głową powątpiewająco i popatrzył na Nastię z wyrzutem.

– Słuchaj, Kamieńska, czy ty nie przesadzasz? Budujesz zamki na piasku. Byle podmuch może je rozwiać. A przy okazji, nie wyjaśniłaś mi kwestii grzechów.

– Tutaj wszystko jest jasne – oznajmiła apatycznie. Nagle ogarnęło ją takie zmęczenie, że trudno jej było mówić. – Jeżeli obejrzę film i zobaczę na pudełku reprodukcję obrazu Boscha, nie będę mogła nie zwrócić uwagi na listę siedmiu grzechów głównych. Jeżeli jestem głupsza, niż pragnie Żartowniś, zacznę dopatrywać się owych grzechów u każdej z ofiar i będę myśleć, że następne zabójstwa też będą się z nimi wiązać. Wydedukuję prawdopodobne ofiary, ruszę fałszywym tropem i na pewno nie złapię Żartownisia. Jeżeli natomiast jestem mądrzejsza i odpowiadam jego wymaganiom, wydedukuję, że nie o chodzi o grzechy. Żartowniś specjalnie zabił chłopaka z zespołem Downa, żeby mi pokazać, że grzechy nie mają nic wspólnego z jego ofiarami. Wciąż podsuwa mi fałszywe tropy i patrzy, czy się nabiorę. Mam wrażenie, że nieustannie poddaje mnie egzaminowi. Konstantynie Michajłowiczu, mogę wrócić do domu? Zupełnie opadłam z sił.

– Wytrzymasz – odparł Olszański, jak zwykle nie grzesząc nadmiarem uprzejmości. – Gdzie Korotkow?

– Pewnie w pracy. Zawsze w soboty tam siedzi. W niedziele też.

– U-hm – mruknął śledczy, patrząc gdzieś przed siebie. – No cóż, Kamińska, dokonajmy podsumowania. Mówisz, że Żartowniś owładnięty jest teorią śmierci w odpowiednim czasie?

– Tak mi się wydaje – odparła Nastia ostrożnie.

Bała się już upierać przy czymkolwiek, bo wciąż się okazywało, że się myli.

– Mówisz, że teraz wziął na celownik rodzinę Tieriochinów?

– Tak mi się wydaje – powtórzyła. – Mogę się jednak mylić. Może są jeszcze inni niepełnosprawni, których znam, ale nie potrafię ich sobie przypomnieć.

– Mówisz, że Tatiana Obrazcowa ma podejrzanego sąsiada?

– Takie odniosłam wrażenie.

– Boże kochany, coś ty taka powściągliwa, Kamińska?! Odpręż się, nie jesteś na przesłuchaniu.

– Ale w gabinecie śledczego. – Nastia uśmiechnęła się słabo.

– Skoro jestem śledczym, wydam twojemu koledze Korotkowowi polecenie; niech zadba, aby je wykonano jak najprędzej.

Polecenie, które śledczy Olszański skierował do wydziału kryminalnego, zostało sformułowane nad wyraz jasno.

1. Zapewnić całodobową ochronę rodziny Tieriochinów: Iriny i Natalii, zameldowanych pod adresem... Olgi i Pawła, przebywających w szpitalu pod adresem...

2. Przekazać podpułkownik Kamińskiej pełną listę osób, które zna osobiście i które są ułomne fizycznie albo cierpią na ciężkie schorzenia somatyczne prowadzące do trwałej utraty zdolności do pracy.

3. Zebrać informacje o lokatorze mieszkania numer... w domu numer... na ulicy... Ustalić dane osobowe, typ zajęć,

źródła dochodu, sprawdzić na okoliczność udziału w zabójstwach ob. Starostienko, Łukina, Kazariana, Firsowej...

4. Przeanalizować środki masowego przekazu pod kątem uczestników dyskusji na temat następujących problemów: pochówków, pomocy państwa udzielanej osobom niepełnosprawnym i w podeszłym wieku, samobójstw, eutanazji.

[26] Ta historia została opisana w powieści *Iluzja grzechu* A. Marininy.

Rozdział 19

KAMIENSKA

Nie była tutaj dwa lata, nawet nieco dłużej, odkąd skończyła się historia z porwaniem Nataszy Tieriochiny. Wcale nie dlatego, że zapomniała o wyjątkowej rodzinie i naprawdę wyjątkowych osobach – Irinie Tieriochinie, jej siostrze Nataszy i narzeczonym Nataszy, Mironie. Pamiętała i często o nich myślała, ale nie miała czasu na odwiedziny. Dowiadywała się jednak od Stasowa, co u nich słychać. Właśnie w tym domu Władysław mieszkał kiedyś razem z pierwszą żoną Ritą, która nie wyprowadziła się stąd aż do dzisiaj. Ponieważ Stasow utrzymuje stały kontakt z córką, zagląda do Tieriochinów za każdym razem, gdy bywa w Sokolnikach. Rodzinie wiodło się nieźle. Natasza okazała się rzeczywiście bardzo zdolna i studiowała zaocznie na prestiżowej uczelni technicznej, Irina nie potrafiła siedzieć z założonymi rękami, chociaż wraz z pojawieniem się Mirona z pieniędzmi ich życie stało się nieporównanie lepsze. Ira Tieriochina miała jednak taką naturę, że nie mogła nie pracować, nawet gdy źle się czuła. Rodzina nie zebrała jeszcze kwoty potrzebnej na leczenie za granicą najmłodszego chłopca, Pawlika, ale nie traciła nadziei. To właśnie nadzieja i wiara w przyszłość były tymi filarami, na których się wspierała. Stasow zapewniał, że Natasza Tieriochina wypiękniała jeszcze bardziej i nawet fakt, że była przykuta do wózka inwalidzkiego, nie ujmował jej urody. Miron kochał ją bez pamięci, a ponieważ dziewczyna skończyła niedawno osiemnaście lat, oboje myśleli o rychłym ślubie.

Nastia pojechała do nich prosto z prokuratury, chociaż gdy siedziała w gabinecie Olszańskiego, miała wrażenie, że zdoła jedynie dotrzeć do domu, paść na łóżko i zasnąć. W chwili,

gdy pojęła, że to nie jej przypadło w udziale zostać siódmą ofiarą Żartownisia, napięcie ustąpiło i poczuła się jak nadmuchiwana lalka, z której szybko schodzi powietrze. Kiedy jednak wyszła z budynku na moście Kuznieckim, postanowiła, że pojedzie do Sokolników, by odwiedzić Tieriochinów. Znowu będę musiała wziąć taksówkę, pomyślała z irytacją. Nie dowlokę się w tych szpilkach. Moja praca doprowadzi mnie do ruiny. Zresztą jak zwykle nie mam racji. Praca nie ma z tym nic wspólnego, wszystko przez moją głupotę. Niepotrzebnie włożyłam eleganckie pantofle, mogłam wyjść z domu jak zawsze, w adidasach i w dżinsach, teraz czułabym się normalnie.

Drzwi otworzył jej Miron i uśmiechnął się szeroko.

– Anastazja Pawłowna! Co za niespodzianka! – powiedział szeptem, chwytając Nastię za rękę i dosłownie wciągając do środka.

– Dlaczego szepczesz? Boli cię gardło? – zainteresowała się Nastia.

– Natka śpi.

– Jasne. – Nastia też ściszyła głos. – A gdzie Irina?

– W pracy. Gdzie miałyby być?

– To dobrze, że nikt nas nie słyszy. Musimy porozmawiać, Mironie.

– Chodźmy do dużego pokoju, tam jest wygodnie i Natka nie usłyszy, w razie gdyby się zbudziła – zaproponował ochoczo młody mężczyzna.

Wygląd mieszkania radykalnie się zmienił od czasu, kiedy Nastia w nim bywała. Wtedy Natasza, podobnie jak dwoje młodszych dzieci, przebywała w szpitalu, żadnego Mirona nie było jeszcze w rodzinie, a Irina, najstarsza z czworga, zajmowała najmniejszy pokój, dwa pozostałe wynajmowała lokatorom, żeby choć trochę dorobić. Po porwaniu Natasza nie wróciła do szpitala, Miron się do nich przeprowadził i wszyscy podjęli nieodwołalną decyzję, że nigdy więcej nie będzie

obcych osób w mieszkaniu. Mały pokój nadal należał do Iriny, średni zajęła Natasza z narzeczonym, a duży pełnił funkcję wspólnego salonu. Już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że w ciągu dwóch lat Miron włożył mnóstwo sił i pracy w remont mieszkania, odrestaurował też meble, które były tego warte, resztę wymienił. Nawet zasłony w oknach były nowe i miały wymyślny krój.

– Ale ładnie się u was zrobiło! – Nastia nie kryła zachwytu.

– Staramy się – odparł Miron z dumą. – Zasłony uszyła Natka. Pokręciłem się po sklepach, skopiowałem wzory, a Natka zrobiła wykrój i uszyła na maszynie. Kupiłem jej dobrą maszynę do szycia, teraz obszywa nas wszystkich. Gdyby pani wiedziała, Anastazjo Pawłowna, jaki Natka ma talent! Bez względu na to, do czego się weźmie, wszystko jej wychodzi – i matematyka, i szycie. Może ten jej tatuś był draniem, należą mu się jednak podziękowania, że ona jest właśnie taka.

– Ale przecież nie może chodzić – zauważyła Nastia delikatnie. – A to też wynik jego starań. Chyba nie warto mu za to dziękować.

– Nic podobnego! – gorąco zaproponował Miron. – Nie może chodzić, bo matka wypchnęła ją przez okno na ósmym piętrze. Zresztą po co roztrząsać stare dzieje... Zdaje się, że przyszła pani w jakiejś sprawie.

Nastia spokojnie i jasno wyłożyła mu swoje obawy, nie martwiąc się o to, że chłopak się spłoszy i wpadnie w panikę. Już dawno udowodnił, że można na nim polegać. Podczas uwalniania Nataszy z łap porywaczy wykazał się nieprzeciętną inteligencją, opanowaniem, wyobraźnią i umiejętnością cierpliwego czekania. Miron wysłuchał Nastii, nie przerywając, tylko od czasu do czasu z troską pocierał policzek.

– Anastazjo Pawłowna, naszym najślabszym ogniwem jest Irina – powiedział, gdy skończyła swoją relację. – Dzieci są w szpitalu, nie pójdą nigdzie z przestępcą, a w szpitalu ich nie

zabije, sama pani przecież powiedziała, że wszystko robi bez świadków. Zgadza się?

– Owszem – przyznała Nastia.

– No a Natka wciąż jest w domu, nie bywa sama na ulicy. Może wprawdzie otworzyć drzwi komuś obcemu, gdy w domu nikogo nie ma, ale da się temu łatwo zaradzić. Wezmę wolne w pracy, nazbierało mi się trochę za świąteczne dni, i będę siedział razem z nią. Irina jednak pracuje, nie da się jej upilnować. To znaczy, że trzeba będzie z nią porozmawiać i wtajemniczyć we wszystko. Nie chciałbym jej, oczywiście, niepokoić, ale nie widzę innego wyjścia.

– Przyjemnie mieć z tobą do czynienia – powiedziała Nastia z uznaniem. – Rzadko się spotyka kogoś tak roztropnego jak ty.

Nie zdążyli jednak ułożyć planu rozmowy z Iriną, bo w tej samej chwili trzasnęły drzwi. Najstarsza Tieriochina wróciła z kolejnej pracy; wciąż miała trzy rodzaje zajęć: rano – dozorczyńni, w ciągu dnia – roznosicielka artykułów spożywczych i napojów na bazarze, a wieczorem – pomywaczka i sprzątaczką w restauracji. Nastii ścisnęło się serce na jej widok. Wyglądała o wiele gorzej niż dwa lata temu, stała się niemal przezroczysta, tylko olbrzymie jaskrawoczerwone pryszczki, będące efektem choroby krwi, wyraźnie odcinały się na cienkiej, bladej skórze. Ale oczy jej błyszczały i widziały przed sobą tylko jeden cel: wyleczyć brata. Dawniej Ira miała dwa cele: oprócz leczenia Pawlika chciała również rozwiązać problem nagrobka ojca, nie tamtego, biologicznego, który na nich eksperymentował, ale męczyzny, który był mężem matki i wychowywał ich w atmosferze miłości i zrozumienia, nieświadomy, że nie są jego rodzonymi dziećmi. Dzięki Mironowi problem został rozwiązany, więc teraz Ira Tieriochina jeszcze bardziej wierzyła w to, że jeżeli będzie pracować i nie tracić nadziei, nie pozwalając sobie na rozpacz i niepotrzebne emocje, jej

pragnienie się spełni. Ta wiara pozwalała jej wciąż żyć, choć wszystkie dane medyczne wskazywały na to, że dawno powinna już umrzeć.

Wysłuchiwała Nastii i Mirona spokojnie, ale tylko na pozór. Nie mogła bardziej zblednąć, bo w jej twarzy nie było już kropli krwi.

– Boże! – jęknęła z rozpaczą. – Dlaczego na naszą rodzinę wciąż zwałają się nieszczęścia? Komu stanęliśmy na drodze? Przecież nie robimy nic złego, nikomu niczego nie zabieramy. Dlaczego tak się dzieje?

Miron natychmiast się zerwał i ją objął, jakby chciał obronić przed każdym, kto ośmielił się do niej zbliżyć.

– Ciszej, Iroczo, ciszej, nie denerwuj się. Wszystko się ułoży, wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnie. – Nie pozwolimy, żeby ktoś nas skrzywdził, nawet nie myśl o złych rzeczach. Anastazja Pawłowna nas uprzedziła, teraz będziemy gotowi i nikt nas nie zaskoczy.

– A poza tym nikt was nie zostawi samych z tym problemem – dodała Nastia. – Śledczy już wydał polecenie, żeby zapewnić wam ochronę. Nasi ludzie będą niedaleko, możecie na nich liczyć. Najważniejsze, Irino, żebyś była czujna i ostrożna. Robimy, co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, kim jest ten mężczyzna, i może uda nam się go zatrzymać, zanim się zbliży do waszej rodziny. Dlatego nie panikuj.

Nastia nie była szczerą, bo sytuacja wcale nie wyglądała różowo. Jeżeli Żartowniś posługuje się cudzymi odciskami palców i cudzą ręką pisze swoje kartki, aresztowanie go to wątpliwa sprawa. Może nie mieć przy sobie broni, z której zabija, a wtedy nie da się go oskarżyć o sześć zabójstw. Dlatego, nawet dokładnie znając jego nazwisko i adres, trzeba będzie czekać, aż przystąpi do realizacji swojego planu związanego z rodziną Tieriochinów. Jeżeli w ogóle miał na myśli akurat tę rodzinę, gdy oznajmił, że za siódmym razem znajdzie się tuż koło Nastii. A jeżeli inną? Milicja będzie

ochroniać Tieriochinów, czatując na Żartownisia, a on zabije zupełnie inną osobę. To właśnie było jedno z zadań Olszańskiego – przypomnieć sobie i wymienić wszystkich możliwych kandydatów do roli siódmej ofiary.

Nastia zdecydowanym krokiem podeszła do telefonu i zadzwoniła do Korotkowa.

– Jura, przyjeźdź, proszę, do Tieriochinów – powiedziała. – Trzeba opracować plan i dokładnie poinstruować Irinę i Mirona. Tak, zaczekam na ciebie. I jeszcze coś. Masz klucz do mojego pokoju? Bądź tak dobry, wejdź tam, pod szafą stoją stare buty, takie czarne, okropne... Aha. Możesz je wziąć? To wszystko, czekam.

– Zaraz przyjedzie Jurij Wiktorowicz – oznajmiła dziarsko, usiłując rozładować napięcie. – Pamiętacie go?

Irina i Miron bardzo dobrze pamiętali Korotkowa. Na ich twarzach odmalowała się wyraźna ulga. No oczywiście, zaraz zjawi się prawdziwy milicjant, mężczyzna, i wszystko wróci na swoje miejsce. Nastia wiedziała, że mimo szacunku, którym ją darzą, nie wierzą w skuteczność kobiety zajmującej się pracą operacyjną. No cóż, nie tylko ci młodzi, wartościowi ludzie odbierają ją w ten sposób. Nie powiesi się jednak z tego powodu.

Obudziła się Natasza, ale postanowiono nie niepokoić jej złymi wieściami, i aż do przyjazdu Korotkowa rozmowa przypominała przyjacielskie pogaduszki bardzo bliskich osób, które dawno się nie widziały.

Jak często w takich przypadkach bywa, rozmowa obracała się wokół wspólnych znajomych, wśród których czołowe miejsce zajmowali Stasow i jego córeczka Lila, a także pierwsza żona.

– Nie rozumiem sposobu, w jaki Margarita Władimirowna wychowuje dziecko – stwierdziła Ira z nieukrywaną dezaprobatą. – Czasami ją widzę, gdy wracam z pracy w restauracji. Jest prawie pierwsza w nocy, wyobrażacie

sobie? Jak można tak późno przychodzić, wiedząc, że dziewczynka jest sama w domu! Niedawno spotkałam Lile, powiedziała mi, że chciała sprawić sobie kotka, bo smutno jej samej w domu.

– A dlaczego „chciała”? – zdziwił się Miron. – Już się jej odechciało? Czy mama nie pozwoliła?

– Nie, Margarita Władimirowna pozwoliła, ale ktoś powiedział Lili, że kotek nie uratuje jej przed samotnością, że potrzebuje pieska, który będzie jej prawdziwym przyjacielem. No i teraz dziewczynka się dręczy, nie wie, czy się zdecydować na psa, czy na kotka – wyjaśniła Ira.

– Gdzieś czytałam, że są takie kotki, które charakterem przypominają psy, a pielęgnuje się je tak jak koty. – Natasza się ożywiła, podniósłszy oczy znad robótki. Podczas rozmowy robiła na drutach długi, gruby sweter na zimę dla starszej siostry. – Muszę sobie przypomnieć, jak się nazywa ta rasa, i powiedzieć Lili. Tego właśnie jej trzeba.

Korotkow wpadł do cichej przystani jak burza, uścisnął Mironowi rękę i wyczałował dziewczęta, które nie bez podstaw uważał za swoje chrześniaczki. Przenikliwa Natasza próbowała zapytać o powody tak nagłej wizyty funkcjonariuszy wydziału kryminalnego, ale uprzedzony przez Nastię Korotkow, głośno się śmiejąc, opowiedział bajeczkę o tym, że obowiązki służbowe kazały im być wieczorem w dzielnicy Sokolniki, ale gdzie i kiedy – jeszcze nie wiadomo, muszą czekać na telefon z dodatkowymi informacjami, więc jeżeli gospodarze nie oponują, to posiedzą jeszcze trochę, póki sytuacja ostatecznie się nie wyjaśni. Gospodarze nie oponowali.

Pierwszy odezwał się Sierioża Zarubin, któremu Korotkow zostawił telefon Tieriochinów z poleceniem, by zadzwonił, gdy tylko pojawi się jakaś informacja. Porozmawiawszy z nim, Jura popatrzył na Nastię z zakłopotaniem.

– Machnęliśmy się z sąsiadem – oznajmił markotnie. – Andriej Timofiejewicz Kazakow to człowiek szanowany,

wybitny naukowiec w dziedzinie broni strategicznej, obecnie, co prawda, na emeryturze, ale nadal aktywny, regularnie wzywany na konsultacje czy badania. Ludzie, którzy go znają, mówią, że cechuje go pewne dziwactwo – tajemniczość. Bardzo starannie wykonywał zawsze instrukcje określające zasady pracy z tajnymi dokumentami, no i w ogóle... W czasach, gdy zaczynał karierę, osoby zatrudnione w przemyśle zbrojeniowym nie mogły się nawet zająknąć, gdzie pracują i czym się zajmują. Można było za to trafić za kratki. Gaduła to gratka dla szpiega – głosiło dawne hasło. Kazakow święcie przestrzegał wszystkich zasad, był przekonany, że imperialiści tylko czyhają na to, żeby ukraść naszej biednej ojczyźnie tajemnice dotyczące obronności. No i nie zmienił się do dzisiaj.

– Jasne. Zamknięte drzwi znalazły swoje wytłumaczenie – skomentowała Nastia, której nieco ulżyło na myśl, że Irocze Miłowanowej chyba nie grozi niebezpieczeństwo. A może jednak grozi? – I wyjazdy, które tuszował opowieściami o rzekomym połowie ryb. Ale szczerze mówiąc, Jurik, ta informacja tłumaczy dziwactwa w zachowaniu, ale nie uwalnia go od podejrzeń o zabójstwa. Kto powiedział, że znany naukowiec nie może zostać zabójcą? Szuwałow stanowi jaskrawy przykład. On też jest naukowcem, co prawda specjalizuje się w socjologii, ale czy to coś zmienia? Zabijał, aż miło.

Umilkła na chwilę, krojąc na talerzu podane przez Irinę parówki. Jakaś myśl nie pozwalała się skupić, usiłowała się przedrzeć, ale gdy tylko Nastia próbowała ją uchwycić, zniknęła.

– Jura, jak się nazywa tamten felinolog, którym zajmuje się Docenko?

– Felinolog? Nie wyrażaj się brzydko w towarzystwie młodych dziewcząt, bardzo proszę.

– Fachowiec od kotów. Chyba Kazakow. Tak? – zapytała ostrożnie, wciąż jeszcze nie wierząc, że udało jej się uchwycić

ową sprytnie umykającą myśl.

– Kazakow – potwierdził Jura. – W Moskwie mieszka dużo Kazakowów, podobnie jak Iwanowów.

– I nazywa się Aleksander Iljicz – ciągnęła Nastia w zadumie.

Nagle zerwała się jak oparzona i rzuciła do telefonu. Żeby tylko Zarubin był w domu, żeby nie pobiegł gdzieś po tym, jak zadzwonił tutaj z meldunkiem!

– Sierioża – powiedziała szybko, gdy odebrał. – Znajdź szybko Ilję Andriejewicza Kazakowa. To pilne! Rok urodzenia – mniej więcej początek lat pięćdziesiątych. Nic więcej o nim nie wiem, poza tym, że powinien mieć ojca Andrieja Timofiejewicza i syna Aleksandra Iljicza. Tylko się przyłóż. I postaraj się o zdjęcie. Przywieziesz do Sokolników, zapisz adres.

Zarubin zjawił się o północy. Nastii kleiły się oczy, ale dzielnie walczyła ze snem. Irina poszła do pracy w restauracji. Na wszelki wypadek towarzyszył jej Miron, bo jego obecność wyglądała naturalnie i nie wzbudzała niczych podejrzeń – chłopak często przychodził pod koniec jej zmiany i odprowadzał ją do domu. Korotkow rutynowo flirtował z piękną Nataszą, a Nastia, wtulona w kącik kanapy, usiłowała nie zasnąć.

– Proszę. – Siergiej podał jej kserokopię formularza numer jeden, zdobytą w biurze paszportowym jednego z komisariatów. – Ilja Andriejewicz Kazakow, zgodnie z pani życzeniem.

Senność minęła jak ręką odjął. Formularz numer jeden własnoręcznie wypełnia właściciel paszportu. Oto i ona, charakterystyczna litera „d”. A tutaj łukowaty przecinek. I staranne, zaokrąglone, niepołączone ze sobą litery.

Nastia długo wpatrywała się w przystojną twarz o regularnych rysach. Zdjęcie musiało być aktualne; Ilja Andriejewicz, jak tego wymagały przepisy, załączył do

paszportu nowe zdjęcie, na którym miał czterdzieści pięć lat. Teraz ma czterdzieści osiem.

– A więc tak wyglądasz, Żartownisiu – wybąkała półgłosem. – Chyba że znowu się pomyliłam i to nie ty. Spotkałeś się ze swoim ojcem akurat tego dnia, gdy odwiedziłam Tatianę i szykowałam się do programu telewizyjnego. Ojciec mógł ci o nas powiedzieć. A więc zostałeś uprzedzony o naszym udziale w telemoście. Mogłeś się przygotować. Może wcale nie jesteś miłośnikiem malarstwa, ale twój ojciec uwielbia Boscha; niewykluczone, że przeglądałeś u niego albumy i wybierałeś przynęty, na które mnie łapałeś. Jesteś synem swojego ojca, więc to całkiem naturalne, że przejąłeś pewne jego zwyczaje, a w szczególności sposób zwracania się do kobiet z użyciem określenia „moja droga”. Kontaktowałeś się ze swoim synem i mogłeś wiedzieć o kosztownościach staruszki Firsowej. Mogłeś nawet poznać ją u syna, toteż wpuściła cię do mieszkania, mimo że była nader podejrzliwa i nieufna wobec nieznanym. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego wybrałeś mnie? A może to nie ty jesteś na zdjęciu?

Zaczekali, aż Irina wróci bez przeszkód z pracy. Nikt nie próbował jej dzisiaj zagadywać, więc można było odpoczywać do następnego dnia. Na wszelki wypadek Nastia pokazała jej zdjęcie Ilji Andriejewicza Kazakowa i poprosiła, żeby zapamiętała twarz. Następnie razem z Korotkowem i Zarubinem opuściła mieszkanie Tieriochinów.

Niedziela minęła na dręczącym oczekiwaniu. Docenko i Siełujanow krążyli po redakcjach gazet i czasopism w poszukiwaniu nazwisk osób, które pisały artykuły albo listy na temat pochówków, osób niepełnosprawnych i niezamożnych, a także o samobójstwach i eutanazji. Zarubin na polecenie Korotkowa próbował w niewyszukany sposób przeprowadzić nieoficjalne daktyloskopowanie Ilji Andriejewicza Kazakowa, ale mu się nie powiodło. Kazakow ulotnił się z Moskwy. Irina Tieriochina odwiedzała kolejne

miejsca pracy, Miron chodził za nią jak cień, uważnie lustrując wszystkich zbliżających się do niej mężczyzn. Nie zdążono wykonać polecenia śledczego dotyczącego ochrony Olgi i Pawlika Tieriochinów w szpitalu, ale liczono na to, że Żartowniś tam nie wtargnie. Natasza Tieriochina siedziała w domu w towarzystwie znajomej, Zoi Taszkowej, która na prośbę Nastii przyjechała rzekomo odwiedzić rodzinę przyjaciół.

Nic jednak się nie wydarzyło. I Nastia znowu zaczęła powątpiewać: czy dobrze wydedukowała Żartownisia? Czy właściwie określiła kierunek siódmego uderzenia, które planował? Czy czekają na niego tam, gdzie powinni? Czy to na pewno on? Mimo szczerych chęci nie potrafiła przypomnieć sobie innej niepełnosprawnej osoby, którą знаła. Oprócz Sołowiowa, swojego dawnego ukochanego. Ale zasięgnęła języka i się dowiedziała, że on już od pół roku przebywa w Szwajcarii, lecz się w jakiejś klinice. A zatem pozostają tylko Tieriochinowie.

W poniedziałek rano Korotkow sporządził oficjalny dokument w sprawie podjęcia obserwacji zewnętrznej Kazakowa. Odpowiedziano mu, że z powodu braku ludzi „obstawa” figuranta może dojść do skutku dopiero za jakieś dwa dni. Jura zaklął w duchu i spróbował uruchomić nieoficjalne kontakty, po czym uzyskał obietnicę, że obserwacja zostanie założona już dzisiaj, ale dopiero wieczorem.

O dziewiątej wieczorem na Pietrowkę wrócił Kola Siełujanow z długą listą uczestników dyskusji prasowych.

– Tyle zdołałem zdobyć – powiedział ze znużeniem, kładąc kartkę przed Nastią. – To tylko trzydzieści dwa wydania. Zaczynj tymczasem, a jutro cię zmienię.

Od nerwowego siedzenia w zadymionym pokoju Nastię tak rozboleły oczy, że nie była w stanie przeczytać nawet pierwszych pięciu nazwisk – od razu popłynęły jej łzy.

– Kola, jest tam nazwisko Kazakow? – zapytała, przykładając chusteczkę do twarzy.

Siełujanow przebiegł listę wzrokiem.

– Jest.

– Ilja Andriejewicz?

– Nie wiem, kochana. Jakiś I.A. Może to Iwan Aleksandrowicz.

– Na jaki temat się wypowiadał?

– Figuruje jako autor dwóch listów dotyczących problemu eutanazji. Jeden z nich został nawet opublikowany w rubryce *Opinie naszych czytelników*.

– A więc Ilja Andriejewicz. Dobrze, Koleńka, masz wolne, jutro możesz nigdzie nie jechać.

Siełujanow przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Nastii.

– To on?

– Wygląda na to, że tak.

– Nie słyszę pewności w twoim głosie – powiedział drwiąco. – Znowu wywróżyłaś z fusów?

– Z kart. – Uśmiechnęła się słabo. – Mój słaby umysł ustępuje przed nieprzejeżdżanym geniuszem tego typu. Albo to Kazakow, albo nie wiem... Nic więcej nie potrafię wymyślić. Albo schwytemy Ilję Andriejewicza, albo nigdy nie złapiemy Żartownisia. Taki jest układ kart.

– No to jedźmy do niego, zatrzymamy go, psiakrew, i po sprawie – zaproponował Siełujanow. – Po co tak siedzieć i zbijać bąki? Masz adres?

– Mam.

– No więc?

– Chłopcy go pilnują. Czekamy, aż przystąpi do siódmego zabójstwa.

– A może zdjąć po cichu odciski?

– Wczoraj próbowaliśmy, ale nie było go w Moskwie, nie zdołaliśmy znaleźć. A dzisiaj rozsądnie uznaliśmy, że lepiej nie ryzykować i się nie wychylać. Drań jest mądry i cwany,

spodziewa się, że go podejmiemy, i jest czujny. Postępując pochopnie, zawalimy sprawę, a na dokładne opracowanie operacji nie ma już czasu. Lepiej zaczekać, aż zabierze się do działania.

Dzwonek telefonu sprawił, że wstała i zaczęła się ubierać.

– To Korotkow. Obserwatorzy poinformowali, że Kazakow zmierza ku Sokolnikom. Jedźmy, Kola, zobaczymy, co wymyślił.

Na korytarzu dogonił ich Korotkow, w biegu zapinając kurtkę.

– Szybciej, kochani, szybciej, nie ma chwili do stracenia. Samochód czeka na dole.

Następne wydarzenia Nastia pamiętała słabo. Była bardzo zmęczona, okropnie chciało jej się spać, bolały ją oczy i nogi. W sobotę zjawiała się w domu koło drugiej w nocy, a o szóstej rano już wstała, bo Irina Tieriochina zaczynała pracę dozorczyńi o piątej i Nastia nie spuszczała oczu z telefonu w oczekiwaniu na wiadomość. Później znowu czekała do pierwszej w nocy, aż Irina wróci z restauracji. W poniedziałek też zerwała się skoro świt. Gdy więc oparła się o szerokie ramię Jury Korotkowa w ciepłym samochodzie, zmorzył ją sen, ciężki, wypełniony koszmarami i czyimiś głosami. Ocknęła się, dopiero gdy Korotkow zaczął ją tarmosić.

– Obudź się, Asiu, No obudź się! Zwolnij miejsce dla obywatela Żartownisia.

Gwałtownie otworzyła oczy i gdyby Korotkow jej nie podtrzymał, toby wypadła z samochodu na chodnik. Przed nią stali trzech chłopcy z grupy szturmowej i Kola Siełujanow, a między nimi, z rękami skutymi kajdankami, mężczyzna, w którego zdjęcie tępo i z rezygnacją wpatrywała się przez ostatnie dwa dni. Nie czuła radości, były to raczej pustka i olbrzymie, przytłaczające zmęczenie.

– Dzień dobry, Iljo Andriejewiczu – powiedziała. – Mam do pana tylko jedno pytanie. Dlaczego ja? Dlaczego właśnie mnie

pan wybrał?

– Nic innego pani nie interesuje? – zapytał Kazakow z kpina.
– Dziwne, sądziłem, że pani ciekawość sięga znacznie dalej. Czuję się rozczarowany.

– Całą resztę znam. Z wyjątkiem szczegółów, rzecz jasna. Ale one mogą poczekać do jutra. Wykończył mnie pan, Iljo Andriejewiczu. Gdyby pan wiedział, jak bardzo...

Kazakowa wepchnięto do samochodu. Nastia odeszła na bok i usiadła na chodniku. Nie szkoda jej było kurtki. W ogóle niczego nie było jej szkoda. Oprócz tamtych sześciorga osób, które zamordował ten drań, owładnięty swoją teorią. Żadna teoria, nawet najgenialniejsza, nie jest warta tego, żeby dla niej zabijać.

Nawet nie zauważyła, że płacze.

ZABÓJCA

Spotkałem ją przypadkiem. Nawet nie spotkałem; najpierw się o niej dowiedziałem. Przyjechałem po ojca, żeby odwiedzić z nim grób jego drugiej żony w rocznicę śmierci. Po zabójstwie mamy ojciec bardzo długo był sam, dopiero w wieku jakichś pięćdziesięciu pięciu lat ożenił się po raz drugi. I znowu owdowiał. Po drodze opowiadał mi o sąsiadach, wspomniał o jakiejś kobiecie z wydziału kryminalnego, która ma wystąpić na antenie podczas telemostu. Wychwalał ją pod niebiosa. Początkowo nie zwracałem uwagi, później się zainteresowałem. Inteligentna, bystra, zna pięć języków. Naprawdę są takie funkcjonariuszki w naszej milicji? Ojciec wypowiadał się też bardzo pochlebnie o sąsiadce, mówił, że jest śledczą, a w wolnym czasie pisze książki. Gdy słuchałem jego zachwyty, do głowy wpadł mi pewien pomysł.

Rankiem tamtego dnia, kiedy miał się odbyć program telewizyjny, plan był gotowy, ale do jego realizacji

potrzebowałem czegoś jeszcze: chciałem zobaczyć wcześniej te milicyjne damulki, posłuchać, co mówią. Może nie nadają się do mojego planu... Prace przygotowawcze przeprowadziłem jednak w taki sposób, żeby można było zacząć, gdy tylko podejmę decyzję.

Był wyjątkowo słoneczny dzień, jeden z tych, dzięki którym moskwianie godzą się z koniecznością przeżywania słotnej, mokrej jesieni, po której nieubłagane nadchodzi paskudna, szara moskiewska zima. W takie dni znika smutna wizja pięciomiesięcznych tortur w postaci kałuż, potoków błota, zasp i spadków ciśnienia. W takie dni głupia ludzkość wierzy, że słońce i radość będą zawsze. Zresztą dlaczego głupia? Normalna. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Już wiele lat temu Sołżenicyn napisał krótki, jednostronicowy esej pod tytułem *My nigdy nie umrzemy*, w którym przystępnie nam wytłumaczył, że przez powszechną głupotę oraz krótkowzroczność uważamy się za nieśmiertelnych i bardzo się mylimy w tej kwestii. Chociaż, jeśli chodzi o ścisłość, teraz powinienem mówić nie „my” i „nam”, ale „oni” i „im”. Bo ja akurat uzmysłowiłem sobie nieuchronność własnej śmierci i się z nią pogodziłem. W odróżnieniu od „nich”.

Odbiegłem jednak od tematu... Dzień był naprawdę cudowny i to mnie cieszyło. Nie dlatego, że lubię ładną pogodę; jest mi obojętna, czasami nawet nie zauważam, że pada deszcz albo śnieg. Ale w niepogodę, na przykład podczas ulewnego deszczu, telemost mógł się nie odbyć. To znaczy program nie zdjęto by z anteny, ale „tę” stronę telemostu zorganizowano by w jakimś zamkniętym pomieszczeniu, na przykład w kinoteatrze Chudożestwiennyj, jak to bywało dawniej. Wtedy realizacja mojego planu okazałaby się kłopotliwa. Nie, mimo to wymyśliłbym, jak pokonać trudności, ale dobrze, że się obeszło bez tego.

Zebrał się spory tłum; ludzie nie zwracali na siebie uwagi, więc udało mi się ulokować tak, że widziałem ekran. Gdy tylko

pojawiły się na nim obie bohaterki programu, od razu ją zauważyłem. Nawet nie żebym zauważył... Raczej poznałem. Ta druga właściwie dla mnie nie istniała, mimo że wyglądała bez porównania efektowniej i mówiła pewniejszym tonem. Była to sąsiadka ojca; domyśliłem się, gdy prezenter przedstawił ją jako śledczą i pisarkę. Ale pierwsza... Elegancka, stonowana, z powściągliwym uśmiechem, długimi, nerwowo poruszającymi się palcami, patrzyła w kamerę bezdennymi jasnymi oczami, a ja parę razy odniosłem wrażenie, że patrzy prosto na mnie. Długie jasne włosy, zebrane z tyłu w ciężki węzeł, przypomniały mi mamę. Gdy tylko się odezwała, zauważyłem, że jest zdumiewająco do niej podobna. A chwilę później powiedziałem sobie, że to uśmiech losu. Przyjąć śmierć z rąk mamy i na polecenie ojczyzny – oto owa idealna sytuacja, do której dążyłem.

Nie chciałem jednak się oszukiwać. Wystarczy, że popełniłem głupstwo, żądając od Natalii, mojej drugiej żony, tego, czego nie potrafiła. Wydawało mi się, że jej pomagam, ale później zrozumiałem, że próbuję ukryć przed sobą prawdę i nie chcę się pogodzić z jej bezradnością. Za drugim razem nie zrobię tego błędu. Muszę być pewien, że przyjmę śmierć z rąk godnego przeciwnika. Tylko tak zdołam zachować do siebie szacunek. Nie będę specjalnie się przed nią ukrywał, a ona... Niech spróbuje mnie namierzyć i znaleźć w wielomilionowym mieście pełnym przyjezdnych. Urządę jej próbę, egzamin z inteligencji i charakteru; jeżeli zdoła mnie schwytać, to znaczy, że jest godna tego, żebym przyjął śmierć z jej rąk. Schwyta mnie, a ojczyzna wyda wyrok. Zostanę rozstrzelany, nie będzie koło mnie płaczących krewnych i zasmuconych przyjaciół, którzy utrudnią moje przejście do innego świata. Zostanę rozstrzelany w dobrze mi znanej chwili, dzięki czemu będę mógł się skoncentrować i przygotować do tego, żeby umrzeć w należyty sposób. Wszystkie warunki godnej śmierci zostaną spełnione.

NAGRANIE Z DYKTAFONU

– Iljo Andriejewiczu, wykorzystał mnie pan jak marionetkę, żeby osiągnąć swój cel. Choć mi to uwłacza, jakoś się z tym pogodzę.

– Tak, nie jest pani skazona grzechem pychy, zdążyłem to ustalić.

– Dziękuję, ale nie potrzebuję pańskich komplementów. Chcę zrozumieć, jaki cel panu przyświecał. Z jakiego powodu rozpętał pan to piekło?

– Niech pani nie udaje, Anastazjo Pawłowna, doskonale pani wie. Przecież gdyby pani tego nie odkryła, toby mnie nie znalazła.

– Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałam. Muszę się upewnić. W końcu panu też powinno zależeć na tym, żeby wszyscy pana właściwie zrozumieli, inaczej to nie ma sensu. Sześć osób zginęłoby na próżno.

– Ma pani rację. Muszę być absolutnie przekonany, że mnie usłyszeliście. Chciałem, żebyście wszyscy pomyśleli o swojej śmierci. Żeby nie tylko każdy człowiek zastanowił się nad tym, gdzie, jak i w jakich okolicznościach będzie umierał, ale żeby państwo również to rozważyło. Jeżeli bowiem obowiązkiem państwa jest troska o życie obywateli, ich śmierć też powinna je obchodzić. Oraz to, by uczynić ją lżejszą. Sprawić, by była godna. Spokojna, bezbolesna i w wybranym czasie. Człowiek musi mieć prawo, by rozstać się z życiem, gdy tego zapragnie, i w sposób, w jaki zapragnie. Państwo zobligowane jest do tego, by mu zapewnić warunki do realizacji owego prawa. Nie powinno pakować do psychiatryka tych, którzy bezskutecznie usiłowali ze sobą skończyć. Musi pozwolić lekarzom robić specjalne zastrzyki tym, którzy nie są już w stanie samodzielnie zdecydować o swoim losie. I zapewnić godny

pochówek nawet nędzarzom i kloszardom. Chciałem, żebyście to rozważyli i przeanalizowali naukę umierania, istniejącą w innych cywilizacjach. Sam jeszcze nie umierałem, więc nie mogę na bazie własnego doświadczenia ocenić efektów badań naukowych tych, którzy się zajmowali tym problemem przez długie dziesięciolecia. Możliwe, że śmierć to koniec. Ale niekoniecznie. Kto wie? A nuż to wcale nie kropka, lecz przecinek? Bardzo długo miałem do czynienia z fizyką i techniką, więc mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że ortodoksyjny materializm nie potrafi wyjaśnić wszystkiego, z czym się stykamy. To dowodzi, że nasza wiedza jest niedoskonała i niepełna. A skoro tak, za nic nie można ręczyć. Mam na myśli nasze wyobrażenia procesu umierania.

– Dobrze pana zrozumiałam? Sądzi pan, że człowiek powinien mieć prawo i możliwość, by uniknąć cierpień związanych z bólem fizycznym i duchowym? Starość, ciężkie i nieuleczalne choroby, urazy psychiczne – wszystko to czyni życie nieznośnym, więc ludziom należy pozwolić, by mogli odejść w dowolnej chwili na własne życzenie. Zgadza się?

– Owszem. Świetnie mnie pani zrozumiała. Była to podstawa moich rozważań o śmierci. Cała reszta przyszła później.

– A dlaczego pan uznał, że człowiek nie powinien cierpieć? Kto panu to powiedział?

– To przecież oczywiste! Co innego, gdy człowiek żyje niewłaściwie, niegodnie, grzeszy i popełnia przestępstwa – wtedy niech cierpi, powinien zapłacić za swoje życie. Gdy jednak żyje godnie i uczciwie, pracuje rzetelnie, nikogo nie oszukuje – dlaczego ma cierpieć? Za co? To niesprawiedliwe!

– Nie ma pan racji, Iljo Andriejewiczu.

– Dlaczego? Proszę udowodnić.

– Wątpię, żebym potrafiła. Mogę tylko zaproponować panu swój punkt widzenia.

– Słucham.

– Podążając pańskim tokiem rozumowania, cierpienia są zapłatą za niegodne życie, a lekka i przyjemna śmierć – nagrodą za życie przeżyte godnie. Kryje się tutaj błąd zarówno formalno-logiczny, jak i myślowy. Cena za życie jest tylko jedna – śmierć. Śmiercią można zapłacić tylko za życie, tak urządziła to natura. Ten, który ma szczęście się urodzić, będzie miał nieszczęście umrzeć. Nie można się urodzić i nie umrzeć, podobnie jak nie można umrzeć, nie urodziwszy się przedtem. Zgadza się pan z tą tezą?

– Z nią – tak. Co dalej?

– Przejdźmy do następnego etapu rozważań. Cierpienia są zapłatą za przyjemności. Rozumie pan? Śmierć – za życie, cierpienia – za szczęście. Nie ma znaczenia, jak wyglądało czyjeś życie, czy było sprawiedliwe, czy nie. Ktoś czynił dobro i z tego powodu był szczęśliwy, ktoś zabijał niewinne osoby i czerpał z tego przyjemność. Ktoś pracował i się cieszył, ktoś kradł i się cieszył. Cokolwiek człowiek robił, jakkolwiek żył, doznawał w życiu radości, jeżeli nie z tego, to z innego powodu. Jedni ludzie więcej, inni mniej, jedni częściej, inni rzadziej, jedni tylko w dzieciństwie, inni w ciągu całego życia. Ale wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni. I właśnie za to powinni zapłacić cierpieniem. A pan chce, żeby człowiek rozstał się z życiem, nie uregulowawszy rachunku. To naruszyłoby harmonię wszechświata. Nie sądzi pan?

– W pani rozważaniach pojawiają się słabe ogniwa, Anastazjo Pawłowna. Łatwo to wykażę. Są ludzie, którzy byli szczęśliwi raptem trzy minuty w życiu, a los zsyła im nieustanne i potworne cierpienia. Czy to uczciwa zapłata? Są też inni, tacy, którzy na okrągło doznawali przyjemności, a los nie zgotował im cierpień. Czy to przejaw harmonii wszechświata? Nie ma takiej harmonii, chyba pani nie zaprzeczy.

– Zaprzeczę. Harmonia istnieje. Wszystko zależy od indywidualnego podejścia. Mówi pan, że są ludzie, którzy byli szczęśliwi tylko trzy minuty w życiu? Bez trudu udowodnię, że

takich nie ma. Czyżby taki człowiek ani razu nie poczuł na swoim policzku pocałunku własnego dziecka? Ani razu w życiu nie otrzymał prezentu? Ani razu nie słyszał słów, jeżeli nie miłości, to przynajmniej przywiązania, przyjaźni, czułości i ciepła? Ani razu nikt mu nie przyszedł z pomocą? Nigdy nie zrobił niczego pożytecznego, co pozwoliłoby mu poczuć satysfakcję? Ani razu nie przeczytał książki, która sprawiła mu przyjemność? Czyżby nie znał uczucia satysfakcji seksualnej? Mogę wyliczać w nieskończoność, ale doskonale pan wie, o czym mówię. W życiu bywa mnóstwo wydarzeń i rzeczy, które mogą człowieka uszczęśliwić. Ale bynajmniej nie każdy jest w stanie to zrozumieć i poczuć. Są ludzie, i to spora grupa, tu się z panem zgadzam, którzy są zawsze niezadowoleni, wciąż czują się nieszczęśliwi, skrzywdzeni, skarżą się na to, że nie widzieli w życiu niczego dobrego, że spotykają ich wyłącznie złe rzeczy. Czy mają rację? Nie. Życie dało im to, co mogło, oni jednak nie umieją tego docenić. Nie potrafią delektować się zapachem powietrza po burzy, usłyszeć wspaniałej muzyki ani cieszyć się czymś szczęściem. Mają więc wrażenie, że w ich życiu nie wydarzyło się nic dobrego, i wyolbrzymiają to, co było złe. Co tutaj można powiedzieć? Ich duchowa głuchota nie uwalnia i nie może uwolnić od cierpień, od konieczności zapłaty za to, co im zaoferowano. Nie wykorzystali tego? To ich problem. Gdy ktoś idzie do teatru i przedstawienie nie sprawia mu przyjemności, nie wpada na pomysł, żeby żądać zwrotu pieniędzy za bilet, prawda? Rozumie, że przedstawienie mu się nie spodobało. Innym jednak się spodobało.

– Pani rozważania są słuszne, jeżeli chodzi o teatr, ale w odniesieniu do życia – nie.

– Dlaczego?

– Dlatego że życie to nie teatr.

– Szekspir uważał inaczej. „Świat jest teatrem, aktorami ludzie...”

– Szekspir nie jest dla mnie wyrocznią.

– Szkoda. Był niesłychanie mądry. Nie namawiam pana do porównywania życia z teatrem, proponuję spojrzeć na teatr jak na element życia, stworzony przez ludzkość na podobieństwo własne i na podobieństwo życia. Przecież w teatrze nie dzieje się nic takiego, co nie działałoby się w realnym życiu. Ale odbiegliśmy od tematu. Cierpienia stanowią przeciwwagę szczęścia; jeżeli człowiek nie potrafił być szczęśliwy, to jego wina, a nie indulgencja pozwalająca uniknąć cierpień. A zresztą, Iljo Andriejewiczu, kto powiedział, że życie powinno być usłane różami? Że mają nas spotykać wyłącznie szczęście i przyjemności?

– Zadaje pani dziwne pytanie. Zawsze nas tak wychowywano. Mówiono, że jeśli będziemy żyli uczciwie, pracowali w pocie czoła i nie łamali prawa, to wszystko będzie dobrze. Czy panią wychowywano inaczej? Wydaje mi się, że nie jest pani dużo młodsza ode mnie, a to znaczy, że uczono nas w szkole mniej więcej tych samych rzeczy.

– Zgadza się. Różnica między nami polega na tym, że ja widziałam więcej nieszczęść, cierpień i łez. Dzięki temu zrozumiałam, że życie urządzone jest nieco inaczej, niż nam opowiadano w szkole.

– A jak, pani zdaniem, jest urządzone?

– Złych, ciężkich i nieprzyjemnych chwil jest w nim o wiele więcej niż dobrych i przyjemnych. Tak jest urządzone, rozumie pan? Nie jest niesprawiedliwe, po prostu tak jest urządzone. Taki jest wszechświat. Trudno się z tym pogodzić, ale trzeba to zrobić. Dlatego nie należy rozpaczać w obliczu cierpień i sądzić, że się miało pecha, że wszystko się sypie, że Bóg zsyła karę nie wiadomo za co. Nieprzyjemności są rzeczą normalną. Podobnie jak cierpienia. To, co dobre, należy umieć dostrzec, docenić i cieszyć się z tego z całej duszy, cieszyć się w każdej chwili, mając świadomość, że zgodnie z prawami wszechświata jutro może się zacząć pasmo nieszczęść, więc trzeba zdążyć się

nacieszyć dzisiejszym szczęściem i na długo zapamiętać to uczucie. Dobrego jest mniej, złego więcej. Tak jest urządzony świat, a pan, Iljo Andriejewiczu, nie jest w stanie tego zmienić.

– To znaczy, że świat jest urządzony niewłaściwie.

– Możliwe, możliwe... Ale jest taki, a nie inny. Nic na to nie można poradzić.

– Nie wierzę pani.

– Nie musi pan. Nie zamierzam pana przekonywać. Nie jest pan dla mnie oponentem w sporze filozoficznym, ale przestępcą, zabójcą. Będę więc szukać nie argumentów, lecz dowodów pańskiej winy. Zresztą zdaje się, że to nie będzie trudne. Zrobił pan wszystko, co tylko możliwe, żeby pańska wina była bezsporna, gdyby został pan jednak schwytany.

– Anastazjo Pawłowna...

– Tak?

– Proszę powiedzieć... To, co mówił pani kolega o stwierdzeniu niepoczytalności w szpitalu psychiatrycznym – to realne?

– Niech się pan uspokoi, psychiatryk panu nie grozi. Choć kto wie... Lekarze bywają nieprzewidywalni. Obłąkanego Ionesiana zwanego Mosgazem^[27] uznali za poczytalnego. Zdrowych psychicznie dysydentów uznali za chorych. Niczego więc nie mogę zagwarantować.

– Nie chciałbym, żeby taki był koniec.

– Rozumiem. Marzy się panu głośny proces, który trafi do podręczników. Pragnie pan wystąpić w sądzie i powiedzieć głośno to, co powiedział przed chwilą. Czego jeszcze pan pragnie?

– Wyroku śmierci.

– Chce pan, żeby śmierć była lekka i nastąpiła w wybranym czasie?

– Chcę, żeby zabiło mnie państwo, a nie szalony bandyta albo niedouczony lekarz.

– No tak, i żeby zrobiło to teraz, póki jeszcze nie cierpi pan na ciężkie schorzenia i nie jest pan słaby ani niedołężny. Czy nie za dużo pan chce, Iljo Andriejewiczu? Pana życie było wspaniałe, osiągnął pan wyżyny w swoim zawodzie, cieszył się uznaniem i szacunkiem. Kochał kobiety i był przez nie kochany. Pańska sytuacja materialna była bardzo korzystna, mógł pan nawet wypoczywać za granicą. A teraz chce się pan ukryć przed kredytodawcami, za nic nie zapłaciwszy. Muszę pana zmartwić, Iljo Andriejewiczu, w naszym kraju wprowadzono moratorium na karę śmierci. Nie wiedział pan? Wyroki śmierci są wydawane, ale się ich nie wykonuje. Ma pan dobrą perspektywę – dożywotnie więzienie. To zapewni panu taką skalę cierpień, że się pan rozliczy za wszystko. Nie czeka pana lekka śmierć.

– Czuje pani złośliwą satysfakcję?

– Bynajmniej. Zwyczajnie się cieszę. Bez żadnego podtekstu.

– Z czego się pani cieszy?

– Z tego, że tym razem harmonia wszechświata nie zostanie naruszona.

[\[27\]](#) Zabójca wchodził do mieszkań ofiar, podając się za pracownika moskiewskiej gazowni – stąd przezwisko..

Epilog

W kwietniu 1999 roku prezydent Rosji zwrócił się z prośbą do komisji zajmującej się ułaskawieniami, żeby jak najprędzej rozpatrzyła sprawy skazanych na nadzwyczajny wymiar kary. Obowiązujące moratorium na wykonanie kary śmierci wymagało, żeby komisja zdecydowała o losie każdego z mniej więcej trzystu osadzonych, zamieniając im rozstrzelanie na wieloletnią karę pozbawienia wolności albo na dożywocie. Gdy pojawiły się akta I.A. Kazakowa, komisja ze zdumieniem skonstatowała, że tylko ten osadzony nie wniósł prośby o ułaskawienie. Mimo to, ponieważ wykonanie wyroku śmierci było niemożliwe, Kazakowowi wyznaczono karę dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności.

SPIS TREŚCI

[Kryminał ze zjawami](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Epilog](#)